

**CLIVE CUSSLER**

# **SAHARA**

Przekład Joanna i Witold Kalinowscy



*Z wyrazami głębokiej wdzięczności dla ekspertów w dziedzinie chemii skażeń środowiskowych, dra Hala Stubera i firmy James P. Walsh & Associates, Boulder, Colorado - za odrzucenie wszelkich szkodliwych śmieci i utrzymanie mojej wyobraźni w dopuszczalnych granicach.*

Richmond, Virginia, 2 kwietnia 1865

## SZPALER ŚMIERCI

W widmowej przedwieczornej mgle wyglądał jak potworna bestia wylaniająca się z pierwotnego szlamu. Niska, przysadzista sylwetka odcinała się złowieszczą czernią na tle drzew znaczących linię brzegu. Ludzie poruszali się jak duchy w niesamowicie żółtym świetle latarni. Wilgoć osiadała na szarych, stromych blachach i ściekała ciężkimi kroplami w ospały nurt James River.

Ustawiony dziobem w dół rzeki, Texas napręzał cumy niczym pies myśliwski, niecierpliwie czekający, kiedy wreszcie spuszcza go ze smyczy. Na razie jednak stalowe klapy szczelnie zasłaniały otwory strzelnicze, a sześciocalowy pancierz kazamaty nie nosił żadnych śladów walki. Jedyne biało-czerwony proporzec na maszcie za kominem, zwisający bezwładnie w ciężkim, wilgotnym powietrzu, wskazywał, że jest to okręt wojenny Floty Skonfederowanych Stanów.

Szczurom lądowym mógł wydawać się brzydki i niezgrabny, ale marynarze potrafili ocenić jego niezwykłą klasę i szczególną urodę. W potężnej, groźnej bryle odczytywali tragiczne przeznaczenie okrętu: rejs ku zagładzie - po krótkim, ale wspaniałym, wiekopomnym momencie chwały.

Na odsłoniętym pokładzie dziobowym komandor Mason Tombs wyciągnął z kieszeni dużą niebieską chustę i starł wilgoć, która przeniknęła pod ciasny kołnierz munduru. Załadunek przebiegał wolno, stanowczo zbyt wolno. Texas musiał wykorzystać każdą minutę nadchodzącej nocy, by wymknąć się bezpiecznie na otwarte morze. Tombs z niepokojem patrzył jak jego ludzie, uginając się i złorzecząc, wnoszą po trapie drewniane skrzynki i spuszcza je w czeluść otwartej ładowni. Wszystko to było zdumiewająco ciężkie jak na archiwa administracji, działającej zaledwie od czterech lat. Wiele skrzynek leżało jeszcze na furgonach zaprzężonych w muły; pilnowali ich na brzegu silnie uzbrojeni, ale wyczerpani trudami wojennymi żołnierze kompanii piechoty z Georgii - nieliczni, którym udało się przeżyć ostatnią wielką bitwę.

Tombs obrócił niespokojne spojrzenie na północ, w stronę Richmond, odległego o niespełna dwie mile. Po wielu dniach desperackiego oporu dowodzeni przez generała Lee obrońcy Petersburga ulegli naporowi wojsk Granta; rozbita armia Południa wycofała się w kierunku Appomatox, pozostawiając stolicę na pastwę oddziałów Unii. Jeszcze nie skończyła się ewakuacja miasta, a już na ulicach pojawiły się zbrojne bandy, rabujące i dewastujące opuszczone domy. Pożary magazynów i eksplozje w arsenałach coraz bardziej rozjaśniały nocne niebo nad Richmond.

Tombs, jeden z najzdolniejszych oficerów konfederackiej floty, był ambitny i energiczny.

Choć niewysoki, był niewątpliwie przystojny. Regularną twarz zdobiły kasztanowe włosy i brwi, gęsta ruda broda i czarne jak węgiel oczy. Dowódca małych kanonierek w bitwach pod Nowym Orleanem i Memphis, oficer artylerii pancernika Arkansas i pierwszy oficer Florydy w jej niesławnych pirackich rejsach - Tombs tego dał się we znaki stronnikom Unii. Dowództwo na Texasie objął w tydzień po zwodowaniu okrętu w stoczni Rocketts w Richmond; w ciągu tego tygodnia stocznia wykonała na jego życzenie szereg modyfikacji, które miały przygotować Texas do niemal niewykonalnego rejsu w dół rzeki przez szpaler tysięcy armat Unii.

Dopiero gdy ostatni furgon odjechał z portu w mrok nocy, Tombs przeniósł spojrzenie z powrotem na marynarzy znoszących skrzynie do ładowni. Wyciągnął z kieszeni zegarek, otworzył kopertę i popatrzył na tarczę w bladym świetle latarni zawieszanej na portowej palisadzie. Dwadzieścia po ósmej; niespełna osiem godzin do świtu. Stanowczo za mało, by pod osłoną ciemności dotrzeć do ujścia rzeki.

W kręgu światła pojawił się nagle otwarty pojazd zaprzężony w dwa srokacze i zatrzymał się na nabrzeżu. Woźnica siedział sztywno, nie odwracając głowy; dwaj pasażerowie przyglądali się ciekawie ostatnim znikającym pod pokładem skrzyniom. Pierwszy, masywny mężczyzna w cywilnym ubraniu, zdradzał objawy zmęczenia. Drugi, w mundurze oficera marynarki, szybko wypatrzył Tombsa na pokładzie okrętu i pomachał ku niemu ręką. Tombs ruszył przez trap na nabrzeże, zbliżył się do powozu i energicznie zasalutował.

- Panie admirale, panie sekretarzu! Wielki to zaszczyt dla mnie. Nie sądziłem, że znajdą panowie czas, by się ze mną pożegnać.

Admirał Raphael Semmes słyszał ze swych wojennych dokonań. Alabama, w czasach gdy nią dowodził, była prawdziwym postrachem mórz. Obecnie pod jego dowództwem znajdowała się eskadra pancernych kanonierek, operująca na James River. Na twarzy admirała, którą zdobiły gęsto pomadowane wąsy i mała kozia bródka, pojawił się uśmiech.

- Cały pułk Jankesów nie powstrzymałby mnie od przyjazdu tutaj.

Stephen Mallory, sekretarz Floty Skonfederowanych Stanów, wyciągnął rękę do komandora.

- To co pan robi dla nas jest zbyt ważne; musieliśmy znaleźć chwilę, by życzyć panu powodzenia.

- Mam mocny okręt i dzielną załogę - powiedział Tombs z przekonaniem. - Przebijemy się.

Uśmiech na twarzy Semmesa zgasł, a w jego oczach pojawiło się niespokojne przecucie.

- Gdyby jednak okazało się to niemożliwe, musi pan spalić i zatopić okręt w możliwie najgłębszym miejscu. Nie można dopuścić, by Unia dobrała się do naszych archiwów.

- Ładunki są już rozmieszczone i gotowe do odpalenia - zapewnił Tombs. - Wybuch wyrwie dno pod ładownią; w ten sposób skrzynie zatoną pierwsze. Przy tym ciężarze z pewnością ugrzęzną głęboko w mule. A okręt dużo jeszcze przepłynie, zanim pójdzie na dno.

- To rozsądny plan. - Mallory skinął głową z aprobatą, po czym spojrzał niepewnie na Semmesa, jakby wahając się, czy ma mówić dalej. Zapadło milczenie.

- Przykro mi, komandorze - odezwał się wreszcie admirał - ale mamy dla pana jeszcze jeden trudny problem. Będzie pan musiał wziąć pasażera.

- Pasażera? - powtórzył Tombs z grymasem ironii. - Rozumiem, że ten człowiek nie ceni zbyt wiele własnego życia.

- Nie ma wyboru - mruknął Mallory, Gdzie on jest? - spytał Tombs, rozglądając się po ciemnych zabudowaniach portowych. - Niedługo odbijamy.

- Zaraz tu będzie - odparł sucho Semmes.

- A mogę wiedzieć, kto to jest?

- Rozpozna go pan bez trudu - oświadczył Mallory. - I módlmy się, by nasi wrogowie, kiedy będzie pan musiał go pokazać, rozpoznali go również.

- Nie rozumiem.

Mallory po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Zrozumiesz, mój chłopcze, na pewno zrozumiesz...

- Mam wiadomość, która może być dla pana użyteczna - zmienił temat Semmes. - Nasi wywiadowcy donoszą, że Unia włączyła do służby pancernik Atlanta, przechwycony od nas w zeszłym roku. Obecnie patroluje rzekę powyżej Newport News.

Twarz Tombsa rozjaśniła się.

- Rozumiem, sir. Texas ma bardzo podobną sylwetkę; po ciemku mogą nas wziąć za Atlantę.

Semmes przytaknął i podał mu złożony kawałek płótna.

- Bandera Unii - wyjaśnił. - Może panu ułatwić maskaradę. Tombs wziął banderę i przewiesił sobie przez ramię.

- Wciągnę ją na maszt, gdy zbliżymy się do ich stanowisk artyleryjskich pod Trent's Reach.

- No to życzę szczęścia - rzekł Semmes. - Nie zobaczymy, niestety, jak pan odbija. Pan sekretarz musi zdążyć na pociąg, a ja wracam do naszej floty; musimy ją zniszczyć, zanim wpadnie w łapy Jankesom.

Sekretarz Floty jeszcze raz uściśnął dłoń Tombsa.

- Okręt Fox, który przerwał blokadę, czeka na pana przy Bermudach. Ma dla was węgiel

na dalszą podróż. Powodzenia, komandorze! Teraz już tylko pan może uratować Konfederację.

Zanim Tombs zdążył odpowiedzieć, Mallory kazał woźnicy ruszać. Tombs zastygł w pożegnalnym salucie; stał tak dość długo, daremnie usiłując pojąć, co znaczą ostatnie słowa sekretarza. Uratować Konfederację? To przecież nie ma żadnego sensu. Wojna jest już przecież przegrana. Kiedy Sherman ruszy z Karoliny na północ, a armie Granta przetoczą się przez Virginie - generał Lee znajdzie się w potrzasku, a prezydent Skonfederowanych Stanów, Jefferson Davis, stanie się pospolitym zbiegiem. Wszystko to nie potrwa dłużej niż kilka dni. A jeszcze szybciej, bo już za parę godzin Texas, ostatni zdolny do walki okręt Konfederacji, pójdzie na dno. A choćby nawet udało mu się wymknąć - w jaki sposób miałyby to uratować konfederacką sprawę? Tombs nie potrafił wymyślić żadnej sensownej odpowiedzi.

Miał rozkaz przewieźć rządowe archiwa do jakiegoś neutralnego portu - wedle własnego uznania - i czekać tam w tajemnicy na kontakt z kurierem. Dlaczego właśnie szmugiel biurowatycznych zapisków miałby zapobiec ostatecznej klęsce Południa?

- Zakończyliśmy załadunek, sir. - Pierwszy oficer, porucznik Craven, przerwał jego rozmyślenia. - Czy mam rozkazać rzucić cumy?

Tombs zwrócił twarz w jego stronę.

- Jeszcze nie. Czekamy na pasażera.

Ezra Craven, wielki, gruboskórny Szkot, mówił z dziwnym akcentem, w którym irlandzkie tony mieszały się z charakterystycznym zaśpiewem amerykańskiego Południa.

- Cholera, mógłby się pospieszyć ten pasażer!

- Czy główny mechanik O'Hare jest już gotów?

- Tak, właśnie meldował, że ma pełne ciśnienie w kotłach.

- A obsługa dział?

- Przy lukach strzelniczych, sir.

- Nie otwierać ich, dopóki nie natkniemy się na flotę nieprzyjaciela. Nie możemy sobie pozwolić na straty w ludziach i działach od jakiejś zabłąkanej kuli z brzegu.

- Ludzie będą wściekli, jeśli nie odpowiemy ogniem na ogień.

- Ale za to dłużej pożyją. Proszę im to powiedzieć... Przerwali rozmowę i obaj, jak na komendę, odwrócili głowy w stronę, z której dobiegał coraz wyraźniejszy tętent kopyt. Parę sekund później z ciemności wyłonił się konny oficer Konfederacji.

- Który z panów jest komandor Tombs? - spytał zdyszczanym głosem.

- Ja - Tombs postąpił krok do przodu.

Jeździec zeskoczył z konia i zasalutował. Był cały zakurzony; wyglądał na wyczerpanego.

- Moje uszanowanie, komandorze. Kapitan Neville Brown, odpowiedzialny za eskortę

pańskiego więźnia.

- Mojego więźnia? To miał być pasażer.

- Może go pan i tak nazwać - Brown wzruszył ramionami.

- Więc gdzie on jest?

- Zaraz tu będzie. Wyprzedziłem trochę mój oddział, żeby powiedzieć panom, że nie ma powodów do alarmu.

- Czy ten człowiek oszalał? - mruknął pod nosem Craven. - Do jakiego znowu alarmu?

Po chwili mógł już sam sobie odpowiedzieć. Na nabrzeże zajechał zamknięty powóz. Otaczali go jeźdźcy w granatowych mundurach Unii. Tombs chciał już krzyknąć w stronę załogi, by chwyciła za broń i odparła niespodziewanych napastników, kiedy Brown wyjaśnił spokojnym głosem:

- Wszystko w porządku, komandorze, to dobre chłopaki z Południa. Ale musieliśmy ich przebrać za Jankesów, bo wykonywali zadanie za linią frontu i tylko tak mogli zmylić strażę.

Dwaj żołnierze zsiadli z koni, otworzyli drzwiczki powozu i wyciągnęli bardzo wysokiego, chudego mężczyznę, z charakterystycznie przystryżoną brodą. Na przegubach rąk i kostkach nóg miał kajdanki, połączone mocnym łańcuchem. Przez moment przyglądał się uważnie pancernikowi, potem skłonił głowę w stronę Tombsa i Cravena.

- Dobry wieczór panom - odezwał się dziwnie wysokim głosem. - Czy mam rozumieć, że będę gościem floty Konfederacji?

Tombs nie odpowiedział. Nie mógł wydobyć słowa. Obaj z Cravenem stali sztywno, jak zaczarowani, nie wierząc własnym oczom.

- Mój Boże - wyszeptał w końcu Craven. - Jeśli jest pan falsyfikatem, sir, to falsyfikatem doskonałym!

- Zapewniam pana - odparł więzień - że stanowią oryginał.

- Jak to możliwe? - spytał zaszokowany Tombs. Brown dosiadł konia.

- Nie mam niestety czasu na wyjaśnienia. Muszę przeprowadzić moich ludzi przez most w Richmond, zanim wysadzą go w powietrze. A więzień... jest już teraz pod pańską opieką.

- A co ja właściwie mam z nim zrobić?

- Trzymać pod strażą na okręcie, dopóki nie otrzyma pan dalszych rozkazów. Tyle tylko mi powiedziano.

- To jakieś szaleństwo!

- Nie, to wojna, komandorze - rzucił Brown przez ramię, smagnął konia i odjechał.

Za nim znikali kolejno w ciemnościach konfederaccy kawalerzyści przebrani w mundury Unii.

Teraz nie było już żadnego powodu, by choć o chwilę opóźnić rejs ku zagładzie.

Tombs odwrócił się do Cravena.

- Poruczniku, proszę odprowadzić pasażera do mojej kajuty. I niech O'Hare przyśle tam któregoś z mechaników, żeby zdjął te kajdanki. Nie mam ochoty umierać jako kapitan statku niewolników.

Wysoki mężczyzna uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Dziękuję panu, komandorze. Bardzo to miło z pańskiej strony.

- Nie ma pan za co dziękować, sir - odparł Tombs ponuro. - Zanim słońce wszędzie, wszyscy razem znajdziemy się w piekle.

Zrazu powoli, potem coraz szybciej, wspierany słabym, dwuwęzłowym prądem, Texas popłynął w stronę ujścia. Nie było nawet śladu wiatru. Na rzece panowała kompletna cisza, zakłócana jedynie stłumionym dudnieniem maszyn okrętu. W słabym świetle, jakie rzucał wąski sierp księżyca, Texas ruszył po czarnej powierzchni jak duch - raczej wyczuwalny niż widoczny. Jego obecność zdradzał tylko cień przesuwający się na tle statycznych drzew i zabudowań na brzegu.

Budując okręt dla tej unikalnej misji, konstruktorzy stworzyli doskonałą machinę bojową - najlepszą, jaką w ciągu tych czterech lat zwodowały stocznie Konfederacji. Texas miał dwie śruby napędzane dwoma silnikami, sto dziewięćdziesiąt stóp długości i czterdzieści szerokości, ale jego zanurzenie sięgało zaledwie jedenastu stóp. Wysoka na dwanaście stóp kazamata przypominała kształtem ściętą piramidę. Pochylone pod kątem trzydziestu stopni ściany pokrywał sześciocalowy pancerz, podparty dwudziestocalowymi dębowymi belkami. Pancerz schodził poniżej linii wodnej, osłaniając kadłub szeroką stalową "spódnicą". Okręt miał tylko cztery działa, ale mogły one zadać śmiertelny cios każdemu przeciwnikowi. Stufuntowe armaty typu Blakely na dziobie i na rufie miały, dzięki obrotowym lawetom, bardzo szeroki kąt rażenia. Mniejsze, dziewięciocalowe i 64-funtowe działa na obu burtach dawały wystarczające zabezpieczenie z boku.

W odróżnieniu od innych pancerników Konfederacji, wyposażonych w maszyny wymontowane ze statków handlowych, Texas miał fabrycznie nowe silniki, zrobione specjalnie dla niego, ogromne, niezwyklej mocy. Napędzała je para z wielkich kotłów, umieszczonych poniżej linii wodnej. Śruby o średnicy dziewięciu stóp mogły przy spokojnej wodzie nadać okrętowi prędkość czternastu węzłów; o wiele więcej, niż osiągała którakolwiek inna jednostka obu walczących flot.

Tombs myślał o swoim okręcie z dumą, ale i z głębokim smutkiem. Wiedział, że jego żywot będzie krótki. Powziął jednak niezłomne postanowienie: razem dopiszą do chwalebnej



historii Skonfederowanych Stanów godne epitafium. Wspiął się po drabinie do budki sternika - małej, opancerzonej nadbudówki nad przednią częścią pokładu bojowego. Główny pilot, Leigh Hunt, trwał tu w kamiennym milczeniu, wpatrzony w wąskie szczeliny obserwacyjne.

- Panie Hunt - rzekł Tombs - przez całą drogę do ujścia będziemy szli pełną parą. Musi pan bardzo uważać, żebyśmy nie złapali dna.

Hunt, doświadczony pilot z James River, który znał na pamięć wszystkie meandry i płycizny rzeki, nawet nie odwrócił głowy.

- Ta odrobina światła powinna mi wystarczyć - mruknął.

- Artylerzystom Unii też wystarczy.

- To prawda. Ale i tak będą mieli kłopoty z celowaniem; okręt jest szary, słabo widoczny na tle brzegu.

- Miejmy nadzieję - westchnął Tombs.

Otworzył pancerne drzwi z tyłu nadbudówki i stanął na dachu kazamaty. Texas dotarł już do Drewry's Bluff i mijał właśnie zacumowane tu okręty admirała Semmesa. Virginia II, Fredericksburg i Richmond w pośpiechu sposobily się do swego ostatniego rejsu.

Załamani, zropaczeni marynarze instalowali w kadłubach potężne ładunki wybuchowe. Ale widok ostatniego pancernika Konfederacji - bandery dumnie naprężonej na wietrze i czarnego dymu z komina, zdolnego przesłonić gwiazdy - wykrzesał z nich ostatnią iskrę entuzjazmu. Pozdrowili Texas głośnymi, radosnymi okrzykami.

Tombs zdjął czapkę z głowy i uniósł ją wysoko w górę. Wiedział, że już wkrótce zacznie się koszar kłęski i rozpaczy. Ale czuł także historyczny wymiar tej chwili. Niemal fizycznie odczuwał, jak jego okręt, CSS\*1 Texas, przechodzi do legendy. Tuż przed Trent's Reach - gdzie, według danych wywiadu, Jankesi ustawili na rzece jakieś przeszkody, na brzegu zaś umieścili kilka stanowisk artyleryjskich - Tombs rozkazał zdjąć banderę Konfederacji i wciągnąć na maszt sztandar Stanów Zjednoczonych. Na pokładzie bojowym, we wnętrzu kazamaty, wszystko było już gotowe do akcji. Półnaczy, z przewiązanymi wokół głowy chustkami, artylerzyści wyglądali jak piraci z powieści przygodowych. Także oficerowie zdjęli żakiety mundurów i krzątali się po pokładzie w podkoszulkach. Chirurg rozdał wszystkim opaski uciskowe i jeszcze raz pouczył, jak ich używać.

Wszędzie rozstawiono wiadra z wodą i piaskiem do gaszenia pożarów. Piasek rozsypany obficie na pokładzie miał pochłaniać krew. Na wypadek abordażu i konieczności walki wręcz załoga otrzymała pistolety i noże. Strzelcy pokładowi zamocowali bagnety na lufach karabinów. Otwarto klapy w podłodze, pod którą znajdował się magazyn amunicji; jeszcze raz sprawdzono

---

1\* Przy tłum Confederate States' Ship - Okręt Skonfederowanych Stanów

windy. Wspomagany prądem rzeki Texas sunął z szybkością szesnastu węzłów, kiedy uderzył w unoszące się na wodzie pontony przeszkody. Ale przebił się przez nie bez trudu i bez szwanku: zamknięta we wnętrzu załoga zaledwie dosłyszała zgrzyt metalu o metal, kiedy pancerna ostroga przed dziobem rozdzierała blachy pontonów.

Pokonali jeszcze spory odcinek rzeki, zanim zostali zauważeni. Pełniący wartę na brzegu żołnierz Unii, widząc wyłaniający się z ciemności okręt, wystrzelił ostrzegawczo w powietrze.

- Przerwać ogień, na litość boską, nie strzelajcie! - zawołał Tombs, stojący wciąż na dachu kazamaty.

- A coś ty za jeden, odpowiadaj! - dobiegł głos z brzegu.

- Nie widzisz, durniu, że to Atlanta! Nie potrafisz rozpoznać własnego okrętu?

- Skądęście się wzięli w górze rzeki?

- Przechodziliśmy tędy przed godziną, nie zauważyłeś? Dostaliśmy rozkaz inspekcji przeszkody pod Trent's Reach; teraz wracamy do City Point.

Widocznie blef się udał, bo żołnierze Unii na brzegu nie zadawali więcej pytań. Texas płynął szybko dalej, przez nikogo nie niepokojony. Tombs westchnął z ulgą, spodziewał się gęstej strzelaniny, ale nic takiego nie nastąpiło. Niepokoiła go tylko myśl, że jakiś podejrzliwy oficer nieprzyjaciela spróbuje telegraficznie sprawdzić rzekomą misję Atlanty i zaalarmuje czatujące przy ujściu siły Unii.

Szczęśliwa passa Tombsa skończyła się piętnaście mil za przeszkodą. Zrozumiał to, kiedy w ciemnościach po prawej burcie zamajaczył groźny masyw okrętu wojennego. Onondaga, przybrzeżny krążownik typu Monitor, miał jedenastocalowy pancierz na wieżach i sześciocalowy na całym kadłubie. Każda z dwu obrotowych wież strzelniczych kryła w sobie dwa potężne działa: rufowa - piętnastocalowe Dahlgreny o gładkich lufach; dziobowa - jeszcze groźniejsze, gwintowane Parrotty, strzelające z wielką precyzją pociskami o wadze stu pięćdziesięciu funtów. Onondaga stała na kotwicy blisko zachodniego brzegu, zwrócona dziobem w górę rzeki. Uzupełniała właśnie swoje zapasy węgla z barki, przycumowanej przy prawej burcie. Podoficer pełniący wachtę na wieży dziobowej zauważył konfederacki pancernik, kiedy ten był już niemal na wysokości dziobu Onondagi. Natychmiast wszczął alarm. Załoga przerwała załadunek węgla; wszyscy patrzyli na wyłaniający się z ciemności okręt-widmo. John Austin, dowódca Onondagi, przez dłuższą chwilę zastanawiał się, w jaki sposób konfederacki pancernik zdołał dotrzeć tak blisko ujścia James River.

Chwila wahania drogo go kosztowała. Zanim wydał pierwsze rozkazy artylerzystom, Texas mijał już w pędzie stojący na kotwicy krążownik - tak blisko, że można było dorzucić doń kamieniem.

- Zatrzymaj się, albo rozwalę cię na kawałki! - krzyknął Austin.

- Nie strzelaj! Jesteśmy Atlantal - odpowiedział Tombs, próbując do końca ciągnąć swoją maskaradę.

Austin nie dał się na to nabrać; nie zmyliła go też bandera Unii na maszcie intruza. Wydał rozkaz: "Ognia!". Dla wieży dziobowej było już za późno: Texas znalazł się poza jej kątem rażenia. Ale rufowe Dahlgreny zdążyły jeszcze plunąć bezpośrednim ogniem w uciekający pancernik. Z tej odległości nie można było spudłować - i ogniomistrze Unii nie spudłowali.

Ciężkie pociski zdruzgotały część kazamaty; szczątki stalowego pancerza i dębowych belek przywaliły siedmiu ludzi.

Niespełna sekundę później Tombs wydał rozkazy bojowe. Odsunęły się pancerne pokrywy i trzy działa wyrzuciły swe pociski w stronę rufowej wieży Onondagi. Jeden z nich wpadł przez luk strzelniczy do wnętrza wieży i eksplodował, powodując straszliwą masakrę: dziesięciu ludzi z obsługi Dahlgrenów zginęło na miejscu, jedenastu innych doznało ciężkich obrażeń.

Zanim komandor Austin zdążył wydać nowe rozkazy, Texas rozplynął się w ciemności; bezpiecznie skręcił w następne zakole rzeki. Zdesperowany Austin kazał podnieść kotwicę i ruszyć w pogoń za nieprzyjacielskim pancernikiem, choć wiedział, że to już tylko pusty gest. Maksymalna szybkość Onondagi nie przekraczała siedmiu węzłów. Nie było żadnej nadziei na ponowne nawiązanie kontaktu bojowego.

Na Texasie komandor Tombs otworzył luk w dachu kazamaty i zawołał do środka:

- Poruczniku Craven! Nieprzyjacielska flaga nie będzie nam już potrzebna. Proszę ją zdjąć i wciągnąć na maszt barwy Konfederacji. I zamknąć otwory strzelnicze!

Jeden z młodych podoficerów wybiegł na pokład rufowy i gorliwie - najwidoczniej sprawiało mu to satysfakcję - ściągnął z masztu flagę Unii. Po chwili nad okrętem znów powiewała dumnie biało-czerwona bandera Konfederacji.

Craven wyszedł na dach kazamaty i stanął obok Tombsa.

- A więc wydało się - powiedział. - Nie będziemy mieli ani chwili spokoju, dopóki nie wyjdziemy na pełne morze. Ale chyba sobie z nimi poradzimy. Mają na brzegu tylko lekką artylerię polową; nie ugryzą tym naszego pancerza.

Tombs patrzył w milczeniu w mrok, na wijące się przed nimi pasmo rzeki.

- Najgroźniejsze będą działa okrętowe, panie Craven - odezwał się po chwili. - Tam, przy ujściu, czeka na nas cała wielka flota.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy z brzegu runęła na nich lawina ognia.

- Oho, zaczyna się - mruknął Craven i wycofał się pospiesznie do kazamaty. Tombs

pozostał na dachu, kryjąc się jedynie za budką sternika. Chciał być na posterunku w momencie, gdy trzeba będzie podjąć szybką akcję przeciw blokującym rzekę okrętom wroga.

Pociski z niewidocznych baterii brzegowych i kule wyborowych strzelców zabębniły po pancerniku Texasa gęstym gradem. Tombs, choć jego ludzie złościли się i klęli, nie pozwolił otworzyć luków strzelniczych. Nie widział powodu, by wystawiać załogę na niebezpieczeństwo i marnować proch na strzelanie do niewidzialnego wroga. Nawałnica trwała przez dwie godziny. Maszyny pancernika pracowały równo, pchając go naprzód z prędkością większą nawet, niż przewidzieli konstruktorzy. Co chwila z lewej lub prawej burty pojawiały się małe drewniane kanonierki. Odpalały jedną salwę, która nie czyniła Texasowi większej szkody niż, słoniowi ukąszenie komara i zostawały daleko z tyłu, w ciemnościach. Wszelkie próby pogoni były daremne. Choć kanonierki poruszały się z maksymalną prędkością, dla pancernika wyglądało to, jakby stały w miejscu.

Nagle przed dziobem zmaterializowała się znajoma sylwetka Atlanty. Stała zakotwiczona w poprzek rzeki. Jej działa otworzyły ogień niemal natychmiast, zaledwie wachtowi dostrzegli zbliżający się Texas,

- Musieli wiedzieć o nas, przygotowali się - mruknął Tombs.

- Czy mam ich ominąć? - spytał pilot, zachowujący w tym wszystkim zdumiewająco zimną krew.

- Nie, panie Hunt - odparł Tombs. - Walimy prosto w ich rufę.

- Rozumiem, chce pan ich zmieść z drogi... - pilot pokiwał głową z uznaniem. - Bardzo dobry pomysł, komandorze.

Obrócił nieznacznie koło sterowe, kierując dziób Texasa w stronę rufy Atlanty. Chwilę później dwa pociski z ośmiocalowych dział dawnego konfederackiego pancernika uderzyły w przednią ścianę kazamaty, łamiąc pancierz i wspierającą go drewnianą konstrukcję. Straty w ludziach nie były jednak tym razem tak wielkie: tylko trzech marynarze doznali szoku i drobnych obrażeń od odłamków. Texas szybko zbliżył się do nieprzyjacielskiego okrętu i uderzył w jego rufę masywną, dziesięciostopową ostrogą. Pękły łańcuchy kotwicy rufowej; siła uderzenia obróciła Atlantę o dziewięćdziesiąt stopni i zepchnęła jej niską rufę pod powierzchnię rzeki. Woda wlała się wielkimi strumieniami przez otwory strzelnicze. Texas przetoczył się swoją straszną masą po pokładzie rufowym Atlanty, zanim się to skończyło, zanim ustał piekielny zgrzyt pancernika o pancierz, kadłub okrętu Unii osunął się pod powierzchnię, osiadł w mulistym dnie rzeki i przewrócił się na bok. Wirujące wściekle łopaty śrub Texasa przemknęły o parę cali od powalonych nadbudówek. Większość załogi Atlanty zdołała w ostatniej chwili uciec przez otwory strzelnicze, ale co najmniej dwudziestu ludzi zostało na zawsze w zatopionym kadłubie.

Tombs i jego załoga nie mieli jednak czasu o tym myśleć. Wiadomość o ich desperackim rejsie dotarła już za pośrednictwem telegrafu do wszystkich oddziałów i jednostek Unii w ujściu James River. Coraz więcej pocisków z baterii brzegowych i kanonierek trafiało w uciekający pancernik; wciąż z tym samym, zerowym skutkiem - ku rozpacz i wściekłości jankeskich artylerzystów.

W końcu jednak i oni osiągnęli pierwszy sukces. Stufuntowy pocisk z umieszczonej na wysokim brzegu baterii Fortu Hudson trafił w budkę sternika. Wybuch nie zdołał wprawdzie naruszyć pancerza, ogłuszył jednak sternika, a odłamki, które wpadły przez szczeliny obserwacyjne, dotkliwie pokaleczyły mu twarz. Główny pilot Hunt trwał jednak dzielnie przy sterze, trzymając idealnie prosty kurs środkiem toru wodnego. Niebo na wschodzie zaczęło szarzeć. Rozjaśniało się, kiedy Texas minął Newport News i z wąskiego koryta rzeki wyskoczył na rozległe, głębokie wody Hampton Roads, na których trzy lata wcześniej rozegrała się sławna bitwa między Monitorem a Merrimackiem. Czekala tu na nich cała flota Unii - rozciągnięta w morderczy szpaler. Ze swojego miejsca przy sterówce Tombs widział nie kończący się las masztów i kominów. Po lewej ustawiły się ciężkozbrojne drewniane fregaty i korwety, po prawej nowocześniejsze monitory i kanonierki. A na horyzoncie, w ciasnym przesmyku między potężnymi bastionami Fortress Monroe i Fort Wool, rozparła się imponująca sylwetka New Ironsides - wielkiego statku handlowego, opancerzonego już w czasie wojny i uzbrojonego w osiemnaście ciężkich dział.

Tombs rozkazał wreszcie odsunąć pancerne kłapy; lufy dział wysunęły się z otworów jak kły z paszczy rozdrażnionego drapieżnika. Artylerzyści przyjęli ten rozkaz z entuzjazmem; zaczęli rychtować działa, ładować pociski, sypać proch do komór, ryglować zamki. Dowódcy baterii zajęli miejsca przy celownikach. Craven przeszedł powoli przez cały pokład bojowy; uśmiechał się, żartował, doradzał, dodawał otuchy. Tombs zszedł do kazamaty, by wygłosić krótką mowę. Była optymistyczna: dzielni chłopcy z Południa na pewno i tym razem tego złożą skórę tchórzliwym Jankesom. Potem z lunetą pod pachą wspiał się z powrotem na stanowisko przy budce sterowej. Artylerzyści Unii mieli dużo czasu, by przygotować się do bitwy. Sygnaliści już dawno przekazali jasny rozkaz: otworzyć ogień, gdy tylko Texas znajdzie się w zasięgu dział. Na razie jednak trwała straszliwa cisza, jakby stado wilków bezgłośnie obserwowało, jak zahipnotyzowana tysiącem spojrzeń ofiara zmierza w stronę nieuniknionej pułapki.

Kontradmirał David Porter, krępy, przysadzisty brodac, mocniej naciągnął na głowę marynarską czapkę i wspiał się na dużą skrzynię, stojącą na pokładzie jego okrętu flagowego, drewnianej fregaty Brooklyn. W słabym świetle poranka mógł w ten sposób lepiej widzieć zbliżający się pancernik.

- Jest już - zauważył kapitan James Alden, dowódca fregaty. - Cholera, idzie prosto na nas!

- Piękny widok: taki rasowy okręt, idący pełną parą w paszczę śmierci... - skomentował poetycznie Porter. Texas wypełniał całe pole widzenia jego lunety. - Nigdy już nie zobaczymy niczego równie pięknego.

- Za chwilę będzie w naszym zasięgu - rzeczowo zameldował Alden.

- Nie będziemy strzelać na wiwat, panie Alden. Niech pan przypomni ludziom, że mają spokojnie czekać i szanować amunicję. Tu każdy strzał jest ważny.

Na Texasie Tombs stanął za plecami pilota, który trwał przy sterze, choć krew nadal ciekła mu po skroni.

- Niech pan się trzyma jak najbliżej tych drewnianych fregat. Ci z pancerników będą się bali strzelać, żeby nie trafić we własne okręty.

Wydał rozkaz otwarcia ognia, gdy tylko w zasięgu dział jego okrętu znalazła się pierwsza z nieprzyjacielskich jednostek. . Był to Brooklyn. Stufuntowy szrapnel z dziobowej armaty Texasa przebił wysoką burtę fregaty i wybuchł w sąsiedztwie ciężkiego działa. W promieniu dziesięciu stóp zginęli wszyscy.

Wtedy odezwały się okręty Unii spod prawego brzegu. Najpierw dwa lite pociski, wystrzelone z monitora Saugus, wpadły w wodę obok rebelianckiego pancernika, wznosząc w powietrze gigantyczne fontanny. Celniej strzelały następne okręty. Chickasaw - ten sam, który niedawno stoczył zwycięski pojedynek z konfederackim pancernikiem Tennessee na zatoce Mobil, a także Manhattan i Nahant; skorygowali też swoje celowniki artylerzyści z Saugusa. Ich pociski gęsto zabębniły po panczeru Texasa, a rzeka w jego otoczeniu zaczęła przypominać wielki, wrzący kocioł.

Tombs uznał, że nie warto podejmować boju z odległymi monitorami.

- Obrócić działa rufowe i dziobowe na lewą burtę! - zawołał do Cravena. - Cały ogień na fregaty!

Podwładni Cravena zareagowali już po paru sekundach i trzy pociski uderzyły w dębowy pokład Brooklyna. Pierwszy przebił się do maszynowni. Jego wybuch zabił na miejscu ośmiu ludzi i ranił dwunastu innych. Drugi wymiótł za burtę trzydziestodwufuntowe działo razem z obsługą. Największe spustoszenia poczynił jednak trzeci pocisk.

Wybuchł na pokładzie pełnym krzątających się gorączkowo marynarzy i krew ludzka rozlała się szeroko po dębowych deskach. Wszystkie baterie konfederackiego pancernika kontynuowały dzieło zniszczenia. Artylerzyści, choć nie tracili ani sekundy na celowanie, strzelali z piekielną precyzją. Nie mogli chybić: fregata Unii wypełniała całe pole widzenia z

otworów strzelniczych.

Zatoka Hampton Roads wypełniła się przeciągłym grzmotem dział wszystkich kalibrów; w powietrzu aż gęsto było od szrapneli, kartaczy, ciężkich jak kamień pocisków litych, a także kul karabinowych: strzelali jankescy snajperzy, licznie rozmieszczeni na pokładach okrętów. Już po paru minutach gęsty dym spowił Texas. Artylerzystom i strzelcom Unii trudno było teraz celować. Jedyne rozbłyski ognia w ciemnej chmurze dymu wskazywały im położenie dział pancernika.

Tombs miał nieodparte wrażenie, że prowadzi swój okręt w czeluść ożywionego nagle wulkanu. Texas minął już Brooklyn, żegnając go jeszcze jednym wystrzałem z rufowego działa. Pocisk chybił, ale przemknął tak blisko stanowiska dowodzenia, że pęd powietrza odebrał na dłuższą chwilę oddech Porterowi. Admirał obserwował z wściekłością, jak niewiele robi sobie buntowniczy pancernik z potężnych salw burtowych Brooklyna.

- Wywiesić sygnał "Otoczyć i staranować"! - rozkazał kapitanowi Aldenowi.

Alden przekazał rozkaz sygnalistom, ale czuł, że to daremne. Jak wszyscy oficerowie jankeskiej floty, był pod wrażeniem niewiarygodnej prędkości pancernika.

- Żaden z naszych okrętów go nie dogoni... - mruknął nieśmiało.

- Ten cholerny pirat ma być zatopiony! - uciał Porter.

- Jeśli nawet jakimś cudem umknie naszej artylerii - Alden próbował łagodzić gniew zwierzchnika - nie przejdzie cało przez linię fortów i New Ironsides.

Jakby na potwierdzenie jego słów, odezwały się liczne działa monitorów z prawego brzegu. Mogły znowu otworzyć ogień, bo Texas znalazł się na otwartej przestrzeni między Brooklynem a następną zakotwiczoną po lewej fregatą, Colorado. Artylerzyści Unii strzelali teraz celniej; na pokładzie konfederackiego pancernika śmierć zaczęła zbierać swoje żniwo. Dwa ciężkie pociski uderzyły w pokład rufowy tuż za kazamatą. Trzydzieści osiem cali żelaza, drewna i bawełny zapadło się głęboko; z powstałego leja zaczął wydobywać się gęsty, czarny dym. Inny pocisk skruszył pancierz kazamaty w pobliżu komina, a szrapnel, który trafił po chwili w to samo miejsce, eksplodował już we wnętrzu. Sześciu ludzi zginęło, jedenastu było ciężko rannych. Na pokładzie bojowym wybuchł pożar.

- Niech to wszyscy diabli! - zaklął Craven, gdy znalazł się po chwili na miejscu wybuchu pośród martwych, poszarpanych ciał. On sam był prawie nietknięty, jeśli nie liczyć złamanej ręki i porwanego munduru.

- Podać węże z maszynowni i zgasić to paskudztwo! - rozkazał. Z luku maszynowni wychynęła głowa o'Hare'a. Czarną od pyłu węglowego twarz znaczyły strumyczki potu.

- Kiepsko, co? - spytał główny mechanik dziwnie spokojnym głosem.

- Nie twoja sprawa - burknął Craven. - Lepiej pilnuj, żeby maszyny nie stanęły.  
- To nie takie proste. Moi ludzie mdleją z gorąca. Czujemy się tu jak w piekle.  
- Potraktujcie to jako dobre ćwiczenie przed tym, co nas wszystkich czeka - zażartował ponuro Craven.

W tym momencie następna potężna eksplozja wstrząsnęła kadłubem. Dwa pociski trafiły równocześnie w kazamatę. Jej lewy przedni narożnik odpadł od reszty pancerza jak odcięty nożem. Wybuch położył trupem całą obsługę dziobowej baterii. Kolejny pocisk przebił się przez pancerz i eksplodował w okrętowym lazarecie. Zginął chirurg, zginęli wszyscy ranni, czekający na opatrunek. Pokład bojowy upodobił się do spalonej rzeźni; rozsypany wszędzie piasek, jeszcze niedawno jasnożółty, teraz szerniał od spalenizny i spurpurowiał od krwi. Także na zewnątrz szkody były wielkie. Nieprzyjacielskie pociski zerwały wszystkie łodzie ratunkowe, złamały oba maszty, podziurawiły komin. Zarówno przednia jak tylna część kazamaty przekształciły się w rumowisko pogiętego żelastwa. Przewody parowe, przebite w kilku miejscach, dostarczały mniej energii do śrub; szybkość okrętu spadła o jedną trzecią. Ale daleko jeszcze było do unieszkodliwienia pancernika. Maszyny nadal pracowały równo, a trzy ocalałe działa siały spustoszenie wśród okrętów Unii. Kolejna salwa zdruzgotała drewnianą burtę parowo-kołowej fregaty Powhatan, powodując eksplozję kotłów i największą w tej bitwie liczbę ofiar śmiertelnych.

Tombs, tak jak i Craven, nie uniknął obrażeń. Odlamek szrapnela utkwiał w jego udzie, a zbłąkana kula rozorała mu lewy bark. Komandor tkwił jednak z uporem na odsłoniętym stanowisku za budką sterową, wykrzykując polecenia dla pilota. Wydawało się, że przeszli już przez najgorsze, gdy daleko przed dziobem zamajaczyła sylwetka New Ironsides, przegradzającego ich tor wodny. Wszystkie burtowe działa pancernika Unii, gotowe do strzału mierzyły w zbliżający się szybko Texas. Tombs popatrzył na odległe jeszcze baterie brzegowe Fortress Monroe i Fort Wool. Zrozumiał, że nie ma żadnych szans. Wystarczy kilka celnych salw i Texas stanie się bezwładną, bezbronną skorupą. Ścigające ich dotąd daremnie jankeskie okręty dopadną go, by zadać z bliska ostateczny, śmiertelny cios.

Ale jego ludzie najwyraźniej o tym nie myśleli. Nie myśleli o śmierci, nie myśleli o niczym poza tym, że trzeba ładować działa, celować, strzelać, sypać węgiel pod kotły.

Nagle ogień ustał i zapanowała upiorna cisza. Tombs skierował lunetę ponownie w stronę New Ironsides. Na jego nadbudówce błysnęło coś, co mogło być szkłem lunety w ręku dowódcy; stał za stalowym relingiem, wpatrując się w Texas.

I właśnie w tym momencie Tombs dostrzegł za nieprzyjacielskim okrętem mgłę. Napływała szerokim wałem od zatoki Chesapeake, wciskając się już niemal w przesmyk między



fortami. Jeśli jakimś cudem, pomyślał, uda się dotrzeć do niej cało, mają szansę zgubić całą wilczą sforę admirała Portera. Wtedy też przypomniał sobie Tombs - i zrozumiał - pożegnalne słowa Mallory'ego.

- Craven, jest pan tam? - krzyknął w otwarty luk kazamaty. Po chwili ukazała się głowa pierwszego oficera. Umazana sadzą i krwią twarz wyglądała upiornie.

- Jestem, sir, choć wolałbym być całkiem gdzie indziej.

- Niech pan przyprowadzi z mojej kajuty pasażera. Tutaj, na kazamatę. I niech pan wywiesi białą flagę.

- ... jest, sir. - Craven nie wyglądał na zdziwionego. Zrozumiał, że Tombs podejmuje ostatnią już, hazardową rozgrywkę.

Tombs był śmiertelnie zmęczony i prawie nieprzytomny z bólu, ale jego czarne oczy płonęły silnym jak zawsze blaskiem. Błagał Boga, by dowódcy fortów obserwowali go równie uważnie, jak czynił to dowódca New Ironsides.

- Przejdziemy między dziobem pancernika i Fort Wool - poinstruował głównego pilota.

- Według rozkazu, sir.

Tombs odwrócił się. Patrzył, jak po drabinie w luku kazamaty powoli wspina się jego "pasażer". Za nim pojawił się Craven, z dużym białym obrusem przywiązany do kija od szczotki. Więzień wyglądał staro, jak na swój rzeczywisty wiek. Twarz miał wychudłą, zapadniętą i bladą. Było na niej widać zmęczenie, spowodowane wieloma latami życia w nieustannym napięciu. Więzień popatrzył na zakrwawiony mundur Tombsa i w jego oczach pojawił się wyraz współczucia.

- Jest pan poważnie ranny, komandorze; powinien pan natychmiast zejść na dół i opatrzyć rany.

- Nie czas na to - Tombs potrząsnął energicznie głową. - Proszę wejść na budkę sternika, tak żeby dobrze pana widzieli.

Więzień skinął ze zrozumieniem głową.

- Pojmuję pański plan - powiedział.

Tombs popatrzył znowu na jankeski pancernik i na oba forty. W samą porę, by dostrzec silny błysk ognia na murach Fortress Monroe. Zanim nad nabrzeżną baterią rozwinął się pióropusz czarnego dymu, ciężki pocisk przemknął z wyciem nad Texasem i eksplodował w wodzie, wzniciając wielki, białozielony gejzer.

Tombs podparł więźnia ramieniem i pomógł mu wspiąć się na budkę sternika.

- Proszę się pospieszyć, jesteśmy już bardzo blisko - powiedział. Wyrwał z rąk Cravena białą flagę i zaczął wymachiwać nią jak szalony.

Joshua Watkins, dowódca New Ironsides nie odejmował już lunety od oka.

- Biała flaga! - stwierdził ze zdumieniem.

Jego pierwszy oficer, John Crosby, widział to samo przez swoją mosiężną lornetkę.

- Bardzo to dziwne z ich strony, sir. Poddają się? Po takiej krwawej łaźni, jaką urządzili?

Nagle Watkins zaczął nerwowo regulować ostrość lunety.

- Któż tam, u diabła... - mruknął z niedowierzaniem i zamilkł. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się ponownie.

- Panie Crosby, kto tam stoi na sterówce?

Crosby nie należał do ludzi, których łatwo wyprowadzić z równowagi, ale tym razem jego twarz zbladła jak papier.

- Wygląda jak... Nie, to niemożliwe!

Zagrzmiały działa Fort Wool, ale i tym razem pociski chybiły. Ich eksplozje otoczyły Texas wysokimi kurtynami piany. Dopiero po chwili pancernik wyłonił się spoza nich. Parl niezłomnie naprzód, nie zmniejszając prędkości.

Watkins widział teraz jeszcze wyraźniej niż przedtem wysokiego, przygarbionego człowieka, stojącego na budce sternika. Zdrętwiał z przerażenia.

- Boże, to przecież On! - zawołał. Opuścił lunetę i odwrócił się do Crosby'ego. - Sygnał do obu fortów: niech natychmiast przerwą ogień! No, rusz się, człowieku!

Ponownie odezwały się baterie Fortress Monroe. Artylerzyści z obu brzegów uwijali się jak w ukropie; każdy miał nadzieję, że to właśnie on wymierzy wrogiemu pancernikowi śmiertelny cios. Może dlatego wciąż pudłowali. Tylko dwa nieduże pociski trafiły w kazamatę w pobliżu komina, wybijając w nim kilka nowych dziur. Texas był już tylko dwieście jardów od New Ironsides, kiedy załogi fortów dostrzegły wreszcie sygnał, wywieszony na okręcie Unii, i przerwały ogień. Watkins i Crosby pobiegli na dziób swojego okrętu - w samą porę, by zobaczyć z bliska i wyraźnie dwu mężczyzn w zakrwawionych mundurach floty Konfederacji oraz wysokiego, brodatego człowieka w pomiętym cywilnym ubraniu. Mężczyzna patrzył na nich przez dłuższą chwilę, potem uniósł dłoń w powolnym, uroczystym salucie.

Stali bez ruchu, porażeni świadomością, że to, co widzą, pozostanie na zawsze w ich pamięci. I mimo całej burzy kontrowersji, jaka się później wokół tego zdarzenia rozpełtała, nikt spośród setek marynarzy New Ironsides i żołnierzy Fort Wool nigdy nie miał najmniejszych wątpliwości, kogo widział tego ranka na pokładzie ostatniego pancernika Konfederacji.

Setki ludzi patrzyły w bezsilnym przerażeniu, jak Texas przepływa obok nich w upiornej ciszy; smugi dymu wydobywały się ze wszystkich otworów; porwana wybuchami bandera ledwie trzymała się na zgiętym rufowym maszcie. Nie padł ani jeden strzał, kiedy pancernik wchodził w

tuman mgły - by zniknąć w niej na zawsze.

W października 1931 Południowo-zachodnia Sahara

## ZAGINIONA BEZ WIEŚCI

Kitty Mannoek miała przykre uczucie zapadania się w nicość. Zabłądziła, niewątpliwie zabłądziła - i to beznadziejnie. Już od dwóch godzin jej mała, krucha awionetka trzęsła się w podmuchach groźnej burzy piaskowej. Tumany piasku całkowicie przesłoniły leżącą gdzieś w dole pustynię i otoczyły samolot nieprzeniknioną burą opończą, z której wylaniały się wciąż i natychmiast znikwały jakieś dziwne, widmowe kształty. Kitty popatrzyła w górę przez przezroczystą osłonę kabiny. Zamiast słońca zobaczyła jedynie rozlaną szeroko pomarańczową poświatę. Potem, chyba już dziesiąty raz w ciągu kwadransa, opuściła boczną szybę i wyjrzała na zewnątrz. Ale wciąż widziała tylko wielki, wirujący tuman. Wysokościomierz wskazywał tysiąc pięćset stóp - w zasadzie dosyć, by przeskoczyć wszystkie wzniesienia tej części Sahary, z wyjątkiem płaskowyżu Adrar des Iforas na przedłużeniu łańcucha górskiego Aghaggar.

Kierowała się jedynie wskazaniem instrumentów pokładowych. Odkąd wpadła w burzę, już cztery razy zauważyła, że maszyna traci wysokość lub zmienia kurs. Podciągała wtedy drążek i kładła samolot na skrzydło, dopóki igła kompasu nie wróciła na pozycję stu osiemdziesięciu stopni. Starła się lecieć prosto na południe, wzdłuż transsaharyjskiego szlaku samochodowego, ale straciła go z oczu, kiedy całkiem nieoczekiwanie zaatakowała ją burza piaskowa. Burza przyszła z południowego zachodu, przypomniała sobie Kitty. Może więc warto skrócić teraz na zachód, aby zrównoważyć przypuszczalny dryf. Miała też nadzieję, że w ten sposób szybciej ucieknie ze strefy burzy. Najbardziej jednak niepokoił ją dystans. Obliczała, że ma jeszcze około czterystu mil do Niamey. Tam właśnie chciała wylądować, by uzupełnić paliwo, zanim znowu wystartuje do rekordowego lotu, którego celem był Kapsztad.

Ręce i nogi drętwiały jej coraz bardziej; skutek zmęczenia oraz nieustannej, monotonnej wibracji silnika. Była już dwadzieścia siedem godzin w powietrzu: tyle minęło od jej startu z podlondyńskiego lotniska Croydon. Miała przed sobą jeszcze trzy godziny dnia. Mogło to wystarczyć na dotarcie do Niamey w normalnych warunkach, ale teraz, przy niesprzyjającym wietrze, prędkość samolotu względem ziemi spadła do dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Stary, ale niezawodny Fairchild FC-2W, górnopłat z zamkniętą kabiną, napędzany 410-konnym gwiazdzistym silnikiem Pratt & Whitney Wasp, pozwalał pokonywać przestrzeń z szybkością stu dwudziestu mil na godzinę. Właśnie taką szybkość zakładała Kitty w dokonywanych przed lotem obliczeniach. Czteromiejscowy Fairchild był kiedyś własnością linii lotniczej PanAmerican Grace; w regularnych rejsach przewoził pocztę i pasażerów między Limą a Santiago. Kiedy firma zastąpiła samolot większą, sześciomiejscową maszyną - odkupiła go Kitty Mannoek. W kabinie pasażerskiej na miejsce foteli zainstalowała dodatkowe zbiorniki paliwa, i

pod koniec 1930 roku wystartowała do lotu po rekord na trasie Rio de Janeiro - Madryt. Była pierwszą kobietą, jaka pokonała południowy Atlantyk drogą powietrzną.

Przez całą następną godzinę walczyła z wściekłymi atakami wiatru, starając się utrzymać samolot na zaplanowanym kursie. Miałki piasek przenikał do kabiny wszystkimi szczelinami, wciskał się w nozdrza i pod powieki. Przetarła oczy, ale to tylko pogorszyło sprawę. Niemal nic już nie widziała. Jeśli całkiem straci wzrok, jeśli nie będzie mogła obserwować wskazań zegarów - zginie. Wyciągnęła spod fotela niewielki kanister, otworzyła go i spryskała wodą twarz. Odświeżyło ją to. Strużki wody z piaskiem spłynęły po policzkach, niemal natychmiast wysychając w upale. Ale znów widziała dobrze, choć wciąż miała wrażenie, że tysiące igiełek wbija się w jej oczy.

I wtedy usłyszała - a może tylko wyczuła - drobną nieregularność, jakiś ledwie uchwytny moment ciszy w ciągłej, jednostajnej pracy silnika. Pochyliła się nad zegarami. Wszystko działało normalnie. Sprawdziła zawory paliwa; były otwarte. Doszła do wniosku, że musiała się przesłyszeć. Nic dziwnego, przy takim zmęczeniu... Ale milisekundowa przerwa powtórzyła się. A potem jeszcze raz, i znowu. Kolejne przerwy następowały już regularnie. Przerażona zrozumiała, że jeden cylinder przestał pracować. Po chwili to samo stało się z drugim, potem z trzecim. Silnik zaczął kaszleć, strzałka szybkościomierza cofnęła się gwałtownie. Jeszcze chwila i silnik ostatecznie stanął. Przed oczami Kitty martwo kołysały się łopaty śmigła. Cisza, jaka nagle zapanowała, poraziła ją. Nie miała żadnych wątpliwości, co spowodowało awarię silnika. To wciskający się wszędzie piaszczysty pył zamulił w końcu dysze gaźnika.

Przygnębienie i strach szybko minęły. Umysł zaczął analizować nieliczne, wątłe szanse, jakie jej pozostały. Samolot stracił sterowność. Pchnęła gwałtownie drążek do przodu, przyspieszając opadanie, i po chwili odzyskała kontrolę nad maszyną. Nie była nowicjuską w lądowaniach bez silnika. Miała już za sobą siedem takich przygód. Dwie zakończyły się katastrofami, ale wyszła z nich bez większych obrażeń. Nigdy jednak nie lądowała awaryjnie w tumanie burzy piaskowej. Przytrzymując jedną ręką drążek sterowy, drugą naciągnęła na oczy gogle, opuściła boczną szybę i wychyliła głowę za burtę. Daremnie jednak usiłowała dostrzec ziemię, do której - sądząc z pędu powietrza - szybko się zbliżała. Wiedziała, że pustynia w tych okolicach jest stosunkowo płaska, ale wiedziała też, że zdarzają się zdradzieckie wąwozy i strome diuny, o które Fairchild mógłby się rozbić w drzazgi. Miała wrażenie, że przybyło jej pięć lat, zanim wreszcie zobaczyła umykający do tyłu piasek pustyni - zaledwie trzydzieści stóp pod kołami samolotu. Piasek wyglądał na dostatecznie zbity i twardy, by koła mogły się po nim potoczyć. Co najważniejsze jednak, teren był gładki i równy. Podciągnęła drążek, zmniejszając prędkość opadania, ale już po chwili duże koła Fairchilda dotknęły gruntu. Samolot odbił się jak

piłka, znów dotknął ziemi, podskoczył jeszcze dwa, trzy razy, wreszcie potoczył się po piasku, szybko tracąc prędkość. Kitty nabrała powietrza w płuca, by wydać okrzyk radości, kiedy teren przed samolotem urwał się gwałtownie. Fairchild runął po stromej skarpie w głęboką, wąską rozpadlinę. Podwozie zaczepiło o wystający głaz i złamało się z trzaskiem. Maszyna dotarła do dna jaru i uderzyła śmigłem w piaszczyste podłoże. Kitty, która zapomniała zapiąć pas bezpieczeństwa, runęła całym ciężarem na przednią szybę. Lewa noga, która uwięzła pod orczykiem, skręciła się i pękła w kostce. Ale Kitty już tego nie czuła. Ułamek sekundy wcześniej trzasnęła czołem w słupek szyby i zapadła się w ciemność.

Wiadomość o zaginięciu Kitty Mannoek obiegła świat już w parę godzin po terminie jej przewidywanego lądowania w Niamey. Nie mogło być oczywiście mowy o szybkiej akcji ratunkowej. Połać pustyni, na której zaginęła Kitty, była w większości nie zamieszкана i w ogóle rzadko odwiedzana przez ludzi. W promieniu tysiąca mil nie było ani jednego samolotu. Nie było też w 1931 roku tej armii wyszkolonych i odpowiednio wyposażonych ludzi, jaka dziś zajmuje się ratownictwem. Tym niemniej już następnego ranka ruszył na poszukiwanie niewielki zmotoryzowany oddział Legii Cudzoziemskiej, stacjonujący w oazie Takaldebey, w kraju noszącym wtedy nazwę Francuskiego Sudanu. Zakładając, że Kitty wylądowała gdzieś przy szlaku trans-saharyjskim, legionieści posuwali się tym szlakiem na północ. Jednocześnie kilku ludzi z pewnej francuskiej kompanii handlowej wyruszyło dwoma samochodami z miejscowości Tessalit na południe.

Dwa dni później obie grupy poszukiwaczy spotkały się. Żadna nie dostrzegła po drodze śladów katastrofy ani sygnałów świetlnych, choć, jadąc nocami, pilnie ich wypatrywali. Kontynuując prace, przeczesali dwudziestomilowy pas po obu stronach szlaku motorowego. Po dalszych dziesięciu dniach bezowocnych poszukiwań dowódca oddziału Legii nie miał wielkich nadziei. Żaden człowiek - notował w swoim raporcie - nie zdołałby przetrwać tak długo pod pustynnym słońcem bez wody i żywności. A więc Kitty Mannoek, nawet jeśli przeżyła katastrofę, z pewnością zmarła już z wyczerpania. We wszystkich wielkich stolicach świata odprawiono nabożeństwa żałobne za duszę sławnej zdobywczyni podniebnych szlaków. Bo Kitty - obok Amelii Earhart i Amy Johnson - należała do tych najslawniejszych. Świat, pasjonujący się jej wyczynami, pożegnał ją uroczyście i ze szczerym smutkiem.

Kitty cieszyła się powszechną sympatią. Ładna kobieta o niebieskich oczach i długich czarnych włosach, była córką bogatego hodowcy owiec z Canberry. Zaraz po ukończeniu gimnazjum zapisała się na kurs lotniczy. Rodzice, o dziwo, nie tylko jej tego nie bronili, ale nawet poparli oryginalną pasję córki: kupili dla niej używany dwupłatowiec Avro Avian, z otwartą kabiną i osiemdziesięciokonnym silnikiem Cirrus.

Pół roku później, na przekór wszelkim obawom i prośbom - teraz także ze strony rodziców - podjęła wieloetapowy lot przez wyspy Pacyfiku aż na Hawaje, gdzie lądowała wśród tłumów, niecierpliwie czekających na nią na lotnisku. Z twarzą spaloną od słońca, w poplamionej smarem wojskowej koszuli i takich samych szortach, Kitty niepewnie pomachała ręką i uśmiechnęła się blado, zaskoczona szumnym powitaniem. Kontynuowała jednak swoje rekordowe loty przez oceany i kontynenty; wkrótce podbiła serca milionów ludzi i stała się przedmiotem rozmów w milionach domów. To miał być ostatni już jej wyczyn lotniczy. W najbliższym czasie miała wyjść za mąż. Narzeczonego знаła od dziecka - był właścicielem farmy sąsiadującej z posiadłością jej rodziców w Australii. Sława "zdobywców przestrzeni" była nietrwała, a przy tym, jak szybko zorientowała się Kitty, nawet dla najslawniejszych pilotów niewiele było zwykłej, dobrze płatnej pracy. Coraz częściej myślała więc o jakiejś stabilizacji, o założeniu rodziny. Właściwie chciała zrezygnować z tego lotu, ale w końcu postanowiła spróbować; jeszcze jeden, ostatni raz. Teraz cały świat lotniczy czekał na wiadomość o niej. W miarę jak mijały kolejne dni, nadziei było coraz mniej.

Odzyskała przytomność dopiero następnego ranka. Słońce zaczynało już smażyć piasek pustyni, kiedy wyrwała się z zamroczenia. Skupiła wzrok na dziwnym przedmiocie, tkwiącym tuż przed nią; był to rozszczepiony kikut śmigła. Obraz był zamazany. Potrząsnęła głową, by się ocknąć i całkowicie otrzeźwieć. Aż jęknęła z bólu. Ostrożnie dotknęła ręką czoła. Skóra była cała, ale pod nią, na granicy włosów, uformował się duży guz. Ostrożniej już zaczęła szukać innych obrażeń. Niestety, znalazła: lewa noga, która uwięzła pod orczykiem, była pęknięta w kostce i skrecona w kolanie. Wyplątała się z lotniczej uprząży, wypchnęła drzwi kabiny i ostrożnie wydostała się z samolotu. Ciężko utykając zrobiła parę kroków, po czym osunęła się na piasek. Spróbowała ocenić swoją sytuację. Poczciwy Fairchild szczęśliwie uniknął pożaru, ale na pewno nie nadawał się już do dalszych lotów. Trzy cylindry silnika urwały się, kiedy kadłub szorował z impetem po skarpie; reszta zwisała żałośnie na wygiętych wspornikach. W zadziwiająco dobrym stanie było płócienne poszycie skrzydeł i kadłuba, ale podwozie połamało się całkowicie. Problem ewentualnych napraw miała więc z głowy. Następnym punktem było ustalenie, gdzie właściwie jest. Doszła do wniosku, że samolot zsunął się w koryto "billabongu", jak nazywają w Australii wysychające latem strumienie. Tyle, że tym korytem woda nie płynęła już pewnie od stu lat. Burza piaskowa skończyła się, ale Kitty i tak nie mogła rozejrzeć się po okolicy: strome ściany wąwozu wznosiły się na dobre dwadzieścia stóp ponad jej głowę.

Nagle poczuła pragnienie. Przypomniała sobie o kanistrze. Pokuśtykała z powrotem do kabiny i sięgnęła pod fotel. W kanistrze pozostało niewiele ponad ćwierć galonu wody. Oceniała, że starczy jej to najwyżej na dwa - trzy dni, i to pod warunkiem, że za każdym razem będzie

wypijać nie więcej niż kilka małych łyków. Postanowiła podjąć próbę dotarcia do jakiejś wsi lub do szlaku samochodowego. Pozostać tutaj oznaczało samobójstwo. Ewentualni ratownicy mogliby zobaczyć jej samolot tylko wtedy, gdyby przelatywali dokładnie nad jarem, w którym utknął. Na razie była jednak zbyt słaba i zbyt zszokowana, by wyruszyć. Wyciągnęła się wygodnie w cieniu samolotu i oddała się dalszym rozmyśleniom. Spędziła przy wraku jeszcze całą dobę. Poznała w tym czasie nieprzyjemną osobliwość klimatyczną Sahary: niewiarygodną rozpiętość dobową temperatur. W ciągu dnia upał doszedł do 49 stopni Celsjusza. W środku nocy pokładowy termometr wskazywał zaledwie plus cztery. Chłód nocy okazał się taką samą torturą, jak żar słoneczny za dnia. Wygrzebała sobie głęboką jamę w piasku, ale i tam, zwinięta w kłębek, co chwila budziła się, dygocząc z zimna.

Mimo to o świcie, nim jeszcze słońce oświetliło zachodnią krawędź jaru, wstała wypoczęta i zaczęła szykować się do drogi. Ze złamanej w czasie katastrofy podpory zrobiła sobie prymitywną kulę. Równie prymitywny, ale skuteczny okazał się parasol, którego pokrycie stanowił kawałek płótna oderwany z poszycia skrzydła. Korzystając z podręcznego kompletu narzędzi wymontowała z deski rozdzielczej busołą. Wiedziała, że musi kierować się w stronę szlaku samochodowego. To była jej jedyna szansa.

Miała więc gotowy plan działań i to dodało jej otuchy. Wzięła z kabiny dziennik pokładowy i zaczęła pisać pierwszą stronę czegoś, co będzie zapewne kroniką jej zmagania o życie w skrajnie trudnych warunkach. Opisała katastrofę, po czym naszkicowała plan wędrówki. Na południe, korytem billabongu, dopóki nie trafi na miejsce, w którym mogłaby łatwo wspiąć się po skarpie. Kiedy będzie już na otwartej przestrzeni, pójdzie prosto na wschód, by jak najszybciej dotrzeć do szlaku motorowego - może zresztą wcześniej trafi na jakieś plemię nomadów.

Wyrwała kartkę z dziennika i zatknęła ją na tablicy wskaźników; gdyby jakaś ekipa ratownicza znalazła wcześniej samolot, będą wiedzieli, gdzie jej szukać. Upał stał się nagle nie do zniesienia. Promienie słońca dotarły do dna jaru; odbijały się jak od lustra, od stromych piaszczystych ścian. Poczula się jak w wielkim, otwartym palenisku. Z trudem chwytała oddech. Miała straszną ochotę wypić natychmiast, wielkimi haustami, całą wodę z kanistra. Jeszcze jedno, przypomniała sobie. Rozsznurowała wysoki lotniczy but. Choć zdejmowała go bardzo ostrożnie, ból pękniętej kostki był tak silny, że nie zdołała powstrzymać jęku. Zacisnęła zęby i mocno przewiązała kostkę jedwabnym szalikiem; musiała ją choć trochę unieruchomić. Potem wstała, przytroczyła do paska kanister i busołą, podniosła swój "parasol" i umieściła "kulę" pod pachą. Tak wyekwipowana ruszyła, kuśtykając, w piekielny żar Sahary.

Jeszcze przez wiele lat wznawiano poszukiwania Kitty Mannoek, ale bez skutku. Żadnego



śladu, żadnego szkieletu w kombinezonie lotniczym, żadnych szczątków samolotu. Nie natknęły się też na nią karawany, przemierzające wszerz i wzdłuż Saharę. Tajemnicze zniknięcie Kitty stało się jedną z największych nie wyjaśnionych zagadek w dziejach lotnictwa. Z czasem zaczęły się nawet pojawiać różne fantastyczne pogłoski i interpretacje. Niektórzy twierdzili, że przeżyła katastrofę, ale pod wpływem szoku doznała amnezji i żyje pod innym nazwiskiem gdzieś w Ameryce Południowej. Inni sądzili raczej, że wpadła w ręce Tuaregów i stała się ich niewolnicą. Jedynie późniejsze zaginięcie Amelii Earhart wywołało więcej spekulacji. A pustynia dobrze strzegła swego sekretu. Okoliczności śmierci Kitty Mannoek i miejsce jej wiecznego spoczynku miały pozostać tajemnicą jeszcze ponad pół wieku.

**CZEŚĆ I**  
**SZAŁ**

Każdy, kto wędruje dni i tygodnie przez pustynię, bez widoku ludzi i zwierząt - wie, jak wspaniałą rzeczą jest pierwszy ślad cywilizacji, choćby najbiedniejszej i najbardziej prymitywnej. Na widok pierwszej osady ludzkiej zgodny okrzyk radości wyrwał się z piersi jedenastu turystów i pięciu kierowców-przewodników, podróżujących przez pustynię pięcioma landroverami. Spoceni, brudni i zmęczeni tygodniową podróżą przez pustkowie uczestnicy wycieczki "Safari na Saharze", zorganizowanej przez firmę Backworld Explorations, cieszyli się zwłaszcza perspektywą kąpieli.

Mieli przed sobą miejscowość Asselar, małą oazę w centrum Sahary, na terytorium Mali. Gliniane chaty otaczały studnię w korycie dawno wyschniętej rzeki, która przecinała aluwialną równinę. Domy na obrzeżach wioski były opuszczone i zrujnowane. Szare zabudowania tak dalece wtapiały się w bezbarwny i surowy pejzaż, że wioska z większej odległości była niewidoczna.

- No, nareszcie dotarliśmy - rzekł major Ian Fairweather, kierownik wycieczki, do turystów, którzy wysiedli już z samochodów i skupili się wokół niego.

- Patrząc na dzisiejsze Asselar - powiedział - nikt by się nie domyślił, że stanowiło kiedyś ważne skrzyżowanie dróg różnych kultur zachodniej Afryki. Przez pięć stuleci, dzięki obfitym zasobom wody, służyło za miejsce postoju i odpoczynku wielkim karawanom handlowym i transportom niewolników.

- Dlaczego aż tak podupało? - spytała ładna Kanadyjka, ubrana tylko w biustonosz i szorty.

- Wpłynęło na to wiele rzeczy. Wojny, podboje Maurów i Francuzów, zniesienie niewolnictwa, a przede wszystkim fakt, że karawany poszły innym szlakiem, bliżej wybrzeża. Powiew śmierci przeszedł tędy czterdzieści lat temu, kiedy studnie zaczęły wysychać. Dzisiaj woda jest już tylko w jednej, a i to dopiero na głębokości pięćdziesięciu metrów.

- Trudno nazwać to wielkomiejskim rajem - mruknął grubas mówiący silnym hiszpańskim akcentem.

Major Fairweather, wysoki, szczupły mężczyzna, były oficer Marynarki Królewskiej, uśmiechnął się grzecznie.

- Mieszka tu parę rodzin Tuaregow. Porzucili tradycje nomadyczne i głównym źródłem ich utrzymania są niewielkie stada kóz oraz piaszczyste działki, podlewane wodą ze studni. Zbierają także na pustyni półszlachetne kamienie; polerują je, potem wiozą do Gao i tam sprzedają jako pamiątki dla turystów.

Londyński adwokat, ubrany w nieskazitelny strój safari w kolorze khaki i tropikalny hełm, wskazał na osadę hebanową laską.

- Wygląda na opuszczoną. Według waszego folderu, o ile dobrze pamiętam, mieliśmy być "oczarowani romantyczną muzyką i tańcem ludów pustyni w migotliwych światłach oazy Assefar".

- Wysłaliśmy tu wcześniej pilota, aby wszystko przygotował; jestem pewien, że zadbał o państwa wygodę i rozrywkę. - Fairweather uśmiechnął się bez troski.

Przez chwilę przyglądał się zachodzącemu słońcu.

- Wkrótce zrobi się ciemno. Jedźmy już do wioski.

- Czy jest tu jakiś hotel? - spytała Kanadyjka. Fairweather próbował ukryć zakłopotanie.

- Nie, pani Lansing. Rozbijemy obóz w ruinach za osadą.

Turyści wydali jęk rozczarowania. Każdy marzył o pokoju z łazienką i wygodnym łóżkiem. W Asselar były to zapewne rzeczy zupełnie nieznane. Cała grupa załadowała się do samochodów. Zjechali w koryto wyschniętej rzeki i szybko zbliżali się do wioski. Coraz trudniej im było wyobrazić sobie kwitnącą przeszłość tego miejsca. Osada wydawała się kompletnie opuszczona i martwa. Nie było widać światła, nie zaszczekał ani jeden pies. W żadnej z lepianek nie było śladu życia. Wyglądało to tak, jakby mieszkańcy spakowali się nagle i wywędrowali na pustynię.

Fairweather poczuł się nieswojo. Coś było nie w porządku. Nie było także śladu pilota. Wydało mu się, że jakieś duże czworonożne zwierzę czmychnęło za próg jednego z domów; potem jednak doszedł do wniosku, że był to tylko cień jego landrovera. Turyści nie będą dzisiaj zachwyceni, pomyślał. Do diabła z tymi folderami, przesadnie reklamującymi uroki pustyni. "Okazja, jaka zdarza się raz w życiu: fascynująca podróż przez ruchome piaski Sahary!" - przypomniał sobie idiotyczny tekst. Mógłby się założyć, że ten, kto to pisał, nigdy w życiu nie wytknął nosa poza Dover. Byli prawie osiemdziesiąt kilometrów na zachód od transsaharyjskiego szlaku motorowego i dwieście czterdzieści kilometrów na północ od położonego nad Nigrem miasta Gao. Mieli jednak dużo żywności, wody i paliwa; mogli pozwolić sobie na omińnięcie Asselar w razie nieprzewidzianych okoliczności. Firma Backworld Explorations dobrze dbała o bezpieczeństwo swoich klientów.

Przez dwadzieścia osiem lat nie zdarzyło im się nic złego, jeśli nie liczyć przypadku pewnego amerykańskiego emeryta-hydraulika, który z głupoty drażnił wielbłąda i zarobił kopniaka w głowę. Teraz jednak w Asselar nie było ani wielbłądów, ani kóz; co dziwniejsze, na piasku nie było też śladów stóp ludzkich. Fairweather zauważył natomiast bardzo dziwne ślady dużych szponiastych łap, którym towarzyszyły półokrągłe koleiny, jakby ktoś ciągnął równolegle

dwie kłody. Małe tubylcze chatki, zbudowane z kamienia, z dachami z czerwonej gliny, sprawiały znacznie gorsze wrażenie niż jeszcze dwa miesiące temu, kiedy prowadził tędy poprzednią wycieczkę.

Stanowczo coś tu było nie w porządku. Gdyby nawet mieszkańcy z jakichś nieznanych powodów opuścili osadę, wysłany wcześniej pilot wycieczki już by o tym wiedział i niewątpliwie zawiadomiłby Fairweathera. Ibn Hadżib, pilotujący jego wycieczki przez wszystkie te lata, nigdy dotąd nie zawiódł. Postanowił, że rozbiją obóz na noc gdzieś dalej na pustyni. Chciał jednak zatrzymać się na chwilę przy studni w środku wsi, by ludzie mogli umyć się i odświeżyć po trudach upalnego dnia. Trzeba mieć się na baczności, pomyślał. Wyciągnął ze schowka swój stary automat patchett, postawił go pionowo między kolanami i nakręcił na lufę tłumik. Teraz broń wyglądała jak wielka egzotyczna fajka.

- Jest jakieś niebezpieczeństwo? - spytała pani Lansing, jadąca wraz z mężem w samochodzie przewodnika.

- Nie, to tylko dla odstraszenia żebraków - skłamał Fairweather. Zatrzymał landrovera i wyskoczył, by uprzedzić o możliwym niebezpieczeństwie pozostałych kierowców.

Potem wrócił za kierownicę i poprowadził kolumnę przez wąskie, piaszczyste uliczki do centrum osady. W końcu zatrzymał się pod samotną palmą daktylową pośrodku dużego placu. Nieopodal znajdowała się okrągła kamienna studnia o średnicy czterech metrów. W gasnącym świetle dnia uważnie przyjrzał się piaszczystemu gruntowi wokół studni. Widniały na nim takie same dziwne ślady, jakie dostrzegł przedtem na ulicach. Zajrzał do studni; ledwie dojrzał w czeluści odległy refleks wody. Przypomniał sobie, że woda w Asselar ma dużo składników mineralnych, co daje jej metaliczny smak i mętne, zielonkawe zabarwienie. Niewątpliwie skutecznie zaspokajała przez setki lat pragnienie tysięcy ludzi i zwierząt. Czy byłaby również zdrowa dla delikatnych żołądków jego klientów, to już Fairweathera nie obchodziło. Nie muszą jej pić; wystarczy, że się w niej umyją. Poleciał kierowcom rozglądać się czujnie, a sam pokazał turystom, jak zawieszonym na linie skórzanym bukłakiem czerpać wodę z głębokiej studni. Już po chwili turyści porzucili wszelką myśl o muzyce i tańcach na pustyni, bez reszty pochłonięci radością prymitywnej kąpieli. Chlapali się jak dzieci w miejskiej fontannie w ciepłe letnie popołudnie. Wesolą scenę oświetlały reflektory landrovera; cienie rozbawionych ludzi tańczyły po ścianach martwych budynków. Kierowcy obserwowali to wszystko ze śmiechem. Tymczasem Fairweather zapuścił się w jedną z bocznych uliczek i wszedł do domu obok meczetu. Sklepiona kamienna sień o brudnych ścianach zaprowadziła go na podwórko. Było tak zaśmieczone, że ledwie mógł się po nim poruszać.

Oświetlił latarką główne pomieszczenie domostwa. Wnętrze przypominało budownictwo

meksykańskie. Kamienne filary wspierały sufit, w brudnobiałych ścianach widniały głębokie nisze, przeznaczone na sprzęty i naczynia kuchenne. Nisze były puste - cała zawartość, potłuczona, leżała na podłodze między połamanymi meblami. Ponieważ na pierwszy rzut oka niczego nie brakowało, Fairweather doszedł do wniosku, że dom - opuszczony przez prawowitych właścicieli - zrujnowali jacyś przypadkowi wandalowie.

Dopiero wtedy w kącie izby dostrzegł stos kości. Kiedy poznał, że to kości ludzkie, zrobiło mu się dziwnie nieswojo. Ruchome światło latarki wywoływało na ścianach grę cieni. Fairweather zdawał sobie sprawę z ułudy, gotów był jednak przysiąc, że jeden z tych cieni, przypominający duże zwierzę, wyskoczył przez okno na podwórze. Odbezpieczył patchetta; szósty zmysł podpowiadał mu, że w mrocznych uliczkach i domostwach oazy czai się niebezpieczeństwo. Nagle zza zamkniętych drzwi, prowadzących na niewielki taras, usłyszał jakiś szmer. Zbliżył się do drzwi, stąpając ostrożnie między szczątkami naczyń. Szmer ucichł.

Ktoś, kto tam był, też starał się nie czynić hałasu. Trzymając lewą ręką latarkę, a prawą wycelowany w drzwi pistolet, Fairweather otworzył je kopniakiem. Stare zawiasy nie wytrzymały i drzwi runęły na posadzkę tarasu, wzniesając chmurę kurzu. Rzeczywiście ktoś tam był. Czy może raczej coś? Szkaradny czarny stwór z piekła rodem, ni to zwierzę, ni to człowiek, klęczał podparty dłońmi i wpatrywał się dzikim wzrokiem w światło latarki. Białka oczu świeciły krwawo jak żarzące się węgle. Fairweather cofnął się instynktownie. Potwór podniósł się z kolan i skoczył na niego.

Anglik spokojnie nacisnął spust patchetta, opierając kolbę o napięte mięśnie brzucha. Krótka seria dziewięciomilimetrowych pocisków wypadła z wylotu tłumika z cichym odgłosem pękającej prażonej kukurydzy.

Odrażająca bestia wydała chrapliwy dźwięk i z piersią rozdartą pociskami runęła na ziemię. Fairweather podszedł do bezwładnego ciała i pochyliwszy się, oświetlił je latarką. Było kompletnie nagie i straszliwie brudne. Nieruchome już oczy wciąż zachowywały dziki, wściekły wyraz. Miał przed sobą twarz chłopca, najwyżej piętnastoletniego. Fala strachu sparaliżowała Fairweathera. Teraz wiedział już, skąd wzięły się dziwne ślady na piasku. Musiała tu żyć cała horda takich istot; czołgały się na kolanach, podpierając się szponiastymi dłońmi. Nagle przypomniał sobie o pozostawionych przy studni ludziach i ruszył biegiem w kierunku placyku. Ale było już za późno, grubo za późno. Chmara wrzeszczących demonów wypadła z wieczornego mroku i runęła prosto na beztrojskich turystów. Już pierwsza fala zwałała z nóg czuwających kierowców, zanim zdążyli podnieść alarm lub podjąć walkę. Banda dzikich istot, skaczących na dłoniach i kolanach niczym szakale, rzuciła się na bezbronych ludzi. Szarpały ich ciała pazurami i wbijały zęby w nagą skórę. Dzięki włączonym światłom landroverow straszliwa

scena powtarzała się, niczym upiorny teatr cieni, na murach sąsiednich domów. Przerażliwe krzyki turystów mieszały się z dzikim wrzaskiem napastników.

Pani Lansing wydała rozpaczliwy okrzyk bólu i zniknęła w masie kłębiących się ciał. Jej mąż próbował wspiąć się na dach jednego z samochodów, został jednak stamtąd ściągnięty na ziemię i osaczony jak chrząszcz, którego atakuje armia mrówek. Wytworny londyńczyk przekręcił rączkę laski i wyciągnął z niej krótką szpadę. Wymachując nią, przez jakiś czas trzymał napastników na dystans. Wkrótce jednak i on musiał ustąpić. Okolice studni stały się kłębowiskiem walczących ludzkich ciał. Tęgi Hiszpan, broczący obficie krwią po licznych ukąszeniach, wyrwał się i wskoczył do studni. Czterech oszalałych morderców skoczyło za nim.

Fairweather odbiegł na bok i przykłonawszy zaczął strzelać. Mierzył starannie; musiał uważać, by nie trafić kogoś ze swoich ludzi. Zabił prawie trzydziestu napastników, ale inni nie zwracali na to żadnej uwagi. Być może dlatego, że nie słyszeli strzałów; nie miał czasu zdjąć tłumika, zresztą nie pamiętał o tym. Wystrzelił ostatni nabój. Stał w ciemności, nadal nie zauważony i bezradny. Po chwili szła masakry zaczął przygasać; nikt z turystów i kierowców nie dawał już znaku życia.

- O Boże! - wyszeptał Fairweather cichym głosem. Zmartwiały patrzył na gromadę zdziczałych istot, spokojnie już pożerających ciała swoich ofiar. Nie mógł oderwać wzroku od potwornej sceny; fascynowała go do tego stopnia, że przez chwilę zapomniał nawet o własnym bezpieczeństwie. Ocknął się dopiero, gdy kilku kanibali, zapewne już najedzonych, rzuciło się z nową energią na landrovery. W bezrozumnym szale walili kamieniami w blachę i szyby, próbując unicestwić wszystko, co wydawało im się obce.

Cofnął się głębiej w mrok. Poczł nagle straszliwy ciężar winy. To on, wyłącznie on był odpowiedzialny za śmierć tych ludzi. Nie zadbał dostatecznie o ich bezpieczeństwo, nie zapobiegł nieszczęściu. Przeklinał swoją bezradność i tchórzostwo; powinien był im pomóc - lub razem z nimi umrzeć. Wielkim wysiłkiem woli oderwał wzrok od sceny na placu i pobiegł wąskimi uliczkami; biegł długo, do utraty tchu, dopóki nie wydostał się na otwartą pustynię. Czł wstręt do siebie, ale musiał uratować własne życie, by ostrzec następnych amatorów pustynnych wypraw przed czekającą ich w Asselar śmiertelną pułapką. Pieszko nie miał szansy dotrzeć nawet do najbliższej oazy. Odległość była zbyt wielka, by mógł pokonać ją bez kropli wody w skwarze pustyni. Postanowił więc iść na wschód, do szlaku samochodowego.

Miał nadzieję, że spotka jakąś ciężarówkę lub patrol policyjny - jeśli wcześniej nie umrze w porażających promieniach słońca. Ustalił kierunek marszu według gwiazdy polarnej i ruszył szybkim krokiem przez pustynię, zdając sobie sprawę jak niewielkie są jego szanse przeżycia. Nie obejrzał się ani razu. Wciąż miał przed oczami scenę potwornej rzezi, w jego uszach wciąż

brzmiały krzyki mordowanych ludzi.



Biały piasek plaży miękko układał się pod stopami Ewy Rojas. Stała i popatrzyła na morze. Daleko od brzegu woda miała barwę kobaltowo-niebieską; bliżej, na płycznach, stawała się szmaragdowa, by wreszcie przy samym brzegu, gdzie fale wbijały się w piasek, przejść w akwamarynę. Wypożyczonym samochodem przejechała ponad sto kilometrów na zachód od Aleksandrii, zanim wreszcie znalazła rzeczywiście pustą plażę w pobliżu El Alamein - w rejonie, gdzie w czasie drugiej wojny światowej toczyły się sławne pustynne bitwy. Zjechała z nadbrzeżnej szosy, zaparkowała samochód i z niewielką torbą podróżną poszła na plażę. Jednoczęściowy kostium kąpielowy z obcisłej elastycznej tkaniny przylegał do niej jak druga skóra. Stąpała lekko i z wdziękiem. Ciało miała mocne, szczupłe, pięknie opalone. Złote z rudym odcieniem włosy, opadające na plecy aż do pasa, lśniły w słońcu miedzianym połyskiem. Spoglądała na świat sponad wystających kości policzkowych dużymi, ciemnoniebieskimi oczyma. Miała już trzydzieści osiem lat, lecz wyglądała najwyżej na trzydzieści. Choć nigdy w życiu nie pojawiła się na okładce Vogue'a, była piękna urodą, jaką daje wspaniałe zdrowie. Mężczyźni, nawet o wiele od niej młodszy, uważali, że jest niezwykle pociągająca. Plaża wyglądała na pustą. Jedyne sto metrów od niej stał na wydmie między plażą a szosą turkusowy jeep "Cherokee" z wielkim napisem NUMA na drzwiach. Dostrzegła go już przedtem, zanim zaparkowała własny samochód. Jeep był jednak pusty i nigdzie nie było widać jego pasażerów. Eva ruszyła wolno w stronę morza. Mimo wczesnej pory słońce grzało już mocno. Gorący piasek parzył bosa stopy. Zatrzymała się kilka metrów od brzegu i rozłożyła na ziemi duży plażowy ręcznik. Spojrzała na zegarek, potem schowała go do torby. Było dziesięć po dziesiątej. Nasmarowała ciało olejkiem, położyła się na plecach, zamknęła oczy i zaczęła chłonać afrykańskie słońce. Ciągle jeszcze odczuwała skutki podróży z San Francisco, która w kilkanaście godzin przeniosła ją w bardzo odległą strefę czasową. Nie była też okazją do odpoczynku czterodniowa konferencja w Kairze, poświęcona dziwnej chorobie psychicznej, która nękała ostatnio ludność południowej Sahary. Teraz marzyła już tylko o jednym - by przed czekającą ją wyprawą z ekipą badawczą na pustynię choć na parę godzin zanurzyć się w samotności i odpocząć. Przez chwilę jeszcze odczuwała lekkie łaskotanie wiatru na skórze; potem zasnęła.

Obudziła się i spojrzała na zegarek. Jedenasta dwadzieścia. Spała na słońcu półtorej godziny. Stanowczo za długo, ale chroniona olejkiem skóra tylko nieznacznie się zaróżowiła. Przewróciła się na brzuch i rozejrzała dookoła. Dwaj mężczyźni w koszulach safari i szortach koloru khaki zbliżali się brzegiem morza w jej kierunku. Gdy zobaczyli, że kobieta ich obserwuje, zatrzymali się i odwrócili głowy, udając, że przyglądają się jakiemuś statkowi w

oddali.

Po chwili przestała się nimi interesować. Jej uwagę przyciągnęło coś innego. Na powierzchni wody niedaleko od brzegu pojawiła się głowa pływaka. Musiała przysłonić oczy dłonią, by przyrzeć mu się dokładniej. Dostrzegła maskę nurka. Zapewne łowił ryby z kuszą. Na dłuższą chwilę zniknął pod wodą; przestraszyła się nawet, że utonął - ale wynurzył się znowu i silnymi, długimi pociągnięciami ramion płynął w jej stronę. Dzięki fali przyływu już po paru minutach znalazł się na brzegu. W jednej ręce trzymał kuszę, uzbrojoną w ostry harpun, w drugiej druciane kółko, na którym nanizane było kilka ryb, każda ważąca co najmniej półtora kilograma. Mimo silnej opalenizny i hebanowo czarnych włosów nie wyglądał na Araba. Krople wody iskrzyły się na mocnej, miedzianej piersi. Był wysoki, dobrze zbudowany, o szerokich ramionach.

Poruszał się z rzadką u mężczyzn lekkością i wdziękiem. Mógł mieć około czterdziestki. Mijając Evę spojrzał na nią chłodno i badawczo; jego dziwne opalowozielone oczy miały jaśniejsze plamki na tęczęwkach. Wzrok był tak przenikliwy, że Evie zdawało się, iż dociera do jej myśli i hipnotyzuje ją. Chciała, by się odezwał, a jednocześnie bała się tego. On jednak tylko skinął jej głową, błysnąwszy białymi zębami w uśmiechu i odszedł w kierunku szosy. Obserwowała go, aż zniknął za wydumą, mniej więcej tam, gdzie widziała przedtem jeepa z napisem NUMA.

Źle ze mną, pomyślała, mogłabym przynajmniej się do niego uśmiechnąć. Potem jednak doszła do wniosku, że cała znajomość byłaby stratą czasu; ten człowiek przypuszczalnie nawet nie zna angielskiego. Mimo to jej oczy nabrały blasku, jakiego nie miały od dawna. Jakie to dziwne, myślała, to uczucie świeżości i podniecenia. Tylko dlatego, że obcy mężczyzna, którego pewnie nigdy więcej nie spotkasz, przez krótką chwilę patrzył na ciebie. Miała ochotę wejść do wody, żeby nieco się ochłodzić, zauważyła jednak, że spacerujący wzdłuż brzegu mężczyźni znów zbliżają się do niej. Postanowiła poczekać, aż przejdą dalej. Nie mieli subtelnego rysu egipskich. Płaskie nosy, prawie czarna skóra i kręcone włosy koloru miedzi były typowe dla ludów zamieszkujących południową Saharę.

Zatrzymali się i ukradkiem rozejrzeli po plaży, już chyba po raz dwudziesty, odkąd ich obserwowała. Po czym nagle rzucili się na nią.

- Precz! - krzyknęła głośno, broniąc się instynktownie.

Walczyła ze wszystkich sił, by wyrwać się i uciec. Nie udało się. Mężczyzna o szczurzej twarzy z wąskimi oczami i dużymi czarnymi wąsami chwycił ją za włosy i przewrócił na plecy. Przeszył ją zimny dreszcz strachu. Napastnik siadł okrakiem na jej piersi, przyciskając kolanami ręce, tak że nie mogła nimi poruszać. Drugi mężczyzna uklęknął przy jej udach i przycisnął je

mocno dłońmi do piasku. Widziała jego sadystycznie uśmiechniętą twarz z krzywymi, pożółkłymi od tytoniu zębami, wychyloną zza pleców pierwszego napastnika.

Zdziwiło ją, że w ich spojrzeniach nie ma śladu pożądania. Obezwładnili ją, ale nie próbowali zedrzeć z niej kostiumu. Nie zachowywali się jak gwałciciele. Zaczęła znowu krzyżeć, ale jedyną odpowiedzią był szum fal. Człowiek o szczurzej twarzy niemal natychmiast zakneblował dłonią jej usta, zaciskając jednocześnie nos. W przytłoczonych ciężarem napastnika płucach nie było już prawie powietrza; niemal natychmiast zaczęła się dusić. Dopiero teraz zrozumiała, że ci ludzie nie chcą jej zgwałcić; oni chcą ją zabić. Jeszcze raz spróbowała krzyknąć, ale z przygniecionych dłonią mordercy ust nie wydobył się żaden dźwięk. Nie czuła bólu, tylko paniczny, paralizujący strach. Rozpaczliwie usiłowała przekręcić głowę, by złapać oddech, ale na próżno; była unieruchomiona jak w imadle. Płuca daremnie domagały się powietrza; przed oczyma zaczęły latać ciemne płatki. Była bliska utraty świadomości. Ponad ramieniem pierwszego napastnika widziała wciąż wstrętną twarz drugiego. Nagle ogarnął ją groteskowy żal, że ostatnia rzecz, jaką widzi na tym świecie, jest aż tak obrzydliwa. Nie chciała tego; szybko zamknęła oczy. Wtedy, w nagłym mroku, przyszło jej do głowy, że przeżywa tylko jakiś koszmar senny, że wystarczy otworzyć oczy, by wszystko to znikło. Z najwyższym trudem, resztkami świadomej woli uniosła powieki.

Tak, to jest koszmar! - pomyślała niemal z radością na widok tego, co zobaczyła.

To nie mogła być rzeczywistość. Z głowy człowieka o pożółkłych zębach sterczał w obie strony wąski metalowy pręt, jakby strzała, która przeszła jego czaszkę. Z twarzy zniknął sadystyczny uśmiech; napastnik puścił jej uda i z rozrzuconymi szeroko rękami upadł do tyłu na piasek.

Ale człowiek, który dusił Evę, nawet tego nie zauważył; kontynuował mordercze dzieło. Gasnącym wzrokiem dostrzegła jeszcze, jak na jego głowie zacisnęły się jakieś potężne dłonie. Głowa napastnika zaczęła się obracać szybkim jednostajnym ruchem, jak kopuła latarni morskiej. Gdy jego oczy zatoczyły pełny krąg i znów zwróciły się na Evę - były już martwe. Uwolniona od dławiącego ucisku zaczerpnęła łapczywie powietrza w płuca i straciła przytomność.

Obudził ją palący blask słońca i odgłos fal, łamiących się na piaszczystym brzegu. Widok, który ujrzała, gdy otworzyła oczy - spokojna, pusta plaża - wydał jej się najpiękniejszy w świecie. Nagle zerwała się z rozszerzonymi strachem oczyma; przypomniała sobie przerażające przeżycia ostatnich zapamiętanych chwil. Ale mordercy zniknęli. Czy w ogóle istnieli? Przyszło jej do głowy, że wszystko było jedynie halucynacją.

- Witam wśród żywych - usłyszała męski głos. - Już się obawiałem, że zapadła pani w

śpiączkę.

Eva obróciła się i zobaczyła uśmiechniętą twarz nurka z kuszą, który klęczał obok niej.

- Gdzie są ci ludzie, którzy chcieli mnie zabić? - spytała przerażonym głosem.

- Zabrał ich odpływ - odrzekł z pogodną powagą.

- Odpływ?

- Uczono mnie, żeby nie zaśmiecać plaży. Więc zaciągnąłem ich ciała do wody. Kiedy widziałem ich po raz ostatni, dryfowali w kierunku Grecji.

Spojrzała na niego z przestachem i odrazą.

- Zabił ich pan!

- Nie byli zbyt sympatyczni.

- Zabił ich pan - powtórzyła mechanicznie. - Jest pan takim samym mordercą jak oni.

Zrozumiał, że kobieta jest jeszcze w - szoku, że nie odzyskała zdolności logicznego myślenia. Wzruszył ramionami.

- Czy sądzi pani, że lepiej by było, gdybym się w to nie mieszał?

Milczała.

Minęła dobra minuta, zanim z jej oczu zniknęły lęk i odraza. Dopiero teraz pojęła, że ten człowiek uratował ją od strasznej śmierci.

- Niech mi pan wybaczy. Mówiłam głupstwa. Przecież tylko dzięki panu żyję, panie...

- Pitt. Dirk Pitt.

- Eva Rojas - przedstawiła się, wyciągając dłoń na powitanie. - Pan też jest Amerykaninem?

- Tak. Pracuję w NUMA... W Agencji Badań Morskich i Podwodnych - dodał widząc, że Eva nie zna tego skrótu. Prowadzimy tu badania archeologiczne dna Nilu.

- Myślałam, że pan odjechał.

- Prawie. Ale zostałem, bo zachowanie tych facetów wydawało mi się dziwne. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego zaparkowali samochód dobry kilometr stąd, żeby dalej iść brzegiem morza. Postanowiłem sprawdzić, o co tu chodzi.

Uśmiechnęła się.

- Pańska podejrzliwość uratowała mi życie.

- Dlaczego chcieli panią zabić?

- Nie wiem. Może to rabusie, napadający na turystów.

Potrząsnął sceptycznie głową.

- To nie rabusie. Nie mieli ze sobą żadnej broni. To nie byli zawodowi zabójcy; gdyby tak było, oboje byśmy już nie żyli. A jednak założyłbym się, że działali na czyjeś polecenie.

Przyjechali za panią w to odludzie z zamiarem zabójstwa. Gdyby im się udało, wrzuciliby panią do wody, pozorując nieszczęśliwy wypadek. Dlatego zastosowali tak niewygodną technikę mordy, jak zadławienie; nie chcieli zostawić śladów.

- Trudno mi w to uwierzyć. Po co mieliby to robić? Jestem tylko szeregowym biochemikiem. Nikomu nie zagrażam, nie mam wrogów. Komu mogłoby zależeć na mojej śmierci?

- Za krótko panią znam, żeby móc odpowiedzieć na te pytania.

Eva dotknęła spieczonych warg.

- To chyba jakieś szaleństwo.

- Jak długo jest pani w Egipcie?

- Parę dni.

- Może w ciągu tych paru dni zrobiła pani coś, co kogoś doprowadziło do szaleństwa?

- Na pewno nie zrobiłam nic złego mieszkańcom Afryki - rzekła zastanawiając się. -

Przyjechałam, żeby im pomóc.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- A więc nie jest pani na urlopie?

- Nie. To podróż zawodowa. Jestem członkiem ekipy badawczej Światowej Organizacji Zdrowia. WHO interesuje się dziwną chorobą psychiczną, szerzącą się wśród ludów południowej Sahary. W Kairze była konferencja na ten temat.

- To rzeczywiście słaby motyw do zabójstwa - przyznał Pitt.

Nagle coś przyszło mu do głowy.

- Czy ta pustynna epidemia nie jest wywołana jakimiś toksynami?

- Jeszcze nie wiadomo. Nie mamy wystarczających danych do diagnozy. Przyczyna choroby wciąż jest dla nas tajemnicą. Tak to mogłaby być jakaś trucizna, ale zupełnie nie wiadomo, skąd by się tam wzięła. Symptomy choroby pojawiają się w miejscach odległych o setki kilometrów od jakiegokolwiek zakładu przemysłowego, gdzie stosuje się chemikalia.

- Ile zanotowano przypadków?

- W ciągu ostatnich dziesięciu dni osiem tysięcy przypadków wśród ludności Mali i Nigru.

- Nieprawdopodobna liczba jak na tak krótki okres - uniósł brwi. - Może to jakaś bakteria albo wirus?

- Niestety, ciągle tego nie wiemy.

- Dziwne, że nie ma nic na ten temat w prasie.

- Władze WHO nalegają, by zachować dyskrecję, dopóki nie uda się określić przyczyny choroby. Sądzę, że obawiają się niezdrowej sensacji i paniki.

Pitt już od dłuższego czasu przyglądał się wydmie oddzielającej plażę od szosy. W wibracji rozgrzanego powietrza było coś nienaturalnego.

- Jakie ma pani dalsze plany?

- Nasz zespół wybiera się jutro na Saharę, do Mali; zaczynamy badania.

- Zdajecie sobie sprawę, że Mali jest na progu krwawej wojny domowej?

Wzruszyła bez troski ramionami.

- Ich rząd obiecał dać nam ochronę przez cały czas trwania badań... Ale po co zadaje mi pan te wszystkie pytania? Pracuje pan dla jakiejś agencji wywiadowczej?

- Nie, jestem tylko inżynierem, który nie lubi, gdy ktoś morduje piękne kobiety.

- Może pomyłono mnie z kimś innym? - spytała z nadzieją w głosie.

- Nie sędzę, żeby to była pomyłka... - przerwał, bo dziwny ruch rozgrzanego powietrza za wydmą zmienił się w wielki słup dymu.

- Chodźmy, szybko! - krzyknął i chwyciwszy dłoń Ewy pociągnął ją przez plażę.

Wynajęty samochód Ewy stał w płomieniach. Pitt nie miał wątpliwości, że pożar nie jest przypadkowy. Sprawcą musiał być wspólnik zamachowców. Zrezygnował z próby gaszenia samochodu. Teraz trzeba było myśleć o ratowaniu własnego pojazdu - jeśli zamachowiec jeszcze nie zdążył się do niego dobrać.

Kiedy dobiegali do zaparkowanego za następną wydmą jeepa, zobaczyli mężczyznę ze zwiniętą w rulon i zapaloną gazetą w ręku; drugą ręką, uzbrojoną w latarkę, próbował zbić szybę samochodu. Najwyraźniej chciał wrzucić płonąca gazetę do środka. Ubrany był inaczej niż napastnicy z plaży. Na głowie miał zawój, przez którego szczelinę widać było tylko oczy; ciało okrywał długi, luźny burnus. Był tak zajęty swoją robotą, że nie zauważył zbliżających się ludzi. Pitt zatrzymał się.

- Jeśli mi się nie uda - szepnął - niech pani wraca na drogę i zatrzyma pierwszy przejeżdżający samochód.

Podszedł cicho do podpalacza.

- Stój! - krzyknął ostro.

Człowiek w burnusie odwrócił się. W jego oczach można było dostrzec zaskoczenie, ale nie lęk: raczej agresję. Pitt nie zwlekał; z pochyloną głową ruszył do ataku. Trafił dokładnie w splot słoneczny. Usłyszał trzask pękających żeber, ale na wszelki wypadek wymierzył jeszcze pięścią potężny cios w krocze. Podpalacz padł na ziemię, wijąc się z bólu. Z jego płuc wydobywał się nieartykułowany charkot. Pitt ukląkł przy nim i przeszukał kieszenie burnusa. Nie było w nich nic: ani broni, ani żadnego dokumentu; nawet drobnych monet czy grzebień.

- Kto cię tu przysłał?! - ryknął, potrząsając głową leżącego.

Reakcja była jednak inna, niż można się było spodziewać. Mimo bólu podpalacz patrzył na niego ze złośliwym uśmiechem. Ukazały się zniszczone i pożółkłe zęby; tylko jeden połyskiwał metalicznie.

Nagle mężczyzna zaczął dziwnie poruszać językiem, jakby czyścił nim zęby. Ponownie zacisnął szczęki. Pitt zbyt późno zorientował się, że metalowy "zab" był w istocie kapsułką z cyjankiem. Z ust mężczyzny zaczęła wydobywać się piana. Trucizna była bardzo silna; śmierć nastąpiła niemal natychmiast. Pitt i Eva patrzyli bezradnie na dogorywającego człowieka.

- Czy on... - Eva przerwała i zaczęła jeszcze raz. - Czy on umarł?

- Tak, albo raczej zdechł - odrzekł Pitt bez śladu współczucia.

Eva chwyciła kurczowo jego ramię. Mimo panującego upału miała lodowate dłonie i trzęsła się z zimna. Nigdy jeszcze nie widziała umierającego człowieka. Poczowała odruch wymiotny; opanowała się jednak.

- Dlaczego się otrul? - spytała. - Po co?

- Żebyśmy się nie dowiedzieli, kto go wysłał.

- Zabił się tylko po to, żeby chronić kogoś innego?

- Fanatyczna lojalność - próbował znaleźć wyjaśnienie Pitt. - Albo może coś innego.

Wiedział, że jeśli sam się nie zabije, to mu pomogą. I będzie to raczej bolesne.

Potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- To wszystko wydaje mi się dziwne. Jakiś spisek?

- Wszystko za tym przemawia. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by panią zlikwidować. -

Popatrzył na Evę; miała minę małej dziewczynki, zagubionej w wielkim domu towarowym.

- Ktoś nie życzy sobie pani obecności w Afryce. Osobiście radziłbym odlecieć pierwszym samolotem do Stanów.

- Wykluczone. Przynajmniej tak długo, dopóki umierają tutaj ludzie, którym mogłabym pomóc.

- Trudno panią przekonać. Ale powtarzam: pozostanie w Afryce po tym wszystkim to duże ryzyko.

- Zaryzykuję.

- Raczej: zaryzykujecie. To może dotyczyć całego waszego zespołu. Wszyscy możecie być na liście "osób niepożądanych". Niech pani natychmiast po powrocie do Kairu uprzedzi kolegów. Być może wszyscy ludzie uczestniczący w tych badaniach są w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Spojrzała jeszcze raz na martwego człowieka w burnusie.

- Co z nim zrobimy? - spytała. Pitt wzruszył ramionami.

- Wrzucę go do morza, ma tam już dobre towarzystwo. - Jego twarz rozjaśnił demoniczny uśmiech. - Chciałbym widzieć minę jego szefa, kiedy dowie się, że wynajęci mordercy zaginęli bez śladu, a pani żyje sobie, jakby nic się nie stało.



Urzednicy biura Backworld Explorations w Kairze zrozumieli, że stało się coś złego, kiedy grupa wycieczkowa prowadzona przez majora Fairweathera nie dotarła do Timbaktu nawet w dwadzieścia cztery godziny po przewidzianym terminie. Załoga samolotu, który przyleciał tu po nich z Marakeszu, wykonała lot poszukiwawczy nad pustynią, ale nie znalazła żadnego śladu ludzi ani samochodów i wróciła do bazy. Po trzech dniach sprawą zainteresowały się władze Mali i zaoferowały pomoc. Wysłano na trasę wycieczki patrole lotnicze i samochodowe. Gdy jednak po czterech kolejnych dniach intensywnych poszukiwań nikogo z uczestników wycieczki nie znaleziono, wybuchła panika. W siedem dni po zaginięciu grupy Fairweathera francuska ekipa geologiczna spotkała na południowym odcinku szlaku transsaharyjskiego samotnego człowieka. Gdy ich zobaczył, zaczął wymachiwać rękami jak szalony, wykrzykując coś niezrozumiale; w końcu upadł twarzą na piasek tuż przed nadjeżdżającą ciężarówką. Przestraszony kierowca ledwie zdążył zahamować.

Fairweather był na wpół żywy. Niemal zupełnie się odwodnił. Suchą skórę pokrywała warstewka soli. Francuzi ostrożnie wlewali w usta nieprzytomnego człowieka małe ilości wody. Gdy doszedł do siebie, wychylił łączywie kilka dużych butelek - i wreszcie przemówił. W wojskowym skrócie zrelacjonował historię masakry w Asselar i swojej ucieczki. Słabo znającym angielski Francuzom opowieść Fairweathera wydała się fantazją udręczonego umysłu, choć wiele jej elementów brzmiało wiarygodnie. Mimo nalegań Anglika nie skreśli w stronę Asselar. Postanowili jechać prosto do Gao, by umieścić wycieńczonego człowieka w szpitalu. Dotarli tam tego samego dnia, jeszcze przed zmrokiem.

Upewniwszy się, że Fairweather jest pod dobrą opieką lekarzy i pielęgniarek, postanowili zawiadomić o zdarzeniu miejscową policję. Poproszono ich o spisanie oficjalnego protokołu. W czasie, kiedy to robili, szef komisariatu skontaktował się telefonicznie ze swymi przełożonymi w stolicy Mali, Bamako.

Ku zdziwieniu Francuzów, zatrzymano ich na noc w budynku policji. Przybyła nazajutrz ekipa śledcza z Bamako zażądała od każdego z nich z osobna szczegółowych zeznań na temat Fairweathera. Odmówili, domagając się kontaktu ze swoim konsulem, ale żądanie pozostało bez echa. Wtedy zrozumieli, że cała sprawa może się dla nich bardzo źle skończyć. Nie wiedzieli, że nie są pierwszymi ludźmi, po których - odkąd weszli do budynku malijskiej policji - wszelki słuch zaginał. Po paru dniach marsylska dyrekcja przedsiębiorstwa geologicznego zaniepokoiła się, dlaczego jej pracownicy nie przysyłają żadnych raportów z Afryki. Wszczęto akcję poszukiwawczą. Także tym razem malijskie służby bezpieczeństwa zaproponowały pomoc. I, tak samo jak w przypadku grupy Fairweathera, ostateczna odpowiedź brzmiała: mimo usilnych

poszukiwań nikogo nie znaleziono. Natrafiono jedynie na pustą ciężarówkę ekipy, porzuconą na pustyni, daleko od osad ludzkich i szlaków samochodowych.

Nazwiska geologów i turystów z Backworld Explorations dopisano do długiej listy ludzi, którzy zaginęli bez wieści na Saharze.

Doktor Haroun Madani stał na schodach przed bramą szpitala w Gao; nerwowo spoglądał w perspektywę zakurzonej ulicy, biegnącej między rzędami starych kolonialnych, parterowych domków. Północny wiatr przysypywał miasto cienką warstwą piaszczystego pyłu. Niegdyś stolica wielkich imperiów, dziś stanowiła już tylko żalosną pozostałość francuskiego kolonializmu. Z wznoszących się nad miejskim meczetem minaretów głos muezzina wzywał wiernych do modlitwy. Ale na wieżyczkach nie było już kapłanów; były tylko głośniki, przekazujące głos mruczącego na dziedzińcu kapłana. W pobliżu meczetu odbijało się w Nigrze światło księżyca. Piękna, malownicza rzeka, płynąca leniwym prądem, stanowiła jedynie błądy cień tego, czym była dawniej. Niegdyś jej wody, zwłaszcza w porze deszczowej, podchodziły pod mury meczetu; teraz, po wielu dekadach uporczywej suszy, brzeg Nigru oddalił się od świątyni o dwie przecznice.

Ludność malijska jest mieszaniną białych Francuzów i Berberów, ciemnoskórych Arabów i Maurów z pustyń północy oraz Murzynów z południowej dżungli. Doktor Madani był czarny jak węgiel, miał wyraźnie negroidalne rysy, hebanowe oczy i płaski, szeroki nos. Był to duży, silnie zbudowany mężczyzna między czterdziestką a pięćdziesiątką. Wywodził się z niewolników ze szczepu Mandingo, sprowadzonych na północ przez Marokańczyków w szesnastym wieku. Jego ojciec był rolnikiem. Uprawiał żyzne pole na południu kraju i całkiem nieźle mu się wiodło; niestety zmarł młodo, osierocając syna. Chłopcem zaopiekował się oficer francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Wykształcił go i wysłał na studia medyczne do Paryża. Madani nigdy się nie dowiedział, jakie pobudki kierowały starym oficerem. Na widok dużych żółtych reflektorów starego, ale wspaniałego samochodu, zbliżającego się po wyboistej jezdni, doktor zmartwiał ze strachu. Elegancka, jaskrawoczerwona karoseria połyskiwała w świetle nielicznych latarni. Wyposażona w mocny i trwałe sześciocyndrowy silnik, limuzyna citroen Avions Voisin z 1936 roku w przedziwny sposób łączyła w sobie ideały aerodynamicznej konstrukcji, sztuki kubizmu i architektury Franka Lloyd Wrighta. To wspaniałe dzieło sztuki motoryzacyjnej należało w czasach, gdy kraj ten był częścią Francuskiej Afryki Zachodniej, do generalnego gubernatora Mali.

Madani dobrze znał ten samochód. Znał go - tak, jak jego obecnego właściciela - prawie każdy mieszkaniec Mali; i prawie każdy drżał na jego widok. Doktor zauważył, że za wspaniałą limuzyną jedzie wojskowy ambulans, i przestraszył się. Gdy kierowca bezszelestnie zatrzymał wóz przed bramą szpitala, Madani rzucił się do klamki i otworzył tylne drzwi.

Z samochodu wysiadł wysokiej rangi oficer w nienagannie skrojonym, choć nieco osobliwym mundurze. Osobliwość nie polegała na ilości orderów, odznak, wstęg, sznurów i

innych ozdób - generał Zateb Kazim nie nosił ich więcej niż przeciętny afrykański przywódca - lecz na nakryciu głowy, które stanowił stylizowany litham, tradycyjny błękitny zawój Tuaregów. Jego twarz miała kolor gorzkiej czekolady, rysy jednak miał mauretańskie; w wyrzeźbionej jakby z kamienia twarzy tkwiły wąskie oczy koloru topazu. Byłby nawet przystojny, gdyby nie okrągły i bardzo krótki nos, podkreślony rzadkimi wąsami zachodzącymi na policzki.

Kazim wyprostował się wyniośle, strzepnął z munduru niewidzialny pyłek i skinął od niechcenia głową doktorowi.

- Można go już zabrać? - spytał oficjalnym tonem.

- Tak; pan Fairweather miał poważny kryzys nerwowy, ale teraz jest pod działaniem silnego środka uspokajającego.

- Rozmawiał z kimś, odkąd przywieźli go ci Francuzi?

- Nie. Opiekowały się nim tylko dwie osoby: ja i pielęgniarka. Ona jest ze szczepu Tukolor, nie zna żadnego języka poza dialektem fulak. Zgodnie z instrukcją, pan Fairweather przebywał przez cały czas w separacie, w oddzielnym pawilonie, z dala od innych chorych. Mogę również zaręczyć, że wszelkie ślady jego pobytu w szpitalu zostaną zatarte.

Kazim wydawał się zadowolony.

- To dobrze, doktorze. Dziękuję za sumienną współpracę.

- On nie jest w najlepszym stanie. Czy mogę spytać, dokąd go pan zabiera?

Kazim uśmiechnął się złowrogo.

- Do Tebezy.

- Och, nie! - zaprotestował trzęsącym się głosem Madani. - Dlaczego? Za co? Czy popełnił jakąś zbrodnię?

Kazim obrzucił Madaniego takim wzrokiem, jakim patrzy się na uciążliwe insekty.

- Za dużo pytań, doktorze - rzekł chłodno.

Ale Madanemu cisnęło się na usta jeszcze jedno pytanie.

- A Francuzi, którzy go tu przywieźli?

- Trafiają w to samo miejsce.

- Tam nikt nie wytrzyma dłużej niż kilka tygodni...

- Więc mają podarowane jeszcze kilka tygodni życia - odparł Kazim cynicznie. - Niech przynajmniej zrobią w tym czasie coś pożytecznego dla Mali. Tam będą mieli okazję.

- Ma pan całkowitą rację, generale - powiedział szybko Madani, choć własny słuźalczy ton napawał go wstrętem. Wiedział jednak, że od Kazima zależy cały jego los. Ten człowiek był w Mali najwyższym sędzią, trybunałem i katem w jednej osobie.

- Cieszę się, że pana przekonałem, doktorze. Aha, jeszcze jedno: w interesie naszego kraju

leży, aby jak najszybciej zapomniał pan o wizycie Fairweathera.

Madani skłonił się.

- Oczywiście!

- Życzę wszystkiego najlepszego panu i pańskiej rodzinie.

Lekarz bez trudu pojął sens życzeń Kazima. Rzeczywiście miał liczną rodzinę. Dopóki będzie milczał o sprawie Fairweathera, wszyscy będą bezpieczni. O tym, co stałoby się w przeciwnym razie, bał się nawet myśleć.

Kilka minut później dwaj ludzie Kazima wynieśli na noszach nieprzytomnego Anglika i umieścili go w ambulansie. Generał pożegnał Madaniego gestem dłoni i wsiadł do Voisina. Gdy oba pojazdy odjechały, ciało doktora przeszył zimny dreszcz. Nie próbował jednak odgadnąć, w jakiej to kolejnej strasznej tragedii przyszło mu uczestniczyć. Modlił się raczej o to, by nigdy się tego nie dowiedzieć.

W apartamencie hotelu Nile Hilton doktor Frank Hopper, pólżąc na skórzanej sofie, słuchał uważnie. Po drugiej stronie stolika z kawą, równie wygodnie rozparty w fotelu, Ismail Yerli w zamyśleniu pykał fajkę z morskiej pianki, której cybuch wyrzeźbiony był w kształcie głowy sułtana w turbanie. Zafascynowana hałasem orientalnego miasta, który wdzierał się nawet przez zamknięte okna, Eva na chwilę zapomniała o koszmarnej walce, jaką stoczyła na plaży.

Stanowczy głos Hoppera przypomniał jej jednak, po co się tu spotkali.

- Jesteś pewną, że chcieli cię zabić?

- Nie mam cienia wątpliwości - odparła.

- Mówi pani, że byli czarni? - włączył się Yerli.

- Nie czarni, ale ciemnoskórzy. Mieli ostre, wyraziste rysy twarzy; jakby mieszanka cech arabskich i hinduskich. O tym, który spalił samochód, nie mogę wiele powiedzieć: miał długi burnus i zawój przykrywający twarz. Widziałam tylko hebanowe oczy i ostry, orli nos.

- Czy zawój był bawelniany, kilkakrotnie owinięty wokół głowy? - pytał dalej Yerli.

- Tak, przyszło mi nawet na myśl, że musiał być zrobiony z bardzo długiego kawałka materiału.

- A jakiego był koloru?

- Ciemnoniebieski, prawie jak atrament.

- Indygo? - podpowiedział Yerli.

- Tak, to chyba właśnie ten kolor.

Ismail Yerli, koordynator akcji terenowych Światowej Organizacji Zdrowia, zamyślił się przez chwilę. Szczupły, wysportowany, był jednocześnie niezwykle sprawny intelektualnie i organizacyjnie. Z niezwykłą pedanterią dbał o wszystkie ważne szczegóły, a zarazem świetnie rozumiał strategiczny i polityczny wymiar prowadzonych spraw. Był Turkiem z Anatolii, twierdził jednak, że ma w sobie krew kurdyjską. Deklarował się jako muzułmanin, choć już od wielu lat nie odwiedził żadnego meczetu. Jak większość Turków miał gęste, sztywne, czarne włosy, równie czarne krzaczaste brwi i wielkie wąsy. Zawsze w dobrym humorze, zawsze uśmiechnięty, był jednocześnie człowiekiem niezwykle poważnym i solidnym.

- Tuaregowie - rzekł po chwili.

Powiedział to tak cicho, że Hopper musiał się pochylić w jego stronę.

- Kto? - spytał.

Yerli spojrział przez stół na Kanadyjczyka. Szef zespołu medycznego był człowiekiem spokojnym, małomównym, lecz umiał słuchać innych. Fizycznie przypominał sławnego

Wikinga, Eryka Czerwonego. Był wielki, rumiany, z rzadką rudą brodą; brakowało tylko stożkowatego hełmu z rogami. Niezwykle sumienny i wnikliwy badacz, w Światowym Towarzystwie Epidemiologicznym uchodził za jednego z najlepszych w świecie toksykologów.

- Tuaregowie - powtórzył Yerli. - Niegdyś najsilniejszy i najważniejszy szczep koczowniczy na pustyni, który nieraz zwyciężał Maurów i Francuzów. Być może także najwięksi bandyci w stylu romantycznych legend. Ale dzisiaj już nie prowadzą rozbojów. Utrzymują się z hodowli kóz albo żebrzą w miastach na obrzeżach Sahary. Mężczyźni tego szczepu noszą zawoje zwane titham, zwykle bardzo długie. Długość rozwiniętego zawoju może dochodzić nawet do dwóch metrów.

- No dobrze, ale dlaczego ci pustynni nomadzi mieliby napadać na Evę? - spytał Hopper.

- Nie widzę żadnego motywu.

Yerli pokiwał głową w zamyśleniu, ale nic nie powiedział.

- Przecież musieli mieć jakiś powód - ciągnął Hopper. - Nie możemy wykluczyć, że chcą zlikwidować cały zespół, który bada przyczyny zatrucia w południowej części Sahary.

- Pitt też tak twierdzi - odezwała się Eva.

- Kto? - spytał znów Hopper.

- Dirk Pitt, Amerykanin, który uratował mi życie. Uważa, że ktoś nie życzy sobie mojej obecności w Afryce; i że to samo dotyczy całej naszej grupy.

Yerli machnął lekceważąco ręką.

- Bzdura! Facetowi wydaje się, że to jakaś sycylijska mafia.

- Może ma rację - rzekł Hopper. - Był przecież na tej plaży, widział tych ludzi.

- I chwala Bogu, że był, i że miał odwagę stawić czoło trzem bandytom - powiedział Yerli.

- Ale nie przywiązywałbym wielkiej wagi do jego słów... Chyba że... jego obecność tam też była zaplanowana.

- Zaplanowana? Ależ to bez sensu - obruszyła się Eva.

- A jeśli znalazł się tam właśnie po to, żeby nakłonić panią do powrotu do Stanów?

- I w tym celu zabił w mojej obecności trzech ludzi? Czy nie prościej byłoby zabić mnie, zamiast inscenizować taki krwawy teatr?

- Skąd właściwie ten dobry samarytanin tam się znalazł?

- Mówił, że przebywa w Egipcie z misją archeologiczną, badającą dno Nilu; prowadzi to NUMA, jedna z naszych agencji rządowych. Nie mam powodu, żeby mu nie wierzyć.

Hopper spojrzał na Yerli'ego.

- To można chyba sprawdzić?

- Tak, całkiem łatwo. Znam biologa, który pracuje w NUMA.

- Jeśli nawet ten Pitt jest w porządku - mruknął Hopper - to i tak nadal nie wiemy, dlaczego tamci napadli na Evę.

- Może to rzeczywiście jest spisek - zgodził się w końcu Yerli. - Może chodzi o to, żeby nie dopuścić do waszej misji.

Tym razem jednak Hopper nie wydawał się przekonany.

- WHO ma przecież w tej chwili pięć zespołów badawczych na południu Sahary; w pięciu krajach, od Sudanu do Mauretanii. I nie był to żaden przymus, żaden odgórny wymysł ONZ. Wszystkie ekipy są tam na prośbę tych krajów.

- Nie wszystkie - zauważył Yerli. - Zapomniał pan, że jedno z tych państw nie chciało naszej wizyty.

- Rzeczywiście - przytaknął Hopper. - Prezydent Tahir z Mali był wręcz niechętny naszej misji.

- Raczej generał Kazim - rzekł Yerli. - Tahir to marionetka. W istocie całą władzę w Mali sprawuje generał Zateb Kazim.

- Ale co on może mieć przeciwko grupie biologów, prowadzących badania w celu ratowania ludzkiego życia? - spytała Eva.

Yerli rozłożył bezradnie ręce.

- Tego niestety nie wiem.

- Może to ma jakiś związek - rzekł cicho Hopper - z niewyjaśnionymi przypadkami zaginięcia obcokrajowców w Mali. W ciągu ostatniego roku zdarzyło się to parokrotnie.

- Tak, choćby ostatnio ci turyści - przypomniała Eva.

- Nadal nie ma o nich żadnych wieści - zauważył Yerli. - Ale jeśli to nie był nieszczęśliwy wypadek, jeśli Kazim maczał w tym palce, to mógł też zorganizować zamachy na członków waszej ekspedycji. Po prostu po to, by was odstraszyć, żebyście nie wtykali nosa do jego ogródka.

Eva roześmiała się.

- Z taką wyobraźnią mógłby pan pisać scenariusze w Hollywood.

- Może to i przerost wyobraźni, ale myślę, że powinniście zachować ostrożność. Nie lećcie do Mali, dopóki sprawa się choć trochę nie wyjaśni.

- Moim zdaniem, byłaby to przesadna ostrożność - rzekł Hopper. - A ty jak sądzisz, Eva? Lecimy do Mali, czy nie?

- Uważam, że powinniśmy lecieć - odparła. - Ale nie mogę decydować za innych.

- Oczywiście - Hopper skinął głową. - Każdy będzie decydował za siebie. Nie możemy jednak odwołać misji, kiedy tam giną tysiące ludzi. Do Mali polecą tylko ochotnicy; poprowadzę



ten zespół osobiście.

- Nie, Frank - zaprotestowała Eva. - A jeśli pan Yerli ma rację, jeśli tam zdarzy się coś złego? Nie możemy cię stracić.

- Polecicie czy nie - powiedział z ponurą miną Yerli - powinniście chyba najpierw zgłosić policji sprawę tej napaści na plaży.

- Nie - odparł stanowczo Hopper. - Jak do wyjaśniania tej sprawy wezmą się tutejsi biurokraci, to zatrzymają nas w Kairze miesiąc albo dłużej, a wtedy cała misja straci jakikolwiek sens.

- Mam tu trochę kontaktów, mógłbym przyspieszyć procedurę dochodzeniową - nalegał Yerli.

- Nie - powtórzył twardo Hopper. - Nie możemy sobie pozwolić na ani jeden dzień zwłoki. Wyruszymy zgodnie z planem.

- Naraża pan swoich ludzi - przestrzegł jeszcze raz Yerli.

- Wymyśliłem pewne zabezpieczenie.

- Zabezpieczenie?

- Tak. Zrobimy przed wyjazdem konferencję prasową. Opowiemy o naszej misji, a przy okazji o niebezpieczeństwach, jakie nam grożą na Saharze, zwłaszcza w Mali. Po czymś takim generał Kazim trzy razy się zastanowi, zanim zrobi jakąś krzywdę naszym naukowcom.

- Może tak, a może nie - mruknął Yerli sceptycznie. - Naprawdę nie przekonują was moje argumenty?

- Argumenty są dobre - rzekła Eva. - Ale tam umierają ludzie, tysiące ludzi. I to też jest argument.

- Niech was Allah ma w swojej opiece - rzekł Yerli z rezygnacją.

Kiedy Eva wychodziła z windy hotelu Nile-Hilton, Pitt czekał już w holu. Ubrany był w lekki brązowy garnitur i jasnoniebieską koszulę, z jedwabnym krawatem w kolorze granatowym z czarno-złotym wzorem.

Z rękami na plecach i z głową nieco przechyloną na bok przyglądał się młodej, pięknej Egipcjance w obcisłej, złotej sukience. Idąc kołysała okrągłymi biodrami; jej ruchy przypominały wahadło zegara. Zwracała powszechną uwagę nie tylko z powodu urody i efektownego stroju, ale także z powodu człowieka, który jej towarzyszył, a który był chyba trzy razy od niej starszy. Bez przerwy coś do niego mówiła.

We wzroku Pitta nie było pożądania - obserwował dziewczynę raczej jak interesujący fenomen przyrody. Eva podeszła do niego cicho i spytała bezceremonialnie:

- Podoba ci się?

Odwrócił się i spojrzał na nią najbardziej niezwykle zielonymi oczyma, jakie widziała w życiu.

- Owszem, robi wrażenie.

- Jest w twoim typie?

- Nie, wolę kobiety małowmne i rozważne.

Bardzo miły głos, pomyślała. Poczwała zapach dobrej wody kolońskiej, znacznie bardziej wyrafinowany niż większość aromatów sławnych francuskich wyrobów perfumeryjnych.

- Czy mam traktować to jako komplement?

- Możesz.

Zawstydziała się własnej swobody i spuściła wzrok.

- Jutro rano ruszamy - rzekła. - Powinnam wcześniej pójść spać.

Boże, to okropne, pomyślała. Zachowuję się jak smarkula na pierwszej randce.

- Szkoda. Chciałem ci pokazać wszystkie nocne siedliska rozpusty i grzechu w Kairze. Miejsca nie znane turystom.

- Mówisz poważnie?

Roześmiał się.

- Ależ skąd. Myślę, że najrozsądniej będzie, jeśli zjemy kolację w hotelu i nie będziemy pokazywać się na ulicach. Twój przyjaciele mogą chcieć spróbować jeszcze raz.

Rozejrzała się po ruchliwym holu.

- Hotel jest przepelniony. Nie wiem, czy dostaniemy stolik.

- Już go zarezerwowałem - odparł Pitt, po czym wziął ją za rękę i poprowadził z powrotem do windy.

Pojechali na najwyższe piętro.

Jak większość kobiet, Eva lubiła mężczyzn przejmujących inicjatywę. Lekki, ale stanowczy uścisk dłoni Pitta także sprawiał jej przyjemność. Maitre d'hotel wskazał im stół przy oknie; mieli cudowny widok na Nil i cały Kair. Miasto jarzyło się światłami. Samochody zapełniały mosty, by roz płynąć się potem w gęstwinie ulic, wśród konnych dorożek i wózków dostawczych.

- Proponuję wino - rzekł Pitt - chyba że wolisz zacząć od jakiegoś koktajlu.

- Może być wino - skinęła głową z uśmiechem.

Przez chwilę studiował kartę.

- Spróbujemy "Grenadis Village".

- Świetny wybór - rzekł kelner. - To jedno z naszych najlepszych win.

Pitt zamówił jeszcze oberżynę z ziarnem sezamowym, jogurt zwany leban zahadii tacę marynowanych jarzyn. Pszenne placki pita zamknęły listę przystawek. Kiedy wino było już nalane, podniósł wysoko kieliszek.

- Za pomyślność wyprawy!

- Za sensacyjne odkrycia w rzece! - odparła i spojrzała na niego z ciekawością. - Czego wy tam właściwie szukacie?

- Wraków starych łodzi. Szczególnie jednej: barki pogrzebowej faraona Menkuras, zwanego też po grecku Mycerinusem. Należał do Czwartej Dynastii; to on zbudował najmniejszą z trzech piramid w Gizie.

- Jest w niej pochowany? - spytała Eva.

- Już w 1830 roku pewien brytyjski oficer znalazł komorę grzebalną, a w niej sarkofag ze zwłokami, ale dokładniejsza analiza wykazała, że pochodzą one raczej z okresu greckiego lub rzymskiego. Przyniesiono przystawki. Zabrali się do nich z apetytem. Zanurzali kawałki smażonej oberżyny w ziarnie sezamowym i łykali je łapczywie. Delektowali się niezwykłym smakiem marynowanych jarzyn. Wszystko, łącznie z rzeczywiście wybornym winem, zaostrzyło ich apetyt. Pitt zamówił główne danie.

- Dlaczego sądzisz, że Menkuras jest na dnie rzeki? - spytała.

- Odczytaliśmy hieroglify na kamieniu, znalezionym niedawno w pobliżu Kairu. Wynika z nich, że barka pogrzebowa spaliła się i utonęła w Nilu między dawną stolicą, Memfis, a piramidą w Gizie. Według tej inskrypcji prawdziwy sarkofag z mumią Menkuras i dużą ilością złota nigdy nie został odnaleziony.

Przyniesiono jogurt, gęsty jak śmietana. Eva zawahała się.

- Spróbuj - zachęcił ją Pitt. - Leban zahadi znakomicie wpływa na trawienie. A jak raz

spróbujesz, nie będziesz chciała nawet patrzeć na amerykańskie jogurty.

Spróbowała. Jogurt był dobry; jego smak wydał jej się znajomy.

- Zsiadłe mleko... - przypomniała sobie i szybko wróciła do tematu ich rozmowy. - Co zrobicie, jak znajdziecie tę barkę? Zabierzecie sobie złoto?

- To nie takie proste - odrzekł Pitt. - My jedynie zaznaczamy na mapie znalezione na dnie obiekty i informujemy o nich Egipski Instytut Starożytności. To oni będą wydobywać wrak spod dna, oczywiście jak zdobędą na to fundusze.

- Spod dna? - zdziwiła się Eva.

- Minęło czterdzieści pięć stuleci; szlam przykrył wszystko grubą warstwą.

- Co to znaczy: grubą?

- Trudno dokładnie powiedzieć. Naukowcy egipscy twierdzą, że na tym odcinku rzeki główne koryto przesunęło się od roku 2400 przed naszą erą o sto metrów na wschód. Jeśli łódź zatoneła blisko brzegu, to może być dzisiaj przykryta nawet dziesięciometrową warstwą piasku i mułu.

Pojawił się kelner z ogromną srebrną tacą, zastawioną owalnymi półmiskami. Były na nich pieczeń z jagnięcia, ryba smażona na grillu, filet wołowy, dziwny jaskrawozielony szpinak, ryż z winogronami i orzechami. Po krótkiej naradzie z kelnerem Pitt zamówił jeszcze kilka pikantnych sosów.

- Co to za dziwna choroba, którą zamierzacie badać na pustyni? - spytał, kiedy kelner odszedł.

- Informacje z Mali i Nigru są zbyt powierzchowne, by można było na ich podstawie wyrobić sobie jakąś opinię. Mówi się o typowych symptomach zatrucia: konwulsje, ataki skurczów, śpiączka, w końcu śmierć. Ale słyszeliśmy też o zaburzeniach psychicznych oraz o dziwnych zachowaniach chorych. To jagnię jest wspaniałe!

- Dodaj jakiegoś sosu. Może Worcester?!

- A ten zielony?

- Też dobry. Jest słodko-ostry, z drobnymi kawałkami langusty.

- Znakomity - przyznała Eva, wzięwszy odrobinę na koniec języka. - W ogóle wszystko jest pyszne, z wyjątkiem tego zielska, przypominającego szpinak. Ma jakiś dziwny smak.

- To tak zwany mulukesz. Ma rzeczywiście osobliwy smak, ale można w tym zagustować...  
Wracając do tej choroby - mówiłaś o jakichś dziwnych zachowaniach.

- Tak. Podobno ludzie wrywają sobie włosy, walą głowami w mur, wkładają ręce do ognia. Biegają nago na czworakach jak zwierzęta i pożerają się nawzajem, jakby wpadli w kanibalizm... Znakomicie przyprawiony ryż. Jak to się nazywa?

- Khalta.

- Chętnie wzięłabym przepis od szefa kuchni.

- Myślę, że to się da zrobić - rzekł Pitt. - Kanibalizm jako efekt zatrucia? To dość dziwna hipoteza.

- Nie bardzo, jeśli wziąć pod uwagę, z jaką kulturą mamy do czynienia. W tamtych krajach ludzie są bardziej przyzwyczajeni do zabijania zwierząt niż mieszkańcy Północy. Na co dzień obcują z widokiem obdartych ze skóry i poćwiartowanych zwierząt. Od dzieciństwa widzą, jak ich ojcowie zabijają kozy i owce na ofiarę, od małego uczą się łowić i oprawiać ryby, króliki, wiewiórki czy ptaki, które potem pieką na ogniu i zjadają. Dla biedaków zabijanie nie jest niczym niezwykłym; muszą zabijać, żeby przeżyć. Wystarczy niewielka dawka toksyn, degenerujących umysł albo układ trawienny, zakłócających normalny tok rozumowania albo sposób zaspokajania potrzeb, aby zaczęli traktować innych ludzi jak zwierzęta. Zabicie i zjedzenie człowieka staje się tym samym, co ukręcenie łba kurze i ugotowanie jej na obiad... Wspaniały ten sos chutneyl.

- Rzeczywiście świetny.

- Zwłaszcza z tym... jak powiedziałeś?... khalta. Otóż my, tak zwani ludzie cywilizowani, też kupujemy surowe mięso, ale w supermarketach; podzielone na eleganckie porcje i zapakowane tak że już nawet nie kojarzy się z zabitym zwierzęciem. Nie oglądamy na co dzień tego, co dzieje się w rzeźniach: mordowania pistoletem elektrycznym, podrywania gardeł. To wszystko jest nam oszczędzone. W rezultacie inaczej wariujemy, inaczej też reagujemy na ogłupiające trucizny. Szalenie z Europy czy Ameryki może wprawdzie wystrzelać wszystkich sąsiadów, ale nie będzie ich potem jadł; w jego świadomości czy podświadomości nie ma takich wzorów.

- Jaki rodzaj egzotycznych trucizn mógłby wywoływać tę chorobę?

Wypiła resztę wina z kieliszka i z przyjemnością obserwowała, jak kelner napełnia go ponownie.

- To wcale nie musi być egzotyczna trucizna. Człowiek zatruty zwykłym ołowiem zdolny jest do bardzo dziwnych rzeczy. Aha, jest jeszcze jeden objaw tego zatrucia: silne przekrwienie białek oczu w wyniku osłabienia naczyń krwionośnych.

- Znajdziesz jeszcze trochę miejsca na deser? - spytał Pitt.

- Chyba znajdę. Wszystko jest tu tak dobre, że nie mogę sobie niczego odmówić.

- Potem kawa czy herbata?

- Kawa, ale po amerykańsku; oni tu parzą straszną smołę.

Pitt skinął na kelnera, który natychmiast rzucił się w ich kierunku.

- Dla pani proszę um ali i kawę po amerykańsku; dla mnie też kawa, ale egipska.
- Co to jest um ali? - spytała.
- Gorący mleczny budyń o smaku kokosowym. Ułatwia trawienie po obfitym posiłku.
- To brzmi nieźle.

Pitt odchylił się w fotelu i popatrzył na nią poważnie.

- Mówiłaś, że już jutro odlatujecie do Mali. Czy to nie za duże ryzyko?

- Ciągle jeszcze czujesz się jak mój opiekun?

- Podróż przez pustynię może każdego wykończyć. Ale mówiąc o ryzyku, mam na myśli nie tylko upał. Ktoś, być może właśnie w Mali, chce zlikwidować ciebie i twoich kolegów.

- A zabraknie rycerza w srebrzystej zbroi, który by mnie wyratował z opresji - zakpiła. - Nie przestraszysz mnie. Wiem, że potrafię sobie poradzić.

- Nie jesteś pierwszą kobietą, która tak twierdzi, a potem ląduje w kostnicy - zażartował makabrycznie.

Ale w jego opalonych oczach dostrzegła prawdziwy, głęboki niepokój.

W tym czasie w sali recepcyjnej hotelu doktor Frank Hopper prowadził konferencję prasową. Mimo późnej pory zgromadziła wielki tłum dziennikarzy. Korespondenci gazet, stacji radiowych i telewizyjnych zarzucali go pytaniami. Pocił się obficie w świetle reflektorów, ale dzielnie stawiał czoło nawale.

- Doktorze Hopper - pytała wytworna dama z agencji Reutersa - jak rozległy jest obszar dotknięty epidemią?

- Nie możemy tego dokładnie stwierdzić, dopóki wszystkie nasze ekipy badawcze nie dotrą na miejsce.

Ktoś inny przepchnął się do niego z kieszonkowym magnetofonem.

- A czy znane jest już źródło zarazy?

- Nie, na razie nie mamy pojęcia, skąd się wzięła.

- Czy mógł ją spowodować ten wielki francuski zakład utylizacji odpadów, który mieści się na pustyni?

Hopper podszedł do mapy wyświetlonej na dużym ekranie i wskazał pałeczką południowy region Sahary.

- Francuskie zakłady - powiedział - znajdują się w Fort Foureau, ponad dwieście kilometrów na północ od najbliższego odnotowanego przypadku choroby. To stanowczo za daleko.

- Może zarazę przenosi wiatr? - spytał korespondent niemieckiego tygodnika "Der Spiegel". - Z tego co wiem, wieją tam silne wiatry, zdolne przenosić szybko różne skażenia

nawet na większą odległość.

- To zupełnie niemożliwe - odparł Hopper stanowczo.

- Skąd ta pewność?

- Podczas wstępnych narad i przygotowań badawczych WHO zapoznała się dokładnie z procesem technologicznym stosowanym w Fort Foureau. Wszystkie odpady spala się tam w bardzo wysokiej temperaturze, dzięki czemu dym i popioły są już nieszkodliwe; w każdym razie dotychczasowe pomiary, dokonywane w promieniu setek kilometrów od zakładu, nie wykazały żadnego skażenia powietrza.

- Jak układa się współpraca z krajami, w których będziecie prowadzić badania? - spytał reporter telewizji egipskiej.

- Większość z nich przyjmuje nas z otwartymi ramionami.

- Większość? A więc są wyjątki?

- Tak, ściśle biorąc jeden. Prezydent Mali, pan Tahir, zgłaszał pewne obiekcje. Mamy jednak nadzieję, że zmieni zdanie, kiedy udowodnimy na miejscu, że nasze badania mają wyłącznie humanitarny cel.

- Czy nie naraża pan swojej ekipy na zbytne niebezpieczeństwo, posyłając ją do Mali bez wyraźnej zgody prezydenta Tahira?

- Największe niebezpieczeństwo grozi nie mojej ekipie, ale ludności Mali. Mam wrażenie - dodał Hopper z nie ukrywaną irytacją - że prezydent Tahir ma złych doradców, którzy nie wiadomo dlaczego próbują zlekceważyć zarazę, a nawet zaprzeczyć jej istnieniu.

- I mimo to sądzi pan, że wasz zespół będzie mógł pracować w Mali bezpiecznie? - powtórzyła pytanie egipskiego kolegi korespondentka Reutera.

Hopper był zadowolony. Pytania szły dokładnie w kierunku, jakiego sobie życzył.

- W tej kwestii - powiedział - bardzo liczę na was, dziennikarzy. Spodziewam się, że będziecie czujni, że odnotujecie wszelkie nieprawidłowości, zanim dojdzie do jakiejś tragedii.

Po kolacji Pitt odprowadził Evę pod drzwi jej pokoju. Zmieszana, nerwowo szukała klucza. Oczywiście było dość powodów, by zaprosić go do środka. Dużo mu zawdzięczała, a co ważniejsze miała na niego ochotę. Była jednak trochę staroświecka i uważała za niemożliwe iść do łóżka z każdym, kto się nią interesował - nawet jeśli byłby to mężczyzna, który uratował jej życie.

Pitt dostrzegł jej zmieszanie. Popatrzył w jej oczy; były niebieskie jak niebo nad Morzem Śródziemnym. Wziął ją za ramiona i lekko przyciągnął do siebie. Nie opierała się.

- Odłóż ten wyjazd na pustynię - powiedział.

- Nie mogę. Mam tam pilną robotę.

- A potem pewnie następną?

- Nie. Wracam do domu, do Pacific Grove w Kalifornii.

- Piękna okolica. Jeżdżę tam na sierpniowe konkursy starych samochodów w Pebble Beach.

- W czerwcu też jest tam pięknie - powiedziała trochę drżącym głosem.

- Więc spotykamy się w czerwcu - uśmiechnął się. Ty i ja w zatoce Monterey - zacytował słowa starej piosenki.

Miał wrażenie, że ich przyjaźń, z której może zrodzi się kiedyś głębsze uczucie, jest na razie tylko czymś w rodzaju wzajemnej sympatii towarzyszy niebezpiecznej podróży.

- Uważaj na siebie. Nie chciałbym cię stracić - powiedział i odszedł w kierunku windy.



Przez dziesiątki wieków Egipt walczył z piaskami pustyni o wąski pas żyznej ziemi nad Nilem. Najdłuższa rzeka świata jest zarazem jedyną wielką rzeką Afryki płynącą na północ, do Morza Śródziemnego. I tylko Nil - dziś tak samo jak przed wiekami - ożywia ogromną, spaloną słońcem północną połąć kontynentu. Tym razem sezon upałów dotknął również rzekę. Gorąca warstwa dusznego powietrza utrzymywała się nad powierzchnią wody grubym dywanem. Nawet poranna bryza, wywołana gwałtownym wzrostem temperatury po wschodzie słońca, nie zdołała jej rozerwać.

Na rzece doszło właśnie do przypadkowego spotkania dwu oddalonych o tysiąclecia epok. Starożytną felukę z czterema młodymi chłopcami minął nowoczesny kuter wyposażony w elektroniczny układ sterowniczy. Chłopcy roześmiali się wesoło, kiedy ich żaglówka zatańczyła na fali, wywołanej szybkim ruchem turkusowego kutra.

Pitt podniósł wzrok znad ekranu sonaru, badającego dno rzeki. Zewnętrzny upał mu nie przeszkadzał: całe wnętrze kutra było klimatyzowane. Siedział teraz wygodnie nad aparaturą komputerową i powoli sączył herbatę. Przyglądał się przez chwilę chłopcom na feluce. Prawie im zazdrościł prostych, naturalnych doznań, gdy tak uwijali się na swojej łódce, usiłując na nowo złapać wiatr w żagiel.

Spojrzał ponownie na monitor, na którym tymczasem zaczęły pojawiać się dziwne rzeczy. Sonar głębinowy odnotował obecność pod dnem rzeki dużego obiektu. Początkowo niewyraźny zarys, który stopniowo przybrał kształt starożytnej łodzi.

- Mamy tu coś - powiedział głośno.

- Rejestruję to pod numerem 94 - odparł Al Giordino i wystukał instrukcję na klawiaturze komputera. Na głównym monitorze w miejsce obrazu dna pojawiła się szczegółowa mapa okolicy, w której przebywali: dokładny rysunek brzegów rzeki, z oznaczeniem obiektów wzniesionych ludzką ręką. Po wystukaniu następnego polecenia satelitarny system namiaru laserowego precyzyjnie oznaczył na mapie pozycję znalezionej przed chwilą łodzi.

- Numer 94 naniesiony i zarejestrowany - zameldował Giordino.

Niewysoki, krępej budowy, smagły, Albert Giordino patrzył na świat bystrymi piwnymi oczyma spod niesfornej grzywy czarnych, falujących włosów. Gdyby przyprawić mu brodę i wyposażyc w worek z zabawkami, myślał nieraz Pitt, mógłby zrobić karierę jako święty Mikołaj w neapolitańskim domu towarowym. Mimo ciężkiej, masywnej budowy, Giordino był niezwykle szybki i zręczny. Potrafił też walczyć jak lew. Cierpiał jednak męki, ilekroć musiał uczestniczyć w rozmowach z kobietami. Giordino i Pitt znali się i przyjaźnili od dawna; razem kończyli studia, razem grali w drużynie futbolu akademii wojskowej, razem walczyli w Wietnamie. Razem też,

na osobisty wniosek admirała Sandeckera prosto z armii trafili do Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Mieli odbyć jedynie krótki staż w NUM A; pracowali tam już jednak dziewięć lat i nic nie wskazywało na to, by admirał miał ochotę rozstać się z nimi.

Żaden z nich nie pamiętał już, ile razy ratowali sobie nawzajem życie lub pomagali wyjść z najtrudniejszych opresji, jakich nie brakuje w niebezpiecznym zawodzie badacza podmorskich tajemnic. Wiele ich wspólnych wypraw i wyczynów przeszło do legendy, czasem zresztą grubo przerastającej żmudną roboczą rzeczywistość.

Pitt znowu pochylił się nad ekranem, na którym pojawił się trójwymiarowy obraz, przedstawiający w najdrobniejszych szczegółach zatopiony w mule statek. Mimo pojemnej pamięci, komputer przez dobre kilka sekund konfrontował ten obraz z informacjami o jednostkach pływających po Nilu w starożytności. Wreszcie na ekranie pojawiły się wyniki analizy.

- Prawdopodobnie barka handlowa z czasów Szóstej Dynastii - odczytał głośno Pitt - zbudowana między rokiem 2200 i 2000 przed Chrystusem.

- W jakim jest stanie? - spytał Giordino.

- W całkiem niezłym. Tak samo jak łodzie, które znaleźliśmy przedtem. Ten szlam ma chyba dobre właściwości konserwacyjne. Kadłub i ster są prawie nie naruszone. Widzę także maszt; leży na pokładzie. Na jakiej jest głębokości?

Giordino przez chwilę studiował swój ekran.

- Ma nad sobą osiem metrów szlamu i dwa metry wody.

- Jest coś metalowego?

- Na pewno nie ma żelaza; magnetometr pokazuje zero, Nic dziwnego, przecież żelazo poznano w Egipcie dopiero w dwunastym wieku. A inne metale?

Giordino znów wystukał na klawiaturze krótką instrukcję.

- Niewiele tego. Trochę armatury z brązu. Ale to już właściwie tylko resztki.

Pitt przyglądał się obrazowi barki, która zatonęła w rzece czterdzieści wieków temu.

- Zadziwiające, jak niewiele zmieniła się konstrukcja tych łodzi przez trzy tysiące lat.

- Tak samo jak sztuka.

- Sztuka? - powtórzył Pitt, jakby nie zrozumiał.

- Sztuka egipska prawie się nie zmieniła od czasów Pierwszej Dynastii aż po lata trzydzieste naszego wieku. - Giordino przybrał niespodziewanie oficjalny ton. - Nawet postacie ludzkie na rysunkach pozostały statyczne, jak w starożytności. I te oczy, zawsze malowane w całości, nawet gdy głowa przedstawiona jest z profilu. To na pewno sprawa szczególnego kultu tradycji. Egipcjanie w tym celują.

- Od kiedy to stałeś się takim ekspertem egiptologii?

Giordino zrobił minę człowieka uczonego.

- Liznęło się trochę tej wiedzy przy różnych okazjach.

Pitt wiedział, że jest w tym dużo prawdy. Giordino miał wyjątkowy wprost dar obserwacji; niewiele rzeczy mogło umknąć jego uwadze. Tak było i tym razem; dostrzegł w sztuce egipskiej wiele istotnych detali, na które nie zwracali uwagi turyści, a czasem nawet ich przewodnicy.

Giordino odstawił na bok kolejną opróżnioną butelkę piwa i wskazał palcem przesuwający się wolno po ekranie obraz łodzi.

- Wprost nie chce się wierzyć: zbadaliśmy dopiero dwie mile rzeki, a już mamy dziewięćdziesiąt cztery wraki. Czasem leżą nawet po dwa, trzy na raz; jeden na drugim.

- Nie ma w tym nic dziwnego - rzekł Pitt. - Policz: między deltą Nilu a Chartumem żeglowało przeciętnie parę tysięcy statków jednocześnie. A życie statku trwa średnio dwadzieścia lat. Prędzej czy później niszczy go burza, ogień albo źli ludzie. I trafia na dno. A jeśli nawet sam nie zatoni, zatapia go właściciel, któremu nie opłaca się ani remontowanie wraka, ani trzymanie go w przystani. W rezultacie na tym dnie mógłby dziś leżeć nawet milion statków. Oczywiście większość uległa rozkładowi, ale wiele zakonserwowało się pod mułem. I przeleżą tam pewnie następne cztery tysiące lat, jeśli wcześniej nie wyciągną ich miłośnicy archeologii.

- Nie ma śladu ładunku - zauważył Giordino patrząc na ekran. - To chyba właśnie taki przypadek, o jakim mówiłeś: właściciel zabrał z wysłużonej barki wszystko, co nadawało się jeszcze do użytku, i zatopił ją.

Szyper kutra badawczego, Gary Marx, na przemian zerkał to na echosondę, to na rzekę przed sobą. Był to wysoki blondyn o niebieskich oczach, ubrany tylko w szorty, sandały i kowbojski kapelusz. Odwrócił głowę w stronę Pitta.

- Kończymy kurs w dół rzeki, Dirk.

- Dobrze. Zawróć i przejdź ten odcinek jeszcze raz, tylko bliżej brzegu.

- Bliżej? - zaniepokoił się Marx. - Przecież już prawie dotykamy dnem piachu. Jak podejdziemy jeszcze bliżej, będą nas musieli traktorami spychać z płycizny.

- Nie histeryzuj - rzucił sucho Pitt. - Płyn jak najbliżej brzegu; pilnuj tylko, żebyśmy nie zgubili czujników.

Marx wykonał ciasny zwrot i utrzymywał kuter w odległości pięciu - sześciu metrów od brzegu. Prawie natychmiast czujniki wykryły następny wrak.

Komputer ocenił, że to pasażerska łódź zamożnego Egipcjanina z okresu między 2040 a

1786 p. n. e. Kadłub był nieco smuklejszy niż w barkach handlowych; w tylnej części pokładu znajdowała się kabina. Słupki podtrzymujące dach zwieńczały rzeźby lwich łbów. Dostrzegli też resztki relingu. Pęknięcie z jednej strony kadłuba wskazywało, że łódź zatonięła w wyniku kolizji. Płynąc wciąż blisko brzegu, zlokalizowali i zarejestrowali jeszcze osiem antycznych łodzi, zagrzebanych głęboko w szlamie.

I wtedy czujniki wykryły kadłub znacznie większy od wszystkich poprzednich.

Pitt wpatrzył się w ekran.

- Barka królewska! - zawołał w podnieceniu.

- Rejestruję pozycję - zameldował Giordino, równie beznamiętnie jak we wszystkich poprzednich przypadkach. Gdy jednak wykonał wszystkie rutynowe czynności przy komputerze, nie wytrzymał i pochylił się nad Pittem.

- Myślisz, że w środku jest faraon?

- Chyba nie można mieć wątpliwości. Popatrz. Giordino wpatrywał się w rosnący powoli kształt.

- Jest bardzo duża - zauważył - a nie ma masztu. Czyli poruszała się siłą wioślarzy. Tylko faraona byłoby stać na tyłu ludzi.

Łódź była bardzo długa, zwężała się w szpic na obu końcach; brakowało jednak fragmentu dziobu. Z burt wystawały liczne wiosła. Duży rumpel na rufie kończył się rzeźbioną głową orła, symbolizującą boga Horusa. Wielką, niewątpliwie królewską kabinę zdobiły tysiące hieroglifów. Uwagę obu badaczy przykuł jednak duży prostokątny kształt, znajdujący się na środku pokładu. Skrzynia była bogato rzeźbiona.

- Kamienny sarkofag! - wykrzyknął Giordino. - Mamy go, mamy go wreszcie!

Spojrzał jeszcze raz na swój monitor. Nie było wątpliwości: przyrządy wykryły w kabinie i w sarkofagu duże ilości metali kolorowych.

- Złoto faraona Menkurasa - rzekł cicho Pitt.

- Masz już datę?

- Tak, dwadzieścia sześć wieków przed Chrystusem. Wszystko się zgadza.

Marx zakotwiczył kuter dokładnie nad wrakiem. Przez następne sześć godzin Pitt i Giordino badali barkę pogrzebową całym arsenałem najnowocześniejszych instrumentów elektronicznych. Chcieli zebrać dla władz egipskich możliwie najkompletniejszą dokumentację.

- Dużo bym dał, żeby móc zająrzeć kamerą do środka sarkofagu - westchnął Giordino.

Sięgnął po piwo, ale już po pierwszym łyku odstawił je z niesmakiem. Był tak pochłonięty pracą, iż zupełnie zapomniał o otworzonej kilka godzin temu butelce. Teraz piwo było ciepłe i zwiędziało.

- Rozumiem, że nie chodzi ci o mumię; zresztą pewnie wilgoć ją zniszczyła. Co do innych rzeczy... owszem, to może dorównywać skarbowi Tutenchamona.

- Menkuras był jeszcze bogatszy niż Tutenchamon. Zapewne, zgodnie z tradycją, zabrał wszystko w swoją ostatnią podróż.

- Nie gorączkuj się - rzekł Pitt. - Nawet tego nie powąchasz, a pewnie i nie zobaczysz. Prędzej pomrzemy, niż rząd egipski znajdzie wystarczające środki na wydobycie i konserwację tej barki.

- Mamy gości - uprzedził ich szyper. - Patrol egipski.

- Widzę, że dobre wiadomości roznoszą się tutaj lotem błyskawicy - rzekł Giordino.

- Ciekawe, kto im dał cynk.

- - Może to nie do nas? - powiedział Pitt. - Może to tylko rutynowy patrol na torze wodnym?

- Nie - odparł Marx - płyną prosto w naszym kierunku. Pitt wyciągnął z szuflady jakiś papier i wstał.

- Pójdę, pokażę im pozwolenie z Biura Ochrony Zabytków, to może się szybko odczepią.

Wyszedł na pokład; natychmiast przygniótł go kompres z gorącego, wilgotnego powietrza. Duża łódź patrolowa była już blisko. Jej silnik umilkł nagle; po chwili dobiła burtą do kutra badawczego. Pitt obserwował nieufnie dwóch roślących oficerów egipskiej marynarki, stojących ramię w ramię przy relingu. Był mile zdziwiony, kiedy jeden z nich; zapewne dowódca łodzi, pomachał przyjaźnie ręką. Zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy zza pleców Egipcjan wypadł mały, ruchliwy człowieczek przeskoczył przez reling i wylądował na jego stopach. Pitt jęknął z bólu, ale powstrzymał się od przekleństw; przeważało uczucie radości.

- Rudi! Skąd się tu wzięłeś?

Rudi Gunn, jeden z wicedyrektorów NUMA, uśmiechnął się szeroko, ściskając dłoń Pitta.

- Prosto z Waszyngtonu - powiedział. - Wylądowałem w Kairze niespełna godzinę temu.

- Co cię sprowadza nad Nil?

- Nie "co", tylko "kto". Admirał Sandecker. Kazał mi porwać was stąd natychmiast; ciebie i Giordina. Mam tutaj samolot firmy, zabierze nas do Port Harcourt. Admirał już tam czeka.

- Port Harcourt? Gdzie to jest?

- Nad Atlantykiem, w Nigerii, w delcie Nigru.

- Skąd ten pośpiech? I po co leciałeś tu osobiście? Nie można było nas wezwać przez telefon albo przez radio?

- Nie - Gunn machnął tylko ręką zamiast wyjaśnienia.

- Dlaczego?

- Sam nie wiem. Admirał mi nie powiedział. Zasłaniał się jakąś tajemnicą.

Nie było sensu dalej pytać. Jeśli Gunn nie wiedział, co chowa w rękawie Sandecker, nikt inny nie mógł tego wiedzieć. Gunn uchodził za geniusza" logistyki. Po ukończeniu akademii marynarki w Annapolis doszedł szybko do stopnia komandora. W NUMA pojawił się mniej więcej w tym samym czasie, co Pitt i Giordino. Okulary w grubej rogowej oprawie nadawały mu poczciwy wygląd mola książkowego, ale Giordino porównywał go raczej do agenta służb podatkowych.

- Wejźmy do środka - rzekł Pitt. - Tu jest za gorąco.

- Czego chcą te typy? - warknął Giordino, odwrócony tyłem do drzwi.

- Te typy chcą cię porwać na koniec świata - powiedział Gunn. Giordino odwrócił się szybko.

- Na litość boską, Rudi, co tu robisz? - wykrzyknął, rozpoznawszy małego człowieczka, po czym uściskał go serdecznie.

- Chcę was zaangażować do innego projektu badawczego.

A więc jednak coś wie, pomyślał Pitt.

- Witam na pokładzie, panie Gunn - rzekł Gary Marx, który wrócił do kabiny z maszynowni.

- Cześć, Gary.

- Ja też mam jechać z panem?

- Nie, zostaniesz tutaj. Jutro przylecą Dick White i Stan Shaw; zastąpią Dirka i Ala w tych badaniach.

- No to przelecą się na darmo - mruknął Marx. - Bo właściwie już skończyliśmy.

Gunn spojrzał pytająco na Pitta. Dopiero po chwili zrozumiał.

- Znaleźliście barkę pogrzebową faraona!

- Mieliśmy niesamowite szczęście - rzekł Pitt. - To dopiero drugi dzień poszukiwań.

- Gdzie ona jest?

- Tutaj, pięć metrów od ciebie. Albo raczej pod tobą.

Pitt wskazał ekran komputera, na którym wciąż widniał przetworzony obraz łodzi.

- Niesamowite! - powiedział Gunn zduszonym tonem, jakby w hołdzie dla spoczywającego na dnie starożytnego majestatu.

- Znaleźliśmy także ponad sto innych wraków - pochwalił się Giordino. - Niektóre są nawet starsze od tego.

- Gratuluję. To naprawdę wielkie odkrycie. Rząd egipski powinien was ozłocić.

- Na razie nie ma czym, chyba że wygrzebie złoto z tego sarkofagu - powiedział Pitt.

- Co to za nowy projekt ma dla nas Sandecker? - zaatakował ponownie.

Gunn nagle spowaźniał. Odwrócił wzrok od monitora.

- Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że to jakaś wredna robota.

- Nie powiedział nic konkretnego?

- Nic, co dałoby się ułożyć w jakąś całość. - Gunn rozejrzał się po kabinie, jakby chciał zyskać na czasie. - Kiedy go spytałem, po co taki pośpiech, odpowiedział mi wierszem. Nie pamiętam dokładnie, ale było tam coś o cieniu statku i o czerwonej wodzie.

Nieoczekiwanie dla wszystkich, Pitt zaczął recytować:

Jej światła iskrzyły się w gorącym oceanie

Jak szron kwietniowy

Lecz gdy ukazał się ogromny cień statku

Woda zakwitła spokojną i straszną czerwienią,

- To fragment wiersza z "Rymów starego marynarza" Coleridge'a - wyjaśnił.

Gunn spojrział na niego z szacunkiem.

- Nie wiedziałem, że znasz na pamięć wiersze.

- Pamiętam tylko kilka krótkich fragmentów - roześmiał się Pitt.

- Ciekawe, co Sandecker miał na myśli - rzekł Giordino. - Stary lis zawsze lubił zagadki, ale ta nie jest w jego stylu.

- Zupełnie nie w jego stylu - przyznał Pitt.

Helikopter Entreprises Massarde wystartował z Bamako i przez dwie godziny leciał na północny wschód nad kompletnym pustkowiem. Wreszcie pilot dostrzegł w oddali dwie lśniące w słońcu nitki stalowych szyn. Dalej leciał już nad torem, który zdawał się prowadzić do nikąd.

Zbudowana przed paroma zaledwie miesiącami linia kolejowa prowadziła jednak do ogromnego zakładu utylizacji szkodliwych odpadów. Przedsiębiorstwo znajdowało się w południowo-zachodniej części Sahary, na terytorium Mali. Nosiło nazwę Fort Foureau, którą zapożyczyło od pobliskiego fortu francuskiej Legii Cudzoziemskiej, od dawna już opuszczonego i nie używanego. Tory biegły stąd prosto na zachód, do granicy Mauretanii i dalej, do odległego o tysiąc sześćset kilometrów atlantyckiego portu Cap Tafari.

Z luksusowego wnętrza helikoptera generał Kazim obserwował jadący w stronę zakładu pociąg: dwie dieslowskie lokomotywy ciągnęły długi sznur wagonów z wielkimi, szczelnie zamkniętymi kontenerami z odpadami. Generał odwrócił wzrok od pociągu i skinął na stewarda; ten natychmiast napełnił mu kieliszek szampanem i podsunął tacę z luksusowymi przekąskami. Na Francuzów można liczyć, pomyślał; zawsze mają pod ręką szampana, trufle i pasztet. W gruncie rzeczy uważał ich jednak za lekkoduchów, którzy nie są w stanie zbudować i utrzymać prawdziwego imperium. Z pewnością odetchnęli z ulgą, kiedy zmuszono ich do odejścia z Afryki i z Dalekiego Wschodu. Dziwne i irytujące było dla niego to, że nie do końca zniknęli z terytorium Mali. Chociaż oficjalnie wycofali się z tej kolonii w 1960 roku, wciąż jeszcze utrzymywali swoje wpływy w gospodarce kraju: w kopalniach, w przemyśle, w transporcie i w energetyce. Wielu francuskich biznesmenów uważało Mali za korzystnego partnera i zawiązało tutaj szereg spółek handlowych. Nikt jednak nie ulokował swoich pieniędzy lepiej niż Yves Massarde.

Zajmując się interesami w dawnych zamorskich terytoriach Francji, Massarde znalazł dla siebie w Mali szczególnie korzystną niszę. Wykorzystał przy tym swoje dawne kontakty i wpływy z wielu przedsiębiorstw zachodniej Afryki. Miał opinię twardego negocjatora. W interesach był bezwzględny i brutalny; mówiono, że nie cofnie się przed niczym, jeśli w grę będzie wchodził jego własny zysk. Jego majątek oceniano na dwa do trzech miliardów dolarów. Spalarnia śmieci w Fort Foureau była obecnie głównym źródłem dochodów imperium Massarde'a. Śmigłowiec zniżył lot. Kazim mógł teraz podziwiać, jak na makiecie, urządzenia "zakładu detoksykacji słonecznej" - bo taką nazwę wymyślił Massarde dla swojej unikalnej, supernowoczesnej instalacji. Szczególne wrażenie robiło rozległe pole parabolicznych luster, skupiających energię słoneczną do temperatury dwunastu tysięcy stopni. Ale Kazim, który znał już ten widok, wolał wypełnić ostatnie chwile lotu jeszcze jednym kawałkiem pasztetu z gęsi z truflami, i jeszcze



jednym kieliszkiem Veuve Clicquot. Helikopter tymczasem osiadł miękko na lądowisku przed budynkiem biurowym.

Kazim wysiadł i przywitał się z czekającym na niego przed budynkiem wicedyrektorem Entreprises Massarde, Felixem Verenne.

- To ładnie z twojej strony, Felix, że wyszedłeś po mnie - powiedział ze złośliwą satysfakcją, widząc jak Francuz smaży się w pustynnym słońcu.

- Miałeś dobrą podróż? - spytał chłodno Verenne.

- Pasztet nieco gorszy niż zwykle - zakpił gość.

Verenne, drobny, łysawy człowiek około czterdziestki, zmusił się do uśmiechu, choć widok Kazima budził w nim jakąś irracjonalną odrazę.

- Jestem pewien, że w drodze powrotnej będzie lepszy.

- Jak się miewa pan Massarde?

- Czeka na górze.

Verenne wprowadził gościa do trzypiętrowego budynku o zaokrąglonych narożnikach, pokrytego czarnym, przeciwsłonecznym szkłem. Przeszli przez marmurowy hali, kompletnie pusty - jeśli nie liczyć strażnika - i weszli do windy. Przed wejściem do apartamentu Massarde'a, który był zarazem jego biurem, minęli kolejny duży hali, wyłożony tekową boazerią. W niewielkim, ale luksusowo urządzonym gabinecie dyrektora Verenne wskazał Kazimowi skórzaną kanapę.

- Proszę się rozgościć - powiedział oficjalnie. - Pan Massarde zaraz...

- Już jestem, Felix - Massarde, który wszedł właśnie drugimi drzwiami, zbliżył się do Kazima i uściskał go ostentacyjnie - Zateb, drogi przyjacielu, cieszę się, że cię widzę!

Spojrzał porozumiewawczo na swego zastępcę. Ten skinął głową i opuścił pokój, zamykając za sobą drzwi.

- Mam wiadomość z Kairu - zaczął Massarde bez żadnych wstępów - że twoim ludziom nie udało się odwieść WHO od zamiaru wysłania misji do Mali.

- Niestety, tak się złożyło. - Kazim wzruszył obojętnie ramionami. - Nie bardzo wiem, dlaczego.

Massarde spojrzał twardo na generała.

- A ja wiem: twoi ludzie, którzy mieli załatwić Evę Rojas nie wykonali zadania.

- Nie ominęła ich kara.

- Zlikwidowałeś ich?

- Tak, nie toleruję partaczy - skłamał Kazim, choć jakaś cząstka prawdy w tym była. Fuszerka jego agentów mocno go zirytowała. Gdyby tylko ich znalazł, na pewno by się z nimi

rozprawił. Wściekły, kazał rozstrzelać oficera, który planował akcję, oskarżywszy go o zdradę i sabotaż.

Massarde nie zaszedłby tak wysoko, gdyby nie umiał trafnie oceniać ludzi. Znał Kazima wystarczająco dobrze, aby wyczuwać jego kłamstwa.

- Nie możemy lekceważyć naszych wrogów - powiedział.

- Ci akurat nie są specjalnie groźni. Nie mają żadnego dostępu do naszych tajemnic.

- Tak sądzisz, Zateb? Podobno już dzisiaj ma wylądować w Gao zespół ekspertów od chorób zakaźnych i zatruc. Jeśli złączą tutaj węszy...

- To znajdą tylko piasek i upał - przerwał Kazim. - Sam mówiłeś, że twoja aparatura kontrolna nie wykazuje żadnych skażeń środowiska. A nie sądzę, by mieli lepszą.

- Tak - zgodził się Massarde - ale trzeba ich mieć na oku.

- Zostaw to mnie. W razie czego zaopiekuje się nimi pustynia.

- Nie spiesz się z tym - ostrzegł Massarde. - Jeśli zginą, pierwsze podejrzenia padną na rząd Mali i Entreprises Massarde. Doktor Hopper, szef tej misji, już wczoraj w czasie konferencji prasowej narzekał na nieprzychylną postawę władz malijskich. Mówił nawet, że jego zespół może tu być narażony na niebezpieczeństwo. Rozrzucić ich kości na pustyni, a od razu będziemy tu mieli armię dziennikarzy i agentów ONZ.

- Nie miałeś tylu skrupułów w sprawie pani doktor Rojas.

- Bo to nie było na naszym podwórku i nie nas obciążały ewentualne podejrzenia.

- Dlaczego w takim razie zgodziłeś się na "tragiczny wypadek" połowy twoich własnych inżynierów i ich rodzin?

- Ich zniknięcie było niezbędne dla ochrony drugiego etapu naszych działań.

- Masz szczęście, że Francuzi przyjęli twoje wyjaśnienia, a gazety paryskie nie opisały sprawy na pierwszych stronach.

- Mam tam trochę przyjaciół - mruknął Massarde. - Ale przyznaję, że bardzo zrecznie pomogłeś mi w tej sprawie. Nie poradziłbym sobie bez twoich pomysłów.

Jak większość ludzi z tych stron, Kazim był bardzo łasy na pochlebstwa, a Massarde umiał to wygrywać. Głęboko gardził generałem, ale wiedział, że bez jego pomocy całe to saharyjskie przedsięwzięcie nie będzie działać. W istocie była to przestępcza spółka, z której jednak Kazim dostawał tylko pięćdziesiąt tysięcy dolarów miesięcznie, za doradztwo. Cóż to znaczyło wobec dwóch milionów dziennie, jakie Massarde - dzięki anielskiej wprost pobłażliwości władz malijskich - wyciągał z zakładów. Tolerował więc Kazima i schlebiał mu, choć po cichu nazywał go nawet wielbłądzim łajnem.

Kazim podszedł do baru i nalał sobie koniaku.

- Co w końcu proponujesz w sprawie Hoppera i jego ludzi?

- To twoja działka - powiedział z pogodnym uśmiechem Massarde. - Mam pełne zaufanie do twoich umiejętności.

Kazim uniósł brwi, robiąc mądrą minę.

- Przede wszystkim, drogi przyjacielu, zlikwiduję problem, którym interesuje się zespół Hoppera.

- Jak to? - zdziwił się Massarde.

- Zrobiłem już dobry początek. Wysłałem oddział mojej gwardii, żeby wystrzelał i pogrzebał wszystkich dotkniętych zarazą.

- Chcesz wybić cały naród? - spytał ironicznie Massarde.

- Przeciwnie, służę narodowi i spełniam patriotyczny obowiązek, zwalczając skutecznie masową epidemię - odparł Kazim, wypinając dumnie pierś.

Chyba naprawdę w to wierzył.

- Stosujesz dość radykalne metody, Zateb. Ale proszę cię jeszcze raz: nie prowokuj niepotrzebnej awantury na skalę międzynarodową. Jeśli przez jakiś głupi przypadek świat dowie się, co tutaj robimy, postawią nas obu przed trybunałem i powieszą.

- Najpierw musieliby mieć dowody, świadków...

- A co z tymi wściekłymi diabłami w Asselar? - przypomniał sobie Massarde. - Też ich wystrzelasz?

- Po co? - Kazim uśmiechnął się cynicznie. - Już się pozagryzali i zjedli nawzajem.

Oczywiście możliwe, że w innych miejscowościach choroba przybrała te same formy. Jeśli ludzie doktora Hoppera trafią do takiej miejscowości w odpowiednim momencie, będą mieli okazję osobiście poznać tę chorobę.

Massarde nie potrzebował dodatkowych wyjaśnień. Znał tajny raport, jaki Kazim dostał na temat masakry w Asselar. Łatwo mógł sobie wyobrazić opanowany szaleństwem tłum, pożerający wysłanników ONZ, tak jak pożarł turystów z Backworld Explorations.

- To rzeczywiście dobry sposób - powiedział. - Można zaoszczędzić na stypie.

- Zgadza się - ucieszył się Kazim z pochwały i z dowcipu Francuza.

- Ale co będzie - zaszepcił się Massarde - jeśli choć jedna osoba przeżyje i wróci do Kairu?

Kazim wzruszył ramionami. Jego wąskie, blade usta wykrzywił złośliwy uśmiech.

- Nie ma obawy. Nikt z tych ludzi nie opuści nigdy pustyni. Nawet w trumnie. Ich kości zostaną tu na zawsze.

Przed dziesięcioma tysiącami lat suche obecnie koryta rzek północno-zachodniej Afryki wypełnione były obficie wodą, a tereny dzisiejszych pustyń porastały lasy, bogate w różnorodną

roślinność. Żyzne obszary były kolebką ludów pierwotnych jeszcze przed końcem epoki kamiennej, zanim przekształciły się one w społeczeństwa pasterskie. Przez następne siedem tysiącleci społeczeństwa te chwytaly i oswajały antylopy, słonie i bawoły, wędrując wciąż w poszukiwaniu nowych terenów wypasu bydła. Z czasem, głównie za sprawą coraz mniejszej ilości opadów, Sahara zmieniła się w ziemię suchą i jałową. Pustynia rozrastała się wciąż, pożerając kolejne obszary tropikalnej sawanny i dżungli. Ludzie stopniowo opuszczali te ziemie; pozostawały tylko najbardziej uparte, a może najbardziej opieszale szczepy nomadów.

Rzymianie pierwsi odkryli wytrzymałość wielbłądów, pierwsi też zainteresowali się terenami pustyni. Używali wielbłądów do transportu niewolników, złota, kości słoniowej oraz dzikich zwierząt, które przewożono następnie przez morze, by dostarczały mocnych wrażeń żądnym krwi tłumom na rzymskich arenach. Karawany rzymskie wędrowały przez Saharę od brzegów Morza Śródziemnego aż do Nigru przez osiem wieków. Kiedy załamała się potęga Rzymu, na pustynię wkroczyli - też dzięki wielbłądom - jasnoskórzy Berberowie, a w ich ślady poszli wkrótce Arabowie i Maurowie.

Mali było ostatnim z wielkich ginących imperiów czarnej Afryki. We wczesnym średniowieczu wielkimi szlakami saharyjskich karawan władało wielkie królestwo Ghany. W 1240 roku Ghanę opanowały południowe plemiona Mandingów, którzy utworzyli tu jeszcze większe królestwo Malinke - od czego powstała późniejsza nazwa Mali. Państwo kwitło, a Gao i Timbuktu, jego główne miasta, stały się głośnymi w świecie ośrodkami nauki i kultury islamu.

Legendy o nieprzebranych bogactwach, przewożonych karawanami, krążyły szeroko po całym Oriencie, jak jeszcze niedawno, błędnie ale z uporem, nazywali Europejczycy tereny między Nigrem a Gangesem. Jednak dwieście lat później i to imperium zaczęło upadać, gdy od północy zaatakowały je plemiona Tuaregów i Fulanów. Od wschodu wkroczył na Saharę szczep Songhai, który stopniowo przejął nad nią pełną władzę. Wreszcie w roku 1591 doprowadzili swe wojska aż do Nigru sułtani marokańscy - i zrujnowali kraj do reszty. W początkach dziewiętnastego wieku, kiedy do Mali dotarli kolonizatorzy francuscy, nikt już nie pamiętał o dawnej świetności imperium.

U progu dwudziestego wieku terytoriom zachodniej Afryki nadano nazwę Francuskiego Sudanu. Dopiero w roku 1960 Mali ogłosiło niepodległość; uchwalono konstytucję i stworzono własny rząd. Pierwszego prezydenta przepędziła grupa oficerów, dowodzona przez porucznika Moussa Traore. W roku 1992, po kilku nieudanych zamachach stanu, prezydent - wtedy już generał - Traore został usunięty przez niejakiego Zateba Kazima, podówczas majora. Kazim zorientował się jednak szybko, że jako wojskowy dyktator nie mógłby liczyć na zagraniczną pomoc i kredyty, powołał więc cywilnego prezydenta-marionetkę, Tahira. Zręcznie manipulując

opinią krajową i zagraniczną, obsadził parlament swoimi kumplami i zaprzyjaźnił się z Francją, dystansując się jednocześnie i od Stanów Zjednoczonych, i od Związku Sowieckiego.

Wkrótce samodzielnie już kontrolował cały handel krajowy i zagraniczny, systematycznie powiększając swoje sekretne konta bankowe na całym świecie. Krępowały go co prawda restrykcje celne, umiał jednak doskonale czerpać duże zyski z przygranicznego szmuglu. Prowizje od przedsiębiorców francuskich, zwłaszcza takich jak Yves Massarde, zrobiły z niego multimilionera. Jednocześnie, rzecz zdumiewająca, Mali stało się jednym z najbiedniejszych państw świata. Można to było wytłumaczyć jedynie geniuszem korupcji Kazima i niebywałą zachłannością jego urzędników.

Boeing 737 ze znakami Organizacji Narodów Zjednoczonych leciał już bardzo nisko. Evie wydawało się, że samolot zahaczy skrzydłem o dach którejś z glinianych chat. W końcu jednak znalazł się nad prymitywnym lotniskiem legendarnego miasta Timbaktu i twardo uderzył kołami o ziemię. Eva patrzyła przez iluminator. Nie mogła uwierzyć, że ta zaniedbana osada liczyła kiedyś ponad sto tysięcy mieszkańców i była najważniejszym ośrodkiem handlowym imperiów Ghany, Malinke i Songhai.

Nie było widać żadnych śladów dawnej świetności, może z wyjątkiem trzech starych, okazałych meczetów. Miasto wyglądało na martwe i opuszczone. Wąskie, kręte uliczki zdawały się prowadzić do nikąd. Życie, które w nich się toczyło, było ubogie i bezbarwne.

Hopper nie tracił czasu. Znalazł się na płycie lotniska, zanim jeszcze pilot wyłączył silniki. Oficer gwardii Kazima, w uproszczonym niebieskim zawoju na głowie, zbliżył się do niego i zasalutował.

- Doktor Hopper, jak sądzę?

- A ja mam zapewne przyjemność z panem Stanleyem? - odparł Hopper w przyпыwie dobrego humoru.

Na twarzy malijskiego oficera nie pojawił się uśmiech zrozumienia. Patrzył na Hoppera nieprzychylnie i podejrzliwie.

- Jestem kapitan Mohammed Batutta. Zaprowadzę pana do biura dyrekcji lotniska. To w budynku dworca.

Hopper spojrzał na budynek, którego od zwykłej blaszanej szopy różniły tylko oszklone okna.

- Oczywiście - rzekł sucho. - Jeśli tylko tyle może pan dla mnie zrobić...

Weszli do baraku. W małym dusznym pomieszczeniu, za odrapanym drewnianym stołem siedział inny, starszy od Batutty rangą oficer. Przez chwilę mierzył Hoppera nieprzyjaznym wzrokiem.

- Jestem pułkownik Nouhoum Mansa. Czy mogę zobaczyć pański paszport?

Hopper miał przy sobie sześć paszportów, które zebrał od całego zespołu. Mansa wertował ich kartki bez specjalnego zainteresowania, jedynie narodowość zwracała jego uwagę.

- W jakim celu przylecieliście do Mali?

Hopper nie miał ochoty ani czasu na bzdurne formalności.

- Sądzę, że dobrze zna pan cel naszej wizyty.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Działamy z upoważnienia WHO - odparł Hopper oficjalnym tonem. - Będziemy badać

przyczyny epidemii, szerzącej się w waszym kraju.

- U nas nie ma żadnej epidemii - rzekł twardo pułkownik.

- W takim razie weźmiemy jedynie do analizy próbki wody i powietrza z różnych miejscowości nad Nigrem.

- Nie lubimy cudzoziemców, którzy szukają w naszym kraju dziury w całym.

Hopper nie miał zamiaru ustępować przed głupim urzędnikiem.

- Jesteśmy tu po to, by ratować ludzkie życie. Myślałem, że generał Kazim zdaje sobie z tego sprawę.

Mansa zeszywniał. Fakt, że Hopper powołał się na Kazima, a nie na oficjalnego prezydenta kraju, Tahira, zupełnie zbił go z tropu.

- Generał Kazim... wyraził zgodę na waszą wizytę?

- Proszę do niego zadzwonić i spytać.

To był blef, ale Hopper nie miał nic do stracenia. Mansa wstał i podszedł do drzwi.

- Niech pan tu zaczeka - powiedział rozkazującym tonem.

- Proszę powiedzieć generałowi, że sąsiednie kraje nie tylko zaprosiły naukowców z WHO, ale obiecały im wszelką pomoc w poszukiwaniu źródeł zarazy. Jeśli rząd Mali postąpi inaczej, skompromituje się tylko w oczach opinii światowej.

Mansa nic nie odpowiedział i wyszedł z pokoju. Hopper posłał pilnującemu go kapitanowi najbardziej pogardliwe spojrzenie, na jakie potrafił się zdobyć. Batutta odwrócił na chwilę wzrok, potem zaczął przemierzać powoli pokój tam i z powrotem.

Mansa wrócił po pięciu minutach i zasiadł przy biurku. Bez słowa wstemplował wizy do wszystkich paszportów, po czym oddał dokumenty Hopperowi.

- Otrzymaliście zgodę na pobyt w Mali w celu prowadzenia badań. Ale proszę pamiętać, doktorze, że pan i pana ludzie jesteście tutaj tylko gośćmi. Nikim więcej. Jeśli podejmiecie działania, mogące przynieść szkodę interesom Mali, lub będziecie wypowiadać publicznie opinie szkalujące nasz kraj - zostaniecie deportowani.

- Dziękuję, pułkowniku. Proszę także podziękować generałowi Kazimowi za jego uprzejmość.

- Kapitan Batutta i dziesięciu jego ludzi będą wam towarzyszyć w podróży. To dla waszego bezpieczeństwa.

- Ochrona osobista! To za wielki honor dla skromnych uczonych.

Mansa zignorował ironiczną uwagę.

- Rezultaty badań będzie pan przekazywał na moje ręce.

- W jaki sposób mam to robić, kiedy będę w terenie?

- Kapitan zapewni panu niezbędne środki łączności.
- Myślę, że będzie nam się dobrze współpracować - rzekł Hopper do Batutty chłodno.
- Będziemy potrzebowali dużego samochodu osobowego, najlepiej z napędem na cztery

koła, i dwu furgonetek do przewozu sprzętu - zwrócił się do Mansy.

- Załatwię wam samochody wojskowe.

Hopper zrozumiał, że Mansa chce uratować twarz.

- Dziękuję, pułkowniku - zdobył się na oficjalną serdeczność.

- To piękny i hojny gest z pana strony. Generał Kazim może być dumny, że ma tak ofiarnego oficera.

Mansa nadał się, a w jego oczach pojawił się triumf.

- Tak, generał wielokrotnie wyrażał uznanie dla mojej lojalności i dobrej służby.

Rozmowa była skończona. Hopper wrócił do samolotu i wraz z innymi zajął się wyładowywaniem sprzętu i bagażu. Mansa obserwował ich przez okno z ledwo dostrzegalnym ironicznym uśmiechem.

- Czy mam ograniczyć ich trasę do terenów publicznie dostępnych? - spytał Batutta.

- Nie, niech jadą, gdzie im się podoba.

- A jeśli Hopper natrafi na oznaki zarazy?

- To nie ma znaczenia. Przynajmniej dopóki ja kontroluję wszystkie jego raporty i mogę eliminować z nich szkodliwe treści. Pokażemy światu, że nasz kraj jest wolny od wszelkiej zarazy.

- No, ale jak wrócą do swojej centrali... - Batutta zawahał się.

- To powiedzą, co naprawdę tu znaleźli? Tak, to byłoby możliwe

- Mansa oderwał wzrok od samolotu ONZ i spojrzął na Batuttę wzrokiem, w którym czaiła się groźba. - Chyba że mieliby w drodze powrotnej tragiczny wypadek.



Pitt zdrzemnął się nieco w odrzutowcu NUMA, który wioził go z Egiptu do Nigerii.

Obudził go dopiero widok Rudiego Gunna, niosącego z drugiego końca pokładu trzy dymiące kubki. Biorąc swoją kawę Pitt spojrzął na Gunna z rezygnacją, pełen niezbyt radosnych przeczuć.

- Gdzie w Port Harcourt mamy spotkać się z admirałem?- spytał.

- Prawdę mówiąc, nie ma go w Port Harcourt. Czeka na jednym z naszych okrętów badawczych, dwieście kilometrów od brzegu...

Pitt spojrzął wzrokiem myśliwskiego psa, który dopadł lisa.

- Mów dalej, Rudi.

- Czy Al też się napije kawy? - zmienił bezpiecznie temat Gunn, patrząc na pogrążonego w głębokim śnie Giordina.

- Daj mu spokój. Nie obudzisz go nawet armatą.

Gunn usiadł na fotelu po drugiej stronie przejścia.

- Nie mogę ci powiedzieć, jakie są plany admirała, ponieważ sam ich nie znam. Podejrzewam tylko, że ma to jakiś związek z prowadzonymi na rafach koralowych badaniami biologów NUMA.

- Tak, słyszałem o tych badaniach. Ale ich wyniki były znane, zanim ruszyliśmy do Egiptu.

Pitt miał satysfakcję, że tym razem Gunn nie wie więcej od niego. Byli w bardzo dobrych stosunkach, wiele ich jednak różniło. Gunn był intelektualistą z dyplomami i tytułami naukowymi w dziedzinie chemii, finansów i oceanografii. Najlepiej czuł się w mrocznych bibliotekach, obłożony książkami, przy analizowaniu raportów badawczych i obmyślaniu nowych projektów. Pitt natomiast lubił zajęcia praktyczne, zwłaszcza dłubanie w mechanizmach starych, klasycznych samochodów, które kolekcjonował. Jego nałogiem była też przygoda. Czuł się jak w raj, lecąc prymitywnym, staroświeckim samolotem albo nurkując w poszukiwaniu historycznych wraków. Był inżynierem nie tylko z wykształcenia, ale i z powołania; z pasją podejmował zadania, które innym wydawały się niewykonalne. W przeciwieństwie do Gunna, rzadko można było go spotkać przy biurku czy w laboratoriach waszyngtońskiej centrali NUMA. Wolał osobiście badać morskie głębiny.

- Rify koralowe są w niebezpieczeństwie - kontynuował Gunn. - Obumierają w nie spotykanym dotąd tempie. To jest teraz temat numer jeden badaczy życia morskiego.

- Jakich oceanów to dotyczy?

- Pacyfiku, od Hawajów do Indonezji, Morza Czerwonego oraz Atlantyku w rejonie

Karaibów i przy brzegach Afryki.

- Wszędzie z taką samą intensywnością?

- Nie. Tempo obumierania raf jest różne. Najgorzej jest wzdłuż wybrzeży zachodniej Afryki.

- Sądziłem, że to normalna kolej rzeczy: koralowce obumierają, kostnieją, potem odradzają się na nowo...

- Tak - przyznał Gunn - to proces cykliczny. Ale tym razem faza obumierania przybrała rozmiary i tempo katastrofy. Nigdy jeszcze nie obserwowaliśmy czegoś takiego.

- Czy wiecie już coś o przyczynach?

- Rozpoznaliśmy dwa czynniki. Jeden to, jak zawsze, zbyt ciepła woda. Wywołany cyrkulacją prądów morskich okresowy wzrost temperatury powoduje, że delikatne polipy wymiotują, albo, jeśli wolisz, wypluwają algi, które stanowią ich główny pokarm.

- Niewiele wiem o rafach koralowych - przyznał Pitt. - Walka o byt w głębinach morskich rzadko bywa przedmiotem dzienników telewizyjnych.

- I to mówi pracownik NUMA? Powinieneś się wstydzić, tym bardziej że zmiany w rafach koralowych są bardzo dobrym barometrem tego, co w ogóle dzieje się w oceanach; pozwalają też przepowiadać pogodę...

- No dobrze - przerwał Pitt zmęczony reprimendą. - Więc polipy zaczęły wypluwać algi. I co dalej?

- To właśnie algi nadają koralom żywy kolor. Bez tego pokarmu polipy bledną i wiotczeją; zjawisko znane jako blaknięcie raf...

- ... które jednak nie zdarza się w chłodniejszych wodach.

- Po co ja ci to wszystko mówię, skoro i tak już wiesz?

- Czekam, aż dojdiesz do najważniejszego.

- Pozwól, że skończę kawę, zanim całkiem wystygnie. Zapanowała cisza. Picie kawy przedłużało się w nieskończoność i Pitt zaczynał się niecierpliwić.

- No więc, ciepła woda jest jedną z przyczyn obumierania raf. Jaka jest druga?

Gunn pedantycznie mieszał resztki na dnie kubka.

- Nowe zagrożenie, krytyczne, to nagłe pojawienie się w wielkiej masie grubych, zielonych alg, które przykrywają całą rafę czymś w rodzaju szczelnego koca.

- Dlaczego koralowce nie karmią się tymi algami? Dlaczego je, jak mówisz, "wypluwają"?

- Tracą apetyt pod wpływem ciepłej wody i ciemności. Gruba warstwa zielonych alg nie przepuszcza światła, utrudnia też cyrkulację chłodniejszych wód. Robi się błędne koło: im cieplej i ciemniej, tym mniej koralowce jedzą, a im mniej zjadają alg, tym cieplej i ciemniej.

Pitt przegarnął palcami czarne włosy.

- Miejmy nadzieję, że to się zmieni, jak tylko pojawią się znowu zimne prądy.

- Nie można na to liczyć - rzekł Gunn. - W każdym razie nie na południowej półkuli, i nie w tej ani w następnej dekadzie.

- Sądzisz, że jest to związane z efektem cieplarnianym?

- Nie tylko. Trzeba uwzględnić różne zanieczyszczenia środowiska.

- Ale nie masz pewności co do głównej przyczyny?

- Całkowitej pewności nie ma nikt, ani w NUMA, ani gdzie indziej.

- Coś takiego! Zawsze myślałem, że uczeni profesorowie od razu mają na wszystko jakąś teorię.

Gunn uśmiechnął się blado.

- To niby ja jestem tym uczonym profesorem?

- Och, przepraszam, tak mi się tylko powiedziało.

- Lubisz przypinać ludziom łatki.

- Tylko uczonym profesorom.

- No dobrze - wrócił do tematu Gunn - nie jestem królem Salomonem, ale skoro mnie pytasz, to rzeczywiście mam pewną hipotezę, którą równie dobrze mogłoby sformułować dziecko. Po tylu latach wrzucania do morza wszelkich śmieci, odpadów przemysłowych i chemikaliów zakłócono delikatną równowagę biologii morskiej. Zapłacimy za to - jeśli nie my sami, to nasze wnuki - słoną cenę.

Pitt nigdy jeszcze nie słyszał z ust Gunna tak poważnych słów.

- To czarna prognoza - posiedział.

- Bo wydaje mi się, że przekroczyliśmy już punkt krytyczny.

- Nie dopuszczasz możliwości jakiegoś pozytywnego zwrotu?

- Nie - odparł ponuro Gunn. - Zbyt długo nie zwracano w ogóle uwagi na katastrofalny stan wód morskich. Teraz jest już za późno.

Pitt słuchał tego z pewnym zdziwieniem. Nie podejrzewał zastępcy szefa NUMA o tak wielkie zaangażowanie w tę sprawę. Sam zresztą nie był aż tak wielkim pesymistą. Owszem, oceany są chore, ale do ich zagłady raczej jeszcze daleko.

- Zostawmy to na razie, Rudi, i przejdźmy do konkretów. Admirał nie spodziewa się chyba po nas, że za jednym zamachem zbawimy cały świat?

- Chyba nie...

Gdyby wiedzieli, jak bardzo myślą się co do planów i oczekiwań admirała, z pewnością sterroryzowałoby pilota i kazaliby mu lecieć z powrotem do Kairu.

Na płycie lotniska towarzystwa naftowego na peryferiach Port Harcourt nie zabawili długo. Przesiedli się do helikoptera i polecili nad Zatokę Gwinejską. Czterdzieści minut później maszyna zawisała nad Sounderem, statkiem badawczym NUMA, który Pitt i Giordino dobrze już znali z trzech poprzednich ekspedycji. Zbudowany kosztem osiemdziesięciu milionów dolarów, studwudziestometrowy statek był wyposażony w najnowocześniejsze sejsmografy, sonary i batymetry. Śmigłowiec wylądował na rufie statku, na swoim stałym miejscu za nadbudówką. Pitt wyskoczył na pokład pierwszy, za nim Gunn. Ostatni wygrzebał się z helikoptera Giordino. Stawiał kroki ciężko i ospale, ziewając przy tym bezwstydnie. Nie zmniejszyło to serdeczności powitania; na pokładzie czekało paru starych znajomych z załogi statku i z personelu naukowego.

Pitt czuł się tu jak u siebie. Szybko wspiął się po drabince do awaryjnych drzwi głównego laboratorium. Przeszedł przez zastawione gęsto aparaturą pomieszczenie robocze i znalazł się w sali konferencyjnej. Jak na statek badawczy, wewnątrz było przytulne i komfortowe. Na środku stał długi mahoniowy stół, wokół niego wygodne skórzane fotele. Przed dużym ekranem, odwrócony tyłem do Pitta, stał czarnoskóry mężczyzna. Wydawał się całkowicie zajęty studiowaniem wyświetlonego na ekranie diagramu.

Był co najmniej dwadzieścia lat starszy od Pitta i znacznie od niego wyższy; mógł mieć nawet ponad dwa metry. Sposób poruszania się zdradzał byłego koszykarza. Uwaga Pitta i jego dwóch przyjaciół skupiła się jednak na kimś innym. Za stołem siedział niski, niepozorny, a jednak od razu wzbudzający szacunek mężczyzna z wielkim cygarem w kąciku ust. Wąski owal twarzy, zimne i władcze niebieskie oczy, siwiejący rudy język na głowie i krótko przystrzyżona broda dawały mu wygląd emerytowanego admirała.

Był nim w istocie; granatowa marynarka ze złotymi kotwicami na kieszeni nie pozostawiała co do tego żadnych wątpliwości.

Admirał James Sandecker, mózg i sternik Agencji Badań Morskich i Podwodnych, uśmiechnął się szeroko, wstał i ruszył z otwartymi ramionami w kierunku przybyłych.

- Dirk! Al! - przywitał ich z wyrazem zdziwienia na twarzy, jakby nie spodziewał się ich wizyty. - Gratuluję odkrycia legendarnej barki faraona. Świetna robota.

Dopiero teraz dostrzegł Gunna i skinął mu głową.

- Widzę, Rudi, że udało ci się ich aresztować bez trudności.

- Jagnięta same przyszły pod nóż - Gunn uśmiechnął się krzywo.

Pitt spojrział na niego surowo, potem zwrócił się do Sandeckera:

- Wezwał pan nas znad Nilu w strasznym pośpiechu. Dlaczego?

Sandecker udał obrażonego.

- Cóż to, nie powiecie już nawet: "miło nam pana zobaczyć" albo przynajmniej "cześć"? Nikt się nie wita ze starym szefem, który odwołał kolację z piękną dziewczyną i leciał tu sześć tysięcy mil tylko po to', by pogratulować wam wielkiego wyczynu!

- Jeśli tylko o to chodzi - zaczął Giordino, który zdążył już rozsiaść się wygodnie w fotelu - dlaczego nic nie słyszę o jakiejś podwyżce, nagrodzie, albo przynajmniej o dwutygodniowym płatnym urlopie ekstra? Już dawno nie byłem na Broadwayu.

- Na to też przyjdzie pora. Na razie pojedziecie na małą wycieczkę po rzece Niger.

- Znow rzeka? - mruknął niechętnie Giordino. - No trudno. Ale starych wraków nie będę więcej szukał!

- Nie będzie wraków - zapewnił Sandecker.

- A co będzie? - spytał poważnie Pitt.

- I kiedy ruszamy na tę wycieczkę? - dorzucił Giordino.

- Jutro o świcie. Ale może wszystko po kolei...

Sandecker wskazał wzrokiem wysokiego Murzyna przed ekranem.

- Pozwólcie, że przedstawię wam doktora Darcy Chapmana; jest naczelnym toksykologiem w Laboratorium Morskim Goodwina w Laguna Beach.

- Miło mi panów poznać - odezwał się Chapman głosem jak ze studni. - Jestem pod wrażeniem waszych wspaniałych dokonań.

- Założyłbym się, że grał pan kiedyś w "Denver Nuggets" - mruknął Gunn, odchylając silnie głowę do tyłu, by móc popatrzeć mu w oczy.

- Tak, dopóki kolana mi nie wysiadły - uśmiechnął się Chapman. - Ale dzięki temu szybko wróciłem na studia i zrobiłem doktorat z biologii.

Gunn i Pitt uścisnęli jego dłoń. Senny wciąż Giordino pomachał tylko ręką, nie wstając z fotela. Sandecker tymczasem zamawiał już przez telefon obiad dla wszystkich.

- Zdążymy jeszcze pogadać - wyjaśnił, odkładając słuchawkę. - Do jutra daleko.

- Coś mi się zdaje - rzekł Pitt z namysłem - że pakuje pan nas w jakąś śmierdzącą robotę.

- To prawda, ta robota rzeczywiście może być śmierdząca - odparł Sandecker i skinął na Chapmana.

Biolog podszedł do dużej mapy, wiszącej na ścianie. Wiła się na niej meandrami niebieska wstęga rzeki.

- Niger - zaczął - po Nilu i Kongo trzecia co do długości rzeka Afryki. Ma źródła w Gwinei, zaledwie trzysta kilometrów od Atlantyku; płynie jednak na północny wschód i dopiero potem długim łukiem, liczącym ponad cztery tysiące kilometrów, zawraca do oceanu. Kończy się rozległą deltą na terytorium Nigerii. Na którymś odcinku rzeki - nie wiemy gdzie - woda staje

się silnie toksyczna. To skażenie dociera do oceanu, gdzie powoduje groźne skutki... Tak groźne, że nie będzie przesadą użycie słowa APOKALIPSA.

- Apokalipsa?! - Pitt myślał, że się przesłyszał.

- Tak, to właściwe określenie - potwierdził Sandecker. - Wschodni Atlantyk umiera z powodu szybko rozprzestrzeniającego się skażenia. Sytuacja przybrała charakter reakcji łańcuchowej. Giną wszystkie formy podwodnego życia.

- Może to doprowadzić do radykalnej zmiany klimatu - rzekł Gunn.

- To jeszcze najmniejsze z naszych zmartwień - zauważył Sandecker. - Wszystko to może się zakończyć całkowitą zagładą życia na Ziemi, w tym także naszego gatunku.

- Czy nie przejaskrawia pan zagrożenia, admirale? - Gunn spojrział na niego sceptycznie.

- "Czy nie przejaskrawiam zagrożenia?" - powtórzył sarkastycznie Sandecker. - Już drugi raz to słyszę! Tymi samymi słowami poczęstował mnie jakiś kretyń w Kongresie, kiedy próbowałem ich ostrzec i prosiłem, by się tym zajęli. Interesuje ich tylko utrzymanie władzy; obiecują ludziom złote góry, żeby tylko ich ponownie wybrano. Rzygać mi się chce, kiedy słucham tych nie kończących się, idiotycznych debat. Brak im odwagi, żeby podjąć jakikolwiek trudniejszy temat. Cały ten dwupartyjny system stał się jednym wielkim bagnem oszustw, przestępstw i afer. Demokracja, dokładnie tak samo jak komunizm, doszczętnie się skorumpowała i zdemoralizowała. Kogo dziś obchodzi, że oceany umierają?

Wzrok Sandeckera był twardy, a usta zaciśnięte. Pitt nigdy jeszcze nie widział go w takim stanie.

- Szkodliwe substancje wylewa się do prawie wszystkich rzek świata - rzekł spokojnie, próbując powrócić do rzeczowego tonu rozmowy. - Co jest tak szczególnego w zanieczyszczeniu Nigru?

- A to, że tylko u ujścia Nigru zjawisko znane jako "czerwony zakwit" przybrało rozmiary kataklizmu.

- Woda zakwitła spokojną i straszną czerwienią... - przypomniał sobie Pitt.

- Czerwony zakwit - wyjaśnił Chapman - to mikroskopijne organizmy z grupy wiciowców, zawierające czerwony pigment. Kiedy pojawiają się w dużej masie, woda przybiera rdzawobrunatny odcień.

Znowu nacisnął guzik pilota. Na ekranie ukazał się obraz dziwnego mikroorganizmu.

- Czerwony zakwit jest zjawiskiem znanym od dawna. Nie można wykluczyć że "czerwone morze" Mojżesza to Nil zabarwiony tymi glonami. Również Homer i Cycero wspominają o czerwonym kwitnieniu morza. W nowszych czasach pierwszy pisał o tym Darwin, w notatkach z wyprawy statku Beagle. Potem zjawisko to obserwowano w różnych częściach świata. Niedawno na przykład przy zachodnich wybrzeżach Meksyku. Woda stała się tam szlamista i szkodliwa.

Czerwony zakwit spowodował śmierć milionów ryb, mięczaków, skorupiaków i żółwi. Zamknięto plaże na odcinku dwustu mil. Setki mieszkańców wybrzeża i turystów zmarło po zjedzeniu ryb zarażonych trującymi wiciowcami.

- Zdarzyło mi się kiedyś nurkować w czerwonym zakwiecie i jakoś nic mi się nie stało - powiedział sceptycznie Pitt.

- Miał pan szczęście trafić na nieszkodliwą odmianę - wyjaśnił Chapman. - Niestety, ostatnio pojawiła się nowa odmiana tych wiciowców, produkująca toksyny o wyjątkowo silnym działaniu. Kontakt z nimi powoduje natychmiastową śmierć wszystkich form podwodnego życia. Co najgorsze, giną okrzemki.

- Dlaczego to właśnie jest najgorsze? - spytał Giordino.

- Okrzemki, drobne formy roślinne żyjące w morzu, produkują siedemdziesiąt procent tlenu dla atmosfery ziemskiej; tylko trzydzieści pochodzi z fotosyntezy roślin lądowych. Jeśli okrzemki w oceanach wymrą, wytrute czerwonym zakwitem, umrzemy wszyscy z braku tlenu. Bo to, co produkują rośliny lądowe, w żadnym razie nie wystarczy dla miliardów organizmów ludzkich i zwierzęcych.

- A może te glony zjedzą się nawzajem i będzie święty spokój? - spytał półzartem Giordino.

- Niestety, rozmnażają się dziesięć razy szybciej, niż giną. W wodzie pobranej z tych okolic przypada ich już miliard na każdy galon, podczas gdy w zbadanych dawniej przypadkach czerwonego zakwitu nie było ich w galonie wody więcej niż kilka tysięcy.

- Może w chłodniejszych wodach, dalej od równika, nie będą rozmnażać się tak szybko? - zasugerował Gunn.

- Niestety - rzekł Sandecker - tu nie działają normalne prawidłowości; to jakaś silna mutacja, odporna na znaczne nawet zmiany temperatury wody.

- Więc nie ma nadziei na zatrzymanie ekspansji tych glonów?

- Nie ma, chyba że ludzie podejmą skuteczną ingerencję - odpowiedział Chapman.

- Czy macie już jakąś hipotezę na temat przyczyn tej ekspansji? - spytał Pitt.

- Jeszcze nie. Podejrzewamy tylko, że przyczyną jest jakieś osobliwe skażenie wód Nigru. Jakaś substancja pobudzająca płodność tych mikroorganizmów.

- Więc może skuteczne byłoby jakieś antidotum? - spytał rzeczowo Giordino. - Na przykład środki chemiczne?

- Pestycydy? - odpowiedział pytaniem Chapman. - Nie, to mogłoby tylko jeszcze bardziej pogorszyć ogólny stan mórz. Lepszym rozwiązaniem byłoby zablokowanie źródeł skażenia.

- Kiedy przewiduje pan tę... apokalipsę? - Pittowi wciąż jeszcze to słowo nie chciało



przejsć przez gardło.

- Jeśli nie uda się powstrzymać dopływu substancji stymulującej, za cztery miesiące będzie już za późno na ratunek. Rzecz w tym, że te glony w pewnym momencie staną się samowystarczalne: produkowana przez nie toksyna jest zarazem stymulatorem ich własnej płodności!

Chapman przerwał i włączył ponownie ekran.

- Według wyliczeń komputera najdalej za osiem, dziesięć miesięcy ludzie zaczną umierać wskutek niedostatku tlenu. Pierwszymi ofiarami będą dzieci, ze względu na małą pojemność płuc. Objawy będą straszne: duszność, zsinienie skóry, nieodwracalna śpiączka. Nie zazdroścę tym, którzy przeżyją najdłużej i będą to wszystko oglądać.

Giordino patrzył na Chapmana z niedowierzaniem.

- Przecież nie można dopuścić do takiej katastrofy!

Pitt podszedł do ekranu, by dokładniej przestudiować martwe liczby, nieubłaganie wieszczące zagładę ludzkości. Potem odwrócił się do Sandeckera.

- A więc chodzi o to, żebyśmy - Al, Rudi i ja - popłynęli w górę rzeki i badali wodę tak długo, aż zlokalizujemy źródło skażenia. A potem mamy jeszcze wymyślić jakiś sposób, żeby zakręcić kurek?

Sandecker skinął głową.

- A tymczasem my w NUMA spróbujemy wynaleźć substancję neutralizującą czerwony zakwit.

Pitt przyjrzał się uważnie wiszącej na ścianie mapie Nigru.

- A jeśli nie znajdziemy tego źródła w granicach Nigerii?

- To popłyniecie dalej na północ, tam gdzie rzeka rozdziela ludy Beninu i Nigru, a jak będzie trzeba, to i do Mali.

- Jak wygląda sytuacja polityczna w tych krajach? - spytał Pitt.

- Niestety, nie najlepiej.

- Co to znaczy: nie najlepiej?

- W Nigerii - zaczął wykład Sandecker - trwa polityczne wrzenie. Demokratyczny rząd został miesiąc temu obalony przez wojskowych; to już ósmy zamach stanu w ciągu dwudziestu ostatnich lat - a mówię tylko o zamachach udanych. Nadto kraj wyniszczają zwykle w tym rejonie wojny etniczne i starcia muzułmanów z chrześcijanami. Jednocześnie bojówki opozycyjne mordują masowo funkcjonariuszy administracji rządowej, oskarżając ich o korupcję.

- Przyjemne miejsce... - mruknął Giordino.

- W Ludowej Republice Beninu - ciągnął dalej Sandecker - mocno trzyma się dyktatura prezydenta Ahmeda Tougouri. Natomiast władze Nigru, po drugiej stronie rzeki, siedzą w kieszeni u Muammara Kadafigo, który chciałby się dostać do tamtejszych złóż uranu. Ta granica to szczególnie trudny odcinek; radzę wam płynąć środkiem rzeki i nie zbliżać się do brzegów.

- A Mali? - spytał Pitt.

- Prezydent Tahir to przyzwoity człowiek, ale całkowicie zależny od generała Zateba Kazima, który kieruje trzyosobową Radą Wojskową. Rządy tej Rady są wyjątkowo krwawe, a co najgorsze rzeczywisty dyktator, Kazim, sprytnie kryje się za rzekomo demokratycznym parlamentem...

Sandecker dostrzegł, że Pitt i Giordano wymieniają ironiczne uśmiechy.

- O co chodzi? - spytał.

- "Wycieczkowy rejs po Nigrze"... - powtórzył Pitt niedawne słowa admirała. - Trzeba tylko przepłynąć tysiąc kilometrów między brzegami porośniętymi buszem, w którym czają się żądni krwi rebelianci, wymknąć się uzbrojonym łodziom patrolowym i od czasu do czasu wziąć paliwo, ale tak, żeby cię nie aresztowali jako obcego szpiega. A do tego jeszcze stale pobierać próbki wody. To łatwe, admirale, całkiem łatwe - tylko cholernie przypomina próbę samobójstwa.

- Owszem - zgodził się Sandecker - to rzeczywiście tak wygląda, ale przy odrobinie szczęścia możecie z tego wyjść bez większych szkód.

- Jak mi urwą łeb, to będzie większa, czy mniejsza szkoda?

- Nie próbowaliście badać skażenia z satelitów? - Giordano postanowił przerwać jałową polemikę.

- Wyniki nie byłyby wystarczająco dokładne - odparł Chapman. - Za duża odległość.

- A z samolotów zwiadowczych?

- To też na nic. Żeby naprawdę coś wiedzieć, trzeba mieć próbki wody, a tego nie da się zrobić przy szybkości naddźwiękowej.

- Sounder ma świetnie wyposażone laboratoria - rzekł Pitt. - Można by nim wejść w deltę Nigru i tam zbadać przynajmniej typ i stopień skażenia.

- Próbowaliśmy, ale władze Nigerii nie pozwoliły nam wejść głębiej w deltę. Tam, gdzie nas dopuścili, nie wykryliśmy nic szczególnego.

- Możemy coś osiągnąć tylko małą, ale dobrze wyposażoną łodzią badawczą - rzekł Sandecker.

- Czy nasz Departament Stanu wystąpił o zgodę na takie badania? - spytał Gunn.

- Tak. Nigeria i Mali odrzuciły tę prośbę. Przyjeżdżali nawet znani naukowcy, żeby ich przekonać, ale tutejsze władze lekceważą ich argumenty. Trudno mieć do nich o to pretensję; przywódcy afrykańscy nie są na ogół tytanami intelektu, poza tym nie potrafią spojrzeć na tę sprawę z perspektywy globalnej.

- A nie niepokoi ich wysoki wskaźnik śmiertelności wśród ludzi, którzy piją wodę z Nigru?

- Nie sędzę, żeby zwracali na to uwagę - rzekł Sandecker. - Ta rzeka niesie różne niebezpieczne skażenia, nie tylko chemiczne, ale i ścieki z wielu miast i osad nad brzegiem. Zatrucia wodą z Nigru są częste i uważa się je za rzecz normalną.

- A więc musimy sobie radzić sami i płynąć tam nielegalnie - stwierdził Pitt.

- Na to wychodzi - przyznał admirał.

- Założę się, że ma pan już jakiś pomysł, jak to zrobić.

- Tak - odparł lakonicznie Sandecker.

- A może pan nam na przykład powiedzieć - spytał Gunn - w jaki sposób możemy dotrzeć do źródeł skażenia i wrócić cało?

- Mogę, to żaden sekret. Popłyniecie jako trzech francuscy biznesmeni, którzy wybrali się na roboczą wycieczkę po zachodniej Afryce, by zbadać możliwości inwestycji.

Na twarzach Gunna i Giordina odmalowało się bezbrzeżne zdumienie; jedynie Pitt zareagował.

- I to jest cały pański plan? - spytał napastliwym tonem.

- Czy jest zły?

- Nie, świetny. Tylko kompletnie szalony. Nie jadę.

- Ja też nie - warknął Giordino. - Może mógłbym udawać Ala Capone, ale nie francuskiego biznesmena!

- Ja także nie jadę - dorzucił Gunn.

- W każdym razie nie tym naszym powolnym, nie uzbrojonym kutrem.

- Aha, dobrze, że mi przypomniałeś! - wykrzyknął Sandecker, zupełnie nie zrażony rebelią. - Kuter. Musicie zobaczyć kuter! Jestem pewien, że od razu zmienicie zdanie.

Jeśli Pitt marzył kiedyś o łodzi badawczej w wielkim stylu, wygodnej, dobrze wyposażonej i nieźle uzbrojonej - to było właśnie to, co przygotował im Sandecker. Wystarczyło jedno spojrzenie na elegancką linię jachtu, na wspaniałe silniki, na ukryty pod pokładem sprzęt, by Pitt został kupiony. Było to zbudowane z fibreglasu i nierdzewnej stali arcydzieło równowagi hydrodynamicznej. Jacht nazwano imieniem greckiej muzy poezji Calliope. Zaprojektowali go inżynierowie z NUMA, wykonała zaś w największej tajemnicy stocznia w Luizjanie. Osiemnastometrowy kadłub z nisko umieszczonym środkiem ciężkości, przy niemal płaskim dnie i zanurzeniu nie przekraczającym półtora metra, pozwalał doskonale żeglować nawet na górnym Nigrze, gdzie często zdarzają się podwodne mielizny. Jacht wyposażono w aż trzy silniki V-12 turbo-diesel, pozwalające rozwinąć szybkość siedemdziesięciu węzłów. Nic w jego konstrukcji nie pozostawiono przypadkowi: była to jedyna w swoim rodzaju, doskonała jednostka pływająca.

Pitt siedział za sterem i rozkoszował się niezwykłą płynnością i siłą, z jaką wspaniały jacht pruł sine wody delty Nigru. Wzrok utkwił w odległym punkcie na horyzoncie, czasem tylko rzucał szybkie spojrzenie na cyfrowe wskaźniki głębokościomierza i porównywał je z mapą rzeki. Minął jakąś łódź patrolową, ale jej załoga pozdrowiła go tylko życzliwie, w niemym zachwycie obserwując jacht. Przez chwilę leciał nad nimi wojskowy helikopter, ale i jego załoga okazała jachtowi wyłącznie estetyczne zainteresowanie. Na razie podróż przebiegała bez problemów. Nikt ich nie kontrolował, nikt nie usiłował zatrzymać.

W laboratorium we wnętrzu kadłuba pracował Rudi Gunn. Pomieszczenie było niewielkie, ale doskonale wyposażone. Oprzyrządowanie będące dziełem specjalistów, naukowców z różnych dziedzin, pozwalało nie tylko wszechstronnie badać pobrane próbki wody, ale także dokonać komputerowej analizy wszystkich dostępnych danych. Wyniki drogą satelitarną można było przekazać do centrali NUMA w Waszyngtonie. Gunn, naukowiec do szpiku kości, nie zastanawiał się nad czyhającymi na zewnątrz niebezpieczeństwami. Pogrążony całkowicie w swoich badaniach, był przekonany, że Pitt i Giordino nie pozwolą, by w jakikolwiek sposób przeszkadzano mu w pracy. Domeną Giordina były silniki i broń. Separując się od hałasu silników, trzymał wciąż na uszach słuchawki walkmana; z upodobaniem słuchał starych standardów jazzowych w wykonaniu Harry'ego Connicka Juniora. Silniki nie wymagały żadnej pracy, zajął się więc rozpakowywaniem broni. Otwierane przez niego kolejno skrzynki zawierały ręczne wyrzutnie minirakiet oraz pociski do nich. "Rapiery" były zupełnie nową bronią. Miały uniwersalne możliwości: skuteczne przy ataku na poddźwiękowe samoloty, grubo opancerzone czołgi, betonowe bunkry i pancerniki oceaniczne. Minirakietami można było

strzelać z ramienia, można też było instalować wyrzutnie na pojazdach, helikopterach i łodziach bojowych, w systemie centralnego odpalania. Skompletowane wyrzutnie umieścił w świetliku nad maszynownią. W rzeczywistości świetlik był opancerzoną wieżyczką strzelniczą, dla niepoznaki przykrytą lustrzanymi szybami. Wystawała około metra ponad rufowy pokład i mogła się obracać w przedziale 220 stopni. Następnie Giordino zajął się przygotowaniem lżejszej broni ręcznej: był tu cały arsenał karabinów i pistoletów maszynowych z dużą ilością amunicji. W końcu otworzył skrzynkę granatów zapalającoburzących; wyjął cztery, odbezpieczył i umieścił ostrożnie w lufach specjalnej, przypominającej grubą młotnicę wyrzutni.

Wszyscy trzej byli absolutnymi specjalistami w swoich dziedzinach. Admirał Sandecker umiał dobierać sobie ludzi, a w tym przypadku wybrał najlepszych. Tylko najlepsi mieli szansę wykonać tę arcytrudną misję - i przeżyć. Sandecker ufał im bezgranicznie. Statek pokonywał kolejne kilometry. Na zachodnim brzegu rzeki z wilgotnych oparów mgły wyłoniły się góry Kamerunu i wzgórze Yoruba. W nadbrzeżnych tropikalnych lasach przeważały drzewa mangrowe i akacjowe. Za burtami mknącej szybko Calliope przesuwały się liczne wioski i miasteczka.

Spotykali wciąż małe czółna z wydrążonych pni drzewnych, a także stare parowe promy, niebezpiecznie przeładowane ludźmi i zwierzętami. Były też małe statki towarowe, z reguły odrapane i zardzewiałe. Czarny dym z ich kominów niósł się z północnym wiatrem daleko po wodzie. Ten pozorny spokój nie mógł jednak trwać wiecznie. Każdy następny kilometr brzegu mógł kryć w sobie śmiertelne niebezpieczeństwa. Około południa przepłynęli pod wielkim, niemal półtorakilometrowym mostem, łączącym port handlowy Onitsha z rolniczym regionem Asaba. Nad ruchliwymi ulicami Onitshy dominowały wieże katolickich katedr.

Pitt musiał skupić się na prowadzeniu jachtu wśród małych jednostek kursujących po rzece. Ich pasażerowie złościли się i wygrażali pięściami, gdy wzbudzona szybkim ruchem Calliope fala kołysała ich niebezpiecznie. Nie zmniejszył jednak szybkości; posyłał jedynie przestraszonym załogom przepaszający uśmiech. Mimo iż spędził za kołem sterowym prawie sześć godzin, nie odczuwał zmęczenia. Fotel na stanowisku sternika był tak wygodny, a ster tak lekki, że czuł się jak za kierownicą luksusowego samochodu.

Pojawił się Giordino z butelką piwa i kanapkami z tuńczykiem.

- Pewnie jesteś głodny - powiedział. - Przecież nic nie jadłeś, odkąd zesliśmy z Soundera.

- Dziękuję, rzeczywiście jestem głodny. Ale silniki tak hałasują, że nie słyszałem burczenia we własnym brzuchu - rzekł Pitt, przekazując ster koledze. - Pewnie już obejrzałeś broń. Jak myślisz, będziemy w stanie odeprzeć piratów?

- Na pewno. A co, widziałeś coś podejrzanego?

Pitt pokręcił przecząco głową.

- Tylko śmigłowce i łodzie patrolowe; na razie uśmiechają się do nas przyjaźnie. Zupełna sielanka.

- Widocznie władze Nigerii nabrały się na pomysł admirała.

- Miejmy nadzieję, że inni, tam w górze rzeki, też się nabiorą. Giordino wskazał ręką trójkolorową banderę nad rufą.

- Mimo wszystko czułbym się lepiej mając tam flagę amerykańską, w szufladzie dokumenty potwierdzone przez Departament Stanu i międzynarodowe organizacje humanitarne, a w odwodzie, na wszelki wypadek, kompanię marines.

- Może jeszcze pancernik Iowa?

- Piwo dostatecznie zimne? - zmienił bezpiecznie temat Giordino. - Bo wstawiłem je do lodówki zaledwie godzinę temu.

- Zimne - stwierdził Pitt między dwoma kęsami sandwicza. - Co u Rudiego?

Giordino wzruszył ramionami.

- Zakopał się w swoich badaniach. Chciałem z nim pogadać, ale mnie wyrzucił.

- Zajrzę tam. Może będę miał więcej szczęścia.

Z butelką w ręku zszedł pod pokład, do laboratorium. Mały człowieczek w okularach wiszących na końcu nosa studiował właśnie wydruk z komputera. Wbrew temu, co sugerował Giordino, był najwyraźniej w dobrym humorze.

- Masz coś? - spytał Pitt.

- W tej cholernej rzece można znaleźć wszystkie znane dotąd typy zanieczyszczeń i jeszcze parę innych. Jest o wiele bardziej skażona niż Hudson, James River i Cayuhoga w najgorszych czasach.

- Ależ masz tu aparaturę! - Pitt rozglądał się z podziwem po kabinie laboratorium. - Do czego to wszystko służy?

- O, masz piwo! - zauważył Gunn.

- Chcesz?

- Jasne!

- Nie ma sprawy, Giordino zamroził całą skrzynkę. Poczekaj minutkę. - Pitt wybiegł z kabiny i po chwili pojawił się z drugą butelką zimnego piwa.

Gunn wypił kilka dużych łyków.

- W porządku - powiedział. - Teraz mogę już odpowiadać na twoje pytania. Po pierwsze, mamy tu automatyczne mikroinkubatory; zebrałem sporo czerwonego zakwitu z okolic wybrzeża i teraz próbuję hodować go w kolejnych próbkach wody z Nigru. Te wiciowce

rzeczywiście mnożą się w niej jak diabli. Komputer stale mi to wszystko liczy i już teraz, po paru godzinach, widzę że posuwamy się w kierunku źródła skażenia.

- Myślisz, że znajduje się w Nigerii?

- Chyba nie. Wzrost działania stymulacyjnego nie jest na razie szybki. A to oznacza, że źródło jest jeszcze daleko, może nawet w górnym biegu rzeki.

Gunn podszedł do dwu przypominających kuchenki mikrofalowe skrzynek.

- Te aparaty mają zidentyfikować substancję, której szukamy. To chromatograf i spektrometr. Mówiąc najprościej: napełniam probówkę wodą z rzeki i umieszczam ją w środku, a maszyna to analizuje i przekazuje wyniki do komputera. W ten sposób można rozpoznać substancje biologiczne i syntetyczne, rozpuszczalniki, pestycydy, PCV, dioksyny i mnóstwo innych związków chemicznych. Mam nadzieję że zidentyfikujemy również ten stymulator wiciowców.

- A jeśli to jakiś metal?

- Właśnie po to mamy zintegrowany spektrometr plazmy i masy. Wykrywa najdrobniejsze nawet ślady metali w wodzie. Działa na innej zasadzie niż chromatograf, ale obsługa wygląda dokładnie tak samo. Co dwa kilometry wkładam kolejną probówkę i oglądam wyniki na ekranie komputera.

- Co już wiesz?

Gunn zdjął z nosa okulary i zaczął je przecierać.

- Że woda Nigru zawiera co najmniej połowę wszystkich znanych metali, od miedzi począwszy, aż po srebro, złoto, rtęć, a nawet uran. Wszystkie w stężeniu znacznie przekraczającym zwykłe tło.

- Nie będzie ci łatwo szukać w takiej masie.

- Na pewno nie, ale nie jestem sam w tych poszukiwaniach. Wszystkie dane są transmitowane drogą satelitarną do NUMA, a tam nasi ludzie jeszcze raz wszystko analizują. I nawet gdybym ja coś przeoczył - oni to znajdą.

Pitt nie mógł sobie wyobrazić, jak Gunn mógłby cokolwiek przeoczyć. Jego przyjaciel był kimś więcej niż tylko zdolnym, kompetentnym naukowcem. Był to umysł tak ostry, krytyczny i konstruktywny, jak to tylko możliwe. Gunn był też niezwykle uparty w realizacji swoich zamierzeń. Wydawało się, że w ogóle nie zna słowa "rezygnuję".

- Masz już choćby najmniejsze wyobrażenie, jaka toksyna jest przyczyną naszych problemów?

Gunn dopił piwo i wyrzucił pustą butelkę do tekturowego pudła, pełnego niepotrzebnych już wydruków komputerowych.

- Toksyna to pojęcie względne. Chemicy nie mówią o toksynach, tylko o poziomie toksyczności.

- Do czego zmierzasz?

- Rozpoznałem już wiele zanieczyszczeń i wiele składników naturalnych, zarówno organicznych jak metalicznych. Stwierdziłem na przykład niezwykle wysoki poziom pestycydów, których w Ameryce już się nie używa, ale które wciąż są szeroko stosowane w trzecim świecie. Nadal jednak nie mam pojęcia, czym się karmią te czerwone mutanty. I nawet nie bardzo wiem, jak szukać. Cała nadzieja w tym, że same wskażą mi drogę.

- Szkoda, miałem nadzieję, że już coś wiesz; im dalej się zapuszczamy, tym większe możemy mieć kłopoty, zwłaszcza jeśli zainteresują się nami tutejsze władze wojskowe.

- Pogódź się i z taką możliwością, że w ogóle nic nie znajdziemy - rzekł Gunn, zirytowany.

- Chyba nie masz pojęcia, ile jest w świecie różnych związków chemicznych. Ludzkość wyprodukowała ich już ponad siedem milionów, a sami tylko naukowcy amerykańscy dodają do tego co tydzień sześć tysięcy nowych!

- Ale nie wszystkie są toksyczne.

- Właśnie próbuję ci wytłumaczyć, że prawie każda substancja chemiczna ma jakiś poziom toksyczności, czy też w pewnych warunkach okazuje się trująca. Nawet zwykła czysta woda może być dla człowieka szkodliwa, bo duża jej ilość wypłukuje z organizmu elektrolity.

- Więc nic jeszcze nie możesz powiedzieć?

- Chyba tylko jedno: tym stymulatorem nie są bakterie.

- Jak do tego doszedłeś?

- Sterylizując próbki wody. Wyeliminowanie bakterii ani trochę nie osłabiło płodności tego draństwa.

- Myślę, że znajdziesz ten stymulator, Rudi - Pitt poklepał Gunna po ramieniu.

- Jasne, że znajdę - zaperzył się Gunn. - Nawet jeśli to jest jakaś jeszcze nieznaną substancję, i tak ją znajdę.

Sielanka skończyła się w południe następnego dnia, w godzinę po opuszczeniu Nigerii. Płynęli teraz odcinkiem rzeki, który stanowi naturalną granicę między Beninern i Nigrem. Pitt obserwował spokojnie przesuające się z obu stron zielone ściany dżungli. Przed nimi łagodny łuk rzeki rysował się jak zakrzywiony palec kostuchy. Przy sterze siedział Giordino. W jego oczach widać było pierwsze oznaki zmęczenia. Pitt stał obok niego, śledząc wzrokiem szybującego przed nimi nad lustrem wody samotnego kormorana. Nagle, przed kolejnym zakrętem rzeki, ptak mocniej zatrzepotał skrzydłami i umknął między rosnące na brzegu drzewa. Pitt chwycił lornetkę i popatrzył w tamtą stronę.



Niemal natychmiast dostrzegł wysuwający się zza zielonej ściany dżungli szary dziób ścigacza.

- Zdaje się, że tubylcy chcą nam złożyć oficjalną wizytę.

- Widzę go... - Giordino wstał z krzeselka i przysłonił oczy od słońca. - Przepraszam - widzę je. Tam są dwa. I płyną prosto na nas. Chyba szukają guza.

- Jaką mają banderę?

- Beninu - odparł Pitt. - A ścigacze są chyba produkcji sowieckiej.

Odłożył lornetkę i otworzył broszurę z sylwetkami samolotów i okrętów krajów zachodniej Afryki.

- Ścigacz rzeczny - przeczytał - uzbrojony w dwa podwójne działka trzydziestomilimetrowe, strzelające z szybkością około pięciuset pocisków na minutę.

- Marnie - rzekł Giordino, studiując mapę. - Jeszcze czterdzieści kilometrów wzdłuż granicy Beninu. Gdyby tak dodać gazu, przy odrobinie szczęścia można by ich zgubić.

- Na szczęście lepiej nie licz. A jeśli dodasz gazu, to ci chłopcy nie pomachają nam chusteczką na pożegnanie. Przyjrzyj się ich działkom - mierzą dokładnie w naszą stronę.

- Masz rację, zwłaszcza że intryga się komplikuje. - Giordino wskazał ręką za rufę. - Wezwali sępa.

Nisko, zaledwie dziesięć metrów nad powierzchnią wody, leciał w ich stronę helikopter.

Pitt pochylił się nad lukiem prowadzącym do laboratorium i ostrzegł Gunna o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Po chwili chemik wysunął głowę z luku.

- Trochę się tego spodziewałem - rzekł.

- Czekali tu na nas, dranie! - powiedział Pitt. - Może chcą tylko ukraść jacht, ale jak zobaczą, że jesteśmy tacy Francuzi, jak chórek Bruce'a Springsteena, to na pewno oskarżą nas o szpiegostwo i rozstrzelają. Wcale nie mam na to ochoty. Sandecker też nie będzie zachwycony, jak nie dostanie wyników badań. Czyli nie ma mowy o żadnych rozmowach, żadnych negocjacjach, żadnych wizytach na pokładzie. Idziemy na całość: albo my, albo oni.

- Nie dam rady załatwić od razu helikoptera i obu ścigaczy. Może uda mi się trafić dwie sztuki, ale tymczasem trzecia przerobi nas na marmoladę.

- Zrobimy to inaczej... - zaczął spokojnie Pitt, przyglądając się ścigaczom.

Gunn i Giordino wysłuchali uważnie jego planu.

- Macie jakieś wątpliwości? - spytał na koniec.

- W tych stronach raczej dobrze znają francuski. Jak sobie poradzisz?

Pitt machnął ręką.

- Będę improwizował.

- W porządku - rzekł Giordino.

Gunn skinął tylko głową. Mają klasę, pomyślał Pitt, nie pierwszy już zresztą raz.

Gunn i Giordino nie byli zawodowo wyszkolonymi komandosami, ale można było liczyć na ich odwagę, zdolność improwizacji i wytrwałość w najtrudniejszej nawet walce. Pitt nie czułby się pewniej, gdyby dowodził niszczycielem rakietowym z dwustuosobową załogą.

- Dobrze - rzekł z szerokim uśmiechem. - Teraz włożcie hełmofony i włączcie radio.

Admirał Pierre Matabu stał na mostku pierwszego ścigacza i z podziwem i zazdrością obserwował przez lornetkę mknący po rzece sportowy jacht. Trzydziestoparoletni admirał był niski, tęgawy, a bogato zdobiony biały mundur własnego pomysłu podkreślał groteskowość jego postaci. Jako dowódca marynarki Beninu - pozycję tę zagwarantował mu brat, prezydent Tougouri - miał pod sobą czterystu ludzi, dwa ścigacze rzeczne i trzy pełnomorskie łodzie patrolowe. Miał też duże doświadczenie marynarskie: był przez trzy lata majtkiem na promie.

Obok niego, pół kroku z tyłu stał komandor Behanzin Ketou, dowódca ścigacza.

- To dobrze, admirale, że przyleciał pan ze stolicy i objął dowództwo operacji osobiście.

- Tak, mój brat na pewno się ucieszy, kiedy podaruje mu taki piękny jacht.

- Ci Francuzi przyłynęli tu dokładnie w wyliczonym przez pana terminie. Ma pan godny podziwu dar przewidywania.

- Może raczej telepatii; po prostu poddali się mojej sugestii - zażartował Matabu.

- To chyba ważni ludzie, jeśli stać ich na taki luksusowy jacht.

- To agenci wrogiego mocarstwa.

Ketou nie wyglądał na przekonanego.

- Jak na szpiegów, zachowują się zbyt swobodnie.

Matabu odsunął lornetkę od oczu.

- Kwestionuje pan moje informacje, komandorze? - spytał tonem przestrogi. - Niech mi pan wierzy, ci biali uczestniczą w wielkim spisku przeciwko naszemu państwu.

- Rozumiem, że aresztuje ich pan i zabierze do stolicy?

- Nie. To pan znajdzie dowody ich winy i przeprowadzi egzekucję.

- Nie rozumiem, sir?

- Zapomniałem dodać, że będzie pan miał zaszczyt osobiście dowodzić zespołem szturmowym, który opanuje jacht - oświadczył oficjalnie Matabu.

- Jestem przeciwny egzekucji - zaprotestował Ketou. - Francja zażąda śledztwa, kiedy dowie się, że zabito kilku jej wpływowych obywateli. Pański brat nie byłby z tego zadowolony...

- Wrzuci pan ciała do rzeki. I proszę nigdy więcej nie kwestionować moich rozkazów - przerwał chłodno Matabu.

- Tak jest, panie admirale - poddał się Ketou.

Matabu znów spojrział przez lornetkę. Sportowy jacht był już tylko o dwieście metrów od nich. Wyraźnie zwolnił.

- Proszę przygotować ludzi do zajęcia jachtu. Osobiście wezwę tych szpiegów do poddania się.

Ketou polecił pierwszemu oficerowi, by przekazał rozkazy dowódcy płynącego nieco z tyłu drugiego ścigacza. Jeszcze raz popatrzył na zbliżający się wolno jacht.

- Dziwna rzecz - powiedział - Nikogo nie widać na pokładzie, z wyjątkiem sternika.

- Te białe świny pewnie leżą pijane pod pokładem. Niczego nie podejrzewają.

- Ale jednak dziwne, że wcale się nami nie przejmują. Nie obchodzi ich nawet to, że skierowaliśmy lufy w ich stronę.

- Strzelać tylko w razie próby ucieczki - rozkazał Matabu. - Nie chcę uszkodzić jachtu.

Ketou skierował lornetkę na siedzącego za sterem Pitta.

- Sternik kiwa do nas i uśmiecha się.

- Zaraz przestanie się uśmiechać - Matabou wyszczerzył złowrogo zęby. - Za parę minut będzie martwy.

- Przyjdź pogadać do mego ogródka, rzeki pajak do muchy - mruknął Pitt, zapominając, że ma na głowie słuchawki z mikrofonem.

- Mówiłeś coś? - spytał Giordino ze swojej wieżyczki strzelniczej na rufie.

- Nic ważnego, tak tylko gadam do siebie.

- Nic stąd nie widzę - odezwał się Gunn tkwiący w forpiku, skąd mógł oglądać świat tylko przez dwa małe okienka wentylacyjne. - Mam strzelać na oślep?

- Zaraz ich zobaczysz - odparł Pitt. - Ale nie strzelaj, dopóki nie powiem.

- Gdzie jest teraz ten helikopter? - spytał Giordino, który też nie miał możliwości obserwacji; nie odsłonił jeszcze otworu strzelniczego, by nie demaskować się przedwcześnie.

Pitt rozejrzał się.

- Wisi sto metrów za nami, jakieś pięćdziesiąt metrów nad wodą. Przygotowywali się do morderczej walki. Mieli już pewność, że benińskie ścigacze i helikopter nie są tu po to, by sprawdzić jedynie dokumenty i przepuścić ich dalej. Trwali w milczeniu, wiedząc, że będą musieli walczyć, aby przeżyć. Nie czuli lęku, zresztą nie mogli sobie na to pozwolić; nie było już odwrotu. Ale nie byli bez szans. Trzy uzbrojone jednostki przeciw jednej to niewątpliwie wielka przewaga; przewagą Calliope, być może decydującą, była możliwość zaskoczenia przeciwnika.

Pitt umieścił wyrzutnię granatów we wgłębieniu pokładu obok swojego fotela. Byli już bardzo blisko ścigaczy; przełączył silniki na jałowy bieg. Jacht posuwał się jeszcze siłą bezwładu.

Pitt przestał zwracać uwagę na helikopter; gdy zaczęła się walka, zajął się nim Giordino. Przyjrzał się uważnie stojącym na mostku prawego ścigacza oficerom.

Ten mały grubasek w śmiesznym białym mundurze, pomyślał, to pewnie dowódca. Nie zastanawiał się nad rangą drugiego. Jego uwagę przykuło wpatrzone w niego dwoma czarnymi otworami luf działko na dziobie. Pocieszające było jedynie to, że Benińczycy już na wstępie popełnili błąd taktyczny, ustawiając oba ścigacze w dryfie wzdłuż biegu rzeki, zamiast ustawić je w poprzek. Gdyby tak postąpili, zablokowaliby cały główny nurt, a co ważniejsze, mogliby strzelać ze wszystkich działek, także rufowych. O ile mógł stwierdzić ze swojej pozycji, przy ich rufowych działkach nie było nawet obsługi.

Tymczasem Calliope znalazła się już między ścigaczami. Teraz, z odległości kilku metrów, Pitt mógł dokładnie przyjrzeć się ich załogom. Odnotował następny punkt dla siebie. Ludzie na ścigaczach byli uzbrojeni w pistolety, nie mieli jednak broni maszynowej. Można było wystrzelać ich jak kaczki.

Pitt uśmiechnął się niewinnie w stronę człowieka w operetkowym mundurze.

- Bonjour! - zawołał.

Matabu przechylił się przez reling i zażądał po francusku, by natychmiast zatrzymali jacht i wpuścili na pokład inspekcję. Pitt nie rozumiał ani słowa, ale odpowiedział:

- Pouvez-vous me recommander un bon restaurant?

- Co on powiedział?- spytał Giordino.

- O Boże - jęknął Gunn. - On go pyta o jakąś dobrą restaurację.

Pitt nie włączył wstecznego biegu, by zatrzymać jacht. Calliope wciąż jeszcze, choć bardzo wolno, przesuwała się między dryfującymi ścigaczami. Matabu ponownie rozkazał Pittowi, by natychmiast stanął i wpuścił jego ludzi na pokład.

Ale Pitt grał dalej swoją grę.

- J'aimerais une bouteille de Martin Ray Chardonnay.

- Zamówił butelkę kalifornijskiego wina - powiedział do mikrofonu Gunn, nie czekając na pytanie Giordina. - O rany, mógłby przynajmniej zamówić francuskie.

- Nie martw się, na pewno zaraz zażąda musztardy z Dijon - mruknął Giordino.

- Bardzo możliwe. Może chce ich zagadać, a potem zwiać.

Ale wbrew tym przypuszczeniom Pitt spróbował jednak nawiązać jakiś kontakt z Benińczykiem. Odezwał się w swoim ojczystym języku.

- Przepraszam, ale nie znam suahili. Czy mógłby pan spróbować po angielsku?

Na twarzach oficerów pojawił się wyraz kompletnego zaskoczenia.

Coraz bardziej rozzłoszczony Matabu z trudem panował nad sobą. Pitt ledwie rozumiał

jego łamaną angielszczyznę.

- Jestem admirał Pierre Matabu, dowódca marynarki wojennej Beninu - przedstawił się oficer pompatycznie. - Natychmiast zatrzymajcie się i poddajcie się kontroli. W przeciwnym razie będziemy strzelać.

- Dobrze, dobrze, już się robi! - Pitt zamachał gwałtownie rękami nad głową. - Tylko nie strzelajcie, na litość boską, nie ma potrzeby!

Nie musiał hamować silnikiem, gdyż Calliope straciła już cały impet i dryfowała między okrętami Beninu. Marynarz z prawego ścigacza rzucił Pittowi linę, ale ten jej nie podniósł.

- Weź cumę - polecił Ketou.

- Nie trzeba, zaraz do was dobiję.

Nie czekając na odpowiedź, pchnął jedną z manetek gazu lekko do przodu i położył ster na prawą burtę. Jacht zatoczył ciasny łuk wokół rufy ścigacza i bardzo wolno posuwał się do przodu wzdłuż jego lewej burty. Pitt stwierdził z zadowoleniem, że jego przypuszczenia sprawdziły się. Przy rufowym działku nie było żywego ducha. Matabu patrzył na Pitta, a uśmiech triumfu rozlewał się po jego tłustych policzkach.

Ketou nie był aż tak pewny sukcesu. Jego twarz wyrażała raczej niepokój.

Pitt czekał, aż wieżyczka, w której ukryty był Giordino, zrówna się z maszynownią ścigacza. Trzymając jedną ręką koło sterowe, drugą sięgnął do wyrzutni granatów i skorygował jej ustawienie.

- Helikopter mamy prosto za rufą - rzekł cicho do mikrofonu - ścigacz po prawej burcie. No, panowie, zaczynamy przedstawienie!

Giordino odsunął pancerną osłonę otworu strzelniczego i podniósł lufę wyrzutni. Rapier był rzeczywiście doskonałą bronią. Już pierwsza rakietą trafiła precyzyjnie w zbiornik paliwa śmigłowca. Tymczasem Gunn oparł lufy obydwu swoich karabinów maszynowych na krawędzi prawego okienka wentylacyjnego i dwiema równoległymi seriami niemal natychmiast skosił całą obsługę dziobowego działka.

Pitt ustawił wyrzutnię w taki sposób, by granaty przelatywały nad okrętem operetkowego admirała i trafiały w drugi ścigacz. Nie widząc celu, tylko z grubsza mógł obliczyć trajektorię granatów, Pierwszy eksplodował w płytkiej wodzie za ścigaczami.

Uczył wiele huk, ale żadnej szkody. Podobny był rezultat drugiego strzału. Ale huk miał również swoje znaczenie. Matabu w najmniejszym stopniu nie spodziewał się straszliwego spektaklu, jaki się wokół niego rozpętał. Miał wrażenie, że niebo za rufą rozdarło się, odsłaniając ogniste zaświaty. Minęła dłuższa chwila, nim zrozumiał, że to jego helikopter eksplodował, rozpadając się na setki płonących odłamków.

- Ten biały skurwysyn nas wykiwał! - wrzasnął Ketou, patrząc z wściekłością na Pitta i wymachując pięściami. - Strzelać, natychmiast strzelać!

- Za późno! - stwierdził ponuro Malabu, patrząc jak wszyscy jego ludzie walą się pod kulami jak łan zboża pod walcem kombajnu.

Nie pojmował, w jaki sposób spokojny jacht płynący pod przyjazną francuską banderą mógł nagle okazać się śmiercionośnym monstrum, niszczącym jego wygodny, uporządkowany świat. Głupawo uśmiechający się cudzoziemiec za sterem sprawił im straszliwą niespodziankę. Matabu był wściekły na swoich ludzi; zachowali się jak bydło rzeźne, dali się wybić, nie oddawszy ani jednego strzału. I nagle, dopiero teraz, zdał sobie sprawę, że i on zaraz umrze. Upewniła go w tym kolejna rakietą wystrzelona z rufy jachtu: pocisk przebił cienki pancierz maszynowni na linii wodnej, zniszczył generator prądu i załatwił silniki.

Niemal w tym samym momencie Pitt wystrzelił trzeci granat. Tym razem miał więcej szczęścia. Burząco-zapalający granat trafił w ścianę nadbudówki drugiego ścigacza, odbił się od niej i przez otwarty luk wpadł do magazynu amunicji. Nastąpiła cała seria potężnych eksplozji, które wyrzuciły wysoko w powietrze fragmenty grodzi i pokładu, wentylatorów i łodzi ratunkowych, aparatury elektrycznej i ciał ludzkich. W ciągu sekundy ścigacz przestał istnieć. Potężna fala uderzeniowa popchnęła bezwładny już okręt admirała Matabu na Calliope. Wstrząs był tak silny, że aż zrzucił Pitta z jego fotela za sterem.

Przez wyrwaną eksplozją rakiety dziurę w kadłubie obficie wlewała się woda; z poszarpanego otworu zaczęły się wydobywać gęste kłęby tłustego, czarnego dymu. Obawiając się pożaru, Pitt włączył wsteczny bieg, by jak najszybciej odsunąć się od ścigacza. W wąskim okienku wentylacyjnym, jak na ekranie małego telewizora, przesuwiał się pokład. Kiedy w polu widzenia Gunna pojawiły się dwie stojące na mostku postacie, bez wahania puścił następną serię z M-16. Kule przeszły pierś Matabu. Admirał na moment wyprężył się jak struna, zaciskając rękę martwym chwytem na poręczy relingu; potem opuścił głowę, jakby ze zdziwieniem i niesmakiem oglądał rozlewającą się na nieskazitelnie białym mundurze plamę krwi - i powoli osunął się na pokład.

Przez chwilę panowała nad rzeką śmiertelna cisza. I nagle rozdarł ją straszliwy, szarpiący nerwy krzyk.

- Wy białe śwynie! - wrzeszczał Ketou - Wyrznięliście mi załogę! Nie daruję wam tego!

Stał na tle bladego nieba. Z rany na ramieniu ciekła mu krew. Był najwyraźniej w szoku. Gunn znad dymiącej jeszcze broni przyglądał się samotnemu kapitanowi. Ale cała złość komandora Ketou skupiła się na siedzącym przy sterze Pitcie; tylko jego wciąż widział.

- Ty wstrętne białe świni! - powtórzył; najwyraźniej dużo lepiej znał angielski niż jego chwalebnie poległy admirał.

- Gra była fair - odrzyknął Pitt, przebijając się przez szum płomieni, ogarniających pokład ścigacza. - Po prostu przegraliście tę partię. Ratuj się, skacz! - dorzucił. - Wyciągniemy cię z wody.

Ketou nie skorzystał z oferty. Zeskoczył z mostku na pokład i najszybciej jak mógł pobiegł w kierunku rufy. Ścigacz był już mocno przechylony na lewą burtę, woda zbliżała się do poziomu pokładu.

- Uważaj na niego, Rudi! - rozległ się głos Pitta w hełmofonach - Idzie do działa na rufie!

Gunn wymierzył spokojnie i nacisnął spust. Nic się nie stało: w magazynku M-16 nie było już naboju. Odrzucił bezużyteczną broń i sięgnął po następny przygotowany automat. Gdy jednak wrócił do swojego "telewizora", nie zobaczył już ani benińskiego oficera, ani jego ścigacza. W szalonym tempie migały przed nim nadrzeczne krajobrazy.

Pitt, nie mogąc się doczekać zbawczej serii Gunna, pchnął do oporu wszystkie trzy manetki gazu i położył ster na lewą burtę. 'Calliope zatoczyła ciasny łuk i pomknęła w panicznej ucieczce w górę rzeki.

Okręt komandora Ketou coraz szybciej nabierał wody; spod pokładu z sykiem wydobywała się para - widomy znak, że woda dotarła już do rozgrzanych silników i płonących instalacji. Ostatnie kroki w drodze do rufowej baterii komandor robił już po kolana w wodzie. Dotarł jednak do działka, obrócił lufy w stronę uciekającego jachtu i sięgnął do przycisku spustowego.

- Al! - krzyknął Pitt alarmująco.

Odpowiedział mu gwizd rakiety, wystrzelonej z wieżyczki przez Giordina. Pocisk pomknął w stronę tonącego ścigacza, zostawiając za sobą białą smugę spalin. Ale kołysanie jachtu, który wciąż jeszcze nabierał szybkości, nie pozwoliło na celny strzał.

Pocisk przeleciał nad ścigaczem i eksplodował wśród nadbrzeżnych drzew.

W tym momencie spod pokładu wynurzył się Gunn. Przyklęknął w kokpicie obok stanowiska Pitta i ponad rufą Calliope posłał w kierunku ścigacza długą serię z remingtona.

Widzieli gwałtowne rozbryzgi wody u podstawy działka, byli już jednak za daleko, by

dostrzec, że część kul ugodziła w komandora Ketou, zabijając go na miejscu. Nie mogli też widzieć, jak jego bezwładna, martwa dłoń ciężko opada na przycisk spustowy. Dwa łańcuszki pocisków pobiegły w stronę Calliope, a złośliwy demon sterujący przebiegiem tej bitwy sprawił, że martwy strzelec osiągnął efekty lepsze, niż mógłby z tej odległości uzyskać człowiek żywy. Szeroki, przypominający skrzydło samolotu, plastikowy płat nad kokpitem, kryjący w sobie anteny radiowe, satelitarne i namiarowe, rozpadł się na kawałki i razem z resztkami zawartości runął do rzeki. Odłamki rozbiły też szybę przed stanowiskiem sternika. Gunn rzucił się płasko na pokład, ale Pitt nie mógł pójść w jego ślady. Skulił się tylko pod kołem sterowym, nie puszczając go z ręki, w nadziei, że uniknie śmiertelnej nawałnicy, a jednocześnie nie rozbije jachtu o brzeg. W ryku pracujących na najwyższych obrotach silników nie słyszeli pocisków, ale na własnej skórze doświadczyli ich skutków. Zewsząd sypały się na nich szczątki rozbitego osprzętu. Wreszcie Giordino zdecydował się na wystrzelenie ostatniej przygotowanej rakiety. Strzał był nie tylko celny, ale i skuteczny. Ognista eksplozja dosłownie urwała część rufy ścigacza razem z działkiem i leżącym na nim martwym komandorem. Chwilę później ostatnia jednostka floty rzecznej Beninu poszła na dno. W otwartym łuku maszynowni pojawił się Giordino.

- Udało się! - krzyknął radośnie do Pitta.

- Nie jestem pewien. Na szczęście już za dwadzieścia minut opuścimy Benin.

- Może nie przeżył żaden świadek?

- Nie licz na to. Nawet jeśli zginęli wszyscy uczestnicy bitwy, na pewno ktoś ją widział z brzegu.

Hałas silników, pchających jacht do przodu z szybkością siedemdziesięciu węzłów, był nieznośny. Gunn chwycił Pitta za ramię i krzyknął mu do ucha:

- Jak tylko znajdziemy się na terytorium Nigru, zredukuj prędkość do trzydziestki. Muszę wznowić moje pomiary.

- Oczywiście - rzekł Pitt i rzucił szybkie spojrzenie w górę, gdzie jeszcze parę minut temu znajdował się aerodynamiczny płat z systemem anten. Dopiero teraz zauważył, że wszystko zniknęło. - Chociaż nie będziemy już mogli przekazywać wyników admirałowi.

- Nie opowiemy mu też - dodał ze złością Giordino - jak naprawdę wygląda jego "wycieczka po rzece".

- Niestety - rzekł z ponurą miną Pitt - ta droga powrotu jest już dla nas spalona. Będziemy musieli wymyślić inną.

Giordino nie wyładował jeszcze swojego gniewu na Sandeckera.

- Szkoda, że nie zobaczę miny admirała, kiedy się dowie, że porzuciliśmy jego cudowny



jacht.

- Zobaczysz, na pewno zobaczysz! - rzucił optymistycznie Gunn i zniknął w kabynie łączności.

Cóż za ironia losu, pomyślał Pitt. W ciągu zaledwie półtora dnia podróży zatopili dwa ścigacze, zestrzelili helikopter i zabili co najmniej trzydziestu ludzi - a wszystko po to, żeby ratować ludzkość. Tymczasem szansę odkrycia źródeł skażenia były coraz słabsze, a choćby nawet coś znaleźli, nie mieli pojęcia w jaki sposób wywiozą swoją wiedzę z terytorium Nigru lub Mali, państw zapewne równie życzliwie nastawionych do ich wyprawy, jak Ludowa Republika Beninu.

Spojrzał ponownie w górę. Osadzony na wysokim maszcie obrotowy talerz radaru był na swoim miejscu. Prawdziwy cud, pomyślał; bez radaru dalsza podróż po rzece - zwłaszcza w nocy lub we mgle - byłaby prawie niemożliwa.

Nadal nie zmniejszał szybkości, choć zdawał sobie sprawę, że ryzykuje rozbicie kadłuba o jakąś dryfującą po wodzie bańkę lub sterczącą z dna kłodę. Na szczęście jego obawy nie sprawdziły się; rzeka na tym odcinku była stosunkowo mało zaśmiecona, a tor wodny dobrze oznaczony i głęboki. Już po osiemnastu minutach zagłębili się w terytorium Republiki Nigru. Cztery godziny później, nie napotkawszy po drodze żadnych patroli wodnych ani powietrznych, dobili do nabrzeża paliwowego w stolicy kraju, Niamey. Po nabraniu paliwa i obowiązkowej w tych stronach wizycie w urzędzie imigracyjnym ruszyli w dalszą drogę. Kiedy budynki Niamey i most imienia J. F. Kennedy'ego zostały daleko za rufą, Giordino rzekł pogodnie:

- Całkiem dobrze idzie, jak na to, czegośmy się spodziewali.

- Wcale nie tak dobrze. Zanosi się na poważne kłopoty.

- Dlaczego? Nie wydaje mi się, by tubylcy chcieli przerobić nas na befsztyki. Powiedziałbym nawet, że są życzliwi.

- Właśnie, zbyt życzliwi - rzekł Pitt. - W tej części świata nigdy niczego nie załatwia się tak prosto. Zwłaszcza po takiej rozróbie, jaką urządziliśmy w Beninie. Zauważyłeś, że gdy poszliśmy pokazać dokumenty, to nigdzie - ani po drodze, ani w urzędzie - nie było żadnego uzbrojonego policjanta czy żołnierza?

- Przypadek - Giordino wzruszył ramionami. - Może po prostu lekko traktują te sprawy.

- Ani jedno, ani drugie - rzekł Pitt surowo. - Przysięgłbym, że ktoś tu gra z nami w ciuciubabkę.

- Myślisz, że wiedzą już o tej strzelaninie na Nigrze?

- Wiadomości idą tu szybko. Założę się, że dotarły tu przed nami. Przecież to wszystko działo się na granicznym odcinku rzeki. Władze w Niamey na pewno już o wszystkim wiedzą.

Giordino nadal nie był przekonany.

- To dlaczego nas nie zatrzymali?

- Może chcą uspić naszą czujność.

- Po co?

- Może ktoś chce nam coś zabrać - rozważał głośno Pitt.

- A co my takiego wartościowego mamy? Wyniki badań? O których zresztą, z wyjątkiem Sandeckera i Chapmana, nikt nie wie.

- Więc może chodzi o coś innego - Pitt uśmiechnął się chytrze. - Na przykład o nasz jacht.

- Calliopell Mógłbyś wymyślić coś mądrzejszego.

- Nie masz racji - odparł Pitt. - Pomyśl. Piękny, szybki jacht, zdolny w ciągu trzech minut zestrzelić helikopter i zatopić dwa opancerzone ścigacze. Niejeden z tych afrykańskich kacyków miałby na coś takiego ochotę.

- W porządku, to ma sens - zgodził się Giordino. - Ale jeśli tak, to dlaczego nie zabrali nam jachtu w Niamey?

- Mam strzelać? No dobra: myślę, że główny aktor tej gry czeka na nas dalej, w Mali.

- I dopiero tam spuści nam siekierę na łeb? To może by mu popsuć szyki i zawrócić?

- Zapomniałeś, że po tej hecy z flotą Beninu nasz bilet jest już tylko w jedną stronę.

Giordino podrapał się w głowę.

- Trudno. Będziemy się bawić dalej.

- Bawić? To chyba nie jest właściwe słowo w tej sytuacji. Tu już nie będzie żadnej zabawy - Pitt wskazał ręką na brzegi, na których bujna dotąd roślinność coraz bardziej ustępowała buremu piaskowi i kamieniom. - Jak tak dalej pójdzie, niedługo będziemy musieli sprzedać ten okręt i kupić wielbłądy.

- O Boże! - jęknął Giordino. - Ja miałbym jeździć na wielbłądzie? Na tym wybryku natury? Rozumiem: Bóg stworzył konie po to, żeby można było kręcić westerny. Ale wielbłądy...

Przerwał, wpatrzony w nurt rzeki daleko przed dziobem.

- A więc to tak wygląda.

- Co takiego?

- Legendarny przełom Nigru, na którym podobno najlepsi wioślarze łamią sobie wiosła.

Pitt zastanawiał się przez chwilę.

- Skoro i tak już nas znają, to może dajmy sobie spokój z tą francuską banderą i wywieśmy własną.

- Własną? Przecież Sandecker wyraźnie powiedział, że akcja jest nielegalna i nie możemy jej firmować gwiazdami i paskami.

- A kto tu mówi o gwiazdach i paskach?

Giordino nic już z tego nie rozumiał.

- To jaką właściwie flagę chcesz wywiesić?

- A taką. - Pitt sięgnął do szuflady pod pulpitem sternika, wyciągnął starannie złożony kawałek materiału i rozpostarł go w powietrzu. - Gwizdnąłem to parę miesięcy temu z jakiegoś balu kostiumowego.

Giordino spoglądał ze zdumieniem w uśmiechniętą twarz pirata, gapiącą się na niego z dużej czarnej, prostokątnej chusty.

- Wesoły Rodger?! Chcesz wywiesić piracką flagę?

- A dlaczego by nie? - zdziwił się szczerze Pitt, - Myślę, że świetnie pasuje do tego, czym się tu zajmujemy.

- Niezły z nas zespół detektywów do wykrywania skażeń - zauważył sarkastycznie Hopper, obserwując zachód słońca nad mokradłami górnego Nigru. - Wszystko, co udało nam się stwierdzić, to typowa obojętność trzeciego świata na kwestie zdrowotne.

Eva siedziała na kampingowym stołku, grzejąc się w wieczornym chłodzie Afryki przy małym piecyku olejowym.

- Nie znalazłam tu na razie żadnej ze znanych mi substancji toksycznych, która mogłaby wywoływać tę chorobę.

Siedzący obok Ewy wysoki, postawny mężczyzna o siwiejących włosach i jasnoniebieskich oczach miał myślącą i zatroskaną twarz. Był to Nowozelandczyk, doktor Warren Grimes, epidemiolog.

- Mnie też nie udało się nic odkryć - stwierdził, wpatrując się w szklanę z wodą sodową. - Wiem tylko, że na przestrzeni pięciuset kilometrów nie znalazłem kultury bakteryjnej, która mogłaby być przyczyną tej choroby.

- Może coś przeoczyliśmy? - rzekł Hopper, sadowiąc się głębiej w składanym płóciennym fotelu.

Grimes wzruszył ramionami.

- Nie widziałem jeszcze ani jednej ofiary, żywej ani martwej. Nie mogłem przeprowadzić ani jednego wywiadu, ani nawet zrobić sekcji. Nie mam też najmniejszego strzępka chorej tkanki do analizy. A przecież poza tym wszystkim musiałbym jeszcze mieć grupę kontrolną ludzi, którzy nie ulegli skażeniu.

- Widocznie w tej okolicy nie ma śmiertelnych ofiar tej choroby.

Hopper odwrócił wzrok od zabarwionego na pomarańczowo horyzontu i podniósł ze stolika filiżankę herbaty.

- A może dane są niekompletne albo sfalszowane?

- Do centrali ONZ docierały dotąd tylko dość ogólnikowe raporty - przypomniał Grimes. - Bez dodatkowych danych i wyraźnej lokalizacji nasze przedsięwzięcie jest niebezpieczne i bez sensu.

- Nie sądzicie, że to jakaś mistyfikacja? - spytała nagle Eva. Zapadła cisza.

Hopper spoglądał to na nią, to na Grimesa.

- Jeśli to rzeczywiście mistyfikacja, to cholernie dobra - mruknął Grimes.

- Ja też tak sądzę - zgodził się Hopper. - Przecież nasze zespoły w Nigrze, Czadzie i w Sudanie też nic nie znalazły.

- To niczego nie dowodzi - zaprotestowała Eva. - Najwyżej tego, że źródło choroby jest

właśnie w Mali, a gdzie indziej nie ma nawet słabych symptomów.

- Tu też ich nie znaleźliśmy - zauważył Grimes. - Pewnie, mogli spalić ciała ofiar, ale gdyby tu było jakieś skażenie, to ilości śladowe zawsze musiałyby pozostać. Osobiście uważam, że byliśmy na fałszywym tropie.

Eva spojrzała na Grimesa wielkimi błękitnymi oczyma, w których odbijały się płomyki z kuchenki kampingowej.

- Jeśli palą albo ukrywają ofiary, to mogą także fałszować raporty - powiedziała.

- Eva może mieć rację - przytaknął Hopper. - Prawdę mówiąc, od początku nie bardzo wierzę Kazimowi i jego ludziom. A jeśli rzeczywiście fałszowali raporty, żeby zniechęcić nas do tych badań? I jeśli wysłali nas w rejon oddalony od terenu, na którym rzeczywiście występuje choroba?

- Można się nad tym zastanowić - powiedział Grimes. - Chociaż właściwie sami wybraliśmy tereny najwilgotniejsze i najgęściej zaludnione, bo sądziliśmy, że tu znajdziemy najwięcej przypadków zachorowań.

- Zdaliśmy się na własne przypuszczenia, ponieważ nikt nie chciał nam nic powiedzieć - rzekł Hopper, olśniony nagłym wspomnieniem. - Czy pamiętacie twarze tych ludzi w Timbuktu, których o cokolwiek pytaliśmy? Może ktoś zmusił ich do milczenia?

- Tak, zwłaszcza Tuaregowie z pustyni wyglądali na mocno wystraszonych.

- Co teraz zrobimy? - spytała Eva.

- Wracamy do Timbuktu - odparł stanowczo Hopper. - Teraz widzę, że popełniłem błąd. Trzeba było zacząć od pustyni. Właśnie dlatego, że tamci ludzie mieli taki strach w oczach.

- Nie rób sobie wyrzutów; w końcu jesteś specjalistą od skażeń, a nie psychologiem czy detektywem - pocieszył go Grimes.

- To prawda, ale nie lubię, jak ktoś robi ze mnie durnia.

- Z nas wszystkich - poprawiła Eva. - Przecież nikt z nas nie zwrócił uwagi na podejrzenie opiekuńczą postawę kapitana Batutty.

Grimes otworzył szeroko oczy.

- Znowu masz rację, dziewczyno. Teraz, kiedy to powiedziałaś, widzę że zachowywał się wręcz służalczo.

- Tak - potwierdził Hopper. - Pamiętacie, jak pochlebnie wyrażał się o naszych planach? Z pewnością dobrze wiedział, że wybieramy się w miejsce odległe o setki kilometrów od terenów dotkniętych zarazą.

Grimes dopił resztkę wody.

- Ciekawe, co by zrobił, gdybyśmy teraz zechcieli pojechać na pustynię?

- Na pewno zawiadomilby natychmiast pułkownika Mansę.

- Moglibyśmy ich oszukać - rzekła Eva.

- Oszukać? - zdziwił się Hopper. - Po co?

- Żeby przestali się nami interesować.

- Ale jak chcesz to zrobić?

- Powiemy kapitanowi, że niczego nie wykryliśmy i kończymy badania. Zwijamy namioty, wracamy do Timbaktu, i do domu.

- I co ma z tego wyniknąć?

- Jak zobaczą, że odlatujemy - wyjaśniała dalej Eva - uznają, że mają nas z głowy. A my rzeczywiście odlecimy, ale wcale nie do Kairu. Wylądujemy na pustyni i nareszcie będziemy mogli spokojnie popracować, bez lokalnych aniołów stróżów.

- To bez sensu - rzekł Grimes. - Mówisz: wylądujemy. Przecież taki pasażerski odrzutowiec musi mieć co najmniej tysiąc metrów równego pasa, żeby wylądować.

- Na Saharze są rejony, gdzie idealnie płaski teren ciągnie się setkami kilometrów - upierała się Eva.

- To strasznie ryzykowne - ostrzegł Grimes. - Jeśli Kazim coś zwącha, drogo za to zapłacimy.

Eva spojrzała wyczekująco na Hoppera, który zwlekał z zabraniem głosu.

- Słuchaj, to naprawdę da się zrobić. - nie rezygnowała.

- Wszystko da się zrobić, ale nie wszystko ma sens. - Hopper zacisnął dłoń na plastikowej poręczy fotela tak mocno, że omal jej nie złamał. - Chociaż... Może rzeczywiście warto spróbować?

- Mówisz serio? - Grimes spojrzał na niego zdumiony.

- Tak. Oczywiście ostatnie słowo należy do naszych pilotów. Ale myślę, że przy odpowiedniej zachęcie finansowej dadzą się przekonać.

- O czymś chyba zapomniałeś - rzekł Grimes.

- O czym?

- Jeśli nawet wylądujemy bez szwanku na pustyni, to czym będziemy tam jeździć?

Eva zwróciła głowę w stronę niedużego terenowego mercedesa, który pożyczył im w Timbaktu pułkownik Mansa.

- Ten mercedes powinien się zmieścić w luku ładunkowym.

- Luk jest na wysokości dwóch metrów nad ziemią - przypomniał jej Grimes. - Jak chcesz podnieść samochód?

Eva stropiła się nieco, ale Hopper przyszedł jej z pomocą.

- Komora bagażowa ma własną opuszczaną pochylnię. Po prostu wjedziemy po niej.

- I zrobicie to pod nosem Batutty?

- Batutta też musi kiedyś spać.

- Przecież ten pojazd jest własnością armii malijskiej - nie poddawał się Grimes. - Jak wytłumaczysz jego zniknięcie?

- O, to już drobiazg - Hopper wzruszył ramionami. - Powiemy Mansie, że ukradziono go nam w Timbaktu, gdy wybraliśmy się na bazar, by nakupić pamiątek.

- To szaleństwo... - mruknął Grimes.

Ale Hopper był już całkowicie przekonany do pomysłu Ewy.

- Postanowione - powiedział wstając. - Zaczynamy jutro rano. Ewa, poinformuj resztę kolegów z zespołu o naszych planach. Ja biorę na siebie Batuttę. Będę mu się użalał nad naszą porażką.

- Skoro już o nim mowa - rzekła Ewa - gdzie on znowu zniknął?

- Siedzi w swoim samochodzie radiowym - odparł Grimes - on tam już prawie mieszka.

- Zawsze grzecznie znika, kiedy zaczynamy dyskusję - zauważyła Ewa. - Trochę to dziwne ale, trzeba przyznać, wygodne dla nas.

- Podejrzana jest ta jego grzeczność - rzekł Grimes; wstał i popatrzył w stronę samochodu radiowego. - Pewnie siedzi tam i ogląda w telewizji europejskie pornosy.

- Albo przekazuje pułkownikowi Mansie najnowsze plotki o naszych badaniach.

- Niewiele ma do przekazania - roześmiał się gorzko Hopper. - Miałby jeszcze mniej, gdyby wiedział, jak marne mamy wyniki.

Kapitan Batutta niczego swemu zwierzchnikowi nie przekazywał w każdym razie nie w tej chwili. Siedział w samochodzie radiowym ze słuchawkami na uszach. Miał tu aparaturę podsłuchową o wielkiej czułości. Ukryty w lesie anten na dachu pojazdu mikrofon skierowany był w stronę kampingowego piecyka w środku obozowiska. Batutta pochylił się nad wzmacniaczem, by wyostrzyć dochodzące głosy. Teraz każde słowo rozmawiającej trójki docierało do niego czysto i wyraźnie i w takiej postaci było nagrywane. Słuchał aż do chwili, kiedy tamci skończyli rozmowę i rozeszli się. Doktor Rojas poszła zawiadomić kolegów o postanowieniach szefa, a Hopper i Grimes zabrali się do studiowania map pustyni.

Kapitan sięgnął po telefon komórkowy, działający w panafrykańskim systemie satelitarnym, i wystukał numer.

- Dowództwo Sił Bezpieczeństwa, okręg Gao - odezwał się ospały, jakby ziewający głos.

- Kapitan Batutta do pułkownika Mansy!

Głos po tamtej stronie natychmiast stał się energiczny i służbisty.

- Tak jest, już łączę.

Minęło jednak dobre pięć minut, zanim w słuchawce odezwał się Mansa:

- Słucham, kapitanie.

- Naukowcy z ONZ mają zamiar odwrócić naszą uwagę - zameldował Batutta.

- W jaki sposób?

- Chcą złożyć raport, w którym oświadczą, że nie natrafili na żadne ślady choroby ani na jej ofiary...

- A więc genialny plan generała Kazima dał właściwe rezultaty!

- Na razie tak - rzekł Batutta. - Ale oni chyba przejrzeni plan generała. Doktor Hopper zamierza ogłosić koniec poszukiwań, zabrać ludzi do Timbaktu i wrócić swoim samolotem do Kairu.

- Generał będzie na pewno zadowolony.

- Nie bardzo, kiedy się dowie, że Hopper i jego ludzie wcale nie mają zamiaru opuścić Mali.

- Jak to?

- Chcą przekupić pilotów, wylądować na pustyni i prowadzić badania w obozowiskach nomadów.

Mansa poczuł się, jakby go już pogrzebano.

- To może nas drogo kosztować, Batutta! Generał będzie wściekły, jak się dowie.

- Przecież to nie nasza wina!

- I co z tego? Zna pan gniew generała. Może spaść równie dobrze na winnych, jak na niewinnych. - Mansa namyślał się przez chwilę, po czym dodał: - Niech pan mnie dokładnie informuje o wszystkich krokach Hoppera. Będę to osobiście przekazywał generałowi.

- Jest teraz chyba w Timbaktu?

- Nie. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności jest właśnie w Gao, na statku tego Francuza, Massarde'a. Dotrę tam za pół godziny.

- Życzę powodzenia, pułkowniku.

Mansa odłożył słuchawkę i jeszcze raz przeanalizował rewelacje Batutty. Jeśli wypuszczą Hoppera spod kontroli, a on znajdzie na Saharze ofiary zarazy - katastrofa jest nieunikniona. Miał świadomość, że Batutta ocalił go od ciężkich kłopotów, może nawet od plutonu egzekucyjnego. Tak właśnie generał Kazim traktował oficerów, na których się zawiódł, a to niewątpliwie byłby ten przypadek. Jeśli jednak natychmiast zawiadomi generała, a trafi na jego dobry humor, to może nawet liczyć na rychły awans.

Kazał przygotować galowy mundur i podstawić samochód. Czuł dreszcz emocji.



Katastrofa, jaką szykowali mu cudzoziemscy natręci, obróci się w ich ostateczną klęskę. Kiedy Mansa wysiadał z samochodu, przy nabrzeżu nieopodal meczetu czekała już duża wojskowa motorówka. Sternik w marynarskim mundurze zsalutował, zdjął cumę z pachołka i wskoczył do kokpitu. Przekręcił kluczyk startera; zadudnił potężny ośmiocyldrowy silnik. Statek Massarde'a stał na kotwicy na środku rzeki; jaskrawe oświetlenie pokładów i kabin odbijało się w lustrze wody. Był to w istocie wielki, trzypiętrowy pływający dom. W porze deszczowej jednak, przy wysokiej wodzie, mógł żeglować nawet bardzo daleko w górę Nigru. Pozwalało na to płaskie dno i niewielkie zanurzenie.

Mansa nigdy jeszcze nie był na pokładzie statku, ale słyszał o nim wiele. W Gao opowiadano cuda o wielkiej, luksusowej kabinie właściciela, o fantazyjnych szklanych schodach prowadzących na lądowisko helikopterów na górnym pokładzie, o dziesięciu kajutach dla gości umebLOWANYCH francuskimi antykami, o salonie z wysokim sufitem, na który przeniesiono w całości fresk z okresu Ludwika XIV z któregoś z zamków nad Loarą, o krytym basenie, saunie i cocktail-barze, a także o wspaniałej aparaturze elektronicznej, umożliwiającej Massarde'owi błyskawiczną łączność z rozrzuconymi po całym świecie filiami jego imperium gospodarczego. Wszystko to składało się na istny pałac na wodzie, niepodobny do jakiegokolwiek innej jednostki pływającej.

Wchodząc na pokład, pułkownik Mansa miał nadzieję, że zobaczy coś z tych luksusów. Zawiódł się jednak. Kazim powitał go tuż przy trapie. Trzymał w ręku kieliszek z szampanem, nie zaproponował jednak pułkownikowi nic do picia.

- Mam nadzieję, że nie przerywasz mojej ważnej konferencji z panem Massarde bez powodu - rzekł lodowatym tonem.

Mansa zsalutował, po czym pospiesznie, ale dokładnie, zaczął opowiadać generałowi to, czego dowiedział się od Batutty; ani razu jednak nie wspomniał nazwiska kapitana.

Kazim słuchał z zainteresowaniem. Jego ciemne oczy pociemniały jeszcze bardziej. Stał nieporuszony, wpatrując się w refleksy światła na wodzie. Jego twarz przybrała na chwilę wyraz gniewu, po chwili jednak rozjaśniła się.

- Kiedy Hopper i jego ludzie zamierzają wrócić do Timbaktu? - spytał, gdy Mansa skończył swoją relację.

- Jeśli ruszą jutro rano, w Timbaktu będą pod wieczór.

- Mamy więc aż nadto czasu, by pokrzyżować plany zacnego doktora. - Popatrzył twardo w oczy pułkownika. - Mam nadzieję, że potrafisz wyrazić nasz głęboki żal z powodu niepowodzenia ich poszukiwań.

- Postaram się być dobrym dyplomatą - zapewnił Mansa.

- Czy samolot ONZ z załogą czeka cały czas w Timbuktu? Mansa skinął głową.
- Piloci mieszkają w hotelu Azalai.
- I mówisz, że Hopper chce im dodatkowo zapłacić, żeby wylądowali na pustyni?
- Tak powiedział swoim współpracownikom.
- Musimy przejąć kontrolę nad tym samolotem.
- Czy mam zaproponować pilotom więcej niż daje Hopper?
- Nie, po co marnować pieniądze |- zachnął się Kazim. - Trzeba ich po prostu zlikwidować.

Mansa spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Tak jest, panie generale! - powiedział i nadal wyprężony na baczność czekał na dalsze instrukcje, Potem zastąpisz ich naszymi ludźmi. Znajdź jakichś podobnych, żeby Hopper się nie zorientował.

- Znakomity plan! - wtrącił pochlebnie Mansa.

- A Hoppera zawiadom, że bardzo mi zależy na tym, aby kapitan Batutta poleciał z nimi do Kairu, jako mój osobisty łącznik w WHO. Tobie powierzam nadzór nad całą operacją.

- Jakie będą instrukcje dla naszych pilotów?

- Powiedz im - oczy Kazima błysnęły złośliwie - żeby wylądowali w pobliżu Asselar.

- Asselar! - powtórzył Mansa; tym razem całkiem szczerze podziwiał pomysłowość generała. - Ci zdziczali mutanci, którzy zjedli turystów, na pewno zjedzą też całą bandę Hoppera.

- To już jest w rękach Allacha - rzekł obłudnie Kazim.

- A jeśli jakimś cudem przeżyją? - spytał ostrożnie Mansa.

- To wciąż jeszcze... - rzekł generał z diabelskim uśmiechem - pozostaje Tebezza.

**CZEŚĆ II**  
**SPALONA ZIEMIA**

Na lotnisku marynarki wojennej nad zatoką Jamaica mężczyzna w okrągłych drucianych okularach, w wytartych dżinsowych spodniach i takiejż kurtce, stroju hippisa z lat sześćdziesiątych, stał oparty o zaparkowanego w odludnym miejscu wielkiego jeepa i obserwował kołujący w jego stronę turkusowy odrzutowiec NUMA. Samolot zatrzymał się zaledwie dziesięć metrów od niego. Na widok Sandeckera i Chapmana wyprostował się i podszedł, by ich powitać.

Admirał spojrział na samochód z zadowoleniem. Nie znosił oficjalnych limuzyn; sam najchętniej używał terenowych łazików, nawet do jazdy po mieście. Z trudem natomiast akceptował strój oczekującego. Hiram Yaeger, dyrektor centrum komputerowego NUMA, był wśród bliskich współpracowników admirała jedyną osobą, zupełnie lekceważącą przyjęte w sferach oficjalnych reguły mody.

- Dziękuję, Hiram, że przyjechałeś po nas. Przykro mi, że oderwałem cię od roboty w Waszyngtonie.

- Nie szkodzi, admirale. I tak musiałem odpocząć na chwilę od moich maszyn. Jaki mieliście lot?

- Dla mnie jak zwykle kabina w samolocie za niska i za mało miejsca na nogi - odparł dwumetrowy Chapman. - W dodatku admirał pobił mnie w remika dziesięć do czterech.

- Dajcie bagaże; wrzucę je do samochodu i jedziemy na Manhattan.

- Czy umówiłeś nas z panią Kamil? - upewnił się Sandecker.

- Zadzwoń do centrali ONZ, jak tylko zapowiedział pan swój przyjazd. Pani Sekretarz Generalny specjalnie dla nas zmieniła swój dzisiejszy program.

- To ładnie z jej strony.

- Czeka na nas o dziesiątej trzydzieści. Admirał spojrział na zegarek.

- Jeszcze półtorej godziny. Może wstąpimy gdzieś na kawę i lekkie śniadanie?

- Dobry pomysł - rzekł Chapman między dwoma ziewnięciami. - Umieram z głodu.

Yaeger ruszył w stronę miasta autostradą, zaraz jednak zjechał na Coney Island Avenue i zatrzymał się przed małą restauracją. Weszli do środka, usiedli przy stoliku i zawołali kelnerkę, która z podziwem wpatrywała się w olbrzymiego Chapmana.

- Co dla panów?

- Dla mnie łośoś, twarożek i rogaliki - rzekł Sandecker, Chapman wziął omlet z peklowaną wołowiną i salami, a Yaeger placek drożdżowy, zwany "duńczykiem". Przez dłuższą chwilę milczeli, pogrążeni we własnych myślach. Gdy kelnerka przyniosła parującą kawę,

Sandecker wrzucił do filiżanki kostkę lodu, by szybciej ochłodzić gorący płyn.

- Co twoje maszyny mówią o czerwonym zakwicie? - spytał Yaeger a.

- Wygląda to ponuro - odparł ekspert od komputerów, bawiąc się widelcem. - Zdjęcia satelitarne umożliwiły mi śledzenie ekspansji tych glonów. Przypomina to grę według zasady: "podwój stawkę". Zaczynasz od jednego pensa, następnego dnia masz dwa, a po miesiącu jesteś już miliarderm. Przy brzegach Afryki rejon zajęty czerwonym zakwitem powiększa się dwukrotnie w ciągu czterech dni. Dziś o czwartej rano glony pokrywały już dwieście czterdzieści tysięcy kilometrów kwadratowych wody.

- W tym tempie - obliczył szybko Chapman - za trzy, cztery tygodnie zajęty będzie cały południowy Atlantyk.

- Czy znacie już przynajmniej przyczynę?

- Nie. Domyślamy się tylko, że rozmnażanie tej nowej mutacji wiciowców przyspiesza jakiś organometalik.

- Organometalik? - Yaeger kiepsko się czuł w żargonie chemików.

- Związek metalu i substancji organicznej - wyjaśnił Chapman.

- Skąd on się tam bierze?

- Najprawdopodobniej z odpadów przemysłowych i biologicznych. Synteza cząstek metalicznych i organicznych następuje albo na jakimś wysypisku, albo dopiero w wodzie Nigru.

- A może to ścieki z jakiejś instytucji prowadzącej badania biogenetyczne? - podsunął Yaeger.

- W zachodniej Afryce nikt takich badań nie prowadzi - odparł krótko Sandecker.

- A jednak coś tu działa stymulująco - powiedział Chapman. - Zupełnie tak jak hormony.

- Coś takiego, jak pożywka dla bakterii? - spytał Yaeger.

Przerwali na chwilę rozmowę; kelnerka przyniosła zamówione potrawy i ponownie napełniła filiżanki kawą.

- To nie to samo - podjął Chapman, gdy odeszła. - Pożywka pozwala po prostu przeżyć większej ilości organizmów. Tu natomiast zwiększają się, i to lawinowo, ich zdolności rozrodcze. Właśnie dlatego myślę, że nie mogą tego powodować zwykłe ścieki biologiczne, choćby o wielkiej wartości odżywczej.

Sandecker rozsmarował na rogaliku grubą warstwę twarogu i położył na to plasterek łososia.

- Coś mi się zdaje - mruknął - że już niedługo sławna plama ropy po wojnie irackiej będzie nam się wydawała małą brudną kałużą, o której nie warto mówić.

- Co gorsza - rzekł Chapman - zupełnie nie wiemy, jak to powstrzymać. Bez dokładnej

analizy wody z Nigru możemy tylko snuć przypuszczenia. Dopóki Rudi Gunn nie znajdzie igły w stogu siana i nie stwierdzi, kto ją tam wrzucił - mamy związane ręce.

- Jakie są ostatnie wiadomości?

- Na jaki temat? - mruknął Sandecker z pełnymi ustami.

- Na temat naszych trzech przyjaciół na Nigrze! - Yaeger był nieco zirytowany obojętnością Sandeckera. - Od wczoraj satelita nie przekazuje od nich żadnych wiadomości ani wyników badań.

Admirał rozejrzał się po wnętrzu baru, upewniając się, czy nikt ich nie słyszy.

- Mieli małe nieporozumienie z flotą rzeczną Beninu.

- Nieporozumienie? - spytał nieufnie Yaeger - Co się stało? Nie są ranni?

- Zdaje się, że wyszli z tego cało - rzekł Sandecker. - Tamci chcieli ich zatrzymać i zrewidować. Zawaliłby się cały nasz plan. Nie mieli wyjścia, musieli podjąć otwartą walkę. Niestety stracili przy tej okazji systemy łączności.

- Więc dlatego milczą... - mruknął Yaeger, już spokojniejszy.

- Ze zdjęć satelitarnych Agencji Bezpieczeństwa Państwa wynika, że zniszczyli dwa benińskie ścigacze i helikopter, po czym dotarli szczęśliwie do granic Mali.

- Mali? - Yaeger nagle całkiem stracił apetyt. - O Boże! Nigdy stamtąd nie wrócą! Cały ten kraj to jedna wielka katownia. Z tego co wiem, zajmuje pierwsze miejsce w Afryce w łamaniu praw człowieka. Złapią ich i powieszą na najbliższej palmie.

- Właśnie dlatego chcemy się spotkać z Sekretarzem Generalnym ONZ - rzekł Sandecker.

- A w czym ona może nam pomóc?

- Nie wiem. Ale to ostatnia nadzieja, wszyscy inni odmówili pomocy.

- Trudno się dziwić - zauważył Yaeger. - Ta ekspedycja była właściwie nielegalna.

- Bo politycy nie chcieli zrozumieć, jak wiele od niej zależy - rzekł Chapman z goryczą. - Czy uwierzy pan, że chcieli powołać specjalną komisję Kongresu do badania tej sprawy? Cały świat stoi w obliczu zagłady, a światli mężowie stanu zaczęliby debatować i wygłaszać oracje!

- Rzeczywiście - przytaknął Sandecker. - Przedstawiliśmy całą kwestię prezydentowi, Sekretarzowi Stanu i kilku kongresmanom. Błagaliśmy, żeby użyli swoich wpływów w Afryce, by umożliwić nam legalne, oficjalnie badanie wód Nigru. Wszyscy odmówili.

Yaeger popatrzył na niego przenikliwie.

- A więc wysłał pan Dirka, Ala i Rudiego potajemnie, bez zgody naszych władz?

- Nie miałem innego wyjścia. Nie mogłem czekać ani dnia dłużej.

- Cholera! Jest gorzej, niż myślałem.

- Właśnie dlatego szukamy pomocy w ONZ - rzekł Chapman. - Jeśli oni nie pomogą, to

więcej niż pewne, że Gunn, Giordino i Pitt wylądują w malijskim więzieniu i nigdy stamtąd nie wyjdą.

- A wyniki badań, na których tak strasznie nam zależy - dodał Sandecker - przypadną razem z nimi.

Na twarzy Yaegera odmalował się wyraz gorzkiej ironii.

- Wyniki badań? A więc to było ważniejsze niż ludzie? Poświęcił ich pan, admirale! Poświęcił pan swoich najlepszych przyjaciół!

Sandecker odpowiedział spojrzeniem twardym jak skała.

- Myślisz, że ta decyzja przyszła mi łatwo, bez wewnętrznej walki? A kogo miałem tam posłać? Wiem, że to strasznie trudna i niebezpieczna robota. I wiem, że tylko oni mają szansę ją wykonać.

Yaeger przez dłuższą chwilę zmagał się z myślami.

- To prawda - powiedział w końcu. - Oni rzeczywiście są najlepsi. Nikt inny nie miałby tu żadnych szans.

Hala Kamil, Egipcjanka, Sekretarz Generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych, łączyła w sobie urodę i tajemniczość Nefretete. Była to czterdziestosiedmioletnia kobieta o pięknych czarnych oczach, długich, opadających na ramiona hebanowych włosach i delikatnych rysach. Wysoka, bardzo zgrabna, czego nie maskował nawet konwencjonalny, oficjalny kostium, umiała nawet w śmiertelnie poważnych urzędowych okolicznościach zachować swój dziewczęcy wdzięk.

Na widok admirała i jego współpracowników wstała zza biurka i wyszła im naprzeciw.

- Miło mi pana znowu spotkać, admirale Sandecker.

- Jestem zaszczycony - Sandecker skłonił się z kurtuazją, jaką zawsze okazywał pięknym kobietom.

- Niezwykły z pana człowiek, admirale. Ani trochę się pan nie starzeje.

- To pani jest niezwykła. Wygląda pani coraz młodziej.

Uśmiechnęła się czarująco.

- Zostawmy te komplementy. Obojgu nam z pewnością przybyło przez te lata kilka zmarszczek. Dawno się nie widzieliśmy.

- Prawie pięć lat - potwierdził Sandecker.

Przedstawił swoich współpracowników. Nie zwróciła szczególnej uwagi ani na wzrost Chapmana, ani na strój Yaegera. Zbyt wiele osób o dziwnym wyglądzie i w jeszcze dziwniejszych strojach przewijało się codziennie przez jej biuro.

- Proszę siadać, panowie - zaprosiła gości z uśmiechem.

- Postaram się mówić zwięźle - zaczął rzeczowo Sandecker. - Chcę prosić panią o pomoc w nadzwyczaj ważnej i pilnej sprawie. Chodzi o katastrofę ekologiczną, zagrażającą życiu wszystkich istot ludzkich.

- Brzmi to bardzo poważnie, admirał - jej czarne oczy wyrażały sceptycyzm. - Ale jeśli ma pan na myśli tak zwany efekt cieplarniany, już się uodporniłam.

- Mam na myśli coś znacznie gorszego. Coś, co jeszcze w tym roku może unicestwić życie na Ziemi.

Kamil przyjrzała się twarzom pozostałych dwóch gości. Były równie poważne i ponure. Nie miała zresztą powodów nie wierzyć Sandeckerowi. Przeciwnie, ufała mu całkowicie. Znała go dobrze i wiedziała, że nie ma najmniejszych skłonności do fantazjowania. Jeśli twierdził, że jutro niebo spadnie im na głowę, musiał mieć na to niezbite dowody.

- Proszę, niech pan mówi dalej.

Sandecker oddał głos Chapmanowi i Yaegerowi. Lakonicznie przedstawili swoją wiedzę na temat czerwonego zakwitu. Po dwudziestu minutach Sekretarz Generalny nacisnęła guzik interkomu.

- Sara? Proszę zadzwonić do ambasadora Peru i odwołać dzisiejsze spotkanie. Proszę mu powiedzieć, że pojawiła się nowa, niecierpiąca zwłoki sprawa i spytać, czy będzie miał dla mnie czas jutro o tej samej porze.

- Jesteśmy bardzo wdzięczni, że poświęca nam pani tyle czasu i uwagi - powiedział szczerze Sandecker.

- Więc to rzeczywiście tak groźne? - spytała.

- Tak - rzekł Chapman. - Jeśli zakwit ogarnie całą powierzchnię mórz, zabraknie tlenu do podtrzymania życia na lądach.

- Nie mówiąc już o jego działaniu toksycznym - dodał Yaeger. - Zginą wszystkie istoty żyjące w zatrutej wodzie lub pijące ją.

- A co na to Kongres Stanów Zjednoczonych? - spojrzała na Sandeckera. - I rząd, i wasi uczeni? Co na to międzynarodowe organizacje ekologiczne?

- Oczywiście - odparł Sandecker - złożyliśmy odpowiedni raport prezydentowi i członkom Kongresu, ale tryby biurokracji kręcą się bardzo wolno. Różne komisje badają tę sprawę, nie podjęto jednak jeszcze żadnej decyzji. Politycy nie potrafią sobie wyobrazić rozmiarów tego zjawiska i nie czują, jak istotnym elementem jest tu uciekający czas.

- Rzecz jasna - dodał Chapman - przekazaliśmy wstępne wyniki badań uczonym z różnych dziedzin. Ale dopóki nie zidentyfikujemy związku chemicznego stymulującego zakwit, trudno liczyć na to, że ktokolwiek z nich znajdzie antidotum.



Słuchała w milczeniu. Przedstawiona wizja, choć lakoniczna, wydawała się jej przekonująca. Ale miała świadomość, że Sekretarz Generalny ONZ niewiele może w tej sprawie zdziałać. Jej pozycja w Nowym Jorku była mniej więcej tym samym, co pozycja królowej w państwie z baśni. Polegała głównie na patronowaniu różnym pokojowym misjom, programom pomocy i współpracy. W istocie rzeczy Sekretarz Generalny jedynie koordynuje prace ONZ, ale niczym nie kieruje.

- Wszystko, co mogę dla was zrobić - powiedziała - to zapewnić pomoc Programu Ochrony Środowiska ONZ.

Sandecker spróbował jednak pójść dalej. Starannie i ostrożnie dobierał słów.

- Rzecz w tym, że wysłałem już w górę Nigru łódź z zespołem badaczy, by przeprowadzili dokładną analizę wody i znaleźli źródło tej substancji stymulującej.

Jej wzrok stał się nagle chłodny i przenikliwy.

- Więc to pańska łódź zatopiła benińskie ścigacze? - spytała.

- Ma pani doskonały wywiad.

- Nie. Otrzymuję po prostu codziennie dobre streszczenie raportów, jakie napływają z całego świata.

- No więc tak, to była właśnie łódź NUMA.

- Czy wie pan, że w tej bitwie zginął beniński admirał, dowódca floty, a zarazem rodzony brat prezydenta?

- Słyszałem - bąknął Sandecker.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że pańscy ludzie, płynący w dodatku pod francuską banderą, mogą być potraktowani jak szpiedzy, aresztowani i skazani na śmierć?

- Nie miałem wyboru - powiedział ciężkim głosem. - Zdawałem sobie sprawę z ryzyka, tamci trzej ludzie też. Podjęli się tego zadania dobrowolnie. Wiedzą, że teraz każda godzina jest cenna; jeśli czerwony zakwit ogarnie zbyt duży obszar, nie będzie już można nad nim zapanować.

- Czy jeszcze żyją? - spytała rzeczowo. Sandecker skinął głową.

- Parę godzin temu wpłynęli na terytorium Mali.

- Mali?! O ile wiem, szef malijskiej służby bezpieczeństwa, generał Kazim, nie jest głupcem. Na pewno doniesiono mu już o bitwie, jaką ci ludzie stoczyli w Beninie, i o tym, że dotarli do Mali. Aresztuje ich przy pierwszej nadarzającej się okazji.

- Właśnie dlatego tu przyszedliśmy.

Kamil domyślała się tego od dłuższego czasu, ale udała zdziwienie.

- Czego pan ode mnie oczekuje, admirale?

- Że pomoże mi pani uratować tych ludzi. Muszą wrócić stamtąd, gdy tylko znajdą źródło skażenia.

- Wyniki ich analiz - dodał Chapman - są nam absolutnie niezbędne, jeśli mamy przeciwdziałać pladze.

- Więc chodzi głównie o analizy... - zauważyła z gorzką ironią.

- Chodzi mi przede wszystkim o ludzi - rzekł twardo Sandecker. - Pani przecież dobrze wie, że nie mam zwyczaju zostawiać przyjaciół w potrzebie.

- Wybaczcie, panowie - pokręciła głową. - Rozumiem wasz problem, ale nie mogę narażać prestiżu instytucji, którą reprezentuję. Nie mogę w żaden sposób wspierać nielegalnej operacji, bez względu na jej wagę.

Sandecker sięgnął po ostatni argument.

- Nawet jeśli ludzie, których może pani uratować, to Dirk Pitt, Al Giordino i Rudi Gunn?

Przez chwilę patrzyła szeroko rozwartymi oczami w przestrzeń, jakby szukała czegoś w pamięci.

- Więc to tak - powiedziała cicho. - Chce pan posłużyć się mną tak, jak posłużył się pan Pittem i jego kolegami?

- Można to i tak nazwać - rzekł matowym głosem Sandecker. - Ale nie namawiam pani do udziału w meczu tenisowym. Tu chodzi o życie niezliczonych istnień ludzkich.

- A jednak wykorzystuje pan swoją przewagę.

- Tak. Skoro nie mam innego wyjścia.

Chapman rzucił niepewne spojrzenie na Yaegera.

- Zdaje się, że nic już z tego nie rozumiem. Kamil przeniosła na niego wzrok.

- Kilka lat temu - wyjaśniła - ci trzej ludzie wyrwali mnie z rąk terrorystów. Nawet dwukrotnie. Za pierwszym razem w Breckenridge w Colorado, za drugim w opuszczonej kopalni nad Cieśniną Magellana. Admirał ma prawo oczekiwać, że teraz spłacę dług wdzięczności.

- Pamiętam tę historię nad Cieśniną Magellana - powiedział Yaeger. - Szukaliśmy tam zaginionych skarbów Biblioteki Aleksandryjskiej.

Sandecker wstał, przeszedł parę kroków i usiadł obok pani Kamil.

- Pomoże nam pani? - spytał cicho.

Kamil trwała nieruchomo jak posąg. Wreszcie zwróciła powoli twarz ku Sandeckerowi.

- Dobrze - rzekła cicho. - Postaram się zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby uratować naszych przyjaciół. Mam nadzieję, że żyją jeszcze, że nie jest za późno...

Sandecker odwrócił głowę. Nie chciał, by dostrzegła w jego twarzy radość, której nie potrafił ukryć.

- Dziękuję pani - rzekł oficjalnie. - Jestem pani nieskończenie wdzięczny. Teraz ja będę pani dłużnikiem.

- Żadnych śladów życia - powiedział Grimes, obserwując z daleka starą, rozsypującą się wioskę Asselar. - Nic, nawet psa czy kozy.

- Tak - przyznała Eva, osłaniając oczy od przeraźliwie jaskrawego słońca.

Stali na małym skalistym wzniesieniu na pustyni, skąd widzieli jak na dłoni starą oazę.

Jedynym śladem obecności człowieka były płytkie koleiny, prowadzące do wioski z północnego wschodu. Przyglądając się ruinom na peryferiach wsi, Eva doszła do wniosku, że mieszkańcy opuścili swoje siedziby już dawno. Panująca wokół cisza miała w sobie coś upiornego. Eva poczuła się niespokojna i napięta.

- To bardzo uprzejme z pana strony, kapitanie - Hopper zwrócił się do Batutty - że zgodził się pan nam towarzyszyć i pozwolił nam pan tu wylądować. Mam jednak wrażenie, że to miasto jest opuszczone.

Siedzący za kierownicą otwartego terenowego mercedesa Batutta wzruszył przepaszając ramionami.

- Karawany z kopalni soli w Taoudenni donosiły o jakiejś epidemii w Asselar. Nic więcej na ten temat niestety nie wiem.

- Obejrzyjmy to z bliska - zaproponował Grimes.

- Dobrze - skinęła głową Eva. - Zbadam przynajmniej wodę ze studni.

- Może pójdą państwo dalej pieszo - zaproponował Batutta. - Ja tymczasem wrócę do samolotu po resztę ekipy.

- Świetnie, kapitanie, jeśli tylko chce pan nam pomóc... - odparł Hopper. - I proszę wziąć przy okazji nasz sprzęt.

Batutta ruszył bez słowa, zawrócił energicznie, wzniesając chmurę piaszczystego pyłu, i pomknął w stronę samolotu.

- Nagle zrobił się dziwnie uczynny - mruknął Grimes.

- Podejrzanie uczynny - dodała Eva.

- Nie bardzo mi się to podoba - rzekł Grimes, przypatrując się uważnie wsi, z której nie dobiegał żaden odgłos. - Przypomina mi to zasadzkę z westernu.

- Niewykluczone, że to zasadzka - zgodził się Hopper - ale nie przekonamy się o tym, jeśli tam nie wejdziemy. Może jednak znajdziemy jakichś mieszkańców.

Nie zwracając uwagi na południowe słońce i żar bijący z piaszczystej ziemi ruszył szybkim krokiem. Eva i Grimes po chwili wahania podążyli za nim. Dziesięć minut później szli już przez wąskie uliczki Asselar. Wszędzie widzieli niewiarygodny brud i nieład. Ostrożnie stawiali stopy między przykrywającymi niemal każdy centymetr kwadratowy ziemi śmieciami i odpadkami.

Lekki powiew wiatru przyniósł im nagle wyraźny odór rozkładającego się mięsa. Z każdym krokiem smród stawał się coraz bardziej nieznośny.

Wydawało im się, że dochodzi z mijanych domów, ale nie wchodzili do nich, gdyż Hopper chciał jak najszybciej dotrzeć do centrum wioski. Doszli wreszcie do niewielkiego rynku ze studnią pośrodku. To, co ujrzeli, było tak przerażające, że przewyższało nawet najbardziej koszmarny sen. Porozrzucane szczątki ludzkich szkieletów; czaszki ułożone w równym rzędzie jak na wystawie sklepu z makabrycznymi osobliwościami; wyschnięta, szerniała skóra wisząca na drzewie, która zdawała się poruszać, atakowana przez całe roje much.

Początkowo Evie zdawało się, że wszyscy ci ludzie padli ofiarą jakiejś wojennej masakry. Zmieniła jednak zdanie, kiedy uświadomiła sobie, że ktoś musiał zedrzeć skórę z człowieka i powiesić ją na drzewie, a czaszki nie ułożyły się w równą linię przypadkowo.

Ktoś działał tu świadomie i systematycznie. Tego nie zrobiliby najbardziej nawet okrutni wojownicy czy bandyci. Upewniła się w tym, gdy przyklęła, by obejrzeć leżącą na ziemi długą kość ramieniową. Podniosła ją do oczu - i przeszył ją nowy dreszcz przerażenia. Na kości wyraźnie odcisnęły się ślady ludzkich zębów.

- Kanibalizm - szepnęła w szoku, spotęgowanym przez upiorną ciszę pustynnej osady.

Grimes pochylił się nad nią i obejrzał kość.

- Ona ma rację - powiedział do Hoppera. - Tych nieszczęśników pożarli chyba jacyś szaleńcy.

- Sądząc po odorze, można tu pewnie znaleźć ciała, z których zostało coś więcej niż suche szkielety - rzekł Hopper. - Może nawet znalazłby się ktoś jeszcze żywy. Zaczekajcie tu oboje, pójdę to sprawdzić.

- Nie bardzo mi się to podoba - zaprotestował Grimes. - Osobiście byłbym za tym, żeby natychmiast wrócić do samolotu, zanim i my staniemy się pozycją w tutejszym menu.

- Chcesz uciec? - prychnął Hopper. - Teraz? Kiedy znaleźliśmy wreszcie przypadek patologicznych zachowań, i to w ekstremalnej formie? Przecież właśnie tego szukamy! Jeśli o mnie chodzi, nie ruszę się stąd, dopóki nie zbadam sprawy do końca.

- Pójdę z tobą - oświadczyła Eva.

Grimes, wychowany w starej dobrej szkole, która nie pozwalała, by mężczyzna okazał się mniej odważny niż kobieta - wzruszył tylko ramionami.

- Dobrze, idę z wami - powiedział. Hopper klepnął go w plecy.

- W porządku, Grimes. Będę zaszczycony, jeśli znajdziemy się obaj w tym samym garnku.

W pierwszym domu, do którego weszli, znaleźli dwa ciała. Mężczyzna i kobieta. Musieli być martwi co najmniej od tygodnia. Upał sprawił, że ciała całkowicie wyschły. Została tylko

skóra, ciasno opinająca szkielet. Po dokładniejszych oględzinach Hopper doszedł do wniosku, że ich śmierć nie była szybka; trucizna - bo niewątpliwie było to zatrucie - musiała działać długo, powodując straszliwe męczarnie. Bez analizy patologicznej nie potrafił jednak powiedzieć nic więcej. Spojrzał wyczekująco na Grimesa. Ten jednak pokręcił sceptycznie głową.

- Ci ludzie zbyt długo już są martwi. Miałbym większe szansę coś znaleźć, gdybym miał jakieś świeższe zwłoki.

Dla Ewy zabrzmiało to strasznie chłodno i technicznie. Odwróciła głowę i przeżyła kolejny szok. W mrocznym kącie izby dostrzegła stos małych kości i czaszek. Czyżby ta para ludzi przetrwała dłużej od innych, żywiąc się ciałami własnych dzieci? Myśl była tak straszna, że Eva wypchnęła ją natychmiast ze świadomości i zataiła swoje odkrycie. Przeszła do domu po przeciwnej stronie ulicy. Był zamożniejszy od innych; świadczyły o tym rzeźbione drzwi i czyste, posprzątane podwórko w kształcie litery "L".

Odór był tam wyjątkowo silny. Zwilżyła chusteczkę wodą z plastikowej manierki, którą nosiła przy pasku, i zasłoniła twarz i usta. Ostrożnie przemierzała kolejne pokoje. Były wysokie i jasne. Duże okna wychodziły na podwórko. Niewątpliwie był to jeden z największych domów we wsi. Być może należał do jakiegoś kupca. Panował tu względny porządek. Krzesła i stoły nie były, jak w innych domach, poprzewracane i połamane: stały na swoich miejscach. Weszła do dużego, kwadratowego pomieszczenia i skamieniała. Z kuchennego piecyka wystawały na w pół upieczone kończyny ludzkie. Przemogła odruch wymiotny i szybko przeszła do sąsiedniej izby, która okazała się sypialnią. Widok, który tu znalazła, przeraził ją jednak jeszcze bardziej. Leżący w łóżku mężczyzna sprawiał wrażenie żywego. Ręce ułożone były równo wzdłuż ciała; spoczywająca na poduszce głowa, nieznacznie przekrzywiona na bok, wpatrywała się w Evę szeroko otwartymi oczyma. Twarz przypominała diabła ze średniowiecznych obrazów. Białka jego oczu były różowe, tęczęwki natomiast intensywnie czerwone. Cofnęła się w panice, chcąc uciec przed zagrożeniem, dostrzegła jednak, że pierś leżącego nie porusza się, nieruchome są też szeroko rozwarte powieki. Zdobyła się na odwagę, podeszła do łóżka i położyła palce na tętnicy szyjnej leżącego. Nie było pulsu. Próbowwała podnieść jego rękę, ale rigor mortis usztywnił już mięśnie. Nagle usłyszała za sobą jakieś kroki. Odwróciła się szybko i zobaczyła nadchodzących kolegów.

Stanęli obok niej i w milczeniu przypatrywali się zwłokom. Nieoczekiwanie Hopper roześmiał się głośno.

- Ty to masz szczęście - rzekł do Grimesa. - Ledwie zażyczyłeś sobie świeżych zwłok do autopsji, od razu się znalazły!

Odwiózłszy do wioski resztę ekipy ONZ i sprzęt badawczy, kapitan Batutta wrócił na

pustynię i zaparkował mercedesa w cieniu skrzydła samolotu. Pod drugim skrzydłem siedzieli piloci; wygnała ich tam piekielna temperatura wnętrza. Batutta uśmiechnął się do pierwszego pilota, w typowym uniformie kapitana lotnictwa cywilnego, z paskami na rękawie koszuli.

- Świetny aktor z pana, poruczniku Djemaa. Doktor Hopper dał się kompletnie nabrać; jest przekonany, że to linia lotnicza przysłała tu pana na zastępstwo.

- To dzięki mojej matce. Pochodzi z RPA, nauczyła mnie angielskiego.

- Chciałbym teraz porozmawiać z pułkownikiem Mansą.

- Tak jest, panie kapitanie. - Djemaa wstał. - Ustawię panu nadajnik.

W samolocie było gorąco jak w piecu. Mimo iż Djemaa otworzył w kabinie pilotów boczne okienka, Batutta miał wrażenie, że za chwilę się upieczce. Porucznik połączył się ze sztabem pułkownika Mansy, po czym przekazał mikrofon Batutcie i z ulgą opuścił rozpalone wnętrze samolotu.

- Tu Sokół jeden. Odbiór.

- Jestem, kapitanie - rozległ się w słuchawkach znajomy głos Mansy. - Możemy rozmawiać bez kodu. Nie sędzę, żeby ktokolwiek nas podsłuchiwał. Co tam u pana?

- Wszyscy mieszkańcy Asselar są martwi. Ludzie Hoppera swobodnie prowadzą badania w wiosce. Powtarzam; wszyscy tubylcy są martwi.

- Czyżby ci cholerni kanibale pożarli się nawzajem?

- Na to wygląda. Doktor Hopper jest przekonany, że czymś się zatruli.

- Znalazł jakieś dowody?

- Jeszcze nie. Ale badają wodę ze studni i - robią sekcję zwłok. Mogą coś znaleźć.

- To już nie ma znaczenia. Niech pan dalej gra tę samą grę. Jak skończą te swoje badania, niech pan ich zawiezie prosto do Tebezzy. Generał Kazim przygotował tam już dla nich komitet powitalny.

Batutta miał pełną jasność, co generał przygotował dla Hoppera. Ale nie przerażało go to. Serdecznie nie znosił wielkiego Kanadyjczyka, zresztą nie cierpiał ich wszystkich.

- Dopilnuję, aby dotarli tam w dobrej formie.

- Jeśli dobrze wykona pan tę misję, kapitanie, gwarantuję awans.

- Dziękuję, panie pułkowniku. Koniec meldunku.

Zainstalowali się w domu, w którym Eva znalazła świeże zwłoki, ponieważ był największy i najczystszy w całej wsi. Podczas gdy Grimes robił sekcję zwłok, Eva przeprowadzała testy krwi, a Hopper badał wodę ze studni. Pozostali członkowie zespołu zajęli się analizą tkanek ze szczątków ludzkich, rozrzuconych po całej osadzie. Szukając dalszych materiałów do analizy, dokonali niezwykłego odkrycia: w dużej szopie przy rynku znaleźli pięć zdewastowanych

landroverów, oznaczonych dużym napisem "Backworld Explorations". Nie zastanawiali się zbyt, skąd się tu wzięły, podeszli do sprawy praktycznie. Doprowadzili je do stanu używalności, a ponieważ w zbiornikach nie brakowało paliwa, zaczęli kursować nimi między wsią a samolotem. Kapitan Batutta poczuł się bezrobotny i bezużyteczny. Odór w oazie był tak silny, że nie mogli spać. Pracowali więc całą noc i cały następny dzień. Dopiero wieczorem zrobili sobie przerwę i urządzili obozowisko w pobliżu samolotu. Po kolacji i krótkiej drzemce zasiedli wokół olejowego piecyka; przydawał się tu jeszcze bardziej niż przedtem, na nadnigrzańskich mokradłach. Temperatura na pustyni, tak upalnej w dzień, spadała w środku nocy do czterech - pięciu stopni powyżej zera. Batutta grał ciągle rolę uczynnego gospodarza, wciąż parzył i roznosił mocną afrykańską herbatę, starając się jak najwięcej podsłuchać z prowadzonych przez naukowców rozmów, zarówno zawodowych jak prywatnych.

Hopper pociągnął fajkę, pyknął dymem i zwrócił się do Grimesa.

- Zaczniemy od ciebie, Warren. Możesz nam już powiedzieć, co wykryłeś w tych zwłokach?

Grimes sięgnął po swoje notatki i oświetlił je latarką.

- Jeszcze nigdy nie widziałem tylu odchyleń od normy w jednym organizmie. Zaczniemy od tego, co wszyscy widzieli: czerwone białka i tęczęwki oczu. Również silnie zaczerwieniona, prawie brunatna skóra. Dalej: bardzo powiększona śledziona, skrzepy w naczyniach krwionośnych serca, mózgu i kończyn. Uszkodzone nerki, wątroba i trzustka. Niezwykle wysoki poziom hemoglobiny. Degeneracja tkanki tłuszczowej. Nic dziwnego, że ci ludzie dostawali amoku i zjadali się nawzajem. Połączenie tych wszystkich schorzeń mogło bez trudu wywołać niekontrolowaną psychozę.

- Co w końcu spowodowało śmierć tego człowieka? - spytał Hopper.

- Polycythemia vera, choroba o nieznanym przyczynach, objawiająca się katastrofalnym wzrostem poziomu czerwonych ciałek i hemoglobiny we krwi. W tym przypadku inwazja czerwonych ciałek wywołała nieodwracalne uszkodzenie centralnego systemu nerwowego. Jednocześnie organizm produkował zdecydowanie za mało substancji powodujących krzepnięcie krwi. W rezultacie w całym organizmie doszło do rozległych wylewów, widocznych zwłaszcza w oczach i na skórze. To tak, jakby wstrzyknięto mu ogromną dawkę witaminy B-12, która, jak wiecie, powoduje intensywny rozwój czerwonych ciałek krwi.

- Robiłaś analizę krwi - Hopper zwrócił się do Evy. - Co z tymi czerwonymi ciałkami?

- Przede wszystkim mają dziwny, nietypowy kształt; są prawie doskonale trójkątne, z podobnymi do zarodników roślinnych wypustkami. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałam. No i, jak już powiedział doktor Grimes, jest ich niewiarygodnie dużo. Normalnie w jednym



centymetrze sześciennym krwi dorosłego człowieka jest nieco ponad pięć milionów. Tutaj jest ich trzykrotnie więcej.

- Aha - dodał Grimes - stwierdziłem też obecność w tych zwłokach dużej ilości arszeniku; to też mogło być przyczyną śmierci.

- Tak - potwierdziła Eva. - We wszystkich próbkach krwi poziom arszeniku był grubo powyżej przeciętnej. To samo z kobaltem.

- Kobalt? - zdziwił się Hopper.

- To akurat nic dziwnego - rzekł Grimes. - Witamina B-12 zawiera prawie cztery i pół procent kobaltu.

- Spytałem o to, bo te składniki są również w wodzie ze studni, którą badałem. I to w takim stężeniu, że szklanka tej wody mogłaby uśmiercić wielbłąda.

- Może wody gruntowe przechodzą tu przez bogate złoża arsenu i kobaltu? - zasugerowała Eva.

- Owszem, o ile pamiętam jeszcze uniwersyteckie wykłady z geologii, te pierwiastki często występują razem.

- To ciągle za mało, żeby wywołać w organizmie takie spustoszenia - zauważył Grimes. - Tutaj oprócz arszeniku i kobaltu musiał działać jakiś katalizator, który zwiększył ich toksyczność i zmodyfikował działanie. Mam na myśli przyrost czerwonych ciałek. I chyba właśnie tego katalizatora szukamy.

- Badając tę wodę - rzekł Hopper - wykryłem jeszcze coś innego: silne skażenie radioaktywne.

- To dziwne - skomentował Grimes.

- Dlaczego?

- Bo radioaktywność, nawet nie przekraczająca bezpiecznych norm, raczej obniża niż zwiększa zawartość czerwonych ciałek we krwi. Ja w każdym razie nie stwierdziłem niczego, co można uznać za skutek napromieniowania.

- Może substancje radioaktywne znalazły się w tej wodzie dopiero ostatnio, już po śmierci mieszkańców? - podsunęła Eva.

- To możliwe - zgodził się Grimes. - Ale w takim razie nadal nie wiemy, co było tym katalizatorem. Moim zdaniem to jakiś nietypowy, nieznanый związek chemiczny; może wyprodukowany przez człowieka syntetyk.

- Syntetyk?... - zastanawiała się głośno Eva. - Skąd by się wziął tutaj, na pustyni?

- Może dolatują tutaj dymy i pyły z zakładów utylizacji odpadów w Fort Foureau? - rzekł Grimes.

Hopper wpatrzy! się z namysłem w żar swojej fajki.

- To dwieście kilometrów stąd. Chyba trochę za daleko, a i wiatry w tych okolicach, o ile wiem, wieją raczej w przeciwną stronę. Przez wody gruntowe też nic się nie może przedostać, bo oni tam wszystkie niebezpieczne materiały spalają. Zresztą ten zakład w ogóle nie zajmuje się odpadami radioaktywnymi.

- Chyba nie wymyślimy nic więcej - powiedziała Eva. - Co robimy dalej?

- Pakujemy się, lecimy do Kairu, a potem prosto do Paryża; dopiero tam będziemy mogli dobrze zanalizować nasze próbki. Główny eksponat proponowałbym wziąć w całości. Dobrze go zapakujemy, żeby nas nie zasmrodził na śmierć, a w Kairze wpakujemy go do lodu.

Spojrzał na Batuttę. Siedział w pobliżu, nic nie mówiąc, z obojętnym wyrazem twarzy, jakby ta rozmowa nie bardzo go interesowała. Ale ukryty pod jego koszulą magnetofon nagrywał każde słowo.

- Kapitanie Batutta!

- Tak, doktorze?

- Mamy zamiar jutro rano odlecieć do Egiptu. Czy to panu odpowiada?

- Oczywiście - Batutta uśmiechnął się szeroko. - Lećcie, kiedy chcecie. Ja niestety będę musiał tu zostać i zrobić szczegółowy raport dla moich władz o sytuacji w Asselar.

- Przecież nie możemy tu pana zostawić samego!

- Landrovery mają dużo paliwa. Wezmę jeden i wrócę do Timbaktu.

- To czterysta kilometrów stąd. Nie zabłądzi pan?

- Znam drogę. Urodziłem się i wychowałem na tej pustyni - rzekł Batutta. - Jak wyruszę o świcie, pod wieczór będę w Timbaktu.

- Czy nie będzie pan miał jakichś przykrości w związku z niespodziewaną zmianą naszych planów?

- Dlaczego? Pułkownik Mansa polecił mi postępować zgodnie z waszymi życzeniami. Żałuję tylko, że nie polecę do Kairu.

Kiedy naukowcy odeszli do swoich namiotów, Batutta przeciągnął się leniwie przy ciepłym piecyku. Wyłączył magnetofon, wyjął latarkę i mignął dwukrotnie w kierunku kabiny pilota. Chwilę później porucznik Djemaa wyszedł z samolotu i zbliżył się do Batutty.

- Wzywał mnie pan? - spytał cicho.

- Te cudzoziemskie świnię chcą jutro odjechać.

- Mam zawiadomić Tebezzę o naszej wizycie?

- Tak. Niech pan im przypomni, żeby przygotowali odpowiednie przyjęcie dla Hoppera i jego ludzi.

Pierwszy pilot mrugnął ze zrozumieniem.

- Paskudne miejsce, ta Tebezza. Jak tylko oddam moich pasażerów pod opiekę, natychmiast startuję z powrotem. Nie mam ochoty tam przebywać.

- Formalnie ma pan rozkaz wracać do Bamako - rzekł Batutta. Djemaa ponownie mrugnął porozumiewawczo.

- Oczywiście, panie kapitanie. Dobranoc.

Eva wyszła z namiotu, żeby odetchnąć przed snem świeżym powietrzem i jeszcze raz popatrzeć w rozgwieżdżone niebo nad pustynią. Spojrzała w stronę samolotu. Pilot skończył właśnie rozmowę z Batutta i wchodził po otwartej rampie do wnętrza maszyny. Przypomniała sobie jak dziwnie, wręcz przesadnie usłużny był ostatnio Batutta, jak łatwo godził się na wszystkie ich propozycje. Czy nie wróży to jakichś nowych problemów? Chociaż, co właściwie może zrobić im Batutta, kiedy już wystartują? Nie będzie już czego się bać, wszystkie okropności i zagrożenia zostaną za nimi; po paru godzinach będą znowu w normalnym, przyjaznym kraju.

Z zadowoleniem pomyślała, że opuszcza Mali na zawsze. A jednak gdzieś w głębi duszy czuła niewytłumaczalny niepokój.

- Od jak dawna mamy ich na ogonie? - spytał Giordino, otrząsając się z resztek trzygodzinnej drzemki. Utkwił wzrok w ekranie radaru.

- Zauważyłem ich mniej więcej siedemdziesiąt pięć kilometrów temu, już na terytorium Mali - odrzekł Pitt.

- Widziałeś, jakie mają uzbrojenie?

- Nie. Kiedy ich zobaczyłem na ekranie, byli zaledwie sto metrów od nas, ale schowani w jakimś odgałęzieniu rzeki. Potem ruszyli za nami, ale śledzą nas z daleka.

- Może to zwykły patrol rzeczny?

- Zwykły patrol nie stosowałby kamuflażu.

Giordino wciąż wpatrywał się w ekran.

- Wcale nie próbują zmniejszyć dystansu.

- Nie spieszą się, mają dużo czasu.

- Albo nie mogą płynąć szybciej. To pewnie jakaś nędzna stara krypa. Pewnie nie zdają sobie sprawy, że możemy ich rozwalić na kawałki.

- Niestety, to wcale nie jest takie oczywiste. Nie tylko oni zwietrzyli nasz trop.

- Mają towarzystwo?

- Tak, i to liczne. Zdaje się, że władze malijskie przygotowały sporo żelastwa na nasze powitanie. - Pitt spojrział w bezchmurne niebo. - Na wschód od nas krąży chyba całe stado jastrzębi.

Giordino podniósł wzrok i natychmiast zrozumiał, o czym Pitt mówi.

Słońce odbijało się jaskrawymi błyskami w metalowych kadłubach krążących samolotów.

- Francuskie myśliwce bombardujące mirage, najnowsza wersja, o ile dobrze rozpoznaję. Sześć... nie, chyba siedem maszyn. A tam - Pitt wskazał ręką na zachodni brzeg - widzisz te chmurę kurzu? To kolumna pojazdów wojskowych.

- Ile ich jest?- spytał Giordino, licząc jednocześnie w myślach, ile jeszcze pozostało mu rakiet.

- Zauważyłem cztery.

- Na razie starczy. Pozostaje tylko pytanie, kiedy ten... jak mu tam?...

- Zateb Kazim.

- Wszystko jedno - Giordino obojętnie wzruszył ramionami. - Ważne, kiedy zdecyduje się zaatakować.

- Jeśli chce nam zabrać Calliope dla własnego użytku, a jest choć trochę mądrzejszy od tego operetkowego admirała z Beninu, to będzie cierpliwie czekał. Wie, że prędzej czy później

rzeka nam się skończy.

- I paliwo.

- To też.

Pitt milczał i przyglądał się szerokiej rzece, leniwie płynącej przez piaszczystą równinę. W złocistym słońcu, wolno zmierzającym ku linii horyzontu, białe bociany rozcinały skrzydłami gęste od upału powietrze; inne dreptały po mieliznach na długich jak szczudła nogach. Wyskakujące z wody ryby połyskiwały wokół Calliope niczym małe fajerwerki. Minęli dużą żaglową szalupę, płynącą powoli w dół rzeki; żagiel zwisał żałośnie, nie reagując na słabutkie powiewy wiatru. Na pełnym worków z ryżem pokładzie paru ludzi spało w cieniu prymitywnego baldachimu rozpiętego na czterech słupkach, inni długimi bosakami popychali łódź do przodu, pomagając leniwemu prądowi. Trudno było uwierzyć, że w tym spokojnym, malowniczym pejzażu czai się śmierć i zniszczenie.

Giordino przerwał rozmyślenia Pitta.

- Ta kobieta, którą poznałeś w Egipcie, wybierała się chyba właśnie do Mali?

- Tak. Jest biologiem, należy do zespołu badawczego WHO, który miał badać w Mali przyczyny dziwnej epidemii, dziesiątkującej mieszkańców.

- Może spotkasz ją tutaj. Usiedlibyście sobie na pustyni w świetle księżyca, objąłbyś ją czule i opowiadałbyś o swoich przygodach.

- Jeśli tak wyobrażasz sobie to, co robi się w czasie randki, to nic dziwnego, że kiepsko ci idzie w tych sprawach.

- A o czym mógłbyś rozmawiać z dziewczyną - geologiem?

- Biochemikiem - sprostował Pitt.

W myślach Giordina zapaliło się nagle światełko alarmowe; zupełnie zapomniał o żartach.

- Nie przyszło ci do głowy, że ta kobieta i jej uczeni kumple szukają tej samej trucizny, co my?

- Owszem, myślałem o tym... - zaczął Pitt, ale przerwał, bo spod pokładu wyskoczył nagle Rudi Gunn.

- Mam! - wykrzyknął triumfalnie.

- Co masz? - Giordino nie od razu zrozumiał.

Gunn nie odpowiadał, tylko uśmiechał się radośnie, jakby wygrał milion.

- Znalazłeś to? - spytał Pitt z niedowierzaniem.

- To paskudztwo, które pobudza czerwony zakwit? - domyślił się wreszcie Giordino.

- W końcu miałem trochę szczęścia... - skinął głową Gunn.

- Moje gratulacje, Rudi! - przerwał mu Pitt, ściskając mocno jego dłoń.

- Już chciałem się poddać - ciągnął Gunn - ale uratowało mnie moje niechlujstwo. Robiłem strasznie dużo tych pomiarów i nie za każdym razem chciało mi się sprawdzać wydruki komputerowe. Wreszcie, rad nierad, musiałem przejrzeć wszystko jeszcze raz. I wtedy zwróciłem uwagę na kobalt; nawet nie dlatego, że jest go tu dużo, ale dlatego, że występuje ciągle jako składnik jakiegoś organicznego zanieczyszczenia. Po wielu analizach w chromatografii stwierdziłem wreszcie, że jest to jakiś niezwykle związek organometaliczny. Ściślej: związek kobaltu z syntetycznym aminokwasem.

- Dla mnie to zupełna abrakadabra - mruknął Giordino. - Co to jest aminokwas?

- Coś, z czego powstają białka.

- Powiedziałaś: syntetyczny. Skąd coś takiego mogłoby się znaleźć w tej rzece?

- Nie wiem, ale nie sądzę, żeby synteza dokonywała się sama, przez przypadkowe spotkanie składników w wodzie rzeki. Cały ten związek, łącznie ze składnikami chemicznymi i radioaktywnymi, jest albo produkowany rozmyślnie w jakimś laboratorium biogenetycznym, albo powstaje na dużym śmietniku, gdzie zwożone są różnego rodzaju odpady.

Pitt zatrzymał wzrok na ekranie radaru: płynąca za nimi, wciąż niewidoczna gołym okiem jednostka, pozostawała blisko krawędzi, może nawet była teraz trochę dalej niż przedtem. Spojrzał na niebo na wschodzie. Odrzutowce krążyły tam nadal, powoli, jakby leniwie; zapewne chodziło o oszczędzenie paliwa. Pojazdów wojskowych na zachodnim brzegu nie zobaczył; widok w tamtą stronę zasłaniały wyspy, rozrzucone na bardzo szerokiej w tym miejscu rzece.

- Zrobiliśmy tylko połowę - rzekł. - Teraz trzeba sprawdzić, gdzie to świństwo wpływa do Nigru. Na razie Malijczycy nam nie przeszkadzają. Proponuję płynąć spokojnie dalej; może znajdziemy to miejsce, zanim się nami bliżej zainteresują.

Miejsce przy sterze zajął teraz Giordino. Pitt wyciągnął się wygodnie na macie, rozłożonej na podłodze kokpitu, i natychmiast zasnął; organizm domagał się odpoczynku. Gdy się zbudził, pomarańczowa kula słońca zniknęła już za horyzontem. Mimo to temperatura powietrza była o dziesięć stopni wyższa. Na krawędzi ekranu radaru wciąż majaczyła malijska kanonierka, zniknęły jednak myśliwce; prawdopodobnie odleciały do bazy, by uzupełnić paliwo. Strasznie są pewni siebie, pomyślał. W przeciwnym razie zastąpiliby je samoloty innymi. Wstał i przeciągnął się. Giordino bez pytania podał mu kubek z kawą.

- To cię powinno obudzić. Dobra, mocna kawa po egipsku, z fusami na dnie.

- Jak długo spałem?

- Miałeś dwugodzinną przerwę w życiorysie.

- Minęliśmy już Gao?

- Tak, jesteśmy już pięćdziesiąt kilometrów dalej. Straciłeś wspaniały widok: wielki jacht, istny pałac na wodzie. Cała grupa przepięknych dziewczyn w bikini przesyłała mi z pokładu gorące pocałunki.

- Ale mi tu kit wciskasz...

- Słowo skauta - Giordino podniósł w górę trzy palce. - To był najbardziej niezwykle pływający dom, jaki kiedykolwiek widziałem.

- Rudi nadal notuje wysokie stężenie tej toksyny?

- Tak. Twierdzi, że teraz jest już z każdym kilometrem większe.

- Czyli jesteśmy blisko?

- Rudi mówi, że nawet bardzo blisko.

Jakiś szczególny błysk pojawił się nagle w oczach Pitta. Giordino znał ten błysk; pojawiał się zawsze, ilekroć coś nowego przychodziło mu do głowy. Przenosił się wtedy myślą w całkiem inne rejony i stawał się nieobecny duchem. Tym razem ten stan przedłużał się ponad miarę.

- Co znowu wymyśliłeś? - spytał wreszcie zniecierpliwiony Giordino.

- Zastanawiam się - Pitt wrócił na ziemię - jakby tu wykiwać tego kacyka. Nie mam chęci zostawiać mu Calliope, aby miał gdzie urządzać sobie pijackie orgie.

- No i jak masz zamiar poskromić apetyt generała Kazima?

- Jego apetytów pewnie nie poskromię. Ale będzie musiał obejść się smakiem. - Pitt uśmiechnął się demonicznie.

Niemal dokładnie w chwili, kiedy ostatni skrawek czerwonej tarczy słońca zniknął za horyzontem, spod pokładu rozległ się głos Gunna.

- Nie ma już tego skażenia! Właśnie przed chwilą się skończyło.

Zaczęli z wielką uwagą przypatrywać się obu brzegom. Rzeka na tym odcinku biegła niemal prosto na zachód. Ani na południowym, ani na północnym brzegu nie było widać żadnych zabudowań. Wydawało się, że pusta przestrzeń sięga we wszystkie strony, aż po linię horyzontu.

- Tu jest kompletnie pusto - zawołał Giordino przez otwarty luk w pokładzie. Po chwili pokazał się w nim Gunn.

- Naprawdę nic tam nie widać?

- Nic, tylko piasek, piasek i piasek.

- W północnym brzegu jest lekkie zagłębienie - rzekł Pitt, wskazując szeroki, płytki wąwóz. - Jakby płynęła tędy kiedyś woda.

- Nie za naszego życia - stwierdził Gunn, który też wyszedł na pokład. - Owszem, to mogło być koryto rzeki, ale w dawnych, wilgotniejszych czasach.

Giordino przyglądał się uważnie wąwózowi.

- Rudi ma chyba rację - powiedział. - Tędy z pewnością od dawna nie płynie żadna woda; ani czysta, ani skażona.

- Cofnijmy się i przepłynijmy ten odcinek jeszcze raz - zażądał Gunn. - Skontroluję moje pomiary.

Calliope zaczęła posuwać się do tyłu i do przodu, jak kosiarka po trawniku. Przeczesała w ten sposób najpierw prawą stronę nurtu, potem środek, wreszcie płycizny przy lewym, południowym brzegu. Z radaru wynikało, że płynąca za nimi kanonierka zatrzymała się; zapewne jej kapitan nie mógł pojąć celu dziwnych manewrów Calliope.

Wreszcie Gunn znowu wychylił się z luku.

- Nie mam już wątpliwości: największe stężenie toksyny jest przy ujściu tego martwego koryta na północnym brzegu!

Wpatrywali się z niedowierzaniem w wyschnięte, kamieniste dno dawnego dopływu Nigru. Płytkie koryto biegło zakolami na północ i ginęło pośród niskich diun na horyzoncie.

Milczeli przez chwilę. Pitt wyłączył silniki i pozwolił jachtowi swobodnie dryfować.

- Nie ma toksyn powyżej tego miejsca? - spytał.

- Praktycznie żadnych - powtórzył Gunn - a tej naszej już ani śladu. Jak dopływamy z dołu do tej wyschniętej rzeki, stężenie toksyny przekracza skalę moich instrumentów, a parę metrów dalej - nic, jak nożem uciął.

- Może to jakiś naturalny składnik tutejszej gleby? - zaryzykował Giordino.

- Wykluczone. Taki zajzajer nie może być dziełem natury - odparł Gunn.

- A co sądzisz o podziemnym kanale, odprowadzającym ścieki chemiczne z jakichś zakładów za tymi wydymami? - nie rezygnował Giordino.

- Nie wiem. Trzeba by to zbadać. Ale to już chyba nie nasza rola. Czas zwijać kramik.

Pitt spojrzął za rufę i zobaczył wreszcie śledzącą ich kanonierkę, do której zbliżyli się w dryfie. Był to staroświecki wprawdzie, ale mocno uzbrojony ścigacz rzeczny.

- Nie powinni wiedzieć, że coś znaleźliśmy - rzekł cicho. - Płynijmy dalej, tak jakby nic się nie zdarzyło, i podziwiajmy widoki.

- Ładne mi widoki! - parsknął Giordino. - Dolina Śmierci to w porównaniu z tym rajski ogród.

Pitt włączył ponownie silniki. Calliope ruszyła ostro do przodu. W ciągu niespełna dwóch minut malijski ścigacz został daleko z tyłu.

Teraz dopiero, pomyślał Pitt, zacznie się zabawa.



General Kazim siedział w skórzanym fotelu przy długim konferencyjnym stole w towarzystwie dwóch ministrów malijskiego rządu i wysokiego rangą oficera. Pokryte jedwabną materią ściany i gruby dywan na podłodze nadawały pomieszczeniu wygląd eleganckiego, nowoczesnego biura. Było to jednak wnętrze samolotu, co można było poznać po łukowatym suficie i stłumionym dźwięku silników odrzutowych. Elegancki aerobus Industrie A300 był tylko jednym z wielu prezentów, które generał otrzymał od Massarde'a za zgodę na rozległą działalność francuskiego przemysłowca w Republice Mali. Yves Massarde nie musiał tracić czasu na wchodzenie w nudne szczegóły malijskiego prawa. Na cokolwiek miał ochotę, otrzymywał to od Kazima. Warunek był tylko jeden: zagraniczne konto generała miało rosnąć, a on sam miał być otoczony kosztownymi przedmiotami luksusu. Supernowoczesny aerobus, będący prywatnym środkiem transportu Kazima i jego przyjaciół, wyposażono w wojskowy, elektroniczny system wczesnego ostrzegania.

Miało to bronić generała przed zarzutami o prywatę, wysuwanymi co pewien czas przez słabą, lecz jednak widoczną opozycję w rządzie prezydenta Tahira. Kazim słuchał w milczeniu szczegółowego sprawozdania pułkownika Sghira Cheika z walki, jaką stoczyły ścigacze i helikopter marynarki benińskiej. Obejrzał także dwie fotografie superjachtu, wpływającego z morza w deltę Nigru.

- Na pierwszym zdjęciu - objaśniał Cheik - jacht jest pod francuską banderą. Ale odkąd wpłynął na nasze terytorium, flaga została zmieniona na piracką.

- Co za pomysł? - zdziwił się Kazim.

- Nie mam pojęcia - wyznał Cheik. - Ambasador Francji przysięgał, że jest to łódź nie zarejestrowana, nieznana władzom francuskim. Co do pirackiej flagi, nie wiem, o co tu chodzi.

- Skąd pochodzi ten jacht?

- Nasz wywiad nie był w stanie ustalić, w jakim kraju został wykonany. Jego linia i model nie są znane ani w stoczniach Europy, ani Ameryki.

- Może to jacht japoński czy chiński - podsunął Messaoud Djerma, minister spraw zagranicznych Mali.

Cheik szarpnął nerwowo krótko przystrzyżoną brodę, po czym poprawił na nosie ciemne okulary.

- Nasi agenci pytali również w stoczniach Japonii, Hong Kongu i Taiwanu, specjalizujących się w budowie bardzo szybkich jachtów. Tam też nikt o tej łodzi nie słyszał.

- Może coś wiadomo o samej wyprawie lub o załodze? - dopytywał się Kazim.

- Zupełnie nic - Cheik rozłożył ręce. - Tak jakby Allah spuścił ich z nieba.

- Niewinny jacht, który wpłynąwszy do Nigru nagle zmienia banderę, jak kobieta sukienkę - zauważył chłodno Kazim - a następnie rozbija w puch połowę marynarki benińskiej i uśmierca ich admirała, po czym spokojnie przekracza naszą granicę, bez żadnych przeszkód ze strony władz celnych i imigracyjnych. A pan siedzi tu przy mnie i mówi mi, że mój wywiad nie potrafi stwierdzić, w jakim kraju jacht został zbudowany i kto jest jego właścicielem!

- Proszę wybaczyć, panie generale - rzekł nerwowo Cheik. Jego krótkowzroczne źrenice unikały lodowatego spojrzenia Kazima. - Gdyby pozwolił mi pan wysłać agenta na nabrzeże w Niamey...

- Wystarczająco dużo kosztowało nas przekupienie urzędników portowych na Nigrze, żeby nie zawracali głowy statkom, zatrzymującym się w celu nabrania paliwa. Widok jakichś podejrzanych agentów mógłby wywołać tylko niepotrzebne incydenty.

- A jak reagują na wezwania radiowe? Cheik zasępił się znowu.

- Niestety, nasze ostrzeżenia pozostają bez odpowiedzi. Zupełnie, jakby w ogóle nie mieli radia.

- Na Allacha, czego ci ludzie tu szukają? - denerwował się Seyni Gashi, szef Rady Wojskowej. Bardziej przypominał wielbłąda niż żołnierza. - Jakie mają zadanie?

- Wygląda na to, że ludzie z mojego wywiadu nie są w stanie rozwikłać tej zagadki - rzekł mocno już zirytowany Kazim.

- Teraz, kiedy są na naszym terytorium - rzekł minister Djerma - możemy ich po prostu zatrzymać i zarekwirować jacht.

- Próbował już tego admirał Matabu i leży na dnie rzeki.

- Łódź ma wyrzutnię raketową - zwrócił uwagę Cheik. - Tak przynajmniej można sądzić po rezultatach walki.

- My też mamy odpowiednią siłę ognia - powiedział Djerba. - Możemy jej użyć...

- Po co? - przerwał Kazim. - Przecież złapaliśmy ich w pułapkę. Nie mają odwrotu. Na pewno zdają sobie sprawę, że każda próba ucieczki spotka się z reakcją naszych myśliwców i artylerii przeciwlotniczej na lądzie. Teraz możemy spokojnie czekać. A jak skończy się im paliwo, nie będą mieli innego wyjścia, tylko się poddać. W ten sposób od razu uzyskamy odpowiedzi na wszystkie pytania.

- Czy uda nam się ich przekonać, żeby ujawnili cel swojej misji? - Djerma nie był do końca przekonany.

- Tak, jestem tego pewien - szybko odparł Cheik. - Powiedzą wszystko.

Z głośnika odezwał się głos drugiego pilota.

- Panie generale, widać już ten jacht.

- Możemy więc sami przyglądać się, co będzie dalej - rzekł Kazim. - Powiedz pilotowi, że chcemy ich dobrze widzieć.

Pitt czuł się zmęczony ciągłym napięciem. Był też mocno rozczarowany brakiem informacji na temat źródła toksycznych substancji. Jego niezmordowane siły i niespożyta inteligencja straciły swój zwykły wigor. Ciągłe też był świadom stalowych kleszczy, które osaczały Calliope w wodzie i w powietrzu, i uniemożliwiały im odwrót. Giordino pierwszy usłyszał odległy pomruk silników odrzutowych. Spojrzawszy w górę, dostrzegł lecącą na wysokości dwustu metrów maszynę. Migiała światłkami na tle niebieskiego nieba. Był to wielki, oznaczony malijskimi barwami narodowymi samolot pasażerski. Wystarczyłyby mu dwa myśliwce w charakterze eskorty, otaczało go jednak co najmniej dwadzieścia innych odrzutowców. Przez chwilę wydawało się, że pilot zamierza spaść na rzekę i zmiażdżyć Calliope, jednak w odległości około dwóch kilometrów zmienił kierunek lotu i zaczął wolno zataczać coraz mniejsze kręgi. Myśliwce eskorty wzbiły się wyżej i krążyły w pogotowiu.

Wielki odrzutowiec zniżył lot do stu metrów. Pitt mógł dostrzec gołym okiem dużą kopułę radaru na jego dziobie. Westchnął głęboko i pomachał ręką w kierunku samolotu; tamci na pewno dobrze go widzieli.

- Proszę bardzo, panowie - wykrzyknął z teatralnym gestem - oglądajcie piracki statek i jego wesołą bandę rzecznych szczurów. Podziwiajcie go, lecz nie niszczonego, co w nim się znajduje. To się wam nie opłaci!

- Szczera prawda - Giordino siedział na schodach maszynowni z ręką na wyrzutni.

Uważnie przyglądał się krążącemu odrzutowcowi. - Jeśli będzie tak nadal machał skrzydłami, rozwałę go na kawałki.

Gunn rozsiadł się leniwie na krześle, które wyciągnął spod pokładu. Zdjął czapkę w ukłonie przed przyglądającymi się z samolotu ludźmi.

- Ponieważ nie możemy stać się niewidzialni, musimy grać z nimi w tę grę. Nie mamy innego wyjścia.

- Zgoda, tę partię wygrali - rzekł Pitt, tym razem już bez śladu znużenia i depresji. - Teraz nie mamy nic do stracenia. Mają taką przewagę, że gdyby chcieli, zamieniliby Calliope w stertę wykałaczek.

- Nie ma sensu zatrzymywać się i uciekać z łodzi - rzekł Gunn, przyglądając się niskim brzegom rzeki i rozciągającej się za nimi pustyni. - Na tym otwartym pustkowiu nie uciekniemy dalej niż pięćdziesiąt metrów.

- Więc co robić dalej? - spytał Giordino.

- Poddać się. To nasza jedyna szansa - podsunął bez przekonania Gunn.

- Nawet schwytane szczury próbują uciekać - rzekł Pitt - Byłbym za tym, żeby jednak się bronić. Będzie to działanie czysto symboliczne, ale nie mamy nic lepszego do roboty. Pogrozimy im pięścią i przyciśniemy gaz do deski. Jeśli otworzą ogień, zrobimy z nich sieczkę.

- Raczej oni z nas - zauważył Giordino.

- Rzeczywiście masz taki zamiar? - spytał Gunn z niedowierzaniem.

- Nie bój się, nie życzę nam śmierci - odparł Pitt. - Założę się, że Kazim ma taką ochotę na tę łódź, że specjalnie opłacił urzędników imigracyjnych Nigru, żeby nas przepuścili na teren Mali. Mam wrażenie, że będzie dbał o to, by Calliope dostała się w jego ręce bez najmniejszego nawet zadrapania na kadłubie.

- Coś z twoją logiką na bakier - rzekł Gunn. - Jeśli zestrzelimy jeden samolot, będziemy mieli na karku wszystkie pozostałe. Kazim zrobi wszystko, żeby nas dopaść.

- Jestem tego pewien.

- Teraz mówisz jak wariat - rzucił Giordino.

- Zapomnieliście, po co tu jesteśmy - tłumaczył Pitt cierpliwie. - Przecież chodzi o wyniki badań.

- Nie musisz nam tego przypominać - rzekł Gunn, dostrzegając jakiś błysk przytomności w oczywistym szaleństwie Pitta. - Ciągłe nie rozumiem jednak, co ci chodzi po głowie.

- Mimo że wcale nie mam ochoty niszczyć tego pięknego jachtu, myślę, że taka dywersja jest dla nas jedyną szansą szybkiej ucieczki. A im szybciej opuścimy Afrykę, tym szybciej nasze analizy znajdą się w rękach Chapmana i Sandeckera.

- W tym szaleństwie jest metoda - przyznał Giordino. - Mów dalej.

- To proste - ciągnął Pitt. - Za godzinę zrobi się ciemno. Zawrócimy i popłyniemy w stronę Gao; jak najbliżej miasta, chyba że wcześniej znudzi się to ludziom Kazima. W Gao Rudi wyskoczy za burtę i dopłynie do brzegu. Wtedy my obaj zaczniemy pokaz fajerwerków, uciekając jednocześnie w dół rzeki, jak westalka ścigana przez barbarzyńskie hordy.

- Nie sądzisz, że ścigacz, który płynie za nami, może mieć coś przeciwko temu? - spytał Gunn.

- To drobiazg. Jeśli mój harmonogram jest dobry, przemkniemy obok malijskiego kutra, zanim zorientuje się, o co chodzi.

- To się od biedy da zrobić - rzekł Giordino. - Po ciemku, jeśli będziemy mieć dużo szczęścia, Malijczycy mogą nie zauważyć płynącego człowieka.

- Ale dlaczego ja? - dopytywał się Gunn. - Dlaczego nie któryś z was?

- Ponieważ jesteś najlepszy - odrzekł Pitt. - Jeśli ktoś z nas byłby w stanie przedostać się na lotnisko w Gao i stamtąd polecieć do Stanów, to tylko człowiek tak sprytny i obrotny jak ty.

Poza tym jesteś wśród nas jedynym chemikiem. Tylko ty umiesz dokładnie określić tę toksyczną substancję. Ten argument chyba wystarczy.

- Ale jak wy stąd uciekniecie?

- Możemy spróbować dostać się do naszej ambasady w Bamako, stolicy Mali.

- Słaba nadzieja. To sześćset kilometrów stąd.

- A ja myślę, że pomysł Dirka jest niezły - rzekł Giordino. - Jego szare komórki i moje razem wzięte dają nam jakąś szansę.

- Nie mogę uciec i zostawić was tutaj. Chcecie zginąć?

- Nie pleć głupstw - rzekł Giordino - Wiesz dobrze, że ani ja, ani Dirk nie mamy natury samobójców.

- Dajcie spokój - rzucił Pitt. - Po wysłaniu Gunna na brzeg tak urządzimy Calliope, że Kazim nigdy nie będzie się mógł nią cieszyć. A sami powędrujemy łodem przez pustynię i poszukamy źródła skażenia.

- Co takiego? - Giordino otworzył szeroko oczy. - Pieszko przez pustynię?

- Masz dziwny dar przedstawiania wszystkiego w strasznym skrócie - rzekł Gunn do Pitta.

- Przez pustynię... - powtarzał w kółko Giordino.

- Mały spacer jeszcze nikomu nie zaszkodził - rzekł Pitt z uśmiechem.

- Już wiem, o co mu chodzi - mruczał Giordino. - Chce, żebyśmy sami się wykończyli.

- Sami się wykończyli? - powtórzył jak echo Pitt. - Al, jeszcze o tym nie wiesz, ale wypowiedziałeś magiczną formułę!

Spojrzeni po raz ostatni na krążący w górze samolot. Wyraźnie nie miał ochoty atakować. Pitt był świadom, że od momentu, kiedy Calliope rozpocznie swój szalony rejs, nie będzie mógł już poświęcić ani chwili na obserwację nieba. Kierowanie w nocy pędzącym z szybkością siedemdziesięciu węzłów jachtem wymaga najwyższej koncentracji. Podniósł wzrok na ogromną flagę powiewającą na maszcie zniszczonej anteny satelitarnej. Postanowili zdjąć chorągiew piracką, ponieważ w jednym z zakamarków łodzi udało im się znaleźć dużą flagę amerykańską. Była naprawdę ogromna, prawie dwumetrowej szerokości; niestety, z powodu braku wiatru zwisała smętnie, skrzycona wokół masztu anteny.

Spojrzał na wieżyczkę na rufie. Otwory strzelnicze były zamknięte. Giordino nie miał zamiaru wystrzeliwać sześciu pozostałych rakiet. Wolał umieścić je wokół zbiorników z paliwem, po czym podłączyć do zegarowego zapalnika. Tymczasem w laboratorium Gunn owijał starannie w plastik taśmy z zapisem danych oraz fiołki z próbkami wody i wkładał je do plecaka, razem z małym zapasem żywności i różnymi drobiazgami, które mogły mu się przydać w drodze.

Pitt ze zdziwieniem zauważył, że nie jest już zmęczony. Ostateczne podjęcie decyzji wywołało świeży przyływ adrenaliny. Wziął głęboki oddech, skrzył koło sterowe o sto osiemdziesiąt stopni i włączył całą moc silników. Dla pasażerów samolotu wyglądało to tak, jakby Calliope oderwała się nagle od wody i wykonała w powietrzu szalony taniec. W rzeczywistości jacht zrobił błyskawiczny zwrot i pomknął z ogromną szybkością w dół rzeki, wzbijając w górę fontanny spienionej wody. Jego dziób wznosił się nad powierzchnią rzeki jak miecz. Tył zanurzył się w wodzie. Gwiazdki i paski amerykańskiej flagi wyprostowały się dumnie na wietrze. Pitt zdawał sobie sprawę, że działa wbrew jakimkolwiek zasadom międzynarodowej polityki, powiewając narodowym emblematem w kraju, do którego dostał się w sposób nielegalny. Jeśli rozwścieczeni Malijczycy wystosują ostry protest, Departament Stanu potraktuje go jak zwykłego mordercę, nie mówiąc już o tym, jakie piekło wybuchnie o to w Białym Domu. Kości zostały jednak rzucone. Przed nimi była tylko lśniąca, czarna wstęga rzeki, w której przeglądało się światło gwiazd. Ze względu na ciemność Pitt bał się płynąć zbyt blisko brzegu. Kontakt pędzącego jachtu z dnem ewentualnej mielizny groził rozbiciem Calliope na kawałki. Jego wzrok przeskakiwał z radaru na tablicę sondy głębokościowej, po czym wracał na czarny bezkres Nigru. Nie musiał tracić czasu na wpatrywanie się w igłę szybkościomierza. Wiedział, że minęła już podziałkę siedemdziesięciu węzłów, przeskoczyła nawet czerwoną kreskę. Wyglądało to, jakby Calliope wykonywała swą ostatnią podróż z jakąś desperacką, przekraczającą jej możliwości siłą; jakby już nigdy nie miała wrócić do macierzystego portu.

Gdy malijski ścigacz znalazł się w samym środku ekranu radaru, Pitt skierował jacht ukośnie do biegu rzeki. Dobrze już widział przysadzistą sylwetkę wojskowej jednostki, która odwracała się bokiem, by zagrozić Calliope drogę. Nie było widać żadnych świateł, Pitt był jednak pewien, że załoga malijska czeka z bronią gotową do strzału. Postanowił zamarkować zwrot w prawo, a w ostatniej chwili skręcić w lewo i przejść przed dziobem ścigacza. Mogło to zmylić obsługę działek pokładowych. Malijczycy mieli przewagę, Pitt liczył jednak na to, że Kazim nie dopuści do zniszczenia najlepszego i najszybszego na świecie jachtu. Generał nie musiał się zresztą śpieszyć. Od granicy Gwinei dzieliło ich jeszcze kilkaset kilometrów. Kazim miał więc dość czasu, by ich zatrzymać.

Pitt zaparł się mocno nogami i z całej siły ścisnął rękami koło steru. Przygotowywał się do szybkiego zwrotu. Ryk dieslowskich silników i szum wiatru zabrzmiały niczym dźwięki ostatniego aktu Wagnerowskiego "Zmierzchu Bogów". Brakowało tylko grzmotów i błyskawic. Ale i one nie nadeszły. Dryfująca kanonierka malijska zamieniła się nagle w ścianę ognia, rozdierając straszliwym hukiem nocną ciszę pustyni i obsypując Calliope gradem pocisków.

Z pokładu swego odrzutowca generał Kazim oglądał z przerażeniem atak ścigacza. Ogarnęła go wściekłość.

- Kto pozwolił kapitanowi otworzyć ogień? - ryknął. Cheik spojrzał na niego niepewnie.
- Musiał sam podjąć tę decyzję.
- Niech natychmiast przestanie! Chcę mieć ten jacht nietknięty.
- Tak jest - Cheik skłonił się i ruszył w stronę kabiny telekomunikacyjnej.

- Co za idiota! - Kazim trząsł się ze złości. - Powiedziałem chyba wyraźnie: nie strzelać, dopóki nie rozkażę. Kapitana i załogę ścigacza rozstrzelać za nieposłuszeństwo! Minister Messaoud Djerma spojrzał na Kazima z dezaprobatą.

- Jest pan zbyt surowy.

Kazim zmroził go złym spojrzeniem.

- Tak należy karać niestosowanie się do rozkazów.

Djerma cofnął się przed morderczym wzrokiem zwierzchnika. Nikt, kto miał na utrzymaniu żonę i dzieci, nie odważył się sprzeciwić Kazimowi. Ci, którzy kwestionowali rozkazy generała, znikali tak, jakby nigdy nie istnieli. Powoli Kazim przeniósł wzrok z ministra Djermy na to, co działo się na rzece. Śmiercionośne pociski rozświetlały mrok pustyni. Waliły w prawą burtę Calliope i brzmiało to tak, jakby dziesięć dział strzelało jednocześnie. Pociski biły w wodę jak grad, niektóre jednak trafiały w bezbronny jacht. Na szczęście nie przedostawały się w głąb, choć w dziobie i na przednim pokładzie pojawiły się dziury. Pitt instynktownie przykucnął i rozpaczliwie szarpnął kołem sterowym, by umknąć przed niszczącym ogniem. Calliope

zmieniła kurs, załoga ścigacza po chwili dostosowała jednak linię ognia do pozycji jachtu i zaczęła atakować od nowa, dziurawiąc metalowy kadłub i miażdżąc fiberglas nadbudówki.

Z podziurawionego jachtu wydobywał się dym; ogień zaczął trawić zwoje lin w forpiku. Obok Pitta eksplodowała konsola. Nic mu się nie stało, choć czuł spływającą po policzku krew. Przeklinał swą głupotę. Dlaczego sądził, że Malijczycy oszczędzą Calliope? Żałował teraz, że Giordino wyjął rakiety z wyrzutni i umieścił je obok zbiorników paliwa. Wystarczy jeden celny strzał w komorę silnika i wylecą w powietrze jako przyszły pokarm dla ryb. Znajdowali się tak blisko kanonierki, że w błyskach działek Pitt mógł odczytać godzinę na swojej Doxie. Szarpnął nerwowo sterem, zmuszając podziurawiony jacht do okrążenia dziobu kanonierki w odległości mniejszej niż dwa metry. Ściana wody, która wytrysnęła w tym momencie spod jachtu, zakołysała silnie malijską jednostką. Jej działka strzelały teraz w pustą, ciemną przestrzeń, nie czyniąc im już żadnej krzywdy. Nagle kanonada ustała. Pitt zastanawiał się, dlaczego. Calliope nadal zygzakami posuwała się szybko do przodu, zostawiając łódź malijską daleko za sobą. Spojrzał na ekran radaru i z ulgą stwierdził, że nie widać na nim pikujących odrzutowców.

Pojawił się Giordino. Spojrzał w twarz Pitta z niepokojem.

- Wszystko w porządku?

- Jak najlepszym. A co z tobą i z Rudim?

- Zarobiliśmy parę siniaków, objając się o ściany. Kręciłeś sterem jak szalony. Rudi nabił sobie niezłego guza na głowie, ale dzielnie gasił liny pod pokładem.

- Twardy facet.

- Czy wiesz, że sterczy ci z gęby kawał szkła? - Giordino oświetlił ręczną latarką twarz Pitta.

Pitt oderwał rękę od koła i delikatnie pomacał policzek.

- Widzisz lepiej ode mnie. Wyciągnij to.

Giordino wsadził sobie latarkę w zęby i oświetlając głowę Pitta chwycił za szkło, po czym wyszarpnął je zręcznie.

- Większe niż myślałem - rzekł.

Wyrzucił je za burtę i przyniósł opatrunek. Okleił twarz Pitta plastrem i z dumą przyglądał się swojemu dziełu.

- Gotowe. Piękna operacja w wykonaniu doktora Alberta Giordino, słynnego pustynnego chirurga.

- Co dalej proponuje wielki chirurg? - spytał Pitt, oglądając jednocześnie w świetle latarki pokieraszowane ściany jachtu.

- Oczywiście słony rachunek.



- Przyślę ci czek.

Gunn wyszedł na pokład z kostką lodu przytkniętą do czoła.

- Admirał dostanie zawału, jak się dowie, co zrobiliśmy z jachtem.

- Daj spokój. Nie sądzę, żeby spodziewał się go jeszcze ujrzeć - rzekł Giordino.

- Ugasiłeś ogień? - spytał Pitt Rudiego.

- Jeszcze się trochę dymi. Na szczęście zdążyłem uruchomić gaśnice, zanim się tam udusiłem.

- Czy są jakieś przecieki?

- Nie - pokręcił głową Rudi. - Większość pocisków waliła w górną część jachtu. Żaden nie trafił poniżej linii wodnej. W każdym razie dno jest suche.

- Są jeszcze jakieś inne samoloty w pobliżu? Na radarze jest tylko jeden.

- Ten wielki ciągle nas obserwuje - Giordino uniósł głowę. - Po ciemku nie widać myśliwców, mogą być zresztą poza zasięgiem słuchu. Moje stare kości mówią mi jednak, że są niedaleko.

- Jak daleko stąd do Gao? - spytał Gunn.

- Siedemdziesiąt pięć, może osiemdziesiąt kilometrów - ocenił Pitt - Nawet przy tej prędkości nie dotrzemy tam wcześniej niż za godzinę.

- I to pod warunkiem, że ci z góry nie będą nam przeszkadzać - Giordino usiłował przekrzyczeć hałas wiatru i silników.

Gunn wskazał ręką na nadajnik łączności lokalnej leżący na pulpicie.

- Dobrze byłoby odwrócić ich uwagę.

- Dobra myśl. - Pitt uśmiechnął się w ciemności. - Sądzę, że nadeszła właściwa pora.

- Słusznie - zgodził się Giordino. - Ciekaw jestem, co mają do powiedzenia.

- Boję się, że zbyt długa rozmowa zabierze nam czas potrzebny na dotarcie do Gao - zauważył Gunn - Mamy sporą drogę do pokonania.

Pitt oddał ster Giordinowi, po czym wziął do ręki walkie-talkie.

- Dobry wieczór - rzekł uprzejmie. - Czy możemy wam w czymś pomóc?

Po chwili ciszy ktoś odezwał się po francusku.

- Psiamać - mruknął Giordino.

Pitt spojrzał w górę, w kierunku samolotu i rzeki:

- Non parley vous francais.

- Czy wiesz, co powiedziałaś? - Gunn uniósł brwi.

- Powiedziałem, że nie mówię po francusku - Pitt spojrzał na niego niewinnie. - Vous to znaczy pan lub wy - pouczył go Gunn. - Powiedziałeś mu, że on nie mówi po francusku.

- Wszystko jedno, w każdym razie dał się wciągnąć w rozmowę.

- Rozumiem po angielsku - odezwał się głos w głośniku.

- To świetnie - odrzekł Pitt. - Więc rozmawiajmy.

- Przedstaw się.

- Sam się przedstaw.

- Jestem generał Zateb Kazim, dowódca Najwyższej Rady Wojskowej.

Pitt spojrzał na Gunna i Giordina.

- Rozmawiamy z samym szefem.

- Zawsze chciałem być dostrzeżony przez kogoś z samej góry - rzekł Giordino z ponurym sarkazmem. - Nigdy nie przypuszczałem, że to się zdarzy właśnie na tym głupim końcu świata.

- Przedstaw się - powtórzył Kazim.

- Edward Teach, kapitan okrętu "Zemsta Królowej Anny".

- Studiowałem na Uniwersytecie Princeton - odparł sucho Kazim. - Wiem, z jakiej książki jest ten pirat. Ale żarty się skończyły. Poddajcie jacht!

- A jeśli nie mamy ochoty?

- Zostaniecie zbombardowani przez bombowce Malijskich Sił Powietrznych.

- Jeśli strzelają równie celnie jak wasze ścigacze, to jesteśmy spokojni - odparł Pitt.

- Nie lubię żartów - Kazim zdawał się coraz bardziej zirytowany. - Kim jesteście i co robicie w moim kraju?

- Powiedzmy, że wybraliśmy się na ryby.

- Zatrzymajcie się natychmiast i poddajcie łódź!

- Nie ma mowy - odrzekł Pitt spokojnie.

- Jeśli tego nie zrobicie, czeka was śmierć.

- A pan straci jedyną w swoim rodzaju łódź. Myślę, że widział pan, co potrafi.

Nastąpiła długa cisza. Pitt poczuł, że dobrze trafił.

- Owszem, słyszałem o waszej bitwie z moim przyjacielem Matabu. Znam możliwości bojowe waszej łodzi.

- Więc wie pan również, że moglibyśmy wysłać wasz ścigacz na dno rzeki.

- Niestety, zaczęli strzelać wbrew moim rozkazom.

- Moglibyśmy również roznieść w kawałki pana piękny, szybujący po niebie odrzutowiec - zablefował Pitt.

- Jeśli ja zginę - Kazim był i na to przygotowany - wy zginiecie również. Wydałem już rozkazy.

- Chcemy trochę czasu do namysłu, powiedzmy, zanim nie dojedziemy do Gao.

- Stać mnie na to - rzekł Kazim cierpliwie. - Ale w Gao zakończycie swoją podróż i zacumujecie jacht w porcie miejskim. Jeśli nadal będziecie się upierać przy tej ucieczce, moje samoloty zlikwidują was.

- W porządku, panie generale. Wiemy, czego się trzymać.

Pitt wyłączył radio i uśmiechnął się szeroko.

- Lubię uczciwe transakcje.

Przed nimi, w odległości około pięciu kilometrów, lśniły w ciemności światła Gao.

Pitt przejął ster od Giordina.

- Przygotuj się do skoku, Rudi.

Gunn niepewnie przyglądał się rwącej wodzie. Jacht płynął z prędkością siedemdziesięciu pięciu węzłów.

- Przy tej szybkości nie skoczę.

- Nie bój się, zwolnię do dziesięciu węzłów - zachęcał go Pitt. - Skoczysz z przeciwnej strony niż samolot. Jak już będziesz w wodzie, przyspieszę znowu.

- Zagadaj Kazima przez pewien czas - zwrócił się do Giordina. Giordino podniósł do ust aparat.

- Czy mógłby pan powtórzyć swoje warunki, generale?

- Nie próbujcie uciekać. Jeśli chcecie przeżyć, zatrzymajcie się w Gao. To są moje warunki.

Pitt zbliżył Calliope do brzegu rzeki. Mimo wszystko był napięty i niespokojny. Gunn powinien znaleźć się w wodzie, zanim światła miasta oświetlą rzekę. Nie mogli jednak dopuścić do tego, żeby Malijczycy spostrzegli ich manewr. Sonda głębościowa wskazywała bliskość przybrzeżnej mielizny. Zredukował gwałtownie obroty. Dziób jachtu zanurzył się w wodzie i sternika rzuciło na pulpit.

- Skacz! - krzyknął Pitt. - Trzymaj się, stary.

Mały biolog z NUMA, przytrzymując ciasno zapięte paski plecaka, bez słowa pożegnania zniknął nagle w rzece. Niemal natychmiast Pitt wrócił do dawnej szybkości.

Giordino wyjrzał przez rufę. Gunn był już całkowicie niewidoczny. Powinien bezpiecznie przepłynąć pięćdziesięciometrową odległość, jaka dzieliła jacht od brzegu.

Zadowolony Giordino wrócił do rozmowy z generałem Kazimem.

- Jeśli obieca nam pan bezpieczny przejazd przez wasz kraj, jacht będzie wasz, lub raczej to, co z niego zostało.

Kazim najwyraźniej nie zauważył dziwnego manewru Calliope.

- Zgoda - odparł.

- Nie chcemy zginąć w następnej strzelaninie w tej brudnej wodzie.

- Słuszny wybór - powtórzył Kazim. Jego słowa brzmiały rzeczowo, a nawet uprzejmie, choć można było w nich wyczuć połączoną z triumfem wrogość. - Prawdę mówiąc, nie macie innego wyjścia.

Pitt miał niejasne wrażenie, że jednak przeszarżowali tę grę. Obydwaj z Giordinem zaczęli podejrzewać, że Kazim chce się ich pozbyć, a ciała rzucić szakalom na pożarcie. Musieli odwrócić uwagę Malijczyków od Gunna i jednocześnie sami ujść z życiem. Gra była bardzo trudna, a szansę doprowadzenia jej szczęśliwie do końca nader nikłe. Mogli w niej zyskać jeszcze kilka godzin, nic ponadto. Pitt zaczął przeklinać swą szaloną nadzieję, że mogą wyjść z tego cało. Jednak w chwilę później z ciemności nocy przyszedł zupełnie nieoczekiwany i niespodziewany ratunek.

Giordino trącił Pitta w ramię, pokazując coś na rzece.

- Widzisz te światła? To ten wielki, hałaśliwy statek. Już raz go mijaliśmy. Wygląda na jacht miliardera, z helikopterem i ładnymi dziewczynami na pokładzie.

- Pewnie ma też system łączności satelitarnej. Moglibyśmy połączyć się z Waszyngtonem.

- Nie zdziwiłbym się nawet, gdyby miał teleks.

Pitt uśmiechnął się. - Z braku ciekawszych zajęć moglibyśmy złożyć mu wizytę.

Giordino zaśmiał się także i klepnął Pitta po plecach.

- Zainstaluję detonator.

- Masz na to trzydzieści sekund.

Giordino spuścił się po drabinie do maszynowni. Pitt zaprogramował na komputerze dalszy kurs łodzi i włączył automatycznego pilota. Na szczęście rzeka w tym miejscu była szeroka i prosta. Pozwoli to zdanej na własne siły Calliope przepłynąć spory dystans.

- Gotów? - Pitt spojrzał na Giordina.

- Tak.

- Jeszcze chwilę - Pitt podniósł do ust nadajnik. - Generale Kazim?

- Tak?

- Zmieniłem zdanie. Nie dostanie pan tego jachtu. Życzę przyjemnego wieczoru.

Giordino uśmiechnął się.

- Lubię twój styl.

Pitt odłożył walkie-talkie i w napięciu czekał, aż Calliope zrówna się z wielkim statkiem. Gwałtownie zmniejszył szybkość do dwudziestu węzłów.

- Już!

Giordino tylko na to czekał. Skoczył wielkim susem z tylnego pokładu do wody. Znalazł się tuż za jachtem, w samym środku spienionej fali. Pitt zdążył jeszcze pchnąć manetkę gazu z powrotem do poprzedniego poziomu, po czym zwinięty wpół przeskoczył przez burtę. Poczł silne uderzenie o powierzchnię wody, która po chwili wchłonęła go w siebie jak miękki dywan. Pilnował, by ani jedna kropla wody z zatrutej rzeki nie dostała mu się do przelyku. I bez tego mieli dość kłopotów. Przez chwilę płynął na plecach, obserwując Calliope pędzącą w ciemność z szybkością ekspresu. W ostatnich momentach swego istnienia była zdana już tylko na siebie. Nie musiał długo czekać na eksplozję rakiet i zbiornika z benzyną. Wybuch był straszny. Mimo ponad kilometrowej odległości poczuł silne uderzenie gorącej fali powietrza. Calliope zmieniła się w olbrzymią pomarańczową kulę, po czym rozprysła się w tysiąc kawałków. W ciągu pół minuty płomienie strawiły to, co z niej zostało.

Piękny sportowy jacht przestał istnieć.

Zapadła przeraźliwa cisza. Słysząc było tylko monotony warkot samolotu Kazima i ciche dźwięki pianina, dochodzące z ogromnego luksusowego statku. Giordino podpłynął do Pitta.

- Jak ci idzie? Myślałem, że nie umiesz pływać.

- Czasem nie mam innego wyjścia...

- Myślisz, że dali się nabrać? - Giordino wskazał ręką w górę.

- Na razie.

- Idziemy na przyjęcie?

Pitt wziął nad wodą głęboki oddech.

- Jasne.

Płynąc obserwowali wspaniały, wielki jak dom statek. Był specjalnie przystosowany do rzecznej żeglugi. Zanurzenie nie przekraczało czterech stóp. Rysunkiem i kształtem przypominał słynny parowiec Robert E. Lee, pływający niegdyś po Mississipi. Brakowało mu tylko ogromnych kół napędowych. Miał też nowocześniejszą nadbudowę. Najbardziej przypominała stary parowiec budka sternika, wysunięta silnie do przodu na górnym pokładzie. Gdyby konstrukcja dna była dostosowana do rejsów morskich, statek należałby niewątpliwie do kategorii luksusowych megajachtów. Na środku pokładu stał lśniący helikopter. Trzy piętrowe oszklone atrium wypełniały ogromne tropikalne rośliny. Można się było domyślać, że sprzęt elektroniczny jest tu z ery kosmicznej. Znajdowali się około dwudziestu metrów od statku, gdy z wielką szybkością minął ich malijski ścigacz. Przed oczyma Pitta mignęły postacie stojących na mostku oficerów. Patrzyli w stronę niedawnej eksplozji. Nie zwracali uwagi na to, co działo się poza zasięgiem reflektorów ich łodzi. Pitt dostrzegł również ludzi z załogi: był przekonany, że z odbezpieczoną bronią wypatrują w wodzie kogoś, kto być może uratował się z katastrofy.

Tymczasem na pokładzie wspaniałego statku tłumnie pojawili się pasażerowie. Rozprawiali między sobą w podnieceniu, wskazując w kierunku miejsca ostatniego spoczynku Calliope. Cały statek był rzęście oświetlony. Pitt płynął ostrożnie, pilnując, by nie znaleźć się w zasięgu świateł.

- Nie możemy podpływać bliżej - rzekł cicho do Giordina, który posuwał się o metr za nim.

- Nie robimy wielkiego entree - Giordina nawet teraz stać było na dowcip.

- Zanim zepsujemy im party, chciałbym zdążyć opowiedzieć Sandeckerowi, co się z nami dzieje.

- Jak zwykle masz rację - zgodził się Giordino. - W nocy właściciel mógłby wziąć nas za

złodziei, którymi w istocie jesteście. W dodatku mogłoby przyjść mu do głowy nas zatrzymać.

- Mamy dwadzieścia metrów do statku. Wytrzymasz tyle pod wodą?

- Potrafię wstrzymać oddech równie długo, jak ty.

Pitt zrobił kilka głębokich oddechów, pozbywając się z organizmu dwutlenku węgla, nabrał pełne płuca powietrza, po czym zanurzył się pod wodą. Giordino dał nurka tuż za nim. Pitt płynął głęboko, prawie metr pod powierzchnią wody. To, że jest już blisko statku, poznawał po coraz silniejszym świetle z góry. Wreszcie tuż nad jego głową zamajaczył cień wielkiego kadłuba. Osłaniając głowę wyciągniętymi rękoma popłynął w górę, aż poczuł palcami przyklepione do dna statku wodorosty. Wynurzył się powoli i odetchnął nocnym powietrzem. Z dołu nie mógł dojrzeć pasażerów, choć o dwa metry nad głową widział liczne ręce, ściskające metalową barierkę. Pasażerowie także go nie dostrzegli, mimo że ktoś wychylił się właśnie poza linię relingu. Obaj z Giordinem zdali sobie jednak od razu sprawę, że tędy nie dostaną się na statek niezauważeni.

Pitt podpłynął ostrożnie do samego kadłuba. Obiema rękami badał głębokość zanurzenia statku. Skinął na Giordina, po czym obaj ponownie zaczerpnęli wielkie hausty powietrza i zanurkowali pod dnem statku. Trwało blisko minutę, zanim wypłynęli po drugiej stronie. Lewy pokład był pusty. Wszyscy zgromadzili się przy prawej burcie, zaintrygowani katastrofą. Na szczęście wzdłuż kadłuba wisiały gumowe odbijacze. Bez trudu wdrapali się po nich na pokład.

Pitt przez chwilę badał rozkład statku. Znajdowali się na pokładzie z kabinami pasażerskimi, musieli więc dostać się wyżej. Ostrożnie weszli po schodach na następny poziom. Z daleka zobaczyli wielką salę jadalną w stylu luksusowej restauracji. Ruszyli wyżej, aż znaleźli się tuż pod budką sternika. Tym razem oczom ich ukazał się elegancki salon: skóra, szkło i metal. Jedną ze ścian zdobił bogato zaopatrzony bar. Nie było barmana, przypuszczalnie znajdował się na zewnątrz w tłumie pasażerów. Przy niewielkim pianinie siedziała szczupła, długonoga blondynka o smagłej cerze. W czarnej obcisłej mini wyglądała bardzo atrakcyjnie. Podśpiewując ochrypłym głosem grała stary szlagier I love Paris. Na pianinie stały rzędem cztery szklanki po martini. Wyglądało na to, że popijała przez cały dzień i pewnie dlatego tak kiepsko grała.

Na widok Pitta i Giordina przerwała w środku refrenu. Przyglądała im się z półprzytomnym zdziwieniem przymglonymi zielonymi oczyma.

- Co was tu przyniosło, chłopcy? - wymamrotała.

Pitt kątem oka dostrzegł w lustrze dwóch mężczyzn w mokrych szortach i T-shirtach, nie ogolonych od tygodnia, z mokrymi, lepiącymi się włosami. Przestał się dziwić dziewczynie, że przygląda im się jak dwóm utopionym szczurom.

Przyłożył palec do ust, nakazując ciszę. Podniósł dłoń dziewczyny i ucałował, po czym minął ją na palcach i znikł w drzwiach następnego pomieszczenia.

Giordino, zanim poszedł w ślady Pitta, obrzucił dziewczynę czułym wzrokiem:

- Na imię mi Al - szepnął jej do ucha. - Kocham cię. Zaraz wracam.

Znaleźli się w korytarzu, którego krańce ginęły w mroku. Okazało się, że to istny labirynt, z biegnącymi we wszystkie strony odgałęzieniami. Poruszali się jak we mgle.

Wnętrze statku było jeszcze rozleglejsze, niż wskazywały na to jego zewnętrzne rozmiary.

- Przydałby się motocykl i jakaś mapa - mruknął Giordino.

- Gdybym był właścicielem tej łódki - rzekł Pitt - umieściłbym centrum łączności radiowej na górnym pokładzie z przodu, zyskując jednocześnie wspaniały widok znad dziobu.

- A ja ożeniłbym się z pianistką.

- Może później - mruknął Pitt. - Idziemy dalej. Musimy sprawdzić kolejne drzwi.

Przyszło im to łatwo, ponieważ na drzwiach kabin umieszczone były mosiężne tabliczki. Na jednej z nich widniał napis: "Prywatne biuro Mr. Massarde'a".

- To pewnie właściciel tego pałacu - rzekł Giordino.

Pitt nacisnął klamkę. Każdy dyrektor wielkiej firmy zachodniej zzieleniałby z zazdrości na widok tak luksusowo urządzonego biura w samym sercu pustyni. Środek gabinetu zajmował wielki stół konferencyjny w hiszpańskim, starym stylu, otoczony dziesięcioma krzesłami pokrytymi kosztowną materią, tkaną ręcznie przez Indian Navajo. Większość dekoracji ściennych pochodziła z południowo-zachodnich części Ameryki. W specjalnych niszach tkwiły rzeźby plemienia Hopi, wykonane z potężnych korzeni amerykańskiej topoli. Pitt zapomniał na chwilę, że znajduje się na statku. Na długich półkach, umieszczonych za ogromnym biurkiem, stała kolekcja wspaniałej porcelany i rzadkich kamieni. Cały system łączności wbudowany był w stylowy XIX-wieczny kredens. Pokój był pusty, ale musieli się spieszyć. Pitt szybkim krokiem podszedł do pulpitu z telefonem i zaczął studiować skomplikowany system przycisków. Wystukał wreszcie długi numer Sandeckera w Waszyngtonie. Po "klik-klik" i dłuższej chwili milczenia odezwał się sygnał amerykańskiej centrali. Przez pewien czas nikt nie odpowiadał.

- Boże, dlaczego nie podnosi słuchawki? - denerwował się Pitt.

- Lepiej, żeby się pośpieszył - rzucił Giordino. - Ktoś może wypatrzeć nasze mokre ślady na korytarzu.

- Zatrzymaj go w miarę możliwości - rzucił Pitt.

- A jak będzie miał broń?

- Wtedy będziemy się martwić.

Giordino rozglądał się po ścianach z kolekcją sztuki indiańskiej.



- Zatrzymaj go w miarę możliwości - przedrzeźniał Pitta. - Łatwo powiedzieć.
- Biuro admirała Sandeckera - odezwał się wreszcie kobiecy głos.
- Julie? - Pitt mocniej ścisnął słuchawkę.

Julie Wolf, prywatna sekretarka Sandeckera, wstrzymała oddech.

- Panie Pitt, to pan?
- Tak. Nie spodziewałem się pani zastać o tej porze w biurze.
- Nikt z nas stąd nie wychodzi, odkąd straciliśmy z wami kontakt. Dzięki Bogu, żyjecie.

Wszyscy w NUMA niepokoją się o was. A pan Giordino i pan Gunn?

- W porządku. Czy admirał jest gdzieś blisko?
- Jest właśnie na konferencji z ludźmi z ONZ. Może przy ich pomocy uda mu się wyciągnąć was z Mali. Zaraz go dam do telefonu.

Po chwili odezwał się głos Sandeckera:

- Dirk?
- Nie mam czasu na dłuższe sprawozdanie. Niech pan nagrywa to, co powiem.
- Nagrywam.

- Rudi wykrył tę chemiczną substancję. Ma wszystkie wyniki badań przy sobie. Jest teraz w drodze na lotnisko Gao. Może stamtąd uda mu się jakoś dostać do Stanów. Znamy już miejsce, gdzie trucizna przedostaje się do Nigru. Rudi ma dokładne dane. Problem w tym, że właściwe źródło skażenia jest gdzieś na północy. Obaj z Alem chcemy tam dotrzeć. Aha, zniszczyliśmy Calliope.

- Ktoś chce się tu dostać - krzyknął Giordino, przytrzymując potężnym ramieniem drzwi, do których dobijano się z drugiej strony.

- Gdzie jesteście? - spytał Sandecker.
- Słyszał pan o bogatym Francuzie, który nazywa się Yves Massarde?
- Coś słyszałem. To francuski magnat przemysłowy. Ale co to ma do rzeczy?

Zanim Pitt zdążył odpowiedzieć, drzwi ustąpiły i na Giordina wpadło sześciu silnych mężczyzn. Udało mu się położyć pierwszych trzech, ale znalazł się na dnie kłbowiska coraz liczniej napływających ludzi.

- Jesteśmy nieproszonymi gośćmi na statku Massarde'a - zdążył jeszcze krzyknąć do słuchawki Pitt. - Przepraszam, admirale, muszę już kończyć.

Spokojnie odłożył słuchawkę na miejsce, obrócił się na krześle i spojrzał na człowieka, który właśnie pojawił się w drzwiach. Yves Massarde ubrany był w nieskazitelną białą marynarkę; zdobiła ją wetknięta w klapę róża. Rękę trzymał nonszalancko w kieszeni, odstawiając na bok łokieć. Obojętnie, tak jak mija się uliczne zamieszanie, minął szarpiących się

na podłodze mężczyzn. Następnie zatrzymał się, spoglądając przez smugę niebieskiego dymu z gauloise'a, którego trzymał w kąciku ust. Za jego biurkiem siedział spokojnie jakiś człowiek i uśmiechał się bezczelnie. Massarde znalazł się na ludziach. Oceniał, że to niebezpieczny przeciwnik.

- Dobry wieczór - rzekł Pitt uprzejmie.

- Amerykanin czy Anglik? - spytał Massarde.

- Amerykanin.

- Co pan robi na moim statku?

Pitt uśmiechnął się lekko.

- Musiałem pilnie skorzystać z pana telefonu. Myślę, że nic tu nie zepsuliśmy. Zapłacę za połączenie oraz za zniszczenie drzwi w pańskim biurze.

- Mogli panowie wejść na mój statek legalnie i skorzystać z telefonu jak dżentelmeni.

Massarde powiedział to tak, jakby uważał Amerykanów za prymitywnych kowbojów.

- Czy tak wyglądających cudzoziemców wpuściłby pan w środku nocy do swojego biura?

Massarde na samą myśl o tym uśmiechnął się.

- Ma pan rację. Pewnie bym nie wpuścił.

Pitt wziął do ręki ozdobne wieczne pióro leżące na biurku i pośpiesznie napisał coś na kartce papieru, którą następnie wręczył Massarde'owi.

- Proszę wysłać rachunek pod tym adresem. Miło nam było pana poznać, ale musimy już się zbierać.

Massarde wyjął z kieszeni eleganckiej marynarki mały automatyczny pistolet i skierował lufę w kierunku głowy Pitta.

- Zmuszony jestem prosić panów o skorzystanie z mojej gościnności, zanim zwrócę się o pomoc do malijskich służb bezpieczeństwa.

Giordino z trudem trzymał się na nogach. Jedno oko miał podbite, z nosa ciekła mu strużka krwi.

- Chce pan założyć nam kajdanki? - spytał Massarde'a. Francuz spoglądał na Giordina jak na niedźwiedzia w ogrodzie zoologicznym.

- Tak, strzeżonego Pan Bóg strzeże.

- Czulem, że to się tak skończy... - odezwał się ponuro Giordino.

Sandecker wrócił do sali konferencyjnej w głównej kwaterze NUMA w nastroju optymistycznym.

- Żyją - oświadczył krótko.

Przy stole z rozłożoną mapą zachodniej Sahary i z raportami na temat malijskich sił zbrojnych siedziało dwóch mężczyzn.

- Więc wracajmy do naszej misji ratowniczej - rzekł starszy z nich, ze szczeciniastą, siwiejącą czupryną i jasnoniebieskimi oczyma w dużej, okrągłej twarzy.

Generał Hugo Bock był człowiekiem dokładnym i przewidującym. Jako żołnierz miał niezliczoną ilość zalet. Między innymi był wprawnym zabójcą. Dowodził mało znaną formacją służb specjalnych, zwaną w skrócie UNICRATT, co oznaczało Taktyczną Grupę Szybkiego Reagowania przy ONZ. Była to grupa sprawnych i wyćwiczonych komandosów z dziewięciu krajów, która na zlecenie Organizacji Narodów Zjednoczonych podejmowała się wyjątkowo trudnych misji, często nie ujawnianych publicznie. Bock karierę swoją rozwinął w armii niemieckiej. Był też stałym doradcą krajów trzeciego świata, których rządy korzystały z jego usług w czasie wewnętrznych wojen czy konfliktów granicznych. Jego zastępcą był Marcel Levant, zasłużony i wysoko odznaczony weteran Francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Był to typ wojskowego arystokraty w starym stylu. Absolwent Saint Cyr, pierwszej szkoły wojskowej Francji, dał się poznać jako bohater wielu bojowych akcji, między innymi w krótkiej Wojnie Pustynnej w Iraku w 1991 roku. Twarz miał przystojną, inteligentną. Mimo 36 lat wyglądał bardzo młodo. Szczupła budowa, długie, ciemne włosy i szare oczy - wszystko to nadawało mu wygląd młodego człowieka, który ledwie opuścił mury uniwersytetu.

- Czy wie pan dokładnie, gdzie się znajdują?

- Wiem - odrzekł Sandecker. - Jeden z nich próbuje złapać w Gao jakiś samolot lecący do Ameryki. Dwaj pozostali są na jachcie Massarde'a na Nigrze.

- Ach, to ten sławny Skorpion.

- Zna go pan? - spytał Bock.

- Słyszałem o nim. Yves Massarde to międzynarodowy biznesmen, któremu udało się zgromadzić fortunę około dwóch miliardów dolarów. Nazywają go Skorpionem z powodu dziwnego znikania wszystkich jego konkurentów i partnerów. Ostatecznie został jedynym właścicielem wielu ogromnych i niezwykle dochodowych korporacji. Ma opinię człowieka bezwzględного, jest też wielkim utrapieniem dla rządu francuskiego. Pańscy przyjaciele nie mogli gorzej trafić.

- Czy ma na swoim koncie jakąś działalność kryminalną? - spytał Sandecker.

- Można by rzec, że wyłącznie. Ale nigdy nie dał się złapać, nie można go więc postawić przed sądem. Jego dossier w Interpolu ma już co najmniej metr grubości.

- Jakim cudem pańscy ludzie tam się znaleźli? - spytał Bock.

- Gdyby znał pan Dirka Pitta i Ala Giordino, zrozumiałby pan - mruknął Sandecker.

- Właściwie ciągle nie wiem, co skłoniło panią Kamil do poparcia pomysłu wyciągnięcia tych ludzi z Mali - rzeki Bock. - Nasza formacja podejmuje akcje tylko w sytuacjach poważnych kryzysów międzynarodowych. Nie rozumiem, dlaczego życie tych trzech ludzi jest aż tak istotne.

Sandecker spojrzał Boćkowi prosto w oczy.

- Niech pan mi wierzy, generale, nigdy nie miał pan równie doniosłej misji do spełnienia. Wyniki badań, które prowadzili w zachodniej Afryce ci ludzie, muszą być dostarczone do laboratoriów w Waszyngtonie najszybciej, jak to możliwe. Rząd amerykański z niezrozumiałych powodów nie chce się w to mieszać. Na szczęście pani Kamil doceniła wagę sytuacji i zaprosiła panów do współpracy.

- Czy można wiedzieć, o jakie badania chodzi? - spytał Levant.

Admirał potrząsnął przecząco głową, Nie mogę tego ujawnić.

- Czy to są sprawy dotyczące tylko Stanów Zjednoczonych?

- Nie, dotyczą wszystkich mieszkańców Ziemi. Bock i Levant wymienili między sobą spojrzenia.

- Powiedział pan - Bock zwrócił się do Sandekera - że ci ludzie się rozdzielili. To bardzo utrudnia naszą akcję. Nie chcielibyśmy rozdrabniać sił. Nie da się ustrzelić dwóch ptaków jednym kamieniem.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że nie może pan wydostać tych ludzi? - spytał niecierpliwie Sandecker.

- Nie, wcale tak nie twierdzę - rzeki Bock.

- Generał jest tylko zdania, że podjęcie się dwóch akcji jednocześnie jest podwójnym ryzykiem - wyjaśnił Levant. - Podwójne jest niebezpieczeństwo i podwójne mogą być niespodzianki. Mogę panu dać przykład. Mamy spore szansę wydostać tych dwóch ludzi z jachtu Massarde'a, ponieważ nie sądzę, żeby byli tam mocno pilnowani przez uzbrojoną straż. Poza tym nietrudno jacht zlokalizować. Co innego lotnisko. Nie mamy pojęcia, gdzie ten pański człowiek...

- Rudi Gunn - podsunął Sandecker - nazywa się Rudi Gunn.

- ... gdzie pan Gunn się ukrywa - ciągnął dalej Levant. - Nasz zespół będzie tracił cenny czas, żeby go znaleźć. Jest to lotnisko używane zarówno do celów cywilnych, jak wojskowych. Na pewno jest tam silna, dobrze uzbrojona ochrona. Prawdę mówiąc, wątpię, czy komukolwiek

uda się wyfrunąć z lotniska w Gao bez szwanku...

- Czyli chcecie, żebym dokonał wyboru?

- Dla powodzenia naszych działań - rzekł Levant - musimy ustalić, który cel jest ważniejszy, a który jest na drugim miejscu.

Bock popatrzył na Sandeckera.

- Niech pan decyduje, admirale.

Sandecker pochylił się nad rozłożoną na stole mapą Mali. Przyglądał się linii znaczącej kurs Calliope na Nigrze. Właściwie nie musiał się zastanawiać. Ważne były przede wszystkim analizy chemiczne. Jednocześnie przeraziły go ostatnie słowa Pitta, który obiecywał dotrzeć do źródeł zatrucia. Wyjął ze skórzanego pudełka cygaro i zapalił. Przez długą chwilę przyglądał się mapie, po czym podniósł wzrok na Boćka i Levanta.

- Trzeba przede wszystkim ratować Gunna - rzekł wreszcie.

- Zgoda - skinął głową Bock. - Ale skąd możemy mieć pewność, że nie udało mu się dostać na jakiś samolot i opuścić Mali?

Levant podniósł głowę znad mapy.

- Moi ludzie sprawdzili rozkład lotów. Najbliższy samolot leci z Gao poza granice Mali dopiero za cztery dni. Albo jeszcze później, jeśli lot będzie skasowany; a to się tam dość często zdarza.

- Cztery dni - powtórzył Sandecker; jego nadzieje zachwiały się. - Wątpię, żeby udało mu się ukrywać przez cztery dni. Może 48 godzin; potem malijskie służby go wywęszą.

- Chyba że wygląda jak tubylec i mówi po arabsku lub po francusku.

- Nic z tych rzeczy - rzeki Sandecker. Bock stuknął palcem w mapę.

- Pułkownik Levant z grupą specjalną czterdziestu ludzi może być w Gao za dwanaście godzin.

- Oczywiście, to jest wykonalne - potwierdził Levant - ale zbyt ryzykowne. Za dwanaście godzin w Mali będzie południe.

- Ma pan rację - zgodził się Bock. - Nie możemy ryzykować takiej wyprawy w środku dnia.

- Im dłuższa zwłoka - zauważył Sandecker - tym większe niebezpieczeństwo, że Gunn zostanie złapany i zginie.

- Przyrzekłem panu pomóc i zrobimy wszystko, żeby tego człowieka uratować - odparł poważnie Levant - ale nie kosztem naszych ludzi.

- Bardzo liczę na pana - Sandecker spojrzał surowo na Levanta. - Gunn wiezie informacje, od których zależy życie nas wszystkich.

Twarz Boćka wyrażała sceptycyzm. Obrzucił Sandeckera twardym spojrzeniem.

- Uprzedzam pana, admirale. Bez względu na to, co sądzi o tym wszystkim Sekretarz Generalny ONZ, jeśli moi chłopcy zginą w tej absurdalnej misji po to tylko, żeby ratować jednego z pańskich ludzi, to ja tego nie daruję. Na Boga, ktoś będzie musiał wtedy mieć ze mną osobiście do czynienia.

To "ktoś" aż nadto wyraźnie skierowane było do Sandeckera. Jego twarz nawet nie drgnęła. Admirał dużo wiedział o grupie UNICRATT. Informacje te uzyskał od starego przyjaciela, pracującego w jednej z agencji wywiadowczych. Ponieważ byli nieustraszeni i gotowi na wszystko, nazywano ich powszechnie "szaleńcami". Nie bali się własnej śmierci, byli też bezlitośni dla innych. Każdy z nich działał również na rzecz swego kraju, któremu przekazywał istotne informacje dotyczące trudnych misji ONZ. Sandecker przeczytał też uważnie życiorys Boćka oraz opinie o nim i wiedział z grubsza, z kim ma do czynienia.

Przechylił się przez stół w kierunku Boćka i spojrzał na niego ostrym jak nóż wzrokiem.

- Niech pan spróbuje zrozumieć, generale, chociaż zamiast głowy ma pan wielki, zardzewiały luger. Nic mnie nie obchodzi, ilu pańskich ludzi zginie przy wyciągnięciu Gunna z Mali. Wiem tylko, że ten człowiek ma być uratowany. Mam w dupie całą resztę!

Bock zacisnął pięści, ale pozostał na miejscu. Ze swymi sterczącymi, krzaczastymi brwiami nad rzucającymi wściekle iskry oczyma, wyglądał jak niedźwiedź szykujący się do skoku. Admirał, choć sięgał Boćkowi zaledwie do pasa, miał także wygląd człowieka gotowego do walki. Po chwili jednak wielki jak góra Niemiec roześmiał się serdecznie.

- No, skoro porozumieliśmy się już w kwestiach zasadniczych, zabierzmy się wspólnie do opracowania szczegółowego planu.

Sandecker uśmiechnął się także i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Poczęstował Boćka jednym ze swych ogromnych cygar.

- Przyjemnie się z panem współpracuje, generale. Myślę, że również skutecznie.

Hala Kamil stała na schodach hotelu Waldorf-Astoria, czekając na swój służbowy samochód. Wychodziła właśnie z oficjalnej kolacji, wydanej na jej cześć przez ambasadora Indii przy ONZ. Padał lekki deszczyk. Mokre ulice odbijały wieczorne miejskie światła. Przed hotelem zatrzymał się wielki czarny Lincoln. Pani Kamil, wdzięcznie podtrzymując długi strój, wśliznęła się na tylne siedzenie.

Ismail Yerli czekał już na nią w środku. Ucałował jej dłoń.

- Przepraszam, że spotykamy się w tak dziwny sposób, ale nie byłoby dobrze, gdyby zobaczono nas razem - tłumaczył się.

- Dawno się nie widzieliśmy, Ismail - pani Kamil nie umiała ukryć wzruszenia. - Unikałeś

mnie.

Upewnił się, że szyba oddzielająca ich od kabiny szofera jest dokładnie zamknięta.

- Miałem wrażenie, że będzie lepiej, jeśli się oddalę. Zaszłaś tak wysoko i stałaś się osobą tak ważną, że bałem się, by jakiś skandal ci nie zaszkodził.

- Mogliśmy zachować dyskrecję - szepnęła.

Yerli zaprzeczył ruchem głowy.

- Sprawy miłosne mężczyzny na wysokim stanowisku nikogo nie obchodzą. Ale kobieta twojej pozycji byłaby otoczona plotkami ze wszystkich stron. Środki masowego przekazu zrobiłyby wszystko, żeby cię zdyskredytować w oczach całego świata.

- Ciągle jesteś mi bliski, Ismail. Wziął ją za rękę.

- Ty także jesteś mi bliska. Ale wiem, że jesteś najcenniejszą rzeczą, jaką posiadają Narody Zjednoczone; nie mogę narazić twojej pozycji na szwank.

- To bardzo szlachetnie z twojej strony - odparła z ironią.

- Bałem się nagłówków w stylu: "Sekretarz Generalny ONZ - kochanką agenta francuskiego wywiadu, zatrudnionego w Światowej Organizacji Zdrowia". Zresztą moi zwierzchnicy w ministerstwie obrony też nie byłiby tym zachwyceni.

- Jak dotąd, utrzymywaliśmy nasz związek w tajemnicy - rzekła. - Moglibyśmy robić to nadal.

- Niemożliwe.

- Jesteś znany wszystkim jako Turek. Kto może wiedzieć, że już jako student wstąpiłeś do francuskiej służby wywiadowczej?

- Każdy, kto zacznie grzebać w moim życiorysie, prędzej czy później do tego dojdzie. Pierwszą zasadą dobrego agenta jest działać w cieniu. Już zakochanie się w tobie było odstępstwem od zasady. Jeśli wywiad brytyjski, sowiecki czy amerykański wywącha nasz związek, nie spocznie tak długo, aż zapełni grube dossier niepotrzebnymi szczegółami na twój temat, którymi potem może szantażować Organizację Narodów Zjednoczonych.

- Nic takiego dotąd nie miało miejsca - rzekła Kamil ze zdziwieniem.

- I nie ma miejsca w dalszym ciągu - odparł krótko. - Uważam jednak, że nie możemy się spotykać na terenie gmachu ONZ.

Hala Kamil odwróciła twarz w stronę mokrej od deszczu szyby samochodu.

- Więc po to szukałeś mojego towarzystwa, żeby mi to powiedzieć?

Yerli wziął głęboki oddech.

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Czy wiąże się to z ONZ, czy z Francją?

- I z ONZ, i z Francją.

- Spotykasz się ze mną tylko wtedy, kiedy jestem ci do czegoś potrzebna. Wykorzystujesz moje uczucie do swoich małych, szpiegowskich rozgrywek. Jesteś człowiekiem bez skrupułów!

Yerli nie odpowiedział. Zadała więc pytanie, na które czekał.

- Co mam dla ciebie zrobić?

- Zespół epidemiologów z WHO - zaczął ożywiony - bada przyczynę jakiejś strasznej choroby w malijskiej części Sahary.

- Znam ten projekt, dostałam oficjalny raport. Zespołem kieruje doktor Frank Hopper?

- Zgadza się.

- Hopper jest świetnym naukowcem. Czy jesteś w to włączony?

- Do mnie należy koordynacja ich podróży, logistyka, żywność, transport, ekwipunek naukowy i tym podobne.

- Nie widzę, w czym mogłabym ci pomóc.

- Chciałbym, żebyś użyła swoich wpływów do ściągnięcia ich z powrotem.

- Dlaczego ci na tym zależy? - spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Ponieważ znajdują się w wielkim niebezpieczeństwie. Wiem z dobrych źródeł, że mają być zamordowani przez zachodnioafrykańskich terrorystów.

- Nie chce mi się w to wierzyć.

- Niestety, to prawda - odparł poważnie. - Na pokładzie ich samolotu umieszczono bombę, która ma eksplodować nad pustynią.

- Dla kogo pracujesz? - spytała pani Kamil z przerażeniem. - Dlaczego przychodzisz z tym do mnie? Dlaczego nie uprzedziłeś doktora Hoppera?

- Próbowałem, ale straciłem z nim łączność.

- Czy nie można się z tym zwrócić do władz malijskich?

Yerli zaprzeczył.

- General Kazim traktuje ich jak intruzów i wcale mu na nich nie zależy.

- Czuję, że kryje się w tym coś więcej, niż zwykła groźba bomby.

- Uwierz mi, Hala - spojrzał jej prosto w oczy. - Chcę tylko uratować doktora Hoppera i jego ludzi.

Chciała mu wierzyć, ale nie mogła. Czowała, że ją okłamuje.

- Zdaje się, że wszyscy zaczęli interesować się skażeniem środowiska w Mali. I wszystkich trzeba ratować z opresji.

Yerli spojrzał zdziwiony, ale nic nie powiedział. Czekał na dalsze wyjaśnienia.

- Admirał Sandecker z Amerykańskiej Agencji Badań Morskich prosił mnie o zgodę na



użycie specjalnego oddziału komandosów w celu wydostania trzech jego ludzi z rąk malijskich sił bezpieczeństwa.

- Więc Amerykanie szukają źródeł skażenia w Mali?

- Tak, choć jest to misja nieoficjalna, której Malijczycy starają się przeszkodzić.

- Ci ludzie są już w malijskich rękach?

- Jeszcze cztery godziny temu nie byli.

- Gdzie są prowadzone te badania? - w głosie Yerli'ego dało się wyczuć zdenerwowanie.

- Na Nigrze.

Chwycił ją za ramię i spojrzał w napięciu.

- Co jeszcze wiesz o tej sprawie?

Przeszedł ją dreszcz.

- Amerykanie szukają jakiejś chemicznej substancji, powodującej nienormalny wzrost czerwonych glonów u wybrzeży Afryki - odparła.

- Czytałem coś o tym w prasie. Mów dalej.

- O ile wiem, wyprawili się łodzią na Niger, z ekwipunkiem i laboratorium badawczym na pokładzie. Szukają miejsca, z którego wypływa ta substancja.

- Znaleźli to miejsce?

- Według tego, co mówi Sandecker, dotarli w swoich poszukiwaniach aż do Gao.

- To są wszystko jakieś dezinformacje - Yerli nie był przekonany. - Za tym musi się kryć coś innego.

Pani Kamil potrzęsnęła głową,

- W przeciwieństwie do ciebie, admirał jest człowiekiem bezinteresownym i prawdomównym.

- Powiedziałas, że stoi za tym NUMA.

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Nie CIA, czy jakaś inna amerykańska służba wywiadowcza?

Ujęła go za rękę i uśmiechnęła się.

- Chcesz przez to powiedzieć, że twój wspaniały wywiad w zachodniej Afryce nie ma pojęcia, że Amerykanie pracują pod ich nosem?

- To byłby absurd. Co może interesować Amerykanów w tak biednym i nieatrakcyjnym kraju jak Mali?

- A jednak coś ich tam ciągnie. To raczej ty powinienes wiedzieć, o co im chodzi.

Yerli namyślał się przez chwilę, ale w końcu nic nie powiedział.

Zastukał mocno w szybę, dzielącą ich od szoferki i wskazał najbliższy zakręt. Szofer

zahamował i zatrzymał się przed wielkim biurowcem.

- Tak szybko mnie opuszczasz? - Tym razem w jej głosie można było wyczuć pogardę.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Naprawdę przepraszam. Wybacz mi.

Miała tego dosyć. Potrząsnęła głową.

- Nie, Ismail. Tym razem ci nie przebaczę. Nigdy się już nie spotkamy. Aha, spodziewam się jutro rano twojego listu z rezygnacją. Jeśli tego nie zrobisz, zostaniesz usunięty z pracy w ONZ dyscyplinarnie.

- Czy nie jesteś zbyt surowa?

- Nie - pani Kamil podjęła już decyzję. - Widzę po prostu, że przestałeś być lojalny i wobec ONZ, i wobec Francji. Mam wrażenie, że interesują cię wyłącznie własne cele.

Przechyliła się nad nim i energicznie otworzyła drzwi.

- Wsiadaj!

Yerii wysiadł bez słowa i przez chwilę jeszcze stał na skrzyżowaniu. Hala Kamil i oczami pełnymi łez zatrzasnęła drzwi. Nawet na niego nie spojrzała.

Yerli nie odczuwał żadnych skrępowań ani żalu. Był profesjonalistą. Miała rację, posłużył się nią. W swoim czasie oboje czuli do siebie pociąg fizyczny. Niestety, tak jak wiele kobiet, które wiążą się z uczuciowo obojętnym mężczyzną, zakochała się w nim. Teraz płaciła za to. Wszedł do baru w Algonquin Hotel, zamówił drinka, po czym podszedł do automatu telefonicznego. Wystukał numer i czekał dłuższą chwilę.

- Mam informację dla pana Massarde'a - rzekł konfidencko ściszym głosem.

- Skąd pan dzwoni?

- Z ruin Pergamonu.

- Z Turcji?

- Tak - uciął krótko. Nie wierzył telefonowi, ale te dziecinne szyfry denerwowały go.

- Jestem w barze hotelu Algonquin. Kiedy możemy się spotkać?

- O pierwszej w nocy nie będzie za późno?

- Nie, mam dziś późną kolację.

Odwiesił słuchawkę. Zastanawiał się, czy Amerykanie wiedzą coś o Fort Foureau. Co wiedzą o spalarni odpadów i czy węgą już w okolicy? Jeśli tak, to konsekwencje mogą być straszne; upadek rządu we Francji będzie najmniejszą z nich.

Za nim była ponura czerń rzeki, przed nim lśniły światła miasta Gao. Gunn miał jeszcze przed sobą dziesięć metrów do przepłynięcia, gdy poczuł nagle pod nogami muł rzeczny. Przez chwilę jeszcze płynął, aż do momentu, w którym mógł nawet ręką dotknąć dna. Minąwszy przybrzeżną mieliznę, wyszedł na brzeg. Przez parę minut nadsluchiwał, wpatrzony w ciemność rzeki. Plaża wznosiła się pod kątem dziesięciu stopni. Kończyła się niskim murem, za którym biegła droga. Mokry i zmęczony Gunn rozkoszował się dotykiem ciepłego piasku. Leżał na plaży w poczuciu chwilowego bezpieczeństwa i wygody. Czuł jeszcze skurcz prawej nogi i straszne zmęczenie ramion. Wymacał plecak. Kiedy wykonał swój karkołomny skok za burzę, przez chwilę wydawało mu się, że plecak zsunął mu się z pleców. Był jednak ciągle na swoim miejscu, dobrze przytwierdzony do ramion mocnymi paskami. Wstał i pochylony podszedł do murku, po czym przyklęknął obok niego i przez chwilę obserwował drogę. Była pusta. Nieco dalej odchodziła od niej inna droga, prowadząca w głąb miasta. Przechadzało się po niej sporo ludzi.

Kątem oka dostrzegł niezwykłą scenę. Na dachu pobliskiego domu siedział człowiek i ćmił papierosa. Gunn wyteżył wzrok. Na dachach sąsiednich domów także majaczyły sylwetki ludzi: wesoło ze sobą rozmawiali. Nie wiadomo czemu pomyślał o kretach wychodzących nocą ze swoich nor. Przez dłuższy czas obserwował tubylców, usiłując zapamiętać ich ruchy i sposób ubierania się. Przechadzali się bez pośpiechu po ulicy jak duchy, w luźnych, powiewnych strojach. Gunn zrzucił plecak i wyjął z niego zwykle niebieskie prześcieradło. Oddarł jego część i szybko zaimprovizował długą szatę w rodzaju dzellaby, z szerokimi rękawami i kapturem. W konkursie tutejszej mody nie wzięłby zapewne pierwszej nagrody, był jednak zadowolony ze swojego dzieła. Pozwalało poruszać się swobodnie po słabo oświetlonym mieście, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania. Zastanawiał się nad zdjęciem okularów, ale szybko odrzucił tę myśl. Był krótkowidzem i z odległości większej niż dwadzieścia metrów nic nie widział. Postanowił więc jedynie spuścić kaptur głęboko na oczy, by zakryć przynajmniej ciemną oprawkę. Zmienił także umocowanie plecaka: z pleców przeniósł go na piersi, gdzie ukryty pod obszerną szatą nadawał mu wygląd grubasa. Ostrożnie przeszedł przez mur i szybko przedostał się na przeciwną stronę drogi, by wmieszać się w tłum spacerujących boczną ulicą mieszkańców Gao. W kilka minut doszedł do głównego skrzyżowania miasta. Po ulicach krążyło kilka starych taksówek, jeden czy dwa autobusy, parę zdezelowanych motorowerów i sporo rowerów. Jak dobrze byłoby po prostu zatrzymać taksówkę i kazać zawieźć się na lotnisko, pomyślał. Nie mógł jednak zwracać na siebie uwagi. Przed opuszczeniem łodzi przestudiował starannie plan miasta. Dowiedział się, że lotnisko znajduje się kilka kilometrów na południe od centrum. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie ukraść roweru, jednak szybko porzucił ten zamiar. Z pewnością kradzież

zostałaby zauważona. Dano by znać policji, co prędzej czy później spowodowałoby jakieś poszukiwania; być może zwrócono by uwagę na obcokrajowca, nielegalnie przebywającego w mieście, i tak dalej... Nie, należało tego za wszelką cenę uniknąć.

Wolno wędrował ulicami miasta. Minał plac targowy, odrapany Hotel Atlantyda i przekupniów, mimo późnej pory zachwalających swe towary pod jego arkadami. Dolatywał go mdlący zapach egzotycznych przypraw. Na szczęście wiatr wywiewał szybko wszystkie nieprzyjemne zapachy miejskie w kierunku pustyni. Nigdzie nie było widać drogowskazów, kierował się więc pozycją gwiazdy polarnej. Ludzie ubrani byli dość jaskrawo. Dominował niebieski, zielony i żółty, dobrze widoczne mimo zmroku. Mężczyźni nosili dzellaby lub luźne kaftany; niektórzy ubrani byli w normalne spodnie i tuniki. Rzadko kiedy dostrzegano się klasyczne turbany; głowy były przeważnie owinięte luźnym zawojem z niebieskiego materiału. Wiele kobiet nosiło eleganckie sukienki, inne miały na sobie długie, powiewne stroje. Prawie żadna z nich nie zakrywała twarzy.

Rozmawiali ze sobą dziwnymi, przyciszonymi głosami. Wokół biegały dzieci, każde inaczej ubrane. Atmosfera miasta, ruchliwość i wesołość ludzi nie wskazywały na to, że jest to kraj wyjątkowej nędzy. Ludzie zachowywali się tak, jakby nie zdawali sobie sprawy, że są aż tak biedni. Z opuszczoną głową, kryjąc w kapturze swą białą twarz, Gunn przemierzał miasto wraz z tłumem. Stopniowo ulice pustoszały. Nikt go nie zatrzymywał ani nie zadawał pytań. Na wszelki wypadek miał już przygotowaną odpowiedź: jest turystą, odbywającym wycieczkę wzdłuż rzeki Niger. Zresztą nie zastanawiał się specjalnie nad tym, co ma mówić. Niebezpieczeństwo, że zostanie zatrzymany jako nielegalnie przebywający tu Amerykanin, było prawie żadne. Wreszcie zauważył znak drogowy, na którym narysowany był samolot. Na razie szczęście go nie opuszczało. Drogę na lotnisko odnajdywał łatwiej, niż się tego spodziewał. Minał właśnie najruchliwszą, handlową dzielnicę i znalazł się w slumsach. Od samego początku Gao robiło na nim wrażenie miasta, które o zmroku staje się groźne; miasta krwi i przemocy. Jego wyobraźnia pracowała coraz silniej. Przemierzając prawie puste uliczki odnajdywał w twarzach siedzących przed domami ludzi zaniepokojenie i wrogość. Wszedł w opustoszały zaułek głównie po to, żeby wyjąć z plecaka stary 38-kalibrowy rewolwer Smith & Wesson. Dostał go jeszcze od swojego ojca. Instynkt mówił mu, że krążąc po tych miejscach, można nie doczekać świtu.

W pewnej chwili minęła go, wzbijając tumany kurzu, załadowana cegłami ciężarówka. Gunn szybko uświadomił sobie, że zmierza w tym samym co on kierunku. Odrzucił względy ostrożności i postanowił ją dogonić. Przyszło mu to bez wielkiego trudu i już po chwili leżał na kupie cegieł, rozglądając się dokoła. Po organicznych wyczewach miasta z przyjemnością wdychał zapach dieslowskich spalin. Ze swojej pozycji dostrzegł po lewej stronie, kilka

kilometrów przed ciężarówką, dwa czerwone światła. Gdy podjechali bliżej, zorientował się, że umieszczone są na dachu jakiegoś budynku; za nim majaczyły w ciemnościach dwa duże hangary. Niewątpliwie było to lotnisko. Kierowca ciężarówki zwolnił, zauważywszy w jezdni jakąś dziurę. Gunn wykorzystał to i zeskoczył na ziemię. Ciężarówka pomknęła dalej, wyrzucając spod kół fontanny piasku. Przez pewien czas widział jeszcze jej czerwone tylne światła. Na poboczu drogi dostrzegł napis, w trzech językach zapowiadający Międzynarodowy Dworzec Lotniczy w Gao.

- Międzynarodowy - odczytał głośno. - Miejmy nadzieję...

Szedł krawędzią drogi, chowając się przed przejeżdżającymi samochodami. Nie miał zresztą powodów do obaw. W budynkach lotniska panowały ciemności, parking był zupełnie pusty. Nadzieje Gunna jednak zachwiały się mocno, gdy ujrzał z bliska budynek. "Międzynarodowy dworzec" przypominał obskurny drewniany magazyn z porzewiałym blaszanym dachem. Stojąca nieco dalej wieża kontrolna wspierała się na żelaznych, całkowicie przeżartych przez rdzę rusztowaniach; praca tam wymagała nie lada odwagi. Okrążył z daleka budynki i znalazł się na równie mrocznej i pustej betonowej płycie. W dalszej części lotniska stało osiem silnie oświetlonych odrzutowców wojskowych i jeden samolot transportowy.

Nagle znieruchomiał. Przed bocznym wyjściem z gmachu lotniska dostrzegł dwóch uzbrojonych żołnierzy. Jeden siedział na krześle przed budynkiem, drugi stał w drzwiach, paląc papierosa. Miał teraz do czynienia z wojskiem. Spojrzał na zegarek, wspaniały wodoodporny. Chronoport. Dwadzieścia po jedenastej. Poczł nagłe zmęczenie. Tyle wysiłku po to, żeby znaleźć się na kompletnie martwym lotnisku. A do tego jeszcze ci malijscy żandarmi... Ciekawe, kiedy go tu odkryją. A może sam umrze z głodu i pragnienia... Postanowi! czekać. Nie miał innego wyjścia. Byłoby jednak niedobrze, gdyby zastał go tu dzień. Przeszedł około stu metrów w stronę pustyni, aż znalazł niewielki dół, częściowo wypełniony resztkami jakiejś rozwalonej szopy. Ułożył się we wgłębieniu suchego piasku i przykrył się paroma starymi, zmurszałymi deskami. Oczywiście w dole mogły być skorpiony i inne paskudztwo pustyni, był jednak zbyt znużony, żeby o tym myśleć. Po trzydziestu sekundach już spał.

Ludzie Massarde'a skrupowali ich brutalnie, zakuli w kajdanki i zawlekli do dusznej, wilgotnej komórki pod podłogą najniższego pokładu. Tuż nad sobą mieli maszynownię i generator prądu. Krótki łańcuch kajdanków, którymi przykuci byli do gorącej metalowej rury, zmusił ich do klęczenia. Słyszeli kroki pilnującego ich strażnika rytmicznie stukające w metalową podłogę maszynowni. Piekły ściśnięte w ciasno zapiętych kajdankach nadgarstki.

Gorąco rozpalonej rury parzyło gołe kolana. O ucieczce nie mogło być mowy. Przekazanie ich policji generała Kazima stanowiło tylko kwestię czasu. Czekala ich pewna śmierć z rąk jego

oprawców. Pod pokładem było duszno i trudno było oddychać. Ociekali potem z powodu nieznośnego, wilgotnego gorąca, promieniującego z rozpalonej rury. Z każdą chwilą było gorzej. Po dwóch godzinach tego piekła Giordino był już u kresu sił. Wilgotność powietrza wydawała mu się wyższa niż w jakiegokolwiek łaźni parowej, w której zdarzyło mu się przebywać. Wraz z poceniem się wzrastało pragnienie. Spojrzał na Pitta, chcąc zobaczyć, jak jego twardy przyjaciel znosi te tortury. Pitt był zupełnie spokojny. Mokra od potu, zamyślona twarz wyglądała na zadowoloną. Oglądał z zaciekawieniem pęk kluczy technicznych wiszących na ścianie pomieszczenia. Niestety nie mógł ich dosięgnąć. Łańcuch kajdanek zatrzymywał się na podtrzymującej rurę obejmie. Mierzył wzrokiem dystans dzielący jego rękę od obręczy z kluczami.

- Jeszcze jeden pasztet, w który się wpakowaliśmy, Stanley - Giordino zacytował zdanie z komedii Flipa i Flapa.

- Wybacz, Ollie, ale to wszystko dla ludzkości... - odrzekł Pitt z uśmiechem.

- Czy myślisz, że Rudiemu się udało?

- Jeśli trzymał się bocznych ulic i zachował spokój, z pewnością nie wpakował się w taką kabałę, jak my.

- Co ten francuski krezus będzie miał z tego, że wycisnie z nas cały pot? - spytał Giordino, ocierając twarz ramieniem.

- Nie mam pojęcia - odrzekł Pitt. - Myślę jednak, że niedługo się dowiemy, dlaczego zamiast oddać nas, policji, trzyma nas w tym gorącym pudle.

- Musi być rzeczywiście z niego zawzięty facet, jeśli tak się wścieka o ten głupi telefon.

- To moja wina - rzekł Pitt z błyskiem wesołości w oku. - Powinienem był zamówić telefon na koszt Sandeckera.

- Daj spokój. Nie mogłeś przewidzieć, że facet jest aż taki skąpy.

Pitt spojrział na Giordina z niemym podziwem. Był pełen uznania dla ciężkiego, rubasznego Włocha, którego stać było na dowcipy w tak krytycznym momencie. Podczas długich morderczych minut w strasznej, gorącej celi myśli Pitta całkowicie skupiły się na rozważaniu możliwości ucieczki. Na pierwszy rzut oka wszelki optymizm wydawał się bezpodstawny. Nie mieli sił uwolnić się z kajdanek ani zerwać łańcucha, którym przytwierdzono ich do gorącej rury. Przez myśl przebiegały mu dziesiątki pomysłów. Na razie jednak żaden z nich nie wchodził w grę. Takim czy innym sposobem trzeba było przede wszystkim odczepić się od rury. Inaczej żaden plan nie miał sensu. Przerwał jednak wszystkie rozważania, ponieważ pojawił się strażnik i zdjął im kajdanki. Jednocześnie w otwartej klapie sufitu gorącego boksu ukazało się czterech ludzi Massarde'a. Wciągnęli Pitta i Giordina

najpierw na pokład maszynowni, potem na poziom luksusowych pomieszczeń jachtu.

Wprowadzili więźniów do pokoju, w którym rozparty na skórzanej sofie Yves Massarde émił cienkie cygaro i popijał koniak. Naprzeciwko niego siedział ciemnoskóry oficer z kieliszkiem szampana w ręku. Żaden z mężczyzn nie drgnął, kiedy Pitt i Giordino ociekający potem i brudem stanęli przed nimi w szortach i podkoszulkach.

- To te nędzne kreatury wyłowileś z rzeki? - spytał oficer spoglądając na nich wzrokiem zimnym i bez wyrazu.

- Prawdę mówiąc, dostali się tu bez zaproszenia - odrzekł Massarde. - Zostałem ich, jak korzystali z mojego systemu telekomunikacyjnego.

- Myślisz, że wysłali jakąś wiadomość?

Massarde potwierdził ruchem głowy.

- Niestety, było już za późno, żeby im przeszkodzić.

Oficer postawił kieliszek na stole, wstał z krzesła i zbliżył się do Pitta. Był wyższy od Giordina, ale Pittowi sięgał zaledwie do ucha.

- Który z was kontaktował się ze mną na rzece?

Pitt przyjrzał mu się uważnie.

- Pan generał Kazim?

- Tak, to ja.

- Potwierdza się teza, że nie można nikogo ocenić po głosie. Wyobrażałem sobie pana jak Rudolfa Valentino, a widzę Billy'ego Kłamcę...

Pitt zwinął się wpół: Kazim kopnął go z wściekłością w podbrzusze. Cios był silny i bolesny. Złość na twarzy Kazima przerodziła się jednak w zdumienie, gdy Pitt zręcznym ruchem chwycił mocno obiema rękami jego nogę, nagle jakby zawisną w powietrzu. Kazim przez chwilę usiłował utrzymać równowagę. Tymczasem Pitt pchnął trzymaną w rękę nogę Kazima tak, że ten upadł z powrotem na fotel.

Zapadła zupełna cisza. Kazim znieruchomiał. Od dziesięciu lat był dyktatorem i nigdy nie zdarzyło mu się spotkać z taką zuchwałością. Był tak przyzwyczajony do tego, że ludzie drżą przed nim, że zupełnie nie wiedział, jak zareagować na poniżającą go sytuację. Oddychał szybko, a purpurową twarz wykrzywił grymas wściekłości. Zacisnął usta. Tylko oczy pozostały zimne, czarne i bez wyrazu. Wolno wyciągnął z kabury rewolwer. Przystarzały półautomat, dziewięciomilimetrowa beretta 92 SB, odnotował w myśli Pitt, jakby to nie o niego chodziło w tej grze. Kazim bez pośpiechu odbezpieczył broń i skierował lufę prosto w Pitta. Na brunatnej twarzy dyktatora błąkał się szydery uśmiech.

Pitt widział kątem oka, że jego przyjaciel ma ochotę zaatakować generała. Jednocześnie

obserwował ruchy palców Kazima ściskającego broń. Stał na lekko ugiętych nogach, gotów natychmiast uskoczyć w prawo. Chwila zamieszania mogłaby dać mu jakąś szansę ucieczki, jednak zdawał sobie sprawę, że drażniąc Kazima i doprowadzając go do ostateczności, stracił nad nim przewagę. Wiedział też, że jego śmierć miała być powolna i okrutna. Kazim zapewne strzela dobrze i bez trudu osiągnąłby go z tak małej odległości. Oczywiście mógł szybkim unikiem spowodować, że pierwszy strzał byłby niecelny, jednak następnym strzałem Kazim z pewnością by go trafił, choćby w kolana. Z oczu generała można było wyczytać, że nie życzy sobie jego szybkiej śmierci.

Nagle, tuż przed spodziewaną strzelaniną i masakrą, odezwał się spokojny głos Massarde'a.

- Generale, dokonuj swoich egzekucji gdzie indziej, nie w moim gabinecie.

- Ten wyższy musi umrzeć - syknął Kazim, utkwivszy w Pitcie wzrok.

- W porządku, zdązysz - rzekł Massarde, nalewając sobie następny kieliszek koniaku. -

Nie chciałbym jednak, żebyś zaplamił mi krwią ten drogocenny dywan Navajow.

- Kupię ci nowy - warknął Kazim.

- Czy wzięłeś pod uwagę, że ten człowiek woli zapewne szybką śmierć od tortur? Przecież tylko po to cię sprowokował.

Kazim opuścił powoli pistolet. Jego twarz przybrała sadystyczny wyraz.

- Masz rację; jeśli o to mu chodziło...

- To spryciarze - ciągnął dalej Massarde. - Chcą przed nami coś ukryć, jakąś ważną sprawę. Myślę, że jeśli zaczną mówić, obaj na tym skorzystamy.

Kazim wstał z krzesła, zbliżył się do Giordina i przytknął mu pistolet do prawego ucha.

- Zobaczymy, czy teraz okaże się bardziej rozmowny niż na łodzi.

- Na jakiej łodzi? - spytał Giordino naiwnie.

- Na tej, z której wyskoczyliście, zanim wyleciała w powietrze.

- Ach, na tej.

- Czego tu szukacie? Po co dopłynęliście Nigrem aż do Mali?

- Obserwujemy zwyczajnie tutejszych ryb...

- A ta broń na pokładzie?

- Jaka broń? - Giordino rozłożył ręce. - Nie mieliśmy żadnej broni.

- Czy już zapomnieliście, co zrobiliście z benińskimi kanonierkami?

- Przepraszam, nie wiem o co chodzi - Giordino pokręcił przecząco głową.

- Parę godzin w mojej kwaterze w Bamako odświeży ci pamięć.

- Nie potrzebujemy cudzoziemców, którzy odmawiają współpracy - wtrącił Massarde.



- Daj spokój - rzucił Pitt, spoglądając na Giordina. - Lepiej powiedzieć im prawdę.

Giordino odwrócił się do niego gwałtownie.

- Zwariowałeś? - krzyknął przerażony.

- Może jesteś odporny na tortury, ale ja nie. Na samą myśl o tym robi mi się słabo. Jeśli nie powiesz wszystkiego generałowi Kazimowi, to ja to zrobię.

- Twój przyjaciel wreszcie zrozumiał - rzekł Kazim. - Radzę ci go posłuchać.

Przez chwilę Giordino wahał się, po czym rzucił się z wściekłością na Pitta.

- Ty skurwielu, ty cholerny zdrajco... - Giordino przerwał, ponieważ kolba pistoletu Kazima wylądowała na jego twarzy, raniąc go w brodę. Giordino cofnął się kilka kroków, po czym ruszył naprzód jak rozjuszony byk. Kazim podniósł automat i wymierzył między oczy Giordina.

Zaczyna się, pomyślał spokojnie Pitt. Szybko skoczył między Kazima i Giordina, po czym chwycił Giordina za rękę, usiłując przytrzymać mu je na plecach.

- Uspokój się na miłość boską!

Massarde nacisnął niepostrzeżenie guzik umieszczony w małym stoliczku obok skórzanej kanapy. Niemal natychmiast w pokoju znalazła się cała grupa jego goryli. Rzucili się na Amerykanów i powalili ich na ziemię. Pitt szybkim spojrzeniem zmierzył siły. Postanowił nie stawiać oporu. Wiedział, że to bezcelowe. Wolał oszczędzać siły na później. Giordino jednak szarpał się z ludźmi Massarde'a, wyrzucając z siebie przekleństwa.

- Zabierzcie go z powrotem do zeny - rzekł Massarde, wskazując Giordina.

Ludzie Massarde'a dali spokój Pittowi i skupili wszystkie swoje wysiłki na osobie Giordina. Jeden z nich uderzył go mocno w tył głowy końcem policyjnej pałki. Pod wpływem silnego bólu i zmęczenia Giordino zmiękł. Dwaj strażnicy wzięli go pod ramiona i wywlekli z gabinetu.

Kazim lufą automatu wskazał leżącego na ziemi Pitta.

- Jeśli wolisz mówić niż umierać w powolnej agonii, to dlaczego nie podasz prawdziwego nazwiska?

Pitt podniósł się i usiadł na ziemi.

- Pitt. Dirk Pitt.

- Czy można ci wierzyć?

- Takie samo dobre nazwisko jak każde inne.

Kazim zwrócił się do Massarde'a:

- Czy kazałeś ich przeszukać? Massarde skinął głową.

- Nie mieli przy sobie żadnych papierów.

Kazim patrzył na Pitta z nienawiścią.

- Może w takim razie powiesz nam, dlaczego wjechaliście bez paszportów na teren Mali?

- To proste, panie generale - Pitt wyjaśniał szybko. - Jesteśmy archeologami. Mamy kontrakt z francuską fundacją na poszukiwanie na dnie Nigru antycznych statków. Straciliśmy wszystkie dokumenty, kiedy pańskie ścigacze zatopiły nasz jacht.

- Prawdziwi archeolodzy po dwóch godzinach spędzonych w komorze parowej byłiby grzeczni jak dzieci. Z tego, jaki stawiacie opór, wynika raczej, że jesteście zawodowymi szpiegami...

- Jaka to fundacja? - przerwał rozważania Kazima Massarde.

- Francuskie Towarzystwo Badań Historycznych - odrzekł Pitt.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Cóż na to poradzę? - Pitt rozłożył bezradnie ręce.

- Od kiedy to archeolodzy szukają starożytności w superłodzi, wyposażonej w wyrzutnię raketową i karabiny maszynowe? - spytał złośliwie Kazim.

- Nigdy nie zaszkodzi być przygotowanym na piratów i terrorystów. - Pitt uśmiechnął się naiwnie.

Rozległo się pukanie, drzwi otworzyły się i ktoś z załogi wręczył Massarde'owi depezę.

- Czy będzie odpowiedź, proszę pana?

Massarde uśmiechnął się zadowolony i skinął głową.

- Podziękuj w moim imieniu i poproś o dalsze informacje.

- Dobre wiadomości? - spytał Kazim, gdy marynarz wyszedł.

- Już wszystko wiemy - rzekł Massarde. - Mój człowiek w Waszyngtonie donosi, że ci ludzie są z Państwowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Badają chemiczne zanieczyszczenia Nigru, które podobno wywołały gwałtowny rozrost jakichś czerwonych glonów u wybrzeży zachodniej Afryki.

- To tylko fasada, nic więcej - skrzywił się Kazim. - Węszą wokół czegoś znacznie ważniejszego niż zanieczyszczenie wody. Czuję, że szukają tu ropy.

- To samo przypuszcza mój agent z Nowego Jorku. Według niego to tylko przykrywką, chociaż jego informator twierdzi, że im rzeczywiście o to chodzi.

- Czy to nie Fort Foureau? - Kazim spojrzał na Massarde'a podejrzliwie.

- Nie, to wykluczone - odparł Massarde bez wahania. - Moje przedsiębiorstwo jest zbyt daleko od Nigru. To może być jedna z tych twoich inwestycji, którymi nie lubisz się chwalić.

- Jeśli ktokolwiek jest odpowiedzialny za skażenie środowiska w Mali, to tylko ty, przyjacielu - zauważył Kazim ze źle ukrywaną złością.

- Wykluczone - powtórzył spokojnie Massarde, po czym zwrócił się do Pitta.  
- Pewnie uważa pan, że mówimy o ciekawych rzeczach, panie Pitt?  
- Nie mam pojęcia, o czym mówicie.  
- Musicie być bardzo ważni, pan i pana przyjaciel.  
- Nie tak bardzo. Teraz jesteśmy po prostu pańskimi więźniami.  
- Co miałeś na myśli mówiąc: "bardzo ważni"? - spytał Kazim.  
- Mój agent donosi również, że ONZ wysłała specjalny oddział, żeby ich uratować. Przez chwilę Kazim wydawał się przerażony. Szybko jednak wrócił do równowagi.  
- Ma tu przybyć specjalny oddział?  
- Przymuszczać się są już w drodze, ponieważ pan Pitt zdążył porozumieć się ze swoim przełożonym.

Massarde spojrział jeszcze raz na depezę.

- Mój człowiek twierdzi, że to admirał James Sandecker. Wygląda na to, że wiadomości są rzetelne. Pracująca w eleganckim gabinecie Massarde'a klimatyzacja spowodowała, że Pitt, po dwóch godzinach spędzonych w gorącym i wilgotnym pomieszczeniu, zaczął się trząść. Dodatkowy zimny dreszcz wywołała jednak świadomość, że Massarde odkrył cel ich misji. Zastanawiał się, kto mógł ich zdradzić, nic jednak nie przychodziło mu do głowy.

- No i co, nie jesteśmy już tacy pewni siebie, kiedy wszystko się wydało - odezwał się ze złośliwą satysfakcją Kazim, sącząc powoli następny kieliszek szampana. Nagle spojrział surowo znad uniesionego kieliszka. - Gdzie planuje pan spotkanie z siłami ONZ, panie Pitt?

Pitt postanowił sprawiać wrażenie człowieka, który cierpi na amnezję. Byli w pułapce. Lotnisko w Gao wydawało się aż nadto oczywistym miejscem, na którym można wylądować, by wziąć ludzi na pokład. Nie chciał wspominać o Gunnie. Postawił więc wszystko na jedną kartę: na głupotę Kazima.

- Na lotnisku w Gao. Przylecą tam o świcie. Mamy czekać na zachodnim krańcu pasa startowego.

Kazim przyglądał się Pittowi przez chwilę i nagle uderzył go w głowę kolbą swojej beretty.

- Kłamiesz! - krzyknął. Pitt zasłonił twarz ramionami.

- To prawda, przysięgam.

- Kłamstwo - powtórzył Kazim. - Pas startowy w Gao biegnie po linii północ - południe.

Nie ma żadnego zachodniego końca.

Pitt wziął głęboki oddech.

- Myślę, że i tak prędzej czy później wyciągniecie to ze mnie - westchnął.

- Nie mam co do tego wątpliwości!

- Dobrze - rzekł Pitt. - Więc według instrukcji admirała Sandeckera po zniszczeniu łodzi mieliśmy udać się dwadzieścia kilometrów na południe od Gao, w okolice szerokiego, płytkiego wąwozu. Helikopter przyleci od strony granicy Nigru.

- Jaki będzie sygnał do lądowania?

- Nie jest potrzebny żaden sygnał. Okolica jest zupełnie pusta. Helikopter będzie tak długo krążył wokół tego miejsca, aż nas znajdzie.

- O której godzinie?

- O czwartej rano.

Kazim spojrział na Pitta twardo.

- Jeśli i tym razem mnie okłamujesz, gorzko będziesz tego żałował. Schował pistolet i zwrócił się do Massarde'a.

- Ani chwili do stracenia. Musimy przygotować ceremonię powitalną.

- Bądź ostrożny, Zateb. Zdecydowanie odradzam ci zadzierać z ludźmi z ONZ. Jeśli nie znajdą Pitta i jego kumpla, to po prostu wrócą do Nigru. Jeśli jednak zniszczysz im helikopter i zabijesz ludzi, to tak, jakbyś wsadził kij w gniazdo szerszeni.

- To jest najazd na mój kraj!

- Daj spokój - Massarde wzruszył ramionami. - Nie opłaca ci się unosić narodowym honorem. Strata finansowej pomocy ONZ dla twoich niepewnych inwestycji jest zbyt wielką ceną za chwilę krwawej satysfakcji. Niech sobie jadą do diabła.

- Yves, zabierasz mi główną przyjemność mojego życia - Kazim uśmiechnął się kwaśno.

- I wrzucam ci parę milionów franków do kieszeni - przypomniał mu Massarde.

- To prawda - zgodził się niechętnie dyktator.

- Zresztą zostaje ci jeszcze niezła frajda z tych dwóch - Massarde wskazał głową Pitta. - Na pewno będziesz umiał z nich to i owo wycisnąć.

- Zaczną śpiewać jeszcze przed południem. Zwłaszcza że już trochę zmiękli w tej twojej łaźni.

- Ja też tak sędzę - rzekł Massarde i skierował się w stronę bocznych drzwi. - Jeśli pozwolisz, udam się do moich gości. Zbyt długo każę im na siebie czekać.

- Chciałbym cię jeszcze o coś prosić - zatrzymał go Kazim.

- Mów śmiało, przyjacielu.

- Potrzyмай ich trochę dłużej w tej zenzie. Niech wyparuje z nich cała hardość, zanim wezmę ich do mojej kwatery w Bamako.

- Proszę bardzo - zgodził się Massarde. - Każę moim ludziom, żeby odesłali tam pana Pitta z powrotem.

- Dziękuję ci, że złapałeś tych drani, i że oddajesz ich w moje ręce. Naprawdę jestem ci za to wdzięczny.

Massarde skłonił się.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Zanim drzwi za Massarde'em zamknęły się, Kazim jeszcze raz spojrzął na Pitta.

Pitt nigdy jeszcze nie widział tyle złości w czyichś oczach. Były to oczy diabła.

- Życzę panu przyjemnego pobytu pod pokładem, panie Pitt. A potem będzie pan cierpiał tak, jak nawet w najczarniejszych marzeniach się panu nie śniło.

Jeśli Kazim spodziewał się, że Pitt załamie się pod wpływem strachu, to się pomylił. Pitt był zupełnie spokojny. Wyglądał jak człowiek, który już wrzucił żeton do automatu. Był nawet zadowolony. Generał nieświadomie dorzucił brakujący element do jego planów ucieczki. Można było powiedzieć, że drzwi się uchyliły, a Pitt zamierzał się przez nie prześliznąć.

Wszyscy drzemali już w głębokich lotniczych fotelach, tylko Eva była zbyt zdenerwowana, by zasnąć. Nagle zauważyła, że samolot zniża się. Mimo zręczności pilota, który opuszczał maszynę bardzo wolno, poczuła w uszach zmianę wysokości. Za oknem panowała całkowita ciemność. Martwej pustyni nie oświetlały żadne światła. Spojrzała na zegarek. Było dziesięć po dwunastej, zaledwie półtorej godziny po tym, jak zapakowali sprzęt i próbki zatrutej tkanki ludzkiej, i wystartowali z Asselar. Wygodnie zagłębiła się w fotelu. Czowała jednak, że maszyna wciąż się opuszcza. Wstała z fotela i przeszła do tylnej kabiny, w której Hopper odizolował się, by swobodnie ćmić swoją fajkę. Drzemał; dotknęła jego ramienia.

- Frank, coś jest nie w porządku.
- Co mówisz? - natychmiast zerwał się ze swego lekkiego snu.
- Samolot obniża lot. Mam wrażenie, że lądujemy.
- Absurd - odrzekł - Do Kairu mamy jeszcze pięć godzin.
- Naprawdę. Obroty silników zdecydowanie spadły.
- Piloci pewnie oszczędzają benzynę.
- Tracimy wysokość. Jestem tego pewna.

Przytomny już całkowicie Hopper zaczął nadśluchować, przejęty poważnym tonem Ewy. Wychylił się poza oparcie fotela i przez chwilę obserwował przejście między rzędami siedzeń.

- Myślę, że masz rację. Przód samolotu lekko się opuszcza.
- Piloci zwykle trzymali drzwi otwarte - Eva wskazywała na drzwi ich kabiny - teraz są zamknięte.

- Rzeczywiście to dziwne, ale może jesteśmy przewrażliwieni. - Zrzucił z siebie koc i podniósł oparcie fotela. - Nie zawadzi jednak spytać.

Podeszli do drzwi kokpitu; Hopper przekreślił gałkę. Drzwi nie ustąpiły.

- Do licha, są zamknięte na klucz!

Zapukał mocno, nie było odpowiedzi. Czowało się już wyraźnie opadanie samolotu.

- Dzieje się coś dziwnego. Trzeba obudzić całą ekipę.

Eva przebiegła szybko korytarz między siedzeniami, budząc wszystkich członków zespołu. Pierwszy zerwał się Grimes.

- Dlaczego lądujemy? - spytał Hoppera.
- Nie mam zielonego pojęcia. Piloci nie byli łaskawi nam o tym powiedzieć.
- Może to przymusowe lądowanie?
- Jeśli tak, to nas o tym nie zawiadomili.

Eva wyjrzała ponownie przez iluminator. Daleko z przodu dostrzegła słabe, migające

żółte światła.

- Widać jakieś światła - rzekła.
- Moglibyśmy wyważyć drzwi - zasugerował Grimes.
- Po co? - spytał Hopper. - Jeśli piloci chcą lądować, nie możemy im w tym przeszkodzić.

Przecież nikt z nas nie umie prowadzić odrzutowca.

- Więc wszystko, co możemy zrobić, to wrócić na miejsca i zapiąć pasy - rzekła Eva.

Jeszcze nie zdążyła skończyć zdania, kiedy mocne reflektory samolotu oświetliły piasek pustyni; maszyna podchodziła do lądowania. Podskoczyli, gdy koła uderzyły w twarde ubity piasek. Rozległ się ryk silników, przełączonych na wsteczny bieg, choć piaszczysta nawierzchnia sama już stawiała wystarczający opór rozpędzonej maszynie. Samolot wolno posuwał się korytarzem wątych światel, po czym stanął.

- Gdzie jesteśmy? - spytała Eva.

- Zaraz się dowiemy - odparł Hopper. Ruszył w stronę kabiny pilotów, tym razem ze stanowczym zamiarem wyważenia drzwi. Otworzyły się jednak same, zanim zdążył to zrobić.

W drzwiach stał drugi pilot.

- Dlaczego wylądowaliśmy? Są jakieś kłopoty techniczne?

- Proszę wysiadać - rzeki pilot.

- O czym pan mówi? Przecież mieliśmy lecieć do Kairu.

- Dostałem rozkaz lądowania w Tebezzy.

- To jest samolot Organizacji Narodów Zjednoczonych. Został pan wynajęty, żeby nas zawieźć we wskazane przez nas miejsca. Tebezza, czy jak to się nazywa, nie była w naszych planach.

- Proszę traktować to jako nieprzewidziany postój - rzekł pilot ostro.

- Przecież nie może nas pan zostawić w środku pustyni. Jak dostaniemy się stąd do Kairu?

- To się załatwi.

- A co z naszym sprzętem?

- Zaopiekujemy się nim.

- Próbkę naszych badań muszą natychmiast trafić do laboratorium Światowej Organizacji Zdrowia w Paryżu.

- To nie moja sprawa. Proszę wziąć osobisty bagaż i wysiadać.

- Nie może nam pan tego zrobić - rzekł Hopper z oburzeniem.

Pilot minął Hoppera. Przeszedł do tyłu samolotu i otworzył drzwi. Hydrauliczne pompy z szumem opuściły schody na płytę lotniska. Pilot podniósł wielkokalibrowy rewolwer, który nosił

stale przy sobie, i wycelował w biologa.

- Wysiadać natychmiast! - rozkazał.

Hopper zbliżył się do niego, nie zważając na wymierzoną w niego lufę.

- Kim pan jest? Od kogo dostał pan rozkaz?

- Jestem porucznik Abubakar Babanandi z Malijskich Sił Zbrojnych. Wykonuję rozkazy moich zwierzchników.

- To znaczy?

- Najwyższej Rady Wojskowej Mali.

- A więc generała Kazima... To jego pomysł.

Porucznik Babanandi z całej siły uderzył Hoppera lufą rewolweru w żołądek. Doktor zwinął się z bólu i upadł.

- Niech pan mi nie utrudnia wykonania rozkazu. Proszę opuścić samolot, albo zastrzelę pana na miejscu.

Eva chwyciła Hoppeni za ramię.

- Frank, rób co on mówi. Gotów cię zabić!

Hopper wstał z trudem, trzymając się za brzuch. Babanandi był zimny i niewzruszony, w oczach jego było jednak więcej lęku niż okrucieństwa. Bez słowa pchnął Hoppera w stronę schodków.

- Ostrzegam pana, bez żadnych numerów.

W minutę później, podtrzymywany przez Eve, Hopper stał już na ziemi i rozglądał się wokoło. Otoczyło ich pół tuzina ludzi w strojach Tuaregów. Byli bardzo wysocy i wyglądali groźnie. Głowy mieli ukryte w zawojach, ich długie, czarne stroje, do których przytwierdzone były w pasie krótkie miecze, powiewały na wietrze. Zwrócili w pierś biologa lufy pistoletów maszynowych.

Zbliżyły się jeszcze dwie postacie. Z luźnego fioletowego burnusa bardzo chudego mężczyzny wystawały ręce o jasnej skórze. Głowę spowijał mu biały, ukazujący tylko oczy litham. Mężczyzna był nienaturalnie wysoki. Hopper, też przecież nie ułomek, sięgał mu zaledwie do ramienia. Wysokiemu mężczyźnie towarzyszyła kobieta, budową ciała przypominająca ogromną, wyładowaną zwirom ciężarówkę. Spod brudnej, luźnej, sięgającej mniej więcej do kolan tuniki wyglądały nogi grube jak słupy telegraficzne. Kobieta miała odkrytą twarz. Była ciemnoskóra, o wełnistych włosach, jak mieszkańcy południowej Afryki. W twarzy wyróżniały się szerokie kości policzkowe, okrągły podbródek i bardzo szerokie usta. Emanujący z niej chłodny sadyzm podkreślał jeszcze złamany nos i pokryte bliznami czoło. W ręku trzymała grubą, skórzany bat z węzłem zawiązanym na końcu. Patrzyła na Hoppera jak



inkwizytor patrzy na ofiarę swych tortur.

- Gdzie jesteśmy? - spytał bez żadnych wstępów Hopper.

- W Tebezzy - odparł wysoki mężczyzna.

- To już mi powiedziano. Ale co to za miejsce?

Mężczyzna odpowiedział po angielsku z akcentem irlandzkim.

- Tebezza to miejsce, w którym kończy się pustynia, a zaczyna się piekło. Więźniowie i niewolnicy wydobywają tu złoto.

- Coś w rodzaju kopalni soli w Taoudenni - rzekł Hopper, zerkając na wymierzone w niego lufy. - Czy te karabiny muszą celować w moją twarz?

- To jest konieczne, doktorze Hopper.

- Nie musicie się obawiać. Nie przyjechaliśmy tu po to, żeby ukraść wasze...

Hopper przerwał w pół zdania i otworzył szeroko oczy.

- Zna pan moje nazwisko? - wyszeptał.

- Tak, przecież czekaliśmy tu na pana.

- Kim pan jest?

- Nazywam się Selig O'Bannion. Jestem naczelnym inżynierem kopalni. A moim głównym nadzorcą - O'Bannion wskazał na grubą kobietę - lub, jeśli pan woli, brygadzystą jest Melika; to w tutejszym narzeczu oznacza królową. Pan i pańscy ludzie będą słuchali jej rozkazów. Przez najbliższe sekundy słyhać było tylko wolno kręcące się turbiny silnika samolotu.

- Rozkazy? Do licha, o jakich rozkazach pan mówi? - krzyknął Hopper.

- Przysłano tu was dzięki uprzejmości generała Kazima. Chce, żebyście pracowali w kopalni.

- To porwanie! - zawołał Hopper.

O'Bannion cierpliwie zaprzeczył ruchem głowy.

- Niezupełnie porwanie, doktorze Hopper. Nikt pana ani pańskich ludzi nie będzie tu trzymał jako zakładników. Zostaliście skazani na pracę w kopalniach Tebezzy. Będziecie wydobywali złoto dla skarbu Mali.

- Jesteście łajdaki... - zaczął Hopper, w tym samym jednak momencie poczuł na twarzy silne uderzenie rzemienia Meliki. Chwyił się ręką za piekący, puchnący w oczach policzek.

- To była pierwsza lekcja posłuszeństwa, ty zgniła świnio - rzuciła kobieta olbrzym.

- Odtąd będziesz mówił tylko wtedy, kiedy cię zapytają.

Podniosła rzemień, by uderzyć go ponownie, ale O'Bannion przytrzymał jej ramię.

- Powoli, kobieto. Daj mu czas, żeby się przyzwyczaił. Chcę, by przystąpili do pracy w

dobrym stanie.

Rozejrzał się po twarzach pozostałych naukowców, otaczających Hoppera. W ich oczach malowało się przerażenie.

- Przesadzasz, nie są z porcelany - Melika niechętnie opuściła bat.

- Pani jest Amerykanką - zauważyła Eva ze zdziwieniem.

- A tak, cukiereczku - Melika skrzywiła się w uśmiechu. - Byłam przez dziesięć lat naczelnikiem straży w więzieniu dla kobiet w Nowym Jorku. Nie było im tam gorzej niż tutaj; spytaj, kogo chcesz.

- Melika szczególnie dba w kopalni o kobiety - rzekł O'Bannion. - Jestem pewien, że dzięki niej będzie się pani czuła tam jak w rodzinie.

- Zatrudniacie w kopalni kobiety? - spytał Hopper z niedowierzaniem.

- Tak, jest ich tam trochę, razem z dziećmi - wyjaśnił O'Bannion rzeczowo.

- To oczywiste łamanie praw człowieka - rzekła z oburzeniem Eva. Melika spojrzała pytająco na O'Banniona. Twarz jej wykrzywiła wściekłość.

- Można? Skinął głową.

Potworna kobieta z całej siły uderzyła Evę w żołądek drzewcem swojego bata. Eva zgięła się wpół. Otrzymała jeszcze jeden cios w kark. Gdyby nie Hopper, byłaby upadła.

- Nauczycie się szybko, że opór na nic się nie zda - rzekł O'Bannion - Bardziej opłaci się wam posłusznie współpracować. To jedyny sposób, żeby to krótkie życie, które jest przed wami, stało się w miarę znośne.

- Jesteśmy naukowcami ze Światowej Organizacji Zdrowia - Hopper ciągle nie wierzył własnym uszom. - Nie możecie bezkarnie nas zabić!

- Zabić, doktorze? - rzekł O'Bannion z uśmiechem. - A kto mówi o zabijaniu? Będziecie tu po prostu pracować. Aż do śmierci.

Wszystko odbyło się tak, jak przewidywał Pitt. Strażnik umieścił ich obu w tej samej co poprzednio dusznej, pełnej pary komórce. Tym razem Pitt sam uniósł ręce, umożliwiając mu zaczepienie kajdanek wokół gorącej rury. Zadbał jednak o to, by jego ręce znalazły się po innej stronie obejmującej rurę niż poprzednio. Strażnik przekonany, że więzień jest dobrze przymocowany, wspiął się po drabince i z łoskotem zatrzasnął za sobą metalową kłapę. Giordino siedział ledwie widoczny w kłębach pary, rozcierając tył głowy.

- Jak ci poszło? - spytał Pitta.

- Massarde i Kazim to para złodziei. Razem prowadzą jakąś podejrzaną operację. Massarde płaci generałowi za jakieś usługi, to oczywiste. Poza tym niczego więcej się nie dowiedziałem.

- Jak się stąd wydostać?

Pitt uśmiechnął się i poruszył uwięzionymi w kajdankach dłońmi.

- Zwykłym ruchem nadgarstków - odparł.

Zaczął się przesuwając wolno wzdłuż rury, do której był przymocowany, w stronę pęku zawieszonych na ścianie kluczy. Udało mu się sięgnąć po jeden z nich. Spróbował odkręcić śrubę mocującą w ścianie obejmę, na której wspierała się parowa rura. Klucz był za duży.

Następny pasował doskonale, niestety zapieczona rdzą śruba ani drgnęła. Pitt zaparł się nogami o metalowa belkę dna i uchwyciwszy klucz obiema rękami, zawiesił się na nim całym swym ciężarem. Śruba poruszyła się nieznacznie. Pierwsze ćwierć obrotu szło strasznie ciężko. Każdy następny obrót wymagał już mniejszej siły. Kiedy rura wisiała już tylko na włosku, Pitt przerwał całą operację.

- W porządku - powiedział. - Prawie ją odłączyłem. Teraz tylko musimy sobie życzyć, żeby ciśnienie pary, która ogrzewa wyższe pokłady, nie było zbyt wysokie. Inaczej przekonamy się, co czuje biedny homar wrzucony do wrzątku. Chyba że natychmiast stąd się wydostaniemy.

Giordino wstał na zgiętych kolanach. Nie mógł się dobrze wyprostować, ponieważ w tym miejscu sufit był bardzo niski.

- Daj mi tylko tego strażnika, już ja go załatwię.

Pitt skinął głową bez słów, jednocześnie mocując się z rurą. Uwolnienie 7. obejmę oznaczało również możliwość jej rozkręcenia. W ten sposób Pitt mógłby zsunąć z rury przyczepiony do kajdanek łańcuch i byłby wolny. Nagle, z nieoczekiwaną łatwością, wszystko puściło. W ciągu sekundy pomieszczenie wypełniła z sykiem gorąca gęsta para, w której przestali się widzieć.

Pitt natychmiast zsunął łańcuch z rury. Obaj zaczęli krzyżeć i walić w stalową podłogę

dolnego pokładu. Zaniepokojony sykiem pary i smużkami gęstego białego dymu wydobywającego się spod podłogi, strażnik czym prędzej otworzył klapę. Kłęby gęstej pary buchnęły mu w twarz, a niewidzialne ręce wciągnęły go w gorącą, białą czeluść. Uderzył głową w metalową belkę dna i stracił przytomność. Pitt wyrwał mu pistolet z ręki. Giordino obmacywał jego kieszenie w poszukiwaniu kluczyka od kajdanków. W chwili gdy uwalniał swe obolałe nadgarstki, Pitt jak kot wdrapał się na wyższy pokład. Maszynownia była pusta.

Pilnujący ich człowiek był jedynym członkiem załogi na nocnej służbie.

Pitt schylił się wpatrując się w biały otwór podłogi.

- Idziesz?

- Weźmy strażnika - odezwał się głos z gęstej mgły. - Po co ten biedny dureń ma umierać tu na dole.

Pitt wychylił się jeszcze bardziej; chwycił nieprzytomnego strażnika za ramiona i wciągnął go do maszynowni. Czuł silny, piekący ból dłoni.

- Masz ręce jak ugotowane krewetki - zauważył Giordino. - Musisz to jakoś opatrzeć.

- Szkoda czasu. - Podniósł zmaltretowane dłonie. - Zrób mi tę łaskę...

Giordino otworzył szybko kajdanki Pitta. Przez chwilę trzymał w ręku kluczyk, po czym schował go do kieszeni.

- Na wszelki wypadek. Nigdy nie wiesz, kiedy aresztują cię ponownie.

- Sądząc z tego, jak się wpakowaliśmy, nie będziemy na to długo czekać - mruknął Pitt. - Goście Massarde'a wkrótce zaczną się skarżyć na zimno w swych kabinach, zwłaszcza kobiety w tych wydekoltowanych sukniach. Wyślą kogoś z załogi, żeby zobaczył, co się stało, i w ten sposób odkryją, że nas nie ma.

- Więc najwyższy czas dyskretnie i w dobrym stylu opuścić bal.

- Z całą pewnością dyskretnie.

Pitt podszedł do klapy, otworzył ją i wyszedł na zewnętrzny pokład. Podszedł do relingu i spojrzał w górę. Przez wielkie panoramiczne okna dostrzegł elegancko ubranych ludzi. Pili i rozmawiali nieświadomi mąk, jakie tuż pod nimi, na dnie jachtu, cierpieli dwaj Amerykanie. Giordino dołączył do Pitta. Skradali się ostrożnie po pokładzie, przychyłając głowy pod iluminatorami pomieszczeń załogi. Dotarli do schodów międzypokładowych i spojrzeli jeszcze raz w górę. W jasnym jak dzień świetle silnych latarni ujrzeli pomalowany na biało i czerwono prywatny helikopter Massarde'a. Ustawiony na najwyższym pokładzie, stanowiącym zarazem dach głównego salonu, wspaniale prezentował się na tle czarnego nieba. Przy helikopterze nie było nikogo.

- Powóz już czeka - zażartował Pitt.

- Niezła bryka - rzekł Giordino. - Gdyby ten Francuz wiedział, że ma do czynienia z dwójką doświadczonych pilotów wojskowych, raczej nie zostawiałby tego cuda bez opieki.

- Jego pech, nasz fart - pokiwał głową Pitt.

Podeszli do helikoptera. Pitt otworzył drzwi i wszedł do środka. Giordino odblokował koła i rozwiązał sznury, po czym siadł po prawej stronie Pitta. Zamknęli drzwi.

- Co my tu mamy? - Giordino przyglądał się przez chwilę tablicy rozdzielczej i nowoczesnym urządzeniom maszyny.

- Ostatni model, francuska produkcja. Ecureil z podwójnym silnikiem turbinowym. Tyle widać na oko - odrzekł Pitt. - Na szczegóły nie mam niestety czasu. I raczej nie będziemy przestrzegać formalnej procedury startowej.

Na uruchomienie silnika stracili aż dwie cenne minuty. Pitt odblokował rotor: na szczęście nie odezwał się żaden alarm. Śmigła zaczęły się kręcić; po chwili osiągnęły szybkość umożliwiającą maszynie uniesienie się w górę. Jak każdy doświadczony pilot, Pitt nie musiał zastanawiać się, co oznaczają francuskie wskazówki na pulpicie.

Wiedział, do czego służy każdy przycisk, manetka czy dźwignia. System kierowania maszyną był tu standardowy, taki sam jak we wszystkich helikopterach.

Przez jeden z iluminatorów wyjrzała zaciekawiona twarz kogoś z załogi. Giordino pomachał mu ręką i uśmiechnął się przyjaźnie. Marynarz spoglądał na nich z głupią miną.

- Facet nie ma pojęcia, kim jesteśmy - rzekł Giordino.

- Jest uzbrojony?

- Nie, ale ci, którzy kręcą się koło schodów, nie wyglądają zbyt sympatycznie.

Pitt nie zastanawiał się dłużej. Zwiększył obroty i uniósł helikopter w górę, po czym skierował maszynę z maksymalną szybkością w ciemność nocy. Ogromny jacht został za nimi, tylko plama światła odcinała się od głębokiej czerni wody. Pitt wziął kurs w dół rzeki.

- Dokąd chcesz lecieć? - spytał Giordino.

- Tam, gdzie Rudi odkrył trującą substancję, przedostającą się do Nigru.

- Chyba pomyliłeś kierunek. Przecież znaleźliśmy toksyny dobre sto kilometrów w górę rzeki.

- Chcę zmylić pościg. Oddalimy się trochę od Gao, a potem wrócimy nad pustynią, omijając miasto.

- A może tak polecieć prosto na lotnisko, zabrać Rudiego i spieprzać z tego kraju?

- Nie, i to z wielu powodów - zaczął Pitt, spoglądając na wskaźnik paliwa. - Po pierwsze, nie starczy nam benzyny na więcej niż dwieście kilometrów. Po drugie, jak tylko Massarde i jego kumpel Kazim ogłoszą alarm, malijskie odrzutowce wojskowe wyśledzą nas radarem i albo

zmuszą do lądowania, albo wyślą prosto do nieba. Myślę, że trzeba im na to nie więcej niż piętnaście minut. Po trzecie, Kazim myśli, że jest nas tylko dwóch. Im bardziej oddalamy się od Rudiego, tym większą dajemy szansę ratunku jemu i jego próbkom.

- Skąd ci się to wszystko lęgnie w głowie? A może jesteś z rodziny wróżek?

- Zawsze lubiłem bawić się w rebusy - rzucił Pitt krótko.

- Powinieneś chyba wynajmować się jako przepowiadacz przyszłości na odpustach - mruknął trochę już zły Giordino.

- Przyznaj jednak, że wyciągnąłem cię z tej łaźni.

- Po to, żeby lecieć teraz przez Saharę, aż spadniemy z powodu braku paliwa. A potem spacer pieszo przez największą pustynię świata w poszukiwaniu trującego Bóg-wie-czego. Aż wreszcie umrzemy z wycieńczenia albo wpadniemy w ręce malijskich żołdaków, żeby mieli kogo torturować.

- Masz dziwny talent do wymyślania najczarniejszych scenariuszy.

- To mnie trzyma w pogotowiu.

- A, to cię usprawiedliwia - przyznał Pitt. - Jak dolecimy do miejsca, gdzie trucizna wpływa do rzeki - dodał rzeczowo - pozbywamy się helikoptera. Utopimy go w rzece.

- Znowu będziemy się taplać - jęknął Giordino. - Chyba masz fioła na punkcie kąpieli.

- Maliżycy wyślą wszystkie swoje samoloty, żeby nas złapać. Ale jeśli helikopter będzie pod wodą, nie będą mieli punktu zaczepienia dla swoich poszukiwań. Ostatnią rzeczą, która Kazimowi przyjdzie do głowy będzie myśl, że ruszymy na pustynię, na północ, w poszukiwaniu źródeł zatrucia.

- Cholerny cwaniak - mruknął ze złością Giordino. Pitt pochylił się i wyjął mapę z kieszeni fotela.

- Przejmij stery, ja tymczasem sprawdzę, gdzie jesteśmy.

- Już się robi - odparł Giordino i ujął umieszczoną między fotelami dźwignię.

- Pójdź jeszcze sto metrów w górę, potem przez pięć minut trzymaj kierunek nad rzeką, a potem weź kurs dwa-sześć-zero.

Giordino prowadził helikopter zgodnie z instrukcjami Pitta. Okrążyli Gao i skręcili nad ląd, w kierunku Bourem. Szybki helikopter Massarde'a przecinał powietrze jak niewidzialny duch - lecieli bez świateł pozycyjnych. Pitt pełnił rolę nawigatora, podczas gdy Giordino trzymał cały czas stery. Teren pod nimi wydawał się zupełnie martwy. Czasem tylko pojawiały się cienie skał czy niewielkich zabudowań. Wreszcie znowu ujrzeli czarne wody Nigru.

- Co to za światła? - spytał Giordino.

Pitt utkwiał oczy w mapie.

- Po której są stronie rzeki?

- Po północnej.

- To powinno być Bourem. Zaraz za miastem, jak pamiętam, skończyło się to skażenie wody. Nie leć za daleko.

- Gdzie chcesz wodować?

- Jeszcze trochę dalej w górę rzeki, ale tylko tyle, żeby nikt z miasta nas nie usłyszał.

- Dlaczego właśnie tu? - spytał podejrzliwie Giordino.

- Jest sobota wieczór. Pójdziemy do miasteczka i rozejrzemy się.

Giordino zrezygnował z komentarza. Całkowicie skupił się teraz na prowadzeniu śmigłowca. Znalazłszy się nad powierzchnią wody zmniejszył moc silnika. Zwrócona dziobem w stronę rzeki maszyna zaczęła się opuszczać.

- Wziąłeś kamizelkę ratunkową? - spytał Giordino.

- Jasne, nigdzie się bez niej nie ruszam - odparł Pitt. - Zejdź jeszcze niżej.

Dwa metry nad wodą Giordino wyłączył silniki, a Pitt odciął dopływ paliwa i prądu. Piękny helikopter Massarde'a siadł na powierzchni rzeki jak ogromna wałka, po czym zaczął się zanurzać. Zdążyli jeszcze otworzyć drzwi i uważając na obracające się wciąż powoli śmigło wydostali się na zewnątrz. Kiedy woda przez otwarte drzwi dostała się do wnętrza i wypełniła je prawie zupełnie, maszyna, wydając odgłos przypominający westchnienie olbrzyma, skryła się całkowicie pod gładką powierzchnią rzeki.

Nikt z brzegu nie słyszał odgłosu zniżającego się śmigłowca, nikt nie widział, jak tonie w rzece. Podobnie jak szczątki Calliope, znalazł wieczny spoczynek w miękkim szlamie dna Nigru.

Być może miejsce nie było aż tak eleganckie, jak klub polo w Beverley Hills Hotel. Ale komuś, kto dwukrotnie skąpał się w brudnej rzece, kogo prawie ugotowano w łaźni parowej, i kto przez dwie godziny krążył helikopterem po ciemku nad pustynią, trudno było wyobrazić sobie coś przyjemniejszego. Pittowi nigdy nie zdarzyło się oglądać równie obskurnej knajpy, która wyglądałaby zarazem tak sympatycznie. Mieli wrażenie, że wchodzą do jaskini o glinianych ścianach i brudnym klepisku. Długi pulpit służący za bar wspierał się na ceglach. Uginał się tak bardzo, że wydawało się, iż stojące na nim szklanki same będą zjeżdżać do środka. Za barem na półkach z cegły stało kilka puszek i słoików z różnymi gatunkami kawy i herbaty oraz pięć napoczętych już butelek dość podłego alkoholu. Widocznie czekały na rzadkich w tych stronach turystów, trudno bowiem przypuszczać, by opróżniali je miejscowi muzułmanie. Pod ścianą stał mały piecyk. Promieniowało z niego przyjemne ciepło, wraz z ostrym zapachem czegoś, co jak się potem okazało, było wielbłądzim łajnem. Krzesła przypominały stare graty z magazynów Armii Zbawienia, podobnie jak stoły o poprzypalanych papierosami blatach. Te ostatnie, sądząc po wytartych rzeźbach i inkrustacjach, pamiętały jeszcze czasy kolonialnej świetności. Dwie słabe żarówki, wiszące samotnie na drucie u sufitu, zasilane jedynym w mieście dieslowskim generatorem, stanowiły całe oświetlenie.

Usiedli przy pustym stole przenosząc wzrok z umeblowania baru na jego klientelę.

Na szczęście nie było tu ludzi w mundurach. Na oko publiczność stanowili okoliczni rybacy, trochę ludności z miasta i kilku farmerów. Nie było także kobiet. Niektórzy z zebranych pili piwo, większość jednak sączyła słodką kawę lub herbatę z małych filiżanek. Obrzuciwszy przybyszów obojętnymi spojrzeniami wrócili do swoich rozmów i do gry, przypominającej domino.

Giordino przechylił się przez stół do Pitta.

- Czy to jest twój pomysł na dzisiejszą noc?

- W czasie burzy każdy port jest dobry - odparł Pitt.

Właściciel baru, duży mężczyzna o gęstej, wełnistej czarnej czuprynie i wielkich wąsach zbliżył się do stolika, czekając w milczeniu na zamówienie.

- Piwo - rzekł Pitt, pokazując dwa palce.

Właściciel kiwnął głową. Wrócił za bar i wyjął dwie butelki ze starej lodówki.

Giordino spojrzał na Pitta pytająco.

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, czym zapłacisz?

Pitt uśmiechnął się, po czym schylił się pod stół i zdjął lewy but. Jednocześnie wodził wzrokiem po knajpie, obserwując twarze zebranych gości. Na szczęście nikt nie patrzył w ich



stronę.

Otworzył zamkniętą dłoń i oczom Giordina ukazał się spory zwitek malijskiej waluty.

- Franki Konfederacji Afryki Francuskiej - wyjaśnił spokojnie. - Admirał pomyślał o wszystkim.

- Rzeczywiście, niczego nie zapomniał - zgodził się Giordino. - Ciekawe jednak, dlaczego zawierzył tobie, a nie mnie.

- Po prostu mam większy numer butów.

Właściciel baru postawił piwo na stole.

- Dix francs - rzekł.

Pitt wręczył mu banknot. Właściciel przez chwilę oglądał go pod światło, jednocześnie sprawdzając nadruk dużym palcem. Wreszcie skinął głową i odszedł.

- Dlaczego dałeś mu dwadzieścia franków? Chciał tylko dziesięć - rzekł Giordino. - Pomyśli, że jesteś taki bogaty i pół miasta będzie nas chciało obrobić po wyjściu z baru.

- Właśnie o to mi chodzi - rzekł Pitt - Przecież oni tu marzą, żeby z kimś pohandlować.

- Będziesz kupował, czy sprzedawał?

- Raczej będę kupował. Potrzebny jest nam jakiś środek transportu.

- Ja muszę przede wszystkim coś zjeść. Jestem głodny jak niedźwiedź po śnie zimowym.

- Jeśli chcesz, spróbuj tutejszej kuchni. Ja wolę się przegłodzić.

Byli właśnie przy trzecim piwie, kiedy do baru wszedł wysoki, lekko przygarbiony młodzieniec. Mógł mieć osiemnaście lat. Miał dość miłą twarz i melancholijne spojrzenie. Jak większość tubylców był prawie czarny, o grubych, wełnistych włosach. Pod białym, luźno narzuconym strojem przypominającym prześcieradło nosił żółty T-shirt i spodnie koloru khaki. Obrzucił szybkim spojrzeniem Pitta i Giordina.

- Cierpliwość jest cnotą żebraków - mruknął Pitt. - Oto nadchodzi nasz ratunek.

Młody człowiek zatrzymał się przy ich stole i skinął głową.

- Bonjour,

- Dobry wieczór - odparł Pitt.

Smutne oczy błysnęły z zadowoleniem.

- Jesteście Anglicy?

- Nowozelandczycy - skłamał Pitt.

- Nazywam się Mohammed Digna. Może chcecie zmienić pieniądze?

- Mamy tutejszą walutę.

- A może potrzebny wam przewodnik, lub ktoś; kto pomoże w sprawach celnych, ułatwi kontakt z policją lub jakimś urzędem?

- Nie, wszystko w porządku. - Pitt wskazał ręką krzesło. - Napije się pan z nami?

- Tak, z przyjemnością. - Digna rzucił barmanowi parę słów po francusku.

- Mówi pan doskonale po angielsku - rzekł Giordino.

- Chodziłem do podstawowej szkoły w Gao, a do college'u w stolicy kraju, Bamako, gdzie byłem najlepszy - odparł dumnie. - Znam cztery języki, licząc razem z moim własnym, językiem bambara. Oprócz tego znam francuski, angielski i niemiecki.

- To jest pan lepszy ode mnie -. rzekł Giordino. - Ja znam tylko angielski.

- Czym się pan zajmuje? - spytał Pitt.

- Mój ojciec jest wodzem sąsiedniej wioski. Zajmuję się jego interesami i handlem z zagranicą.

- I czasem odwiedza pan bary i proponuje swe usługi turystom - dodał Giordino złośliwie.

- Lubię porozmawiać z cudzoziemcami, ćwiczę w ten sposób języki.

- A jak pana ojciec eksportuje te towary? - pytał dalej Pitt.

- Ma kilka ciężarówek.

- Czy można by jedną z nich wynająć?

- Chcecie wziąć jakiś towar?

- Nie, mój przyjaciel i ja chcieliśmy zrobić małą wycieczkę na północ. Chcemy zobaczyć wielką pustynię, zanim wrócimy na Nową Zelandię.

Digna potrząsnął przecząco głową.

- To niemożliwe. Ciężarówki ojca wyjechały dziś po południu do Mopti, z tekstyliami i innymi towarami. Zresztą cudzoziemcy nie mogą podróżować po pustyni bez specjalnego zezwolenia.

Pitt odwrócił się do Giordina z wyrazem rozczarowania na twarzy.

- A to pech. Sądziłyśmy, że po przejechaniu pół świata uda nam się zobaczyć przynajmniej karawanę wielbłądów na pustyni.

- Nie będę mógł spojrzeć w oczy mojej siwej matce - żalił się Giordino. - Dała mi wszystkie swoje oszczędności, żebym mógł zobaczyć życie na Saharze.

Pitt poruszył się na krzesło.

- No, musimy już wracać do Timbaktu.

- Macie samochód? - pytał Digna.

- Nie.

- To jak dostaliście się tu z Timbaktu?

- Autobusem - odrzekł niepewnie Giordino.

- To znaczy tą ciężarówką, która wozi pasażerów?

- Tak, tą ciężarówką - skwapliwie potwierdził Giordino.

- Nie znajdziecie żadnego środka lokomocji do Timbaktu przed jutrzejszym południem - rzekł Digna.

- Przecież musi być w Bourem jakiś samochód, który można by wynająć.

- Bourem to biedne miasto. Większość ludzi porusza się tu na motorowerach. Tylko nieliczne rodziny mogą sobie pozwolić na samochód, który nie wymagałby ciągłych reperacji. Jedyne naprawdę dobry samochód w Bourem należy do generała Kazima.

Pitt i Giordino pomyśleli to samo. Jakby mózgi ich pracowały na tych samych falach.

Obaj nadstawili uszu i obaj uśmiechnęli się nieznacznie.

- A skąd tu się wziął jego samochód? - spytał Pitt niewinnie. - Widzieliśmy generała wczoraj w Gao.

- Generał podróżuje zwykle helikopterem lub wojskowym odrzutowcem - odpowiedział Digna. - Ale w każdym mieście lubi się poruszać swoim własnym autem z szoferem. Jego szofer właśnie przeprowadzał samochód z Bamako do Gao i miał awarię kilka kilometrów od Bourem. Przyholowali go tu do reperacji.

- I już go naprawili? - spytał Pitt z obojętnym wyrazem twarzy.

- Wczoraj wieczorem. Miał tylko pękniętą chłodnicę.

- A szofer wrócił do Gao? - Giordino udał zdziwienie. Digna pokręcił przecząco głową.

- Droga stąd do Gao nie jest jeszcze gotowa. Jazda nocą byłaby niebezpieczna. Szofer nie chciał ryzykować wypadku. Zamierza ruszyć jutro o świcie.

Pitt przyglądał się rozmówcy.

- Skąd pan to wszystko wie?

- Garaż, w którym reperuje się samochody, należy do mojego ojca i ja sam osobiście dopilnowałem tej naprawy - wyjaśnił z dumą Digna. - Razem z szoferem poszliśmy potem na kolację.

- A gdzie jest teraz szofer?

- Teraz jest gościem mojego ojca.

Pitt zmienił temat rozmowy na kwestie lokalne.

- Jest tu jakiś przemysł?

Digna roześmiał się.

- Te okolice są zbyt biedne, żeby produkować coś więcej niż figurki i makatki dla turystów.

- To ma też dobre strony - nie macie śmietnisk przemysłowych.

- Rzeczywiście. Jest tylko spalarnia odpadów, ale też daleko; w Fort Foureau, kilkaset

kilometrów na północ.

Rozmowa urwała się na chwilę. Nagle Digna spytał:

- Dużo macie malijskich pieniędzy?

- Nie mam pojęcia - odparł Pitt. - Nie liczyłem.

Kątem oka dostrzegł, że Giordino wpatruje się w stolik na końcu sali, przy którym siedziało czterech mężczyzn. Kiedy na nich spojrział, szybko odwrócili głowy. Zrozumiał, że to pułapka. Spojrział z nadzieją na barmana, który z zainteresowaniem czytał gazetę. Na niego nie można było liczyć. Szybki rzut oka na pozostałych klientów przekonał go jednak, że są całkowicie zajęci rozmową i dominem. Pięciu na dwóch; mogło być gorzej, pomyślał.

Dokończył piwo i wstał.

- Czas na nas.

- Proszę przekazać nasze pozdrowienia ojcu - rzekł Giordino, ściskając dłoń Digny.

Twarz młodego Malijszczyka była wciąż uśmiechnięta, oczy zrobiły się jednak twarde.

- Nie możecie stąd wyjść.

- Niech się pan nami nie przejmuje - rzekł Giordino - prześpiemy się gdzieś na drodze.

- Dawajcie forszę - rzekł Digna cicho, ale groźnie.

- Syn wielkiego wodza zebrze o pieniądze - rzekł szyderczo Pitt. - Twój stary musi mieć z tobą kłopoty.

- Nie drażnij mnie - odparł Digna lodowatym tonem. - Oddajcie forszę, albo zostanie z was marmolada.

Giordino udał, że nie obchodzą go słowa Digny i ruszył w stronę baru. Czterej mężczyźni przy drzwiach wstali od stołu, wyraźnie czekając na sygnał do walki. Nie było jednak żadnego sygnału. Malijszczyk poczuł się trochę niepewnie. Pitt zbliżył się do Digny.

- Czy wiesz, co ja i mój przyjaciel robimy z takimi śmierdzielami jak ty? - spytał cicho.

- Ten, kto obraza Mohammeda Dignę, musi umrzeć - wycedził Digna przez zęby.

- Zakopiemy twoje ścierwo z kawałkiem świńskiej szynki w gębie - dokończył Pitt.

Dla pobożnego muzułmanina nie ma nic obrzydliwszego niż świnia. Jest ona dla niego uosobieniem brudu i nieczystości, a sama myśl o trwaniu całą wieczność z kawałkiem wieprzowego mięsa w ustach jest najstraszniejszym z możliwych koszmarów. Pitt wiedział o tym dobrze, tak jak wiedział na przykład, że pierś wampira należy przebić osikowym kołkiem.

Przez całe pięć sekund Digna trwał bez ruchu. Z gardła wydobywały mu się dziwne dźwięki. Jakby się dusił. Jego twarz stężała z wściekłości. Nagle szybkim ruchem wyciągnął długi nóż, ale nie zdążył go użyć. Pięść Pitta wylądowała na jego szczęce z siłą kuli karabinowej. Malijszczyk upadł do tyłu, przewracając stół, przy którym grupa ludzi grała w domino.

Praktycznie był już wyeliminowany z walki. Obstawa pokonanego Digny otoczyła Pitta. Trzech miało długie, zakrzywione noże, czwarty trzymał w ręku podniesioną siekierę. Pitt uniósł krzesło i z całej siły uderzył nim najbliższego napastnika, łamiąc mu prawą rękę i obojczyk. Pokój wypełnił krzyk zranionego Malijczyka. Przerażeni goście zbili się w kupę, potem w panice zaczęli uciekać, tłocząc się w wąskich drzwiach. W tym samym momencie powietrze rozdarł następny wrzask bólu. Rzucona przez Giordina butelka whisky uderzyła w głowę człowieka z siekierą. Pitt tym razem uniósł do góry stół, jednocześnie słysząc za sobą odgłos tłuczonego szkła. Giordino stał obok niego z ostrą szyjką obtłuczonej butelki w ręku.

Atakujący zatrzymali się. Spojrzeli na swoich dwóch towarzyszy. Jeden z nich klęczał i obejmował lewą ręką złamane prawe ramię, drugi zasłaniał twarz dłońmi, spod których ciekła krew. Digna leżał na ziemi nieprzytomny. Zaczęli powoli wycofywać się w stronę drzwi. Po chwili już ich nie było.

- Dosyć łatwo poszło - rzekł Giordino. - Ci faceci nie przeżyliby w Nowym Yorku pięciu minut.

- Pilnuj drzwi - rzekł Pitt. Odwrócił się do właściciela, cierpliwie przewracającego kolejne strony gazety. Był tak obojętny, jakby tego rodzaju sceny odbywały się tu codziennie.

- Le garaged - spytał Pitt.

Barman podniósł głowę i bez słowa wskazał palcem południową ścianę baru.

- Merci. - Pitt rzucił na stół kilka franków, żeby pokryć wyrządzone w barze szkody.

- Niezłe miejsce - rzeki Giordino. - Aż żal się z nim rozstawać.

Pitt spojrzął na zegarek.

- Mamy tylko cztery godziny do świtu. Musimy stąd wiać, zanim ogłoszą alarm.

Opuścili bar i ciemnymi zaułkami podążyli we wskazanym przez barmana kierunku.

Brak miejskich świateł i pograżone w ciemnościach domy, których mieszkańcy już spali, dawały względne poczucie bezpieczeństwa. Doszli do dość dużego ceglanego budynku przypominającego kształtem dom towarowy. Prowadziła doń szeroka żelazna brama oraz podwójne drzwi. Przylegający do budynku, otoczony łańcuchem parking wyglądał jak cmentarzysko samochodów. W kilku rzędach stały stare samochody lub raczej to, co z nich pozostało: ramy i karoserie. Koła i zużyte silniki złożone były w jednym z rogów placu, obok nich wałało się kilka opakowań po oleju. Przekładnie i dyferencjały leżały bliżej samego budynku. Ziemia wokół garażu cuchnęła olejem.

Brama była związana sznurem. Giordino przeciął go bez trudu znalezionym na ziemi ostrym kamykiem. Ostrożnie podeszli do drzwi: mógł tu być system alarmowy albo przynajmniej pies. Ale nie odezwało się ani szczekanie, ani syrena alarmu. Widocznie właściciel

nie obawia się kradzieży, pomyślał Pitt. Nic dziwnego, przy tak małej ilości samochodów w mieście każda skradziona część od razu łatwo wskazałaby złodzieja. Podwójne drzwi zamknięte były zardzewiałą kłódką. Giordino wziął ją w swe potężne dłonie i szarpnął mocno. Otworzyła się natychmiast. Spojrzał na Pitta i uśmiechnął się.

- Łatwa robota. Stary i zardzewiały mechanizm.

- Jeśli okaże się, że za tymi drzwiami kryje się nasz ratunek, dostaniesz ode mnie medal.

Pitt otworzył cicho drzwi i wszedł do środka. Pomieszczenie przystosowane było do reperacji podwozi samochodów. Było tam również niewielkie biuro i boks z różnymi częściami samochodowymi i narzędziami. Resztę garażu zajmowały trzy samochody osobowe i dwie ciężarówki, częściowo rozebrane. Na samym środku pomieszczenia znajdowało się jednak coś, co przyciągnęło uwagę Pitta. Włączył na chwilę reflektory jednej z ciężarówek i oświetlił stojący przed nią elegancki, jaskrawoczerwony automobil sprzed drugiej wojny światowej.

- O Boże - szepnął Pitt. - To prawdziwy Avions Voisin.

- Co takiego?

- Voisin. Produkowany od 1919 do 1939 roku we Francji przez Gabriela Voisina. Bardzo rzadki samochód.

Giordino podszedł bliżej i starannie obejrzał niezwykle auto. Zwrócił uwagę na nietypowe klamki, trzy wycieraczki zamiast dwóch na przedniej szybie, wspaniałą chromowaną atrapę i skrzydlatą figurkę na masce.

- Rzeczywiście oryginalny.

Pitt usiadł za kierownicą, umieszczoną po prawej stronie. Wnętrze i tablica rozdzielcza były w stylu art-deco. W stacyjce tkwił kluczyk. Pitt przekręcił go i obserwował przez chwilę wskazówkę paliwa. Bak był pełen. Nacisnął guzik startera. Silnik ruszył niemal bezgłośnie. Jediną oznaką jego pracy była smużka dymu, wydobywająca się z rury wydechowej.

- Trzeba przyznać, że jest cichy - zauważył Giordino z podziwem.

- Silnik ma zawory tulejowe - wyjaśnił Pitt. - Stosowano je dawniej dla zmniejszenia hałasu. Potem okazało się, że zawory grzybkowe są wprawdzie głośniejsze, ale dają większą moc i oszczędność paliwa.

- Naprawdę chcesz jechać tym zabytkiem przez pustynię? - Giordino przyglądał się sceptycznie staroświeckiej maszynie.

- Mamy pełno benzyny, no i lepsze to niż wielbłąd. Weź parę butelek wody i sprawdź, czy nie ma tu czegoś do zjedzenia.

- Mocno w to wątpię - rzekł Giordino. - Są tylko różne oranżady i automat z cukierkami.

- Może coś jednak znajdziesz.

Pitt otworzył drzwi garażu i bramę ogrodzenia. Sprawdził olej w silniku i wodę w chłodnicy, a także ciśnienie w oponach. Nadszedł Giordino z pełnym pojemnikiem soft-drinków i kilkoma plastikowymi kanistrami wody.

- Płynów wystarczy nam na parę dni, ale do jedzenia mamy tylko dwie puszki sardynek i jakieś wafle.

- Rzuć to wszystko na tylne siedzenie i ruszamy.

Sześćdziesięcioletni Voisin cicho i gładko ruszył naprzód. Pitt minął wolno stojące na placu samochody i wyjechał przez bramę. Ostrożnie jechał główną aleją miasta, aż dotarł do brudnej, wąskiej uliczki, biegnącej na zachód, równoległe do Nigru. Dopóki znajdowali się w obrębie miasta, starał się nie przekraczać szybkości dwudziestu pięciu kilometrów. Dopiero minawszy ostatnie budynki mocniej nacisnął gaz i włączył światła.

- Przydałaby się mapa - rzekł Giordino.

- Muszą nam wystarczyć ślady wielbłądów. Nie możemy ryzykować jazdy główną drogą.

- To dobre tak długo, dopóki ta ścieżka dla bydła będzie prowadziła wzdłuż rzeki.

- Musimy dotrzeć do miejsca, w którym Gunn stwierdził wpływ toksyn do Nigru. Wtedy skreścimy na północ.

- Nie chciałbym być w tych stronach, kiedy szofer Kazima oznajmi mu, że skradziono jego cacko.

- Kazim i Massarde będą przekonani, że uciekamy za najbliższą granicę, czyli do Nigru - rzekł Pitt. - Nie przyjdzie im do głowy szukać nas w samym sercu pustyni.

- Muszę przyznać, że wcale mi się nie uśmiecha ta podróż - narzekał Giordino.

Nie uśmiechała się też Pittowi. Kolejne kuszenie losu nie wróżyło im dożycia spokojnej starości. W świetle reflektorów widać było bezkresny płaski teren ze sterczącymi tu i ówdzie skałami. Migające przed nimi cienie drzew manny przypominały tańczące na pustyni duchy.

Nie byłoby przyjemnie tu umrzeć, pomyślał Pitt.

O dziesiątej słońce było już wysoko. Temperatura zbliżyła się - o ile Gunn mógł to ocenić bez termometru - do trzydziestu pięciu stopni. Zerwał się dość silny wiatr. Dawał pewną ochłodę, ale jednocześnie wznosił tumany pyłu, wciskającego się nieprzyjemnie w oczy, nos i gardło. Włożył okulary słoneczne, których na szczęście nie zapomniał wziąć do plecaka, i owinął szczelniej głowę prymitywnym zawojem z prześcieradła. Otworzył małą plastikową butelkę z wodą i wypił co najmniej połowę. Nie musiał oszczędzać wody, odkąd wykrył nieopodal dworca lotniczego czynny kran przeciwpożarowy.

Lotnisko wyglądało równie martwo jak poprzedniego wieczora. Części wojskowej pilnowali wprawdzie wartownicy, ale przy hangarach i samolotach nie było żadnego ruchu. Nie było go również na lotnisku cywilnym. Nagle jednak z budynku dworca wynurzył się jakiś człowiek, wsiadł na motorynkę i podjechał do oddalonej o sto metrów wieży kontroli. Gunn odczytał to jako dobry znak. Nikt przy zdrowych zmysłach nie robiłby sobie w takim upale przejażdżek dla zabawy. Powód mógł być tylko jeden: zapowiedziane lądowanie jakiegoś samolotu. Wysoko nad kryjówką Gunna zataczał powolne kręgi sokół. Gunn obserwował go przez chwilę, potem przesunął nad głowę jedną z desek, by dawała choć trochę cienia. Ponownie zlustrował spojrzeniem całe lotnisko. Na płytę przed dworcem wjechała furgonetka. Wysiedli z niej dwaj mężczyźni w kombinezonach obsługi lotniska i zaczęli wyładowywać drewniane klocki, służące do blokowania kół samolotu na postoju. Gunn zaczął intensywnie obmyślać optymalną drogę ze swojej kryjówki do miejsca postoju samolotu. Szczególnie uważnie oglądał nieliczne krzaki i nierówności terenu, za którymi mógłby się schować.

Znowu położył się na plecach i patrzył w niebo, usiłując przystosować się do panującego upału. Sokół zaatakował właśnie jakiegoś małego ptaszka, lecącego w stronę rzeki. Na niebie widać było kilka małych, kłębiastych chmur. Skąd się brały i jak zdołały przetrwać w rozpalonym i suchym jak pieprz powietrzu? Nagle poniżej obłoków, daleko nad horyzontem dostrzegł długą, szybko przesuwającą się igłę. Usiadł i skupił na niej wzrok. Odrzutowiec okrążał miasto od północy i zachodu, wyraźnie zniżając lot. Był jeszcze za daleko, by go rozpoznać, ale Gunn miał już pewność, że nie jest to maszyna wojskowa; nie szykowano by dla niej powitania w cywilnej części lotniska.

Odsunął chroniące go od słońca deski, wciągnął na plecy tornister i przykucnął jak sprinter gotowy do startu. Poczul nerwowe bicie serca; samolot zbliżył się na niespełna kilometr do lotniska. Teraz widział już wyraźnie szczegóły: to był duży samolot pasażerski, francuski Airbus z jasno - i ciemnozielonymi poziomymi pasami na kadłubie i znakami rozpoznawczymi Air Afrique.



Maszyna dotknęła kołami betonu niemal na początku pasa i szybko wyhamowała. Choć na pasie nie czekał samochód z tablicą "FOLLOW ME", pilot sprawnie i bez wahania dokołował pod dworzec. Nie wyłączył silników; pracowały nadal, choć na jałowych obrotach. Dwaj ludzie z obsługi lotniska nie zwrócili na to uwagi. Wsunęli bloki pod koła, potem przytoczyli do przednich drzwi samolotu wózek ze schodkami. Stali na betonie z zadartymi głowami, czekając na pojawienie się pasażerów. Ale drzwi wciąż pozostawały zamknięte. Gunn miał już pewność, że nie jest to zwykły samolot pasażerski. Postanowił ruszyć. Pokonał biegiem pięćdziesiąt metrów dzielących go od najbliższej cherlawej akacji, przycupnął za nią i podjął na nowo obserwację samolotu.

Przednie drzwi samolotu odsunęły się wreszcie; ukazała się stewardesa, zbiegła szybko po schodkach i, nie zwracając uwagi na malijskich techników, pomaszzerowała w stronę wieży kontrolnej. Zaintrygowani Malijczycy oderwali wzrok od samolotu i patrzyli za nią z ciekawością. Zachowywała się rzeczywiście dziwnie. Kiedy doszła do podstawy wieży, z przewieszanej przez ramię torby wyjęła nożyce do drutu i spokojnie, bez pośpiechu, przecięła całą wiązkę kabli elektrycznych i telefonicznych, łączących wieżę z budynkiem dworca. Potem dała ręką znak w kierunku kabiny pilotów Airbusa. Niemal natychmiast spod brzucha samolotu opuściła się na beton szeroka pochylnia. Z wnętrza dał się słyszeć silnik samochodu. Pracował na wysokich obrotach, choć jednocześnie dziwnie cicho. Po chwili po rampie zjechało coś, co przypominało "buggy", samochód do wyścigów terenowych.

Gunn brał kiedyś w Arizonie udział w takim wyścigu jako członek załogi Pitta i Giordino, miał więc pewne wyobrażenie o takich pojazdach. Ale ten był wyjątkowy. Nadwozie stanowiła konstrukcja z rur; bez jakiegokolwiek osłony. Ogromny, chyba siedmiolitrowy widlasty silnik, choć umieszczony centralnie, jak w bolidach Formuły 1, wystawał poza tylne koła. Przed silnikiem znajdowała się wąska ławeczka, na której oprócz kierowcy z trudem tylko mieścił się pasażer. Na platformie nad silnikiem zamontowany był ciężki karabin maszynowy typu Vulcan; sześć luf na obrotowej tarczy tworzyło jedyny w swoim rodzaju ażurowy dach nad kierowcą. Obsługę Vulcana stanowili dwaj ludzie, obaj uzbrojeni dodatkowo w krótkie pistolety maszynowe. Gunn przypomniał sobie, że takich właśnie pojazdów użyli Amerykanie w operacji "Pustynna Burza"; były szczególnie przydatne w szybkich akcjach na tyłach wojsk irackich.

W ślad za pojazdem szturmowym na płytę lotniska wybiegł pluton uzbrojonych po zęby żołnierzy w płowych pustynnych panterkach. Jeden stanął przy schodkach, by trzymać pod strażą malijskich techników. Reszta obstawiała budynek dworca i wieżę kontrolną. Dwaj wartownicy, pilnujący wojskowej części lotniska, patrzyli jak zahipnotyzowani na dziwny pojazd pędzący w ich kierunku. Dopiero gdy zbliżył się na niespełna sto metrów, oprzytomnieli i

chwycili za broń. Za późno. Krótka seria z Vulcana skosiła ich w ułamku sekundy.

Kierowca skręcił w stronę ośmiu myśliwców stojących na skraju lotniska. Nie były rozproszone, jak w okresach zagrożenia wojennego. Stały ciasno jeden przy drugim, w idealnie równym szeregu, jakby przygotowane do uroczystej inspekcji. Pociski z samochodu szturmowego uderzały w kolejne maszyny krótkimi, morderczymi seriami. I gdy kule przebijały zbiorniki paliwa, jeden samolot po drugim stawał w płomieniach. Z ogłuszającym hukiem wybuchały podwieszane pod skrzydłami bomby i rakiety. Po minucie z ośmiu myśliwców została już tylko kupa płonącego złomu. Gunn obserwował tę dramatyczną scenę w absolutnym osłupieniu. Skulił się za swoją akacją, jak gdyby jej wąty pień mógł mu dać jakąkolwiek osłonę. Spojrzał na zegarek: od rozpoczęcia operacji minęło zaledwie sześć minut. Samochód szturmowy wrócił szybko w stronę Airbusa. Nie wjechał jednak do środka, tylko zajął pozycję bojową przed budynkiem dworca. Tymczasem na przystawionych do samolotu schodkach pojawił się oficer z tubą w rękę. Podniósł ją do ust i zawołał, przebijając się przez huk eksplozji:

- Panie Gunn! Proszę wyjść! Mamy bardzo mało czasu!

Zaskoczony Gunn wahał się przez chwilę. A jeśli to pułapka? Jeśli Malijczycy zainscenizowali to wszystko, żeby go schwytać?

- Panie Gunn! - krzyknął oficer ponownie. - Jeśli mnie pan słyszy, błagam, niech się pan pospieszy. Inaczej będziemy musieli odlecieć bez pana!

Gunn odrzucił wątpliwości. Bzdura, pomyślał. Kazim nigdy w życiu nie poświęciłby ośmiu swoich myśliwców dla złapania jednego człowieka. Wskoczył zza akacji i pobiegł w stronę Airbusa, machając rękami.

- Zaczekajcie! Jestem tutaj! - krzyczał jak szalony.

Oficer dostrzegł go, zbiegł po schodkach i dreptał niecierpliwie po betonie, jak pasażer zirytowany opóźnieniem rozkładowego lotu. Kiedy wreszcie mocno zdyszany Gunn dotarł do samolotu, obrzucił go takim spojrzeniem, jakim patrzy się na ulicznego żebraka.

Odezwał się jednak grzecznie:

- Dzień dobry. Pan Rudi Gunn?

- Tak, a pan?

- Pułkownik Marcel Levant.

Dopiero teraz, z bliska, Gunn mógł w pełni ocenić klasę elitarnej jednostki, którą po niego przysłano. Byli nie tylko świetnie uzbrojeni, ale i znakomicie przygotowani fizycznie. Wyglądali przy tym jak ludzie, którzy zabijają bez najmniejszych skrupułów. Nagle uświadomił sobie, że akcent pułkownika nie jest amerykański. Poczul się nieswojo. W ułamku sekundy wróciły wszystkie wątpliwości.

- Co to za jednostka? - spytał niepewnie.

- UNICRATT. Grupa taktyczna Organizacji Narodów Zjednoczonych.

- Skąd pan wiedział, jak się nazywam i jak mnie szukać?

- Admirał James Sandecker dostał wiadomość radiową od niejakiego Dirka Pitta, że ukrywa się pan w pobliżu lotniska, i że trzeba pana stąd jak najszybciej zabrać.

- A więc to admirał was wysłał! - Gunn odetchnął z ulgą.

- Ścisłej: Sekretarz Generalny ONZ na prośbę admirała - odparł lekko już zniecierpliwiony Levant. - Ale może i ja o coś zapytam: skąd właściwie mogę mieć pewność, że to pan jest Rudi Gunn?

Amerykanin powiódł wzrokiem po pustkowiu otaczającym lotnisko.

- A jak pan myśli, u diabła, ilu Rudich Gunnów pęta się po tej pustyni, czekając na pańskie wezwanie?

- Nie ma pan żadnego dokumentu, żadnego dowodu tożsamości? - upierał się Levant.

- Nie mam. Wszystko leży już pewnie na dnie Nigru. Musi mi pan uwierzyć.

Levant przekazał tubę przechodzącemu młodszemu oficerowi.

- Zebrać ludzi! - rozkazał krótko. - Wracamy.

Odwrócił się znowu do Gunna z oficjalnym uśmiechem, w którym nadal nie było cienia sympatii.

- Proszę do samolotu, panie Gunn. Nie ma czasu na jałowe konwersacje.

- Dokąd mnie zabieracie? Levant stłumi odruch irytacji.

- Do Paryża - odparł rzeczowo. - Stamtąd polecą pan do Waszyngtonu, gdzie, jak się zdaje, czeka na pana niecierpliwie całe grono Bardzo Ważnych Osób. Tylko tyle mogę powiedzieć. A teraz proszę na pokład. Najwyższy czas.

- Właściwie dlaczego tak się pan spieszy? - spytał Gunn, którego zaczęła już bawić nieufność pułkownika. - Przecież zniszczył im pan całe lotnictwo.

- Nie całe; tylko jedną eskadrę. Mają trzy inne, w pobliżu Bamako. To dość daleko stąd, ale jeśli już wiedzą, co tu się stało, mogą dopaść nas jeszcze w przestrzeni powietrznej Mali.

Tymczasem samochód szturmowy wjechał już do wnętrza Airbusa; za nim wchodzili pospiesznie żołnierze Levanta. Potężnie zbudowana dziewczyna w stroju stewardesy Air Afrique, ta sama, która tak brawurowo rozpoczęła operację na lotnisku, przecinając kable wieży kontrolnej, teraz chwyciła Gunna pod ramię i pociągnęła po schodkach w górę. Widząc jego przestraszoną minę, uśmiechnęła się.

- Nie mamy tu pierwszej klasy z luksusowymi daniami i szampanem, panie Gunn, ale jest zimne piwo i kanapki z mortadela - powiedziała.

- Nie ma pani pojęcia, jak to luksusowo dla mnie brzmi - odwzajemnił się uśmiechem Gunn.

Byłby całkiem szczęśliwy, gdyby nie nowa fala lęku, która nagle go ogarnęła. Pitt i Giordino zapewnili mu pomyślną ucieczkę (ciekawe, skąd wzięli radio, żeby skontaktować się z Sandeckerem), ale sami tam przecież zostali! Ich poświęcenie przekraczało dla niego granice rozsądku. Rozumiał, że zależy im na znalezieniu źródeł groźnego skażenia, ale decyzja, by pozostać na obcym, śmiertelnie wrogim terenie bez żadnych właściwie środków - była szaleństwem. Teraz, zwłaszcza po wydarzeniach na lotnisku, Kazim rzuci przeciwko nim całą swoją jawną i tajną armię. Jeśli nie zniszczy ich pustynia - zrobią to Malijczycy.

Zatrzymał się jeszcze na chwilę na szczycie schodków. Widział stąd bez trudu oddaloną zaledwie o półtora kilometra na zachód rzekę Niger i wąskie pasma roślinności wzdłuż brzegów. Ale ku północy i wschodowi, tuż za miastem, rozciągał się bezmiar skalisto-piaszczystej pustyni.

Gdzie są teraz? Czy w ogóle jeszcze żyją?

Oderwał wzrok od posępnego, złowrogiego krajobrazu i wszedł do samolotu. Fala chłodnego, klimatyzowanego powietrza uderzyła go jak wodospad. Po chwili samolot wystartował. Zapyłone piaskiem oczy bolały go dotkliwie. Siedzący obok pułkownik z zaciekawieniem przyglądał się jego zatroskanej twarzy. W końcu Gunn odwrócił ku niemu oczy.

- Wyrwał się pan z takiego piekła, a nie wygląda pan na specjalnie ucieszonego - zauważył Levant.

- Myślę o ludziach, których tu zostawiłem.

- Pitt i Giordino to pańscy przyjaciele?

- Od wielu lat.

- Dlaczego nie uciekli razem z panem?

- Mają tutaj pewną robotę do skończenia.

Levant pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Muszą być albo bardzo odważni, albo kompletnie zwariowani.

- Zwariowani? Nie, ani trochę.

- Przecież to się nie może dobrze skończyć.

Gunn uśmiechnął się blado.

- Nie zna ich pan - rzekł z nagłym przyływem wiary i ufności. - Jeśli jest na świecie ktoś, kto potrafi wejść do piekła i wrócić stamtąd ze szklanką tequili z lodem w rękę, to tym kimś jest właśnie Dirk Pitt.

Sześciu żołnierzy osobistej ochrony generała Kazima czekało, aż łódź Massarde'a dobieje do przystani. Gdy Francuz znalazł się na nabrzeżu, dowódca oddziału zastąpił mu drogę i zasalutował.

- Monsieur Massarde?
- O co chodzi?
- Generał Kazim chce się natychmiast z panem widzieć.
- Czy generał nie wie, że muszę jechać do Fort Foureau i bardzo się spieszę?

Major skłonił się uprzejmie.

- Chyba chodzi o coś bardzo ważnego.
- Niech pan prowadzi - rzekł Massarde, westchnąwszy w iście francuski sposób.

Ruszyli brudnym nabrzeżem w stronę dużego budynku. Massarde szedł za majorem otoczony przez straż.

- Proszę tędy - major wskazał boczną alejkę okalającą budynek.

Minęli pilnie strzeżoną przez uzbrojonych żołnierzy ciężarówkę mercedes-benz z przyczepą, osobisty pojazd generała Kazima do nadzwyczajnych celów wojskowych. Massarde wszedł po schodach do budynku. Ciężkie, masywne drzwi zamknęły się za nim.

- Generał Kazim jest w swoim biurze - rzekł major, przepuszczając Massarde'a przez następne drzwi i zostając nieco z boku.

W porównaniu z upałem, panującym na zewnątrz, powietrze w biurze wydawało się arktyczne. Klimatyzacja musiała być włączona na maksimum. Zasłony w kuloodpornych oknach sprawiały, że w pomieszczeniu panował półmrok. Massarde przez chwilę przyzwyczajał wzrok do ciemnego wnętrza.

- Usiądź, Yves - rzekł Kazim zza biurka, odkładając jednocześnie słuchawkę jednego z czterech telefonów.

Massarde uśmiechnął się, wciąż na stojąco.

- Po co tu tyle straży? Boisz się zamachu? Kazim uśmiechnął się również.

- Po tym, co zdarzyło się w ciągu ostatnich paru godzin, żadne środki ostrożności nie są przesadne.

- Odnalazłeś mój helikopter? - spytał Massarde wprost.

- Jeszcze nie.

- Jak może helikopter zginąć na pustyni? Przecież miał paliwo tylko na pół godziny lotu.

- Ci dwaj Amerykanie, którym pozwoliłeś uciec...

- Mój jacht nie jest przeznaczony do tego, żeby trzymać w nim więźniów - przerwał

Massarde. - Trzeba ich było od razu zabrać.

- Zgoda, popełniłem błąd. Otóż ci dwaj agenci NUMA dolecieli twoim helikopterem do Bourem. Tam, jak sądzę, utopili go w rzece, doszli pieszo do miasta i ukradli mój samochód!

- Tego starego Voisina?

- Tak - odparł Kazim przez zaciśnięte zęby. - Te amerykańskie skurwiele zabrały mi mój unikalny, bezcenny samochód.

- I nie znalazłeś ich jeszcze?

- Nie.

Dopiero teraz Massarde usiadł. Poczł coś na kształt zadowolenia. Nie tylko on poniósł straty.

- A co z tym helikopterem ONZ, który miał ich zabrać spod Gao?

- Niestety, daliśmy się nabrać. Moi żołnierze czekali w tym miejscu na próżno. Radary też nie zaobserwowały. Zamiast tego na lotnisku w Gao wylądował samolot ONZ, oznaczony jako zwykły samolot pasażerski.

- Bez twojej wiedzy i zgody?

- Nikt nie podejrzewał zagrożenia - odparł Kazim. - Mniej więcej godzinę przed świtem urzędnik Air Afrique w Gao zameldował, że jeden z ich samolotów chce lądować, ponieważ grupa turystów ma ochotę zwiedzić miasto i przejechać się po rzece.

- I ten urzędnik uwierzył w to?

- Dlaczego miał nie uwierzyć? Dostyc często przedstawiciele Air Afrique proszą o taką zgodę w siedzibie ich linii w Algierze, i zawsze ją dostają.

- I co się potem stało?

- Według relacji kontrolerów lotniska i obsługi naziemnej samolot oznaczony jako Air Afrique podał właściwe dane identyfikacyjne. Ale kiedy już wylądował, wyjechał z niego samochód szturmowy. Zastrzelili wartowników, a potem zniszczyli osiem moich najnowocześniejszych myśliwców.

- A więc to właśnie słyszeliśmy z jachtu - rzekł Massarde. - Gdy zobaczyłem dym nad lotniskiem, myślałem, że to katastrofa.

- To jeszcze nie wszystko... - westchnął Kazim.

- Czy zidentyfikowano zamachowców?

- Mieli jakieś nietypowe mundury bez żadnych oznaczeń.

- Ilu straciłeś ludzi?

- Tylko dwu strażników. Większość pracowników lotniska i piloci byli na szczęście w tym czasie na uroczystości religijnej.

Massarde spoważniał.

- Tu nie chodzi o żadne badanie skażeń. To mi wygląda na zamach stanu. Opozycja jest silniejsza, niż ci się zdaje.

- Opozycja? To tylko paru dysydentów z plemienia Tuaregów, z szablami i na wielbłądach. A tu był wyćwiczony oddział z nowoczesnym sprzętem bojowym!

- Opozycja mogła wynająć zawodowców.

- Za co? - spytał drwiąco Kazim. - To rzeczywiście byli zawodowcy; działali według planu. Po zabranii tego amerykańskiego agenta zniszczyli myśliwce, żeby uniemożliwić pościg.

- Nie chcę więcej słyszeć o tych bzdurach - Massarde przybrał nagle ostry ton.

- Ludzie z obsługi lotniska twierdzą, że szef oddziału wołał człowieka o nazwisku Gunn. Ten Gunn rzeczywiście wylądował nagle z jakiejś dziury na lotnisku. Zabrali go i polecili prosto w kierunku północno-zachodnim, w stronę Algierii.

- To wszystko brzmi jak historyjka z wiejskiego filmu.

- To nie są żarty, Yves. - Głos Kazima był uprzejmy, lecz zdecydowany - Wygląda na to, że chodzi o coś znacznie poważniejszego, niż szukanie ropy. Mam wrażenie, że nasze wspólne interesy są zagrożone przez jakieś zewnętrzne siły.

Massarde zamyślił się nad hipotezą Kazima. Ich minimalne wzajemne zaufanie opierało się na szacunku dla sprytu i siły partnera. Massarde znał dobrze Kazima. Wiedział, że w razie konfliktu będzie to walka na śmierć i życie. Przez chwilę przyglądali się sobie. Massarde patrzył w oczy szakala, Kazim - w oczy lisa.

- Jakie masz powody, by tak sądzić?

- Wiemy już, że w łodzi, która wyleciała w powietrze, było trzech ludzi. Podejrzewam, że eksplozja miała zmylić nasz trop. Dwóch z nich dostało się na twój jacht, a trzeci, facet o nazwisku Gunn, dopłynął do brzegu i dostał się na lotnisko.

- Czy możliwe, żeby udało im się wszystko tak dobrze zgrać w czasie?

- Oczywiście, bo to są zawodowcy - powtórzył Kazim. - Zawiadomili komandosów o czasie i miejscu, z którego można zabrać Gunna. Zrobił to ten szpicel, który przedstawiał się jako Dirk Pitt.

- Skąd wiesz?

Kazim wzruszył ramionami.

- Łatwo się domyślić - spojrzał na Massarde'a. - Zapomniałeś już, że skorzystał z twojej radiostacji? Mógł się wtedy porozumieć ze swoim szefem, Sandeckerem. Właśnie po to on i Giordino weszli na twój jacht.

- Nie rozumiem jednak, dlaczego nie próbowali uciec z Gunnem.

- Po prostu dlatego, że ich złapałeś, zanim zdążyli z powrotem wskoczyć do rzeki i uciec na lotnisko.

- Po prostu? To dlaczego nie uciekli z kraju potem, jak już mieli helikopter? Do granicy Nigru jest stąd tylko sto pięćdziesiąt kilometrów. Mogli tam dotrzeć z tym paliwem, które mieli. Ucieczka w głąb kontynentu nie miała żadnego sensu, kradzież starego auta również. W tamtych okolicach nie ma mostów na rzece, nie mogą więc uciec przez południową granicę. Dokąd, u licha, oni jadą?

Stalowe oczy Kazima utkwione były w twarzy Massarde'a.

- Może tam, gdzie nikt się ich nie spodziewa.

- Na północ, na pustynię? - Massarde uniósł brwi.

- A gdzie by indziej?

- Bzdura.

- Jeśli masz lepszą teorię, chętnie posłucham.

Massarde potrząsnął sceptycznie głową.

- Po co mieliby kraść sześćdziesięcioletni samochód i jechać nim przez najbardziej bezludne miejsca na świecie? To czyste samobójstwo.

- Dotychczas wszystkie ich działania jakoś dawały się wytłumaczyć - zauważył Kazim. - To jakaś dziwna misja. Właściwie nie wiadomo, co się za tym kryje.

- Tajemnice wojskowe? Kazim zaprzeczył ruchem głowy.

- Wszystkie informacje o moich sprawach wojskowych są z pewnością w kartotekach CIA, KGB i MI6. Mali nie ma żadnych sekretnych planów wojskowych, które interesowałyby obce państwa; nawet naszych sąsiadów.

- Zapomniałeś o dwóch sprawach.

Kazim spojrzał zdziwiony.

- O czym?

- Fort Foureau i Tebezza.

Tak, pomyślał Kazim, to możliwe. Dla tych międzynarodowych rabusiów kopalnia złota i dochodowy zakład utylizacyjny to rzeczywiście łakome kąski.

- No, dobrze - powiedział - ale jeśli o to im chodzi, po co kręć się tutaj, kilkaset kilometrów na południe?

- Tego nie wiem - przyznał Massarde. - Mój agent w ONZ twierdzi, że szukają tu źródeł chemicznego skażenia, które rzekomo wypływa z Nigru i powoduje gwałtowny rozrost czerwonych glonów u ujścia.

- To tylko zasłona dymna. Ukrywają właściwy cel swojej operacji.



- ... którym może być albo spenetrowanie Fort Foureau, albo problem przestrzegania praw człowieka w Tebezzy - dokończył Massarde.

Kazim milczał, pełen wątpliwości.

- Przypuśćmy, że Gunn, w chwili gdy go ewakuowano - Massarde ciągnął dalej - miał przy sobie ważne informacje. Czy można sobie wyobrazić jakiś inny powód tak skomplikowanej operacji ratowniczej? A w tym samym czasie Pitt i Giordino zdążali już na północ, w stronę naszych zakładów.

- Dowiemy się wszystkiego, jak ich złapiemy - rzekł Kazim.

W jego głosie znowu zabrzmiał gniew.

- Wszystkie jednostki wojskowe i policyjne mają rozkaz zamknąć drogi wyjazdowe z kraju. Cały obszar pustynny będzie obserwowany z samolotu. Jestem przygotowany na każdy wariant.

- Słusznie - rzekł Massarde.

- Nie przetrwają dwóch dni w tym upale.

- Wierzę w twoje metody, Zateb. Liczę na to, że jutro o tej porze będziesz już miał ich w garści.

- Nawet wcześniej.

- Tym lepiej - uśmiechnął się Massarde. Ale w głębi serca podejrzewał, że z Pittem i Giordino nie pójdzie tak łatwo.

Kapitan Batutta zaszalutował służbiście przed pułkownikiem Mansą.

- Naukowcy z ONZ są już w Tebezzy - oznajmił. Lekki uśmiech rozjaśnił twarz pułkownika.

- Myślę, że O'Bannion i Melika cieszą się z nowych rąk do pracy.

- Melika to stara, okrutna czarownica - skrzywił się Batutta. - Nie zazdroszczę mężczyźnie, który znajdzie się pod jej opieką.

- Ani kobiecie - dodał Mansa. - Melice nie sprawia to różnicy. Ludzie doktora Hoppera umrą tam najdalej za cztery miesiące.

- Generał Kazim nie będzie z tego powodu rozpaczał.

Do pokoju wszedł porucznik Djemaa, pilot czarterowego samolotu, który wiozł zespół Hoppera. Mansa spojrzał na niego pytająco.

- Wszystko poszło dobrze?

- Tak, panie pułkowniku. Wróciliśmy do Asselar, załadowaliśmy wszystkie ciała do samolotu i znowu poleciliśmy na północ. Potem ja i drugi pilot wyskoczyliśmy na spadochronach nad pustynią Tanezrouft, dobre sto kilometrów od najbliższego szlaku

wielbłądów. Czekał tam na nas samochód.

- Samolot rozbił się i spłonął?

- Tak, panie pułkowniku.

- Czy sprawdziliście wrak?

- Tak. Podjechaliśmy tam samochodem. Przed skokiem ustawiłem stery tak, że maszyna przeszła w pionowe nurkowanie. Uderzyła w ziemię z szybkością naddźwiękową. Powstał krater głęboki na dziesięć metrów, a z samolotu, z wyjątkiem silników, nie ocalały kawałki większe niż pudełko pasty do butów.

Mansa był zadowolony.

- Generał Kazim się ucieszy. Możecie wszyscy spodziewać się awansu.

Spojrzał jeszcze raz na pilota.

- A pan, poruczniku Djemaa, będzie dowodził poszukiwaniami zaginionego samolotu.

- Poszukiwaniami? - spytał zdziwiony Djemaa. - Przecież ja wiem, gdzie on jest.

- A czy nie domyśla się pan, w jakim celu wsadziliście do niego te martwe ciała?

- Kapitan Batutta nie informował mnie o szczegółach całego planu.

- Stworzymy ochotniczą ekipę poszukującą szczątków samolotu - wyjaśnił Mansa - a następnie przekazemy tę sprawę międzynarodowej komisji, badającej przyczyny wypadków lotniczych. Z pewnością będą mieli duże kłopoty z identyfikacją zwłok i ustaleniem przyczyn wypadku. Pod warunkiem, że pan, poruczniku, dobrze wykonał swoją robotę.

- Usunąłem czarną skrzynkę - zapewnił go Djemaa.

- Bardzo słusznie. Możemy teraz ogłosić całemu światu zniknięcie samolotu naukowców ONZ i wyrazić w międzynarodowych środkach przekazu nasz głęboki żal z powodu tej straty.

Byli na wpół ugotowani popołudniowym upałem. Pitt siedział w cieniu samochodu na kamienistym dnie wąwozu. Bez słonecznych okularów czuł się zupełnie oślepiiony przeraźliwym światłem pustyni. Oprócz rzeczy, które udało im się znaleźć w garażu w Bourem, nie mieli nic, co pozwoliłoby im przeżyć. Od słońca chroniły ich tylko ubrania, które mieli na sobie. Giordino, korzystając ze znalezionych w bagażniku narzędzi, odkręcił tłumik i część rury wydechowej, żeby zwiększyć prześwit pod samochodem. Ze względu na piaszczystą nawierzchnię zwiększyli również ciśnienie w oponach. Elegancki Voisin w tej niegościnnej okolicy przypominał leciwą, choć ciągle piękną królową, spacerującą przez Bronx w Nowym Jorku, nieco zdziwioną brzydotą dzielnicy.

Podróżowali głównie nocą, w świetle gwiazd, nie przekraczając dziesięciu kilometrów na godzinę. Zatrzymywali się często i podnosili maskę, by ochłodzić silnik. Nie było mowy o używaniu reflektorów. Pilot samolotu mógł je dostrzec nawet z dużej odległości. Często musieli również wysiadać z samochodu dla zbadania gruntu. Raz zdarzyło im się wjechać do rowu, innym razem musieli łopatą wykopywać się z dużej piaszczystej wydmy. Podróżowali bez kompasu i mapy, zdani tylko na orientację według gwiazd. Jechali wciąż na północ w głąb Sahary, trzymając się wyschniętego koryta rzeki. W ciągu dnia ukrywali się w rowach i wąwozach, przysypując samochód cienką warstwą piasku; dzięki temu wyglądał z lotu ptaka jak niewielka piaszczysta wydma o nietypowych kształtach.

- Co powiedziałbyś o szklance wody ze źródeł Sahary lub o malijskiej oranżadzie? - odezwał się Giordino. W jednej ręce trzymał butelkę miejscowej gazowanej oranżady, w drugiej zaś kubek ciepłego napoju o smaku siarki, który pochodził z kanistra z wodą wziętego z garażu w Bourem.

- Straszny smak - rzekł Pitt biorąc do ręki kubek i zatykając nos - ale musimy wypić mniej więcej trzy czwarte litra wody dziennie.

- Nie sądzisz, że powinniśmy ją racjonować?

- Na razie mamy jej pełno. Odwodnienie zaczyna się, kiedy pije się zbyt mało. Teraz pijmy, kiedy tylko mamy na to ochotę; potem będziemy się martwić.

- A co myślisz o porcji sardynek?

- To brzmi nieźle.

- Brakuje tylko sałatki nicejskiej.

- Myślisz chyba o sałatce z anchois?

- Nigdy nie umiałem ich od siebie odróżnić.

Załatwili się szybko z puszką sardynek. Giordino oblizywał palce.

- To zupełnie idiotyczne. Jeść ryby w samym środku pustyni.

- Dobrze i to - Pitt uśmiechnął się.

Nagle zamilkł, nad słuchując.

- Słyszysz coś? - spytał Giordino.

- Samolot - Pitt przyłożył rękę do ucha, żeby lepiej słyszeć - Nisko lecący odrzutowiec.

Wdrapał się na skarpę wąwozu w miejscu, gdzie rósł krzak tamaryszku i z ukrycia obserwował niebo. Odgłos silników odrzutowych dolatywał już bardzo wyraźnie, choć samolotu ciągle jeszcze nie było widać. Pitt, oślepiiony przeraźliwym światłem, spuścił wzrok i dopiero wówczas dostrzegł samolot. Był zupełnie nisko, w odległości około sześciu kilometrów na południe. Stary amerykański Phantom, sądząc z oznaczeń, należał do malijskich sił zbrojnych. Maszyna zeszła poniżej stu metrów. Pomalowana na ochronny brunatny kolor, na tle żółto-szarego pejzażu przypominała ogromnego jastrzębia, który szóstym zmysłem wyczuł znajdujące się w pobliżu ofiary.

- Widzisz? - spytał Giordino.

- Phantom F-4 - odparł Pitt.

- Dokąd leci?

- Chyba przyleciał z południa.

- Myślisz, że nas szukają?

Pitt jeszcze raz spojrział na palmowe gałęzie przyczepione do tylnych zderzaków Voisina. Doskonale pełniły swą funkcję. Na gładkiej powierzchni piasku nie było widać śladów opon wjeżdżającego do wąwozu samochodu.

- Załoga nisko lecącego helikoptera mogłaby dostrzec naszą obecność, ale pilot myśliwca nie ma możliwości patrzenia prosto w dół, chyba że specjalnie pochyli maszynę. A ten leci za szybko i za blisko ziemi, by wykonać taką ewolucję. Odrzutowiec był teraz tuż nad wąwozem. Giordino wczołgał się pod samochód, a Pitt nakrył głowę i ramiona gałęziami tamaryszku. Phantom zrobił jeszcze jedno okrążenie; tym razem przeleciał tuż nad ich kryjówką. Pitt wstrzymał oddech. Poczul silny podmuch powietrza wyrzucający chmurę piasku i gorący oddech spalin odrzutowca. Maszyna była tak blisko, że można było niemal rzucić w nią odłamkiem skały. I nagle wszystko ucichło. Pitt wyjrzał ostrożnie z wąwozu. Samolot malował wolno na horyzoncie. Widocznie pilot nie znalazł tu nic interesującego. Trwali jednak bez ruchu jeszcze przez kilka minut, na wypadek, gdyby pilot, zauważywszy coś podejrzanego, chciał tu wrócić.

Odgłos samolotu ucichł wreszcie i pustynia znowu stała się spokojna i milcząca. Pitt ześliznął się z powrotem do rozpadliny, akurat w momencie, kiedy Giordino wygrzebywał się

spod samochodu.

- O mały włos - rzucił Giordino, strzepując z ręki stado mrówek.

Pitt w zamyśleniu przesypywał piasek przez palce.

- Kazim domyślił się jednak, że jedziemy na północ. Na szczęście nie umie nas znaleźć.

- Nie mieści mu się w głowie, żeby taki jaskrawy samochód można było tak dokładnie zamaskować na pustyni.

- Na pewno nie jest tym wszystkim zachwycony.

- Zachwycony? Założę się, że wpadł w szal.

Pitt przyglądał się zachodzącemu słońcu.

- Za godzinę zrobi się ciemno i możemy ruszać w drogę.

- Jak wygląda dalej teren?

- Pojedziemy korytem rzeki. Czyli tak samo jak przedtem: płasko, piasek ze żwirem.

Trzeba tylko uważać na ostre kamienie.

- Jak daleko odjechaliśmy od Bourem?

- Według licznika sto szesnaście kilometrów, ale w prostej linii mniej.

- I ciągle nie ma śladu przemysłu ani wysypiska.

- Nie, nawet kosza na śmieci.

- Nie wiem, czy jest sens dalej szukać - rzekł Giordino. - Żadne chemiczne świństwo nie mogło przedostać się suchym korytem rzeki z odległości stu kilometrów aż do Nigru.

- Rzeczywiście, wygląda to dość beznadziejnie.

- Więc jedźmy do granicy algierskiej.

- Nie starczy nam paliwa - Pitt potrząsnął głową. Ostatnie dwieście kilometrów do transsaharyjskiego szlaku motorowego musielibyśmy przejść pieszo. Umrzemy, zanim przejdziemy połowę tej trasy.

- Więc-co robimy?

- Jedziemy dalej na północ.

- Jak daleko?

- Aż znajdziemy to, czego szukamy.

- A więc jedno jest pewne - nasze kości ozdobią pejzaż Sahary.

- Coś jednak możemy uzyskać: wyeliminować przejechaną dotychczas część pustyni jako źródło skażenia - rzekł Pitt spokojnie.

- Słuchaj, Dirk, wiele rzeczy udało nam się zrobić razem w ciągu ostatnich kilku lat.

Głupio byłoby skończyć w takim zapomnianym od Boga i ludzi miejscu.

- Taki stary lis nie powinien się łatwo poddawać - Pitt uśmiechnął się słabo.

- Już widzę tytuły w gazetach - Giordino był ciągle pesymistycznie nastrojony.

"Dwaj dyrektorzy Agencji Badań Morskich i Podwodnych zaginęli w samym środku Sahary. Kto mógłby się spodziewać..." - umilkł na chwilę. - Słyszałeś?

Pitt znieruchomiał.

- Tak...

- Ktoś śpiewa po angielsku. Boże, czy to już przedśmiertne omamy?

Wyraźnie słyszeli tony starej piosenki "My darling Clementine". Odróżniali nawet dochodzące już z bliska słowa. Porzuciłaś mnie na zawsze, obrzydliwa Clementine...

- Facet idzie w naszą stronę - szepnął Giordino, chwytając duży klucz samochodowy.

Pitt podniósł z ziemi kilka kamieni. Schowali się za samochód, gotowi do obrony. W tym kanionie, w tej kopalni, pośród różnych starych łajn, Żył raz sobie zacny górnik wraz z córeczką Clementine. W głębi wąwozu ukazał się człowiek prowadzący jakieś zwierzę. Śpiew nagle się urwał. Mężczyzna stanął jak wryty na widok kształtu przysypanego piaskiem. Przyglądał się zdumiony dziwnemu zjawisku. Podszedł bliżej, ciągnąc za sobą zwierzę. Stanął i zaczął strzepywać piasek z dachu samochodu.

Wyszli ze swego ukrycia i stanęli twarzą w twarz z nieznanym. Wyglądał jak przybysz z innej planety. Nie był z pewnością Tuaregiem, a zwierzę nie było wielbłądem. Zupełnie nie pasowali do Sahary. Byli z innej epoki i z innej szerokości geograficznej.

- Może śmierć przestała już chodzić z kosą - szepnął do siebie Giordino.

Mężczyzna ubrany był jak traper ze starych westernów; wielki kapelusz Stetsona, stare dżinsy na szelkach oraz zniszczone długie, skórzane buty. Wokół szyi miał zawiązaną czerwoną chustkę, która jednocześnie osłaniała mu dół twarzy. Wszystko to sprawiało, że wyglądał jak bandyta z zamierzchłych czasów. Podobne do muła zwierzę obciążone było pakami prawie tak wielkimi, jak ono samo. Znajdowały w nich niezbędne do życia na pustyni rzeczy: duże kanistry z wodą, koce, puszki konserw, a także kilof, łopata i stary winchester.

- Już wiem - rzekł przerażony Giordino. - Jesteśmy na tamtym świecie. To postać z Disneylandu.

Nieznanomy opuścił chustkę odkrywając siwe wąsy i brodę. Miał zielone oczy, prawie tak jasne jak Pitt. Spod kapelusza wystawały szpakowate, z brązowym odcieniem włosy. Tego samego wzrostu co Pitt, był nieco od niego cięższy. Uśmiechał się przyjaźnie.

- Dobrze, chłopaki, że przynajmniej znacie mój język - rzekł serdecznie. - Bo stęskniłem się już za towarzystwem.

Popatrzyli niepewnie po sobie, potem znowu na starego pustynnego włóczęgę; obaj zaczęli podejrzewać, że umysł im się mąci.

- Skąd pan się tu wziął? - przerwał milczenie Giordino.

- Mógłbym was zapytać o to samo - odparł nieznajomy, wpatrując się w przykrytego piaskiem Voisina. - To pewnie was szukają te samoloty?

- A po co chce pan to wiedzieć? - spytał Pitt.

- No nie, chłopaki, jeśli mamy się bawić w dwadzieścia pytań, to lepiej sobie pójdę.

Intruz nie wyglądał na lojalnego obywatela Republiki Mali. Mówił żargonem chłopca ze środkowych Stanów i chyba to właśnie zaskarbiło mu nagłą, irracjonalną sympatię Pitta.

- Nazywam się Dirk Pitt, a to jest Al Giordino. Tak, ci Malijczycy rzeczywiście nas ścigają.

- Nic szczególnego - stary wzruszył ramionami. - Oni tu w ogóle nie bardzo lubią cudzoziemców. - Jeszcze raz spojrzął na Voisina. - Jak, u diabła, udało wam się przejechać taki kawał po bezdrożu?

- Rzeczywiście, nie było łatwo, panie...

Nieznajomy zbliżył się i wyciągnął na powitanie żylastą, spracowaną dłoń.

- Wszyscy nazywają mnie "Kid".

Pitt mimowolnie uśmiechnął się.

- "Dzieciak"? Jak to możliwe? W pańskim wieku?

- W dawnych czasach, w Jerome w Arizonie, jak wracałem z jakiejś wyprawy, waliłem prosto do mojej ulubionej knajpy. A kumple od razu wołali: "patrzcie, Kid znowu jest w mieście". I jakoś tak już zostało.

- Muł nie jest chyba najlepszy w tych okolicach - Giordino zainteresował się towarzyszem podróży starego. - Nie byłoby praktyczniej wędrować z wielbłądem?

- Po pierwsze - rzekł Kid wyniośle, jakby lekko urażony - Pan Periwinkle nie jest mułem, ale osłem, tyle że dużym. Po drugie, to prawda, że wielbłądy dłużej wytrzymują bez wody, ale osły też są stworzone do życia na pustyni. Znalazłem Pana Periwinkle osiem lat temu, jak brykał sobie wolno w Nevadzie. Okiełznałem, oswoiłem, a gdy przyszło jechać na Saharę - załadowałem na statek, no i jesteśmy tu razem. Nie jest tak kapryśny jak wielbłądy, zjada mniej, a potrafi udźwignąć tyle samo ładunku.

- Fakt, wspaniałe zwierzę - rzekł pojednawczo Giordino.

- Wyglądacie, jakbyście się szykowali do drogi. Szkoda; miałem nadzieję, że pogadamy trochę. Już kawał czasu nikogo nie spotkałem, z wyjątkiem Araba, który prowadził wielbłądy na targ do Timbaktu. A i to było trzy tygodnie temu. Teraz chyba tysiąc lat będę tu łąził, zanim

spotkam następnych Amerykanów.

- Może rzeczywiście posiedzmy tu jeszcze trochę - zaproponował Giordino. - Pan na pewno mógłby nam powiedzieć coś ciekawego o tej okolicy.

Pitt zgodził się bez wahania. Otworzył szeroko tylne drzwi samochodu, zapraszając starego do środka. Kid przyglądał się skórzanym siedzeniom, jakby były pokryte szczerem złotem.

- Boże, zapomniałem już, jak wygląda miękka kanapa. Z przyjemnością skorzystam - powiedział, dał nurka do wnętrza i rozparł się wygodnie.

- Mamy tylko puszkę sardynek, ale chętnie się z panem podzielimy - zaproponował Giordino z podejrzaną hojnością.

- Nie, nie ma mowy! Mam całą kupę konserw. Będziecie moimi gośćmi. Co byście powiedzieli na gulasz wołowy?

Pittowi aż oczy wyszły na wierzch z radości. Miał stanowczo dość sardynek. Słońce zniknęło już za horyzontem, ale niebo wciąż było jasne. Powietrze nad pustynią szybko stygło; znowu można było nim oddychać. Stary wędrowiec spętał Pana Periwinkle'a, który tymczasem znalazł na pozornie martwym zboczu wąwozu kępkę cherlawej trawy i żuł ją ze smakiem. Kid otworzył puszkę z gulaszem, dodał trochę wody i podgrzał na kuchence olejowej, po czym rozłożył apetyczną potrawę na blaszane talerze, które też wyciągnął ze swoich zapasów. Jedli gulasz, przegryzając sucharami. Kończąc swoją porcję Pitt gotów był przysiąc, że jeszcze nigdy w życiu nic mu aż tak nie smakowało. Niewielka w gruncie rzeczy ilość pożywienia znakomicie poprawiła jego samopoczucie. Kiedy skończyli, Kid wyciągnął z tobołów w połowie wypełnioną żółtym płynem butelkę Old Overholt. Puścił ją w kółko.

- No, chłopaki - rzekł - myślę, że teraz moglibyście już powiedzieć staremu, co robicie w tak paskudnej części świata, i to z gablotą, która jest chyba równie stara jak ja.

- Szukamy źródła skażenia, zatruwającego Niger i Atlantyk - odparł Pitt szczerze.

- Skażenie? Ciekawe, skąd to się może tutaj brać?

- Z jakichś zakładów chemicznych albo z wysypiska śmieci.

- Nie widziałem niczego takiego w tych stronach - stwierdził Kid.

- Nie ma jakiegoś dużego zakładu w tej części Sahary? - próbował upewnić się Giordino.

- Nic mi nie przychodzi do głowy; chyba tylko Fort Foureau.

- Ten francuski zakład utylizacji odpadów?

- Tak, to rzeczywiście wielki zakład. Przechodziliśmy tamtędy z Panem Periwinkle parę miesięcy temu. Przegonili nas, nie wiadomo dlaczego. Bombę atomową tam budują, czy co?

Pitt wypił przypadający nań łyk żytniówki i podał butelkę Giordinowi.



- Fort Foureau jest kilkaset kilometrów od Nigru - powiedział. - Skażenia nie mogłyby się przemieszczać aż tak daleko.

Kid zastanawiał się przez chwilę.

- Mogłyby - rzekł wreszcie - jeśli zakład jest położony nad Oued Zarith.

- Oued Zarith? Co to takiego?

- Legendarna rzeka, która płynęła tu jeszcze sto trzydzieści lat temu. Potem wyschła, albo raczej zapadła się w piaski. Nomadzi, w ich liczbie również ja, są przekonani, że Oued Zarith nadal płynie pod ziemią i zasila wody Nigru.

- Może to jakiś akwifer?

- Co takiego? - zdziwił się tym razem Kid.

- Warstwa wodonośna - wyjaśnił Pitt. - Zwykle są to luźne żwiry albo wypłukany, dziurawy piaskowiec.

- Nie znam się na tym; wiem tylko, że w całym wyschniętym korycie, jak pokopiesz głębiej, to na pewno znajdziesz wodę.

- Nigdy nie słyszałem, żeby rzeka, która wyschła, płynęła potem tą samą drogą pod ziemią - rzekł Giordino.

- A ja słyszałem - odparł Kid. - Na przykład rzeka Mojave w Kalifornii płynie na dużym odcinku pod pustynią, pod ziemią wpada do jeziora i dopiero dalej biegnie po powierzchni. Legenda głosi, że pewien górnik, który dokopał się do groty kilkaset stóp pod ziemią, znalazł tam regularny strumień, a w nim tony złotego piasku.

- Co o tym sądzisz? - spytał Pitt przyjaciela.

- Trudno powiedzieć, ale rzeczywiście wygląda na to, że w grę wchodzi tylko Fort Foureau. To strasznie daleko od Nigru, ale podziemny strumień mógłby przemieszczać skażenie nawet na większą odległość.

Kid machnął ręką w dół wąwozu.

- A wiecie wy, że koryto Oued Zarith jest tu blisko?

- Domyślam się - powiedział Pitt. - Jechaliśmy nim prawie całą drogę od Nigru. Skręciliśmy do tego wąwozu tylko po to, żeby się schować przed słońcem i samolotami.

- Na razie chyba udało wam się ich wykiwać.

- A pan? - zmienił temat Giordino, przekazując staremu butelkę. - Pan też szuka złota pod ziemią?

Kid studiował przez chwilę etykietkę, jakby zastanawiał się, czy ujawnić powód swojej wędrówki po Saharze. W końcu jednak podjął decyzję.

- Chyba mogę wam to powiedzieć... Tak, szukam złota, ale nie pod ziemią. Interesuje

mnie wrak pewnego starego okrętu.

- Wrak - Pitt spojrział na niego podejrzliwie. - Tu, w środku Sahary?

- Pancernik Konfederacji, mówiąc ściśle.

Dwaj pracownicy NUMA popatrzyli na siebie porozumiewawczo: obaj zastanawiali się, co z wyposażenia samochodu mogłoby posłużyć jako kaftan bezpieczeństwa. W oczach starego jednak - o ile mogli stwierdzić w słabym świetle zmierzchu - nie było objawów obłądu.

- Może to głupie pytanie - odezwał się Pitt - ale czy mógłby nam pan wytłumaczyć, w jaki sposób ten okręt Konfederacji znalazł się tutaj?

Kid pociągnął solidnie z flaszki i wytarł usta bez pośpiechu. Potem równie flegmatycznie rozłożył na piasku koc i wyciągnął się na nim, złożony rękę pod głowę.

- Było to w kwietniu 1865 roku, na tydzień przed kapitulacją armii Południa. W Richmond w Virginii konfederaci załadowali na okręt o nazwie Texas skrzynie z ważnymi dokumentami państwowymi. Tak przynajmniej powiedziano kapitanowi. W rzeczywistości w skrzyniach było złoto.

- Nie sądzi pan, że to może być bajka, jak wiele innych opowieści o zaginionych skarbach? - spytał sceptycznie Pitt.

- Tę historię opowiedział na łożu śmierci prezydent Jefferson Davis. Twierdził, że tamtej nocy w roku 1865 załadowano na Texas całe złoto ze skarbcza Konfederacji. Przywódcy Skonfederowanych Stanów, mieli nadzieję, że okręt przebije się przez blokadę w ujściu James River i przeczeka w jakimś obcym porcie aż do chwili, kiedy emigracyjny rząd podejmie na nowo walkę z Unią.

- Ale taki rząd w ogóle nie powstał; Jankesi pojмали i uwięzili Davisa - zauważył Pitt. - A co z Texasem?

- Stoczył piekielną bitwę z okrętami Unii i artylerią fortów nad Hampton Roads, ale wydostał się na zatokę Chesapeake i zniknął we mgle na Atlantyku. Nigdy więcej go nie widziano.

- I sądzi pan, że dopłynął do Afryki?

- Tak - odparł Kid stanowczo. - Natrafiłem na relacje Afrykanów i Francuzów z tamtego okresu, mówiące o jakimś monstrualnym okręcie bez żagli, który płynął w górę Nigru. Opis okrętu i data jego pojawienia się na rzece wskazują, że był to Texas.

- Jak okręt o tych rozmiarach i masie - sam pan mówi, że to pancernik! - mógł dopłynąć aż na Saharę? - spytał Giordino.

- To było jeszcze przed wielką suszą. W tej części Sahary była regularna pora deszczowa, a Niger zasilają liczne dopływy z północy. Jednym z nich był Oued Zarit. Źródło rzeki

znajdowało się w górach Ahaggar, dobre sześćset mil na północny wschód stąd. Francuscy podróżnicy i oficerowie z ekspedycji wojskowych pisali, że mogą po niej pływać nawet duże statki. Moim zdaniem, Texas popłynął w górę Oued Zarit, wszedł na mieliznę i już tam pozostał, bo właśnie zaczął się okres wielkiej suszy, który trwa do dziś.

- Ale nawet po najgłębszej rzece nie można pływać pancernikiem! - upierał się Giordino.

- Zależy jakim. Texas był zbudowany specjalnie do operacji wojennych na James River. Miał płaskie dno i niewielkie zanurzenie. Jeśli coś tu jest niezwykle, to to, że zdołał przepłynąć ocean i nie zatonął, jak Monitor.

- No właśnie - powiedział Pitt. - Dlaczego nie popłynęli wzdłuż brzegu, gdzieś do Ameryki Środkowej? Było tam wtedy jeszcze wiele bezludnych brzegów, przy których mogli się zatrzymać. Dlaczego mieliby ryzykować utratę złota i życia najpierw w burzliwym oceanie, a potem na obcym, jeszcze nawet dobrze nie opisanym kontynencie?

Kid wyjął z kieszeni na piersi hermetyczną metalową tulejkę a z niej cygaro; zapalił je drewnianą zapalką.

- Może zależało im na takim miejscu, w którym na pewno nie szukałaby ich flota Unii.

- Mogli je znaleźć bliżej. - Giordino przyłączył się do wątpliwości Pitta. - Dlaczego wybrali takie skrajne, desperackie rozwiązanie? Chyba nie mieli zamiaru tworzyć emigracyjnego rządu pośrodku pustyni?

- Mogli mieć inny powód do paniki - odparł Kid z lekkim wahaniem. - Podobno gdy okręt opuszczał Richmond, na pokładzie był Lincoln.

- Chyba nie Abraham Lincoln? - parsknął Giordino.

Stary wędrowiec skinął głową w milczeniu.

Pitt omal nie zakrztusił się kolejnym przypadającym nań łykiem żytniówki.

- A to kto znowu wymyślił?

- Kapitan kawalerii konfederackiej, niejaki Neville Brown. W 1908 roku powiedział to przed śmiercią lekarzowi w Charlestown w Południowej Karolinie. Twierdził, że dowodzony przez niego szwadron porwał Lincolna w kwietniu 1865 roku i przekazał go w Richmond kapitanowi Texasa.

- Przedśmiertne majaczenia - mruknął lekceważąco Giordino. - Gdyby Lincoln przepłynął wtedy Atlantyk, musiałby chyba wracać Concorde'em, żeby zdążyć na spektakl w Teatrze Forda, podczas którego zginął.

- Przyznam, że i ja nie bardzo to rozumiem - rzekł Kid.

- Fascynująca historia - powiedział Pitt - ale trudno ją brać poważnie.

Stary ożywił się nagle.

- Nie będę się upierał co do Lincolna, ale mogę się założyć o Pana Periwinkle'a i całą resztę mojego dobytku, że Texas, złoto kości załogi leżą gdzieś tutaj, w tych piaskach. Już pięć lat włóczę się po Saharze i Bóg mi świadkiem, znajdę ten okręt, chyba że wcześniej umrę.

Pitt spojrział na starego poszukiwacza z sympatią i szacunkiem. Nieczęsto zdarzało mu się spotykać ludzi dążących do celu z taką determinacją i konsekwencją. Niezlomna wiara w realność tego celu, w możliwość jego osiągnięcia, przypominała Pittowi postać starego górnika z filmu "Skarb Sierra Mądre".

- Szansę ma pan niewielkie - powiedział. - Przecież tu są ruchome piaski. Po stu trzydziestu latach okręt może być kompletnie zasypany.

- Mam dobry wykrywacz metali - odparł stary i zamilkł, najwyraźniej pogrążony w myślach.

Milczeli również obaj pracownicy NUMA. W końcu jednak Giordino przerwał ciszę.

- Chyba powinniśmy już ruszyć, jeśli chcemy zrobić solidny kawałek drogi przed świtem.

Dwadzieścia minut później silnik oczyszczonego z piasku Voisina zaterkotał równo. Pożegnali się z Kidem i Panem Periwinkle. Stary wędrowiec nalegał, aby wzięli trochę konserw z jego zapasów. Naszkicował im również prostą mapę starego koryta rzeki, zaznaczając charakterystyczne punkty krajobrazu i studnie, jakie spotkają po drodze do Fort Foureau.

- Daleko to? - spytał Giordino.

- Około stu dziesięciu mil. Mam nadzieję, chłopaki, że znajdziecie to, czego szukacie.

- Życzymy panu tego samego - powiedział z uśmiechem Pitt, ściskając dłoń starego.

Otworzył drzwiczki samochodu i usiadł za kierownicą; niemal żałował, że nie może dłużej porozmawiać z tym niezwykłym człowiekiem.

- Dziękujemy za wspianą ucztę i za wałówkę - rzekł Giordino.

- Cieszę się, że mogłem wam w czymś pomóc.

- Przepraszam, że o to pytam, ale cały czas mam wrażenie, że skądś pana znam.

- Nie ma za co przepraszać. Ale nie pamiętam, chłopaki, że bym was kiedy spotkał.

- A nie obrazi się pan, jeśli spytam o pańskie prawdziwe nazwisko?

- Nie, nie obrażam się tak łatwo. Chociaż to trochę dziwne nazwisko - dlatego prawie nigdy go nie używam.

- Trochę dziwne? - Giordino cierpliwie czekał na odpowiedź.

- Nazywam się Give Cussler - powiedział wreszcie Kid. Giordino uśmiechnął się przyjaźnie.

- Może i ma pan rację; trochę dziwne...

Odwrócił się na pięcie, obszedł samochód dokoła i zajął miejsce obok Pitta. Kiedy Voisin

ruszył dnem wąwozu w stronę koryta wyschniętej rzeki, Giordino obejrzał się jeszcze, by pomachać Kidowi ręką na pożegnanie. Ale stary człowiek i jego wierny osioł zniknęli już w ciemnościach.

**CZEŚĆ III**  
**TAJEMNICE PUSTYNI**

Concorde w barwach Air France dotknął kołami betonu lotniska Dullesa i pokołowal w stronę nie oznaczonego hangaru rządowego w pobliżu dworca towarowego. Nad lotniskiem wisiały ciężkie chmury, ale jak dotąd nie spadła nawet kropla deszczu. Zaledwie do samolotu podjechał wózek ze schodkami i otworzyły się drzwi, ukazał się w nich Rudi Gunn. Ściskając mocno paski plecaka, jakby była tam aparatura podtrzymująca jego życie, pospieszył do czekającego przy schodkach czarnego forda.

Kierowca miał na sobie mundur policji miejskiej. Z migającymi światłami i wyjąca syreną pomknęli ulicami stolicy do budynku NUMA. Na szczęście przechodnie nie zwracali szczególnej uwagi na sygnały. Na tylnym siedzeniu pędzącego samochodu policyjnego Gunn czuł się bowiem trochę jak świeżo schwytany przestępca. Nie przeszkodziło mu to jednak w czysto estetycznych doznaniach. Zauważył na przykład niezwykle, ołowianozielony odcień wód Potomacu, gdy przecinali rzekę mostem Rochambeau. Samochód nie zatrzymał się przed głównym wejściem do Agencji, lecz z piskiem opon okrążył budynek i po pochylni wśliznął się do podziemnego garażu. Stał przed drzwiami windy, gdzie czekali dwaj uzbrojeni strażnicy. Pod ich eskortą Gunn wjechał windą na czwarte piętro i długim korytarzem dotarł do sali konferencyjnej NUMA. Sam już, bez opiekunów, wszedł do dużej sali, bogato wyposażonej w nowoczesny sprzęt do prezentacji wizualnej. Przy długim mahoniowym stole siedziało kilka osób - mężczyzn i kobiet; patrzyli na doktora Chapmana, który wykladał coś, stojąc przed wielkim ekranem. Całą powierzchnię ekranu zajmowała mapa środkowego Atlantyku przy brzegach Afryki. Na widok przybysza Chapman zamilkł. W sali konferencyjnej zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

Admirał Sandecker wstał, odsunął krzesło i podszedł do Gunna; nieoczekiwanie uściskał go jak brata, któremu udało się przeżyć ciężką operację.

- Dzięki Bogu, żeś się stamtąd wyrwał! - Głos admirała zdradzał niezwykłą emocję.
- Dobrą miałeś podróż z Paryża?
- Czulem się trochę jak banita: sam w pustym Concordzie.
- Nie było pod ręką żadnej maszyny wojskowej. Nie mieliśmy innego wyjścia, jak wycarterować samolot pasażerski.

- No i dobrze, ale ciekawe, co powiedzieliby na to podatnicy.

- Na pewno by nie protestowali, gdyby wiedzieli, że tu chodzi o ich życie.

Sandecker zaczął przedstawiać uczestników narady.

- Znasz chyba wszystkich, z wyjątkiem trzech osób... Doktor Chapman i Hiram Yaeger

podeszli bliżej, by się przywitać; uścisnęli dłoń Gunna z widoczną radością. Zbliżyli się też inni, których jeszcze nie znał: doktor Muriel Hoag, kierująca w Agencji pracownią biologii morskiej, i doktor Evan Holland, ekspert w dziedzinie ochrony środowiska.

Muriel Hoag była bardzo wysoka i chuda, jak specjalnie głodzona modelka. Kruczoczarne włosy miała mocno ściągnięte do tyłu i spięte w kok; piwne oczy patrzyły surowo przez okrągłe szkła okularów. Nie stosowała żadnego makijażu. I słusznie - pomyślał Gunn - bo nawet największy mistrz charakteryzacji z Hollywood nie poradziłby sobie z tak brzydką twarzą. Evan Holland, specjalizujący się w chemii skażeń środowiskowych, wyglądał z bliska jak basset zaskoczony nagłym widokiem żaby na dnie swojej miski. Jego uszy były co najmniej dwa razy za duże w stosunku do głowy, długi nos był śmiesznie zaokrąglony na końcu. Ale Holland tylko z pozoru mógł uchodzić za poczciwego fajtlapę. W rzeczywistości był jednym z najzdolniejszych, najbystrzejszych badaczy w swojej branży. Dwóch innych - Chipa Webstera, analityka zdjęć satelitarnych, i Keitha Hodge, naczelnego oceanografa Agencji - Gunn już znał.

- Ktoś zadał sobie dużo trudu, żeby wyciągnąć mnie z Mali - powiedział, zwracając się do Sandeckera.

- To Hala Kamil osobiście zezwoliła na użycie grupy taktycznej Organizacji Narodów Zjednoczonych.

- Oficer dowodzący operacją, pułkownik Levant, nie wyglądał na zachwyconego.

- Tak, musiałem użyć trochę łagodnej perswazji, żeby przekonać Levanta i jego szefa, generała Boćka. Ale kiedy zrozumieli, jak ważne są twoje materiały, zgodzili się udzielić wszelkiej pomocy.

- To była cholernie skomplikowana operacja - stwierdził z podziwem Gunn. - Niesamowite, że wymyślili to wszystko i wykonali w ciągu paru godzin.

Jeśli liczył, że pozna dalsze szczegóły, rozczarował się. W każdym geście Sandeckera widoczna była niecierpliwość. Nie zaproponował Gunnowi nawet kawy, choć taca z kawą i ciasteczkami stała w zasięgu jego ręki. Chwycił go za ramię i niemal przemocą usadził w fotelu na końcu długiego konferencyjnego stołu.

- Do rzeczy - powiedział. - Wszyscy umieramy z ciekawości: podobno zidentyfikowałeś związek, powodujący ekspansję tych czerwonych glonów.

Gunn umieścił na stole plecak, otworzył go i zaczął wydobywać zawartość. Bardzo ostrożnie odwinął z miękkiej szmatki szklane fiolki z próbkami wody. Potem wyjął dyskiety z danymi i położył je na stole. Wreszcie zaczął mówić.

- Tu są próbki wody, a tutaj wyniki moich pomiarów i analiz komputerowych. Chyba miałem trochę szczęścia w badaniach. To, co stymuluje czerwony zakwit, to jakiś w najwyższym



stopniu nietypowy związek organometaliczny, połączenie syntetycznego aminokwasu z kobaltem. W tej wodzie są również jakieś ślady substancji promieniotwórczych, ale nie sądzę, by akurat to wpływało na rozwój glonów.

- Jakim cudem mogliście robić badania w tych warunkach?- spytał Chapman. - Podobno krajowcy nie ułatwiali wam życia.

- Tak, mieliśmy drobną utarczkę z flotą Beninu, ale szczęśliwie wszystkie moje instrumenty uratowały się.

- Utarczkę - powtórzył Sandecker z ironicznym uśmiechem.

- Zniszczyliście połowę floty Beninu i helikopter; byłem po tym przesłuchiwany przez CIA w sprawie "nielegalnych operacji, prowadzonych w Afryce".

- I co im pan powiedział?

- Nie martw się, nałgałem. Mów dalej.

- Ogień z kanonierki Beninu zniszczył jednak nasz system łączności. Dlatego nie mogłem przesłać wyników drogą radiową.

- Chciałbym jeszcze raz przebadac te próbki wody - oświadczył Chapman. - A Hiram Yaeger mógłby w tym czasie sprawdzić twoje analizy komputerowe.

- Zgoda - powiedział Yaeger i ostrożnie zebrał ze stołu dyskiety. - Wezmę się od razu do roboty; tutaj i tak nie na wiele się przydam.

Zaledwie komputerowiec opuścił salę, Gunn wbił wzrok w Chapmana.

- Człowieku, powtarzałem wszystkie testy po dwa - trzy razy. Niczego innego tu nie znajdziecie, jestem pewien.

Chapman wyczuł ton urazy.

- Ależ ani mi w głowie kwestionować twoje wyniki. Zrobiliście razem z Pittem i Giordino kawał cholernie ciężkiej roboty. To nie może pójść na marne. Dlatego chcę dostarczyć prezydentowi dane z podwójnym potwierdzeniem. Chodzi o to, by jak najszybciej użył swoich wpływów w Mali i zmusił ich przynajmniej do zablokowania źródła trucizny. To da nam czas na opracowanie metod jej neutralizacji i powstrzymanie rozwoju czerwonych glonów.

- Nie tak szybko - ostrzegł z powagą Gunn. - Znamy skład trucizny i zlokalizowaliśmy miejsce, w którym wpływa do rzeki, ale nie udało nam się znaleźć źródła.

- Tak, Pitt zdążył mi o tym powiedzieć - Sandecker zabębnił palcami po stole. - Przepraszam, że nie przekazałem wam tej złej nowiny, ale liczyłem, że zdjęcia satelitarne wyjaśnią zagadkę.

Muriel Hoag popatrzyła surowo w oczy Gunna.

- Nie bardzo rozumiem: śledziliście skutecznie tę substancję przez tysiąc kilometrów

rzeki, a potem zgubiliście ją na lądzie?

- To proste - Gunn wzruszył ramionami, jakby opędzał się od muchy. - W miarę jak posuwaliśmy się w górę rzeki, stężenie substancji stopniowo rosło. I nagle spadło do zera: nasze instrumenty wykazywały już tylko zwykłe, powszechnie występujące zanieczyszczenia. Zaczęliśmy się kręcić tam i z powrotem, obserwując brzegi rzeki. I nic: żadnych wysypisk, żadnych magazynów, żadnych fabryk. Ani nad brzegami, ani w głębi lądu. Żadnych domów ani innych budowli - nic, tylko naga pustynia.

- Może to jakieś stare, zasypane już śmietnisko? - zasugerował Holland.

- Nie zauważyliśmy śladów jakichkolwiek wykopów.

- A może to matka natura uwarzyła tę zupę? - spytał Chip Webster. Najwyraźniej rozbawiło to pannę Hoag.

- Jeśli potwierdzi się diagnoza pana Gunna, że w tej miksturze jest jakiś syntetyczny aminokwas, to o żadnej "matce naturze" nie może być mowy. Takie substancje powstają tylko w laboratoriach biochemicznych. Oczywiście do połączenia z kobaltem mogło już dojść przypadkowo. Nie byłby to pierwszy przypadek w dziejach odkryć chemicznych.

- Ale jak, na litość boską, taka mikstura mogła powstać w środku Sahary? - zastanawiał się Chip Webster.

- I to w takim stężeniu - dodał Holland - że po przepłynięciu tysiąca kilometrów może jeszcze działać w oceanie jako steryd dla wiciowców!

Sandecker przeniósł wzrok na Keitha Hodge'a.

- Jakie są najnowsze dane o ekspansji tego paskudztwa?

Oceanograf, sześćdziesięcioletni mężczyzna o dziwnie nieruchomych, piwnych oczach, które nadawały statyczny wyraz jego chudej, kościstej twarzy, mógł - gdyby tylko odpowiednio go ubrać - uchodzić za postać, która opuściła ramy osiemnastowiecznego portretu.

- W ciągu ostatnich czterech dni obszar czerwonego zakwitu zwiększył się o trzydzieści procent. Tempo wzrostu przekracza nasze najgorsze przewidywania.

- Może jednak uda się powstrzymać ekspansję glonów, jeśli znajdziemy źródło skażenia i zablokujemy je, a doktor Chapman znajdzie szybko substancję neutralizującą?

- Musi ją znaleźć bardzo szybko - odparł Hodge. - Przy tym tempie rozmnażania najdalej za miesiąc zostanie przekroczony próg samowystarczalności: kolejne generacje będą się żywić poprzednimi i nastąpi żywiołowy rozwój, nawet bez dopływu sterydów z Nigru.

- Poprzednio mówił pan o trzech miesiącach! - zaatakowała go Muriel Hoag.

- Kiedy w grę wchodzi coś tak niezwykłego - Hodge wzruszył ramionami - jedyną rzeczą pewną jest niepewność.

Sandecker obrócił się razem z fotelem i popatrzył na wyświetlony na ścianie obraz; było to powiększenie satelitarnej fotografii terytorium Mali.

- W którym miejscu ta substancja wpływa do rzeki? - spytał. Gunn wstał i podszedł do ściany z wyświetlonym zdjęciem. Wziął kredkę i zakreślił nią niewielki obszar nad Nigrem powyżej Bourem.

- To gdzieś tutaj, w korycie wyschniętej rzeki, która kiedyś wpadała do Nigru.

Chip Webster nacisnął guzik pilota, powiększając wskazany przez Gunna fragment fotografii.

- Nie widać tu żadnych budynków ani ludzi - stwierdził. - Nie ma też śladów jakichkolwiek wykopów, a musiałyby być, gdyby ktoś zakopywał tu trujące odpady.

- To rzeczywiście zagadka - mruknął Chapman. - Skąd, u diabła, bierze się to paskudztwo?

- Pitt i Giordino jeszcze tam zostali - przypomniał Gunn. - Może coś znajdą.

- Wiadomo o nich coś nowego? - spytał Hodge.

- Nic, odkąd Pitt dzwonił z jachtu Yves'a Massarde'a - odparł Sandecker.

Hodge uniósł wzrok znad notesu.

- Yves Massarde? Czyżby to ta sama gnida?

- Znasz go?

Hodge skinął głową.

- Miałem z nim do czynienia cztery lata temu, przy okazji pewnego groźnego skażenia chemicznego na Morzu Śródziemnym. Jeden z jego statków, wiozący na składowisko w Algierii silnie rakotwórcze odpady chemiczne, znane jako PCB, pękł w czasie sztormu i zatonął. Osobiście od początku podejrzewałem, że to nielegalny fracht, a w dodatku afery ubezpieczeniowa. Wkrótce okazało się, że Algierczycy wcale nie mieli zamiaru przyjąć tego ładunku na swoje składowisko. Massarde zaczął kręcić, przedstawiał fałszywe dokumenty i stosował wszelkie możliwe kruczki prawne, żeby uniknąć odpowiedzialności. To jest taki facet, że jak mu podasz rękę, to musisz potem sprawdzić, czy masz wszystkie palce.

Gunn odwrócił się w stronę Webstera.

- Satelity zwiadowcze potrafią odczytać druk gazetowy. Może dałoby się skierować kamery któregoś z nich na pustynię na północ od Gao i poszukać Pitta i Giordina?

Webster pokręcił głową.

- Nic z tego. Moi ludzie w Krajowej Radzie Bezpieczeństwa donieśli, że w tej chwili wszystkie najlepsze kamery w kosmosie śledzą próbne starty nowych chińskich rakiet, wojnę domową na Ukrainie i walki na pograniczu syryjsko-irackim. Nie oddadzą ani minuty na

poszukiwanie jakichś cywilów na Saharze. Mogę skorzystać tylko z najnowszego satelity geodezyjnego; ale wątpię, czy jego kamery rozróżnią ludzi na tle różnych dziwnych form krajobrazu.

- Nie rozpoznają człowieka na tle piaszczystej wydmy? - spytał z niedowierzaniem Chapman.

- Na Saharze nikt przy zdrowych zmysłach nie podróżuje po wydmach - odparł Webster. - Nawet miejscowi nomadzi omijają je, bo to prawie pewna śmierć. Pitt i Giordino mają dość rozumu, żeby unikać wydm jak zarazy.

- Mimo to powinienes podjąć poszukiwania - nalegał Sandecker. Webster pokiwał niemal całkiem łysą głową. Tęgi kark i wylewający się brzuch upodobały go do aktorów występujących jako "przedtem" w reklamach środków odchudzających.

- Mój bliski znajomy zajmuje się w Pentagonie analizą zdjęć satelitarnych. Spróbuję go namówić, żeby zbadał zdjęcia z naszego GeoSata na swoich wyspecjalizowanych komputerach. Myślę, że kto jak kto, ale on potrafi ich tam odszukać - jeśli tylko znajdą się w polu widzenia kamery.

- Czy pański satelita dostrzegł jakiś ślad samolotu, którym podróżowała ekipa badawcza WHO? - spytała Muriel.

- Niestety, nie. W czasie ostatniego przelotu nad terytorium Mali GeoSat zarejestrował co prawda dużą smugę dymu, ale to mogło być ognisko, rozpalone przez nomadów. Sprawdzimy to dokładniej w następnym przelocie.

- W tej części Sahary nie ma zbyt wiele drewna na ogniska - zauważył Sandecker.

- Co to za ekipa badawcza? - spytał Gunn, wyraźnie zaintrygowany.

- Grupa uczonych ze Światowej Organizacji Zdrowia - wyjaśniła Muriel. - Badają przyczyny dziwnej choroby, która szerzy się w pustynnych wioskach. Ich samolot zaginął gdzieś w drodze z Mali do Kairu.

- Czy była w tej grupie kobieta? Biochemik?

- Tak, biochemikiem zespołu była doktor Eva Rojas - potwierdziła Muriel. - Pracowałam z nią kiedyś na Haiti.

- Znasz ją? - spytał Sandecker, spoglądając na Gunna.

- Ja nie, ale Pitt ją zna. Coś tam z nią miał w Kairze.

- W takim razie dobrze, że nie wie o tej katastrofie - rzekł Sandecker. - I bez tego ma pewnie masę problemów.

- Nie ma dotąd żadnego potwierdzenia katastrofy - stwierdził Holland z nadzieją w głosie.

- Może lądowali przymusowo na pustyni i jakoś przeżyli - przyłączyła się Muriel.
- Obawiam się, że to tylko pobożne życzenia - Webster pokręcił głową sceptycznie.
- Myślę, że w tej sprawie maczał swoje brudne łapy generał Zateb Kazim.
- Pitt i Giordino rozmawiali z nim przez radio, tuż przed moim zejściem z jachtu -

przypomniał sobie Gunn. - Odniosłem wrażenie, że to raczej paskudny typ.

- Bezwzględny jak wszyscy dyktatorzy w tej części świata - stwierdził Sandecker. - A przy tym wyjątkowo sprytny i chciwy. Z naszymi dyplomatami nawet rozmawiać nie chce, jeśli przedtem nie dostanie grubego czeku z Funduszu Pomocy Zagranicznej.

- Lekceważy zalecenia ONZ - dodała Muriel. - Nie wpuszcza transportów z pomocą humanitarną dla ludności.

- Co najgorsza - wtrącił Webster - wszyscy obrońcy praw człowieka, którzy ośmielają się pojechać do Mali i protestować, przepadają bez wieści.

- On i Massarde to para tęgich złodziei - powiedział Hodge.

- We dwójkę rozgrabili cały kraj i wpędzili go w nędzę...

- To już nie nasza sprawa - przerwał niecierpliwie Sandecker.

- Nie będzie życia ani w Mali, ani w Afryce, ani na całym globie, jeśli nie powstrzymamy fali czerwonego zakwit. Dzisiaj tylko to jest ważne.

- Ale mamy już materiał, nad którym możemy pracować - odezwał się Chapman. - Jeśli wszyscy weźmiemy się do roboty, na pewno znajdziemy jakieś rozwiązanie.

- Zróbcie to jak najszybciej - powiedział Sandecker, mrużąc oczy. - Jeśli nie uda wam się w ciągu trzydziestu dni, nie będzie już żadnego ratunku.

Rześka bryza poruszała liście drzew w parku Palisades nad Hudsonem. Wśród liści, przyczepiony do gałęzi do góry nogami, tkwił bez ruchu mały, niebieskawoszary ptak. Ismail Yerli przyglądał mu się przez lornetkę. Pozornie pochłonięty bez reszty tym zajęciem, nie przeoczył jednak człowieka, który już dwie minuty temu pojawił się na końcu alejki i zbliżał się bez pośpiechu. Po chwili wysoki, raczej przystojny mężczyzna, ubrany w drogą skórzaną marynarkę, stanął tuż za jego plecami.

- Kowalik białopierśny - powiedział cicho, spoglądając na ptaka zimnym spojrzeniem bladoniebieskich oczu. Jego płowe włosy rozdzielone były po lewej stronie idealnie prostym przedziałkiem.

- Sądząc z czarnej plamy na grzbiecie, to chyba samica - odparł Yerli, nie odejmując lornetki od oczu, Samiec jest pewnie gdzieś blisko. Może buduje gniazdo.

- Nieźle, Bordeaux - powitał Yerli przybysza używając służbowego pseudonimu. - Nie wiedziałem, że lubisz obserwować ptaki.

- Wcale nie lubię. Przyszedłem tu na twoje życzenie, Pergamon.

- Moje? Przecież to ty zażądałeś spotkania.

- Tak, ale nie na takim odludziu.

- Spotkania w kosztownych knajpach raczej nie pasują do moich wyobrażeń o konspiracji.

- A do moich nie pasuje mieszkanie w slumsach i krycie się po kątach - odparował złośliwie Bordeaux.

- Nie jest rozsądne zbytnio się afiszować.

- Posłuchaj, Pergamon. Moim jedynym zadaniem jest ochrona interesów pewnego człowieka, który, co warto dodać, bardzo dobrze za to płaci. FBI nie ma powodu mnie śledzić, dopóki nie podejrzewa mnie o szpiegostwo. A ponieważ nasza praca - w każdym razie moja praca - nie polega na kradzieży amerykańskich tajemnic, nie rozumiem, dlaczego miałbym się ukrywać w jakimś cuchnącym tłumie.

Pogardliwa opinia Bordeaux o pracy wywiadowczej nie bardzo pasowała do Yerliego.

Chociaż Bordeaux, szef wywiadu gospodarczego Entreprises Massarde na Stany Zjednoczone, od wielu lat regularnie współpracował z Pergamonem, nie znał jego prawdziwego nazwiska i, rzecz szczególna, nawet nie próbował poznać. Wiedział jednak, że Yerli jest agentem wywiadu francuskiego, który jedynie "dorabia" sobie - prawda, że grubo ponad służbową pensję, - dostarczając od czasu do czasu wartościowych dla Massarde'a informacji. Odbywało się to z przyzwoleniem pracodawców Yerliego, a to ze względu na liczne powiązania francuskich

osobistości rządowych z Yves'em Massarde'em.

- Stajesz się nieostrożny, przyjacielu. Bordeaux wzruszył ramionami.

- Mam już dosyć tych prymitywnych Amerykanów. Nowy Jork jest kloaką. Zresztą cały ten kraj się rozpada: wszędzie podziały, wszędzie konflikty rasowe i etniczne. Jeszcze parę lat i w Stanach będzie taka sama wojna wszystkich ze wszystkimi, jak dzisiaj w Rosji i w całej posowieckiej Wspólnocie. Coraz bardziej chciałbym wrócić do Francji. To jedyny naprawdę cywilizowany kraj na całym globie.

- Słyszałem, że jeden z ludzi NUMA zdołał uciec z Mali - zmienił nagle temat Yerli.

- Tak, ten dureń Kazim pozwolił mu się wymknąć.

- Nie przekazałeś panu Massarde mojego ostrzeżenia?

- Ależ oczywiście, ostrzegłem go. A on z kolei przekazał to generałowi Kazimowi. Dwaj inni agenci NUMA zostali schwytani na jachcie pana Massarde, ale Kazim, przy całej swojej błyskotliwości, okazał się za głupi, żeby złapać trzeciego, no i ten uciekł; wywiózł go specjalny oddział taktyczny ONZ.

- Jak pan Massarde ocenia sytuację?

- Nie ma powodów do radości: wszystko to grozi jakąś oficjalną międzynarodową inspekcją w Fort Foureau.

- Niedobrze. Wszelka inspekcja w Fort Foureau to zagrożenie francuskiego programu nuklearnego.

- Pan Massarde doskonale zdaje sobie z tego sprawę - odparł Bordeaux ze złośliwą satysfakcją.

- A co z tymi naukowcami z WHO? Dzisiejsze gazety piszą, że ich samolot zaginął bez wieści.

- To jeden z lepszych pomysłów Kazima - odparł Bordeaux. - Upozorował katastrofę samolotu w jakiejś odległej części pustyni.

- Upozorował? Ostrzegłem Halę Kamil przed możliwością prawdziwego zamachu bombowego na ten samolot.

- Twój plan odstraszenia ewentualnych dalszych ekspedycji WHO został zrealizowany z pewnymi drobnymi zmianami - stwierdził Bordeaux. - Samolot rzeczywiście jest rozwalony, ale zwłoki na pokładzie to nie doktor Hopper, i nie jego ludzie.

- A więc oni nadal żyją?

- Tak, ale w praktyce są już martwi. Kazim wysłał ich do Tebezzy. Yerli zamyślił się głęboko, zanim podjął rozmowę.

- Myślę, że Kazim popełnił błąd. Powinien był raczej od razu ich wykończyć, a nie dręczyć

niewolniczą pracą w kopalni. W razie wpadki to będzie dodatkowy punkt przeciwko niemu.

- Nie będzie żadnej wpadki. Z Tebezzy jeszcze nikt nie uciekł. Każdy, kto trafia do tej kopalni, zostaje w niej na zawsze. - W głosie Bordeaux nie było żadnych emocji.

Yerli wyciągnął z kieszeni papierową chusteczkę i zaczął przecierać szkła lornetki.

- Czy Hopper odkrył coś, co mogłoby skompromitować Fort Foureau?

- Nie, ale dostatecznie dużo, żeby wzbudzić niezdrowe publiczne zainteresowanie tym rejonem.

- Co wiadomo o tym pracowniku NUMA, który uciekł?

- Nazywa się Gunn, jest wicedyrektorem Agencji.

- A więc ktoś, kto dużo może.

- To prawda.

- Gdzie jest teraz?

- Śledziliśmy samolot, którym go ewakuowano. Dotarł do Paryża, a potem poleciał Concorde'em do Waszyngtonu. Z lotniska zawieźli go prosto do centrali NUMA. Moi informatorzy podawali godzinę temu, że wciąż jeszcze tam przebywa.

- Wiadomo coś o informacjach, które przywiózł z Mali?

- Nie wiemy, jakie informacje zdołał zebrać w czasie żeglugi po Nigrze. Ale pan Massarde jest przekonany, że Gunn nie dowiedział się niczego, co demaskowałoby operację Fort Foureau.

- Kazim będzie miał niezłą frajdę, jak weźmie na spytki dwóch pozostałych Amerykanów.

- Niestety, dostałem w ostatniej chwili wiadomość, że ci dwaj też uciekli.

- Merde! - warknął Yerli z wściekłością. - Kto tym razem spieprzył robotę?

Bordeaux wzruszył ramionami.

- Nieważne, kto spieprzył; to nie nasza sprawa. Najważniejsze, że nadal są w Mali i raczej nie mają szans wydostać się za granicę. Kazim na pewno ich złapie, to tylko kwestia godzin.

- Powinienem pojechać do Waszyngtonu i poszperać w NUMA. Może dowiem się w końcu, co kryje się za całą tą wyprawą, poza zwykłym badaniem skażeń.

- Zostaw to na razie. Pan Massarde ma dla ciebie inną robotę.

- Czy uzgodnił to z moimi przełożonymi?

- Oficjalną zgodę na wykonywanie zadań w innym kraju dostaniesz najdalej za godzinę.

Yerli milczał. Znów popatrzył przez lornetkę na kowalika, który - wciąż z łebkiem do dołu - posuwał się po gałęzi, wydłubując coś spod kory.

- Czego właściwie chce Massarde?

- Masz pojechać do Mali; będziesz jego łącznikiem przy generale Kazimie.

Yerli przyjął wiadomość z kamienną twarzą.



- Parę lat temu spędziłem osiem miesięcy w Mali - powiedział, nie odrywając lornetki od oczu. - Paskudne miejsce. Ale ludzie raczej sympatyczni.

- Jeden z samolotów Entreprises Massarde jest do twojej dyspozycji na lotnisku La Guardia. Masz być na pokładzie o szóstej wieczór.

- A więc mam być niańką Kazima i strzec go przed popełnianiem dalszych głupstw... Bordeaux przytaknął.

- Stawka jest za duża, by zostawić inicjatywę szaleńcowi. Yerli schował lornetkę do skórzanego futerału przewieszzonego przez ramię.

- Kiedyś śniło mi się, że umieram... na pustyni - powiedział cicho. - Modłę się do Allacha, żeby to był tyłka sen.

W typowym pokoju bez okien w którejś z mało znanych części Pentagonu major lotnictwa wojskowego Tom Greenwald odłożył słuchawkę telefonu. Zawiadomił właśnie żonę, że wróci na kolację później niż zwykle. Przez dobrą minutę odpoczywał, by przestawić swoje myśli z tego, co robił jeszcze przed chwilą, kiedy to analizował zdjęcia satelitarne z walk między oddziałami rządowymi i demokratycznymi powstańcami w Chinach, na pracę, do której miał się zabrać teraz. W specjalnej, ultranowoczesnej aparaturze analitycznej Pentagonu zainstalował film, zrobiony kamerami GeoSata, przysłany tutaj kurierem przez Chipa Webstera z NUMA. Gdy wszystko było gotowe, zasiadł w wygodnym fotelu z konsolą zdalnego sterowania w poręczy. Otworzył puszkę coli i, patrząc przez cały czas na monitor telewizyjny wielkości małego ekranu kinowego, zaczął manipulować przyciskami, pokrętkami i suwakami konsoli.

Zdjęcia z GeoSata przypomniały mu dawne czasy. Tak wyglądały zdjęcia z satelitów szpiegowskich dobre trzydzieści lat temu. Oczywiście, GeoSat miał inne przeznaczenie. Ponieważ rejestrował formy geologiczne i ciekły wodne, nie była mu potrzebna taka precyzja kamer, jaką dysponowały najnowsze satelity szpiegowskie Pyramider i Houdini, wynoszone na orbitę promiami kosmicznymi. Różnica jakości zdjęć była dla Greenwalda szokująca, choć przyznawał, że w porównaniu z używanym przedtem przez 20 lat LandSatem, GeoSat stanowił ogromny postęp: jego kamery widziały w ciemności, przez grubą warstwę chmur, a nawet przez kłęby gorącego dymu.

Na ekranie pojawiały się kolejne fragmenty obejmującej całą północną część Mali pustyni. Greenwald, posługując się specjalnym programem komputerowym, powiększał każdy interesujący go szczegół i starannie korygował ostrość. Już po paru minutach potrafił w drobnych, ledwie zauważalnych plamkach rozpoznać przelatujące samoloty lub karawany wielbłądów, ciągnące z kopalni soli w Taoudeni na południe, do Timbaktu. Zdjęcia przenosiły go coraz bardziej na północ, w stronę Azaouad, rozległego piaszczystego terytorium w obrębie

Sahary. Coraz mniej było śladów obecności ludzkiej. Tu i ówdzie, w sąsiedztwie samotnych studni, Greenwald rozróżniał nawet szkielety dużych zwierząt, zapewne wielbłądów. Ale zidentyfikować człowieka, zwłaszcza stojącego lub idącego, wydawało się strasznie trudne, nawet dla cudów elektroniki, jakimi dysponował.

Po godzinie musiał zrobić chwilę odpoczynku. Przetarł zmęczone oczy. Od wpatrywania się w ekran rozboleła go głowa, ale nie znalazł dotąd najdrobniejszego nawet śladu obecności dwóch poszukiwanych przez niego ludzi. Choć przebadał już wszystkie, nawet najbardziej oddalone od Nigru obszary, do których, według jego obliczeń, mogli dotrzeć pieszo - wciąż nie miał żadnych rezultatów. Właściwie mógł uznać, że wykonał już to, czego się podjął, zakończyć pracę i pojechać do domu. Postanowił jednak przeprowadzić jeszcze jedną próbę. Długoletnie doświadczenie nauczyło go bowiem, że poszukiwany obiekt prawie nigdy nie znajduje się tam, gdzie się go spodziewamy. Sięgnął po zdjęcia z dalszych, północnych części pustyni Azaouad i poddał je gruntownej, choć szybkiej analizie. Cały ten obszar wydawał się równie pusty jak dno Morza Martwego.

Niewiele brakowało, by to przeoczył. W nagłym, niejasnym przebłysku intuicji uznał, że pewien drobniutki fragment krajobrazu nie pasuje do otoczenia. To mogła być niewielka skała albo wydma. Ale kształt wydał mu się zbyt regularny, jak na naturalną formę geologiczną. Obrys wydmy stanowiły linie proste. Szybko naciskał guziki na konsolce, by maksymalnie powiększyć interesujący go obiekt. Po chwili był już pewien, że znalazł coś istotnego. Nie mógł się mylić; miał ogromne doświadczenie. Od czasów wojny nad Zatoką stał się sławny dzięki niesamowitej zdolności wykrywania irackich bunkrów i innych podziemnych urządzeń wojskowych.

- Samochód - powiedział głośno do siebie.

Po dokładniejszej analizie dostrzegł obok samochodu dwie mikroskopijne plamki. Dopiero teraz zaczęła go irytować niedoskonałość GeoSata. Gdyby to był nowoczesny satelita szpiegowski, mógłby nie tylko rozpoznać twarze siedzących przy samochodzie ludzi, ale nawet odczytać godzinę na ich zegarkach.

Odprężył się na moment, by przemyśleć swoje odkrycie. Potem sięgnął po słuchawkę i wystukał numer. Czekał cierpliwie, modląc się, by z tamtej strony nie zabrzmiał nagrany na taśmie głos: "Tu numer... Proszę zostawić wiadomość". Po piątym sygnale w słuchawce odezwał się zdyszany baryton.

- Halo?

- To ty, Chip?

- Cześć, Tom...

- Uprawiałeś jogging? O tej porze?

- Byliśmy z żoną w ogrodzie, rozmawialiśmy z sąsiadami - wyjaśnił Webster. - Gdy usłyszałem dzwonek, przybiegłem tu jak sprinter.

- Myślę, że znalazłem coś, co może cię zainteresować.

- Tych dwóch ludzi? Udało ci się ich wypatrzeć na zdjęciach z GeoSata!

- Są ponad sto kilometrów dalej na północ, niż się spodziewałeś. Webster milczał przez chwilę, zaskoczony.

- Jesteś pewien, że to nie nomadzi? - spytał w końcu. - Moi ludzie w żaden sposób nie zaszliby tak daleko przez dwie doby.

- Mogliby zajechać.

- Masz na myśli samochód? - Webster dziwił się coraz bardziej.

- Trudno to dokładnie rozpoznać, ale wygląda rzeczywiście jak samochód; przysypany piaskiem, żeby go w ciągu dnia nie wypatrzyły samoloty. To muszą być ci twoi dwaj chłopcy. No bo kto inny bawiłby się w chowanego na pustyni?.

- Myślisz, że próbują uciec za granicę?

- Nie, chyba że poplątały im się strony świata. Pakują się w sam środek północnej części Mali. Do najbliższej granicy mają jeszcze trzysta pięćdziesiąt kilometrów.

- Tak, to muszą być Pitt i Giordino - rzekł Webster po chwili zastanowienia. - Ale skąd, u diabła, wzięli ten samochód?

- Mam wrażenie, że to dość pomysłowi faceci.

- Powinni byli już dawno dać sobie spokój z szukaniem źródeł tego skażenia. Co ich opętało?

Na to pytanie Greenwald nie miał już odpowiedzi. Próbował jednak zgadywać.

- Może wybrali się na wycieczkę do Fort Foureau - zauważył raczej żartem niż serio.

- Masz na myśli ten francuski zakład utylizacji odpadów? - zainteresował się całkiem poważnie Webster.

- Tak, mają do niego już tylko pięćdziesiąt kilometrów. To jedyny przyczółek cywilizacji zachodniej w tym rejonie.

- Bardzo ci jestem wdzięczny, Tom - oświadczył szczerze Webster. - Chciałbym się jakoś zrewanżować. Może dasz się zaprosić na wspólną kolację; z żonami, rzecz jasna.

- Dobry pomysł. Zadzwoń do mnie, jak ustalisz restaurację i termin.

Greenwald odłożył słuchawkę. Jeszcze raz skupił wzrok na dziwnym obiekcie i ludziach, tkwiących w pustynnym krajobrazie.

- Wy, chłopaki, musicie mieć coś nie po kolei - rzucił głośno w pustą przestrzeń pokoju.

Potem wyłączył aparaturę i pojechał do domu.

Słońce wyszło zza horyzontu i wielka fala upału zwała się na pustynię jak z otwartego nagle pieca. Chłód nocy ustąpił równie szybko, jak cień pędzonej wiatrem chmury. Na rozpalonym niebie pojawiły się dwa kruki; wypatrywszy coś, co nie pasowało do pustynnego krajobrazu, zaczęły krążyć coraz niżej w nadziei, że znajdą jakieś pożywienie. Z bliska okazało się jednak, że owo "coś" raczej nie da się zjeść. Był to żywy człowiek. Dirk Pitt leżał rozciągnięty na zboczu niewielkiej wydmy, tuż pod jej szczytem. Był niemal zagrzebany w piasku. Przez chwilę przyglądał się krukowi, powoli odlatującemu na północ. Potem znów przeniósł wzrok na rozciągającą się przed nim gigantyczną konstrukcję: zakład utylizacji odpadów Fort Foureau. Widok był fantastyczny nie tylko ze względu na niezwykłość techniki, ale także dlatego, że funkcjonowała w zupełnie martwym, nieludzkim otoczeniu.

Gdy usłyszał za sobą szelest piasku, obrócił nieznacznie głowę. Giordino, niczym jaszczurka, wpełzał na szczyt diuny.

- Podziwiasz widoki? - spytał.

- Chodź bliżej. Zapewniam cię, że jest na co popatrzeć - stwierdził Pitt.

- Jedyna rzecz, na jaką mam teraz ochotę popatrzeć, to brzeg morza i wielkie chłodne fale - jęknął Giordino.

- Nie wystawiaj tak tej swojej czupryny - przestrzegł go Pitt. - Taki czarny łeb na tle piasku cholernie rzuca się w oczy.

Giordino chwycił garść piasku i posypał nim sobie włosy, robiąc przy tym minę wioskowego głupka. Przyczołgał się do Pitta i wyrzwał poza krawędź diuny.

- Cholera! - mruknął z podziwem. - Gdybym nie wiedział, że to Sahara, powiedziałbym, że jesteśmy na Księżycu.

- Tak - przyznał Pitt. - Ten jałowy krajobraz... Brakuje tylko szklanej kopuły nad wszystkim.

- Ależ gigant, prawie jak Disneyland.

- Tak. Będzie ze trzydzieści kilometrów kwadratowych.

- Masz właśnie kolejny transport - zauważył Giordino, wskazując na długi sznur wagonów ciągnięty przez cztery dieslowskie lokomotywy. - To musi być wielki biznes!

- Trujący kondukt pogrzebowy Massarde'a - zadrwił Pitt. - Co najmniej sto dwadzieścia wagonów wypełnionych świństwem.

Giordino przeniósł wzrok na rozległą przestrzeń pokrytą lśniącymi korytami wklęsłych luster.

- To są te reflektory słoneczne? - spytał.

- Kondensory - poprawił Pitt. - Skupiają promieniowanie słoneczne do temperatury rozpadu protonów. Ta energia cieplna wędruje do centralnego reaktora i tam całkowicie niszczy odpady.

- Widzę, że mamy tu eksperta od energii słonecznej - zakpił Giordino. - Gdzieś się tego wszystkiego nauczył?

- Miałem romans z pewną panią, inżynierem w Solar Energy Institute. Kiedyś pokazała mi ich instalacje badawcze. To było wiele lat temu: robili dopiero pierwsze kroki w dziedzinie wykorzystania energii słonecznej do niszczenia toksycznych odpadów przemysłowych. Okazuje się, że Massarde bardzo rozwinął tę technologię.

- Czegoś tu nie rozumiem - powiedział Giordino.

- Czego mianowicie?

- Dlaczego tutaj? Dlaczego włożyli tyle trudów i kosztów, i zbudowali katedrę systemu sanitarnego w środku wielkiej, niedostępnej pustyni? Gdybym ja ją budował, zrobiłbym to bliżej jakiegoś dużego centrum przemysłowego. Wozić całe paskudztwo przez ocean, a potem jeszcze przez 1600 kilometrów pustyni! Przecież to musi kosztować majątek!

- Bardzo trafna uwaga - przyznał Pitt. - Mnie też to dziwi. Jeśli w Fort Foureau można tak doskonale niszczyć toksyczne odpady, a eksperci twierdzą, że technologia jest stuprocentowo bezpieczna, nieszkodliwa dla otoczenia, można przecież było umieścić zakład w jakimś dogodniejszym miejscu.

- Nadal sądzisz, że właśnie stąd bierze się skażenie?

- Nic innego nie znaleźliśmy.

- Teoria tego starego włóczęgi o podziemnej rzece potwierdzałaby to.

- Tylko że w tej teorii coś się nie zgadza - stwierdził surowo Pitt.

- Ee, zawsze byłeś cholernym niedowiarkiem.

- Nie, nie mam nic przeciwko podziemnej rzece. Ale dlaczego jest skażona?

- Rozumiem... - Giordino pokiwał głową. - Co do niej przecieka, skoro podobno wszystko jest spalane?

- Właśnie.

- A więc Fort Foureau nie jest tym, za co się podaje?

- Moim zdaniem - nie.

Giordino odwrócił się i popatrzył na Pitta podejrzliwie.

- Mam nadzieję, że nie wybieramy się tam w roli inspektorów ekologicznych.

- Raczej w roli włamywaczy.

- Ach tak! Ciekawe, jak masz zamiar pokonać bramę?

Pitt ruchem głowy wskazał bocznicę kolejową, kończącą się przy długiej rampie na terenie zakładu.

- Wskoczmy do pociągu.

- A jak potem wyjdziemy?

- Tak samo. Przy okazji mamy załatwiony ekspres do Mauretanii. Na tych resztkach benzyny, które zostały w baku, daleko byśmy nie zajechali.

- Ekspres, mówisz - twarz Giordina przybrała posępny wyraz. - I gwarantujesz mi pierwszą klasę w wagonie towarowym po trujących chemikaliach? Za młody jestem, żeby mnie przerabiać na mydło.

Pitt uśmiechnął się ironicznie.

- Wystarczy jeśli będziesz ostrożny i nie będziesz niczego dotykał. Giordino szukał rozpaczliwie jakiegoś kontrargumentu.

- Bierzesz pod uwagę wszystkie przeszkody?...

- Przeszkody są po to, by je pokonywać - przerwał Pitt sentencjonalnie.

- ... takie jak ogrodzenie pod napięciem, strażnicy z dobermanami, samochody patrolowe z karabinami maszynowymi, do tego jeszcze oświetlenie jak na stadionie sportowym?... - ciągnął Giordino, ale przerwał, bo wyliczanka podsunęła mu całkiem nową myśl. - Nie wydaje ci się dziwne, żeby urządzenia do spalania odpadów otaczać aż taką ochroną, jakby to był arsenał pełen bomb nuklearnych?

- Jeszcze jeden powód, żeby zwiedzić to miejsce - odparł spokojnie Pitt.

- Jesteś jeszcze większym szaleńcem - Giordino chwycił się za głowę - niż ten stary poszukiwacz, razem z jego zwariowaną historią o pancerniku na pustyni z Abe Lincolnem przy sterze.

- Mamy wiele wspólnego - zgodził się Pitt. Przewrócił się na drugi bok i wskazał ręką budowlę, odległą o jakieś cztery kilometry na zachód, usytuowaną w pobliżu torów kolejowych.

- Widzisz ten stary fort? - spytał. - To nie makieta filmowa, to prawdziwy fort Legii Cudzoziemskiej; od niego właśnie wziął nazwę zakład Massarde'a - wyjaśnił Pitt. - Tory przebiegają zaledwie sto metrów od muru. Pod wieczór pojedziemy tam i poczekamy na najbliższy pociąg.

- Myślisz, że jestem kaskaderem? Te pociągi strasznie zapieprzają, nie dam rady wskoczyć.

- Spokojnie. Zauważyłem, że pociągi jadące do zakładu przy forcie zaczynają hamować. Ostatnie wagony przejeżdżają tam już bardzo wolno, bo czoło pociągu zbliża się do stacji kontroli przed bramą.

Giordino popatrzył uważnie w jej stronę.

- Dziesięć do jednego, że cała armia strażników przeszukuje tam każdy wagon.

- Nie sądzę, żeby byli zbyt gorliwi. Kontrola ponad stu wagonów pełnych wszelkiej trucizny to nie jest robota, do której normalny człowiek chętnie by się przykładał. A zresztą, jaki duren chciałby się ukrywać w takich wagonach?

- Znam jednego takiego - mruknął Giordino.

- Jeśli znasz lepszy sposób na twoje elektryczne ogrodzenie, dobermanów, reflektory i samochody patrolowe - chętnie posłucham.

Giordino chciał zmierzyć Pitta miażdżącym spojrzeniem, ale właśnie wtedy usłyszał złowieszczy łoskot śmigieł helikoptera. Obydwaj odwrócili natychmiast głowy. Śmigłowiec zbliżał się z południa. Był jeszcze daleko, ale leciał prosto na nich. To nie była maszyna wojskowa: już z daleka rozpoznali znaki Entreprises Massarde na kadłubie.

- Cholera! - zaklął Giordino. Popatrzył na kupę piasku, pod którą ukryli Voisina. - Nisko lecą, zdmuchną piasek z samochodu!

- Tylko jeśli przelecą dokładnie nad nim. Lepiej pomyśl o sobie. Zagrzeb się głęboko i nie ruszaj się.

Uważny obserwator mógł rzeczywiście ich zauważyć, albo przynajmniej zainteresować się podejrzanym kształtem piaszczystego pagórka, pilot był jednak pochłonięty przygotowaniami do lądowania, a jedyny pasażer, zajęty jakimś ważnym raportem finansowym, w ogóle nie patrzył w okno. Helikopter przemknął nad Amerykanami, zatoczył łagodny łuk i zawisł nad lądowiskiem na terenie zakładu. Po chwili podwozie dotknęło betonu, rotor zwolnił obroty, wreszcie zamarł. Otworzyły się drzwi kabiny pasażerskiej. Mimo kilometrowego dystansu, Pitt nawet bez lornetki poznał człowieka, który wysiadł z helikoptera i energicznie ruszył w stronę biurowca.

- Mam wrażenie, że nasz przyjaciel próbuje nas odnaleźć. Giordino zwinął dłonie i przymrużył oczy.

- Chyba masz rację. Szkoda tylko, że nie przywiózł ze sobą pianistki z jachtu.

- Wciąż nie możesz o niej zapomnieć?

- A powinienem?

- Przecież nie znasz nawet jej imienia.

- Miłość zwycięża wszystko - odparł Giordino pogodnie.

- Na razie musisz przezwyciężyć swoje grzeszne myśli i dobrze odpocząć. Po zmroku spróbujemy złapać ten pociąg.

Minęli studnię w zakolu wyschniętej rzeki Oued Zarid, o której mówił stary wędrowiec.



Nie było w niej wody. Mimo to zdecydowali się wypić natychmiast wszystko, co im jeszcze zostało, by zapobiec odwodnieniu organizmów. Liczyli na to, że znajdą wodę na terenie zakładu. Zaparkowali samochód w ciasnym wąwozie, kilometr na południe od starego fortu. Rozgrzebali piasek pod maszyną i ułożyli się w jej cieniu, by choć trochę schronić się przed upałem. Giordino zasnął niemal natychmiast. Pitt chciał pójść w jego ślady, ale przeszkadzał mu nadmiar kłębiących się myśli. Na pustyni zmierzch trwa krótko. Niemal natychmiast ogarnęła ich głęboka ciemność. Wokół panowała nieprzyjemna cisza, zakłócana jedynie odgłosami wydawanymi przez stygnące blachy Voisina. Na czarnym jak szkliwo wulkaniczne niebie pojawiły się nagle miliony gwiazd. Świeciły tak jasno i wyraźnie, że Pitt bez trudu odróżniał "czerwone", "niebieskie", "zielone", dotychczas będące dla niego tylko pojęciami z podręcznika astronomii. Jeszcze nigdy, nawet na pełnym morzu, nie widział takiego kosmicznego spektaklu.

Obudził Giordina. Przysypali samochód piaskiem i powędrowali pod rozgwieżdżonym niebem w stronę fortu, starannie zmiatając za sobą ślady zerwanym w ostatniej oazie liściem palmowym. Przeszli przez zapomniany cmentarz legionistów i znaleźli się pod dziesięciometrowym murem. Musieli okrążyć fort, by dotrzeć do głównej bramy. Ogromne wrota z masywnego drewna, zbielejące od wieloletniej operacji słonecznej, były lekko uchylone. Weszli do środka i znaleźli się na rozległym, pogrążonym w ciemnościach placu apelowym.

Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by zobaczyć widmowe szeregi legionistów w błękitnych tunikach, wyblakłych workowatych spodniach i białych kepi - preżących się na baczność na apelu przed wymarszem w rozpalone piaski pustym, na kolejny bój z hordami Tuaregów. Rozmiary fortu, w porównaniu z innymi placówkami Legii Cudzoziemskiej, nie były imponujące. Mury stały na planie kwadratu o boku długości trzydziestu metrów. Miały u podstawy co najmniej trzy metry grubości; na szczycie znajdowały się blanki, za którymi kryli się niegdyś obrońcy. Dzięki zwartej konstrukcji, do obsługi i obrony fortu mogło wystarczyć pięćdziesięciu ludzi. Plac apelowy przedstawiał typowy obraz opuszczenia. Można tu było znaleźć ślady dawnych legionistów, pustynnych wędrowców i włóczęgów, oraz robotników, którzy budowali linię kolejową i wykorzystywali fort jako magazyn i chwilowe schronienie. Pod ścianą koszar leżały jeszcze podkłady kolejowe, narzędzia, kilka beczek oleju napędowego i samojezdny podnośnik w zadziwiająco dobrym stanie.

- Chyba nie wytrzymałbym roku służby w takim miejscu - mruknął Giordino.

- Och, ja nawet tygodnia - odparł Pitt, przyglądając się uważnie urządzeniom fortu.

Czekanie na pociąg dłużyło się niemiłosiernie. Pitt jeszcze raz przeanalizował fakty. Prawdopodobieństwo, że substancja chemiczna, którą zidentyfikował Gunn, wycieka z pustynnego zakładu detoksykacji słonecznej, wydawało się bardzo duże. Po ich pierwszym

spotkaniu z Massarde'em było całkowicie jasne, że grzeczna, oficjalna prośba o zgodę na inspekcję nie spotka się z życzliwym przyjęciem. Musieli zatem wśliznąć się tam potajemnie i samodzielnie zdobyć niezbite dowody. W Fort Foureau pod pozorem niszczenia toksycznych odpadów prowadzono jakąś inną, ponurą i groźną działalność. Szansę przedostania się do środka przez stację kontrolną, zbadania tajemnicy zakładu i wyjścia stamtąd cało były nikłe, ale nie można było z nich nie skorzystać.

Rozmyślania Pitta przerwał słaby, odległy jeszcze odgłos silników pociągu.

Usłyszał go także pogrążony w płytkiej drzemce Giordino. Popatrzyli na siebie bez słów i zerwali się jak na komendę. Pitt podniósł do oczu zegarek z fosforyzującą tarczą.

- Jedenasta trzydzieści - odczytał. - Mamy kupę czasu na inspekcję i na powrót przed świtem.

- Pod warunkiem, że odjazdy są równie regularne jak przyjazdy.

- Na razie były. Równo co trzy godziny rusza kolejny pociąg. Massarde utrzymuje tu taką samą dyscyplinę, jak kiedyś Mussolini. - Pitt otrzepał ręce z piasku. - Ruszamy. Nie mam ochoty biec po torze o własnych siłach.

- Domyślam się.

- Schyl się, jak będziemy biegli. Te gwiazdy dają cholernie dużo światła, a teren między fortem i torami jest całkiem otwarty.

- Dobrze, mogę nawet udawać niewidzialnego nietoperza - zgodził się Giordino. - Tylko czy psy i strażnicy dadzą się na to nabrać?

Pogrążony we własnych myślach Pitt nie zareagował na ponury żart.

- Musimy dowieść, że cały ten zakład to tylko fasada - powiedział stanowczym głosem. - Jeden z nas musi stąd uciec i zawiadomić o wszystkim Sandeckera, nawet jeśli musiałby poświęcić drugiego.

Twarz Giordina przybrała poważny wyraz. Przez chwilę wpatrywał się intensywnie w oczy Pitta, ale nie powiedział ani słowa. Nagle powietrze rozdarła potężna syrena prowadzącej lokomotywy; już bardzo blisko fortu. Giordino skinął głową w stronę, z której dobiegał dźwięk.

- Pospieszmy się - rzucił przez zęby.

Przekroczyli próg wielkiej bramy fortu i biegiem ruszyli w stronę torów.

W połowie drogi między fortem a torem tkwiła samotnie porzucona ciężarówka. Już dawno zabrano z niej wszystko, co dało się zabrać. Opony i koła, silnik, skrzynia biegów i dyferencjał, nawet szyby i drzwi kabiny - wszystko to jakiś przedsiębiorczy handlarz zabrał na grzbietach wielbłądów do Gao albo do Timbaktu. Wytwór ludzkiej cywilizacji, tak straszliwie okaleczony i pozostawiony w środku pustyni, robił niesamowite, wręcz upiorne wrażenie. Ale Pitt i Giordino nie mieli wyboru. Musieli skryć się za wrakiem, przytuleni do martwych blach, by nie dosięgły ich światła lokomotywy. Szczególnie groźny był obrotowy reflektor na dachu diesla, wydobywający z mroku w promieniu kilometra najdrobniejsze szczegóły pustynnego krajobrazu.

Lokomotywy przetoczyły się koło nich z ogłuszającym hukiem kół. Pitt ocenił szybkość pociągu na pięćdziesiąt kilometrów; wyraźnie się zmniejszyła. Maszyniści włączyli już hamulce. Według jego obliczeń ostatnie wagony będą mijać to miejsce nie szybciej, niż piętnaście kilometrów na godzinę; wystarczająco wolno, by można do nich wskoczyć. Opuścili bezpieczne schronienie i zgięci w pół zbliżyli się do torów, po których przetaczały się kolejne niskie lory. Na każdej z nich stał wielki przenośny kontener. Z daleka widzieli ostatni wagon, wiozący obsługę pociągu. Nie był to typowy śmieszny domek na kółkach. Ten pociąg zamykał wagon pancerny z obrotową wieżyczką karabinu maszynowego. Jeśli Massarde tak zadbał o sprzęt, pomyślał Pitt, to i załoga składa się pewnie z drogo opłacanych profesjonalnych zabijaków. Po co te militarne zabezpieczenia? Przeciw złodziejom? A kto chciałby kraść odpady chemiczne traktowane na całym świecie jako kłopotliwe paskudztwo? Antyrządowi terroryści? Jeśli Pitt znalazł się na ludziach, Massarde na pewno prowadził podwójną grę i żył z malijską opozycją równie dobrze, jak z generałem Kazimem.

- Skaczemy do przedostatniego wagonu towarowego - krzyknął, przebijając się przez łoskot kół.

- Masz rację. Te ostatnie wagony, blisko straży, nie będą już tak starannie przeszukiwane.

Podnieśli się i ruszyli biegiem wzdłuż toru. I wtedy okazało się, że Pitt źle ocenił prędkość pociągu. Jechał co najmniej dwa razy szybciej, niż oni byli zdolni biec. Ale nie było już odwrotu. Gdyby stanęli lub pobiegli w stronę fortu, strażnicy z wagonu pancernego na pewno dostrzegliby ich w świetle potężnych reflektorów. Wyższy, z dłuższymi rękami Pitt miał łatwiejsze zadanie. Gdy mijała go przednia drabinka przedostatniej lory, chwycił ją mocno. Poczul silne szarpnięcie, ale wykorzystał je i jednym susem znalazł się na platformie. Giordino chciał zrobić to samo przy tylnej drabince, ale jego wyciągnięte dłonie minęły ją o centymetry. Teraz był już skazany na ostatni wagon towarowy, w niebezpiecznym sąsiedztwie uzbrojonych

strażników. Żwirowe podłoże toru bardzo utrudniało bieg. Obrócił lekko głowę i kątem oka dojrzał żelazną drabinkę. Wydało mu się, że zbliża się do niego z szybkością dźwięku. Nieprzyjemnie blisko toczyły się ciężkie stalowe koła. Jeśli i tym razem chybię, pomyślał, wpadnę pod koła albo zastrzelą mnie strażnicy. Żadna z tych perspektyw nie wydała mu się zachęcająca.

Desperacko chwycił obiema rękami szczebel drabinki. Nogi straciły kontakt z ziemią i nieporadnie tańczyły w powietrzu. Zapanował nad tym: przerzucił na wyższy szczebel jedną dłoń, potem drugą. Teraz mógł już podciągnąć stopy na tyle, by znaleźć dla nich oparcie na dolnym szczeblu. Pitt odczekał parę sekund, po czym wdrapał się na dach kontenera. Dopiero wtedy obejrzał się. Giordino był nie tam, gdzie spodziewał się go zobaczyć. Twarz małego Włocha majaczyła w ciemności, jakby zawieszona w powietrzu, przy ścianie ostatniego kontenera. Mógłby szybciej wleźć na górę, pomyślał Pitt. Odwrócił głowę i popatrzył daleko przed siebie. Lokomotywy miały już tylko około kilometra do stacji kontroli. Nagle szósty zmysł kazał mu spojrzeć jeszcze raz do tyłu. Zdrętwiał. Zrozumiał opieszałość Giordino. Na galeryjce otaczającej wagon pancerny stał strażnik. Oparty rękami o poręcz, patrzył tępo w pustynię, przesuając się przed jego oczyma. Był chyba pogrążony we własnych myślach. Gdyby choć przez chwilę uważniej popatrzył wzdłuż pociągu, Giordino byłby zgubiony. Strażnik puścił poręcz, wyprostował się i bez pośpiechu wrócił do wnętrza wagonu. Giordino nie tracił czasu. Błyskawicznie wspiął się na kontener i ułożył się płasko na dachu. Z trudem chwycił oddech. Rękawem koszuli otarł pot z czoła, w końcu popatrzył w stronę Pitta.

- Chodź tutaj - zawołał Pitt zduszonym głosem.

Giordino podczołgał się ostrożnie do przedniej krawędzi kontenera i spojrzął w dół. W mroku ledwie widział szyny i migające betonowe podkłady. Może dlatego szybko podjął odważną decyzję. Wstał, cofnął się parę kroków, po czym rozpędził się i skoczył. Jego stopy dotknęły dachu sąsiedniego kontenera z co najmniej półmetrowym zapasem. Mimo to rzucił się do przodu z wyciągniętymi rękami; nikt nie pospieszył mu z pomocą. Pitt, mający najwyraźniej pełne zaufanie do sportowych zdolności przyjaciela, był już daleko. Badał uważnie skrzynię przy przedniej krawędzi dachu, mieszczącą aparaturę klimatyzacyjną. Skrzynia była duża, bo też znajdująca się w środku maszyny musiała mieć wielką wydajność; w skwarze pustyni musiała skutecznie zapobiegać nagrzewaniu się łatwopalnych, wybuchowych chemikaliów. Już od dłuższego czasu zastanawiał się, jak niezauważenie przedostać się przez stację kontroli. W przeciwieństwie do Giordina nie sądził, by strażnicy Massarde'a mieli osobiście przeglądać wagony i kijami przeganiać włóczęgów, jak to robiła straż kolejowa w Ameryce w czasach Wielkiego Kryzysu. Nie przewidywał też obecności psów. Przy tak wielkim stężeniu wylęgów

chemicznych i spalin - bowiem klimatyzatory także były napędzane małymi silnikami benzynowymi - nawet najwrażliwszy psi nos nie wyczułby obecności człowieka.

Pozostawało więc tylko jedno: kamery telewizyjne. Cała sieć kamer w budynku stacji - oto technika, którą najpewniej posługują się goryle Massarde'a.

- Masz coś do odkręcania śrub? - spytał, nie odwracając głowy, nie sprawdziwszy nawet, czy Giordino już do niego dotarł.

- To się nazywa śrubokręt - zakpił tamten. - A po co ci to?

- Chcę zdjąć boczną ścianę tej skrzyni.

Giordino sięgnął do kieszeni, w której jednak niewiele zostało po rewizji dokonanej na jachcie przez ludzi Massarde'a. Znalazł miedzianego centa i dziesiątkę. Podał obie monety Pittowi.

- To wszystko, czym mogę ci służyć.

Pitt wymacał w ciemnościach śruby mocujące dużą boczną blachę. Było ich dziesięć, na szczęście wszystkie z klasycznym, prostym nacięciem. Mimo to nie był pewien, czy zdąży odkręcić wszystkie na czas. Miedziak okazał się zbyt gruby, ale dziesiątka wchodziła w nacięcie idealnie. Obracał palcami w gorączkowym pośpiechu, najszybciej jak pozwalało mu prymitywne narzędzie.

- Myślisz, że to najlepszy czas na naprawianie klimatyzatora? - spytał niepewnie Giordino.

- Myślę, że oni do przeglądu tych wagonów używają kamer. Jak zostaniemy tu, na wierzchu, na pewno nas wypatrzą. Nasza jedyna szansa to schować się pod tą blachą. Jest dostatecznie duża, żeby przykryć nas obu.

Pociąg jechał już bardzo wolno; pierwsze wagony zbliżały się do stacji kontroli.

- No to się pospiesz! - rzucił Giordino, wyraźnie zdenerwowany.

Pot zalewał Pittowi oczy, ale nie miało to już znaczenia. I tak odkręcał śruby całkiem po omacku. Tymczasem ich wagon wolno lecz nieubłaganie zbliżał się do budynku z kamerami telewizyjnymi. Już trzy czwarte pociągu przejechało przez stację kontroli, a Pitt wciąż jeszcze miał do odkręcenia trzy śruby. Została tylko jedna, kiedy w bramę stacji wjechał wagon poprzedzający. W desperacji Pitt pociągnął gwałtownie blachę, wyrwijąc ostatnią śrubę z gwintu.

- Szybko, włącz! - krzyknął.

Wsunęli się tyłem do skrzyni, oparli plecami o rurki klimatyzatora i podciągnęli kolana pod brody. Potem podnieśli wyrwaną blachę i zasłonili się nią jak tarczą.

- Myślisz, że dadzą się na to nabrać? - spytał Giordino.

- Obraz na ekranach jest dwuwymiarowy. Z kamery ustawionej na wprost nas blacha będzie wyglądać jak nietknięta. Ich wagon wtoczył się powoli w sterylnie biały tunel, z kamerami rozmieszczonymi w ten sposób, że "widziały" podwozie, ściany i dach. Pitt usiłował przytrzymać blachę opuszkami palców; gdyby wystawała choć trochę na zewnątrz, mógłby ją zauważyć strażnik obserwujący monitory. Mimo ich wysiłków blacha wyraźnie odstawała od skrzyni klimatyzatora. Mogli jedynie liczyć na to, że nadzorujący monitory strażnik będzie już zmęczony; po przejrzeniu ponad setki wagonów na dziesięciu ekranach uwaga słabnie, a myśl zaczyna błądzić daleko.

Trwali bez ruchu, spodziewając się w każdej chwili ryku syren i dzwonków alarmowych, ale nic takiego nie nastąpiło. Wagon wytoczył się znów pod rozgwieżdżone niebo i w ślad za innymi dotarł boczną do długiej betonowej rampy. Po drugiej stronie, na równoległym torowisku, stały w regularnych odstępach wielkie dźwigi.

- No nie, bracie - mruknął Giordino. - Chyba nie dam się drugi raz wpakować w to szambo.

Pitt uśmiechnął się i przyjaźnie trącił go łokciem. Ruchem głowy wskazał tył pociągu, gdzie przyczepiony był wagon straży.

- Na razie nie wychodzimy - powiedział. - Nasi przyjaciele wciąż jeszcze tu są.

Czekali nieruchomo w skrzyni klimatyzatora, osłaniając się blaszaną tarczą. Minęło parę minut, zanim pancerny wagon straży został odczepiony. Mała elektryczna lokomotywa odciągnęła go gdzieś daleko. Odczepiono też cztery lokomotywy dieslowskie prowadzące pociąg; przetoczyły się z hukiem na drugą, równoległą boczną, gdzie czekał już równie długi skład wagonów z pustymi kontenerami, gotowy do drogi powrotnej do portu w Mauretanii. Chwilowo bezpieczni, Pitt i Giordino nadal się nie ruszali. Czekali spokojnie na bieg wydarzeń. Peron, oświetlony z góry silnymi jodowymi lampami, wydawał się wymarły. Stały na nim w długim szeregu dziwne, niskie czterokołowe furgony. Koła nie miały opon, nadwozia były całkiem płaskie, i tylko niewielkie, podobne do sterówki pudło z wystającymi reflektorami i obiektywem kamery pozwalało odróżnić przód od tyłu. Pitt chciał już odsunąć blachę, gdy przez szczelinę dostrzegł wysoko w górze jakiś ruch. W samą porę: była to zainstalowana na wysokim maszcie nad peronem kamera TV. Obracała się powoli; lada chwila mogli się znaleźć w jej polu widzenia. Nie poruszając blachy, Pitt jeszcze raz wyjrzał przez szczelinę: wypatrzył cztery inne ruchome kamery.

- Musimy zostać w tej dziurze - ostrzegł. - Mają tu wszędzie zdalnie sterowanych szpiegów.

Znów zamarli pod blaszaną tarczą; zastanawiali się, co robić dalej. Nagle światła na

dźwigach drgnęły i rozległ się pomruk ich elektrycznych silników. Na dźwigach nie było operatorów ani nawet kabin. Musiały być sterowane zdalnie, z centrali mieszczącej się w odległym budynku. Wędrowały wzdłuż pociągu, zatrzymując się przy każdym wagonie.

Poziome wysięgniki wsuwały się w zaczepy kontenera i przenosiły go z lory kolejowej na stojący obok furgon. Potem wysięgniki cofały się, a dźwig przejeżdżał kilkanaście metrów, by powtórzyć tę samą operację z następnym kontenerem. Minęło kilka minut, zanim najbliższy dźwig dotarł do ich wagonu. Pozostali w swojej kryjówce, gdy wysięgniki przenosiły kontener z lory na samochód. Pitt podziwiał precyzję i sprawność przebiegającej bez udziału ludzi operacji. Zaledwie kontener znalazł się na platformie samochodu, usłyszeli cichy szum elektrycznego silnika. Pojazd ruszył po peronie, potem łagodną pochylnią zjechał w otwór sztolni, prowadzącej szeroką spiralą pod ziemię.

- Kto powozi tą bryką? - spytał Giordino.

- Automat - wyjaśnił Pitt. - Oczywiście pod zdalną kontrolą.

Odsunęli blachę, wyszli z kryjówki i prowizorycznie zamocowali osłonę klimatyzatora dwiema śrubami. Potem doczołgali się do przedniej krawędzi kontenera, by obserwować drogę przed pojazdem. Spiralna sztolnia, prawdziwy cud inżynierii górniczej, schodziła wciąż głębiej i głębiej. Byli już co najmniej sto metrów pod pustynną powierzchnią. Po drodze minęli cztery poziome tunele, prowadzące gdzieś w mrok podziemi. Pitt zwrócił uwagę na oznaczenie tuneli: duże znaki graficzne z francuskimi napisami. Do dwóch górnych tuneli kierowane były odpady biologiczne, do dwóch następnych - chemiczne. Dopiero teraz zadał sobie pytanie, co jest w kontenerze, na którym jadą.

Tajemnica pustynnego przedsiębiorstwa, zamiast się wyjaśniać, gmatwała się coraz bardziej. Reaktor, w którym spalano odpady, był najwyraźniej umieszczony głęboko pod ziemią. Po co?! Na zdrowy rozum powinien być raczej na powierzchni, w pobliżu kondensatorów słonecznych. Nagle sztolnia wyprostowała się i przeszła w wielką mroczną jaskinię. Nie było widać jej końca. Imponująca była też wysokość groty: zmieściłaby się w niej czteropiętrowa kamienica. Wykute w skale tunele rozchodziły się we wszystkie strony. Najwyraźniej ludzie wykorzystali tu i rozbudowali niezwykle podziemny twór natury. Choć Pitt wyteżał oczy, nadal nie widział ani jednego człowieka; całą skomplikowaną pracę wykonywały automaty. Elektryczny furgon, którym jechali, posuwając się jak wielka, pracowita mrówka za innym, zagłębił się w boczny tunel, oznaczony czerwoną tablicą z czarną ukośną krechą. Z mrocznej głębi tunelu dobiegły ich różne odbijane echem dźwięki. Ale przejechali jeszcze dobry kilometr, zanim ujrzeli źródło hałasu. Pokonawszy ostatnią krzywiznę tunelu, furgon znalazł się w obszernej komorze, zastawionej od podłogi po sufit żółtymi beczkami. Duży dźwig-robot

otwierał zatrzymujące się przy nim kontenery, wyładowywał z nich beczki z odpadami i ustawiał je na piętrzącej się w głębi komory piramidzie.

Pitt zacisnął zęby w niemym przerażeniu. Nagle zapragnął znaleźć się gdzieś daleko, jak najdalej od podziemnego koszmaru. Bo na wszystkich beczkach znajdował się charakterystyczny symbol materiałów radioaktywnych. Przypadkowo natrafili na najtajniejszą z tajemnic Fort Foureau: podziemne cmentarzysko odpadów nuklearnych, o rozmiarach, o jakich nikomu dotąd nawet się nie śniło. Massarde przez dłuższą chwilę zatrzymał wzrok na monitorze, potem pokręcił głową z podziwem.

- Ci ludzie są niesamowici - mruknął.

- Jak oni się tu dostali? - spytał Felix Verenne, asystent Massarde'a.

- Tak samo, jak uciekli z mojego jachtu, jak ukradli samochód Kazima, jak przejechali niezauważeni pół Sahary. Są po prostu cholernie sprytni i jeszcze bardziej uparci.

- Może by ich tam zamknąć - zasugerował Verenne. - Niech posiedzą w tej komorze, aż zdechną od promieniowania.

Massarde namyślał się przez chwilę, potem pokręcił przecząco głową.

- Nie. Wyślij po nich ludzi. Niech ich dobrze wyszorują po drodze i przyprowadzą tutaj. Chciałbym porozmawiać z panem Pittem zanim go zlikwiduję.



Goryle Massarde'a dopadli ich dwadzieścia minut później, gdy wracali na powierzchnię we wnętrzu pustego kontenera. Drzwi otwarły się gwałtownie w chwili, gdy furgon z kontenerem zatrzymał się na peronie. Zaskoczenie było kompletne, a szansę oporu żadne. W jasnym prostokącie drzwi stało dziesięciu ludzi z gotowymi do strzału pistoletami maszynowymi. Pitt niemal fizycznie poczuł gorzki smak porażki. Dać się złapać Massarde'owi raz można było jeszcze nazwać błędem. Ale dać się złapać po raz drugi - to już była głupota. Patrzył na uzbrojonych strażników bez lęku. Był tylko wściekły na siebie. Mógł przecież trochę bardziej uważać! Teraz nie pozostawało nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość i liczyć na to, że zdarzy się jeszcze jedna, choćby niewyobrażalnie mała szansa ucieczki - zanim Massarde ich wykończy. Obaj powolnym ruchem podnieśli ręce do góry i splekli dłonie na karku.

- Przepraszam, że musieliście się fatygować - rzekł spokojnie Pitt - ale pobrudziliśmy się trochę i szukamy łazienki.

- Chyba nie macie zamiaru zrobić nam nic złego - dodał Giordino.

- Milczeć, obydwaj! - krzyknął po angielsku, niemal bez śladu akcentu, oficer w polowym mundurze armii francuskiej; nawet czerwony beret na głowie miał regulaminowo przekrzywiony. - Podobno jesteście niebezpieczni. A moi ludzie nie mają zwyczaju strzelać w powietrze. Więc nie próbujcie żadnych sztuczek.

- O co tyle hałasu? - spytał niewinnie Giordino. - Zachowujecie się, jakbyśmy wam ukradli beczkę koniaku.

Oficer zignorował zaczepkę.

- Kim jesteście? - spytał tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Ja jestem Rocky, a mój przyjaciel nazywa się... - odparł ironicznie Pitt.

- Bullwinkle - dokończył Giordino. Oficer uśmiechnął się z wyższością.

- Może raczej Dirk Pitt i Albert Giordino?

- Skoro wiesz, to po co pytasz? - uciął Pitt.

- Pan Massarde spodziewał się was tutaj.

- "Nie przyjdzie im do głowy szukać nas w samym sercu pustyni..." - mruknął Giordino, przedrzeźniając tyradę Pitta, wygłoszoną parę dni wcześniej w Bourem.

- Nie nadajesz się na jasnowidza, stary.

- Widocznie wróżyłem nie z tych flisów... - wzruszył ramionami Pitt.

- Jak wam się udało zmylić wartowników? - spytał oficer.

- Przyjechaliśmy pociągiem - odparł Pitt, nie próbując nawet ukrywać prawdy.

- Zaraz... Zamki w drzwiach kontenerów są blokowane kodem magnetycznym. Chyba nie

powiesz, żeście się włamali w czasie jazdy?

- Powiedz lepiej temu dupkowi, który ogląda pociągi na monitorach, żeby się lepiej przyjrzał klimatyzatorom na dachach. To nic trudnego zdjąć osłonę i schować się pod nią.

- Coś podobnego! - zdumiał się oficer. - Ale dziękuję za dobre rady. Osobiście dopilnuję, żeby wasze pomysły zostały opisane w instrukcji dla wartowników.

- Cieszę się - zadrwił Pitt.

- Nie będziesz się długo cieszył, możesz być pewien - odciął się oficer i sięgnął po walkietalkie, - Panie Massarde, mówi kapitan Brunone, szef ochrony zakładu.

- To Pitt i Giordino?

- Tak, mam ich.

- Stawiali opór?

- Nie, poddali się jak baranki.

- Niech pan ich przyprowadzi do mojego biura, kapitanie.

- Tak jest, jak tylko ich oczyścimy.

- Idziemy tam prosić o przebaczenie? - spytał Pitt.

- Widzę, że Amerykanie nigdy nie tracą dobrego humoru - odparł Brunone. - Tak, będziecie mieli okazję przeprosić pana Massarde osobiście. Ale po tym, co zrobiliście z jego helikopterem, nie liczyłbym na waszym miejscu na specjalną łaskawość.

Yves Massarde siedział rozparty w drogim skórzanym fotelu. Nie miał zwyczaju zbyt często się uśmiechać, ale kiedy Pitt i Giordino weszli pod eskortą do gabinetu, szeroki, jowialny uśmiech rozjaśnił jego twarz. Podobnie mógłby się uśmiechać przedsiębiorca pogrzebowy na wieść, że w okolicy wybuchła epidemia tyfusu.

W odróżnieniu od swego szefa, Verenne zachowywał chłodną powagę. Stał przy oknie, z którego rozciągał się widok na cały zakład, i przyglądał się więźniom badawczym, pozbawionym wyrazu spojrzeniem,

- Świetna robota, kapitanie Brunone - odezwał się Massarde. - Widzę, że dostarczył ich pan w dobrym stanie.

On również uważnie przypatrywał się mężczyznom ubranym w czyste, białe fartuchy, na tle których korzystnie prezentowały się zdrowe, opalone twarze. Zwrócił uwagę na ich swobodną obojętność i przypomniał sobie, że tak samo zachowywali się na jachcie.

- A więc są grzeczni?

- Jak uczniaki w czasie lekcji - odparł Brunone. - Zrobili wszystko, co im kazałem.

- To świadczy o rozsądku - mruknął Massarde z aprobatą. Wstał zza biurka i podszedł do Pitta.

- Gratuluję brawurowej wyprawy przez pustynię. Generał Kazim twierdził, że nie przeżyjecie dłużej niż dwa dni.

- Nie polegałbym zbyt na przepowiedniach generała Kazima - rzekł Pitt.

- Ukradł pan i zniszczył mój helikopter, panie Pitt. To będzie pana drogo kosztować.

- Nieładnie postąpił pan z nami na swoim jachcie; niech pan to traktuje jako rewanż.

- A ten stary, ukochany samochód generała Kazima? Co z nim zrobiliście?

- Silnik wysiadł, resztę spaliliśmy - skłamał gładko Pitt.

- Zdaje się, że ma pan brzydki zwyczaj niszczenia cudzej własności, zwłaszcza jeśli jest cenna.

- Fakt, już jako dziecko psułem natychmiast wszystkie zabawki. Doprowadzałem do szau mojego starego.

- No, ja ostatecznie mogę sobie kupić nowy śmigłowiec, ale generał Kazim nie odzyska już swojego Voisina. Na pewno weźmie to pod uwagę, jak dobierze się do was w swoim sławnym gabinecie tortur. To kawał sadysty...

- To się świetnie składa - przerwał Giordino - bo ja akurat jestem masochistą.

Massarde roześmiał się, po czym na jego twarzy pojawił się wyraz zainteresowania.

- Ciekawe, co też was tak ciągnęło do Fort Foureau?

- Spotkanie z panem na jachcie sprawiło nam taką przyjemność, że postanowiliśmy jeszcze raz złożyć panu wizytę...

Dłoń Massarde'a śmignęła w powietrzu dobrze wyćwiczonym bekhendem. Duży diamentowy pierścień rozorał policzek Pitta. Jego głowa zachwiała się od ciosu, ale nogi mocno stały na dywanie.

- Ma pan zamiar wyzwąć mnie na pojedynek? - spytał, maskując ból pod krzywym uśmiechem.

- Nic podobnego. Mam zamiar zanurzać was powoli w kwasie solnym, dopóki nie zaczniecie mówić.

Pitt spojrzał na Giordina, potem znowu na Massarde'a.

- Zgoda, Massarde, powiem. Masz przeciek.

- Nie rozumiem. Mów jaśniej.

- Te twoje świństwa chemiczne, które rzekomo palisz, przeciekają do wód gruntowych i zatrują wszystkie studnie wzdłuż starego koryta rzecznej, aż do Nigru. A dalej płyną do Atlantyku, powodując katastrofę ekologiczną, która zagraża wszelkiemu życiu w oceanach - i nie tylko. Zbadaliśmy tę wyschniętą rzekę i nie mamy wątpliwości, że wszystko zaczyna się tutaj, pod Fort Foureau.

- Stąd do Nigru jest czterysta kilometrów - odezwał się milczący dotąd Verenne. - To niemożliwe, żeby woda pokonała taką drogę pod piaskami pustyni.

- Niemożliwe, ale prawdziwe - rzekł Pitt. - Fort Foureau to jedyne miejsce w Mali, do którego zwozi się odpady chemiczne i biologiczne. Mikstura powodująca cały problem mogła powstać tylko tutaj; to jedyne możliwe źródło. A teraz nie mam już wątpliwości, że zakopujecie odpady zamiast je niszczyć.

Brzydki grymas irytacji wykrzywił usta Massarde'a.

- To nie jest całkiem ściśle, panie Pitt. Palimy odpady w Fort Foureau, i to w wielkich ilościach. - Massarde ruszył w stronę drzwi.

- Proszę za mną, coś wam pokażę.

Poszli za nim, eskortowani przez Brunone'a. Po krótkiej wędrówce korytarzem znaleźli się w dużej sali, której środek zajmowała wielka makieta zakładów. Dokładność odtworzenia była niezwykła. Giordino miał wrażenie, jakby z lotu ptaka oglądał prawdziwe zakłady.

- Czy ten Disneyland ma coś wspólnego z rzeczywistością?- spytał Pitt.

- Wszystko, aż po najdrobniejszy szczegół - odparł poważnie Massarde.

- I pan ma zamiar wygłosić teraz wykład na ten temat?

- I tak zabierzecie tę wiedzę do grobu - odparł Massarde z ponurą satysfakcją.

Laseczką z kości słoniowej wskazał rozległe pole w południowej części makiety, pokryte dużymi płaskimi prostokątami baterii słonecznych.

- Jak widzicie, mamy własne źródła energii - zaczął. - Całą potrzebną moc czerpiemy z systemu baterii fotoelektrycznych: są zrobione z polikrystalicznego krzemu i mają w sumie cztery kilometry kwadratowe powierzchni. Czy wiecie, co to są baterie fotoelektryczne?

- Owszem, słyszeliśmy, że to najtańsze i najwydajniejsze źródło energii - odparł Pitt. - O ile wiem, przekształcają światło słoneczne bezpośrednio w prąd stały.

- Bardzo dobrze - pochwalił Massarde tonem belfra. - Kiedy światło, albo raczej słoneczna energia fotonowa, jak nazywają ją uczeni, uderza w nasze baterie, powstaje w nich prąd. Dużo prądu! Można by nim zasilać trzykrotnie większy zakład.

Przerwał i skierował laseczkę na budynek w pobliżu zespołu baterii.

- Tutaj są przetwornice prądu i blok akumulatorów; ładowane prądem z baterii słonecznych w ciągu dnia, oddają energię w nocy a także w dni pochmurne. To jednak należy do rzadkości w tej części Sahary.

- Imponujące - przyznał Pitt. - Ale mam wrażenie, że wasz system koncentracji energii cieplnej nie jest równie wydajny.

Massarde popatrzył na niego z zaciekawieniem. Ten człowiek wciąż wyprzedzał jego

myśli i zamiary. Wskazał laseczką teren sąsiadujący z bateriami słonecznymi, pokryty parabolicznymi kondensatorami, które widzieli wczoraj z diuny.

- Jest wydajny - stwierdził pewnym głosem. - Dysponuję najnowocześniejszą technologią niszczenia niebezpiecznych odpadów. Te kondensory pozwalają skupić lokalnie energię cieplną tak, jakby świeciło w tym miejscu nie jedno, ale osiemdziesiąt tysięcy słońc. Spalanie odbywa się w dwóch reaktorach kwarcowych. - Wskazał laseczką następne budynki.

- Pierwszy neutralizuje szkodliwe substancje w temperaturze 9 500 stopni Celsjusza, drugi niszczy ewentualne pozostałości w temperaturze 12 000 stopni. To zapewnia całkowitą anihilację wszystkiego, co człowiek zdolny jest wyprodukować.

Pitt patrzył na Massarde'a z podziwem połączonym z wątpliwościami.

- To wszystko brzmi imponująco, nawet metafizycznie - rzekł.

- Ale skoro pańska technologia jest tak skuteczna i wydajna, dlaczego pakuje pan miliony ton odpadów pod ziemię?

- Nie zdaje pan sobie sprawy, ile na świecie jest tego świństwa. Ludzie wymyślili już ponad siedem milionów różnych związków chemicznych; co tydzień chemicy tworzą dziesięć tysięcy nowych. W ciągu roku świat produkuje dwa miliardy ton szkodliwych odpadów. Z tego trzysta milionów w samych tylko Stanach Zjednoczonych i dwa razy tyle w Europie i w Rosji. Część niszczy się w spalarniach, ale większość zakopuje się nielegalnie pod ziemią albo topi w oceanach. Nie ma już gdzie tego wywozić. A ja znalazłem na Saharze idealne, bezpieczne miejsce na wielki śmietnik odpadów przemysłowych. Przy obecnych rozmiarach zakładu Fort Foureau może spalić czterysta milionów ton rocznie. Ale ze wszystkim tu sobie nie poradzę, dlatego buduję podobne zakłady w Australii i na pustyni Gobi; będą przyjmować odpady z Chin i z Dalekiego Wschodu. Poza tym już za dwa tygodnie uruchamiam dużą spalarnię w Stanach Zjednoczonych.

- Bardzo to ładnie o panu świadczy, ale nadal nie tłumaczy, dlaczego zakopuje pan odpady, które zobowiązał się pan zniszczyć; przecież płacą panu za spalanie.

- To kwestia ceny, panie Pitt - przyznał cynicznie Massarde.

- Taniej jest schować pod ziemią, niż spalić.

- I tę samą regułę stosuje pan do odpadów nuklearnych?

- Odpady to odpady. Z punktu widzenia ludzi różnica jest tylko ta, że jedne trują, a inne zabijają promieniowaniem.

- Czyli tak: wziąć forszę, zakopać, zapomnieć i nie przejmować się konsekwencjami?

Massarde wzruszył lekceważąco ramionami.

- Coś z tym paskudztwem trzeba przecież robić! Jeśli nie ja, to ktoś inny. Mój kraj ma

bardzo rozbudowany program nuklearny; pod względem liczby elektrowni atomowych wyprzedza nas tylko Ameryka. Mamy dwa cementarzyska odpadów nuklearnych na własnym terenie, w Soulaines i w La Manche. Niestety, żadne z nich nie jest przystosowane do magazynowania substancji trwale i silnie radioaktywnych. Taki na przykład pluton 239 ma okres połowicznego rozpadu dwadzieścia cztery tysiące lat. A są inne, nawet sto razy trwalsze. Tymczasem stosowane pojemniki, nawet jeśli są całkiem szczelne, nie wytrzymują dłużej niż dziesięć - dwadzieścia lat. Tak więc, jak widzieliście w trakcie nieproszonej wizyty w naszych podziemiach- lokujemy te szczególnie trwale i niebezpieczne substancje tutaj.

- Czyli cały pański uczony wykład o paleniu odpadów oraz cały ten "zakład detoksyfikacji słonecznej" - to tylko fasada?

Massarde uśmiechnął się.

- W jakimś sensie tak. Ale także w dużej mierze prawda: rzeczywiście niszczyliśmy ogromne ilości odpadów.

- Dla zachowania pozorów. - W głosie Pitta pojawił się chłód.

- Jak się panu udało, Massarde, zbudować całą tę cholerną atrapę i nie wzbudzić podejrzeń służb wywiadowczych? Dlaczego satelity szpiegowskie nie wykryły prac górniczych na taką skalę?

- Wykiwałem wszystkich - stwierdził bez żenady Massarde. - Jak tylko uruchomiłem linię kolejową, postawiłem duży budynek i zacząłem kopać pod nim. Urobek wywoziliśmy koleją, w opróżnionych kontenerach wracających do Mauretanii: przydał się tam do budowy portu.

- Chytrze pomyślane! Dostałeś pieniądze za transport w obie strony.

- Nigdy nie zadowolam się pojedynczą korzyścią - przyznał filozoficznie Massarde.

- No tak: nikt nie czuje się oszukany, nikt się nie skarży- kontynuował Pitt. - Żadne agencje ekologiczne nie wtrącają się i nie grożą zamknięciem zakładu. Nikt nie wspomina o zatruciu wód gruntowych. Nikt nie kwestionuje stosowanych metod; a już na pewno nie firmy, które produkują te odpady. Są szczęśliwe, że mogą się ich tak tanio pozbyć.

- W dziedzinie ochrony środowiska - odezwał się Verenne- niewielu jest świętych, którzy praktykowałyby to, co publicznie głoszą. Nikt tu nie jest bez winy, panie Pitt. Wszyscy korzystamy z dobrodziejstw nowoczesnej chemii: benzyny, plastiku, środków dezynfekcyjnych, konserwantów. To typowy przypadek sądu, w którym prokurator jest w cichej zмовie z oskarżonym. To monstrum, którego nie pokona ani pojedynczy człowiek, ani żadna organizacja. To samowystarczalny Frankenstein, którego nie da się już zabić.

- I dlatego, zamiast szukać rozwiązania, wymyśliliście oszustwo.

- Oszustwo?

- Tak! Nie robicie solidnych, trwałych pojemników na odpady; nie wkopujecie się dostatecznie głęboko, poniżej poziomu wód gruntowych. Wszystko byle szybciej, byle taniej. - Pitt ponownie spojrzał na Massarde'a. - Jesteś zwykłym kanciarzem, który bierze ciężkie pieniądze za prymitywne składowisko, zagrażające życiu i zdrowiu ludzi.

Massarde spurpurowiał, ale zdołał opanować wściekłość.

- Mało mnie obchodzi przeciek, który może zabić paru pustynnych włóczęgów za pięćdziesiąt czy nawet sto lat.

- Łatwo ci się powiedziało. - Spojrzenie Pitta było bezlitosne. - Jakbyś nie wiedział, że przeciek jest i że zatruta woda zabija pustynnych nomadów. Nie mówiąc o tym, że lada chwila może spowodować zniszczenie całego życia na Ziemi. Perspektywa zagłady nie zrobiła na Francuzie żadnego wrażenia. Jednakże to, co Pitt powiedział o umierających nomadach, otworzyło klapkę w pamięci Massarde'a.

- Czyżbyście działali w porozumieniu z doktorem Hopperem i jego ludźmi ze Światowej Organizacji Zdrowia?

- Nie, działamy na własną rękę - znów gładko skłamał Pitt.

- Ale wiecie o nich?

- Tak - przyznał Pitt. - Jeśli ci na tym zależy, mogę nawet powiedzieć, że znam osobiście ich biochemika.

- Doktora Evę Rojas? - wycodził Massarde, pilnie obserwując, jakie to wywrze wrażenie.

Pitt dostrzegł pułapkę, ale nie mając już nic do stracenia, postanowił brnąć dalej.

- Trafiłeś.

- Tak? No to spróbuję trafić jeszcze raz.

Tym razem Massarde rzeczywiście zgadywał. Postanowił sprawdzić oryginalną myśl, która dopiero przed chwilą przysłała mu do głowy.

- To ty uratowałeś ją pod Kairem z łap morderców?

- Owszem, przypadkiem byłem w pobliżu. Ty chyba robisz w niewłaściwej branży, Massarde. Mijasz się z powołaniem. Powinieneś być jasnowidzem.

Massarde miał już tego dosyć. Właściwie po co on, szef wielkiego imperium finansowego, traci czas na rozmowy z parą nędznych intruzów, zamiast pozostawić ich swoim goryłom. Skinął na Verenne'a.

- Skończyliśmy pogawędkę. Zawiadom generała Kazima, że może ich zabrać do swojego aresztu.

Twarz Verenne'a po raz pierwszy ożywiła się, przybierając wyraz jadowego węża.

- Z najwyższą przyjemnością.

Z innej gliny ulepiony był jednak kapitan Brunone. Typowy przedstawiciel francuskiej kadry oficerskiej, sprzedał się wprawdzie Massarde'owi za żołd trzykrotnie wyższy niż w armii, zachował jednak wojskowy honor.

- Przepraszam, panie Massarde - powiedział - ale w ręce generała Kazima nie oddałbym nawet wściekłego psa. Ci ludzie wdarli się tu bezprawnie i powinni być ukarani, nie można jednak wydawać ich na tortury takiemu barbarzyńcy.

Massarde zastanawiał się przez chwilę nad słowami oficera.

- Słusznie, całkiem słusznie - rzekł w końcu, dziwnie zadowolony z siebie. - Nie możemy zniżać się do poziomu tego rzeźnika.

Popatrzył na Pitta i Giordino z błyskiem w oku.

- Zawieźcie ich do kopalni złota w Tebezzy. Pani doktor Rojas ucieszy się zapewne na widok pana Pitta; w dobrym towarzystwie lepiej się też pracuje, zwłaszcza łopata.

- Ale co powiemy Kazimowi? - spytał Verenne. - Na pewno miałby ochotę porachować się z nimi osobiście za ten samochód...

- Nieważne - uciął Massarde. - Zanim dowie się, gdzie oni są, będą już martwi.



Prezydent spojrział na Sandeckera znad swego biurka w owalnym gabinecie.

- Dlaczego nie poinformowano mnie o tym wcześniej?

- Ktoś uznał to za sprawę mniejszej wagi, nie mieszczącą się w pańskim kalendarzu spotkań.

Prezydent przeniósł wzrok na szefa urzędu Białego Domu, Earla Willovera.

- Czy to prawda?

Willover, łysiejący pięćdziesięcioletni okularnik z wielkim rudym wąsem, obrócił się w fotelu i spojrział na Sandeckera.

- Konsultowałem pańską teorię czerwonego zakwitu z Krajową Radą Nauki. Nie zgadzają się z opinią, że mógłby stanowić zagrożenie dla świata.

- I nie widzą nic niezwykłego w tym, co dzieje się na środkowym Atlantyku?

- Uczni, a są to niewątpliwe autorytety w dziedzinie oceanografii, uważają, że zakwit jest chwilowy i wkrótce zacznie się cofać, tak jak to bywało w przeszłości.

Willover kierował biurem wykonawczym Białego Domu w stylu Horacjusza, broniącego mostów rzymskich przed naporem etruskiej armii. Tylko nieliczni docierali do owalnego gabinetu, a już nikt nie mógł sobie pozwolić na przedłużenie audyencji lub spory z prezydentem bez narażenia się na gniewny odwet Willovera. Toteż członkowie Kongresu szczerze go nienawidzili - choć nikt nie mówił tego głośno. Prezydent jeszcze raz spojrział na rozłożone przed nim na biurku zdjęcia satelitarne.

- Moim zdaniem - powiedział - tego zjawiska absolutnie nie można lekceważyć.

- Czerwony zakwit rzeczywiście cofa się po pewnym czasie - wyjaśnił Sandecker - jeśli żywi się wyłącznie naturalnymi składnikami wody morskiej. Ale tym razem jest zasilany pewnym związkami kobaltu z syntetycznym aminokwasem. Ta substancja sączy się do oceanu z Afryki zachodniej, stymulując przyspieszone, lawinowe rozmnażanie czerwonych glonów.

Prezydent, były senator ze stanu Montana, wyglądał na człowieka, który lepiej czuje się w siodle niż za biurkiem. Wysoki, chudy, mówił miękkim akcentem Dzikiego Zachodu i do wszystkich zwracał się uprzejmym: "proszę pana", "proszę pani". I rzeczywiście, ilekroć miał okazję uciec na chwilę z Waszyngtonu, jechał na swoje ranczo nad rzeką Yellowstone, nie opodal miejsca sławnej bitwy Custer.

- Jeśli jest tak, jak pan mówi, to rzeczywiście zagrożony jest cały świat.

- Myślę, że wciąż nie doceniamy rozmiarów zagrożenia - ciągnął Sandecker. - Nasi eksperci zrobili komputerową symulację na podstawie najnowszych danych dotyczących tempa rozmnażania tych glonów. Jeśli nie podejmiemy żadnych działań, to do końca przyszłego roku,

a prawdopodobnie nawet wcześniej, wygasną z braku tlenu wszelkie znane dotąd formy życia na Ziemi. Oceany będą martwe już wczesną wiosną.

- To śmieszne! - parsknął Willover. - Przepraszam, admirale, ale to naprawdę przypomina obawy małego Jasia, że niebo spadnie mu na głowę.

Sandecker przeszył go ostrym jak nóż spojrzeniem.

- Nie jestem małym Jasiem, a nadchodząca zagłada jest całkiem realna. To nie dziura ozonowa, której efekty w postaci wzrostu zachorowań na raka pojawią się za dwieście lat. Ani zmiany geologiczne o niewiadomych konsekwencjach czy inna nieznaną plaga. Ani wojna nuklearna z następującą po niej Wieczną Nocą. Ani wielki meteor, który uderzy w planetę i spowoduje liczne kataklizmy. Jeśli ekspansja czerwonych glonów nie zostanie powstrzymana - i to szybko - one wyssają w ciągu roku cały tlen z atmosfery ziemskiej, powodując zagładę wszelkiego życia na powierzchni Ziemi.

- Kreśli pan bardzo ponurą wizję - rzekł prezydent. - Aż trudno to sobie wyobrazić.

- Pozwoli pan, panie prezydencie, że sformułuję to inaczej. Jeśli zostanie pan w tym roku ponownie wybrany, to więcej niż pewne, że nie dożyje pan końca drugiej kadencji. I nie będzie pan miał następcy, bo nie będzie już nikogo, kto mógłby na niego głosować.

Willover nie wierzył ani jednemu słowu Sandeckera.

- Może lepiej, admirale, od razu wyjść na ulicę z transparentem wieszczącym koniec świata dziś o północy? To naprawdę gruba przesada twierdzić, że nadmierna aktywność seksualna jakichś drobnoustrojów doprowadzi w ciągu roku do zagłady ludzkości.

- Fakty mówią same za siebie - stwierdził spokojnie Sandecker.

- Ale termin, który pan przewiduje, to już zwykłe sianie paniki - odparł Willover. - Nawet jeśli fakty są prawdziwe, nasi badacze mają jeszcze dużo czasu na znalezienie rozwiązania.

- Nie mamy tego czasu. Pozwólcie panowie, że zilustruję to w inny sposób. Załóżmy, że czerwony zakwit powiększa się dwukrotnie w ciągu tygodnia. Z obliczeń wynika, że w tym tempie opanuje całą powierzchnię mórz i oceanów za sto tygodni. Jak znam życie, ludzie rządzący tym światem zainteresują się sprawą dopiero wtedy, kiedy glony zajmą już połowę powierzchni wód. Dopiero wtedy uruchomią wielki program badawczy. Czy potrafi pan powiedzieć, panie prezydencie - i pan, panie Willover - ile tygodni pozostanie wtedy badaczom na opracowanie planu walki z tą plagą?

Prezydent spojrział niepewnie na Willovera.

- Nie mam pojęcia - powiedział.

- Ja też nie - przyznał Willover.

Sandecker nie męczył ich dłużej.

- Odpowiedź jest następująca: glony zajmą połowę powierzchni oceanów w dziewięćdziesiąt dziewięć tygodni. A zatem zostanie nam tydzień. Jeden tydzień! Nowy sposób przedstawienia problemu najwyraźniej przemówił do wyobraźni prezydenta.

- Myślę, że obaj musimy się z panem zgodzić, admirale.

- Wiemy już - kontynuował Sandecker - dlaczego ekspansja glonów nie ustaje. Zrobiliśmy więc krok we właściwym kierunku, ale dopiero pierwszy. Następnym musi być odcięcie źródła skażenia. Jednocześnie trzeba pracować nad środkiem, który spowodowałby regres zakwahu, a przynajmniej zahamowanie ekspansji...

- Przepraszam, panie prezydencie - odezwał się Willover - ale musimy kończyć tę rozmowę. Ma pan umówiony lunch z przywódcami większości i mniejszości w Senacie.

- Mogą poczekać - rzucił prezydent z irytacją. - Admirale, czy wie pan już, skąd to świństwo się bierze?

- Jeszcze nie mamy pewności, ale podejrzewamy, że spływa podziemnym strumieniem do Nigru z francuskiego zakładu utylizacji szkodliwych odpadów na Saharze.

- A jak pan to sprawdzi?

- Mój dyrektor Wydziału Badań Specjalnych i jego współpracownik są w tej chwili na terenie zakładów Fort Foureau.

- Ma pan z nimi kontakt? Sandecker zawahał się przez chwilę.

- Nie, niezupełnie.

- Więc skąd pan wie, że tam są? - naciskał Willover.

- Zidentyfikowano ich na zdjęciach z satelitów wywiadowczych: wjechali na teren zakładu pociągiem transportującym odpady.

Prezydent nagle coś sobie przypomniał.

- Ten pański dyrektor to zdaje się Dirk Pitt.

- Tak. Jest z nim Al Giordino.

Prezydent uśmiechnął się do własnych wspomnień.

- To przecież pan Pitt uratował nas przed bombą atomową ukrytą w samochodzie...

- A czy to przypadkiem nie on walczył z flotą Beninu na rzece Niger? - spytał Willover.

- Tak, ale to moja wina - rzekł Sandecker. - Ponieważ nikt nie słuchał moich ostrzeżeń, a Pentagon odmówił pomocy w tej sprawie, wysłałem trzech najlepszych ludzi z NUMA w górę Nigru, żeby szukali źródła skażenia.

- Podjął pan nieuzgodnioną, nielegalną operację przeciw obcemu państwu! - zaatakował z furią Willover.

- Więcej nawet: nakłoniłem Sekretarza Generalnego ONZ, Halę Kamil, by wysłała do

Mali ich grupę taktyczną. To żołnierze ONZ wywieźli bezpiecznie z Afryki mojego człowieka z wynikami badań.

- Mógł pan poważnie zaszkodzić naszej polityce afrykańskiej!

- A jest taka? - zdziwił się szczerze Sandecker. W jego spojrzeniu, wbitym w Willovera, nie było lęku; raczej jawna, nieskrywana pogarda.

- Wykracza pan poza granice swoich uprawnień, admirale. To może zaszkodzić pańskiej karierze - stwierdził chłodno Willover.

Sandecker nie należał do ludzi, którzy unikają walki.

- Ja, panie Willover, mam obowiązki najpierw wobec Boga, potem wobec ojczyzny, po trzecie wobec prezydenta. A pan, podobnie jak moja kariera, lokuje się na tej liście w okolicach osiemdziesiątego szóstego miejsca.

- Panowie, panowie! - wtrącił się prezydent. Surowe zmarszczenie brwi było jednak raczej chwytem teatralnym, niż wyrazem rzeczywistego zagniewania. W głębi ducha prezydent lubił potyczki słowne między współpracownikami. Ale, skoro wszedł już w rolę, grał ją dalej.

- Nie mam ochoty słuchać jałowych kłótni. Mamy tu do czynienia z rzeczywistym, poważnym problemem i musimy teraz solidnie popracować nad rozwiązaniem.

Willover wydał teatralne westchnienie rozpaczy.

- Oczywiście, zastosuję się do pańskich poleceń.

- Ja również. Jeśli już nie będę musiał rzucać słów na wiatr i otrzymam wreszcie wsparcie w walce z tą plagą, nie będę stwarzał żadnych dodatkowych problemów.

- Od czego powinniśmy zacząć pańskim zdaniem? - wrócił do tematu prezydent.

- Badacze NUMA pracują pełną parą nad substancją chemiczną, która niszczyłaby lub neutralizowała czerwone glony, nie zakłócając jednocześnie równowagi biologicznej w oceanie. A co do źródła skażenia: jeśli Pitt potwierdzi, że znajduje się ono w Fort Foureau, poproszę pana, panie prezydencie, o użycie wszystkich swoich możliwości w celu zamknięcia tego zakładu.

Przez chwilę panowała ciężka cisza, potem odezwał się Willover.

- Jeśli nawet przyjmimy, że admirał ma rację, że konsekwencje mogą być aż tak straszliwe, to przecież nie da się, ot tak, decyzją prezydenta USA, zamknąć na terenie Mali wielkiego francuskiego przedsiębiorstwa; tu wchodzi w grę interesy dwu suwerennych państw.

- Trudno też byłoby znaleźć usprawiedliwienie - dodał prezydent - gdybym wydał naszemu lotnictwu rozkaz zniszczenia zakładu.

- Tu potrzebna jest daleko posunięta ostrożność, panie prezydencie. - Willover znów poczuł się mocno w siodle. - Wkraczamy na bardzo grząski grunt.

Prezydent zwrócił się do Sandeckera.

- Co mówią na ten temat badacze z innych krajów? Czy w ogóle mają świadomość zagrożenia?

- Obawiam się, że nie w pełni.

- A jak wyście na to wpadli?

- Dwa tygodnie temu jeden z ekspertów NUMA, zajmujący się badaniem prądów morskich, przypadkowo zauważył na zdjęciach satelitarnych nienormalnie dużą plamę czerwonego zakwitu i zaczął systematycznie ją obserwować. Ponieważ okazało się, że plama rośnie w niewiarygodnym tempie, natychmiast złożył mi raport. Po wstępnej analizie postanowiłem nie upowszechniać raportu, dopóki nie zapanujemy nad tym zjawiskiem.

- Nie ma pan prawa podejmować takich decyzji samodzielnie! - zaatakował znowu Willover.

Sandecker wzruszył tylko ramionami.

- Urzędowy Waszyngton był całkiem głuchy na moje ostrzeżenia. - Uznałem, że nie mam wyboru, że muszę działać sam.

- Jakie kroki proponuje pan w pierwszej kolejności? - spytał prezydent.

- Na razie możemy jedynie kontynuować zbieranie i analizę informacji. Hala Kamil podjęła się zwołać w Nowym Jorku specjalne zamknięte posiedzenie ekspertów - oceanografów z ONZ. Mam tam przedstawić sytuację, a następnie zmontować międzynarodowy zespół roboczy. Umożliwi to koordynację prac badawczych i szybką wymianę informacji, i przyspieszy - mam nadzieję - rozwiązanie problemu.

- Daję panu pełną swobodę poczynić, admirale. Proszę informować mnie o wszystkich postępach prac; może pan dzwonić o każdej porze, nawet w nocy. A pan - prezydent zwrócił się do Willovera - niech jak najszybciej zawiadomi o tym Sekretarza Stanu i Krajową Radę Bezpieczeństwa. Jeśli to rzeczywiście wycieka z Fort Foureau, a Francja i Mali nie zechcą nam pomóc, będziemy musieli zająć się tym zakładem na własną rękę.

Willover aż podskoczył z wrażenia.

- Panie prezydencie, stanowczo doradzałbym więcej cierpliwości w tej sprawie. Jestem przekonany, że ta plaga, czy jakkolwiek to nazwiemy, cofnie się sama; to jest opinia wybitnych, powszechnie szanowanych uczonych, do których można mieć zaufanie.

- A ja mam zaufanie do admirała Sandeckera - odparował prezydent. - Przez wszystkie te lata, które spędziłem w Waszyngtonie, nie popełnił żadnego błędu.

- Dziękuję, panie prezydencie - rzekł Sandecker. - Ale jest jeszcze jedna sprawa.

- Tak?

- Jak wspomniałem, Pitt i Giordino przedostali się do Fort Foureau. Gdyby, nie daj Boże, schwytała ich służba bezpieczeństwa - wszystko jedno, malijska czy francuska - musimy zrobić wszystko, żeby ich uwolnić! Uzyskane przez nich informacje są dla nas bezcenne.

- Panie prezydencie, błagam! - interweniował Willover. - Jeśli dla ratowania tych ludzi wyśle pan naszych marines albo grupę "Delta" na obce terytorium, a choćby słówko przecieknie do prasy, możemy mieć paskudne kłopoty polityczne.

Prezydent pokiwał głową w zamyśleniu.

- Bardzo mi przykro, admirale, ale w tej sprawie zgadzam się z Earlem. Będziemy musieli wymyślić coś innego dla ratowania pańskich ludzi.

- Wspomniał pan, że jednego z nich, tego, który zbierał dane o skażeniu Nigru, wyciągnął z Afryki oddział ONZ - zauważył Willover.

- Tak, Hala Kamil bardzo mi pomogła, kierując do tej akcji Taktyczną Grupę Szybkiego Reagowania.

- Więc może przekonają pan, aby jeszcze raz użyła tego oddziału, gdyby Pitt i Giordino wpadli.

- Ukrzyżują mnie, jak Bóg na niebie - przyłączył się do argumentacji Willovera prezydent - jeśli wyśle na pustynię amerykańskich chłopców, żeby zabijali Francuzów.

Na twarzy Sandeckera odmalowało się rozczarowanie.

- Wątpię, czy zdołam ją przekonać, by zrobiła to po raz drugi.

- Zwrócę się do niej w tej sprawie osobiście - powiedział prezydent.

- Nie zawsze może być tak, jak pan chce, admirale! - triumfował Willover.

Sandecker westchnął ciężko, zrezygnowany. Najwyraźniej cały jego wykład o straszliwych skutkach ekspansji czerwonych glonów nie zapadł dostatecznie głęboko w świadomość rozmówców. Jego zadanie stawało się coraz trudniejsze, coraz bardziej niewdzięczne. Wstał i popatrzył lodowatym wzrokiem na prezydenta i Willovera. Lodowaty był także ton, jakim przemówił.

- Przygotujcie się, panowie, na najgorsze. Bo jeśli nie zdołamy zatrzymać ekspansji glonów, zanim dotrą do północnego Atlantyku i do Oceanu Indyjskiego, zagłada jest pewna.

Odwrócił się i w milczeniu opuścił owalny gabinet.

Tom Greenwald siedział w swojej pracowni w Pentagonie przed wielkim ekranem. Komputer powiększał kolejne zdjęcia, przekazane przez satelitę szpiegowskiego Pyramider. Wczoraj Greenwald zmienił nieznacznie jego orbitę, tak aby przebiegała nad tą częścią Sahary, gdzie przedtem na zdjęciach ze starego GeoSata zauważył samochód i dwóch ludzi. Nikt z przełożonych nie dał mu zgody na tę kosmiczną interwencję, ale nie przejmował się tym; jeśli

tylko zdoła skierować Pyramidera z powrotem na starą orbitę - nad Ukrainę, gdzie trwa wojna domowa - nikt się nie połapie. Zresztą na Ukrainie nie dzieje się nic ciekawego. Ot, małe lokalne potyczki z powstańcami. Chyba tylko wiceprezydent interesuje się zdjęciami z tamtych okolic. Prezydencka Rada Bezpieczeństwa ma dziś całkiem inne problemy, takie choćby jak tajemnicze wojskowe instalacje nuklearne w Japonii. Greenwald naruszył obowiązującą go instrukcję wyłącznie z ciekawości. Chciał dokładniej przyjrzeć się ludziom, których dostrzegł na pustyni. Użycie Pyramidera pozwoliło mu nie tylko upewnić się, że to Pitt i Giordino, ale także dokładnie śledzić ich pomyslną podróż pociągiem do zakładów Fort Foureau. Z najnowszych zdjęć wynikało jednak, że wydarzenia przybrały tragiczny obrót. Greenwald widział dwóch mężczyzn, prowadzonych pod eskortą do helikoptera. Mimo iż zdjęcia zrobiono z odległości kilkuset kilometrów, twarze Pitta i Giordino były na nich niemal równie wyraźne, jak na paszportowych fotografiach, przysłanych z NUMA przez Chipa Webstera. Wstał, podszedł do biurka i zadzwonił do Chipa.

- Halo? - odezwał się już po drugim sygnale głos Webstera.

- Cześć, Chip. Mówi Tom Greenwald.

- Masz coś dla mnie?

- Złe wiadomości. Złapali twoich chłopaków.

- Cholera! Nie to chciałem usłyszeć.

- Załadowali ich do helikoptera, w kajdankach. Prowadziło ich co najmniej dziesięciu uzbrojonych ludzi.

- Dokąd poleciał ten helikopter?

- Dokładnie nie wiem. Mój satelita opuścił tę strefę zaledwie minutę po starcie śmigłowca. Wiem tylko, że ruszyli na północ.

- Jeszcze dalej na pustynię?!

- Na to wygląda.

- Admirał Sandecker nie będzie tym zachwycony.

- Domyślam się - rzekł Greenwald. - Będę dalej śledził tę sprawę. Jak zobaczę coś nowego, natychmiast zadzwonię.

- Dziękuję ci, Tom. Mój dług wdzięczności coraz bardziej rośnie.

Greenwald odłożył słuchawkę i jeszcze raz spojrział na monitor.

- Nieszczęśni głupcy - mruknął. - Nie chciałbym być w ich skórze!

Na pustynnym lądowisku Tebezzy czekał już komitet powitalny. Nie składał się on jednak z lokalnych dygnitarzy. Zza celowników pistoletów maszynowych patrzyli na nich w milczeniu dwaj Tuaregowie, trzeci starannie zamknął na ich rękach i nogach ciężkie kajdanki, połączone łańcuchami. Stan łańcuchów i kajdanek wskazywał na wielokrotne, długotrwałe używanie. Potem popchnięto ich brutalnie w stronę małej, odkrytej ciężarówki. Jeden z Tuaregów zasiadł za kierownicą, dwaj inni ulokowali się na skrzyni, razem z więźniami. Trzymali broń w pogotowiu na kolanach i przez szczeliny błękitnych zawojów, spowijających ich głowy, czujnie obserwowali Pitta i Giordina. Gdy ciężarówka ruszyła z pustynnego lądowiska, Pitt oderwał wzrok od strażników. Helikopter, który ich tu przywiózł z Fort Foureau, wystartował w drogę powrotną i szybko rozpląnął się w rozpalonym, migotliwym powietrzu. Pitt zastanawiał się nad szansami ucieczki z tego miejsca. Rozejrzał się w koło. Nie było widać żadnych ogrodzeń, drutów, wież strażniczych. Oczywiście, nie były potrzebne. Wszelkie próby pieszej ucieczki przez setki kilometrów pustyni były z góry skazane na niepowodzenie. Mimo takiej konkluzji postanowił nie poddawać się pesymizmowi. Musiały być jakieś szansę ratunku. Jechali przez nagą pustynię bez śladu roślinności. Niskie, bure pagórki wystawały tu i ówdzie z morza olśniewająco białego piasku. Przed nimi, na zachodzie, rysowała się stroma skarpa skalistego płaskowyżu. Był to krajobraz niehumaniczny, złowrogi, a jednak nacechowany jakimś szczególnym, trudnym do określenia pięknem. Pitt przypomniał sobie, że już coś takiego widział. Wiele lat temu, w kinie, na starym filmie "Pieśń pustyni"; tyle że tam była to tylko malowana dekoracja. Oparty plecami o burtę ciężarówki, wychylił lekko głowę, by zobaczyć drogę przed kabiną. To, co ujrzał, nie zasługiwało na nazwę drogi. Jedynie ślady kół na piasku, prowadzące prosto w stronę płaskowyżu. Zdziwiło go, że w zasięgu wzroku nie ma żadnych śladów działalności ludzi: ani budynków, ani pojazdów czy maszyn, ani nawet hałd, jakie zawsze towarzyszą kopalniom. Zaczął się nawet zastanawiać, czy cała ta "kopalnia w Tebezzy" nie jest jakąś kolejną wielką mistyfikacją Massarde'a. Po dwudziestu minutach jazdy samochód zwolnił i wjechał w ciasny wąwóz, wcinający się w płaskowyż. Już po chwili koła zagrzebały się w miękkim piasku pokrywającym dno wąwozu. Strażnicy i więźniowie wspólnym wysiłkiem przepchnęli ciężarówkę na twardy grunt. Potem przejechali jeszcze prawie kilometr, zanim wąwóz przeszedł w tunel. Był tak ciasny, że ciężarówka niemal ocierała się o skalne ściany. Po chwili dotarli do wielkiej podziemnej hali.

Furgonetka zatrzymała się przed wejściem do jasno oświetlonego tunelu. Strażnicy zeskoczyli na ziemię. Posłuszni ich wymownym gestom, pod lufami pistoletów Pitt i Giordino szybko opuścili skrzynię pojazdu, choć łańcuchy, krępujące ręce i nogi, nie ułatwiały im ruchów.



Strażnicy popchnęli ich w głąb tunelu. Poszli, nie stawiając oporu. Panujący w tunelu chłód podziemi wydawał się rajem po zewnętrznym upale. Tunel przeszedł w wąski korytarz; ściany były otynkowane, podłoga wyłożona terakotą. Minęli długi szereg łukowatych wejść, zamkniętych staroświeckimi, kasetonowymi drzwiami. Ostatnie drzwi były szersze od innych, dwuskrzydłowe. Tuaregowie wepchnęli więźniów do środka i weszli za nimi. Pitt i Giordino z najwyższym zdumieniem spostrzegli, że znajdują się w luksusowym wnętrzu biurowym, jakiego nie powstydzilaby się zamożna korporacja z siedzibą przy Piątej Alei w Nowym Jorku. Gruby niebieski dywan na podłodze idealnie harmonizował z nieco jaśniejszym błękitem ścian, ozdobionych fotografiami wspaniałych wschodów i zachodów słońca na pustyni. Ocienione lampy rzucały spod sufitu łagodne światło. Na środku pokoju stało biurko z akacjowego drewna, po bokach miękka sofa i fotele obite szarą skórą. W ścianie za biurkiem znajdowały się następne drzwi; po obu ich stronach, niczym kapłani pilnujący wejścia do sanktuarium, stały w dumnych pozach dwie figury z brązu. Naturalnej wielkości posągi przedstawiały mężczyznę i kobietę w tradycyjnych strojach Tuaregów. W pokoju było chłodno, ale sucho. W powietrzu unosił się delikatny zapach kwiatu pomarańczy. Za biurkiem siedziała młoda, piękna kobieta o niezwykłych szarofiołkowych oczach i długich czarnych włosach, które spływały po oparciu krzesła aż do jej bioder. Uroda dziewczyny była zdecydowanie śródziemnomorska, ale Pitt nie potrafił dokładniej określić kraju jej pochodzenia. Przez dłuższą chwilę przyglądała się obu Amerykanom obojętnie, jak handlarz taksujący kolejną partię towaru. Potem wstała z krzesła, prezentując podobną do klepsydry figurę, ciasno owiniętą w strój przypominający indyjskie sari. Otworzyła drzwi między rzeźbami i w milczeniu, gestem ręki skierowała ich do środka. Weszli do dużego pokoju z wysokim łukowatym sklepieniem. Cały pokój, obstawiony ze wszystkich stron regałami pełnymi książek, był właściwie jedną wielką rzeźbą, wykutą w litej skale. W głębi z podłogi pokoju wyrastało ogromne biurko w kształcie podkowy; leżały na nim w nieładzie jakieś szkice i diagramy techniczne. Bliżej drzwi, między dwiema kamiennymi ławami, znajdował się także stolik do kawy z misternie rzeźbionymi krawędziami. Oprócz książek i papierów na biurku jedynym przedmiotem nie wykutym z kamienia był miniaturowy drewniany model chodnika górniczego, z widocznymi stemplami i figurkami pracujących ludzi.

W odległym kącie pokoju stał niezwykle wysoki mężczyzna, zajęty przeglądaniem książki. Miał na sobie długą, powłóczystą, fioletową szatę pustynnych nomadów i biały zawój na głowie. Zupełnie jednak nie pasowało do tego stroju coś, co wystawało spod burnusa: wysokie kowbojskie buty z wężowej skóry. Pitt i Giordino musieli długo czekać, zanim oderwał wzrok od książki i omiół ich przelotnym spojrzeniem. Zaraz zresztą znów zagłębił się w książce, jakby więźniów nie było już w pokoju.

- Ładnie tutaj - odezwał się głośno zniecierpliwiony Giordino; jego głos odbił się od ścian twardym echem. - Musiało to pana kosztować majątek.

- Chociaż przydałyby się jakieś okna - dodał Pitt, przebiegając wzrokiem długie szeregi książek na półkach. - Albo jeszcze lepiej świetlik z witrażem w suficie.

Mężczyzna odstawił książkę na półkę i popatrzył na nich z rozbawieniem.

- Świetlik? Trzeba by przewiercić sto dwadzieścia metrów litej skały, żeby dostać się na powierzchnię. Chyba szkoda pieniędzy. A i moi pracownicy mają bardziej użyteczne zajęcia.

- Chciał pan powiedzieć: niewolnicy - rzekł Pitt.

Olbrzym wzruszył ramionami.

- Co za różnica - robotnicy, niewolnicy, więźniowie? Tu, w Tebezzy, wszystkie te słowa znaczą to samo. - Ruszył wolno ze swego miejsca w kącie i podszedł do nich.

Nigdy jeszcze Pitt nie widział z bliska człowieka, który przerastałby go prawie o dwie głowy. Musiał odchylić się mocno do tyłu, by popatrzeć mu prosto w oczy.

- A my - powiedział - jesteśmy najnowszym uzupełnieniem tej armii termitów?

- Pan Massarde z pewnością poinformował panów, że praca w kopalni jest mimo wszystko mniej bolesna niż tortury, jakie niewątpliwie zafundowałby wam generał Kazim. Powinniście więc być wdzięczni.

- Nie sądzę, abyśmy mieli tu dużo większe szanse, panie...

- O'Bannion. Selig O'Bannion. Jestem szefem tej kopalni. A co do szans, to istotnie, nie ma żadnych. Kto raz zjedzie w te lochy, nie wychodzi z nich już nigdy.

- Nawet na własny pogrzeb? - spytał Giordino bez odrobiny strachu.

- Mamy tu podziemną kryptę dla tych, którzy padną.

- Więc jest pan takim samym mordercą jak Kazim - rzekł Pitt. - A może nawet gorszym.

O'Bannion puścił mimo uszu obraźliwe słowa Amerykanina.

- Czytałem dużo o pańskich podmorskich wyczynach, panie Pitt. - Pańskie raporty na temat kopalni podmorskich są fascynujące. To dla mnie wielka przyjemność poznać kogoś dorównującego mi intelektem. Mam nadzieję, że zechce pan od czasu do czasu zjeść ze mną obiad; porozmawiamy o naszych inżynierskich doświadczeniach.

Twarz Pitta przybrała lodowaty wyraz.

- Przywileje natychmiast po uwięzieniu? Nie, dziękuję. A obiady wolałbym jadać raczej w towarzystwie wielbłąda.

Wargi O'Banniona wygięły się nieznacznie.

- Jak pan uważa, panie Pitt. Może zmieni pan zdanie, jak popracuje pan parę dni pod opieką Meliki.

- Kto to jest Melika?

- Moja brygadziarka. Ma skłonności sadystyczne. Jesteście obaj, jak widzę, w niezłej kondycji, więc pewnie będzie musiała poświęcić wam trochę więcej czasu. Ale zapewniam was, że jak się znowu spotkamy, będziecie już tylko małymi, posłusznymi robaczkami.

- To jest kobieta? - spytał Giordino z niedowierzaniem.

- Kobieta. Ale takiej nigdy jeszcze nie widzieliście.

Pitt milczał, pogrążony w myślach. Cały świat słyszał o saharyjskich kopalniach soli. W wielu językach jest to nawet idiom, oznaczający szczególnie ciężką pracę. Ale saharyjska kopalnia złota, obsługiwana przez niewolników, to była absolutna nowość. Niewątpliwie zyski z tego zbrodniczego przedsięwzięcia czerpał generał Kazim, ale Pitt wyczuwał w tym także geniusz Massarde'a. Fałszywa spalarnia odpadów, katorżnicza kopalnia złota i Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze. To tylko niektóre elementy wielkiej międzynarodowej gry, rozgałęzionej jak macki ośmiornicy na wszystkie kontynenty; gry nie tylko o pieniądze, ale i o niewiarygodną władzę.

O'Bannion podszedł do biurka i nacisnął guzik. W otwartych drzwiach pojawili się dwaj strażnicy i stanęli za więźniami. Giordino spojrzał na Pitta, czekając na jakiś sygnał - skinienie czy choćby ruch oczu - do wspólnego ataku na strażników. Był gotów walczyć nawet z nosorożcem, jeśli tylko Pitt da znak. Ale Pitt stał nieruchomo i martwo, jakby ucisk kajdanek na rękach i nogach osłabił jego wolę życia. A przecież nie mógł pozwolić sobie na rezygnację: musiał, zanim umrze, przekazać Sandeckerowi tajemnicę Fort Foureau, musiał przynajmniej podjąć taką próbę.

- Czy mogę wiedzieć, dla kogo będę teraz pracował? - spytał.

- A jeszcze pan nie wie? - odparł drwiąco O'Bannion.

- Massarde i jego kumpel Kazim?

- Nieźle, dwa celne trafienia na trzy możliwe!

- Kto jest trzeci?

- Ja, oczywiście - wyjaśnił spokojnie O'Bannion. - Układ jest taki: Entreprises Massarde zapewniają sprzęt i zajmują się sprzedażą złota; Kazim dostarcza siły roboczej; ja kieruję pracami górniczymi i czyszczeniem rudy. To jest sprawiedliwe, ponieważ to ja odkryłem tu żyłę złota.

- Ile z tego ma naród malijski? - spytał retorycznie Pitt.

- A dlaczego miałby coś mieć? Co ten naród żebraków zrobiłby z bogactwem, gdyby dostał je w swoje ręce? Roztrwoniliby albo pozwoliliby rozdrapać różnym zagranicznym przedsiębiorcom, którzy są specjalistami w wyzyskiwaniu trzeciego świata. Nie, panie Pitt,

biedni niech lepiej zostaną biedni. Zresztą świat byłby strasznie nudny, gdybyśmy wszyscy byli bogaci.

Pitt miał ochotę zapytać, czy O'Bannion chwali się publicznie tą filozofią, ale widząc jego znudzenie, postanowił szybko zmienić temat.

- Ilu ludzi umiera tu w ciągu roku?

- Różnie. Czasem dwieście, czasem trzysta osób, zależnie od tego, czy dużo jest wypadków, czy trafi się jakaś epidemia. Szczerze mówiąc, nie prowadzę dokładnych rachunków.

- Pańscy "robotnicy" nie strajkują? - raczej stwierdził niż spytał Giordino.

- Och, mogą strajkować, ale tu obowiązuje zasada: kto nie pracuje, ten nie je. Oczywiście Melika ma swoje sposoby, żeby zachęcić ich do pracy. Najbardziej aktywnych buntowników obdziera po prostu ze skóry.

- Nie jestem najlepszy w machaniu łopata - zastrzegł Giordino.

Szybko nabierze pan wprawy. Jeśli nie, lub też jeśli będzie pan sprawiał kłopoty, zostanie pan przeniesiony do karnej sekcji. - O'Bannion spojrział na zegarek. - No, czas na was. Macie przed sobą piętnastogodzinną szychtë.

- Nic nie jedliśmy od wczoraj! - zaprotestował Pitt.

- Dzisiaj też nie będziecie jeść. - CTBannion dał znak strażnikom, by wyprowadzili więźniów i wrócił do swoich książek.

Strażnicy wypchnęli ich z gabinetu. Przy biurku sekretarki stali dwaj mężczyźni w brązowych kombinezonach i kaskach z górniczymi lampami. Nie zwrócili uwagi na więźniów; rozmawiali cicho po francusku, oglądając kawałek rudy pod szkłem powiększającym. Po krótkiej wędrówce korytarzem Pitt i Giordino, pod eskortą strażników, dotarli do windy, w której czekał na nich jeszcze jeden uzbrojony Tuareg. W niczym nie przypominała dźwigów kopalnianych: jak w przeciętnym biurowcu miała chromowane ściany i miękką wykładzinę na podłodze. Drzwi zamknęły się i winda pomknęła w dół z cichym szumem. Podróż w czeluście ziemi trwała długo; wydawało się, że nigdy się nie skończy. W otworze drzwi migwały kolejne mroczne tunele. Pitt oceniał, że zagłębili się na kilometr, gdy winda najpierw zwolniła, a potem całkiem stanęła. Operator otworzył drzwi. Zobaczyli wąski tunel, biegnący poziomo w litej skale. Strażnicy wyprowadzili ich z windy. Już po paru krokach okazało się, że dalsza część sztolni jest zamknięta ciężkimi, żelaznymi drzwiami. Jeden ze strażników wyjął z kieszeni burnusa pęk kluczy, otworzył zamek, przepchnął więźniów przez próg i szybko zamknął za nimi żelazne wrota. Zostali sami. Sztolnia była tutaj znacznie szersza niż na pierwszym odcinku; środkiem biegły wąsko rozstawione stalowe szyny. Giordino zaczął od badania drzwi. Miały co najmniej dwa cale grubości; nie było żadnej klamki ani uchwytu.

- Tędy nie wyjdziemy, chyba że zdobędziemy klucz - stwierdził.
- To nie jest winda dla robotników - zauważył Pitt. - Tylko dla O'Banniona i jego ludzi.
- To znaczy, że jest inna, którą wywożą rudę. Spróbujemy uciec tamtędy.

Pitt namyślał się przez chwilę.

- Nie - powiedział - nie zgadzam się. Albo winda dyrektorska, albo żadna.

Zanim Giordino zdążył spytać dlaczego, usłyszeli łoskot kół na szynach i głośnie buczenie elektrycznego silnika. Zza zakrętu sztolni wyłoniła się mała lokomotywa, ciągnąc długi sznur pustych wagoników. Prowadząca pociąg Murzynka zatrzymała lokomotywę, wstała z siodełka i podeszła do Amerykanów. Po raz pierwszy w życiu Pitt patrzył na istotę ludzką, której ciało było równie szerokie jak wysokie. Nigdy jeszcze nie widział kobiety tak przeraźliwie brzydkiej. Mogła śmiało uchodzić za model dla maszkar, zdobiących okapy dachów gotyckich katedr. W ręku trzymała gruby skórzany pejcz.

- Jestem Melika, brygadzistka - odezwała się chrapliwym głosem. - Macie mnie słuchać i o nic nie pytać. Zrozumiano?

- To dla mnie nowość: słuchać rozkazów kogoś, kto przypomina ropuchę z nadwagą - uśmiechnął się Pitt.

Dostrzegł błyskawiczny ruch pejcza, ale zbyt późno, by się uchylić lub zasłonić. Uderzenie w policzek było tak silne, że zobaczył gwiazdy. Zatoczył się na ścianę sztolni; przez moment był całkiem zamroczony.

- Zły dzień mam dzisiaj - mruknął. - Wszyscy mnie biją.

- Mała lekcja posłuszeństwa na początek! - warknęła Melika, po czym z szatańską zręcznością, zupełnie niewiarygodną w tak masywnym ciele, wymierzyła następny cios; tym razem obiektem ataku był Giordino.

Ale nie była dostatecznie szybka. Giordino, w przeciwieństwie do Pitta, przewidział ten ruch. Chwycił rozpędzony przegub ręki Murzynki żelaznym uściskiem. Dwa muskularne ramiona przez chwilę zmagaly się w powietrzu jak przy jarmarcznej próbie sił. Melika miała siłę wołu. Toteż z najwyższym zdumieniem i bezradną wściekłością patrzyła na niskiego, niepozornego mężczyznę, który stawiał jej skuteczny opór. Nigdy jeszcze jej się to nie zdarzyło. Tymczasem Giordino drugą ręką wyrwał z zaciśniętej dłoni Meliki pejcz i cisnął go do najbliższego wagonika.

- Ty parszywy gnoju - syknęła. - Zapłacisz mi za to! Giordino wydał wargi i przesłał jej szyderyczy pocałunek.

- Od nienawiści jeden krok do miłości - zakpił.

Nadmiar pewności siebie zgubił go jednak. Wykorzystując moment jego nieuwagi Melika

kopnęła go kolanem w podbrzusze. Natychmiast rozluźnił uchwyt i zwałił się na ziemię, jęcząc z bólu. Na twarzy Meliki pojawił się diabelski uśmiech triumfu.

- Durnie! Teraz dopiero zobaczycie, jak wygląda piekło. Sami tego chcieliście!

Nie traciła czasu na dalsze rozmowy. Podniosła pejcz i wskazała nim puste wagoniki.

- Włazić! - ryknęła.

Pięć minut później zatrzymała pociąg na rozjazdach, przetoczyła lokomotywę i popchnęła cały skład w boczny chodnik. Sprawiał wrażenie świeżo wydrążonego. Drogę znaczyły słabe żarówki przyczepione do drewnianych stempli. Nagle przez łoskot kół przebiły się ludzkie głosy. Za kolejnym zakrętem chodnika pojawiła się duża grupa więźniów pod nadzorem Tuaregów uzbrojonych w baty i pistolety maszynowe. Śpiewali do marszu, albo raczej zawodzili żałośnie. Byli to wyłącznie Afrykanie, choć - sądząc z rysów twarzy - pochodzili z różnych plemion. Jedno ich jednak łączyło: przerażający stan fizyczny. Wyglądali gorzej niż ożywione trupy ze starych filmów grozy. Szli wolno, przygarbieni, powłócząc nogami. Byli w łachmanach, niektórzy tylko w podartych szortach. Pył skalny grubą warstwą oblepiał spocone ciała. Szklisty, nieprzytomny wzrok i sterczące pod skórą żebra świadczyły o głodowej diecie. Wszyscy mieli jakieś blizny lub otwarte rany. U wielu rąk brakowało palców, wokół krwawych kikutów owinięte były brudne bandaże. Przyczyna urazów wyjaśniła się już po chwili. Pociąg zatrzymał się w dużej komorze, w której piętrzyło się rumowisko świeżo odstrzelonych skał. Okaleczeni więźniowie byli ofiarami nieostrożnie używanych materiałów wybuchowych.

- Wysiadać! - ryknęła znowu Melika i zabrała się do odczepiania lokomotywy.

Pitt pomógł wciąż jeszcze obolałemu koledze wydostać się przez wysoką burtę wagonika. Stanęli w bezsilnej złości przed beczkowatą brygadzystką. Jej grube wargi wykrzywiły się w sztucznym uśmiechu.

- Już niedługo będziecie wyglądać jak tamta hołota.

Najwyraźniej sama myśl o tym sprawiała jej przyjemność. Pitt i Giordino byli na razie w świetnej formie, nierównie lepszej niż większość więźniów przybywających do Tebezzy. Tym większa będzie jej satysfakcja, jeśli już za parę dni również oni będą tylko parą znękanych, zdychających zwierząt.

- Dzisiaj ładujecie urobek do wózków. Jak napełnicie wszystkie, będziecie mogli coś zjeść i przespać się. Co jakiś czas będzie tu zaglądał strażnik. Jeśli przyłapie was na kimaniu, dostaniecie dodatkową robotę.

Pitt chciał ją jeszcze o coś zapytać, ale nie otworzył ust. Na razie rzeczywiście lepiej było położyć uszy po sobie. Patrzyli na wielotonowy stos rudy i długi rząd pustych wagoników. Zadanie było niewykonalne: dwóm ludziom, w dodatku skrupowanym kajdanami, musiałoby to

zająć co najmniej czterdzieści osiem godzin nieprzerwanej pracy.

Melika włączyła na lokomotywę i pokazała ręką kamerę telewizyjną osadzoną na wysokim krzyżaku w kącie komory.

- Nie próbujcie wiać. Jesteście pod stałą obserwacją. Zresztą i tak nie macie szans. Z tej kopalni uciekło dotychczas tylko dwóch ludzi. Nomadzi znaleźli ich kości na pustyni. Zarechotała jak wiedźma z bajki, włączyła silnik lokomotywy i odjechała. Patrzyli, jak znika za zakrętem szybu. Kiedy ucichł odgłos lokomotywy, Giordino uniósł rękę w bezradnym geście.

- No, to mają nas - mruknął, przeliczywszy jeszcze raz wagoniki.

Nadal było ich trzydzieści pięć. Nie chciało być mniej. Pitt podszedł do dużej sterty stempli, przygotowanych do umacniania nowych chodników. Łańcuchem, łączącym kostki nóg i przeguby, zmierzył długość stempla, potem tym samym sposobem zmierzył najbliższy wagonik. Pokiwał głową z zadowoleniem.

- Myślę, że załatwimy to w sześć godzin - stwierdził pewnym głosem.

Giordino spojrzał na niego z politowaniem.

- Jeśli naprawdę w to wierzysz, powinieneś natychmiast powtórzyć kurs podstaw fizyki.

- Przypomniał mi się pewien trik z czasów szkolnych, kiedy dorabiałem latem przy zbiorze malin.

- Jaki znowu trik? Jakie maliny? Pitt uśmiechnął się chytrze.

- Patrz - i ucz się!

Strażnicy pojawiali się co jakiś czas, w nieregularnych odstępach - tak jak zapowiedziała Melika. Rzadko kiedy pozostawali tu dłużej niż minutę: zadowalali się stwierdzeniem, że obaj więźniowie nadal pracują w gorączkowym pośpiechu, jakby chcieli ustanowić swego rodzaju rekord. Po niespełna siedmiu godzinach ruda wypełniała - i to z czubem - wszystkie trzydzieści pięć wagoników.

Giordino usiadł na ziemi, opierając się plecami o stempel.

- "Szesnaście ton - i co z tego masz?" - zanucił znaną piosenkę.

- "Wciąż pusta kieszeń i coraz większy garb" - podchwycił Pitt.

- Taaak. To w ten sposób bieleś rekordy w zbieraniu malin?

- E tam, rekordy! W czasie wakacji włączyłem się po Stanach z kolegą z klasy; potrzebowaliśmy trochę forsy. Kiedyś w Oregonie zobaczyliśmy ogłoszenie, że potrzebują ludzi do zbioru malin; po pięćdziesiąt centów za tuzin łubianek. Płaca wydawała się niezła: wcześniej na tych samych warunkach zbieraliśmy truskawki i sporo zarobiliśmy. Nie przyszło nam do głowy, że maliny są dużo mniejsze niż truskawki. Napełnienie każdej łubianki trwało wieczność.

- Więc sypaliście na dno śmieci i tylko z wierzchu przykrywaliście malinami. Nieładnie!...

- Nieładnie postąpił ten, kto wymyślił taką stawkę. Czy wiesz, że nawet tym sposobem wyciągaliśmy zaledwie trzydzieści sześć centów za godzinę?

- Jak myślisz, co będzie, jak ta stara kurwa zobaczy, że załadowaliśmy stemple zamiast rudy?

- Nie będzie zachwycona.

- Ten obiektyw w kamerze też pomysłowo zamazałeś, przyznaję.

- Niby widzieli nas, ale niczego nie zauważyli.

- Najważniejsze, że zaoszczędziliśmy sporo sił.

- Może. Ale i tak się zmachałem. Pić mi się chce jak wszyscy diabli.

- Mnie też. Jeśli nie zdobędziemy szybko wody, nie będziemy w stanie uciec.

Giordino przyjrzał się łańcuchowi, łączącemu kajdanki, potem popatrzył na szyny pod wagonikami.

- Jakby tak przejechać pełnym wagonikiem po łańcuchu, to może by pękł.

- Myślałem już o tym - rzekł Pitt. - Ale te łańcuchy są za grube. Trzeba by do nich co najmniej lokomotywy z Union Pacific.

- E... psujesz mi zabawę - mruknął Giordino.

Pitt podniósł kawałek rudy i przyjrzał mu się uważnie.

- Nie jestem geologiem, ale powiedziałbym, że to rodzaj złotonośnego kwarcu. Sądząc z



ziarnistości i luszczania się skały, zawartość złota jest duża.

- I wszystko to zasila plugawe imperium Massarde'a - skomentował Giordino. Pitt miał jednak wątpliwości.

- Nie, nie sędzę, żeby wpuszczał to na rynek i narażał się na nowe podatki. Raczej przetapia wszystko na sztaby i chowa w jakimś bezpiecznym miejscu. A ponieważ to Francuz, podejrzewam, że tym miejscem są Wyspy Towarzystwa.

- Tahiti?

- Albo Bora Bora, albo Moorea, ale to tylko domysły. Tak naprawdę adres zna tylko Massarde; może jeszcze ten jego pacholek Verenne.

- Może by tak wybrać się na poszukiwanie skarbów na Pacyfik, jak tylko stąd wyjdziemy...

Pitt przerwał mu, przykładając szybkim ruchem palec do ust.

- Idzie następny strażnik.

Giordino nadstawił ucha i popatrzył w wylot chodnika. Ale strażnika nie było jeszcze widać. Wyraźnie natomiast słyhać było jego kroki na żwirze, którego dużą ilość rozsypali już parę godzin temu za zakrętem.

- Rusz się - rzekł Pitt. - Niech mu się zdaje, że ciągle pracujemy.

Wstali i zaczęli energicznie ubijać łopatami stosy rudy na wózkach, wzniecając tumany kurzu. Z tunelu wyłonił się uzbrojony Tuareg; przez dobrą minutę przyglądał im się w milczeniu, potem odwrócił się, by odejść.

- Hej, kolego! - zawołał za nim Pitt. - Skończyliśmy! Popatrz, wszystko załadowane. Czas odgwizdać fajrant.

- Chcemy pić i jeść! - włączył się Giordino.

Strażnik przebiegł wzrokiem długi rząd wagoników z rudą. Nie wierząc własnym oczom, przeszedł wzdłuż całego składu tam i z powrotem. W końcu wzruszył ramionami i lufą pistoletu maszynowego wskazał więźniom wylot chodnika.

- Nie są tu zbyt rozmowni - mruknął Giordino.

- Łapówek też pewnie nie biorą.

Szybko dotarli do głównego tunelu, lekko wznoszącego się we wnętrzu płaskowyżu. Ruszyli pod górę, ale już po chwili musieli stanąć, przyciśnięci płasko do skalnej ściany, by przepuścić toczący się z łoskotem pociąg z rudą. Po krótkim dalszym marszu znaleźli się w obszernej komorze, w której zbiegało się kilka chodników roboczych. Była tu też duża winda, zdolna zabrać jednym kursem cztery pełne wagoniki.

- Ciekawe, dokąd wywożą tę rudę - rzekł Giordino.

- Pewnie na jakiś wyższy poziom: tam ją mielą i czyszczą.

Strażnik poprowadził ich do dużych żelaznych drzwi w bocznej ścianie komory, strzeżonych przez dwóch zbrojnych Tuaregów. Drzwi musiały być bardzo ciężkie, bo mimo zgodnych wysiłków trzech strażnicy ledwie zdołali je uchylić. Wepchnęli Pitta i Giordino do środka i weszli za nimi. Jeden z Tuaregów podał więźniom cynowe kubki z wodą. Była cuchnąca i słonawa.

Pitt popatrzył z odrazą w kubek, potem takim samym wzrokiem spojrzął na strażnika.

- Oryginalny pomysł: koktajl na mysich szczynach!

Tuareg nie zrozumiał słów, ale doskonale pojął wymowę spojrzenia Pitta. Wyrwał mu kubek z ręki i wylał wodę.

- Masz nauczkę: darowanemu koniowi w zęby się nie zagłada - powiedział Giordino, po czym sam wylał na ziemię całą zawartość swojego kubka.

Przeszli jeszcze kilka metrów tunelem, zanim znaleźli się w swoim nowym "mieszkanu". Podziemna komora miała dziesięć metrów szerokości i trzydzieści długości. Oświetlały ją cztery słabe żarówki. Wzdłuż ścian stały drewniane czteropiętrowe prycze. Loch - bo tak trzeba było to nazwać - nie miał żadnej wentylacji, toteż wewnątrz wypełniał stężony smród spoconych ciał oraz odchodów. Za toaletę służyło kilka dziur wykutych pod ścianą w głębi pieczary. Pośrodku stał długi stół, a przy nim ławy z surowych desek. W lochu tłoczyło się co najmniej trzysta wynędzniałych istot ludzkich. Ludzie leżący na najbliższych pryczach wyglądali jak w stanie śpiączki. Ich twarze były pozbawione jakiegokolwiek wyrazu. Przy stole siedziało ciasno około dwudziestu mężczyzn: sięgali niemrawo rękami do stojącej na środku miski z resztkami jedzenia. Nie byli agresywni ani zdenerwowani; nie zdradzali objawów żadnych emocji - na ich twarzach malowało się jedynie bezgraniczne wyczerpanie.

Ręce poruszały się mechanicznie, oczy martwo i beznadziejnie wpatrywały się w stół. Nikt nie zwrócił uwagi na Pitta i Giordina, przebijających się przez tę dżunglę ludzkiego nieszczęścia.

- Nastrój raczej nie karnawałowy - mruknął Giordino.

- Daj spokój - skarcił go Pitt. - Tu nie liczą się nawet elementarne prawa ludzkie. Jest znacznie gorzej, niż się spodziewałem.

- Zdaje się, że tu jest coś do zjedzenia.

Pitt spojrzął na resztki brei na dnie miski i odwrócił twarz z obrzydzeniem.

- Chyba zupełnie straciłem apetyt.

Tłum parujących ciał i brak wentylacji powodowały nieznośną wilgotność, duchotę i upał. Ale Pitta przeszył nagle lodowaty dreszcz: postać klęcząca przy jednej z prycz była ponad wszelką wątpliwość znajoma. Jednym susem znalazł się obok kobiety pochylonej nad chorym

dzieckiem i ukląkł obok.

- Eva... - powiedział cicho.

Wyglądała na śmiertelnie wyczerpaną i zagłodzoną. Twarz miała bladą, poznaczoną siniakami i obtarciami a jednak jej oczy błyszczały niezwykłą energią.

- Czego chcesz?

- Eva, to ja, Dirk!

Nie zrozumiała.

- Daj mi spokój - szepnęła. - Ta dziewczynka jest strasznie chora.

Chwyił jej dłoń i przysunął bliżej twarz.

- Popatrz na mnie. Jestem Dirk Pitt.

Dopiero teraz otworzyła szeroko oczy.

- Dirk? To naprawdę ty?

Pocałował ją, potem delikatnie dotknął dłonią jej pokaleczonej twarzy.

- Jeśli to nie ja - powiedział - to ktoś robi sobie z nas okrutne żarty.

Do klęczącej pary przyłączył się Giordino.

- Znasz ją? - spytał.

- Tak, to doktor Eva Rojas, ta, którą poznałem w Kairze.

- Jak się tu dostała?! - wykrzyknął Giordino ze zdumieniem.

- No właśnie, jak? - Pitt skierował pytanie do Evy.

- Generał Kazim uprowadził nasz samolot i zesłał całą ekipę WHO tutaj, do kopalni.

- Dlaczego? Po co? - dopytywał się Pitt. - Czy stanowiliście dla niego jakieś zagrożenie?

- Chyba tak. Byliśmy bliscy rozpoznania przyczyny choroby, która zabija mieszkańców wiosek na pustyni. Wracaliśmy do Kairu z próbkami do analizy.

Dopiero teraz Pitt coś sobie przypomniał.

- Pamiętasz? - zwrócił się do Giordino. - Massarde pytał nas, czy współpracujemy z zespołem doktora Hoppera z WHO.

- Tak, pamiętam. Widocznie wiedział już, że Kazim trzyma ich tutaj.

Eva ułożyła wilgotną chustkę na czole chorej dziewczynki i nagle, niespodziewanie, przytuliła głowę do piersi Pitta.

- Po coś tu przyjeżdża! - załkała. - Teraz umrzesz tutaj, jak my wszyscy.

- Przecież umówiliśmy się na randkę, nie pamiętasz?

Zajęty całkowicie Eva, Pitt nie zauważył trzech ludzi, ostrożnie zbliżających się do nich przejściem między pryzami. Jako pierwszy szedł wysoki mężczyzna z ogorzałą twarzą i gęstą rudą brodą. Dwaj pozostali wyglądali nędznie i słabowicie. Na nagich torsach rysowały się

krwawo liczne ślady batów. Ich twarze przybrały jednak groźny wyraz; Giordino uśmiechnął się mimowolnie. Byli w tak kiepskiej kondycji fizycznej, że bez trudu położyłby wszystkich trzech na raz.

- Masz jakieś kłopoty? - spytał rudobrody opiekuńczym tonem.

- Nie, wręcz przeciwnie - odparła Eva. - To jest Dirk Pitt; ten, który uratował mi życie w Egipcie.

- Ten facet z NUMA?

- Tak - odezwał się Pitt - ten sam. A to mój przyjaciel, Al Giordino.

- Jestem Frank Hopper - przedstawił się rudobrody, po czym wskazał wynędzniałego człowieka po lewej. - A to Warren Grimes.

- Domyślam się. Eva dużo mi o was mówiła w Kairze.

- Cieszę się, że pana poznałem, chociaż szkoda, że w tak ponurych okolicznościach.

- Hopper popatrzył na głębokie rany na obu policzkach Pitta, potem dotknął długiej blizny na swoim własnym policzku.

- Zdaje się, że obaj rozgniewaliśmy Melikę.

Trzeci mężczyzna wysunął się z za jego pleców i wyciągnął dłoń do Pitta.

- Major Ian Fairweather - przedstawił się, Anglik? - zdziwił się Pitt.

- Tak jest. - Fairweather skinął służbiście. - Z Liverpoolu.

- A jak pan tutaj trafił?

- Jestem przewodnikiem, prowadziłem wycieczki po Saharze.

- Ostatnią z nich zmasakrowali tubylcy, w wiosce ogarniętej jakąś zarazą powodującą obłąd. Sam ledwo uszedłem z życiem, ale jakoś przebrnąłem przez pustynię i wylądowałem w szpitalu w Gao. Tam aresztował mnie generał Kazim, żebym nie ujawnił sprawy przed światem, i zapakował mnie tutaj, do Tebezy.

- Przeprowadziliśmy analizę patologiczną w tej wiosce, o której mówi major Fairweather - dodał Hopper. - Wszyscy tubylcy zmarli, zatruci jakąś dziwną substancją chemiczną.

- Związek organometaliczny, połączenie syntetycznego aminokwasu z kobaltem... - mruknął pod nosem Giordino.

- Jakim cudem dowiedział się pan tego? - Hopper nie wierzył własnym uszom.

- Nie było cudu. Po prostu w czasie, gdy pański zespół badał to skażenie na pustyni, my badaliśmy wodę w Nigrze.

Pitt opowiedział krótko o katastrofalnej ekspansji glonów na oceanie i o ekspedycji NUMA w górę rzeki. Kiedy dodał, że Rudi Gunn przypuszczalnie dotarł do Waszyngtonu z próbkami i wynikami analiz, Hopper odetchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu, udało wam się przekazać wyniki...

- Ale źródło, gdzie jest źródło? - niecierpliwił się Grimes.

- W Fort Foureau - stwierdził krótko Giordino.

- To niemożliwe... - Grimes wyglądał na zawiedzionego. - Miejsca, gdzie wystąpiło skażenie, są odległe od Fort Foureau o setki kilometrów.

- Trucizna przenosi się wodami podskórnymi - wyjaśnił Pitt.

- Zanim nas złapali, mieliśmy możliwość obejrzeć sobie zakłady w Fort Foureau. To prawda, że palą tam dużo odpadów chemicznych i nuklearnych, ale dziesięć razy tyle zrzucają do podziemnych magazynów. A stamtąd różne świństwa przeciekają do wód gruntowych.

- Muszą się o tym natychmiast dowiedzieć światowe organizacje ekologiczne - oświadczył Grimes. - Szkody powodowane przez śmietnik w Fort Foureau mogą być niewyobrażalne...

- Nie mówmy już o tym - przerwał mu Hopper. - Mamy mało czasu, a musimy szybko ustalić dla nich plan ucieczki.

- Dla nas? - zdziwił się Pitt. - A reszta?

- Nie mamy szansy przejść przez pustynię. Nasze organizmy są już straszliwie wyniszczone. Katorżnicza praca, brak snu, niedożywienie, niedostatek wody - wszystko to zrobiło swoje. Dlatego zdecydowaliśmy się na jedyną możliwość: gromadzimy zapasy i czekamy na kogoś, kto mógłby z nich zrobić dobry użytek. Kogoś takiego jak pan.

Pitt popatrzył na Evę, potem znów na Hoppera.

- Nie mogę tak odejść...

- To niech pan zostanie i zdycha razem z nami w tej norze! - brutalnie wtrącił się Grimes.

- Człowieku, zrozum, jesteś naszą jedyną nadzieją!

Eva ścisnęła dłoń Pitta.

- Musisz iść, jak najszybciej - błagała. - Zanim będzie za późno.

- Ona ma rację - przyłączył się Fairweather. - Wystarczy czterdzieści osiem godzin w kopalni i będzie pan wyglądał tak jak my.

- Niech pan dobrze popatrzy: czy ktoś z nas zdoła przejść więcej niż pięć kilometrów po pustyni?

Pitt wbił wzrok w ziemię.

- A jak myślicie, ile przejdziemy my, Al i ja? Dwadzieścia, trzydzieści kilometrów? Bez wody? - spytał po chwili.

- Mamy wodę i żywność, ale tylko dla jednego - rzekł Hopper. - Oczywiście sami zdecydujecie, który idzie, a który zostaje.

Pitt pokręcił powoli głową.

- Pójdziemy razem.

- Dla dwóch naprawdę nie wystarczy zapasów - przyłączył się do argumentów Hoppera Fairweather. - To strasznie daleko.

- No właśnie: ile? - spytał rzeczowo Giordino.

- Czteryście kilometrów do transsaharyjskiego szlaku motorowego, jeśli posuwać się prosto na wschód. Człowiek w pełni sił ma szansę przejść tę ostatnią setkę, a jak już będzie na szlaku, na pewno ktoś się przy nim zatrzyma. Tam jest spory ruch. Pitt przyglądał się Fairweatherowi podejrzliwie.

- Chyba nie wszystko pojąłem. Powiedział pan: "ostatnią setkę".

- A jak pokonamy pierwsze trzy? Przefruniemy?

- Jak wyjdziecie na powierzchnię - Fairweather pogodził się już z liczbą mnogą - weźmiecie jedną z ciężarówek O'Banniona. Paliwa powinno wystarczyć na trzysta kilometrów.

- To dość optymistyczny rachunek. A jeśli bak będzie pusty?

- Na pustyni nikt nigdy nie zostawia pustego baku - oświadczył Fairweather z profesjonalnym przekonaniem.

- Czyli wystarczy wyjść stąd, nacisnąć guzik windy, wydostać się na powierzchnię, ukraść ciężarówkę i wesoło odjechać na wschód - podsumował Giordino. - Doskonale, już się robi.

Hopper uśmiechnął się blade.

- A ma pan lepszy plan?

- Szczerze mówiąc - przyznał Pitt - nie mamy nawet cienia pomysłu.

- Musimy się pospieszyć - ostrzegł Fairweather. - Najdalej za godzinę Melika znowu pogoni nas do łopaty.

Pitt rozejrzał się po wnętrzu lochu.

- Wszyscy pracujecie przy ładowaniu rudy?

- Wszyscy więźniowie polityczni, czyli również my - wyjaśnił Grimes. - Kryminalni pracują przy mieleniu i chemicznym czyszczeniu rudy na górnych poziomach, a także w ekipach strzałowych. Nie mają szansy długo pożyć: giną od materiałów wybuchowych, od rtęci i cyjanków, używanych w procesie rafinacji.

- Dużo jest tu cudzoziemców?

- Z naszej szóstki zostało jeszcze pięć osób. Jedną Melika zakatowała na śmierć.

- Kobietę?

- Tak. To była doktor Marie Victor; bardzo dzielny człowiek i jeden z najwybitniejszych fizjologów w Europie. - Z twarzy Hoppera zniknął uśmiech. - To już trzecia ofiara śmiertelna, odkąd tu jesteśmy. Wcześniej Melika zamordowała żony dwóch francuskich inżynierów z Fort

Foureau. Spojrzał na dziewczynkę na pryczy, mającą w malinie. - Najgorzej cierpią ich dzieci, a my nie możemy im pomóc.

Fairweather wskazał ręką grupę ludzi, skupionych przy jednej z dalszych prycz. Były tam cztery kobiety i ośmiu mężczyzn, wszyscy biali. Jedna z kobiet trzymała na kolanach trzyletniego chłopczyka.

- Boże! - szepnął ze zgrozą Pitt. - No oczywiście! Massarde nie mógł wypuścić wolno ludzi, którzy budowali zakłady w Fort Foureau. Przecież by go zdemaskowali.

- Dużo tu jest kobiet i dzieci? - spytał Giordino głosem pełnym autentycznego oburzenia.

- Obecnie dziewięć kobiet i czworo małych dzieci - odparł Fairweather.

- Sam widzisz - włączyła się do rozmowy Eva. - Im szybciej uciekniecie i sprowadzicie pomoc, tym więcej niewinnych ludzi macie szansę uratować.

Pitta nie trzeba było dalej przekonywać. Popatrzył wyczekująco na Hoppera i Fairweathera.

- W porządku, powiedzcie więcej o waszym planie.

Był to plan pełen luk i niejasności, niezwykle prymitywny wytwór zdesperowanej wyobraźni ludzi uwięzionych, a jednak, właśnie dzięki swemu szaleństwu, wykonalny.

- Godzinę później Melika i jej gwardia wkroczyli do lochu, zwlekli niewolników z drewnianych prycz i pognali do wielkiej komory przy windzie, gdzie zaczęli formować grupy robocze, mające podjąć pracę w różnych częściach kopalni. Pitt odnosił wrażenie, że Melika znajduje jakąś szczególną, zbrodniczą przyjemność w rozdzielaniu razów na prawo i lewo. Siekła biczem nagie, bezbronne ciała, obrzucając przy tym głośnymi wyzwiskami udręczonych ludzi, którzy i tak już wyglądali, jakby wstali z trumny.

- Że też ta wiedźma nigdy się nie zmęczy! - szepnął Hopper.

- "Melika" znaczy w tutejszym narzeczu: "królowa"; sama nadała sobie to imię - wyjaśnił Grimes stojącemu obok Pittowi. - My nazywamy ją "wściekłą wiedźmą ze Wschodu", bo była kiedyś oddziałową więzienia w Nowym Jorku.

- Jeśli na co dzień jest taka - mruknął Pitt ponuro - to wyobrażam sobie, co zrobi, jak dowie się o naszych wózkach ze stemplami zamiast rudy.

Pitt objął Evę ramieniem i odprowadził ją na bok. Daremnie Giordino i Hopper usiłowali ich osłonić. Melika, która wciąż miała Pitta na oku, natychmiast to zauważyła. Ruszyła szybko w ich stronę i zatrzymała się z groźną miną przed Evą. Już wiedziała, że bardziej dotknie Pitta bijąc Evę, niż kierując swój bat na niego. Zamachnęła się, ale na drodze wyrósł potężny biceps Giordina. Pojawił się na nim czerwony, podchodzący krwią ślad, poza tym jednak Giordino sprawiał wrażenie, jakby nic mu się nie stało.

- Nic lepszego nie potrafisz? - spytał, patrząc na Melikę chłodno.

Zapanowała martwa cisza. Ustał wszelki ruch, wszyscy wstrzymali oddech w oczekiwaniu gromu. Przez dobre pięć sekund Melika stała jak wryta, nie wiedząc, jak zareagować. Potem, nie zdając sobie sprawy z własnej śmieszności, rzuciła się na Giordina z rykiem zranionego niedźwiedzia.

- Odsuń się! - zabrzmiał potężny, władczy głos.

Melika odwróciła głowę. Przy otwartych żelaznych wrotach, prowadzących do lochu-sypialni, stał Selig O'Bannion. Bat nadzorczym zastygł w powietrzu nad jej głową, potem powoli opadł ku ziemi. Patrzyła na O'Banniona z tłumioną wrogością, upokorzona jak oprych z przedmieścia, wychłostany przez policjanta na oczach dotychczasowych ofiar.

- Nie ruszaj Pitta i Giordina - odezwał się ponownie O'Bannion.

- Muszą być w dobrej formie: będą nosić trupy do katakumb.

- To ma być dowcip? - spytał głośno Pitt.



O'Bannion roześmiał się cicho i znów odwrócił się do Meliki.

- Nie bawi mnie fizyczne wykańczanie pana Pitta. Urządź mu raczej pranie mózgu. To będzie ciekawe doświadczenie dla nas obu. Dopilnuj, żeby przez najbliższe dziesięć szycht ci dwaj nie mieli za ciężkiej pracy.

Melika spuściła głowę, niechętnie przyjmując polecenie. Zaledwie CTBannion, dosiadłszy lokomotywy, odjechał na dalszą inspekcję kopalni, z nową energią rzuciła się na tłum niewolników.

- Ruszać się, śmierzące gównu! - ryknęła, wymachując batem nad wielkim, szkaradnym łbem.

Ledwie powłócząca nogami Eva potknęła się i omal nie upadła. Pitt podtrzymał ją i pomógł dojść do grupy ładowaczy.

- Przebijemy się, przyrzekam ci - powiedział. - I wrócimy tu z jakąś większą siłą, żeby was wszystkich uwolnić. Ale musisz wytrzymać, musisz przeżyć.

- Wytrzymam. Teraz już mam po co żyć - odparła cichym, ale stanowczym głosem. - Będę czekała.

Lekko dotknął ustami ran na jej twarzy. Potem zwrócił się do Hoppera, Grimesa i Fairweathera, którzy osłaniali ich żywym murem.

- Dbajcie o nią.

- Będziemy, na pewno. - Hopper skinął żywo głową.

- Mimo wszystko myślę, że nasz pierwotny plan był lepszy- powiedział Fairweather. - Ukryci w wagoniku moglibyście całkiem łatwo i bezpiecznie dotrzeć na poziom młynów rudy.

- Tak - przyznał Pitt - ale potem musielibyśmy jeszcze przejść nie zauważeni przez górne poziomy. A na to nie widzę większych szans. Łatwiej wydostaniemy się na powierzchnię windą dyrektorską i tunelem koło pomieszczeń biurowych.

- Niech pan go nie przekonuje - powiedział do Fairweathera zrezygnowany Giordino. - Dirk nigdy i nigdzie nie korzysta z kuchennych drzwi, jeśli może przejść frontowymi. Taki ma styl.

- Potrafi pan ocenić, ilu tu jest uzbrojonych strażników? - Pitt zwrócił się z pytaniem do Fairweathera, który przebywał w kopalni dłużej niż ludzie z WHO i lepiej ją poznał.

- Z grubsza - odparł Anglik po chwili namysłu. - Około dwudziestu, może dwudziestu pięciu. Ale inżynierowie też są uzbrojeni.

- Pracuje ich tu sześciu czy siedmiu.

Grimes podał Giordinowi dwie małe plastikowe manierki.

- To cała woda, jaką udało nam się zgromadzić. Chociaż wszyscy składali się na to ze

swoich racji, zdołaliśmy uzbierać tylko dwa litry. Przykro mi, że nie ma więcej.

Giordino schował manierki za koszulę. Położył dłonie na ramionach Grimesa i podziękował mu serdecznie. Zdawał sobie sprawę, jakiego poświęcenia wymagał ten dar.

- A dynamit? - przypomniał Pitt i rozejrzał się pytająco.

- Ja go mam - odparł Hopper i wsunął w dłoń Pitta laseczkę dynamitu i spłonkę.

- Zawdzięczamy to człowiekowi z ekipy strzelniczej - wyjaśnił. - Przemycił dynamit w bucie.

- Jeszcze dwie sztuki do kompletu - włączył się konspiracyjnym tonem Fairweather.

- Pilnik, przyda się do przecięcia łańcuchów.

- I schemat korytarzy na tym poziomie, z zaznaczonymi kamerami TV.

- Na odwrocie naszkicowałem prowizorycznie mapę waszej trasy do szlaku transsaharyjskiego.

- To na pewno dobra mapa - zareklamował go Hopper. - Jeśli ktokolwiek naprawdę zna te piekielne okolice, to tylko pan.

Pitt poczuł łzy w oczach.

- Dziękuję - powiedział. - Zrobimy naprawdę wszystko, żeby po was jak najszybciej wrócić.

- Będziemy się za was modlić - odparł Hopper i objął Pitta potężnym, niedźwiedzim uściskiem.

- A pamiętajcie - powiedział na pożegnanie Fairweather - żeby objeżdżać diuny. Nie próbujcie ich forsować. Zagrzebiecie się w piasku - i już po was.

- Powodzenia! - zakończył krótko Grimes.

Podszedł strażnik i lufą pistoletu zaczął odpychać Pitta i Giordina od reszty towarzystwa. Pitt zlekceważył to; jeszcze raz pochylił się nad Evą i delikatnie ją pocałował.

- Nie zapomnij - szepnęła. - Spotykamy się na plaży w Monterey.

- Włożę najbardziej "odkrywczy" kostium - uśmiechnęła się kokieteryjnie.

Strażnicy rozdzielili ich, zanim Pitt zdążył cokolwiek odpowiedzieć. Kiedy poszturchiwany lufami wchodził do sztolni, odwrócił się, by przesłać jej pożegnalny gest. Ale nie rozpoznał jej już w gęstej masie więźniów. Strażnik zaprowadził ich w to samo miejsce, gdzie parę godzin temu ładowali rudę, i zostawił ich samych. Pod ścianą piętrzył się nowy stos pokruszonej skały, a na torze stał następny długi skład pustych wagoników.

- Dam teraz krótki popis wyścigu pracy, a ty tymczasem popracuj nad łańcuchami gdzieś poza zasięgiem kamery - rzekł Pitt i natychmiast zaczął machać łopatą. Giordino zaatakował swój łańcuch pilnikiem, który dał mu Grimes. Na szczęście żelazo łańcuchów było stare i podłej

jakości. Szybko przepiłował jedno ogniwo i wyciągnął uwolnione końce łańcucha przez otwory kajdanek.

- Teraz twoja kolej - powiedział.

Pitt piłował swój łańcuch, opierając go na stalowej burcie wagonika. Dzięki temu uporał się z robotą jeszcze szybciej niż Giordino.

- Zostały jeszcze te cholerne kajdanki - stwierdził - ale to później. Najważniejsze, że możemy już tańczyć.

Giordino zakręcił łańcuchem młynka w powietrzu.

- Kto bierze strażnika, ty czy ja?

- Ty - odparł Pitt wspaniałomyślnie. - Ja spróbuję go zaczarować.

Pół godziny później chrzęst żwiru za zakrętem sztolni obwieścił nadejście kolejnego strażnika. Pitt wyrwał kabel z kamery telewizyjnej. Zza zakrętu wyłoniło się tym razem dwóch Tuaregów. Szli pod ścianami chodnika z bronią gotową do strzału. Nieruchome oczy, ledwie widoczne przez szczeliny zawojów, patrzyły zimnym, twardym spojrzeniem.

- Mamy aż dwóch gości - ostrzegł szeptem Giordino. - Zdaje się, że nie mają ochoty na towarzyskie pogawędki.

Pierwszy strażnik podszedł szybko do Pitta i uderzył go lufą pistoletu w zębra. Cios był niespodziewany, ale więzień nie wyglądał na zaskoczonego.

- To miło, że wpadliście - powiedział.

Teraz najważniejsze było pierwsze uderzenie - zanim strażnicy spostrzegą niebezpieczeństwo. Pitt błyskawicznym ruchem lewej ręki odsunął lufę broni, podczas gdy prawa, uzbrojona w duży kamień, wystrzeliła zza pleców i bezbłędnie ugodziła w czoło strażnika. Tuareg wygiął się do tyłu jak napięty łuk, po czym osunął się miękko na ziemię. Drugi strażnik przez chwilę zamarł w bezgranicznym osłupieniu. Jeszcze nigdy nic podobnego nie zdarzyło się w tej kopalni. Po chwili oprzytomniał i poderwał broń do strzału. Ale było już za późno. Pitt, który rzucił się na ziemię, uciekając z linii strzału, tylko kątem oka widział, jak nad głową Tuarega przelatuje, niczym dziecięca skakanka, gruby żelazny łańcuch.

Giordino zacisnął go natychmiast, jak garotę, na szyi ofiary. Strażnik stracił równowagę i wypuścił z rąk automat. Próbował rozpaczliwie uwolnić się od łańcucha, coraz głębiej wrzynającego się w krtań. Jego nogi wierzgały w agonalnych drgawkach. Giordino rozluźnił uścisk dopiero wtedy, gdy strażnik prawie całkiem przestał się ruszać. Puścił łańcuch. Tuareg zwałił się na ziemię obok swego kolegi.

- Niech się cieszą, że uszli z życiem - mruknął Giordino, podnosząc troskliwie pistolet maszynowy.

- Nie na długo będzie tej radości - odparł Pitt. - Jak Melika dowie się, że pozwolili nam uciec, doświadczą na własnej skórze losu więźniów.

- Nie możemy ich tak zostawić. Następny strażnik znajdzie ich tutaj i podniesie alarm.

- Wrzuc ich do któregoś wózka i przysyp rudą. Nie ockną się wcześniej niż za dwie godziny. My tymczasem będziemy już na pustyni.

- Chyba że wcześniej przyjdzie tu ktoś, żeby naprawić kamerę.

Kiedy Giordino upychał w wózku nieprzytomnych Tuaregów, Pitt studiował uważnie plan kopalni, naszkicowany przez Fairweathera. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie zdołaliby z pamięci odtworzyć drogi, którą tutaj dotarli; chodniki tworzyły skomplikowany, wielokrotnie rozgałęziony labirynt.

Giordino skończył czarną robotę, sięgnął ponownie po pistolety strażników i zaczął oglądać je z ciekawością.

- Fiberglassowy automat kaliber pięć pięćdziesiąt sześć, standardowe wyposażenie armii francuskiej. Ładne cacko.

- Nie strzelaj bez wyraźnej potrzeby - ostrzegł Pitt. - Lepiej zachowywać się cicho, dopóki Melika nie wie, że zwialiśmy.

Doszli do głównej sztolni, przecięli ją i zanurzyli się w tunel po drugiej stronie. Przymykając ostrożnie pod kamerami, oznaczonymi na planie Fairweathera mijali kolejne skrzyżowania podziemnych korytarzy. Za każdym razem Pitt zatrzymywał się na parę sekund, by sprawdzić na planie, czy idą we właściwym kierunku.

- Masz przynajmniej pojęcie, gdzie jesteśmy? - spytał niecierpliwie Giordino, któremu te sekundy wydawały się godzinami.

- Szkoda, że nie sypałem za sobą okruszków, gdy ta wiedźma nas tu wiozła - zażartował Pitt i korzystając z bliskości zakurzonej żarówki jeszcze raz pochylił się nad planem Fairweathera.

Nagle z głębi tunelu dobiegł metaliczny łoskot kół toczących się po szynach; pociąg z rudą szybko zbliżał się do nich. Pitt rozejrzał się. Dziesięć metrów dalej dostrzegł głęboką, naturalną rozpadlinę w ścianie tunelu.

- Tam! Może nas nie zauważą.

Paroma susami dopadli zbawczej szczeliny. Okazała się głębsza, niż myśleli, prowadziła gdzieś dalej, w mroczne czeluści. Stanęli jak wryci. Poraził ich okropny, powodujący mdłości smród. Dopiero po chwili przemogli się i ruszyli powoli w głąb rozpadliny, dotykając ściany rękami. Pitt wymacał jakiś kabel i idąc wzdłuż niego natrafił wkrótce na wyłącznik. Nacisnął go i blade, upiorne światło rozjaśniło dużą komorę.

Był to cmentarz, czy raczej krypta, o której mówili O'Bannion i Melika. To tutaj znoszono zwłoki zakatowanych lub zmarłych z głodu i wycieńczenia więźniów. Rozkładające się ciała leżały w stertach, po dwadzieścia, trzydzieści na każdej, rzucone jak kłody drewna.

Widok był przerażający.

- O Boże. - szepnął Giordino. - Tu jest co najmniej tysiąc trupów.

- No tak - powiedział Pitt. - Tak jest najłatwiej! O'Bannion i Melika nie zwracają sobie głowy pochówkiem.

Mówił to z rosnącym oburzeniem i pasją. Miał przed oczyma duszy przerażającą wizję: Eva, doktor Hopper i inni, których poznał w lochu, zrzuceni na stertę trupów, patrzący martwym wzrokiem w kamienne sklepienie. Dopiero donośny łoskot przejeżdżającego w pobliżu pociągu z rudą uwolnił go od tej natarczywej wizji.

- Idziemy dalej, na powierzchnię - powiedział suchym, szorstkim głosem, który sam z trudem rozpoznał.

Zanim przez szczelinę w skale dotarli do tunelu, odgłos pociągu już przycichł. Mimo to rozejrzeli się ostrożnie przed ruszeniem w dalszą drogę, by nie natknąć się na jakiś pieszy patrol. Tunel był pusty. Ale nie uszli nim daleko. Wkrótce zdecydowali się skręcić w boczny chodnik, który - jak wynikało z planu Fairweathera - prowadził krótszą drogą do dyrektorskiej windy. Po raz pierwszy uśmiechnęło się do nich szczęście - dnem chodnika płynął wątyły strumyczek wody. Pitt przyklęknął i niemal z zachwytem przyglądał się strużce.

- Pij, ile możesz - powiedział. - Na dłużej starczy tego, co dał nam Hopper.

Ale Giordino wpadł na to już wcześniej. Rzucił się na kolana obok Pitta, zanim ten skończył mówić, i czerpał wodę z zagłębień chodnika złożonymi w czarkę dłońmi. Z tunelu za ich plecami dobiegły ludzkie głosy. Towarzyszył im szczepek łańcuchów.

- Cholera, prowadzą tu jakąś grupę roboczą - mruknął Giordino.

Odświeżeni wodą, biegiem ruszyli naprzód. Już po minucie stali przed żelaznymi drzwiami, za którymi znajdowała się zbawcza winda. Giordino wsunął laseczkę dynamitu w dziurkę od klucza i na wystającym końcu zamocował spłonkę, po czym cofnął się kilka kroków, w miejsce, gdzie Pitt czekał już z kamieniem w dłoni. Pierwszy rzut był chybiony.

- Wyobraź sobie, że jesteś na jarmarku i chcesz zaimponować jakiejś ładnej dziewczynie - podsunął Giordino.

- Żeby tylko nie usłyszeli tego huku strażnicy albo windziarz. - Pitt podniósł następny kamień.

- Nawet jak usłyszą, pomyślą pewnie, że to zwykły odstrzał rudy gdzieś w pobliżu.

Tym razem Pitt rzucił celnie. Spłonka eksplodowała, powodując wybuch dynamitu.

Podbiegli do drzwi: zamek był wyrwany. Otworzyli ciężkie wrota i szybko pokonali ostatni, wąski odcinek tunelu, prowadzący do windy. Giordino zatrzymał się niepewnie przed kasetką z przyciskiem.

- Może to działa według jakiegoś kodu? - spytał.

- Teraz już się tego nie dowiemy - odparł Pitt. - Spróbujemy własnej kombinacji.

Namyślał się przez chwilę, potem zaczął pospiesznie naciskać guzik: raz, dwa, wreszcie trzy razy, a po krótkiej przerwie jeszcze dwa. W szybie windy, w którym panowała dotąd martwa cisza, rozległo się ciche buczenie silnika elektrycznego.

- Jak to wymyśliłeś? - spytał z podziwem Giordino.

- Nic nie wymyśliłem. Założyłem po prostu, że działa każda kombinacja; byle to nie był jeden długi sygnał.

Po kilkudziesięciu sekundach buczenie ustało. Operator otworzył drzwi windy, ale nie zobaczył za nimi nikogo. Zdziwiony, wyszedł za próg i w tym momencie na jego kark spadł potężny cios, wymierzony przez Pitta kolbą pistoletu. Giordino szybko wciągnął operatora z powrotem do windy.

- Cała naprzód! - zawołał Pitt, sięgając do najwyższego guzika.

- A nie zwiedzimy poziomów kruszenia i cyjanizacji rudy?

- Tylko jeśli ci na tym zależy.

- Jakoś się obejdę - mruknął nieszczercze Giordino.

Winda pomknęła w górę. Stali obok siebie w ciasnej klatce, patrząc, jak na tablicy nad drzwiami zapalają się kolejne światełka. Zastanawiali się, czy na górze nie czeka już pluton Tuaregów, by natychmiast po otwarciu drzwi podziurawić ich kulami. Winda zwolniła bieg, po czym zatrzymała się - tak miękko, że ledwie to poczuli. Pitt odbezpieczył broń i polecił Giordinowi zrobić to samo. Drzwi rozsunęły się automatycznie, ale nie posypał się na nich grad kul. W biegnącym na wprost drzwi korytarzu byli jednak ludzie: inżynier i strażnik. Na szczęście oddalali się. Zajęci rozmową, nie zwracali uwagi na to, co dzieje się za ich plecami.

Nie było gdzie ukryć nieprzytomnego operatora. Pitt nacisnął więc najniższy guzik na tablicy, by odesłać go jak najdalej. Wyskoczyli na korytarz, zanim drzwi zaczęły się zamykać, i skulili się pod ścianą, czekając aż strażnik i inżynier wejdą do któregoś z pomieszczeń za kasetonowymi drzwiami. Gdy ludzie O'Banniona zniknęli, korytarz był równie pusty i martwy jak trzydzieści godzin temu, kiedy ich tu wprowadzano. Z bronią gotową do strzału pokonali całą długość biurowej części korytarza. Przed nimi był jeszcze tunel łączący biura z podziemnym parkingiem. Tunel był pusty i nie było w nim widać niczego, co wyglądałoby na kamerę telewizyjną. Był jednak bardzo długi - miał dobre pięćdziesiąt metrów - a przy wylocie tkwił

uzbrojony Tuareg. Siedział na składanym krzeselku kempingowym. Odwrócony plecami do tunelu, skąd najwyraźniej nie spodziewał się żadnego niebezpieczeństwa, paląc fajkę czytał rozłożoną na kolanach książkę. Zapewne Koran.

Zaczerpnęli tchu i popatrzyli na przebytą już drogę. Korytarz biurowy za nimi nadal był pusty, ale nie można było dłużej ryzykować. W każdej chwili mógł się tam ktoś pojawić.

- Ja biegam szybciej - szepnął Pitt i podał swój pistolet Alowi.

- Gdyby się odwrócił, zanim go dopadnę, załatw go krótką serią.

- Tylko pamiętaj, żeby zejść z linii strzału - ostrzegł Giordino.

Pitt zdjął buty i przykucnął w pozycji startującego sprintera.

Mocno oparł palce stóp w zagłębieniu skalnej podłogi i wyskoczył do przodu jak sprężyna, nabierając od razu dużej szybkości. Jego szansę- wiedział to - nie były wielkie. Wprawdzie bosa stopy nie czyniły hałasu, ale w wąskim skalnym tunelu każdy, nawet najśłabszy dźwięk niósł się głośnym echem. Przebiegł już prawie czterdzieści metrów, gdy strażnik, zdumiony dochodzącym zza jego pleców tupotem, odwrócił głowę. Widok bosego niewolnika, pędzącego w jego stronę, na chwilę wprawił go w osłupienie. Ta chwila uratowała Pitta. Kiedy w końcu strażnik podniósł broń do strzału, napastnik był już przy nim; runął na niego całym ciężarem. Upadając, strażnik uderzył potylicą w skalne podłoże i stracił przytomność. Pitt zsunął się z niego i położył się na wznak, z trudem chwytając powietrze. Leżał tak jeszcze, kiedy pochylił się nad nim obładowany Giordino.

- Niezły bieg, jak na faceta po czterdziestce - powiedział, pomagając Pittowi wstać.

- Ale już ostatni; nigdy więcej tego nie zrobię - potrząsnął głową Pitt.

W podziemnej hali, która otwierała się przed nimi, zobaczyli dwie ciężarówki. Stały zaparkowane obok siebie przy wylocie tunelu prowadzącego do wąwozu. Pitt spojrzał na leżącego bezwładnie Tuarega, potem na Giordina.

- Masz jeszcze pewnie sporo siły - powiedział. - Wrzuć go do tej pierwszego wozu. Zabierzemy go. Gdyby tu ktoś przypadkiem przyszedł, pomyśli, że chłopak się nudził na posterunku i pojechał na przejażdżkę po pustyni.

Giordino bez trudu dźwignął nieprzytomnego strażnika; podszedł do ciężarówki i przerzucił Tuarega przez tylną klapę. Potem wsiadł do szoferki, w której Pitt majstrował już pod kierownicą, by spać poza stacyjką przewody elektryczne. Po chwili tablica rozdzielcza ożyła; wskazówka paliwa podskoczyła do pozycji "full". Fairweather miał rację.

Pitt nacisnął guzik startera. Silnik zaskoczył niemal natychmiast.

- Nie ma tu jakiegoś zegara? - spytał Giordino.

- Nie, to chyba najtańszy model, bez wyposażenia dodatkowego.

- A po co ci to?

- Ci cholerni Tuaregowie zabrali mi zegarek. Zupełnie straciłem poczucie czasu.

Pitt sięgnął po but, którego nie zdążył jeszcze włożyć po sprinterskich wyczynach, i ze schowka w podeszwie wyjął swoją dokkę. Zapiął zegarek na przegubie i dopiero wtedy odpowiedział na pytanie.

- Pierwsza dwadzieścia w nocy.

- Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje - mruknął Giordino.

Pitt włączył pierwszy bieg i ruszył. W tunelu, prowadzącym na zewnątrz, przeszedł na dwójkę i jechał najwolniej jak mógł. Chciał, by silnik pracował cicho. Niosący się tunelem dźwięk mógł kogoś zaalarmować. Dodatkowy problem stanowiła mała szerokość tunelu; ciężarówka ocierała się co chwila o skalne ściany. Pitt nie martwił się zadrapaniami lakieru, ale przeraźliwy zgrzyt metalu o skałę mógł obudzić umarłego. Dopiero kiedy opuścili tunel i znaleźli się w wąwozie, przyspieszył, włączając kolejno wyższe biegi. Zapalił długie światła i wcisnął do końca pedał gazu. Renault popędził dnem wąwozu, zostawiając za sobą gęstą chmurę pyłu.

Pitt pamiętał na szczęście miejsce, w którym utknęła furgonetka wioząca ich do kopalni. Obejrzał je sobie dokładnie, gdy wraz ze strażnikami przepychali samochód na twardszy grunt. Teraz łatwo rozpoznał w świetle reflektorów zdradliwą ławicę piasku. Zaatakował ją, nie zmniejszając prędkości. Samochód zatańczył, niebezpiecznie zbliżając się do stromych skalnych ścian wąwozu, ale dzięki dużej szybkości początkowej przebił się przez sypki piach.

Ponownie rozpędził ciężarówkę do maksymalnej szybkości. Giordino nie protestował - choć trząsał się niemiłosiernie na nierównościach terenu, a przed maską samochodu wylaniały się w szaleńczym tempie wciąż nowe groźne skały, o które - tak mu się przynajmniej wydawało - musieli się roztrzaskać. Rozumiał jednak Pitta: wiedział, że każda minuta jest na wagę złota. A Pitt pędził jak szatan, ze wzrokiem wbitym w słabe ślady opon na piasku. Może dlatego nie od razu zauważył, że strome ściany wąwozu rozstępują się, otwierając widok na rozległą przestrzeń pustyni. Dopiero teraz mógł trochę się rozluźnić. Poczul rozkoszny chłód nocnego powietrza nad pustynią; pozwolił sobie na myśl, że znowu jest wolny. Popatrzył w rozgwieżdżone niebo. Szybko odnalazł gwiazdę polarną i skierował samochód na prawo od niej - prosto na wschód. Ale przed nimi było jeszcze czterysta kilometrów pustyni; złowroziej, podstępnej, śmiertelnie groźnej. Czterysta kilometrów tak najeżonych trudnościami, że nieprawdopodobne wydawało się ich pokonanie. Wielka gra o życie dopiero się zaczynała.



Przez pozostałe pięć godzin nocy Pitt tłukł kołami ciężarówki o wertepy pustyni.

To był jeszcze jeden - obok upalnych jak piec dni, lodowatych nocy i wciskającego się wszędzie piasku - element obcego, nieludzkiego świata. Świata, w którym znalazł się po raz pierwszy w życiu i którego dotychczas nawet sobie nie wyobrażał. Jechali przez połąć Sahary zwaną Tanezrouft, spaloną słońcem krainę o powierzchni dwustu tysięcy kilometrów kwadratowych, której nieprawdopodobnie płaski krajobraz urozmaicały jedynie wędrujące nieustannie piaszczyste wydmy, przypominające raczej armię zakapturzonych olbrzymów, niż naturalne formy geologiczne. Była to naga pustynia, bez śladu jakiegokolwiek roślinności. A jednak istniało tu życie. W świetle reflektorów pojawiały się ciągle ćmy; para kruków, czyścicieli pustyni, zerwała się do lotu z pełnym oburzenia krakaniem; duże czarne skarabeusze, bure skorpiony, małe zielone jaszczurki umykały w popłochu spod kół. Wszystko było tu przerażające: bezmierna pustka, setki kilometrów drogi do pokonania, niedostatek żywności i wody. Jedyny optymistyczny element stanowiła równa praca silnika ciężarówki. Nie wykazywał żadnych objawów awarii czy osłabienia mocy, a napęd na dwie osie pozwalał płynnie przebijać się przez ławice miękkiego piasku.

W ciągu nocy cztery razy musieli pokonywać głębokie rozpadliny wyschniętych strumieni; samochód, choć przystosowany do jazdy terenowej, z najwyższym trudem wspinał się na zbocza jarów, przemienione w żwirowe osypiska. Zatrzymali się tylko raz, na chwilę, by pozbyć się kajdanek i związać Tuarega, wciąż leżącego bez przytomności w skrzyni ciężarówki. Potem pędzili już bez chwili wytchnienia, nie zatrzymując samochodu nawet dla rozprostowania kości. Wiedzieli, że kiedy skończy się paliwo, będą mieli przed sobą aż nadto ruchu na własnych nogach.

- Ile już przejechaliśmy? - spytał Giordino.
- Około stu kilometrów - odparł Pitt, nie patrząc na licznik.
- Giordino spojrzał nań zdziwiony.
- Nie pomyliło ci się coś? Przez ten czas i z tą szybkością powinno być już ze dwieście.
- To wina obliczeń Fairweathera. Mierzył dystans lotem ptaka.
- Ale i ptak nie poleciał prosto, jeśli po drodze stoją strachy na wróble.

Nadłożyliśmy kilkadziesiąt kilometrów, omijając dwa głębokie wąwozy i kilka dużych diun.

- Mam nieprzyjemne przeczucie, że będziemy musieli iść znacznie więcej niż sto kilometrów.

- Rzeczywiście nieprzyjemne przeczucie - zgodził się Pitt.

- Niedługo zrobi się widno. Jak określisz kierunek bez gwiazd?

- Obędę się bez nich. Przypomniałem sobie harcerską instrukcję. Jak zbudować kompas z niczego".

- Dobrze i to - Giordino ziewnął szeroko. - A ile mamy paliwa? Tym razem Pitt spojrzął na tablicę.

- Jeszcze trochę ponad pół baku.

Giordino odwrócił głowę i popatrzył na leżącego w skrzyni związanego Tuarega.

- Nasz przyjaciel wciąż wygląda jak spity marynarz.

- Na pewno jeszcze nie wie, że jest naszym sposobem na zmylenie pogoni - odparł enigmatycznie Pitt.

- W tym twoim mózgu ciągle coś się kotłuje. Co znowu wymyśliłeś? - spytał Giordino, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Pitt patrzył przez chwilę na wąski sierp księżyca. Lepsza byłaby oczywiście pełnia, ale i ta odrobina światła bardzo pomagała prowadzić ciężarówkę w trudnym, zdradliwym terenie. Jakby pod wpływem jego myśli droga przed samochodem nagle stała się idealnie gładka; w świetle reflektorów zamigotały tysiące drobnych iskierek. Pitt zrozumiał, że jadą po powierzchni dużego wyschniętego jeziora, tworzące ją kryształki soli działały jak mikroskopijne pryzmaty, rozszczepiając białe światło reflektorów na wszystkie kolory tęczy. Z wyraźną przyjemnością nacisnął mocniej pedał gazu, przeszedł na najwyższy bieg i rozpędził ciężarówkę do dziewięćdziesięciu kilometrów. Nie trwało to niestety zbyt długo. Wkrótce znaleźli się na lekko pofałdowanym, kamienistym terenie, nieznośnie monotonnym. W ciągu następnej godziny dostrzegli tylko jeden bardziej charakterystyczny fragment krajobrazu: spore wzniesienie na północy, na lewo od ich trasy. Słońce wyskoczyło zza horyzontu nagle, niczym pocisk armatni. Szybko znalazło się wysoko na niebie. To też była osobliwość Sahary. Słońce wiszące, zdawałoby się, nieruchomo nad głową, by pod wieczór runąć nagle za widnokrąg jak spadający kamień, bez żadnych stanów pośrednich.

Pitt zatrzymał samochód, wysiadł i zaczął szperać w schowkach pod skrzynią. W końcu znalazł stalową rurkę, metrowej długości. Wbił ją pionowo w piasek, potem podniósł dwa kamyki i położył je w miejscu, gdzie kończył się cień rurki.

- To jest ten twój harcerski kompas? - spytał Giordino, obserwując czynności kolegi z ocienionego miejsca pod ciężarówką.

- Patrz i ucz się! - powtórzył swoją ulubioną formułkę Pitt, po czym również usiadł w cieniu samochodu. Po kilkunastu minutach wstał, przełożył jeden z kamyków w miejsce, w które tymczasem przewędrował cień końca rurki, nakreślił na piasku prostą linię łączącą

kamyki i przedłużył ją o pół metra w prawo. Potem stanął w rozkroku, tak że palce obu stóp znalazły się na nakreślonej linii, i wskazał prawą ręką przed siebie.

- Tam jest północ, a tam... - przesunął wyprostowaną rękę o dziewięćdziesiąt stopni w prawo - tam jest wschód; i to jest najkrótsza droga do szlaku transsaharyjskiego.

Giordino popatrzył we wskazanym kierunku.

- Dobra, widzę wysoką diunę, możemy się na nią kierować.

Teraz on poprowadził ciężarówkę. Co godzinę stawali, by powtórzyć pomiary. Około dziewiątej z południowego wschodu zaczął dąć silny wiatr, wznosząc w powietrze tumany piasku i ograniczając widoczność do dwustu metrów. O dziesiątej wiatr był już tak silny, że wciskał piasek do szoferki mimo dokładnie zakręconych szyb. Małe wiry powietrzne unosiły przed nimi sugestywne widma z piasku.

W kabinie, jakkolwiek skromnie wyposażonej, był jednak termometr. W ciągu trzech ostatnich godzin temperatura skoczyła od piętnastu do trzydziestu pięciu stopni. Pitt wiedział, że to jeszcze nie wszystko: wczesnym popołudniem może dojść nawet do pięćdziesięciu. Ale już teraz czuli się obaj jak w piecu; ciężko było oddychać gorącym, suchym, zapyłonym powietrzem. Strzałka temperatury silnika zbliżała się do czerwonej kreski, ale nie przekroczyła jej. Także chłodnica nie zdradzała objawów przegrzania: nawet zawór bezpieczeństwa na zbiorniku wyrównawczym nie wypuszczał pary. Pitt sprawdzał to, ilekroć zatrzymywali się dla ustalenia dalszego kierunku. Musieli to robić częściej, bo unoszący się w powietrzu pył chwilami całkiem zasłaniał słońce - a wtedy tracili orientację.

W czasie kolejnego postoju Pitt otworzył jedną z litrowych manierek, które dostali od Hoppera.

- Czas zwilżyć gardło - powiedział, podając manierkę Giordinowi. - Wypij połowę, dla mnie reszta. Jutro tak samo podzielimy się drugą.

Giordino wypił szybko swój przydział i oddał manierkę Pittowi. Uruchomił silnik i ruszył ostro do przodu.

- O'Bannion pewnie wysłał już pościg - powiedział.

- Jeśli jadą takim samym samochodem, to nie mają szansy, chyba żeby był tam kierowca "Formuły 1". Ale mogą mieć inną przewagę: zapas paliwa. Mogą nas dogonić, jak będziemy już szli pieszo.

- Nie mogliśmy i my pomyśleć o jakichś zapasowych kanistrach?

- Pomyślałem. Ale w pobliżu ciężarówek niczego nie było.

- Widocznie trzymają zapasy gdzieś indziej. Naprawdę nie było już czasu na poszukiwania.

- O'Bannion może także wezwać śmigłowiec - powiedział Giordino, redukując bieg, by pokonać niewielką piaszczystą diunę.

- Może go dostać od Massarde'a albo od Kazima. A to są, jak sądzę, ostatni ludzie, jakich O'Bannion chciałby informować o naszej ucieczce. Na pewno nie pochwaliliby go za to, że pozwolił uciec wrogom publicznym numer jeden i numer dwa, zaledwie parę godzin po tym, jak umieścili nas pod jego czułą opieką.

- Więc myślisz, że nie dopadnie nas przed granicą algierską?

- Na razie, w tej burzy piaskowej, ma mniej więcej takie szanse, jak policjant kanadyjski ścigający Eskimosa w zadymce. - Pitt wskazał kciukiem do tyłu.

Giordino spojrział w lusterko i zrozumiał. Wiatr był tak silny, że natychmiast rozwiewał ślady opon na piasku. Odprężył się i uśmiechnął ironicznie.

- Nie masz pojęcia - powiedział - jaki to komfort mieć za współtowarzysza podróży niepoprawnego optymistę. Ja jednak nie lekceważyłbym O'Banniona. Jeśli dotrze do szlaku transsaharyjskiego szybciej niż my i zacznie patrolować tam i z powrotem - jesteśmy skończeni.

Pitt dopił resztę wody z manierki. Spojrział przez tylną szybę. Związany strażnik ocknął się wreszcie. Siedział na skrzyni oparty o klapę i wściekłym wzrokiem przyglądał się ludziom w kabinie.

- Jak z benzyną?

- Już prawie nie ma - odparł Giordino.

- No, to czas na naszą małą mistyfikację. Zawróć i stań.

- Giordino posłusznie wykonał polecenie.

- Dalej idziemy pieszo? - upewnił się.

- Tak, ale najpierw wpakujemy tego Tuarega do kabiny i przeszukamy porządnie ciężarówkę. Może coś nam się przyda, choćby jakieś szmaty, żeby ochronić głowę przed słońcem.

Kiedy przenosili związanego strażnika do szoferki, w jego oczach malowała się dziwna kombinacja lęku i agresji. Posadzili go na miejscu pasażera i oddartymi z burnusa paskami tkaniny przywiązali mocno do fotela, tak żeby nie mógł dosięgnąć kierownicy ani pedałów.

W samochodzie, mimo starannych poszukiwań, nie znaleźli nic wartościowego - z wyjątkiem dwóch ręczników, z których natychmiast sporządzili sobie turbany. Wyrzucili z szoferki pistolety maszynowe i przysypali je piaskiem. Broń mogła się jeszcze przydać, gdyby dogonił ich O'Bannion - ale była ciężka i na pewno utrudniałaby marsz. A oni nie mogli sobie pozwolić na żadne dodatkowe utrudnienia: czekająca ich droga i tak wydawała się nie do pokonania.

W końcu Pitt kawałkiem szmaty przywiązał kierownicę tak, że nie mogła się obracać, uruchomił silnik, włączył drugi bieg i wyskoczył z kabiny. Renault potoczył się wolno naprzód, unosząc mimowolnego pasażera z powrotem na zachód, w kierunku Tebezzy.

Wkrótce zniknął im z oczu w tumanach wirującego piasku.

- Dajesz mu większe szansę przeżycia niż on dawał tobie - rzekł filozoficznie Giordino.

- Nie byłbym taki pewien.

- Jak myślisz, ile mamy do przejścia?

- Około stu osiemdziesięciu kilometrów - odparł Pitt lekko, jakby mówił o krótkiej przechadzce.

- To sto dwanaście mil - przeliczył szybko Giordino. - Z porcją wody, która nie starczy nawet dla kaktusa! Teraz już jestem pewien, że moje biedne, stare kości zostaną na pustyni!

- Ale nasza sytuacja ma też dobre strony - powiedział z uśmiechem Pitt, poprawiając prymitywny turban na głowie. - Możesz oddychać czystym, nie skażonym powietrzem, rozkoszować się ciszą, jednoczyć z naturą. Bez smogu, bez hałasu, bez tłumy. Czy może być coś piękniejszego?

- Tak: butelka zimnego piwa, hamburger i łazienka - westchnął w rozmarzeniu Giordino.

Pitt podniósł w górę cztery palce.

- Cztery dni - i wszystkie twoje marzenia będą spełnione.

- A wiesz, jak przeżyć te cztery dni na pustyni?

- Wiem - odparł Pitt z pewną miną. - Nauczyłem się, jak miałem dwanaście lat. Nasza drużyna skautów spędziła kiedyś cały weekend na pustyni Mojave.

Giordino pokręcił głową z rozpaczą.

- To oczywiście rozwiewa wszystkie moje obawy.

Pitt zabrał się znowu do określania kierunków świata. Potem, używając swego "kompasu" jako laski, ruszył na wschód z pochyloną głową, walcząc z coraz silniejszym wiatrem i wciskającym się w oczy piaskiem. Giordino dogonił go i uczepił się jego paska - aby nie zgubić się w piaskowej burzy.

Konferencja za zamkniętymi drzwiami w budynku ONZ w Nowym Jorku zaczęła się o dziesiątej rano, a skończyła grubo po północy. Pięćdziesięciu pięciu wybitnych uczonych z całego świata - badacze oceanów i atmosfery, ekologów, biologów, toksykologów - z najwyższą uwagą wysłuchało wstępnej informacji Sekretarza Generalnego. Hala Kamil, która zwołała tę konferencję, nie zajmowała jednak długo miejsca na mównicy; oddała głos admirałowi Sandeckerowi. Słowa admirała o możliwych rozmiarach katastrofy ekologicznej natychmiast nadały obradom właściwy, rzeczowy i konstruktywny charakter.

Potem nastąpiła seria raportów szczegółowych. Doktor Darcy Chapman opisał procesy chemiczne, stymulujące czerwony zakwit. Rudi Gunn przedstawił najnowsze dane na temat skażenia Nigru. Wreszcie Hiram Yaeger zaprezentował satelitarne zdjęcia rozrastającego się szybko zakwitu i prognozy dalszej jego ekspansji. Informacyjna część spotkania zakończyła się około drugiej po południu. Kiedy Yaeger wrócił na swoje miejsce na sali, a Sandecker otworzył drugą, roboczą część konferencji, zapanowała niezwykła przy takich okazjach atmosfera skupienia i powagi. Na ogół uczeni po wysłuchaniu jakiejś nowej teorii zgłaszają do niej natychmiast tysiąc zastrzeżeń i uwag krytycznych. Tym razem było inaczej, może dlatego, że wśród obecnych znajdowała się kilkunastoosobowa grupa badaczy, którzy już wcześniej wiedzieli o ekspansji czerwonych glonów i podjęli na własną rękę badania nad niezwykłym zjawiskiem. Teraz zgodnie potwierdzili diagnozy i prognozy przedstawione przez NUMA i łatwo przekonali nielicznych, którzy początkowo nie wierzyli w katastroficzny wymiar szerzącej się na oceanie plagi.

Ostatnim punktem porządku dziennego było sformowanie komisji, które skoordynują prace badaczy z różnych krajów, by jak najszybciej opanować problem i powstrzymać proces grożący zagładą ludzkości.

Zamykając obrady, Hala Kamil zaapelowała do uczestników, by nie informowali prasy o zagrożeniu, dopóki nie zostaną opracowane środki zaradcze. Powszechna panika - tłumaczyła - byłaby ze wszech miar szkodliwa w tej i tak już trudnej sytuacji. Zdawała sobie jednak sprawę, że jej apel nie będzie skuteczny.

Wyzaczyła termin następnego spotkania i pożegnała zebranych. Obyło się bez protokolarnych formalności i oklasków. Uczeni opuszczali salę małymi grupkami, uzgadniając szczegóły robocze dalszej współpracy. Wyczerpany wielogodzinnym napięciem Sandecker pozostał jeszcze przez chwilę na swoim miejscu w prezydium. Na jego twarzy oprócz zmęczenia malowała się satysfakcja i wola działania. Miał poczucie, że wreszcie przekroczył punkt zwrotny; że od tej chwili jego słowa nie będą się już odbijać od ściany niezrozumienia, a uszy możliwych

tego świata nareszcie się otworzą.

- Znakomicie przedstawił pan sprawę - powiedziała siedząca obok Hala Kamil, jakby czytała w jego myślach.

- Mam nadzieję, że odniosło to właściwy skutek - odparł.

- Na pewno. Zainspirował pan uczonych z całego świata, by szukali środków zaradczych, zanim będzie za późno.

- Wątpię, czy ich zainspirowałem. Raczej tylko poinformowałem o zagrożeniu.

- Nie ma pan racji, admirale. Docenili powagę sytuacji. I mają szczerą wolę podjąć walkę z tą plagą. To jest wypisane na ich twarzach.

- Nie osiągnęlibyśmy tego, gdyby nie pani. Tylko pani potrafiła od razu ocenić niebezpieczeństwo. Może to jakiś szczególny dar, właściwy tylko kobietom?

- Może... Rzeczywiście, to co mnie wydawało się od początku oczywiste, inni oceniali jako absurdalny wymysł.

- Najważniejsze, że mamy już za sobą fazę sporów i kontrowersji.

- Teraz możemy się skupić na działaniu.

- Nie będzie łatwo działać w warunkach paniki - powiedziała poważnym tonem. - A jak znam życie, cała sprawa stanie się pojutrze tajemnicą poliszynela.

- Tak - przyznał Sandecker. - Naukowcy nie słyną z dyskrecji.

- Możemy się spodziewać prawdziwego najazdu ze strony prasy.

Sekretarz Generalny popatrzyła na pustą już salę obrad. Panujący tu przez ostatnie godziny duch rzeczowej współpracy był czymś niezwykłym w budynku ONZ, czymś, czego nigdy nie doświadczyła podczas obrad Zgromadzenia Ogólnego. Więc może jednak jest jakaś nadzieja dla świata, rozbitego na tyle kultur i tyle języków.

- Jakie ma pan najbliższe plany? - spytała.

Sandecker wzruszył ramionami.

- Planuję! Muszę wyciągnąć Pitta i Giordino z Mali.

- Ile czasu minęło od ich aresztowania?

- Cztery dni.

- Wiadomo coś o ich losie?

- Niestety, nie. Nasz wywiad jest mało aktywny w tej części świata; nie mamy najmniejszego pojęcia, gdzie ich zabrano.

- Jeśli wpadli w ręce Kazima, obawiam się najgorszego.

Sama myśl o utracie Pitta i Giordino była dla Sandeckera nieznośna. Szybko zmienił temat.

- Czy ekipa śledcza wykryła jakieś ślady spisku w katastrofie samolotu WHO?

Przez chwilę zwlekała z odpowiedzią.

- Nasza ekipa wciąż jeszcze bada szczątki samolotu - odezwała się wreszcie. - Ale dotychczasowe analizy wykluczają możliwość, że przyczyną katastrofy była bomba. Przyczyna wciąż jest nieznana.

- Nikt nie przeżył?

- Nikt. Zginął doktor Hopper, wszyscy jego ludzie i załoga.

- Trudno uwierzyć, że Kazim nie maczał w tym palców.

- Tak, to zły człowiek - potwierdziła. Jej twarz przybrała mroczny, bolesny wyraz. - Ja również myślę, że to on jest za to odpowiedzialny. Prawdopodobnie doktor Hopper odkrył coś ważnego w związku z zarazą, która szerzy się w Mali. Coś, czego ujawnienie byłoby nie po myśli Kazima. Coś, co nie spodobałoby się zachodnim rządóm, od których Kazim dostaje pomoc.

- Miejmy nadzieję, że Pitt i Giordino już to wiedzą.

Popatrzyła na Sandeckera z wyrazem szczerzego współczucia.

- Musi pan brać pod uwagę najgorszą możliwość, admirale: że oni też już nie żyją, że zostali zamordowani na polecenie Kazima.

Skutek jej słów był nieoczekiwany. Uczucie zmęczenia opadło z Sandeckera jak stary, za luźny płaszcz, a na jego wargach pojawił się dziwny, desperacki uśmiech.

- Nie... - powiedział przeciągle. - Nigdy nie uwierzę w śmierć Pitta, póki sam, na własne oczy nie zobaczę jego zwłok. Nie z takich opresji wracał cały i zdrowy.

Kamil uścisnęła dłoń Sandeckera.

- Módlmy się, żeby i tym razem mu się udało.

Na lotnisku w Gao czekał na Yerliego Felix Verenne.

- Witam ponownie w Mali - powiedział, wyciągając rękę. - Podobno był pan tu parę lat temu.

Yerli podał mu rękę, ale nie odwzajemnił powitalnego uśmiechu.

- Przepraszam za spóźnienie, ale samolot Entreprises Massarde, który przysłaliście po mnie, miał w Paryżu jakąś awarię.

- Wiem. Chciałem nawet wynająć inną maszynę, ale okazało się, że poleciał pan już samolotem Air Afrique.

- Byłem przekonany, że pan Massarde chce mnie tu widzieć jak najszybciej.

Verenne potwierdził to skinieniem głowy.

- Bordeaux poinformował pana o zadaniu?

- Wiem, że to ma coś wspólnego z tymi nieszczęsnymi badaniami, prowadzonymi przez



ONZ i NUMA. Ale Bordeaux sugerował, że lecę tu głównie po to, żeby zaprzyjaźnić się z generałem Kazimem i zapobiec jego dalszemu wtrącaniu się w operacje pana Massarde'a.

- Zgadza się. Ten dureń paskudnie spartolił sprawę ekipy badającej skażenia. To prawdziwy cud, że nie zainteresowała się tym światowa prasa.

- Czy Hopper i jego ludzie już nie żyją?

- Bardzo możliwe. Skierowano ich do katorżniczej pracy w tajnej kopalni złota na Saharze.

- A ci intruzi z NUMA?

- Złapaliśmy ich - i wylądowali w tym samym miejscu.

- A więc pan Massarde przejął kontrolę nad sytuacją?

- Tak, ale właśnie dlatego pana wezwał. Nie możemy sobie pozwolić na dalsze idiotyzmy Kazima.

- Gdzie teraz pojedę? - spytał Yerli.

- Na razie do Fort Foureau. Pan Massarde osobiście przekaze panu instrukcje. Potem zaaranżuje spotkanie towarzyskie z Kazimem, gdzie będzie opowiadał cuda o pańskich wyczynach wywiadowczych.

- Kazim przepada za powieściami szpiegowskimi. Na pewno skorzysta z okazji i spróbuje zatrudnić pana u siebie, a pan o każdym jego kroku będzie informował Massarde'a.

- Daleko do tego Fort Foureau?

- Dwie godziny lotu śmigłowcem. Chodźmy. Weźmiemy pański bagaż i ruszamy w drogę.

Massarde przy wszystkich łądackich cechach był jednak swego rodzaju patriotą. We własnych przedsiębiorstwach zatrudniał wyłącznie francuskich inżynierów i robotników budowlanych, używał też wyłącznie francuskich maszyn i środków transportu. Śmigłowiec, do którego Verenne poprowadził Yerli'ego, był tego samego typu jak ten, który Pitt utopił w Nigrze. Bagaże Yerli'ego przeniósł na pokład jeden z pilotów. Zaledwie Verenne i nieprzenikniony Turek zajęli miejsca w wygodnych skórzanych fotelach, pojawił się steward z drogimi przekąskami i szampanem.

- Czy to nie przesada? - spytał Yerli. - A może macie zwyczaj rozwijania czerwonych dywanów przed każdym, nawet zwykłym gościem?

- Zgadł pan - przyznał Verenne chętnie. - Pan Massarde nie lubi amerykańskiej tandety: tych soft-drinków, piwa, chipsów i orzeszków. Mówi, że my, Francuzi, powinniśmy okazywać lepszy gust i prezentować wzory prawdziwej kultury, bez względu na status naszego gościa.

Yerli uniósł w górę kieliszek z szampanem.

- No to zdrowie Yves'a Massarde'a! Oby zawsze był równie hojny!

- Zdrowie naszego szefa! - przyłączył się Verenne. - Oby zawsze był równie hojny dla ludzi lojalnych! - skorygował.

Yerli puścił to mimo uszu. Wypił szampana i podstawił kielich stewardowi, by napełnił go ponownie.

- Jakie są reakcje organizacji ekologicznych na wasze przedsięwzięcie w Fort Foureau? - spytał.

- Niewyraźne. Nie bardzo wiedzą, co o tym myśleć. Z jednej strony podoba im się całkowicie czyste wytwarzanie energii, z drugiej - są poważnie zaniepokojeni szkodami, jakie spalanie odpadów może wyrządzić w atmosferze Sahary.

Yerli przyglądał się bąbelkom, wędrującym ku górze w kieliszku szampana. Czekał na dalsze wyjaśnienia, ale nie doczekał się. Spytał więc wprost:

- Myśli pan, że da się utrzymać tajemnicę Fort Foureau? Co będzie, jeśli europejskie i amerykańskie rządy wpadną na trop tego, co tam się naprawdę robi?

Verenne parsknął śmiechem.

- Chyba pan żartuje. Większość tych rządów jest szczęśliwa, że może z naszą pomocą pozbyć się szkodliwych odpadów poza kontrolą opinii publicznej. Wiele osobistości oficjalnych, a zwłaszcza ludzie z wielkiego biznesu nuklearnego i chemicznego, udzielają nam pełnego błogosławieństwa. Prywatnie, rzecz jasna.

- A więc oni wiedzą? - spytał zdumiony Yerli.

- Verenne przyglądał mu się z coraz większym rozbawieniem.

- Czy pan naprawdę myśli, że klienci Massarde'a to idioci?

Pitt i Giordino szli na wschód, najpierw w popołudniowym skwarze, potem w lodowatym chłodzie nocy. Chcieli do końca wykorzystać spore zapasy sił, z jakimi wystartowali. Zatrzymali się dopiero o świcie następnego dnia. Zagrzebali się w piasku i tak spędzili cały upalny dzień, chroniąc ciała przed promieniami słońca i zapobiegając poważniejszej utracie wody z organizmu. Ciepły kompres z piasku działał też kojąco na spracowane mięśnie.

W ciągu tego pierwszego wieczora i nocy pokonali czterdzieści osiem kilometrów dystansu, dzielącego ich od transsaharyjskiego szlaku samochodowego. W rzeczywistości lawirując między piaszczystymi diunami przeszli znacznie więcej. Do drugiego etapu wystartowali jeszcze przed zachodem słońca. Wcześniej Pitt ustalił kierunek marszu, by nie zbaczać z kursu o szarej godzinie, poprzedzającej pojawienie się gwiazd. O świcie następnego dnia byli o następne czterdzieści dwa kilometry bliżej celu wędrówki. Zanim ponownie zagrzebali się w piasku na zasłużony wypoczynek, wysączyli ostatnie krople wody z manierki. Wiedzieli, że od tej chwili - jeśli nie natrafią przypadkowo na jakąś oazę - ich ciała będą systematycznie wysychać i obumierać.

W ciągu trzeciej nocy musieli pokonać pasmo wysokich diun; nie ryzykowali ich obejścia, bo ciągnęły się w lewo i w prawo aż po horyzont. Diuny, choć śmiertelnie groźne, były też doskonale piękne. Wiatr nieustannie zmieniał delikatną, koronkową rzeźbę miękkich, jedwabistych powierzchni. Początkowo, pomni ostrzeżeń Fairweathera, szli wąskimi dolinami u podnóża wydm. Kiedy jednak musieli w końcu wspiąć się na jedną z nich, gdyż skutecznie zamykała im drogę na wschód, Pitt dokonał cennego odkrycia. Granie wydm były niemal równie twarde jak ich podnóża, a w dodatku często przechodziły płynnie jedna w drugą. Można więc było, jeśli tylko kierunek grani na to pozwalał, iść po nich niemal poziomo, bez straty sił na ciągłe wspinanie się i schodzenie.

Nad ranem minęli pasmo diun i znaleźli się na wielkiej piaszczystej równinie. Choć podłoże było tu twardsze niż na wydmach, pojawiło się nowe utrudnienie. Piasek był pofałdowany: kolejne garby wypadały w odstępach odpowiadających długości ludzkiego kroku. Wędrówka po tym terenie przypominała marsz po torowisku kolejowym, z przekraczaniem kolejnych podkładów. Szli tak parę kilometrów, niemal padając ze zmęczenia, ze wzrokiem wbitym w ziemię, jak konie w kieracie. Może dlatego bardzo późno zauważyli wyłaniającą się przed nimi stromą skarpe wielkiego płaskowyżu. Mimo że do wschodu słońca brakowało już tylko paru minut, postanowili wspiąć się jeszcze na płaskowyż i dopiero tam poszukać miejsca na dzienny wypoczynek. Cztery godziny później, gdy wreszcie dotarli do górnej krawędzi skarpy, słońce stało już wysoko na niebie. Wspinaczka pochłonęła ostatki ich sił. Serca waliły w

szalonym rytmie, żebra unosiły się konwulsyjnie, by wciągnąć w spragnione płuca więcej powietrza, mięśnie nóg były obolałe jak po torturach. Pitt bał się jednak położyć czy usiąść. Był prawie pewien, że potem już się nie podniesie. Stał więc niepewnie na skraju płaskowyżu. Przez chwilę poczuł się jak kapitan na mostku okrętu i, stosownie do tej roli, rozejrzał się wokół.

Jeśli równina, przez którą przeszli, była martwym, monotonnym pustkowiem, to teraz otwierał się przed nimi krajobraz z koszmaru sennego. Morze bezładnych usypisk skalnych, upstrzone rdzawymi obeliskami hematytowych sterczyn, ciągnące się na wschód aż po horyzont, wyglądało jak wielkie miasto, zniszczone przed wiekami wybuchem nuklearnym.

- Jak się nazywa ta część Hadesu? - spytał Giordino, osuwając się ciężko na ziemię.

Pitt wyciągnął z kieszeni mapę Fairweathera, bardzo już pomiętą i poprzecieraną.

Rozprasował ją ostrożnie na udzie.

- Fairweather zaznaczył ten płaskowyż - powiedział - ale nie podał nazwy.

- A więc od tej chwili będzie się nazywać "Garb Giordina".

Wyschnięte, obolałe wargi Pitta z trudem ułożyły się w grymas uśmiechu.

- Jeśli chcesz zarejestrować tę nazwę, wystarczy zgłosić ją do Międzynarodowego Instytutu Geograficznego.

- Jak myślisz, ile już przeszliśmy? - głos Giordina spowaźniał.

- Jakieś sto dwadzieścia kilometrów.

- Czyli do szlaku transsaharyjskiego zostało sześćdziesiąt?

- Tak, chociaż trzeba jeszcze uwzględnić prawo Pitta.

- A co to za prawo?

- Kto liczy według cudzej mapy, liczy o dwadzieścia kilometrów za mało.

- A więc ile mamy naprawdę?

- Myślę, że osiemdziesiąt.

Giordino popatrzył na niego oczyma nieprzytomnymi ze zmęczenia. Słowa z trudem wydobywały się z jego wyschniętego gardła.

- Jeszcze pięćdziesiąt mil... A mamy za sobą już siedemdziesiąt bez kropli wody.

- Siedemdziesiąt? Chyba tysiąc - zadrwił gorzko Pitt.

Ale Giordino nie miał już ochoty na żarty,

- Nieważne - powiedział. - Tak czy inaczej, myślę, że dalej już nie pójdę.

Pitt oderwał wzrok od mapy.

- Nigdy nie przypuszczałem, że coś takiego od ciebie usłyszę.

- A ja nigdy jeszcze nie miałem takiego straszliwego pragnienia.

- To zawsze było dla mnie tylko chwilowe, przemijające uczucie. Teraz to już prawdziwa

obsesja.

- Człowieku, jeszcze tylko dwie noce marszu i zatańczymy na szlaku transsaharyjskim.

Giordino wolno opuścił głowę ku ziemi.

- Pobożne życzenia - mruknął. - Nie starczy nam sił, żeby przejść jeszcze pięćdziesiąt mil.

Jesteśmy niemal kompletnie odwodnieni.

Ale Pitt miał wciąż przed oczami widok Ewy: udręczonej niewolniczą pracą, katowanej przez Melikę.

- Przypomnij sobie, Al - powiedział. - Jeśli nie dojdziemy, oni wszyscy też umrą.

- Wiem - rzekł Giordino. - Ale nie wyciśniesz krwi z rzepy, bo jej tam nie ma.

Podniósł jednak głowę i osłaniając oczy od słońca jeszcze raz spojrzął na wschód. Nagle oderwał dłoń od czoła i, najwyraźniej podekscytowany, wskazał odległe rumowisko skalne.

- Spójrz tam! Czy to nie jest wejście do groty?

Wzrok Pitta pobiegł za wyciągniętą ręką. Rzeczywiście: w skałach czernił się duży otwór. Pitt chwycił dłoń Giordina i jednym mocnym szarpnięciem poderwał go na nogi.

- No widzisz! Nasza zła karta zaczyna się odwracać. Nic tak dobrze nie robi na upał, jak ciemna, chłodna jaskinia.

Mimo wczesnej pory, pośród rozgrzanych słońcem żelazistych skał powietrze było nieznośnie ciężkie. Mieli wrażenie, jakby szli przez palenisko pełne rozżarzonych węgli. Nie mieli ciemnych okularów, owinęli więc głowy ręcznikami, pozostawiając przed oczami jedynie wąskie szczeliny. Dawało to pewną ulgę zmęczonym oczom, ograniczało jednak widoczność. Ryzykowali potknięcie, upadek i nieuniknione oparzenia rąk o rozpalone kamienie.

Wejście do groty blokował wysoki wał nawianego piasku. Giordino zdołał przejść po nim niemal wyprostowany, ale znacznie wyższy Pitt musiał zgiąć się w pół. Odruchowo zatrzymali się, by przyzwyczać wzrok do wewnętrznych ciemności, ale nie było to potrzebne. W środku było widno. Ta grotka nie powstała w wyniku niszczącego działania wody i powietrza, jak jaskinie w skałach wapiennych. Była rezultatem przypadkowego spiętrzenia wielkich bloków skalnych, spowodowanego trzęsieniem ziemi przed milionami lat. Przez szczeliny w sklepieniu przeciskały się miejscami promienie słońca.

Zaledwie Pitt zrobił krok do przodu, zobaczył dwie duże postaci ludzkie.

Odruchowo cofnął się.

- Aj! - jęknął Giordino, - Musisz mi jeszcze deptać po palcach?

- Przepraszam. Ale zupełnie nie spodziewałem się tutaj towarzystwa.

Teraz i Giordino zauważył namalowaną na odległej, oświetlonej słońcem ścianie postać człowieka, ciskającego włócznią w bizona. Podeszli bliżej i dopiero wtedy zobaczyli, że cała

rozległa jaskinia jest wielką galerią prehistorycznego malarstwa. Giordino nie był w stanie pojąć, skąd wzięła się taka twórczość w najbardziej odludnym i nieludzkim zakątku Ziemi.

- Czy to nie jakieś fałszerstwo? - spytał.

Pitt przyjrzał się dokładniej scenie z polowania. Myśliwy miał na twarzy maskę, z jego ramion i głowy wyrastały kwiaty.

- Nie, to autentyczne, stare malarstwo ścienne, chociaż z różnych epok. Nie jestem archeologiem, ale powiedziałbym, że stylistycznie najstarsze są obrazy w głębi jaskini; im bliżej wyjścia, tym bliżej naszych czasów.

- Ale jak to możliwe? Tutaj? Na Saharze?

- Jeszcze dziesięć - dwanaście tysięcy lat temu Sahara miała wilgotny, tropikalny klimat i bujną roślinność. W ogóle było to miejsce świetnie nadające się do życia. - Pitt wskazał grupę postaci z włóczniami, otaczających gigantycznego rannego bizona. - To malowidło jest chyba najstarsze. Bizon ma rozmiary słonia. Takie bizona istniały, ale już dawno wymarły.

Podszedł do innego wielkiego malowidła.

- A tu masz pasterzy i stado. Epoka pasterska zaczęła się dużo później, około pięciu tysięcy lat przed Chrystusem. Toteż i styl jest bogatszy, i odtworzenie detali lepsze niż na obrazie z bizonem.

- Hipopotam! - wykrzyknął z niedowierzaniem Giordino, podziwiając obraz na płaskiej ścianie wielkiego głazu. - Chcesz powiedzieć, że i one były na Saharze?

- Były. Jeszcze trzy - cztery tysiące lat temu była tu wielka sawanna, a na niej wszelkie formy życia.

Posuwali się powoli w stronę otworu wejściowego, śledząc na kolejnych obrazach dzieje Sahary.

- Tu już nie ma bydła i buszu - zauważył nagle Giordino.

- W którymś momencie - Pitt daremnie usiłował przypomnieć sobie dawno zapomniany wykład z geografii historycznej - zaczęły się niedobory wody. Było coraz mniej deszczów, a w końcu zaczęło się pustynnienie.

- A cóż to takiego? - zdziwił się Giordino, stając przed kolejnym obrazem. - To wygląda na wyścigi rydwanów.

Tym razem Pitt również był zdziwiony.

- Ludzie z rejonu Morza Śródziemnego używali koni i rydwanów już w dziesiątym wieku przed Chrystusem - rzekł. - Ale nie wiedziałem, że dotarli aż tak daleko na południe.

- A co było dalej, panie profesorze? - W cieniu głazów jaskini i wobec nowych, tak niezwykłych doświadczeń, Giordino odzyskał poczucie humoru.

- Epoka wielbłądów - odparł niezrażony Pitt Stał przed długim malowidłem, przedstawiającym karawanę złożoną z co najmniej pięćdziesięciu zwierząt. - W Afryce, ściśle mówiąc w Egipcie, pojawiły się po raz pierwszy w 525 roku przed Chrystusem, w czasie podbojów perskich. Później rzymskie karawany z wybrzeża docierały przez pustynię aż do Timbaktu. I wielbłądy zostały, bo tylko one wytrzymują ten klimat.

Stosunkowo najnowsze malowidła, znajdujące się najbliżej wyjścia, były ku ich zaskoczeniu prymitywniejsze od tych, które oglądali wcześniej. Pitt zatrzymał się dłużej przed serią rysunków, barwionych ochrą, na których przedstawiono całą wielką bitwę. Brodaci wojownicy z tarczami i włóczniami, poruszający się na dwukołowych rydwanach zaprzężonych w cztery konie, atakowali wielką armię czarnych łuczników, którzy odpowiadali deszczem strzał.

- Hej, mądrało - zawołał Giordino - a jak wytłumaczysz to tutaj?

Pitt podszedł do niego - i osłupiał. Kolejny obraz był naszkicowany niezbyt wprawną, jakby dziecięcą ręką. Wielka łódź płynęła rzeką, pełną ryb i krokodyli. Przy całej swojej wiedzy Pitt żadną miarą nie mógł sobie wyobrazić wody, ryb i krokodyli w rozprażonych suchych korytach, jakie przecinali w trakcie wędrówki przez pustynię. Ale nie to wprawilo go w osłupienie. Jego uwagę przyciągnęła wielka łódź otoczona licznymi wirami, co zapewne miało oznaczać, że porusza się szybko. Sądząc z rozmiarów, mogła to być antyczna łódź egipska, ale jej kształt i konstrukcja były na to zbyt nowoczesne. Część nadwodna przypominała ściętą, przyplaszczoną piramidę. Z burt wystawały okrągłe rury. Na tylnym pokładzie, pod dużą banderą naprężoną na wietrze, stało w różnych pozach kilka postaci.

- Pancernik! - powiedział machinalnie, nie wierząc własnym oczom. - Pancernik floty Skonfederowanych Stanów!

- Niemożliwe, nie mógł tu być - odezwał się Giordino, kompletnie oszołomiony.

- Mógł i był - stwierdził Pitt stanowczo. - Ten sam, o którym mówił stary poszukiwacz.

- A więc to nie bajka?

- Tutejszy artysta nie mógł namalować czegoś, czego nigdy nie widział. A przecież nawet dokładnie przedstawił banderę Konfederacji; wprowadzono ją dopiero w ostatnich miesiącach Wojny Secesyjnej.

- Może jakiś były marynarz Konfederacji zabłąkał się w te strony po wojnie i z nostalgii namalował to na skale?

- Nie naśladowałby tutejszych artystów, tylko malowałby po swojemu. A w tym obrazie nie ma nic z techniki i stylu malarstwa Zachodu.

- A co powiesz o tych dwóch ludziach stojących na kazamacie? - Giordino poruszył wreszcie najbardziej intrygujący temat.

- Jeden to najwyraźniej oficer floty. Prawdopodobnie dowódca.

- Ale ten drugi?! - niecierpliwił się Giordino.

Pitt jeszcze raz uważnie obejrzał od stóp do głów postać, stojącą obok kapitana.

- A twoim zdaniem, kto to jest?

Giordino nie dał się sprowokować.

- Nie widzę zbyt dobrze; to cholerne słońce wykończyło mi oczy. Miałem nadzieję, że mi pomożesz.

Umysł Pitta rozpaczliwie próbował strawić nowe informacje, kompletnie nie przystające do starej wiedzy.

- Kimkolwiek był ten artysta - powiedział wreszcie oszołomiony i zafascynowany - jedno jest pewne: zadziwiająco wiernie odmalował twarz Abrahama Lincolna.



Dzień spędzony we względnym chłodzie groty odświeżył ich przynajmniej na tyle, że pod wieczór znów poczuli się zdolni pokonać dystans, dzielący ich od szlaku transsaharyjskiego. Szykując się psychicznie do kolejnej batalii z bezlitosną pustynią, odłożyli na później roztrząsanie zagadki pancernika. Przed zachodem słońca Pitt wyszedł na chwilę z groty, by ustalić kierunek dalszego marszu. Panująca na zewnątrz temperatura nadal przypominała sąsiedztwo pieca hutniczego. Już po paru minutach manipulacji z rurką kompasem Pitt czuł się jak topniejąca w ogniu świeca. Zdołał jednak dokończyć pomiarów i zarejestrował w pamięci charakterystyczną, odległą o dobre pięć kilometrów wysoką skałę - dokładnie na wschód od miejsca, w którym się znajdowali.

Wrócił do groty, znów straszliwie zmęczony, wyczerpany, słaby. Popatrzył na Giordina - i dopiero wtedy się przeraził. W zapadniętych oczach przyjaciela dostrzegł rezygnację i pesymizm, typowe dla ludzi, którzy pogodzili się już z własną śmiercią. Mieli za sobą wiele wspólnych akcji, nieludzko trudnych i niebezpiecznych. Ale jeszcze nigdy Pitt nie widział Giordina w takim stanie. Jego tężyzna fizyczna przestała istnieć wobec głębokiej depresji.

Giordino był typem skrajnie pragmatycznym. Do wszystkich trudności, kłopotów, przeciwności życiowych podchodził trzeźwo, szukając natychmiast prostych, realistycznych rozwiązań, i zawsze je znajdował. W przeciwieństwie do Pitta nie umiał jednak posługiwać się protezami wyobraźni, które mogłyby choć trochę uśmierzyć lub oszukać straszliwe pragnienie, szarpiący wnętrzności głód czy nieznośny ból mięśni. Nie potrafił pograć się w marzeniach o basenach z krystalicznie czystą wodą, o wysokich szklankach z tropikalnymi napojami i stołach zastawionych apetycznymi delicjami - i zapomnieć choć na chwilę o otaczającej go strasznej rzeczywistości.

Pitt zrozumiał, że ta noc jest ich ostatnią szansą. Jeśli w grze o życie, jaką toczą z pustynią, chcą zwyciężyć - muszą podwoić wysiłki. Następne dwadzieścia cztery godziny bez wody wykończą ich obu. Nie będą już mieli siły na nic.

Dał Giordinowi jeszcze całą godzinę, zanim wyrwał go z głębokiego snu.

- Musimy ruszać - powiedział - jeśli chcemy przejść przyzwoity kawałek przed następnym wschodem słońca.

Powieki Giordina uniosły się tylko na milimetr. Z najwyższym trudem przybrał pozycję siedzącą.

- A może by tak zostać tu jeszcze dobę i odpocząć?

- Zbyt wiele ludzi liczy na to, że dojdziemy i przyślemy im pomoc. Dla nich każda doba, każda godzina może być ostatnia.

Myśl o ludziach uwięzionych w Tebezzy, zwłaszcza o kobietach i dzieciach skazanych na katorżniczą pracę, wciąż jeszcze wystarczała, by wyrwać Giordina z odrętwienia. Na usilne nalegania Pitta zrobili parę ćwiczeń rozluźniających, by rozruszać obolałe mięśnie i zeszywniałe stawy. Ostatni raz popatrzyli na niezwykle malowidła ścienne, zatrzymując dłużej wzrok na konfederackim pancerniku, i wyszli z grotu na wielką, lekko opadającą ku wschodowi równinę płaskowyżu. Pitt szedł pierwszy, kierując się na skałę na horyzoncie, którą przedtem wypatrzył. Najważniejsze było iść, posuwać się naprzód, nie pozwalać sobie na żadne postoje z wyjątkiem krótkich chwil odpoczynku; tylko w ten sposób mieli szansę dotrzeć do szlaku motorowego.

Bezlitosne słońce skryło się już za horyzontem, na niebie pojawił się blady półksiężyc. Powietrze było zupełnie nieruchome, panowała głęboka, martwa cisza. Jednostajny krajobraz kamiennej pustyni ciągnął się przed nimi w nieskończoność. Mijane sterczyny żelazistych skał, przypominające kości dinozaurów, wciąż jeszcze promieniowały zgromadzonym za dnia gorącem.

Szli tak przez siedem godzin. Dawno pozostawili za sobą skałę, na którą początkowo kierował się Pitt. Z upływem godzin robiło się coraz zimniej; wycieńczone organizmy reagowały coraz częstszymi spazmami niepohamowanych dreszczy. Pitt uświadomił sobie nagle, że w ciągu dwudziestu czterech godzin doświadczają tu wszystkich czterech pór roku. Krajobraz powoli zmieniał się: sterczące skały i otaczające je rumowiska były coraz niższe i coraz radsze. Nie od razu to zauważyli. Dopiero przy kolejnym postoju, gdy podnieśli głowy, by popatrzeć w gwiazdy i skorygować kierunek marszu, spostrzegli, że lekka pochyłość płaskowyżu już się skończyła. Przed nimi leżała pozioma równina, z rzadka poprzecinana płytkimi wadi, wyźlobionymi przez płynące tędy niegdyś strumienie.

Szli coraz wolniej, coraz bardziej zmęczeni, w końcu już ledwie się posuwali. Trudy dotychczasowej wędrówki ciążyły im jak stufuntowe worki zwalone na plecy. Gdy siadali na chwilę dla odpoczynku, mieli wrażenie, że już się nie podniosą. Jednak wstawali znowu i szli uparcie naprzód, nie szczędząc ubywających z każdą chwilą sił.

W chwilach zwątpienia Pitt przywoływał w pamięci sceny z kopalni: O'Bannion i Melika katujący kobiety i dzieci w ciemnych lochach; bat Meliki siekący na oślep bezbronnych, wycieńczonych niewolników. Ilu z nich umarło w ciągu tych ostatnich dni? Czy ciało Ewy też już trafiło do cuchnących katakumb? Nie odpychał od siebie tych obsesyjnych wizji, bo już tylko one zmuszały go do nadludzkiego wysiłku, jakim był uporczywy, mechaniczny marsz na wschód.

Już od dawna nie miał śladu śliny w ustach. Język mu spuchł, upodabiając się do suchej, szorstkiej gąbki. W ustach na stałe zagościł nieznośny, gorzki smak. Na szczęście wciąż

jeszcze mógł przelykać i mówić. Mówił jednak jak najmniej, i to wyłącznie na postojach: przypomniał sobie, trochę późno, że to jeden ze sposobów oszczędzania wody zawartej w organizmie. Z tego samego względu starał się oddychać wyłącznie przez nos. To, że szli wyłącznie nocami, a w dzień mimo upału nie zdejmowali koszul - ograniczyło nieco wypacanie wody z organizmu. Ale gorsza niż odwodnienie była utrata soli; to ona głównie powodowała coraz większe osłabienie.

Kiedy na wschodzie niebo rozjaśniło się, Pitt sięgnął znowu po mapę Fairweathera. Wynikało z niej, że są już na obszarze wielkiego wyschniętego jeziora, ciągnącego się gładką taflą aż do celu ich wędrówki: szlaku transsaharyjskiego. Nie była to pomyślna wiadomość. Po idealnie równej, poziomej powierzchni szło się zapewne łatwiej, ale nie można było marzyć o zagrzebaniu się w piasku na najgorsze godziny upału; grunt był zbyt twardy, by poruszyć go bez łopaty. Nie pozostawało więc nic innego, jak iść dalej pod palącym słońcem, bez najmniejszej szansy na choćby pozór cienia pod skałą czy pod stromą ścianą wydmy.

Na szczęście tuż po wschodzie słońca na niebie pojawiło się trochę chmur, dając idącym dodatkowe dwie godziny wytchnienia. Potem jednak chmury rozproszyły się, a słońce zaczęło palić mocniej niż kiedykolwiek. W południe obaj byli już wykończeni; mieli pewność, że jeśli nawet nie zabije ich straszliwy żar dnia, dokona tego lodowaty chłód nocy.

Nagle zatrzymała ich niespodziewana przeszkoda. Była to głęboka rozpadlina o stromych brzegach. Jej dno znajdowało się co najmniej siedem metrów poniżej powierzchni suchego jeziora. Pęknięcie biegło w obie strony aż po horyzont niemal prostą linią, jak kanał wykopany przez człowieka. Idący przodem, ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w ziemię, Pitt omal nie wpadł do wąwozu. Stał nad krawędzią pełen najgorszych myśli. A więc to koniec. Nie starczy mu już sił, by zejść po stromej skarpie na dno, a potem wspiąć się na równie stromy drugi brzeg, gdzie czeka ich jeszcze pięćdziesiąt kilometrów rozpalonego, płaskiego pustkowia. Tymczasem dogonił go Giordino; stanął nieco z tyłu, potem osunął się bezwładnie na ziemię. Jego głowa i ramiona zwisły nad rozpadliną. Po chwili jednak odwrócił się, usiadł i popatrzył na Pitta bezradnym, pytającym spojrzeniem.

Pitt stał nadal bez ruchu, wpatrując się w odległy horyzont na wschodzie, jak gdyby widział już cel - i tym silniej przeżywał jego nieosiągalność. Wyrwał się jednak z marazmu i zaczął lustrować wzrokiem dno wąwozu, najpierw w lewo, potem w prawo. I nagle znowu zastygł. W jego oczach, ledwie widocznych w szczelinie zawoju z ręcznika, odmalowało się najwyższe zdumienie.

- Chyba rozum mi się pomieszał - szepnął.

- Nie martw się - odparł Giordino. - Ja to mam już od wczoraj.

- Przysięgłbym, że widzę... - Pitt rozsunął zawój i przetarł oczy. - Nie, to na pewno miraż!

Giordino spojrział na wschód, na rozpaloną do białości bezkresną równinę. W niewielkiej odległości widział całkiem wyraźnie ogromną połąć wody. Wiedział jednak, że to tylko złudny efekt falowania rozgrzanego powietrza - i nie chciał patrzeć na iluzję tego, czego w istocie tak desperacko pragnął.

- Ty też to widzisz? - spytał Pitt.

- Widzę, nawet z zamkniętymi oczami - odparł Giordino słabym głosem. - Widzę knajpę, a w niej podkasane dziewczynki: biegają z wielkimi kuflami zimnego piwa.

- Mówię poważnie.

- Ja też. Jeśli masz na myśli to rozkoszne jezioro tam na wschodzie, to nie zwracaj mi głowy.

- Jakie tam jezioro! - burknął Pitt ze złością. - Mam na myśli samolot, tu, po prawej, w wąwozie.

Giordino pomyślał, że przyjaciel rzeczywiście zwariował, ale na wszelki wypadek odwrócił się i spojrział we wskazanym kierunku. Rzeczy wytworzone przez człowieka nie poddają się niszczącemu działaniu pustyni. Najgorsze, co może się zdarzyć stali, to to, że przewiewany latami piasek zmatowi lśniąca niegdyś powierzchnię. Samolot, który utkwił dziobem w dnie wyschniętej rzeki, też wyglądał na nie tknięty zębem czasu. Staroświecki górnopłat musiał spędzić tu w zapomnieniu wiele dziesięcioleci.

- Widzisz to? - powtórzył Pitt. - Czy może naprawdę zwariowałem?

- W takim razie musiałyby to być jakiś zbiorowy obłąd. Bo mnie to też wygląda na samolot.

Pitt pomógł mu wstać i poczępali ciężko nad krawędzią jaru. Płótno opinające kadłub i skrzydła było w zadziwiająco dobrym stanie. Bez trudu odczytali numery identyfikacyjne. Z przodu sterczał aluminiowy kikut śmigła, duży gwiazdzisty silnik był częściowo wbity wabinę, a jego wspornik złamany i odgięty do góry. Złamane było także podwozie, ale poza tym samolot nie miał większych uszkodzeń. Po drugiej stronie rozpadliny, na płaszczyźnie wyschniętego jeziora widoczne były jeszcze ślady wyżłobione jego kołami.

- Jak myślisz, dawno tu leży? - spytał Giordino.

- Pięćdziesiąt, może nawet sześćdziesiąt lat.

- Ciekawe, czy pilot się uratował.

- Nie - stwierdził Pitt stanowczo. - Pod lewym skrzydłem widać jego nogi.

Giordino spojrział w tamtym kierunku i zobaczył sznurowany trzewik, a dalej postrzępioną nogawkę spodni w kolorze khaki. Ich właściciel krył się w cieniu skrzydła.

- Chyba nie będzie miał nic przeciwko naszemu towarzystwu? Musi się strasznie nudzić w

tej dziurze.

- Ja też tak myślę - rzekł Pitt, usiadł i zaczął zsuwać się po stromiznie, hamując obcasami.

Giordino poszedł w jego ślady. Po chwili obaj byli na dnie rozpadliny, w tumanie wzniesionego przez siebie kurzu. Podobnie jak poprzedniego wieczora w grocie z malowidłami, ciekawość przemogła na jakiś czas uczucie zmęczenia, pragnienia, głodu.

Poderwali się i podeszli do martwego od wielu dziesięcioleci pilota. Siedział oparty o kadłub samolotu. Lewa noga była bosa. Obok leżała prymitywna kula, sklecona z podpory skrzydła, nieco dalej wymontowana z kabiny busola pokładowa.

Zwłoki pilota były zmumifikowane; prawdopodobnie był to efekt naprzemiennego oddziaływania wściekłego, wysuszającego upału i lodowatego chłodu. Ciemnobrązowa skóra wyglądała jak wygarbowana. Na twarzy można było jeszcze rozpoznać wyraz spokojnego pogodzenia z losem; wskazywały na to również dłonie, złożone równo jak do modlitwy.

Skórzana pilotka leżała razem z goglami obok nóg. Czarne włosy, zmatowiałe, sztywne, przesiane piaskiem, sięgały daleko poniżej ramion.

- Mój Boże - szepnęła Giordino. - Przecież to kobieta.

- Około trzydziestki - ocenił Pitt. - Musiała być bardzo ładna.

- Kto to może być?

Pitt obszedł zwłoki i sięgnął po pakiet, przywiązany do klamki drzwi kabiny. Szybko odwinął ceratowe opakowanie. Wewnątrz był gruby zeszyt. Dziennik pokładowy. Otworzył okładkę i przeczytał pierwszą stronę.

- Kitty Mannoek - przeczytał głośno.

- Jaka Kitty?

- Mannoek... Sławna kobieta pilot, Australijka, o ile pamiętam. Zaginęła bez wieści. To była jedna z największych niewyjaśnionych zagadek w historii awiacji, porównywalna z zaginięciem Amelii Earhart.

- Ale skąd się tutaj wzięła? - Giordino nie był w stanie oderwać wzroku od zmumifikowanej twarzy.

- Próbowwała ustanowić rekord szybkości na trasie Londyn - Kapsztad. Kiedy zaginęła, szukały jej systematycznie francuskie ekipy wojskowe. Ale nie znalazły: ani jej, ani samolotu.

- Co za pech! Wpaść do tej dziury, kiedy dookoła dziesiątki kilometrów idealnego, płaskiego lądowiska!

Pitt przekartkował zeszyt aż do miejsca, w którym zaczynały się czyste strony.

- Rozbiła się dziesiątego października 1931 roku. A ostatni zapis jest z dwudziestego października.

- Niesamowite! - mruknął z podziwem Giordino. - Wytrzymała całe dziesięć dni. To musiała być cholernie twarda dziewczyna.

Usiadł, po czym wyciągnął się wygodnie w cieniu skrzydła.

- No, to po tylu latach będzie wreszcie miała towarzystwo.

Ale Pitt nie słyszał już tych słów. Był całkowicie pochłonięty własnymi myślami. Wsunął dziennik pokładowy do kieszeni spodni i zaczął uważnie, systematycznie oglądać wrak samolotu. Nie interesował go silnik; wiele uwagi natomiast poświęcił podwoziu. Wsporniki były złamane, ale koła i opony wyglądały na nie uszkodzone. Również małe kółko ogonowe było w dobrym stanie. Potem obejrzał skrzydła. W lewym tkanina była naddarta; wyglądało to tak, jakby Kitty Mannoek sama w jakimś celu oderwała długi pas płótna. Ale prawe skrzydło było całe, kompletne, a płótno na nim trzymało się zadziwiająco dobrze, choć wieloletnie działanie piasku spowodowało wiele drobnych przetarć. Pitt przeszukał kadłub i znalazł małą skrzynkę z narzędziami. Była tam między innymi piła do metalu oraz podręczny zestaw do naprawy opon.

Obszedł samolot dookoła i zatrzymał się obok Giordina.

- Czytałeś Lot Feniksa Ellestona Trevora? - spytał.

- Nie, ale widziałem film z Jamesem Stewartem. Dlaczego pytasz? Jeśli spodziewasz się polecieć tym samolotem, to chyba rzeczywiście coś nie w porządku z twoim umysłem.

- Nie spodziewam się polecieć - odparł spokojnie Pitt. - Ale obejrzałem sobie cały samolot i znalazłem wystarczającą ilość dobrych części, żeby zbudować lądowy jacht.

- Ach, oczywiście, jacht. Z salonikiem, barem i piwem.

- Mówię poważnie. Mam na myśli coś w rodzaju bojera, tylko na kołach.

- A skąd weźmiesz żagiel? - zainteresował się Giordino.

- Użyję skrzydła samolotu. To przecież jest eliptyczny płat nośny. Jeśli postawić go pionowo, będzie działać jak żagiel.

- Nie starczy nam na to życia - rzekł z rezygnacją Giordino. - Taka robota musiałaby zająć ładnie parę dni.

- Nie, tylko kilka godzin. Prawe skrzydło jest w idealnym stanie, płótno wciąż jeszcze dobrze się trzyma. Gondolę zrobimy z tylnej części kadłuba, a ze wszystkich tych żeber i podpór da się sklecić odpowiednio szerokie podwozie. Tylne kółko ma już gotowy układ sterowania, a pozostałych linek na pewno wystarczy do obsługi żagla.

- A masz do tego jakieś narzędzia?

- Znalazłem w kabinie podręczny komplecik. Nie ma tego dużo, ale do naszych celów powinno wystarczyć. Giordino pokręcił głową w milczeniu, rozważając szansę. Najprościej było - i na to tylko miał ochotę - uznać pomysł Pitta za mrzonkę, położyć się na piasku i czekać

cierpliwie, aż śmierć przyniesie ukojenie. Ale gdzieś w głębi serca i umysłu kołatało niezłomne poczucie, że nie można poddawać się bez walki. Z wysiłkiem człowieka z patologiczną nadwagą dźwignął się na nogi. Bełkotliwie - wstępny objaw przemęczenia i porażenia cieplnego - powiedział:

- Nie ma co się rozczulać nad sobą. Bierz się do tego skrzydła, a ja zdejmę koła.

Zanim zabrali się do roboty, Pitt przedstawił dokładniej swoją koncepcję budowy lądowej żaglówki. Plan był prosty, żeby nie powiedzieć - prymitywny, ale tylko taki mógł powstać w umyśle człowieka, który szuka ostatniej szansy ratunku przed niechybną śmiercią na pustyni i ma do dyspozycji jedynie wrak starego samolotu. Jednak budowa najprostszego nawet pojazdu wymagała uruchomienia pewnej rezerwy sił, tymczasem ich rezerwy - tak przynajmniej sądzili - były już dawno wyczerpane.

Żeglarstwo lądowe nie jest niczym nowym. Chińczycy uprawiali je już dwa tysiące lat temu. Później Holendrzy instalowali żagle na wielkich furgonach używanych przez drwali, by przewozić na nich z dużą szybkością całe armie ludzi. Na początku dwudziestego wieku żeglarstwo lądowe stało się modnym sportem na plażach Europy. Do tego pomysłu powrócili po latach kierowcy wyścigowi z południowej Kalifornii, zmęczeni hałasem swoich poobijanych gruchotów na pustyni Mojave. Wkrótce wyścigi bojerów na kołach, pędzących z szybkością przekraczającą sto czterdzieści kilometrów na godzinę, zaczęły ściągać nawet więcej uczestników i widzów, niż wyścigi starych samochodów. Posługując się narzędziami, które Pitt znalazł w kabinie, wykonali w najgorętszych godzinach dnia tylko łatwiejsze prace, pozostawiając sobie cięższą robotę na wieczór. Obaj od lat pasjonowali się rekonstrukcją starych samochodów i samolotów; praca szła więc szybko i gładko, bez zbędnych wydatków energii. Niemal zapomnieli o całym swoim zmęczeniu. Pracowali wolno, ale systematycznie i bez odpoczynku, niemal nie rozmawiając, by nie męczyć wyschniętych, obolałych gardła. Po zmroku oświetlał ich czynności księżyc, tworząc na dnie wąwozu osobliwy teatr cieni.

Z całym szacunkiem omijali nieruchome od sześćdziesięciu pięciu lat ciało Kitty Mannoock, choć czasem zwracali się do niej z jakimś retorycznym pytaniem, jakby ich udręczone umysły straciły już kontrolę nad rzeczywistością. Giordino zaczął od kół. Odkręcił wszystkie trzy, oczyścił łożyska, nasmarował mazią z filtra olejowego silnika. Guma opon była stwardniała i spękana, dętki nie nadawały się do ponownego użytku. Wyrzucił dętki, napełnił opony piaskiem i zmontował koła z powrotem. Z podłużnie uszkodzonego skrzydła skonstruował pięciometrową oś dla dużych kół, zapewniającą bojerowi stabilność nawet przy silnym wietrze. Potem zabrał się do kadłuba. Przeciął piłą podłużnicę tuż za kabiną pasażerską i przy ogonie, przed zespołem stateczników. Z wyciętej części kadłuba zdjął górne poszycie. Pod tak uzyskaną gondolą, w jej szerszej części, która teraz miała stanowić tył pojazdu, zainstalował poprzecznie długą oś, a na niej koła. Prząd gondoli - przedtem ogon samolotu - zwięźał się zgodnie z zasadami aerodynamiki.

Ostatnim niezbędnym elementem podwozia było koło prowadzące. Tylne kółko



samolotu, osadzone na obrotowym wahaczu, Giordino zamontował teraz na trzymetrowym wysięgniku, sterującym jak bukszpryt z przodu jachtu. W czasie, gdy Giordino pracował nad kadłubem, Pitt skoncentrował się na żaglu. Odciął prawe skrzydło, usztywnił lotki i klapy hamulcowe, a elementami pozostałymi z lewego skrzydła wzmocnił i przedłużył krawędź natarcia, przekształcając ją w maszt żagla. Z pomocą Giordina ustawił skrzydło pionowo pośrodku gondoli. Nie było to trudne; drewno i tkanina wyschły przez dziesięciolecia na wiór i skrzydło wydawało się lekkie jak piórko. Więcej problemów stwarzało zamocowanie masztu w podłodze, aby mógł się obracać przy halsowaniu, ale i z tym sobie poradzili. Pitt wykorzystał zbędne już linki sterowe jako sztag i wanty. Następnie wymontował z kabiny orczyk, obsługujący tylne kółko, zainstalował go w gondoli, a jego linki przypiął do ramion wahacza, znajdującego się teraz daleko z przodu. Wreszcie ze sznura, którego spory kłęb znalazł w kabinie, sporządził szoty do obsługi żagla, a ze zbędnych kawałków drewna zmajstrował prymitywne knagi i przyśrubował je do burt gondoli.

Ostatnią czynnością było przeniesienie foteli pilotów z kabiny do gondoli. Pitt umieścił je jeden za drugim; orczyk sterujący przednim kołem znalazł się między fotelami, pod nogami sternika. Potem podniósł leżącą wciąż w piasku busolę i zamocował ją w pobliżu orczyka. Rurkę, której dotąd używał jako kompasu, przywiązał na pamiątkę do masztu. Skończyli pracę o trzeciej nad ranem i padli na piasek jak martwi. Przez chwilę leżeli, szcękając zębami z zimna i przypatrując się swemu dziełu.

- To nie polecą - mruknął nieprzytomnie Giordino.

- To wcale nie ma latać - przypomniał Pitt. - Ma nas tylko przewieźć przez pustynię.

- A wymyśliłeś już, jak wyciągnąć bojer z tej dziury?

- Pięćdziesiąt metrów stąd ściana wąwozu jest trochę łagodniejsza.

- Może uda się wyciągnąć go tamtędy na poziom jeziora.

- Człowieku! My tych pięćdziesięciu metrów nie przejdziemy.

- A gdyby nawet się udało wyciągnąć go na górę, to i tak nie ma żadnej gwarancji, że będzie działać.

- Będzie. Trzeba tylko trochę wiatru - Pitt mówił coraz ciszej. - A sądząc z tego, co mieliśmy przez poprzednie sześć dni, wiatrów tu nie brakuje.

- Nie ma to, jak zaufać marzeniom!

- Pojedzie, zobaczysz - stwierdził Pitt z przekonaniem.

- Jak myślisz, ile to waży?

- Jakies sto sześćdziesiąt kilogramów - odparł Pitt po namyśle. - Trzysta pięćdziesiąt funtów - dodał, przypomniawszy sobie o kłopotach Giordina z nowym dla Amerykanów

systemem miar.

- A jak go nazwiemy?
- Nie rozumiem.
- No, imię; musi przecież mieć jakieś imię.

Dirk popatrzył w stronę Kitty.

- Jeśli wyjdziemy żywi z tego szybkowaru, to tylko dzięki niej.
- Więc może po prostu Kitty Mannoek.
- Dobry pomysł.

Jeszcze przez chwilę próbowali rozmawiać, ale ich słowa zmieniły się w bełkotliwe pomruki. Odpłynęli w krainę ciężkiego, nieprzytomnego snu. Obudzili się, gdy upiornie białe słońce wychynęło znad krawędzi wąwozu. Podnieśli się; już to wymagało gigantycznego wysiłku woli. Rzucili pożegnalne spojrzenie śpiącej Kitty i podeszli do maszyny, która była ich ostatnią nadzieją. Pitt przywiązał do "bukszprytu" dwa długie kawałki sznura i podał jeden z nich przyjacielowi.

- Dasz radę? - spytał z niepokojem.
- Na pewno nie - wykrztusił Giordino przez spuchnięte gardło.
- Pitt uśmiechnął się chytrze, mimo bólu, jaki mu to sprawiało.

Postanowił zagrać na ambicji Giordina.

- No to pakuj się na wózek, pociągnę.

Giordino zatoczył się jak pijany, ale odzyskał równowagę.

- Wypchaj się - mruknął.

Chwytał sznur, przerzucił go sobie przez ramię, pochylił się mocno do przodu - i runął na twarz. Bojer potoczył się za nim równie lekko, jak pusty wózek w supermarkecie. Niewiele brakowało, by go przejechał. Giordino uniósł głowę i popatrzył na Pitta przekrwionymi oczyma.

- O Boże, idzie jak po maśle.
- Nic dziwnego, pod opieką takich mechaników...

Nie mówiąc nic więcej pociągnęli bojer środkiem wąwozu, aż dotarli do miejsca, gdzie ściana przekształciła się w żwirowe osypisko, wznoszące się pod kątem nie większym niż trzydzieści stopni. Różnica wysokości między dnem jaru a wyschniętym jeziorem wynosiła zaledwie siedem metrów, ale ludziom, którzy już osiemnaście godzin temu czuli się jak chodzące trupy, szczyt osypiska wydawał się odległy jak Mount Everest. Ożywiła ich jednak nadzieja, że to już ostatnia przeszkoda w wyścigu ze śmiercią. Pitt nie chciał tracić czasu. Wziął z gondoli resztę sznura, wcisnął jeden koniec w dłoń Giordina, drugi przywiązał do paska swoich spodni i na czworakach zaczął się wspinać pod górę. Posuwał się niepewnie, niczym

wielka pijana mrówka, pokonując z każdym ruchem tylko parę centymetrów. Organizm już prawie nie słuchał poleceń mózgu, a umysł tracił kontakt z rzeczywistością. Obolałe mięśnie nie zgadzały się na żaden dodatkowy wysiłek. Jednak przemagał ich opór i systematycznie posuwał się w górę. Płuca rozpaczliwie chwytają powietrze, a serce waliło, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi. Giordino próbował zachęcać go okrzykami, ale z jego warg wydobywał się tylko niedosłyszalny szept. W końcu jednak dłonie Pitta dotknęły gładkiej poziomej powierzchni. Jeszcze jeden, ostatni wysiłek - i runął całym ciałem na twarde, zbity piasek wyschniętego jeziora.

Nie wiedział jak długo leżał tak na granicy omdlenia. Wreszcie oddech i rytm serca zaczęły powoli wracać do normy. Uniósł się ponownie na kolana i popatrzył w dół zbocza.

Giordino siedział wygodnie w cieniu żagla.

- Jesteś gotów? - spytał Pitt.

Giordino pokręcił głową z rezygnacją, przywiązał sobie do paska obydwie linki holownicze i ściskając oburącz sznur, którego drugi koniec trzymał Pitt, ruszył zółwim krokiem w górę. Pitt odwrócił się tyłem do wąwozu, przełożył sznur przez ramię i ruszył naprzód mocno pochylony, by z ciężaru własnego ciała zrobić napęd tej osobliwej windy. Już po czterech minutach twarz Giordina pojawiła się nad krawędzią jaru. Miał minę ryby wyciągniętej na powierzchnię po długiej walce z hakiem i wędziskiem.

- No, teraz już tylko część artystyczna - powiedział Pitt słabym głosem.

- Beze mnie - jęknął rozpaczliwie Giordino, osuwając się bezwładnie na ziemię.

Pitt popatrzył na niego uważnie. Giordino, z zamkniętymi oczami i dziesięciodniowym zarostem, gęsto przyprószonym białym pyłem pustyni, rzeczywiście wyglądał marnie. Ale jeśli nie pomoże przyjacielowi w tym ostatnim wysiłku, jeśli nie spróbują razem wyciągnąć bojera z dna wąwozu - jeszcze dziś umrą.

Ukląkł i otwartą dłonią uderzył Giordina mocno w policzek.

- Nie możesz tak odejść - powiedział. - Nie załatwiłeś jeszcze rachunków z pianistką od Massarde'a. I nie załatwisz, jak nie ruszysz natychmiast tyłka.

Powieki Giordina drgnęły. Podniósł dłoń i dotknął policzka. Popatrzył na Pitta bez złości i mimo cierpienia zdobył się na słaby uśmiech. Najwyższym wysiłkiem woli dźwignął się na nogi. Stał chwiejąc się jak pijany. Sięgnął po sznury holownicze, wciąż przywiązane do jego paska. Jak para wychudzonych mułów w zaprzęgu, zgięci w pół, ze wzrokiem wbitym w ziemię - ruszyli naprzód. Nie byli w stanie zrobić za jednym zamachem więcej niż kilka małych kroków; zatrzymywali się co chwila, ale znów z uporem ruszali do przodu. Postępy były jednak nieznaczne; coraz bardziej tracili wiarę we własne siły, z całą mocą wróciła świadomość

bezgranicznego wyczerpania, marzenie o łyku wody przybrało postać halucynacji. Giordino zauważył kątem oka, że z dłoni Pitta, ściskających sznur, zaczyna się sączyć krew. Pitt jednak nie zwracał na to uwagi. Nagle napięte dotychczas sznury zwiotczały. Bojer wyskoczył ponad krawędź jaru i potoczył się z impetem prosto na nich. Na szczęście Pitt przewidział taką sytuację i już na dnie wąwozu odwiązał szoty; z zablokowanym żaglem bojer mógł im po prostu uciec, nawet przy stosunkowo lekkim wietrze.

Pitt odczepił zbędne już sznury holownicze, dźwignął z ziemi półprzytomnego przyjaciela i wrzucił go jak worek kartofli na przedni fotel. Potem spojrział na strzęp płótna, przywiązany do wanty; podniósł garść piasku i rzucił go pionowo w górę, by się upewnić. Ale nie mogło być wątpliwości - wiatr wiał z północy.

Nadeszła chwila prawdy. Nie powiedział nic ale wyręczył go Giordino:

- No, spróbuj to ruszyć...

Pitt przyciągnął skrzydło-żagiel i zablokował szot na prawej knadze. Potem pochylił się i popchnął bojer do przodu. Wiedział, że musi nadać wehikułowi sporą prędkość początkową, ale bał się, że przy takim osłabieniu nie zdoła w porę wskoczyć. Toteż już po paru krokach zwałił się przez burtę gondoli na fotel sternika. Bojer nie zatrzymał się. Toczył się naprzód, nie nabierając jednak większej szybkości. Pitt zdał sobie sprawę, że żagiel jest zbyt mocno ściągnięty. Zrzucił szot z knagi, wyluzował go trochę, potem spróbował działania orczyka. Skręcił lekko na południe, jeszcze bardziej luzując żagiel. Bojer żeglował teraz pełnym wiatrem. Zaczął przyspieszać. Pitt rzucił okiem na busołę, podciągnął żagiel i wrócił na kurs wschodni. Bojer rozpędzał się coraz bardziej; zwiększała się siła aerodynamiczna, działająca na eliptyczną powierzchnię skrzydła. Przy szybkości, którą oceniał na sześćdziesiąt kilometrów, nie był już w stanie kontrolować całej tej siły obolałymi, pokaleczonymi dłońmi. Ponownie zablokował szot na knadze - i omal ich to nie zgubiło.

Koło na nawietrznej oderwało się od ziemi i poszybowało wysoko w powietrzu. Tylko chwila dzieliła ich od wywrotki, która byłaby ostateczną katastrofą, kresem wszelkich marzeń. Gdyby nawet wyszli cało z kapotażu przy tej szybkości, nie wykrzesaliby już z siebie energii niezbędnej do naprawy bojera. Tylko utrwalony w podświadomości odruch żeglarski pozwolił sternikowi uniknąć katastrofy. Pitt zrzucił szot z knagi, wyluzował żagiel, a jednocześnie kopnął orczyk. Ostry wiraż w prawo zrównoważył siłą odśrodkową dramatyczny już przechył bojera. Lewe koło opadło ciężko na twardy piasek. Prymitywna oś jęknęła, ale nie pękła. Bojer toczył się na południe, tracąc prędkość.

Pitt znów zaczął ściągać żagiel i kierować pojazd na wschód. Teraz robił to z najwyższą ostrożnością, reagując natychmiast na najmniejsze zachwiania równowagi. Dopiero po paru

minutach poczuł się pewniej. Coraz lepiej wyczuwał cienką granicę bezpiecznego ryzyka. Postanowił jednak nie nadużywać tej umiejętności i nie narażać żagla na maksymalny wysiłek. Było to przecież tylko stare skrzydło samolotu: konstrukcja z drewna i tkaniny, które po sześćdziesięciu latach na słońcu i w burzach piaskowych straciły na pewno wiele ze swej pierwotnej wytrzymałości.

Wiatr przypuszczalnie wzmagał się. Pitt z niepokojem obserwował małe, wirujące obłoczki pyłu, podnoszące się tu i ówdzie z powierzchni jeziora. Wystarczy, że jeden taki podmuch uderzy niespodziewanie w jego żagiel, a wszystko diabli wezmą. Nie było to jedyne niebezpieczeństwo. Przypadkowy głaz czy większa pryzma nawianego piasku mogły fatalnie uszkodzić zawieszenie. Jeśli ich drogę przecinał inny jar, choćby znacznie płytszy od tego, w którym znaleźli Kitty Mannoek, nie zdążą zatrzymać przed nim bojera; nie przewidzieli żadnego systemu hamowania. Tymczasem prędkość wehikułu dochodziła już do osiemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, a Pitt nie robił nic, by ją zmniejszyć. Po kilku dniach żółwiej wędrówki zależało mu na każdej minucie. Miał mimo wszystko nadzieję, że Kitty Mannoek nie rozleci się na kawałki, zanim dotrą do celu. Przez pół godziny jego wzrok daremnie omiatał pustynny horyzont. Nie widział niczego, na czym można by zatrzymać oko. Raptem przyszła mu do głowy niepokojąca myśl - może już przeciął szlak transsaharyjski i nie rozpoznał go? Zapewne są to tylko ślady opon na piasku, biegnące prostą linią z północy na południe; przy tej szybkości mógł łatwo je przeoczyć i pędzić dalej na wschód, w śmiertelny bezkres pustyni. Wpatrywał się w piasek przed kołami, ale nie widział żadnych śladów. Pojawiły się za to wydmy lotnych piasków, najpierw małe, potem coraz większe. Musiał lawirować między nimi, by nie uszkodzić podwozia. Niepokoiłby się jeszcze bardziej, gdyby wiedział, że transsaharyjski szlak samochodowy, zaznaczony na mapach grubą kreską, jest tylko wytworem wyobraźni kartografów. Rozpoznać go można jedynie - a i do tego trzeba szczęścia - po szkieletach padłych zwierząt i wrakach pojazdów. Zarząd szlaku rozstawił wprawdzie co cztery kilometry znaki orientacyjne - długie szeregi beczek po paliwie, znaczące oś Północ - Południe - ale nomadzi często zabierali je dla swoich celów, albo po to, by sprzedać je za grosze w Gao.

Nagle dostrzegł na horyzoncie, na prawo od ich kursu, jakiś ciemny, ledwie widoczny obiekt. Ponad wszelką wątpliwość był wytworem rąk ludzkich. Giordino, któremu pęd powietrza przywrócił świadomość, też to dostrzegł. Opuścili już idealną równinę wyschniętego jeziora, ale kamienista pustynia, po której teraz pędzili, też nieźle nadawała się do lądowej nawigacji. Pitt skierował bojer w stronę zauważonego obiektu. Już po chwili rozpoznali wrak mikrobusu, ogołocony ze wszystkiego, co mogło mieć jakąkolwiek wartość; została tylko pusta skorupa nadwozia z nagryzmołonym sprayem napisem po angielsku: "No i gdzie jest teraz ten

Lawrence z Arabii?". Nie mogło być wątpliwości. Dotarli do celu swej wędrówki.

Pitt łagodnym łukiem skierował bojer na północny wschód. Twarde podłoże przykrywały miejscami połacie grząskiego, miękkiego piasku, ale lekki pojazd przeskakiwał przez nie bez trudu. Po paru minutach na lewo od kursu pojawiła się metalowa beczka. Teraz Pitt miał już pewność, że znajduje się na szlaku samochodowym. Północny wiatr uniemożliwiał jednak prowadzenie bojera dokładnie wzdłuż szlaku. Pitt postanowił posuwać się na północ krótkimi, najwyżej dwukilometrowymi halsami, by nie przegapić okazji spotkania jakiegoś pojazdu. Dopiero teraz zauważył, że jego pasażer przestał się poruszać. Sięgnął przed siebie i mocno potrząsnął ramieniem przyjaciela. Giordino jednak jeszcze bardziej przechylił się na bok; głowa zwisała mu bezwładnie. Pitt chciał obudzić go jakimś okrzykiem, ale nie miał na to siły. Z przerażeniem zauważył, że sam również jest bliski omdlenia: przed oczyma zaczęły majaczyć ciemne płatki.

I wtedy dobiegł go ten dźwięk. Przysięgłby, że to stłumiony, odległy warkot silnika samochodowego, ale ponieważ w polu widzenia niczego nie dostrzegł, uznał to za pierwszy objaw delirium. Wkrótce jednak dźwięk nasilił się; Pitt wyraźnie słyszał ciężkie dudnienie potężnego diesla. Ale nadal nie widział źródła dźwięku. Był już prawie pewien, że to maligna. Zmobilizował resztę sił i jeszcze raz zmienił hals. Za ledwie koło prowadzące bojera minęło linię wiatru, na krawędzi pola widzenia Pitta pojawiła się wielka ciężarówka z przyczepą. Młody Arab za kierownicą uśmiechnął się przyjaźnie, pomachał ręką przez otwarte okno i, jakby tego było mało, pociągnął linkę syreny: niski, głęboki dźwięk potoczył się po pustyni. Pitt zrozumiał wreszcie, dlaczego przedtem nie widział ciężarówki, choć ją słyszał. Prawdopodobnie kierowca, dostrzegłszy dziwny żaglowy wehikuł, jechał przez dłuższy czas jego śladem, poza zasięgiem wzroku sternika. Teraz, widząc że został zauważony, zwinął dłoń w trąbkę i, przekrzykując łoskot silnika, zawołał:

- Hej tam, może potrzebujecie pomocy?

Słaby ruch głową był jedyną odpowiedzią, na jaką Pitt mógł się jeszcze zdobyć. Postanowił jak najszybciej zatrzymać swój wehikuł. Pchnął mocno orczyk, ale w nagłej euforii zapomniał o wyluzowaniu żagla. Bojer gwałtownie skręcił. Siła odśrodkowa i wiatr przewróciły go w ułamku sekundy. Szorujące bokiem koło urwało się, skrzydło służące za żagiel trzasnęło jak zapalka. Obaj pasażerowie potoczyli się po piasku bezwładnie, jak wypchane trocinami manekiny. Kierowca ciężarówki skręcił i zatrzymał się na miejscu katastrofy. Wyskoczył z kabiny i podbiegł do nieprzytomnych ludzi. Natychmiast zauważył objawy strasznego odwodnienia. Wrócił biegiem do ciężarówki i wyciągnął z szoferki cztery duże plastikowe butle z wodą.

Pitt powrócił z krainy ciemności niemal natychmiast, gdy pierwsze krople wody spadły na jego twarz. Pił chciwie z podtrzymywanej przez Araba butli. Przemiana następowała w niewiarygodnym tempie; jeszcze przed chwilą niemal trup, po wypiciu dwóch galonów wody czuł się jak zdrowy, sprawny człowiek. Także wyschnięte na wiór ciało Giordina szybko wracało do życia. Arab, choć nie był nowicjuszem na pustyni, nie wierzył własnym oczom - tak szybkie, tak cudowne było ożywcze działanie wody. Dał im tabletki soli do ssania, potem trochę suszonych daktyli. Patrzyli na niego z wdzięcznością, ale nic nie mówili. On też przez dłuższy czas przyglądał im się w milczeniu, choć było widać, że umiera z ciekawości. W końcu jednak nie wytrzymał.

- Żeglujecie tą machiną z Gao? Pitt pokręcił przecząco głową.

- Z Fort Foureau - skłaniał, bo nie pamiętał dokładnie mapy Sahary. Nie był pewien, czy opuścili już terytorium Mali. Jeśli nie, a kierowca dowie się, że uciekli z Tebezzy, gotów zawieźć ich na najbliższy posterunek policji.

- Gdzie jesteśmy? - spytał niepewnie.

- W samym środku pustyni Tanezrouft.

- A w jakim kraju?

- Jak to, w jakim? Jasne, że w Algierii. A gdzie chciałbyś być?

- Wszystko jedno, byle nie w Mali, Twarz kierowcy spochmurniała.

- Masz rację - powiedział. - Żli ludzie rządzą w Mali.

- Jak daleko jest najbliższy telefon? - spytał Pitt.

- W Adrarze: trzysta pięćdziesiąt kilometrów na północ.

- To jakaś wioska?

- Skądże! - obruszył się Algierczyk. - To duże miasto. Ma regularne połączenie lotnicze ze stolicą.

- Jedziesz w tamtą stronę?

- Tak, zawiozłem do Gao jakieś konserwy, teraz wracam na pusto do Algieru.

- A podrzucisz nas do Adraru?

- Jasne, z przyjemnością.

Pitt uśmiechnął się szeroko i wyciągnął dłoń do kierowcy.

- Jestem Dirk, a ty?

- Ben Hadi.

- Dziękuję ci, Ben Hadi. Uratowałeś nam życie.

Ben Hadi nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Ale nie wiedział - i nie dowiedział się zapewne nigdy - że ratując tych dwóch, uratował setki, tysiące, a może nawet miliony innych.

**CZEŚĆ IV**  
**W OBLEŻENIU**



- Uciekli! - krzyknął Hiram Yaeger, wpadając jak bomba do gabinetu Sandeckera; za nim wszedł Rudi Gunn.

Sandecker, zajęty planowaniem budżetu nowego projektu badawczego, popatrzył na nich nieprzytomnie.

- Kto uciekł, skąd?

- Dirk i Al; są już w Algierii.

Sandecker rozpromienił się jak dziecko, któremu oznajmiono przybycie Świętego Mikołaja.

- Skąd wiecie?

- Dzwonili z lotniska w Adrarze; to miasto na południu Algierii, prawie na pustyni - wyjaśnił Gunn. - Połączenie było kiepskie, ale zrozumiałem, że wybierają się rejsowym samolotem do Algieru, a tam skontaktują się z naszą ambasadą.

- Mówili coś jeszcze?

Gunn wskazał ruchem głowy na Yaegera.

- On odebrał telefon.

- Strasznie słabo słyszałem - podjął relację Yaeger. - Zdaje się, że technika telefoniczna w tej części świata niedaleko wyszła poza system puszek po konserwach połączonych drutem. Ale, jeśli dobrze pojąłem, Pitt domaga się, by mu pan przysłał oddział komandosów.

- Chce z nimi wrócić do Mali.

- Nie mówił, po co? - spytał Sandecker, zaintrygowany.

- Coś mówił, ale nie rozumiałem: były straszne zakłócenia. To, co do mnie dotarło, brzmiało dość idiotycznie.

- Idiotycznie? Co masz na myśli? - dopytywał się Sandecker.

- Mówił coś o kobietach i dzieciach, które trzeba uwolnić z kopalni złota. Był strasznie wzburzony.

- To rzeczywiście nie ma sensu - powiedział Gunn.

- Czy Dirk wyjaśnił, jak uciekli z Mali?

Na twarzy Yaegera odmalowało się zakłopotanie.

- Głupio mi to powtarzać, admirale, ale powiedział, że żeglowali przez pustynię jachtem, z jakąś kobietą. Wymienił nawet jej nazwisko. Kitty Manning albo Mancock; coś takiego.

Sandecker usiadł i zamyślił się.

- Jak ich znam, to nie lekceważyłbym tego... Zaraz! - wykrzyknął po chwili. - Czy to

nazwisko nie brzmiało przypadkiem Kitty Mannoek?

- Nie słyszałem wyraźnie, ale... tak, myślę, że tak.

- Kitty Mannoek to sławna postać z lat dwudziestych - wyjaśnił Sandecker. - Była pilotem sportowym. Pobiła wiele rekordów w lotach długodystansowych, zanim zaginęła gdzieś na Saharze - w 1931 roku.

- O ile pamiętam.

- Ale co to może mieć wspólnego z Pittem i Giordino? - spytał Yaeger.

- Tego już rzeczywiście nie wiem - przyznał Sandecker.

Gunn spojrzał na zegarek.

- Obejrzałem sobie mapę: z tego Adraru do Algieru jest w linii prostej tylko tysiąc dwieście kilometrów. Jeśli już są w samolocie, za półtorej godziny mogą się znowu odezwać.

- Zadzwoni do sekcji łączności; niech nam zapewnią stały kontakt z ambasadą w Algierii - polecił Gunnowi. - I niech to zrobią dyskretnie. Jeśli Pitt i Giordino mają do przekazania coś nowego o czerwonym zakwicie, wołałbym, żeby to nie przeniknęło do prasy.

Kiedy z głośnika w centrali łączności NUMA odezwał się głos Pitta, był tu już admirał Sandecker i jego główni współpracownicy, łącznie z doktorem Chapmanem. Każdy miał do dyspozycji mikrofon, aby móc bezpośrednio rozmawiać z odległym o tysiące mil dyrektorem Wydziału Badań Specjalnych. Przez ponad półtorej godziny Pitt odpowiadał na stawiane pytania. Jego relacja była wyczerpująca i precyzyjna. Wszyscy z uwagą i napięciem słuchali opowieści o dramatycznych wydarzeniach, jakie nastąpiły po rozstaniu z Gunnem na wodach Nigru. Opisał szczegółowo oszukańcze przedsięwzięcie Massarde'a w Fort Foureau, po czym wywołał wśród słuchaczy prawdziwy szok wiadomością o uwięzieniu doktora Hoppera, całej jego ekipy, a także grupy francuskich techników z żonami i dziećmi w katorżniczej kopalni złota w Tebezzy. Zakończył raportem o odnalezieniu Kitty Mannoek i o szczęśliwej nawigacji bojerem, skonstruowanym z resztek jej samolotu. Teraz wiedzieli już, dlaczego Pitt chce wrócić do Mali z jakimś zbrojnym oddziałem - i rozumieli go. Oni także nie mogli się pogodzić z myślą, że niewinni ludzie umierają w straszliwych warunkach w malijskiej kopalni. Ale jeszcze bardziej zmobilizowała ich wiadomość o tajnym cementarzysku odpadów chemicznych i nuklearnych w Fort Foureau. Jeśli ten supernowoczesny "zakład detoksyfikacji słonecznej" był oszustwem, czy nie były nim również wszystkie inne proekologiczne przedsięwzięcia Massarde'a, których sieć oplotła już cały świat? Pitt wzmocnił te podejrzenia, przytaczając rozmowę z O'Bannionem, który ujawnił przestępcze powiązania Massarde'a z Kazimem.

- Czy ma pan pewność, że to Fort Foureau jest źródłem skażenia stymulującego czerwony zakwit? - zapytał Chapman.

- Giordino i ja nie jesteśmy ekspertami podziemnej hydrologii- odparł Pitt - ale nie mamy wątpliwości, że to właśnie toksyny magazynowane pod Fort Foureau przenikają do wód gruntowych, zatruwając pustynię i Niger.

Prawdopodobnie docierają do niego podziemnym strumieniem, pod korytem wyschniętej rzeki, która wpadała do Nigru w okolicach Bourem.

- Jak to się stało, że międzynarodowe inspekcje przeoczyły drażnienie podziemnych składowisk? - spytał Yaeger.

- I że satelity też tego nie zauważyły? - dodał Gunn.

- Kluczem do zagadki jest kolej, a ściślej kontenery, przewożące odpady do Fort Foureau - stwierdził Pitt. - Na początku była tam rzeczywiście tylko spalarnia: reaktor, zasilające go kondensory i baterie słoneczne, budynki administracyjne. Potem jednak wybudowano dużą halę i pod nią rozpoczęto wykopy. Od tego momentu kontenery kolejowe nie wracały już do Mauretanii puste, ale z ładunkiem ziemi i kruszywa z wykopów. A gdy już porobili te podziemne magazyny

- mam wrażenie, że wykorzystali przy tym stare, naturalne jaskinie zaczęli tam zrzucać większość przywożonych odpadów, zamiast je spalać.

Przez chwilę trwało ciężkie milczenie.

- To jest skandal stulecia! Musimy to ujawnić! - odezwał się Chapman.

- Ale czy mamy mocne rzeczowe dowody? - spytał ostrożnie Gunn.

- Tylko to, co widzieliśmy na własne oczy i co usłyszeliśmy od Massarde'a - odparł Pitt. - Na razie, niestety, niczym konkretnym jeszcze nie dysponujemy.

- Jak to, nic konkretnego? - obruszył się Chapman. - Zrobiliście wspaniałą robotę. Dzięki wam wiemy już, gdzie jest źródło skażenia, i możemy podjąć konkretne przeciwdziałania.

- Nie tak szybko - ostudził go Sandecker. - W istocie odkrycie Dirka i Ala otwiera dopiero cały worek problemów.

- Admirał ma rację - przyznał Gunn. - Przecież nie możemy po prostu pojechać do Fort Foureau i zamknąć zakład. Yves Massarde to potentat, powiązany nie tylko z lokalnym kacykiem, ale i z kołami rządzącymi Francji oraz z czołowymi postaciami polityki i biznesu z całego świata...

- Massarde'em możemy się zająć w dalszej kolejności - przerwał Pitt. - Najważniejsza sprawa to uwolnić tych nieszczęsnych ludzi z Tebezzy, póki jeszcze żyją.

- Czy są wśród nich Amerykanie? - spytał Sandecker.

- Doktor Eva Rojas jest obywatelką USA.

- Tylko ona?

- O ile wiem, tak.

- Jeśli żaden prezydent nie ruszył tyłka w obronie tyłu naszych zakładników w Libanie, trudno oczekiwać, że obecny wyśle siły specjalne dla uratowania jednej Amerykanki.

- Nigdy nie zawadzi spróbować - rzucił Pitt.

- Już próbowałem: prosiłem go o pomoc w ratowaniu ciebie i Ala. Odmówił.

- Może zwróci się pan ponownie do Hali Kamil? - zasugerował Gunn. - Jeśli przysłała grupę taktyczną ONZ po mnie, tym bardziej wyśle ją po swoich uczonych.

- Tak - przyznał Sandecker. - Pani Kamil to kobieta wielkich zasad. Jest im wierna bardziej niż większość znanych mi polityków mężczyzn. Myślę, że na nią można liczyć.

- Niech pan się do niej zwróci jak najszybciej, admirale; liczy się każda godzina! - nalegał Pitt. W jego głosie wyraźnie czuło się wzburzenie i rozpacz. - W tej kopalni ludzie giną jak muchy. Bóg wie, ilu zamordowano od dnia naszej ucieczki.

- Skontaktuję się z Sekretarzem Generalnym natychmiast - obiecał Sandecker. - Jeśli pułkownik Levant będzie działał równie szybko jak w przypadku Rudiego, to myślę, że zgłosi się do ciebie w Algierze już jutro rano.

Półtorej godziny później Sandecker miał już za sobą rozmowy z Halą Kamil i generałem Boćkiem. Pułkownik Levant pakował się z ludźmi i sprzętem do samolotu, który miał ich przewieźć przez Atlantyk do francuskiej bazy lotniczej pod Algierem. Generał Hugo Bock rozłożył na biurku mapy i zdjęcia satelitarne i sięgnął po swoją staroświecką lupę. Dostał ją jeszcze w dzieciństwie, od dziadka, jako niezbędne akcesorium kolekcjonera znaczków. Nie zbierał ich już od dawna, ale z lupą nigdy się nie rozstawał. Służyła mu przez całą karierę w armii jako swego rodzaju talizman - ale nie tylko. Miała bowiem wielkie zalety użytkowe: po mistrzowsku szlifowana soczewka powiększała obraz bez żadnych zniekształceń, nawet przy krawędziach. Wypił łyk kawy i zaczął uważnie badać obszar, który przedtem zakreslił kółkami na mapach i zdjęciach jako przypuszczalny rejon lokalizacji kopalni złota zwanej "Tebezza". Choć opis okolic kopalni, przekazany przez Pitta za pośrednictwem Sandeckera, był pobieżny i lakoniczny, generał już po chwili rozpoznał pas startowy pustynnego lotniska a na zachód od niego rozległy płaskowyż i wcinający się weń głęboki wąwóz. Ten Pitt, pomyślał, ma niezwykle dar obserwacji. Jako więzień, a potem uciekający w pośpiechu zbieg, nie miał przecież zbyt wiele czasu, by przyjrzeć się detalom krajobrazu, a jednak zapamiętał ich zdumiewająco dużo - i zapamiętał precyzyjnie.

Im dłużej jednak Bock oglądał przez lupę sąsiadujące z kopalnią tereny, tym mniej mu się to wszystko podobało. Akcja zapowiadała się na trudną, dużo trudniejszą, niż wyprawa do Gao po Rudiego Gunna. Tam zadanie grupy taktycznej ONZ było stosunkowo proste:

wylądować niespodziewanie na lotnisku w Gao, opanować je na parę minut, zabrać Gunna i wrócić do bazy lotniczej pod Kairem. Tebezza stanowiła znacznie trudniejszy orzech do zgryzienia. Żołnierze Levanta będą musieli wylądować na pustynnym lotnisku, zaatakować załogę, opanować labirynt sztolni i chodników, po czym przetransportować więźniów na odległe lądowisko i załadować wszystkich na pokład samolotu. Główny problem stanowił długi czas akcji na ziemi i pod ziemią. Czekaający na lądowisku samolot będzie narażony na ataki sił powietrznych Kazima, jak siedząca na ziemi kaczka na strzały bezwzględne łowcy. Duża odległość - w sumie czterdzieści kilometrów do przejechania - ogromnie zwiększała prawdopodobieństwo niepowodzenia. Trudno zaplanować wszystkie szczegóły ataku; zbyt wiele było niewiadomych. Niewątpliwie należało zacząć od przerywania wszelkiej łączności kopalni ze światem zewnętrznym. Ale nawet gdyby to się powiodło, cała operacja nie może trwać dłużej niż półtorej godziny. Później Kazim tak czy inaczej wyśle swoje samoloty - i katastrofa jest pewna. Ze złością uderzył pięścią w biurko.

- Niech to cholera - mruknął do siebie. - Ani chwili na przygotowania, ani chwili na zaplanowanie akcji. "Pilna misja dla ratowania ludzi"! Pewnie więcej stracimy, niż uratujemy.

Rozpatrzywszy wszystkie aspekty operacji Bock westchnął ciężko i zadzwonił do Sekretarza Generalnego ONZ.

- Są jakieś problemy, generale? - spytała Hala Kamil. - Nie spodziewałam się pańskiego telefonu tak szybko.

- Cała masa problemów. Przede wszystkim dysponujemy stanowczo za małą siłą. Pułkownik Levant będzie potrzebował wsparcia.

- Upoważniam pana do wykorzystania wszystkich sił ONZ.

- Niestety, nie mamy w tej chwili żadnych rezerw. Wszystkie pozostałe oddziały pełnią służbę na pograniczu syryjsko-izraelskim albo zajmują się ochroną ludności cywilnej w związku z rozruchami w Indiach. Jeśli mówię o odwodach dla pułkownika Levanta, mam na myśli jakieś siły spoza ONZ.

Kamil namyślała się przez chwilę.

- To nie będzie łatwe - stwierdziła w końcu. - Nie bardzo wiem, do kogo mogłabym się zwrócić.

- A Amerykanie?

- Obecny prezydent, w odróżnieniu od swoich poprzedników, nie lubi interweniować w krajach trzeciego świata. To raczej on liczy na naszą pomoc w takich sprawach. Ostatnio na przykład prosił o podjęcie akcji dla uratowania tych dwóch ludzi z NUMA.

- Nic o tym nie wiem - stwierdził Bock, zdziwiony.

- Nie informowałam pana, ponieważ admirał Sandecker nie znał miejsca ich pobytu. A zanim się dowiedział, uciekli już o własnych siłach. Sprawa stała się nieaktualna.

- Tebezza nie będzie łatwą operacją - Bock wrócił do tematu. - Ufam w umiejętności moich ludzi, ale nie mogę dać pani żadnych gwarancji powodzenia akcji. W każdym razie nie obędzie się bez ofiar.

- Ale nie możemy przecież siedzieć z założonymi rękami - głos pani Kamil brzmiał bardzo poważnie. - Doktor Hopper i jego zespół badawczy to pracownicy ONZ. Musimy ich ratować - to nasz obowiązek.

- Całkowicie się z panią zgadzam. Czułbym się jednak pewniej, gdyby pułkownik Levant mógł liczyć na jakąś odsiecz, jeśli zostanie okrążony przez wojska malijskie.

- Może Brytyjczycy lub Francuzi będą bardziej skłonni...

- Amerykanie są najlepiej przygotowani do szybkiej akcji. Gdyby to zależało ode mnie, wybrałbym formację "Delta".

Kamil ustąpiła, choć wiedziała, że trudno będzie pokonać opór Białego Domu, a zwłaszcza szefa urzędu prezydenta.

- Dobrze, przedstawię tę sprawę prezydentowi USA - powiedziała bez zapału. - Tylko tyle mogę zrobić.

- A ja na wszelki wypadek poinformuję pułkownika Levanta, że nie może sobie pozwolić na żaden błąd; nie może liczyć na pomoc.

- Może będzie miał trochę szczęścia.

Bock poczuł dziwny dreszcz. Westchnął głęboko.

- Zawsze, ilekroć liczę na odrobinę szczęścia, wszystko idzie wyjątkowo źle.

Julien Perlmutter siedział w swojej ogromnej bibliotece, mieszczącej dziesiątki tysięcy książek. Większość stała w idealnym porządku na lśniących mahoniowych półkach, ale co najmniej dwieście walało się w nieładzie na perskim dywanie lub piętrzyło w stertach na staroświeckim, zasuwany żaluzją biurku. Ubrany w swój zwykły domowy strój - jedwabną piżamę i szlafrok oraz w miękkie kapcie - czytał jakiś manuskrypt z siedemnastego wieku. Perlmutter był sławnym historykiem-marynistą. Jego zbiór dokumentów i zapisów literackich, dotyczących okrętów i żeglugi, uchodził za najbogatszy w świecie. Czołowe muzea i biblioteki całych Stanów skłonne były zapłacić każdą sumę za jego kolekcję. Ale człowiek, który odziedziczył pięćdziesiąt milionów dolarów, zupełnie nie dbał o pieniądze. Przypominał sobie o ich istnieniu tylko wtedy, kiedy chciał uzupełnić swoje zbiory o jeszcze jednego białego kruka.

Jego miłość do książek i do starych okrętów dalece przewyższała uczucie, jakim mężczyzna może darzyć kobiety. Jeśli był na świecie ktoś, zdolny zrobić na zawołanie i z pamięci

godzinny wykład o każdym okręcie, jaki kiedykolwiek wpisano do rejestrów morskich - tym kimś był Julien Perlmutter. Toteż każdy, kto prowadził podmorskie badania, wydobywał stare wraki lub szukał w nich skarbów, musiał prędzej czy później trafić do niego z prośbą o radę i pomoc.

Był potwornie otyły - ważył sto osiemdziesiąt kilogramów- zapewne wskutek nieposkromionego łakomstwa i braku jakichkolwiek wysiłków fizycznych z wyjątkiem zdejmowania książek z regałów i wertowania ich stron. Miał wesołe, intensywnie błękitne oczy, a pod gęstym, siwym zarostem kryła się niezdrowo zarumieniona twarz. Zadzwoił telefon na biurku. Perlmutter musiał odsunąć na bok stertę otwartych książek, by dosięgnąć słuchawki.

- Julien? Mówi Dirk Pitt - zabrzmiał głos w słuchawce.
- Witaj, chłopcze! - uradował się szczerze Perlmutter. - Kopę lat cię nie widziałem.
- Rzeczywiście będzie ze trzy tygodnie.
- Może wpadniesz do mnie na sławne naleśniki Perhnuttera?
- Obawiam się, że wystygną, zanim dojadę - odparł Pitt.
- A gdzie jesteś?
- W Algierze.

Perlmutter aż prychnął ze zdziwienia.

- Co robisz w takim okropnym miejscu?
- Różne rzeczy; między innymi zajmuję się pewnym wrakiem.
- W Morzu Śródziemnym?
- Nie, na Saharze.

Perlmutter znał Pitta zbyt dobrze, by uznać to za żart.

- Znam legendę o okręcie na pustyni w Kalifornii, nad morzem Corteza, ale o okrętach na Saharze jeszcze nie słyszałem.

- Natrafiłem na trzy niezależne informacje - wyjaśnił Pitt. - Najpierw jakiś stary amerykański włóczyki, spotkany przypadkowo na pustyni, mówił, że szuka pancernika Texas. Przysięgał, że ten pancernik dopłynął tam rzeką, która potem wyschła, utknął na mieliźnie i został na pustyni na zawsze. Przypuszczalnie miał w ładowniach złoto ze skarbca Konfederacji.

Perlmutter roześmiał się głośno.

- Czy ten stary nie kurzył przedtem jakiejś pustynnej trawki?
- Twierdził też, że na pokładzie pancernika był Abe Lincoln.
- No, to już nawet nie jest śmieszne; toż to czysta fantazja!
- Może i fantazja, ale zapamiętałem to sobie. A potem znalazłem jeszcze na Saharze dwa inne tropy. Jeden to stare malowidło ściennie w grocie, przedstawiające coś, co mogło być tylko

okrętem wojennym Konfederacji; nawet bandera się zgadza. Drugi to dziennik pokładowy z samolotu Kitty Mannoek.

- Chwileczkę! - głos Perlmuttera zabrzmiał sceptycznie. - Czyjego samolotu?

- Kitty Mannoek - powtórzył Pitt.

- Znalazłeś ją? Boże, ona zaginęła dobre sześćdziesiąt lat temu! Naprawdę znalazłeś miejsce katastrofy?

- Razem z Alem Giordino natrafiliśmy na jej zwłoki i wrak samolotu w głębokim wąwozie na pustyni.

- Moje gratulacje! - krzyknął Perlmutter. - Wyjaśniliście jedną z największych zagadek w historii lotnictwa.

- To czysty przypadek...

- Słuchaj no, Dirk. Kto płaci za tę rozmowę?

- Ambasada USA w Algierze.

- W takim razie zaczekaj chwilę przy telefonie. Zaraz wrócę.

Perlmutter z trudem dźwignął się z krzesła i powoli, kołyszącym krokiem podszedł do odległego regału. Przez parę sekund przeczesywał wzrokiem jego zawartość. Znalazszy książkę, której szukał, wyciągnął ją, wrócił do biurka, usiadł i szybko przewertował strony. Wreszcie znowu chwycił słuchawkę.

- Mówisz, że ten okręt nazywał się Texas'?

- Tak, zgadza się.

- Pancernik, zbudowany w stoczni Rocketts w Richmond, zwodowany w marcu 1865 roku, zaledwie miesiąc przed końcem wojny - recytował Perlmutter. - Sto dziewięćdziesiąt stóp długości i czterdzieści szerokości po pokładzie. Dwa silniki, dwie śruby, zanurzenie jedenaście stóp, sześciocalowy pancierz. Uzbrojenie: dwa działa stufuntowe Blakely i dwa sześćdziesięciocierofuntowe. Prędkość maksymalna: czternaście węzłów. Perlmutter przerwał, zaniepokojony ciszą w słuchawce.

- Słyszałeś?

- Tak, to musiał być cud techniki w swoich czasach.

- Oczywiście! Był prawie dwa razy szybszy od wszystkich innych opancerzonych okrętów obu flot w tamtej wojnie.

- Wiesz coś o jego losach?

- To bardzo krótka historia. Stoczył tylko jedną, zresztą chwalebna bitwę, na James River, przeciwko całej flocie Unii i artylerii fortów zamykających Hampton Roads. Poważnie uszkodzony, przebił się jednak na otwarty Atlantyk - i nikt więcej go nie widział.



- A więc rzeczywiście zaginał bez wieści?

- Tak, ale w tym akurat nie ma nic niezwykłego. Wszystkie pancerniki Konfederacji były budowane tylko do służby na rzekach i wodach przybrzeżnych; nie nadawały się do żeglugi pełnomorskiej.

- Dlatego uznano powszechnie, że Texas nabrał wody przy dużej fali i zatonął.

- Sądzisz, że nie mógł przepłynąć Atlantyku i dostać się na Saharę przez Niger?

- O ile pamiętam, z tych konfederackich pancerników tylko Atlanta próbowała wyjść na otwarte morze. To był okręt przechwycony przez Unię w bitwie w cieśninie Wassaw w Georgii, potem zatopiony na James River. Podniesiono go z dna, wyremontowano, a mniej więcej rok po wojnie sprzedano królowi Haiti. Atlanta wypłynęła z zatoki Chesapeake na ocean, w kierunku Karaibów - i zaginała. Ludzie, którzy przedtem na niej służyli, twierdzili, że brała wodę nawet przy niewielkiej fali.

- A jednak ten stary poszukiwacz skarbów przysięgał, że krajowcy i koloniści francuscy w Afryce od wielu pokoleń powtarzają legendę o żelaznym okręcie, płynącym bez żagli w górę Nigru.

- Chcesz, żebym to sprawdził?

- A mógłbyś?

- Prawdę mówiąc, już mnie to wciągnęło. Bo jest jeszcze jedna zagadkowa sprawa z tym Texasem.

- Co takiego?

- Mam przed sobą kompletny wykaz okrętów z Wojny Secesyjnej - odparł Perlmutter. - Przy każdym jest wiele odnośników do innych dokumentów i lektur. A przy twoim nieszczęsnym Texasie nie ma nic.

- Wygląda to tak, jakby ktoś rozmyślnie zacierał ślady po tym pancerniku.

Opuścili amerykańską ambasadę dyskretnie, wyjściem dla klientów konsulatu, i zatrzymali na ulicy pierwszą przejeżdżającą taksówkę. Pitt podał kierowcy kartkę z instrukcją po francusku, napisaną przez pracownika ambasady, po czym usiadł z tyłu obok Giordina. Taksówka przecięła centralny plac miasta z jego malowniczymi meczetami i strzelistymi minaretami. Mieli szczęście, trafili na kierowcę z żyłką sportową. Pędził slalomem między pojazdami, poganiał przekleństwami przechodniów na przejściach, lekceważył światła i policjantów, którzy zresztą już dawno zrezygnowali z ambicji opanowania chaosu panującego w mieście w godzinach popołudniowego szczytu. Dotarli do głównej arterii, równoległej do portowego bulwaru, ale nieco mniej zatłoczonej, taksówka pomknęła na południe i wkrótce znalazła się na przedmieściu. Kierowca zgodnie z instrukcją zatrzymał wóz w odludnej, krętej alei. Wysiedli, zapłacili i nie ruszali się z miejsca, dopóki taksówka nie zniknęła za zakrętem. Niespełna minutę później zatrzymał się przy nich peugeot 605 ze znakami francuskich sił lotniczych. Kiedy sadowili się na tylnym siedzeniu luksusowej limuzyny, umundurowany kierowca nie drgnął ani nie odezwał się słowem. Ruszył szybko, zanim jeszcze Giordino zdążył zatrzaskać drzwi.

Przejechali około dziesięciu kilometrów i samochód zatrzymał się przed wysoką bramą wojskowego lotniska; nad wartownią powiewał trójkolorowy sztandar. Wartownik nie zajrzał nawet do środka; zasalutował charakterystycznie, dłonią odwróconą do przodu, i przepuścił peugeota na teren lotniska. Przed wjazdem na płytę kierowca zatrzymał się, wysiadł i w gnieździe na lewym błotniku zatknął proporzyc z szachownicą.

- Nic nie mów, sam zgadnę! - powiedział Giordino. - Już wiem: przyjechaliśmy tu na paradę, zamiast jakiegoś wielkiego marszałka.

Pitt roześmiał się.

- Zapomniałeś już o naszym stażu w siłach powietrznych? Każdy pojazd wjeżdżający na płytę lotniska musi mieć specjalne oznaczenie.

Limuzyna toczyła się wolno wzdłuż rzędu myśliwców Mirage 2000; kręcili się koło nich liczni mechanicy. Dalej stała eskadra śmigłowców AS-332 Super Puma: uzbrojone wyłącznie w rakiety powietrze - ziemia, nie miały typowego, groźnego wyglądu helikopterów szturmowych. Kierowca dojechał do końca bocznego pasa startowego i zatrzymał samochód. Siedzieli w całkowitym milczeniu; Giordino skorzystał z komfortowej atmosfery klimatyzowanego wnętrza i zapadł w drzemkę; Pitt wyciągnął z kieszeni skradziony z holu ambasady "Wall Street Journal" i pobieżnie przerzucał strony. Piętnaście minut później od zachodu pojawił się wielki transportowy Airbus i miękko wylądował. Zauważyli go dopiero wtedy, gdy opony samolotu z

charakterystycznym piskiem dotknęły pasa startowego. Giordino ocknął się i przetarł oczy, Pitt złożył gazetę. Samolot tymczasem wytracił prędkość, zawrócił i pokołował w ich kierunku. Kiedy stanął, kierowca peugeotu uruchomił silnik i podjechał bliżej, zatrzymując się w odległości pięciu metrów od wielkich kół transportowca.

Pitt zwrócił uwagę, że maszyna ma kolor pustynnego piasku; znaki rozpoznawcze były starannie zamalowane. Wąską pochylnią, która opuściła się pod kadłubem, zbiegła kobieta w polowym mundurze. Naszywka na jej rękawie przedstawiała miecz na tle błękitnego emblematu ONZ. Szybko podeszła do samochodu i otworzyła tylne drzwi.

- Proszę za mną - powiedziała po angielsku, z silnym hiszpańskim akcentem.

Samochód odjechał, a oni weszli po pochylni do pękatego brzucha Airbusu. Krótkim ciemnym przejściem przedostali się do głównego przedziału ładunkowego. Stały tu zamocowane blokami trzy niskie, przysadziste transportery opancerzone, a dalej silnie uzbrojony otwarty samochód rajdowy.

- Wystartuj czymś takim w rajdzie - rzekł Giordino z niekłamanym podziwem - a na pewno nikt nie będzie miał odwagi cię wyprzedzić.

- Rzeczywiście, wygląda dość imponująco - przyznał Pitt.

Zza pojazdu wyszedł im na spotkanie oficer.

- Kapitan Pembroke-Smythe - przedstawił się. - Świetnie, że już jesteście.

Pułkownik Levant czeka w centrum dowodzenia.

- Chyba jest pan Anglikiem? - spytał Giordino.

- Tak, stanowimy raczej mieszane towarzystwo. - Pembroke-Smythe uśmiechnął się i wskazał trzcinką ponad trzydziestu mężczyzn i trzy kobiety, zajętych przeglądem broni i sprzętu w różnych kątach ładowni. - Ktoś niegłupi doszedł do wniosku, że ONZ musi mieć swoją własną grupę taktyczną, która pójdzie wszędzie tam, gdzie rządy poszczególnych krajów "nie mają prawa ingerencji", jak to się ładnie określa. Niektórzy nazywają nas tajnymi wojownikami. Każdy z obecnych tutaj ma za sobą intensywny trening w służbach specjalnych swojego kraju. Wszyscy przyszli do nas na ochotnika: niektórzy na stałe, reszta tylko na roczną służbę.

Pitt jeszcze nigdy nie widział zespołu ludzi o takich kwalifikacjach fizycznych. Potężne ciała, zahartowane długotrwałym, brutalnym treningiem, nie bardzo pasowały do jego wyobrażeń o wyrachowanych, chłodnych ekspertach od tajnych misji, wymagających przede wszystkim wiedzy i inteligencji. Nie miałby ochoty spotkać kogokolwiek z nich w ciemnej uliczce; dotyczyło to również kobiet.

Pembroke-Smythe wprowadził ich do kabiny, stanowiącej centrum dowodzenia. Przestronne pomieszczenie pełne było skomplikowanej aparatury elektronicznej. Jeden z

operatorów nadzorował systemy łączności, drugi zajęty był wprowadzaniem do programów komputera danych dotyczących akcji w Tebezzu.

Pułkownik Levant uprzejmie poderwał się zza biurka, by przywitać Amerykanów. Nie bardzo wiedział, czego może się po nich spodziewać. Przeczytał dostarczone przez służbę ONZ obszerne dossier obu pracowników NUMA i był pełen szczerego podziwu dla ich osiągnięć badawczych. Podziwiał także niewiarygodnie śmiały wyczyn, jakim była ucieczka z Tebezzu przez pustynię, ale właśnie dlatego miał wątpliwości co do ich przydatności w akcji. Spodziewał się ujrzeć ludzi wycieńczonych, niezdolnych do większego wysiłku fizycznego. Teraz już na pierwszy rzut oka mógł stwierdzić, że - choć wychudzeni i poparzeni słońcem - są w bardzo dobrej formie. Już po pierwszych słowach rozmowy zdał sobie sprawę, że bez ich pomocy - choćby w roli przewodników w kopalni - szansę powodzenia całej operacji byłyby znikome.

- Kapitanie - zwrócił się do Smythe'a - proszę ogłosić gotowość bojową. Niech pilot przygotuje jak najszybciej maszynę do startu.

Spojrzał ponownie na Amerykanów.

- Z waszego raportu wynika, że w tej sprawie czas liczy się na wagę istnień ludzkich. Dlatego szczegóły akcji będziemy omawiać już w powietrzu. Przelot zajmie nam cztery godziny. Potem mamy już bardzo mało czasu. Nie możemy się spóźnić, jeśli chcemy trafić na porę snu więźniów. Jeżeli dotrzemy tam później, będą już rozproszeni po różnych chodnikach, a wtedy nie uda nam się ich odnaleźć i zebrać w zaplanowanym terminie.

- Za cztery godziny nad Tebezzą będzie kompletnie ciemno - zauważył Pitt, nieco zdziwiony. - Ma pan zamiar użyć reflektorów przy lądowaniu? Równie dobrze mógłby pan puścić dla O'Banniona trochę fajerwerków.

Levant lekko podkręcił wąsa; ten mimowolny gest często powtarzał w ciągu następnych godzin.

- Będziemy lądować po ciemku. Ale zanim to panu wyjaśnię, myślę, że powinniśmy usiąść i zapiąć pasy.

Jakby dla potwierdzenia jego słów odezwał się stłumiony odgłos silników; pilot szybko zwiększał obroty. Wielki transportowiec pomknął pasem startowym, potem oderwał się lekko od ziemi. Pitt zwrócił uwagę, że silniki samolotu pracują niezwykle cicho. Choć przy tym tempie wznoszenia obroty musiały już być maksymalne, nie było słyhać typowego dla dużych odrzutowców ogłuszającego ryku.

- Mamy specjalne tłumiki na dyszach - wyjaśnił Levant.

- Są bardzo skuteczne - przyznał Pitt. - Kiedy lądowaliście, pierwszym dźwiękiem, jaki usłyszałem, było tarcie opon o asfalt.

- Może pan to nazwać naszą czapką-niewidką. Bardzo się przydaje przy lądowaniu w miejscach, gdzie nas nie lubią.

- A w dodatku potraficie lądować bez światła?

- Potrafimy - Levant skinął głową z uśmiechem.

- Czy wasz pilot ma jakieś cudowne, supernowoczesne urządzenia do widzenia w nocy?

- Nie, panie Pitt, tu nie ma żadnych cudów. Jak dolecimy do Tebezzy, czterech moich ludzi wyskoczy na spadochronach; sprawdzą lądowisko i ustawią wzdłuż niego sygnalizacyjne lampy podczerwone. Pilot będzie je widział przez zwykły, standardowy noktowizor.

- Ale i na ziemi - zauważył Pitt - nie będzie łatwo pokonać drogę między lądowiskiem i kopalnią bez świateł.

- Tak, to jest pewien problem - przyznał Levant z ponurą miną.

Odpiął pas bezpieczeństwa - choć samolot wciąż jeszcze stromo się wznosił - i podszedł do stołu, na którym przypięte było duże satelitarne zdjęcie płaskowyżu Tebezzy.

Wziął ołówek i postukał nim w fotografię.

- Oczywiście najlepiej byłoby wylądować śmigłowcami na płaskowyżu i spuścić się na linach do wąwozu. Na pewno łatwiej byłoby ich zaskoczyć. Niestety, są istotne przeciwwskazania.

- Domyślam się - rzekł Pitt. - Zasięg lotu helikopterów nie pozwala na pokonanie trasy do Tebezzy i z powrotem. A rozmieszczenie baz z zapasowym paliwem na pustyni oznaczałoby dalszą zwłokę.

- Dokładnie trzydzieści dwie godziny według naszych rachunków - potwierdził Levant. - Rozważaliśmy też możliwość, że jeden z naszych śmigłowców będzie wiózł tylko paliwo, a cała eskadra będzie posuwać się skokami i tankować w miarę potrzeby. Ale i tu pojawiły się komplikacje.

- To też by za długo trwało? - włączył się Giordino.

- No właśnie. Argument szybkości przesądził o użyciu odrzutowca. Były też inne argumenty. Do samolotu mogliśmy wziąć pojazdy, mamy też na pokładzie mały szpital - a z waszego raportu wynika, że będą tam osoby wymagające natychmiastowej pomocy lekarskiej.

- Ilu ma pan ludzi? - spytał Pitt.

- Trzydziestu ośmiu żołnierzy i dwóch lekarzy. Czterech ludzi zostaje na lądowisku, dla ochrony samolotu. Zespół medyczny idzie z nami.

- A więc w transporterach nie zostanie zbyt wiele miejsca dla uwolnionych więźniów.

- Jeśli część moich ludzi pojedzie na dachach i błotnikach, to możemy ewakuować około czterdziestu osób.

- Być może nie ma już tylu żywych - zauważył ponuro Pitt.

- Dla tych, którzy pozostali przy życiu, zrobimy wszystko, co w naszej mocy - zapewnił Levant.

- A co z Malińczykami? - spytał Pitt. - Mam na myśli więźniów politycznych generała Kazima.

Levant wzruszył ramionami.

- Będziemy musieli ich zostawić. Jakoś sobie poradzą; będą mieli do dyspozycji zapasy żywności kopalni i broń strażników.

- Kazim to sadysta; gdy dowie się, że jego najcenniejsi więźniowie uciekli, może kazać wymordować ich wszystkich.

- Takie mam rozkazy - Levant rozłożył bezradnie ręce. - Nie ma w nich w ogóle mowy o ratowaniu Malińczyków.

Pitt przyjrzał się satelitarnym fotografiom okolic Tebezy.

- A więc ma pan zamiar wylądować Airbusem po ciemku na pustyni, przejechać w nocy bez świateł trasę, która jest trudna nawet w dzień, zaatakować kopalnię, zabrać stamtąd wszystkich więźniów obcokrajowców, wrócić na lądowisko i odlecieć do Algieru. Czy to nie za wiele, jak na skromne siły, jakimi pan dysponuje?

Levant nie wyczuł w głosie Pitta dezaprobaty ani sarkazmu - raczej głęboką troskę.

- Czy to, co pan widział - spytał - rzeczywiście ocenia pan jako "skromne siły"?

- Nie kwestionuję kwalifikacji bojowych pańskich ludzi, pułkownika. Ale spodziewałem się większego i lepiej wyposażonego oddziału.

- Niestety, ONZ niezbyt hojnie finansuje swoją grupę taktyczną; nie stać nas ani na tylu ludzi, ani na taki nowoczesny sprzęt, jakim dysponują służby specjalne niektórych krajów. Budżet ONZ jest ograniczony - i musimy mieścić się w tych granicach.

- Więc dlaczego zdecydowano się na grupę UNICRATT? - spytał Pitt, lekko zirytowany. - Dlaczego nie przysłano jakiegoś oddziału brytyjskich czy amerykańskich sił specjalnych, albo francuskiej Legii Cudzoziemskiej?

- Bo żaden rząd, łącznie z pańskim, nie chciał brudzić sobie rąk tą sprawą - wyjaśnił Levant z goryczą. Zdecydowała się na to tylko pani Kamil, Sekretarz Generalny ONZ.

Rzucone przypadkowo nazwisko wywołało w pamięci Pitta dawne wspomnienia. Dwa lata wcześniej, w akcji poszukiwania skarbów Biblioteki Aleksandryjskiej, spotkał Halę Kamil na pokładzie statku badawczego, zakotwiczonego w Cieśninie Magellana. Przez chwilę jego myśli błądziły gdzieś daleko. Widząc jednak zdziwioną minę Levanta i ironiczny uśmiech Giordina, który odgadł przyczynę jego zamyślenia, Pitt szybko wrócił do aktualnego tematu.

- Tu jest pewien istotny problem... - zaczął.
- O, jest ich sporo - przerwał Levant. - Ale ze wszystkimi można się chyba uporać.
- Z wyjątkiem tego jednego.
- Co ma pan na myśli?
- Nie wiemy, gdzie mieści się centrala łączności i nadzoru telewizyjnego kopalni.

Jeśli o'Bannion zdąży zaalarmować Kazima.

- Zanim znajdziemy tę centralę, nie mamy szans wrócić cało do Algierii. Myśliwce Kazima dopadną nas albo na ziemi, albo w powietrzu.

- W takim przypadku na całą akcję w kopalni będziemy mieli tylko czterdzieści minut - stwierdził spokojnie Levant. - To jest wykonalne, pod warunkiem, że większość więźniów potrafi wyjść szybko na powierzchnię o własnych siłach. Jeśli trzeba będzie ich wynosić, pochłonie to wiele dodatkowego czasu.

W tym momencie w drzwiach pojawił się ponownie kapitan Pembroke-Smythe, niosąc dużą tacę z kawą i sandwiczami.

- Nasze menu nie jest wyszukane, ale na pewno pożywne - powiedział wesoło. - Macie wybór: sałatka z kurczaka albo tuńczyk.

Pitt spojrzał z przekąsem na pułkownika Levanta.

- Chyba rzeczywiście macie bardzo skromny budżet.

Kiedy Airbus połykał przestrzeń nad pustynią, Pitt i Giordino szkicowali z pamięci duże schematy chodników kopalni. Levant był pełen podziwu. Jak na krótki czas pobytu w podziemiach Tebezzy, zapamiętali zdumiewająco dużo. Potem, wraz z dwoma innymi oficerami, solennie przesłuchał pracowników NUMA, powtarzając niektóre pytania nawet po trzy, cztery razy, w nadziei, że przypomną sobie jeszcze jakieś istotne szczegóły. Szlak prowadzący do wąwozu, rozkład pomieszczeń, szybów i korytarzy kopalni, uzbrojenie strażników - wszystko to należało wbić sobie w pamięć.

Podstawowe dane wprowadzono do komputera; prymitywne szkice po przetworzeniu nabrały na ekranie pozorów trójwymiarowości. Nie zlekceważono żadnej informacji, uwzględniono prognozę pogody na kilka najbliższych godzin, obliczono czas niezbędny na przelot myśliwców Kazima z Gao, przygotowano rezerwowe plany odwrotu i trasę ucieczki, w razie gdyby Airbus został zniszczony na ziemi. Opracowano warianty postępowania na wszelkie dające się przewidzieć okoliczności.

Na godzinę przed lądowaniem Levant zebrał wszystkich swoich ludzi w głównej ładowni. Odprawę otworzył Pitt, mówiąc o strażnikach, ich uzbrojeniu i sprawności bojowej - obniżonej, być może, długim przebywaniem w kopalni, gdzie jedynym przeciwnikiem byli słabi, bezbronni

więźniowie. Następnie Giordino zaprezentował powiększony plan kopalni, który uprzednio naszkicowali wraz z Pittem. Pembroke-Smythe podzielił komandosów na cztery drużyny i przekazał im wydrukowane przez komputer schematy korytarzy kopalnianych. Wreszcie głos zabrał Levant, by udzielić wszystkim szczegółowych instrukcji i wydać rozkazy.

- Niestety, nie mogliśmy tym razem przeprowadzić właściwego zwiadu - zaczął. - Nigdy jeszcze nie podejmowaliśmy tak trudnej misji, mając tak mało informacji. Schematyczne plany kopalni, które przed chwilą dostaliście, pokazują przypuszczalnie nie więcej niż dwadzieścia procent istniejących szybów, sztolni, chodników roboczych. Musimy szybko, zdecydowanie opanować biura i kwatery strażników. Dopiero potem zaczniemy szukać więźniów i wyprowadzać ich. Końcowa zbiórka w hali przed wejściem, dokładnie czterdzieści minut po rozpoczęciu akcji w kopalni. Są jakieś pytania?

Potęźnie zbudowany mężczyzna podniósł rękę.

- Dlaczego tylko czterdzieści minut, panie pułkowniku? - spytał ze słowiańskim akcentem.

- Bo jeśli zostaniemy tam choć minutę dłużej, kapralu Wagliński, samoloty malijskie dopadną nas i zestrzelą, zanim znajdziemy się z powrotem w Algierii. Mam przy tym nadzieję, że większość więźniów zdoła dojść do naszych transporterów o własnych siłach. Jeśli wielu z nich trzeba będzie nieść przez niskie, wąskie tunele - spóźnienie jest nieuniknione.

- A co zrobicie, jeśli ktoś się zagubi w kopalni i nie znajdzie na czas drogi powrotnej? - padło kolejne pytanie.

- Będziemy musieli go zostawić - odparł Levant. - Są jeszcze pytania?

- Czy możemy zabrać tyle złota, ile znajdziemy? Rozległa się salwa śmiechu.

- Po zakończeniu akcji zrewiduję wszystkich starannie - oświadczył pogodnie Pembroke-Smythe. - Całe złoto, jakie znajdę, wyślę do mojej prywatnej skrytki w szwajcarskim banku.

- Kobiety też będzie pan rewidował? - odezwał się dźwięczny sopran.

- Zwłaszcza kobiety - odparł kapitan, uśmiechając się chytrze.

Levant, choć nadal śmiertelnie poważny, był zadowolony z tego momentu odprężenia.

- Dobrze - powiedział - podsumujmy to teraz. Pierwszą drużynę poprowadzę ja; naszym przewodnikiem będzie pan Pitt. Oczyszczymy biura na górnym poziomie, potem zjedziemy na sam dół i zabierzemy więźniów z ich kwatery. Druga drużyna, pod dowództwem kapitana Smythe'a - z panem Giordino jako przewodnikiem - zjedzie na poziom kwater strażników i zneutralizuje ich. Porucznik Steinholm poprowadzi drużynę trzecią i zabezpieczy boczne chodniki na poziomie roboczym; chodzi o to, by uniknąć okrążenia. Drużyna czwarta, pod dowództwem porucznika Morrisona, zajmie się poziomami kruszenia i czyszczenia rudy. Pozostali, z



wyjątkiem lekarzy, pilnują samolotu na lądowisku. Dalsze pytania proszę kierować do dowódców drużyn. Przerwał i rozejrzał się po twarzach ludzi, po czym ciągnął dalej.

- Bardzo żałuję, że nie mogliśmy przygotować się lepiej do tej operacji, ale myślę, że i tak mamy spore szanse. Jesteśmy dobrzy w tej robocie: w sześciu ostatnich akcjach nie straciliśmy ani jednego człowieka. Wiem, że jeśli zdarzy się coś, czego nie przewidzieliśmy, potraficie improwizować. Musimy tam po prostu wejść, uwolnić więźniów i uciec z nimi przed pościgiem malijskiego lotnictwa. Koniec odprawy. Życzę wszystkim szczęścia.

Levant odwrócił się na pięcie i spokojnym krokiem przeszedł do centrum dowodzenia.

Dane nawigacyjne z satelity płynęły do Airbusa nieprzerwanym strumieniem; komputer pokładowy przetwarzał je w instrukcje dla automatycznego pilota, kierując samolot bezbłędnie nad wielki płaskowyż Tebezzy. Kiedy maszyna pochyliła się na skrzydło i zaczęła krążyć, beczynni dotąd piloci spojrzeli na monitor radaru. Lądowisko odcinało się od pustynnego otoczenia jedynie gładką, oczyszczoną z kamieni powierzchnią pasa startowego. Czterej spadochroniarze Levanta ustawili się w pełnym rynsztunku w głównej ładowni. Otworzyła się rampa wyladowcza. Po dwudziestu sekundach rozległ się brzęczyk; komandosi zbiegli po rampie i zniknęli w czarnej otchłani. Pilot zamknął rampę i systematycznie zmniejszając wysokość skierował samolot na drugi, duży krąg. Po dwunastu minutach Airbus ponownie zbliżył się do pustynnego lądowiska. Piloci obserwowali teren przez specjalne okulary, wrażliwe na promieniowanie podczerwone. Nie mając wyszkolenia pilotów helikopterów szturmowych, słabo rozpoznawali szczegóły krajobrazu w zielonym, rozmazanym obrazie. Natychmiast jednak dostrzegli latarnie emitujące podczerwień, rozstawione wzdłuż lądowiska przez spadochroniarzy. W regularnym, zgodnym rytmie błyskały przed dziobem Airbusa, nieco na prawo od kursu.

- Podwozie! - wydał rozkaz pilot.

Drugi pilot pociągnął dźwignię i zespoły podwozia wysunęły się spod skrzydeł z charakterystycznym tąpnięciem.

- Podwozie wysunięte i zablokowane - zameldował.

Parę sekund później koła dotknęły piasku i żwiru, wznosząc za rozpędzoną maszyną wielki tuman pyłu. Pilot przełączył silniki na wsteczny ciąg, ale nawet ta, zwykle tak hałaśliwa operacja, w tym samolocie okazała się zadziwiająco cicha. Stanowcze użycie hamulca zatrzymało Airbusa niespełna sto metrów przed końcem lądowiska. Smuga pyłu za samolotem nie opadła jeszcze, kiedy po otwartej ponownie rampie wyladowczej zjechały na pustynię pojazdy; ustawiły się w kolumnę z odkrytym samochodem rajdowym na czele. Po chwili z samolotu wysypali się ludzie; sprawnie i w milczeniu ładowali się do transporterów. Z mroku wyłonił się dowódca grupy spadochroniarzy; mieli pozostać przy Airbusie, by go chronić i przygotować do ponownego startu.

- Teren jest czysty, sir - zameldował. - Nie było wartowników ani zabezpieczeń elektronicznych.

- Są tu jakieś zabudowania? - spytał Levant.

- Tylko mały ceglany barak z narzędziami i paliwem do diesli i do odrzutowców. Mamy go zniszczyć?

- Zaczekajcie z tym do naszego powrotu.

Levant wypatrzył w mroku sylwetkę Pitta i przywołał go ruchem ręki.

- Pan Giordino wspomniał, że uczestniczył pan w wyścigach samochodów terenowych.

- Tak, pułkowniku, to prawda.

Levant wskazał miejsce kierowcy w pojeździe szturmowym.

- Pan zna już drogę do kopalni. Poprowadzi pan kolumnę.

- Odwrócił się do stojącego obok oficera.

- Kapitanie!

- Tak, sir?

- Ruszamy. Pojedzie pan ostatnim transportem. Proszę zwrócić uwagę na niebo. Nie chcę, żeby wypatrzył nas jakiś przypadkowy samolot.

- Będę uważał, sir - zapewnił go Pembroke-Smythe.

Jeśli sprzęt, którym dysponował UNICRATT, odpowiadał "skromnym możliwościom budżetowym", to wielki budżet sił specjalnych USA musiał chyba zapewniać wyposażenie z filmów fantastycznych. Wszyscy ludzie Levanta - teraz także Pitt i Giordino - mieli na sobie panterki z ognioodpornej tkaniny, kamizelki przeciwkule, hełmy z wbudowanym walkietalkie i okularami noktowizyjnymi. Wszyscy też byli uzbrojeni w pistolety maszynowe Heckler & Koch MP5.

Pitt dał znak ręką Giordinowi, siedzącemu już obok kierowcy pierwszego transportera, i nie bez trudu wcisnął się za kierownicę uzbrojonej rajdówki, pod ażurowy dach sześciu luf ciężkiego karabinu maszynowego Vulcan. Zsunął okulary na oczy. Przez chwilę musiał przyzwyczajać się do niezwyklej jasności obrazu. Dwustumetrową przestrzeń w polu widzenia wypełniała dziwna zielona pustynia, jakby z innej planety.

- Droga do kopalni zaczyna się jakieś trzydzieści metrów przed nami - stwierdził.

Levant, który usiadł obok niego, odwrócił się, by sprawdzić, czy cały oddział jest gotowy do drogi. Potem machnął ręką do przodu.

- Nie traćmy czasu, panie Pitt. Ruszamy!

Pitt włączył bieg. Pojazd skoczył do przodu, za nim ruszyły natychmiast trzy transportery. Ale wznoszona przez szerokie koła rajdówki chmura pyłu zmusiła kierowców transporterów do zmiany szyku. Już po chwili kolumna przypominała klucz samolotów, ustawiony w literę "V".

- Jak szybko to potrafi jeździć? - spytał Pitt.

- Po szosie nawet dwieście dziesięć kilometrów na godzinę - odparł Levant. - To przerobiona maszyna wyścigowa - wyjaśnił. - Wasi marines opracowali ją specjalnie na wojnę z Irakiem...

- Proszę ostrzec kierowców - przerwał Pitt. - Za chwilę skręcimy lekko w lewo, potem osiem kilometrów prosto.

Dla pojazdów jadących w ciasnym szyku i przy ograniczonej widoczności - informacja była ważna. Levant przekazał ją natychmiast przez radio. Szlak prowadzący do kopalni nie był zbyt wyraźnie oznaczony. Pitt musiał polegać raczej na swojej pamięci i intuicji, niż na tym, co rzeczywiście widział. Nocna jazda przez pustynię z tą szybkością - a musieli się spieszyć - była zajęciem ryzykownym i szarpiącym nerwy. Nawet cudowne noktowizyjne okulary nie pozwalały dostrzec tego, co kryje się za najbliższym pagórkem - a mogła tam być jakaś dziura, z której już się nie wygrzebią. Tylko chwilami wątle ślady opon na piasku, tam gdzie jeszcze nie zawiął ich wiatr, upewniały go, że jest na właściwej drodze.

Spojrzał kątem oka na Levanta. Pułkownik był zupełnie spokojny i niewiarygodnie opanowany. Wydawało się, że wściekła, ryzykancka jazda przez pustynię nie robi na nim żadnego wrażenia. Patrzył spokojnie przed siebie, czasem tylko odwracał głowę, by upewnić się, Czy wszystkie trzy transportery nadążają za nimi. Nagle w polu widzenia zamajaczyła wielka ściana płaskowyżu. Minęły jeszcze cztery minuty, zanim Pitt mógł odetchnąć z ulgą: wprost przed nimi skalna ściana była rozszczępiona, jakby rozcięta wielką siekierą. Zwolnił i przed bramą wąwozu zatrzymał pojazd.

- Tunel prowadzący do podziemnego parkingu zaczyna się zaledwie kilometr stąd. Chce pan wysłać pieszy zwiad?

Levant zaprzeczył ruchem głowy.

- Jedziemy dalej, tylko wolno. Ryzykujemy, że nas usłyszą, ale za to szybciej dotrzemy na miejsce. Chyba w ten sposób mamy większe szansę.

- Ja też tak myślę. Przecież tam nikt się nas nie spodziewa. Jeśli nawet wartownicy O'Banniona usłyszą nas, pomyślą, że to nowy transport więźniów. Ponownie uruchomił pojazd i wjechał do wąwozu; za nim, teraz już w kolumnie, ruszyły transportery. Jechał na trzecim biegu, przy minimalnych obrotach silnika, by nie powodować hałasu. Ale nawet specjalne, udoskonalone tłumiki nie mogły całkowicie zdławić odgłosów wydechu, a wysokie skalne ściany wzmacniały ten dźwięk, odbijając go wielokrotnym echem. Z pewnością do tunelu, może nawet na podziemny parking, docierał już niski, podobny do odległego dźwięku tłokowych silników lotniczych pomruk.

Gdy pojawiła się przed nimi czarna czeluść tunelu wjazdowego, Pitt bez żadnych problemów poprowadził nim rajdówkę i wjechał na podziemny parking. Słabe światło, płynące z tunelu biurowego, oświetlało samotną ciężarówkę i pojedynczego wartownika. Tuareg w grubym burnusie z ciekawością i bez niepokoju patrzył przez szczelinę lithamu na wjeżdżające

pojazdy. Dopiero kiedy ciężkozbrojna rajdówka zatrzymała się kilka metrów od niego, zaczął coś podejrzewać. Ściągnął z ramienia pistolet maszynowy, ale nie zdążył już się złożyć. Kula z automatycznej beretty Levanta trafiła go dokładnie między oczy.

- Piękny strzał - stwierdził bez emocji Pitt.

Levant spojrział na zegarek.

- Moje gratulacje, panie Pitt. Dzięki panu zarobiliśmy dwanaście minut w stosunku do planu.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Pułkownik wyskoczył z samochodu i wydał rozkazy; robił to bezgłośnie, umówionymi gestami rąk. Żołnierze grupy taktycznej wysypali się z transporterów i sformowani w drużyny weszli do tunelu wiodącego do kopalni. Gdy tunel przeszedł w korytarz z otynkowanymi ścianami i kafłową posadzką, drużyna Levanta z Pittem zaczęła szybko i cicho otwierać drzwi pomieszczeń biurowych; wiązali i kneblowali ludzi CTBanniona, po czym przeciągali wszystkich w jedno miejsce, by przez cały czas akcji mógł ich pilnować jeden żołnierz. Trzy pozostałe drużyny Giordino poprowadził bocznym korytarzem do głównej windy towarowej, aby jak najszybciej zjechać na poziomy robocze.

Cicho, najdelikatniej jak umiał, otworzył Levant drzwi oznaczone tabliczką: "Ośrodek kontroli". Wnętrze pokoju zalane było blado-niebieskim światłem monitorów telewizyjnych, pokazujących dziesiątki różnych miejsc w kopalni. Przed amfiteatrem ekranów, tyłem do drzwi, na obrotowym krześle siedział biały mężczyzna ubrany w luźną kolorową koszulę i bermudy. Rozparty, z cienkim cygarem w zębach, leniwie przebiegał wzrokiem rzędy ekranów, obracając się przy tym powoli na krześle. Zdradził ich odbłask żółtawego światła z korytarza, drgający na czarnym, nieczynnym monitorze. Mężczyzna błyskawicznie odwrócił głowę, a zobaczywszy obcych sięgnął do guzika alarmu na konsolce. Levant rzucił się zbyt późno, by kolbą pistoletu zadać ogłuszający cios. Kontroler zwałił się bezwładnie z krzesła pod konsolę, ale głośniki alarmowe całej kopalni wyły już jak syreny karettek pogotowia.

- Cholerny pech! - zaklął Levant. - Całą niespodziankę diabli wzięli.

Odsunął nogą bezwładne ciało strażnika i wpakował w konsolę długą serię pocisków z Heckler-Kocha. Z tablicy posypały się iskry zwarć elektrycznych i buchnął dym. Wycie alarmów ustało. Pitt biegł w głąb korytarza, otwierając kopniakami kolejne drzwi. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Centrum łączności. Siedząca przy aparaturze radiowej ładna, młoda Arabka nie wyglądała na zaskoczoną. Nawet nie odwróciła głowy w stronę otwierających się z łoskotem drzwi. Szybko wykrzykiwała coś do mikrofonu po francusku. Pitt dwoma susami znalazł się przy niej i wymierzył jej pięścią potężny cios w kark. Ale - tak samo jak Levant - spóźnił się.

Dziewczyna zdążyła już przekazać alarmującą wiadomość siłom bezpieczeństwa generała Kazima.

- Za późno - powiedział Pitt, widząc wbiegającego do pokoju Levanta. - Zdążyła nadać alarm.

Levant błyskawicznie ocenił sytuację.

- Sierżancie Chauvel! - zawołał w stronę korytarza.

- W drzwiach pojawiła się uzbrojona postać.

- Sir?

Gdyby nie charakterystyczne brzmienie głosu, trudno byłoby poznać, że sierżant Chauvel jest kobietą.

- Zajmij się radiem - rozkazał półgłosem Levant. - Powiedz Malijczykom, że to pomyłkowy alarm, spowodowany zwarceniem instalacji; że nic złego się nie stało i że nie ma żadnej potrzeby interwencji.

- Tak jest! - szczeękła służbiście sierżant Chauvel i natychmiast usiadła przy mikrofonie.

- Gabinet O'Bannidna jest na końcu korytarza - powiedział Pitt. Odepchnął Levanta i pierwszy pobiegł w tamtą stronę. Dopadł dwuskrzydłowych drzwi i zaatakował je barkiem. Nie były zamknięte; wtoczył się jak beczka do pokoju sekretarki. Niezwykła dziewczyna o fiołkowych oczach i włosach sięgających bioder siedziała spokojnie za biurkiem, przed sobą trzymała oburącz groźnie wyglądający rewolwer.

Z impetem, którego nabrał przy forsowaniu drzwi, Pitt runął przez blat biurka na dziewczynę; zdążyła jednak jeszcze dwukrotnie nacisnąć spust. Oba pociski trafiły w kuloodporną kamizelkę.

Pitt poczuł, jakby ktoś dwa razy uderzył go ciężkim młotem w pierś. Uderzenia pozbawiły go na chwilę oddechu, ale nie przytomności. Dziewczyna próbowała energicznie wyrwać się i uciec. Wyrzucała przy tym głośno potoki słów w języku, którego nie znał; mimo to był pewien, że są to plugawe przekleństwa. Udało jej się jeszcze raz strzelić - kula odbiła się od sufitu i utknęła w dużym obrazie - zanim wreszcie wyrwał jej broń, ogłuszył mocnym ciosem i rzucił bezwładne ciało na ziemię.

Stanął między dwojgiem Tuaregów z brązu i spróbował otworzyć drzwi gabinetu O'Banniona. Były zamknięte na klucz. Podniósł rewolwer sekretarki i strzelił trzykrotnie w zamek. Strzały z broni bez tłumika dudniły ogłuszająco między kamiennymi ścianami, ale nie było już żadnego powodu do zachowywania ciszy. Ukrył się za framugą i kopniakiem otworzył drzwi. Nie było żadnej reakcji. Ostrożnie zajrzał do środka. Na wprost drzwi, oparty szeroko rozstawionymi rękami o biurko, stał O'Bannion. Był spokojny, jakby spodziewał się zobaczyć

prezesa konkurencyjnej spółki. Przez szczelinę zawoju oczy patrzyły twardo, bez śladu lęku. Dopiero kiedy Pitt zdjął z głowy kask, pojawiło się w nich zdumienie.

- Mam nadzieję, O'Bannion, że nie spóźniłem się na kolację.

- O ile pamiętam, byłem zaproszony?

- To ty?! - syknął O'Bannion przez zaciśnięte zęby.

- Wróciłem, żeby się z tobą zabawić - rzekł Pitt z ironicznym półuśmiechem. - I przyprowadziłem paru przyjaciół, którzy niestety nie lubią sadystów, katujących kobiety i dzieci.

- Jakim cudem przeżyłeś? - W jego głosie nadal nie było lęku, jedynie ciekawość. - Jeszcze nikomu nie udało się przejść tej pustyni bez zapasu wody.

- Jakoś nie umarłem. Giordino też nie.

- To niemożliwe, żebyście taki kawał przeszli pieszo. Z tego miejsca, gdzie znaleźliśmy przewróconą ciężarówkę, jest jeszcze cholernie daleko do szlaku motorowego.

- A więc znaleźliście ciężarówkę - zaciekawił się Pitt. - A co ze strażnikiem w szoferce?

- Przeżył, ale kazałem go rozstrzelać. Za to, że was wypuścił.

- Życie nie jest specjalnie cenione w tej części świata...

Zdumienie stopniowo ustępowało z oczu CTBanniona.

- Wróciłeś tu po swoich ludzi? Czy też po to, żeby nachapać się złota?

Pitt popatrzył na niego przenikliwie.

- Z pierwszym trafiłeś, z drugim nie. A jest jeszcze trzecie: mamy zamiar na zawsze wyeliminować ciebie i całą twoją bandę z tego biznesu.

- Dokonałiście interwencji zbrojnej w suwerennym kraju. Nie macie prawa tak postępować.

- O Boże! On mi będzie mówił o prawie! A co powiesz o prawach tych wszystkich ludzi, których tu zamknąłeś i wymordowałeś?

O'Bannion wzruszył ramionami.

- Tak czy inaczej wykończyłby ich generał Kazim.

- Ale mogłeś przynajmniej traktować ich po ludzku.

- Tebezza to nie kurort, tylko kopalnia złota.

- Przynosząca tobie, Massarde'owi i Kazimowi grube zyski.

- Tak - przyznał O'Bannion. - Nasze cele są komercyjne. I co z tego?

Buta, z jaką O'Bannion bronił swoich "racji", wywołała w myślach Pitta serię przerażających i oburzających obrazów: katorżnicza praca setek wynędzniałych istot ludzkich; ich zwłoki, zalegające stertami podziemną kryptę; krwawa łaźnia, urządzana co dzień przez Melikę tym, którzy jeszcze nie padli. A wszystko to z woli trzech ludzi, opętanych szalem

chciwości. Zbliżył się do o'Banniona i uderzył kolbą karabinu maszynowego w sam środek lithamu, spowijającego twarz dyrektora kopalni. Przez dłuższą chwilę przyglądał się, jak powalony na dywan olbrzym broczy obficie krwią. Potem zaklął wściekle, chwycił nieprzytomnego Irlandczyka za ramię i wyciągnął go na korytarz. Tam spotkał Levanta.

- To o'Bannion? - domyślił się pułkownik.

- Tak. Miał drobny wypadek.

- Właśnie tak mi się zdawało.

- Jak się rozwija akcja? - spytał Pitt.

- Drużyna czwarta zabezpieczyła poziomy przeróbki rudy. Druga i trzecia nie natrafiły na poważniejszy opór strażników. Zdaje się, że ci goryle niewiele potrafią, poza biciem bezbronnych więźniów.

- Winda dyrektorska jest tutaj - pokazał Pitt.

W wyłożonej dywanem kabinie windy o chromowanych ścianach nie było tym razem operatora. Pitt, Levant i żołnierze z drużyny pierwszej, z wyjątkiem człowieka, który został, by pilnować ludzi O'Banniona, zjechali na główny poziom roboczy. Zaraz po wyjściu z windy stanęli przed masywnymi żelaznymi drzwiami. Były przymknięte, ale w miejscu zamka ziała wyrwana dynamitem dziura o nieregularnie postrzępionych brzegach.

- Ktoś nas wyręczył - stwierdził z uśmiechem Levant.

- Giordino rozwalil zamek, gdy uciekaliśmy - rzekł Pitt.

- Widzę, że nie spieszą się tutaj z naprawami.

Otworzyli drzwi na oścież. Ciągająca się za nimi sztolnia rozbrzmiewała hukami bliższych i dalszych wystrzałów. Pitt pozostawił nieprzytomnego O'Banniona pod opieką wysokiej, mocno zbudowanej komandoski i pobiegł sztolnią, by jak najszybciej dotrzeć do lochu, w którym trzymano więźniów. Za nim pospieszyli żołnierze Levanta. Kiedy doszli do centralnej komory, była tu już drużyna druga. Dobiegało końca rozbijanie strażników; przerażeni stali pod ścianą z rękami złożonymi na karku. Giordino serią z automatu roztrzaskał zamek żelaznych drzwi prowadzących do lochu. Do Levanta podszedł Pembroke-Smythe, by złożyć raport.

- Zatrzymaliśmy szesnastu strażników; jeden albo dwóch uciekło w boczne korytarze. Siedmiu zrobiło błąd: stawiali opór. Musieliśmy ich zastrzelić. Po naszej stronie jest dwóch lekko rannych.

- Musimy przyspieszyć akcję - stwierdził kapitan Levant. - Obawiam się, że zanim dotarliśmy do centrali łączności, zdążyli wysłać alarm.

Pitt podbiegł do Giordina, który mimo pomocy dwóch komandosów nie mógł sobie poradzić z ciężkimi wrotami lochu.



- Spóźniłeś się trochę - zauważył z przekąsem Giordino.
- Przedłużyła mi się pogawędka z O'Bannionem.
- Potrzebny mu teraz lekarz czy grabarz?
- Prawdę mówiąc tylko dentysta.
- Widziałeś Melikę?
- Nie, nie było jej na górze.
- Znajdę ją - rzekł Giordino z chłodną wściekłością. - Pamiętaj, Melika jest moja!

W końcu wspólnym wysiłkiem otworzyli pancerne wrota. Po chwili wraz z żołnierzami grupy taktycznej znaleźli się w lochu. Pitt i Giordino wiedzieli już, co tu zastaną. Ale komandosi zastygli w pół kroku, porażeni mdlącym zaduchem, a bardziej jeszcze potwornym widokiem; niewiarygodnym nagromadzeniem ludzkich cierpień. Nawet oficerowie ONZ, którzy wiele już widzieli w swoich misjach, zastygli w przerażeniu.

- Dobry Boże! - wyszeptał Pembroke-Smythe. - Toż to prawdziwe Auschwitz albo Dachau.

Ale Pitt przepychał się już przez tłum więźniów lub raczej żywych szkieletów, otepiałych od straszliwej pracy; jakby pogodzonych ze swą żalosną, beznadziejną egzystencją. Szybko znalazł doktora Hoppera. Szef zespołu badawczego WHO siedział przygarbiony na brzegu pryczy z wbitym tępo w ziemię wzrokiem. Postrzępione ubranie ledwie trzymało się na chorobliwie wychudzonym ciele. Poznał jednak Pitta natychmiast i dźwigając się z trudem z pryczy, wyciągnął ręce, by go uścisnąć.

- Bogu niech będą dzięki! Udało wam się! To prawdziwy cud!
- Zbyt wiele czasu nam to zajęło. Pewnie straciliście już nadzieję.
- Tak - przyznał Hopper - ale nie wszyscy. Eva do końca wierzyła, że wrócicie.
- Do końca? - spytał przerażony Pitt. - Czy to znaczy, że...
- Żyje - uspokoił go Hopper. - Ale jest w bardzo złym stanie.
- Wróciliście tu naprawdę w ostatniej chwili.

Pitt rozejrzał się i zrobił parę kroków w stronę nieruchomej jak kukielka postaci, skulonej na dolnej pryczy. Łzy popłynęły po jego policzkach. Niewiarygodne, jak bardzo zniszczył ją ten tydzień. Ostrożnie dotknął jej ramienia.

- Eva, wróciłem po ciebie.

Obróciła się powoli, z trudem uniosła powieki i przyglądała mu się nieprzytomnie.

- Dajcie mi jeszcze spać... Nie bijcie... - szepnęła.

- Nic ci już nie grozi. Zabieram cię stąd.

Dopiero teraz go poznała. Jej twarz rozjaśniła się nagle.

- Wiedziałam, wiedziałam, że wrócisz po mnie... po nas.

- Były problemy, ale udało się.

Patrzyła mu w oczy, uśmiechając się łagodnie.

- Ani przez chwilę nie wątpiłam, że się uda.

Pocałował ją długo, delikatnie, czule.

Lekarze przystąpili natychmiast do pracy. Badali więźniów, opatrywali ich rany, podawali środki wzmacniające. Żołnierze tymczasem wyprowadzali na powierzchnię tych, którzy byli w stanie iść o własnych siłach. Potwierdziły się, niestety, obawy Levanta. Operacja przebiegała wolno, gdyż wielu więźniów było w bardzo złym stanie i trzeba było ich nieść. Stwierdziwszy, że Eva i inni znaleźli się pod dobrą opieką, Pitt pożyczył od saperskiej grupy torbę z materiałami wybuchowymi i wrócił w okolice windy dyrektorskiej, gdzie pod czujną strażą dziewczyny z oddziału Levanta przebywał wciąż O'Bannion, teraz już całkiem przytomny.

- Wstawaj - powiedział Pitt. - Pójdziemy na mały spacer.

Litham zsunął się z głowy Irlandczyka i Pitt nareszcie zrozumiał jego dziwne upodobanie do tradycyjnego stroju Tuaregów. Twarz O'Banniona była szkaradnie zdeformowana i pokryta bliznami, zapewne od przedwczesnego wybuchu dynamitu przy pracach górniczych. Spustoszenia dokonane kolbą automatu Pitta - brak dwu przednich zębów i krew brocząca wciąż z rozciętych warg - dopełniały szpetnego obrazu.

- Dokąd? - spytał O'Bannion niewyraźnie.

- Pójdziemy oddać hołd zmarłym - odparł Pitt.

Chwycił Irlandczyka za burnus i brutalnie postawił na nogi. Potem poprowadził go chodnikiem w stronę makabrycznej krypty. Nie zamienili po drodze ani jednego słowa. Jeśli nie liczyć paru martwych już Tuaregów, którzy - wedle słów Pembroke-Smythe'a - "popelnili błąd" stawiając opór, nikogo też nie spotkali. Gdy dotarli do szczeliny w skałach, prowadzącej do groty umarłych, O'Bannion zatrzymał się z wahaniem. Pitt wepchnął go do środka lufą automatu.

- Po coś mnie tutaj przyprowadził? Chcesz mi zrobić wykład o bestialstwach moich ludzi, zanim mnie wykończysz?

- Nic z tych rzeczy - odparł Pitt. - Po pierwsze, tu nie trzeba żadnych wykładów, wystarczy popatrzeć. Po drugie, wcale nie mam zamiaru cię zabić. Byłoby to zbyt łatwe, zbyt szybkie, zbyt łagodne.

- Krótki szok bólu - i wieczna ciemność. Nie, zasłużyłeś sobie na coś bardziej pomysłowego.

- Co chcesz zrobić? - po raz pierwszy w oczach O'Banniona pojawił się strach.

Pitt wskazał lufą karabinu sterty trupów.

- Chcę dać ci trochę czasu na kontemplację. Podumasz sobie nad własnym okrucieństwem i chciwością.

O'Bannion nie pojął jeszcze sensu słów Pitta.

- Po co ci to? Jeśli sądzisz, że będę błagał o łaskę i przebaczenie, to grubo się mylisz.

Pitt popatrzył na najbliższą stertę zwłok. Na wierzchu, z szeroko otwartymi oczami, martwo wpatrzonymi w sufit, leżała dziewczynka, najwyżej dziesięcioletnia. Nowa fala wściekłości podeszła mu pod gardło; z najwyższym trudem zapanował nad emocjami.

- Będziesz umierał wolno, bardzo wolno, O'Bannion. Doświadczysz głodu i pragnienia - takiego samego, na jakie skazałeś tych wszystkich nieszczęśników. Umrzesz tak jak oni, zanim twoi przyjaciele Kazim i Massarde znajdą cię tutaj - jeśli w ogóle będą szukać!

- Zastrzel mnie! Zabij mnie natychmiast!

Pitt uśmiechnął się lodowato. Nic nie powiedział. Lufą karabinu popchnął O'Banniona w głąb jaskini, między sterty trupów. Potem zainstalował w wejściu ładunki wybuchowe, ustawił zapalniki na niewielką zwłokę, pomachał O'Bannionowi ręką na pożegnanie i wycofał się przez rozpadlinę skalną do sztolni.

Nastąpiły cztery donośne detonacje. Z rozpadliny buchnął do sztolni tuman kurzu z odłamkami stempli, jeszcze przed chwilą podpierających sklepienie wejściowe. Przez parę sekund echo detonacji tłukło się w skalnych tunelach, potem zapadła martwa cisza. Pitt zaniepokoił się. Czyżby źle rozmieścił ładunki? Ale nie - poczuł wibrację, zrazu słabą, potem przechodzącą w dudnienie jak przy trzęsieniu ziemi. W pozbawionym podpór przejściu sklepienie załamało się i setki ton skał szczelnie замуrowały kopalnianą kryptę - razem z jej twórcą.

Pitt odczekał, aż opadnie kurz po wybuchu, potem zarzucił broń na ramię i pomaszerował do wyjścia torem górniczej kolejki, pogwizdując starą piosenkę amerykańskich kolejarzy. Giordino spojrział w jeden z bocznych chodników. Miał wrażenie, że coś się tam porusza. Zrobił kilka kroków w tamtą stronę, ale dostrzegł tylko samotny, porzucony wagonik. Szedł dalej na palcach, starannie omijając rozrzucony żwir, którego chrzęst mógłby go zdradzić. Ostatnie metry dzielące go od wagonika pokonał jednym susem. Skierował lufę karabinu do wnętrza.

- Rzuć broń! - krzyknął.

Zaskoczony strażnik powoli wstał z dna wagonika, trzymając wysoko nad głową pistolet maszynowy. Nie znał angielskiego, ale wzrok, ton głosu, a przede wszystkim gotowa do strzału broń Giordina były dostatecznie wymowne; zrozumiał, że nie ma żadnych szans.

Upuścił swój pistolet poza burtę wagonika.

- Melika!? - wrzasnął Giordino.

Strażnik pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że nie wie, ale Giordino dostrzegł w jego oczach paniczny strach. Postanowił to wykorzystać. Nie zdejmując palca ze spustu, wcisnął lufę karabinu w rozwarte usta Tuarega.

- e-i-ka! - zabelkotał strażnik, dzwoniąc zębami po stalowym kneblu.

Giordino natychmiast cofnął broń.

- No, gdzie jest Melika? - spytał cicho, ale tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Strażnik, choć bał się Meliki tak samo jak nieznanego napastnika, nie miał wyboru. Wskazał wzrokiem czeluść chodnika. Giordino pozwolił mu wyjść z wózka; potem machnął karabinem w stronę głównej sztolni.

- Spływaj, jak najdalej. Tam się tobą zajmą. Zrozumiałeś? Tuareg zrozumiał widać dobrze, bo założywszy ręce na kark pobiegł w stronę wylotu chodnika, potykając się o kamienie. Giordino ruszył w przeciwnym kierunku. Szedł wolno w głąb chodnika; wiedział, że w każdej chwili może się na niego posypać z mroku lawina kul. W idealnej, śmiertelnej ciszy nawet jego ostrożne kroki czyniły nieznośny hałas. Dwa razy zatrzymywał się, wyczuwając śmiertelne niebezpieczeństwo, ale przecucia okazywały się fałszywe.

Doszedł wreszcie do ostrego zakrętu chodnika i jeszcze raz stanął. Zza zakrętu dobiegał wyraźny, twardy odgłos, jakby ktoś przerzucał kamienie. Sięgnął do jednej z niezliczonych kieszeni swego munduru i wyjął małe lusterko. Ostrożnie wysunął je za wzmocniony stemplem załom ściany. Zaledwie dziesięć metrów przed sobą zobaczył Melikę.

Pracowała gorączkowo, wznosząc tuż przed rzeczywistym końcem chodnika fałszywą ścianę z odłamów skały. Najwyraźniej miała zamiar ukryć się za nią i przeczekać niebezpieczeństwo. Była odwrócona tyłem do Giordina, ale w zasięgu jej ręki leżał pistolet maszynowy: niewątpliwie naładowany i gotowy do strzału. Nie zwracała uwagi na to, co dzieje się za jej plecami. Widocznie ufała, że pozostawiony przy samotnym wagoniku strażnik ostrzeże ją w porę. Giordino mógł spokojnie wyjść zza zakrętu i zastrzelić ją, zanim by go zauważyła, ale szybkie uśmiercenie tej kobiety nie leżało w jego zamiarach. Ruszył powoli do przodu, dopasowując rytm swoich kroków do rytmu jej pracy; choć pojedyncze zgrzytnięcie kamienia pod butem i tak zginęłoby w hałasie rzucanych na szczyt muru kolejnych kawałków skały. Doszedł w ten sposób dostatecznie blisko, by chwycić jej pistolet i odrzucić go daleko za siebie. Odwróciła się. Bezbłędnie oceniła sytuację, jednym ruchem chwyciła swój straszliwy bat i zamachnęła się na Giordina. Ale to go nie zaskoczyło; bez wahania pociągnął spust. Krótka, dobrze wymierzona seria strzaskała jej oba kolana.

Żądza odwetu, okrutnego i bezwzględnego, opanowała go całkowicie. Nie odczuwał śladu litości, gdy potworna Murzynka zwała się na ziemię, wyjąc z bólu. Była gorsza niż wściekłe zwierzę. Dręczyła i mordowała ludzi dla czystej przyjemności. Nawet teraz, siedząc na kupie kamieni z groteskowo skręconymi grubymi łydkami, patrzyła na niego wzrokiem, w którym agresja, sadystyczna żądza zniszczenia drugiego człowieka, brała górę nad jej własnym bólem, cierpieniem, strachem. Wciąż jeszcze próbowała dosięgnąć go batem, wykrzykując przy tym najobrzydliwsze, najbardziej obsceniczne przekleństwa. Giordino odsunął się jeszcze o krok i z zimnym zadowoleniem obserwował jej daremne wysiłki. - Świat jest zły, okrutny i bezwzględny - zauważył spokojnie - ale może bez ciebie będzie odrobinę lepszy.

- Ty pieprzony kurduplu! - warknęła. - Co ty możesz wiedzieć o okrutnym świecie? Nigdy nie żyłeś w takim gnoju, w takim syfie, takiej krzywdzie i poniżeniu, jak ja!

Giordino nie wyglądał na wzruszonego.

- To nie dało ci prawa krzywdzić i poniżać innych. Teraz ja jestem twoim sędzią i katem, i nic mnie nie obchodzą twoje problemy życiowe. Może i miałaś powody, żeby stać się taka, jaka jesteś. Aleja... Do diabła, szkoda gębę strzepić, rzygać mi się chce na twój widok! Wielu niewinnych ludzi wysłałaś na tamten świat. Nie zasłużyłaś na dalsze życie.

Melika nie błagała o litość. Z jej ust płynęły wciąż ohydne wyzwiska, oczy płonęły nienawiścią. Bawiło go to, ale nie miał już czasu. Jeszcze raz podniósł broń i z zimnym wyrachowaniem wpakował w jej żołądek dwie kule. Jego doskonale obojętna twarz była ostatnią rzeczą, jaką zarejestrował gasnący wzrok Meliki. Runęła twarzą na skalisty grunt - jakby miała zamiar spowiadać się ziemi ze swoich grzechów.

Giordino patrzył jeszcze przez chwilę na nieruchome ciało, potem zanucił pod nosem, parafrazując słowa starej dziecinnej piosenki;

- Stara wiedźma mocno śpi...

- W sumie dwadzieścia pięć osób - zameldował Pembroke-Smythe. - Czternastu mężczyzn, osiem kobiet, troje dzieci. Wszyscy półżywi z wycieńczenia.

- O jedną kobietę i jedno dziecko mniej, niż w dniu naszej ucieczki - stwierdził z wściekłością Pitt.

Levant patrzył, jak jego ludzie pomagają uwolnionym więźniom wejść do transporterów. Z niepokojem spojrzął na zegarek.

- O szesnaście minut przekroczyliśmy punkt krytyczny. Pospieszmy się, kapitanie, już dawno powinniśmy być w drodze.

- Za chwilę będziemy gotowi - odparł optymistycznie Pembroke-Smythe, obserwując jak ostatni już więźniowie znikają pod klapami transporterów.

- Gdzie jest pański przyjaciel Giordino? - zwrócił się Levant do Pitta. - Jeśli nie pojawi się tu za chwilę, będziemy musieli go zostawić.

- Ma tu swoje rachunki do wyrównania.

- Oby tylko udało mu się teraz przebić przez ten chaos na dolnych poziomach.

Więźniowie tubylcy najpierw włamali się do magazynów z żywnością i wodą, a teraz ścigają i linczują strażników.

- Ostatnia drużyna, która wróciła na górę, twierdzi, że tam jest istna masakra.

- Trudno ich za to potępiać, po wszystkim, co przeszli - rzekł Pitt.

- Żał mi ich tu zostawiać - przyznał Levant. - Ale przecież i tak nie zmieściliby się do naszych pojazdów. Co gorsza, obawiam się, że jeśli zdążą wjechać na górę przed naszym odjazdem, stracimy cholernie dużo czasu na opędzanie się od nich.

W tym momencie z korytarza biurowego, pilnowanego wciąż jeszcze przez sześciu komandosów, wyłonił się Giordino. Miał dziwnie zadowolony wyraz twarzy. Uśmiechnął się do Pitta i Levanta.

- Jak to miło, że zaczęliście z toastami na starego Giordina.

Ale Levant nie był w nastroju do żartów.

- Mamy spóźnienie, w dużej mierze przez pana - powiedział z wyrzutem.

- Co z Meliką? - spytał Pitt.

Giordino podniósł bat nadzorczy, który zabrał sobie na pamiątkę.

- Właśnie wpisuje się do rejestru hotelowego w piekle.

- A CTBannion?

- Został dożywotnim zarządcą katakumb.

- Gotowi do odjazdu! - zawołał Smythe z transportera.

Levant odwrócił się do Pitta.

- Niech pan wsiada. Poprowadzi nas pan z powrotem na lądowisko.

Idąc do rajdówki Pitt zajrzał do transportera, w którym byli Eva, Hopper, Grimes i Fairweather. To zdumiewające, jak szybko doszli do siebie po wypiciu paru litrów wody i zjedzeniu standardowych porcji żywności, przywiezionych z kuchni Airbusa. Kolumna ruszyła. Komandosi z drużyny pilnującej korytarza biurowego wskakiwali do ostatniego transportera już w biegu. Chwilę później od strony biur kopalni nadbiegli pierwsi więźniowie tubylcy. Spotkało ich gorzkie rozczarowanie. Pojazdy grupy taktycznej ONZ, która uwolniła ich z katongi, zniknęły już w mrocznym tunelu wyjazdowym, pozostawiając ich na niepewny los. Pitt nie widział szczególnych powodów do ostrożności, gdy rozpędzał swój pojazd w wąskim kanionie. Włączył reflektory. Teraz, widząc dobrze drogę przed sobą, mógł nacisnąć gaz do deski. Levant nie tylko mu tego nie bronił, ale nawet nalegał, by oderwać się od kolumny. Chciał jak najszybciej dotrzeć na lądowisko, by zyskać parę dodatkowych minut na przygotowanie samolotu do startu. A transporter mógł doprowadzić bezpiecznie na miejsce Giordino, który widział wyraźne, świeże koleiny rajdówki. Poza tym, dzięki chwili opóźnienia, miał komfort jazdy w czystym powietrzu, a nie w tumanie pyłu wznoszonym przez pojazd Pitta.

Levant coraz bardziej niepokoił się o bezpieczny powrót. Nerwowo spoglądał co chwila na zegarek, przeczuwając, że dwudziestominutowe opóźnienie może ich drogo kosztować. Gdy zbliżyli się na niespełna pięć kilometrów do lądowiska, poczuł się nieco pewniej. Pozwolił sobie nawet na odrobinę optymizmu. Może sierżantowi Chauvel udało się oszukać służby specjalne Kazima i alarm został odwołany? Nadzieje prysły równie szybko, jak się pojawiły.

Przez stłumiony odgłos silnika rajdówki przebił się nagle inny, mocniejszy dźwięk. Ponad wszelką wątpliwość był to ryk silników odrzutowca. Levant spojrział w górę i zobaczył światła pozycyjne samolotu, szybko przecinające czarne niebo. Natychmiast wydał przez radio rozkaz załodze Airbusa i strzegącym go komandosom: opuścić maszyny i ukryć się. Pitt niemal odruchowo wyłączył światła i zatrzymał pojazd. Podniósł głowę i śledził wzrokiem krążący na niebie odrzutowiec.

- Chyba ktoś się nami niezdrowo interesuje - powiedział.

- Kazim z pewnością wysłał najpierw samolot rozpoznawczy, żeby sprawdzić, czy alarm był uzasadniony - pocieszał się Levant.

- Jego głos był spokojny, ale wyczuwało się w nim silne napięcie.

- Pilot nie traktuje sprawy zbyt poważnie - zauważył optymistycznie Pitt. - Nie wyłączył nawet światel pozycyjnych.

Ale Levant, który rozpoznał na tle nieba sylwetkę samolotu, nie miał już złudzeń. To nie

był samolot rozpoznawczy, lecz myśliwiec bombardujący typu Mirage.

- Obawiam się, że zameldował już o obecności obcego samolotu na lądowisku i teraz czeka tylko na rozkaz ataku.

Nie musieli długo czekać na rozwiązanie zagadki. Myśliwiec pochylił się nagle mocniej na skrzydło, po czym wyprostował lot dokładnie wzdłuż pasa startowego. Laserowe nitki namiaru pobiegły w stronę Airbusa, tkwiącego na pustyni bezradnie, jak krowa na pastwisku.

- Atakuje! - zawołał Pitt.

- Otworzyć ogień! - rozkazał Levant żołnierzowi, obsługującemu sześciolufowego Vulcana. - Nie daj mu uciec!

Strzelec, który już od dłuższego czasu prowadził samolot wizjerem celownika, nacisnął spust. Mikroprocesor Vulcana wyliczył kąt wyprzedzenia i na spotkanie z Mirage'em pobiegły dwudziestomilimetrowe pociski. Dosięły malijski samolot i rozpruły jego kadłub dokładnie w chwili, kiedy pilot odpalił w stronę stojącego na ziemi Airbusa dwie rakiety.

Niemal jednocześnie obie maszyny zmieniły się w wielkie kule ognia. Myśliwiec, który atakował zbliżając się szybko do ziemi, nie zmienił już kursu. Uderzył z impetem w nieczulą pustynię, rozpadając się na tysiące ognistych szczątków. Ale i z Airbusa niewiele zostało - poza wielką chmurą gęstego, czarnego dymu, która wzniosła się wysoko, gasząc na dłuższy czas światło gwiazd. Pitt patrzył zafascynowany, jak dwa wspaniałe wytwory najnowocześniejszej techniki w ciągu sekund zmieniają się w kupę popiołu.

Rzucił okiem na Levanta. W krwawym blasku pożarów twarz pułkownika przybrała wściekły, diaboliczny wyraz.

- Mer de! - zaklął Levant - tego właśnie się bałem.

- Co gorsza - dodał Pitt - Kazim szybko domyśli się, że czekamy na jakieś posiłki z zewnątrz. Obstawi granice tak, że pańskie helikoptery, nawet gdyby w końcu dotarły do Mali, zostaną natychmiast zestrzelone.

- A więc nie mamy wyboru, musimy próbować dotrzeć do granicy.

Nie damy rady. Nawet jeśli nie znajdzie nas lotnictwo Kazima, paliwa zabraknie na długo przed osiągnięciem szlaku transsaharyjskiego. Może paru pańskich ludzi, tych najmocniejszych, zdoła pokonać resztę drogi pieszo. Ale wszyscy ci biedacy, wyrwani grabarzowi spod łopaty, na pewno umrą na pustyni. Wiem, co mówię, sam byłem o krok od śmierci.

- Nie musimy jechać w stronę szlaku transsaharyjskiego - zauważył Levant. - To rzeczywiście byłoby czterysta kilometrów. Ale jeśli pojedziemy na północ, mamy tylko dwieście czterdzieści do granicy algierskiej. Na tyle starczy nam paliwa, a dalej przejmie nas oddział posiłkowy.



- Zapomina pan, że Kazim i Massarde grają tu o wielką stawkę i zrobią wszystko, żeby tajemnica Tebezzy nie przeniknęła na zewnątrz.

- Myśli pan, że mogą nas zaatakować nawet za granicą, w Algierii?

- Taki drobiazg jak granica nie ma dla nich żadnego znaczenia.

- Zresztą przygraniczna część Algierii to kompletna pustynia. Mogą wysłać tam nawet znaczne siły, rozbić nas w proch i pył - i nikt tego nawet nie zauważy. A jak już to zrobią, z pewnością nikomu nie darują życia. Nie mogą sobie na to pozwolić.

- Czarno pan widzi naszą sytuację, panie Pitt.

- Jestem po prostu realistą. Wszystko przemawia za tym, że Kazim nie zatrzyma się na granicy.

- Więc nie ma żadnej nadziei?

- Jest. Pojechać na południe, aż do linii kolejowej obsługującej Fort Foureau. Tam opanować pociąg i pojechać nim do Mauretanii.

- Jeśli wszystko dobrze rozegramy, będziemy już w Port Etienne albo nawet na Atlantyku, zanim Kazim zorientuje się, co się stało.

- Iść w paszczę lwa? - mruknął Levant sceptycznie. - Przecież to absurd.

- Niezupełnie. Teren między nami a Fort Foureau to na ogół gładka, twarda pustynia ze sporadycznymi ruchomymi wydymami. Przy średniej szybkości pięćdziesięciu kilometrów na godzinę możemy dotrzeć do linii kolejowej jeszcze przed świtem, ze sporym zapasem paliwa.

- Zgoda, ale co dalej? Jak się rozjaśni, zobaczą nas natychmiast.

- Schowamy się w starym forcie Legii Cudzoziemskiej i przeczekamy tam aż do zmroku.

- Sławny Fort Foureau! - przypomniał sobie Levant. - Używany jeszcze w czasie drugiej wojny światowej.

- Tak, i nadal się dobrze trzyma.

Chwilowy entuzjizm Levanta przygasł.

- To samobójstwo puszczać się w podróż przez ruchome piaski bez przewodnika.

- Jeden z uratowanych więźniów jest zawodowym przewodnikiem.

- Zna pustynię malijską jak tutejsi nomadzi.

Levant patrzył przez chwilę w milczeniu na płonący wrak Airbusa; jego umysł rozważał wszystkie argumenty za i przeciw propozycji Pitta. Istotnie, gdyby sam był na miejscu Kazima, szukałby zbiegów przede wszystkim na północ od Tebezzy - na najkrótszej drodze do granicy. Ucieczka w przeciwnym kierunku dawała więc pewne szansę i pewną rezerwę czasu - być może dostateczną, by wymknąć się do Mauretanii.

- Nie wiem, czy wspominałem o tym, panie Pitt, spędziłem na tej pustyni osiem lat.

Byłem oficerem Legii Cudzoziemskiej.

- Nie, pułkowniku, nie mówił pan.

Zasłyszałem wtedy historię, opowiadaną przez nomadów, o rannym lwie, który przywędrował nad Niger z południowej dżungli i przepłynął rzekę, żeby umrzeć w ciepłym piasku pustyni.

- Ciekawe... - stwierdził Pitt niepewnie. - Ale co z tego wynika dla nas?

Levant odwrócił się na chwilę, by obserwować zbliżające się transportery; dał znak, by się zatrzymały. Potem znów spojrzął na Pitta i uśmiechnął się pogodnie.

- Wynika to, że podzielam pańska opinię. Jedziemy na południe, do tej linii kolejowej.

Biła północ, kiedy generał Kazim wszedł do gabinetu Massarde'a. Nalał sobie dżinu i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Co też sprowadza cię w nocy do Fort Foureau, przyjacielu? - spytał z zaciekawieniem Massarde.

Kazim przez dłuższy czas przyglądał się pływającemu w dżinie kostkom lodu.

- Jest coś, o czym woląłem powiedzieć ci osobiście - odpowiedział wreszcie.

- Co takiego?

- Był napad na Tebezzę.

Massarde zmarszczył brwi.

- O czym ty mówisz? Jaki napad?

- Około dziewiątej moja sekcja łączności odebrała sygnał alarmowy z kopalni. Pięć minut później przyszło drogą radiową wyjaśnienie, że alarm był fałszywy, wywołany zwarcie instalacji.

- Nie wygląda to na nic poważnego.

- Ja też tak myślałem, ale na wszelki wypadek wysłałem tam jeden myśliwiec, żeby obejrzał okolicę. Pilot zameldował przez radio, że na lądowisku koło Tebezzы stoi jakiś samolot transportowy. To był Airbus, taki sam, jakim wywieźli tego Amerykanina z Gao.

Twarz Massarde'a spochmurniała.

- Twój pilot był tego pewien?

Kazim pokiwał głową twierdząco i ciągnął dalej.

- Uznałem, że żaden samolot nie ma prawa lądować w Tebezzы bez mojej wiedzy i zgody, i kazałem pilotowi go zniszczyć. Potwierdził odbiór rozkazu i przystąpił do ataku. Zameldował jeszcze, że trafił w cel, a sekundę później jego radio zamilkło.

- Na litość boską, człowieku, przecież to mógł być zwykły rejsowy samolot, który wylądował tam awaryjnie!

- Rejsowe samoloty nie latają bez znaków rozpoznawczych.

- Chyba jednak przesadziłeś z tym strzelaniem.

- Tak? To dlaczego mój pilot nie wrócił do bazy?

- Może miał defekt? Albo jakieś problemy z nawigacją?

- A ja sądzę raczej, że zestrzelili go ci sami ludzie, którzy zaatakowali kopalnię.

- Przecież nie masz nawet pewności, czy był jakiś atak.

- Toteż wysłałem całą eskadrę myśliwców i helikopter z grupą komandosów, żeby zbadali sytuację.

- A nie mogłeś się skontaktować z O'Bannionem?

- Jego radio nie odpowiada; czterdzieści minut po pierwszym sygnale alarmowym straciłem z nimi wszelki kontakt.

Massarde nie wierzył domysłom Kazima, ale sam też nie miał odpowiedzi na wiele pytań.

- Po co mieliby atakować kopalnię? - spytał po chwili milczenia.

- Pewnie chcieli zabrać złoto.

- Głupi pomysł! - zirytował się Massarde. - Nawet najgłupszy złodziej nie grzebałby się w stertach nie przerobionej rudy; napadłby raczej na konwój z czystym złotem gdzieś na pustyni.

- Prawdę mówiąc, nie mam na razie żadnej hipotezy - przyznał Kazim i spojrzął na zegarek. - Moi ludzie są już chyba na płaskowyżu nad kopalnią; najdalej za godzinę będziemy wszystko wiedzieli.

- Jeśli jest tak, jak mówisz - mruknął Massarde - to sprawa jest bardzo podejrzana.

- Rozumiem; nie możemy wykluczyć, że ataku na Tebezzę dokonał ten sam oddział specjalny ONZ, który zniszczył moją bazę lotniczą w Gao.

- To było jednak co innego. Tam mieli powód do takiej akcji.

- Ale dlaczego mieliby atakować Tebezzę? Komu mogło na tym zależeć?

Kazim, który wypił już całą szklankę dzinu, napełnił ją ponownie.

- Może to Hala Kamil? Może przeciekła do niej jakaś wiadomość o miejscu pobytu Hoppera i jego grupy? No i wysłała oddział specjalny, żeby ich uwolnić.

- To niemożliwe - stwierdził stanowczo Massarde. - Chyba że ktoś z twoich ludzi się wygadał.

- Oni doskonale wiedzą, że umrą, jeśli zawiodą moje zaufanie - oświadczył chłodno Kazim. - Jeżeli był jakiś przeciek, to raczej z twojej strony.

Massarde spojrzął na Kazima pojednawczo.

- Nie warto się kłócić - powiedział. - Tego, co się stało, już nie zmienimy. Ale możemy zapanować nad dalszym biegiem wydarzeń.

- W jaki sposób?

- Powiedziałeś, że pilot meldował o trafieniu transportowca?

- To były jego ostatnie słowa.

- Możemy więc przyjąć, że napastnicy stracili swój główny środek transportu?

- Tak... Chyba że uszkodzenia Airbusa nie są zbyt groźne.

Massarde wstał i podszedł do wielkiej plastycznej mapy Sahary.

- Gdybyś to ty dowodził grupą komandosów i stracił samolot - co byś zrobił?

Kazim podszedł do mapy i podniósł w górę dłoń ze szklanką.

- Jest tylko jedna możliwość: uciekać do Algierii.
- Myślisz, że mogłoby im się to udać?
- Jeśli mają sprawne pojazdy i paliwo, mogą dotrzeć do granicy jeszcze przed świtem.
- Potrafisz ich znaleźć i zniszczyć przed przekroczeniem granicy?
- Nasze możliwości walki w nocy są ograniczone. Jeśli nawet ich znajdziemy, to możemy ich tylko trochę skubnąć. Potrzebujemy światła dziennego, żeby załatwić sprawę do końca.
- Czyli nie zdążysz?

Kazim otworzył hermetyczny pojemnik z cygarami, stojący na biurku Massarde'a, wyjął jedno, zapalił, łyknął jeszcze sporą porcję dżinu, zanim odpowiedział:

- Bądźmy realistami. To przecież jest Tanezrouft, najbliższa, najbardziej niedostępna część Sahary. Rejon przygraniczny jest całkiem bezludny, algierskie patrole wojskowe też rzadko się tam zapuszczają, bo i po co? Nie ma między nami żadnych konfliktów terytorialnych. Moje oddziały mogą wejść dobre sto kilometrów w głąb Algierii, stoczyć tam wielką bitwę, i nikt tego nawet nie zauważy.

- Jeśli to rzeczywiście jest oddział ONZ, który przyleciał odbić ludzi Hoppera, to nikt, absolutnie nikt nie może uciec! Dotyczy to również moich techników i ich rodzin. Wystarczy, że przedostanie się choć jedna osoba, która zna prawdę o Fort Foureau i Tebezzy - a obydwaj jesteśmy skończeni.

Na twarzy Kazima pojawił się słaby uśmiech.

- Nie ma powodów do obaw, przyjacielu. Nie pozwolimy, żeby paru durnych samarytan niszczyło cały nasz dorobek. Przysięgam, że już jutro w południe wszystkich, co do jednego, będą żarły sępy.

Gdy Kazim wyszedł, Massarde pochylił się nad interkomem.

- Może pan tu przyjść? - powiedział cicho.

Po chwili do gabinetu wszedł Ismail Yerli.

- Mam nadzieję, że widział pan i słyszał wszystko? - spytał Massarde.

Yerli przytaknął.

- To zdumiewające - rzekł - jak w jednym człowieku może łączyć się tyle sprytu i tyle głupoty zarazem.

- To bardzo trafna diagnoza. Jak pan widzi, nie jest łatwo utrzymać Kazima na smyczy.

- Kiedy mam zacząć swoją misję?

- Przedstawię mu pana jutro wieczorem, na przyjęciu, które wydaję na cześć prezydenta Tahira.

- Czy teraz, po tym co się zdarzyło w Tebezzy. Kazim będzie miał czas na życie

towarzyskie?

Massarde uśmiechnął się z przekąsem.

- Wielki Lew Malijski nigdy nie jest aż tak zajęty, żeby zrezygnować z eleganckiego przyjęcia, wydanego przez Francuza.

W ośrodku dowodzenia sił ONZ w Nowym Jorku generał Bock z posępna miną studiował raport, przysłany drogą satelitarną przez Levanta. Skończywszy lekturę, połączył się przez specjalną kodowaną linię z mieszkaniem admirała Sandeckera. Odezwała się automatyczna sekretarka; Bock przekazał więc jedynie prośbę o szybki kontakt. Sandecker zgłosił się tą samą, kodowaną linią, już po ośmiu minutach.

- Otrzymałem bardzo nieprzyjemny raport od pułkownika Levanta - oznajmił Bock bez wstępów. - Malijski myśliwiec zniszczył ich Airbus na lądowisku w Tebezzy. Znaleźli się w pułapce.

- Jak się udała akcja ratownicza w kopalni?

- Przebiegła zgodnie z planem. Wszyscy żywi jeszcze cudzoziemcy otrzymali pomoc medyczną i zostali ewakuowani. Straty własne są nieznaczące.

- Czy nieprzyjaciel kontynuuje atak?

- Na razie nie. Ale to tylko kwestia paru godzin: tyle potrzebuje generał Kazim, żeby ich dopaść.

- Na pewno przewidzieli jakąś rezerwową drogę odwrotu?

- Pułkownik wyraźnie oświadczył, że ich jedyną nadzieją jest dotarcie do Algierii przed świtem. Ale podejrzewam, że to podstęp.

- Podstęp? Dlaczego pan tak uważa?

- Levant wysłał swój raport otwartym, nie kodowanym tekstem.

- Z pewnością złapał to nasłuch radiowy Kazima.

Sandecker przez chwilę milczał, robiąc notatki.

- Sądzi pan - odezwał się - że pułkownik Levant pójdzie w innym kierunku niż ten, który otwarcie zgłosił?

- Miałem nadzieję, że pan mi to wyjaśni, admirale.

- Ja? - zdziwił się Sandecker. - Jasnowidzenie nie jest moją silną stroną.

- Rzecz w tym, że w raporcie Levanta jest wiadomość specjalnie dla pana. Od pańskiego pracownika, Pitta.

- Od Dirka? - głos Sandeckera zabrzmiał ciepło i optymistycznie; najwyraźniej admirał był przekonany, że nie ma takiego problemu, którego Pitt nie potrafiłby rozwiązać. - Jaka to wiadomość?

- Czytam: "Powiedzcie admirałowi, że jak wrócę do Waszyngtonu, zabiorę go do saloonu AT&S; posłuchamy, jak śpiewa Judy, dziewczyna Harveya". To jakiś głupi żart, czy co?

- Dirk nie ma skłonności do głupich żartów - oświadczył surowo Sandecker. - Moim zdaniem to jest rebus. Dirk chciał mi coś przekazać w zakamuflowanej formie.

- Zna pan tego Harveya? - spytał Bock.

- Imię jest dość popularne - mruknął Sandecker - ale nie przypominam sobie, żeby Dirk mówił mi kiedykolwiek o jakimś Harveyu.

- A może jest w Waszyngtonie jakiś klub nocny pod nazwą "AT&S", w którym występuje piosenkarka Judy?

- Może i jest, ale nigdy o nim nie słyszałem...

Sandecker milczał przez chwilę, sondując zawartość swojej pamięci.

- Piosenkarka Judy, mówi pan?... Tak!

Odpowiedź pojawiła się w mózgu Sandeckera z olśniewającą jasnością. Dla każdego, kto jak Sandecker i Pitt przepada za starymi filmami, była oczywista. Admirał roześmiał się głośno.

- Co w tym śmiesznego? - spytał Bock, skonsternowany.

- Miał pan rację, oni wcale nie wybierają się do Algierii - oświadczył Sandecker triumfalnie.

- A dokąd?

- Na południe, do linii kolejowej łączącej zakład utylizacyjny Fort Foureau z wybrzeżem.

- Można wiedzieć, jak pan do tego doszedł? - spytał Bock sceptycznie.

- Dirk rzeczywiście przysłał nam rebus, którego Kazim na pewno nie rozwiąże. Śpiewająca "Judy" to Judy Garland, a "Harvey" wskazuje na film Dziewczyny Harveya, w którym występowała.

- A klub nocny, "AT&S"?

- Saloon nie oznacza w tym przypadku knajpy, ale salonkę, wagon kolejowy. Judy Garland śpiewała w tym filmie przebój: "Atchison, Topeka and Santa Fe". AT&S. To była nazwa linii kolejowej. Czyli znowu kolej.

- Rozumiem - powiedział z namysłem Bock. - To wyjaśnia, dlaczego Levant nadał swój raport otwartym tekstem. On wręcz chciał, żeby ludzie Kazima to usłyszeli i żeby nabrali pewności, że grupa taktyczna ucieka do Algierii.

- A w rzeczywistości jadą w przeciwnym kierunku - podsumował Sandecker.

- Levant przyjął prawdopodobnie założenie, że nawet po przekroczeniu granicy algierskiej nie będzie bezpieczny. Miał rację. Tacy ludzie jak Kazim nie liczą się z regułami prawa międzynarodowego.

- Na pewno ścigałby ich również na terytorium Algierii, dopóki nie wybiłby wszystkich.

- Pozostaje pytanie, co zrobią Jak już dojdą do tej linii kolejowej?

- Może po prostu opanują pociąg - zasugerował Bock.

- W biały dzień?

- Hm... tu jest jeszcze jedno zdanie od pana Pitta.

- Tak, słucham?

- "Powiedzcie admirałowi, że Gary, Ray i Bob jadą się zabawić do domu Briana". Potrafi pan to zinterpretować?

Tym razem Sandecker błyskawicznie trafił na trop rozwiązania.

- Jeśli Pitt nadal trzyma się kodu filmowego, to "Gary" oznacza Gary'ego Coopera, a Ray - zapewne Raya Millanda.

- Pamięta pan jakiś ich wspólny film?

- Tak. Grali razem z Robertem Prestonem i Brianem Donlevym w sławnej epopei Beau Geste z 1939 roku.

- Pamiętam, widziałem ten film, gdy byłem dzieckiem - powiedział Bock. - To historia o trzech braciach, którzy służyli w Legii Cudzoziemskiej.

- No właśnie, rebus Dirka to całkiem jednoznaczna wskazówka: Legia! A zatem "dom Briana" musi oznaczać jakiś fort.

- W swoim wcześniejszym raporcie pan Pitt donosił, że zakład utylizacji w Fort Foureau jest strzeżony jak forteca. Ale chyba nie tam się wybierają?

- Chyba nie. Jest jakiś fort w tamtym rejonie? Bock milczał przez dłuższą chwilę, przeglądając mapy.

- Jest! - zawołał. - Stary posterunek Legii Cudzoziemskiej, parę kilometrów na zachód od spalarni. Massarde wziął nazwę zakładu od tego właśnie fortu.

- Wygląda na to, że mają zamiar ukrywać się tam przez cały dzień, aż do zapadnięcia zmroku.

- Na miejscu pułkownika Levanta tak właśnie bym postąpił.

- Tak czy inaczej, będą potrzebowali pomocy - stwierdził Sandecker.

- I to jest główny powód mojego telefonu do pana - przejął inicjatywę Bock. - Musi pan przekonać prezydenta, aby wysłał tam oddział amerykańskich sił specjalnych. Tylko oni są w stanie wyprowadzić bezpiecznie Levanta i uwolnionych więźniów z terytorium kontrolowanego przez Kazima.

- Rozmawiał pan o tym z Sekretarzem Generalnym? Pani Kamil ma znacznie większy wpływ na prezydenta niż ja.



- Niestety, nie ma jej tutaj. Musiała wyjechać na jakąś pilną konferencję do Moskwy. W takim czasie, jakim dysponuję, mogę liczyć tylko na pana.

- No właśnie, ile mamy czasu?

- Prawdę mówiąc, nie mamy go już wcale. Za dwie godziny nad Saharą zacznie świtać.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - oświadczył Sandecker.

- Miejmy nadzieję, że prezydent nie poszedł jeszcze spać. Bo chyba musiałbym użyć sił piekielnych, by skłonić jego asystentów, żeby go obudzili.

- Czy pan jest przy zdrowych zmysłach? - spytał Earl Willover najgrzeczniej jak potrafił. - Budzić prezydenta w środku nocy?

Sandecker przyglądał się szefowi urzędu Białego Domu, wbitemu w dwurzędowy garnitur w prążki, jak spod igły; tylko na nogawkach pod kolanami można było dostrzec minimalne zmarszczki. Zastanawiał się, czy ten człowiek kiedykolwiek opuszcza swoje biuro. A może śpi na stojąco?

- Niech mi pan uwierzy, Willover, nie przychodziłbym tutaj, gdyby to nie było naprawdę śmiertelnie pilne.

- Mogę obudzić prezydenta tylko w przypadku poważnego kryzysu międzynarodowego, zagrażającego bezpieczeństwu państwa.

Sandecker trzymał nerwy na wodzy, ale czuł, że traci panowanie nad sobą.

- Dobrze, niech mu pan powie, że przyszedł jakiś rozwścieczony podatnik, gotów wdrzeć się do jego sypialni i obudzić go osobiście.

Nerwy Willovera też były na granicy wytrzymałości.

- Jeszcze słowo, admirale, a wezwę ochronę i każę pana zamknąć.

- Człowieku, wielu niewinnych ludzi - w tym kobiety i dzieci - umrze, jeśli prezydent nie zacznie natychmiast działać.

- Słyszę takie historyjki po pięć razy dziennie - odparł lekceważąco Willover.

- I oczywiście nie przejmuje się pan, że to może być prawda? Że gdzieś tam cierpią i umierają ludzie?

Willover nie wytrzymał.

- Nie będę odpowiadał na aroganckie pytania. To ja decyduję, kiedy skończyć rozmowę - i właśnie skończyłem. Zrozumiał pan?

Sandecker podszedł do urzędnika tak blisko, że poczuł zapach mięty z jego ust.

- Słuchaj, Willover! Któregoś dnia kadencja prezydenta się skończy i będziesz zwykłym, prywatnym człowiekiem. A wtedy przyjdę do twojego domu i flaki ci wypruję!

- Jestem pewien, że byłby pan do tego zdolny, admirale - odezwał się trzeci głos.

W progu stał prezydent, ubrany w piżamę i szlafrok. Trzymał w ręku tacę z kanapkami.

- Obudziłem się głodny i zszedłem do kuchni, żeby poszperać w lodówce - wyjaśnił. - A tu słyszę jakieś rozgorączkowane głosy... o co chodzi?

Willover podszedł szybko do prezydenta, całkowicie zasłaniając Sandeckera.

- Przepraszam, sir, ale to naprawdę nic ważnego.

- Pozwól, Earl, że sam to ocenię. No więc, admirale, niech pan mówi.

- Najpierw chciałbym zapytać, sir, czy przekazano panu najnowsze wiadomości dotyczące operacji Fort Foureau?

Prezydent spojrział niepewnie na Willovera.

- Tak, wiem że pańscy pracownicy, Pitt i Giordino, zdołali uciec do Algierii i dostarczyli cenne informacje o zbrodniczej działalności Massarde'a w rzekomej spalarni odpadów przemysłowych.

- Podjął pan jakieś decyzje w tej sprawie?

- Powołaliśmy międzynarodową komisję z udziałem przedstawicieli Europy i Afryki, która oceni sytuację i omówi dalsze plany.

- A więc nie ma pan zamiaru... Przecież powiedział pan, dobrze pamiętam: "będziemy musieli zająć się tym zakładem na własną rękę"...

- Tak, ale w końcu przeważały bardziej umiarkowane głosy- prezydent wskazał spojrzeniem na Willovera.

- Nawet teraz, gdy mamy już niezbita dowody, że chemikalia wyciekające z Fort Foureau powodują ekspansję czerwonego zakwitu? Nawet teraz całe działanie ma się ograniczyć do rozmów, dyskusji i ocen sytuacji? - Sandecker ledwie panował nad nerwami.

- O tym chyba rzeczywiście możemy porozmawiać kiedy indziej- rzekł prezydent, ruszając w stronę schodów prowadzących do sypialni. - Earl wyznaczy panu termin spotkania.

- A czy pański Earl poinformował pana o kopalni złota w Tebezy? - strzelił Sandecker.

Prezydent stanął, zaskoczony, i odwrócił głowę.

- Nie, Tebezza... Nic mi nie mówi ta nazwa.

- Po aresztowaniu w Fort Foureau - mówił szybko Sandecker - przewieziono ich do innego podejrzanego przedsiębiorstwa spółki Kazim - Massarde. Jest to mało znana kopalnia złota na Saharze; pracują w niej przymusowo - w straszliwych warunkach - przeciwnicy polityczni Kazima i ludzie niewygodni dla Massarde'a. Wśród nich technicy z Fort Foureau wraz z rodzinami, którzy po powrocie do Francji mogliby ujawnić, czym naprawdę jest ten zakład. Była tam także cała ekipa badawcza WHO; bynajmniej nie zginęli - jak twierdzi Kazim - w katastrofie lotniczej; żyją, choć strasznie wyniszczeni głodem i galerniczą pracą.

Prezydent przeniósł wzrok na Willovera.

- Zdaje mi się, że ktoś tu ukrywa przede mną ważne sprawy!

- Och, nic podobnego! - pospieszył z wyjaśnieniem szef urzędu. - Po prostu spraw jest za dużo, żeby o wszystkim mówić. Muszę zachować jakąś hierarchię.

Prezydent spojrział znowu na Sandeckera.

- Dobrze, co dalej?

- Wiedząc, że nie zdecyduje się pan na użycie naszych sił specjalnych, pani Kamil jeszcze raz wysłała do Mali grupę taktyczną ONZ. Oddział pułkownika Levanta, z Pittem i Giordinem w charakterze przewodników, wylądował na pustyni w pobliżu kopalni, przeprowadził skuteczny atak, uwolnił i zabrał ze sobą dwudziestu pięciu obcokrajowców - w tym kobiety i dzieci...

- Dzieci?! - przerwał prezydent. - Zmuszano dzieci do pracy w kopalni?

Sandecker przytaknął.

- To są dzieci francuskich techników, o których mówiłem. Wśród kobiet jest Amerykanka, doktor Eva Rojas; członek ekipy Światowej Organizacji Zdrowia.

- Jeśli akcja była skuteczna, to o co chodzi - włączył się agresywnie Willover.

- Samolot, którym przylecieli z Algierii, został zniszczony na ziemi przez lotnictwo malijskie. W ten sposób wszyscy znaleźli się w pułapce. To tylko kwestia godzin, zanim żołnierze Kazima znajdą ich i zaatakują.

- Nie wygląda to dobrze - przyznał prezydent. - Nie mają szansy dotrzeć jakoś do Algierii?

- Nawet gdyby dotarli, nie będą wcale bezpieczni - odparł Sandecker. - Kazim zrobi wszystko, żeby nie wypuścić świadków tego, co dzieje się w Tebezzu i Fort Foureau. Nie cofnie się nawet przed konfliktem międzynarodowym; jego ludzie wejdą na terytorium Algierii i tam wykończą wszystkich - jeśli nie uda im się tego zrobić wcześniej.

Prezydent wpatrywał się w milczeniu w leżące na tacy kanapki, ale nie jadł ich. Być może, myślał, Willover ma trochę racji twierdząc, że sprawa nie jest aż tak ważna dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Nie można jednak siedzieć beczynn timer przyglądać się z założonymi rękami, jak jakiś lokalny kacyk morduje Bogu ducha winnych ludzi - zwłaszcza jeśli są wśród nich obywatele USA.

- Toż to taki sam łajdak jak Saddam Hussein - mruknął pod nosem, po czym głośno już zwrócił się do Willovera: - Nie mam zamiaru chować głowy w piasek, Earl. Tu naprawdę chodzi o życie wielu ludzi, w tym trojga Amerykanów. Musimy im pomóc.

- Ale, panie prezydencie... - próbował protestować Willover.

- Skontaktuj się z generałem Halversonem z dowództwa sił specjalnych w Tampie. Niech będzie gotów do natychmiastowego podjęcia operacji. - Prezydent spojrział na Sandeckera. - Kto, pańskim zdaniem, mógłby koordynować tę akcję?

- Generał Bock, dowódca UNICRATT, Taktycznej Grupy Szybkiego Reagowania ONZ. Jest w stałym kontakcie z pułkownikiem Levantem; może natychmiast przekazać generałowi Halversonowi wszystkie aktualne dane.

Prezydent odstawił tacę z kanapkami na komodę, podszedł do Willovera i położył dłonie na jego ramionach.

- Cenię twoje rady, Earl, ale tym razem muszę działać. Mamy szansę trafić dwa ptaki jedną strzałą. Jeśli tego nie zrobimy, jeśli pułkownik Levant i jego ludzie zginą - tracimy wszystko. Dlatego chcę, żeby nasze siły specjalne weszły nawet na teren Mali, oczywiście możliwie dyskretnie, i wyciągnęły stamtąd grupę taktyczną ONZ razem z uratowanymi więźniami. A przy okazji porachują się z Kazimem i Massarde'em. Potem łatwiej już będzie wymyślić jakiś sposób neutralizacji Fort Foureau.

- W pełni się z panem zgadzam - oświadczył Sandecker, uśmiechając się z satysfakcją.

- A nie boi się pan - Willower patrzył na prezydenta karcącym wzrokiem - że to się nie spodoba wyborcom?

- Nie, Earl, nie masz racji. Przeciwnie, możemy mieć poważne kłopoty z wyborcami, jeśli przymkniemy oczy na tę sprawę.

- A jeśli akcja się nie uda?

- Musi się udać!

- Skąd ta pewność, sir?

Prezydent uśmiechnął się równie promiennie, jak przed chwilą Sandecker.

- Stąd, że to ja rozdaję karty. A przy tym mam całkowite zaufanie do naszych sił specjalnych. Na pewno potrafią wymieść taką szumowinę jak Kazim i Massarde do rynsztoka - bo tam jest ich miejsce.

Parę mil na wschód od Waszyngtonu, w stanie Maryland, na rozległej równinie wśród pól wznosi się niespodziewanie samotne wysokie wzgórze. Przejeżdżający pobliską autostradą kierowcy, jeśli w ogóle zauważają tę anomalię, skłonni są traktować ją jako wybryk natury, osobliwość geologiczną. Prawie nikt nie wie, że jest to dzieło rąk ludzkich: kopiec usypany w czasie drugiej wojny światowej, maskujący wielki betonowy schron dla waszyngtońskich polityków, który miał służyć jednocześnie jako wojenne centrum dowodzenia amerykańskich sił zbrojnych. W okresie zimnej wojny, wobec rozwoju broni nuklearnej, kopiec nie mógł już być skutecznym schronem, zmieniono więc jego prze-znaczenie. W rozbudowanych podziemnych pomieszczeniach urządzono magazyn dokumentów oraz pamiątek narodowych, gromadzonych od siedemnastego wieku aż po dzień dzisiejszy. Wewnętrzna powierzchnia magazynowa jest tu tak wielka, że pracownicy nie mierzą jej już w metrach kwadratowych czy akrach, ale wręcz w milach lub kilometrach kwadratowych. Całość nosi enigmatyczną nieco nazwę: "Archiwalny Skład Depozytowy". Na regałach, w skrzyniach i szafach magazynu kryją się tysiące niezwykle tajemnic. Wiele zgromadzonych tu przedmiotów i dokumentów objęto - z powodów zrozumiałych czasem tylko dla biurokratów, klauzulą najwyższej tajności; o ich istnieniu opinia publiczna nie dowie się nigdy. Są tu kości Amelii Earhart i Freda Noonana oraz japońskie

dokumenty z ich egzekucji na Saipanie. Są tajne akta dotyczące zabójstw braci Kennedych. Są raporty wywiadu na temat roli sowieckiego sabotażu w katastrofach amerykańskich rakiet i promów kosmicznych oraz amerykańskiego odwetu w Czarnobylu. Są filmy demaskujące oszustwo, jakim było rzekome lądowanie załóg statków "Apollo" na Księżycu. I wiele innych ciekawych rzeczy; wszystko pięknie spakowane, zapieczętowane, zamknięte, tak aby nigdy nie ujrzało światła dziennego.

Perlmutter, który nie prowadził samochodu, przyjechał do pobliskiego miasteczka Forestville taksówką. Czekał dobre pół godziny na przystanku autobusowym, zanim zatrzymała się przy nim niepozorna furgonetka.

- Pan Julien Perlmutter? - spytał kierowca. Przepisowe lustrzane okulary zdradzały agenta jakiejś tajnej służby rządowej.

- Tak, to ja.

- Proszę wsiadać.

- Nie chce pan żadnego dowodu tożsamości? - spytał Perlmutter, którego bawiła trochę ta dziecinna konspiracja.

Kierowca, Murzyn o jasnej skórze ale silnie afrykańskich rysach, pokręcił głową.

- Po co? Na pewno nie kręci się tu nikt inny, kto pasowałby do rysopisu, jaki dostałem.

- A pan? Ma pan jakieś nazwisko?

- Ernie Nolan.

- Z której pan jest Agencji? Bezpieczeństwa Państwowego? Ochrony Tajemnic Specjalnych? FBI?

- Tego nie wolno mi powiedzieć - odparł Nolan urzędowym tonem.

- A nie zawiąże mi pan oczu?

- Nie ma potrzeby. Jeśli pański zamiar przejrzania dokumentów historycznych zaakceptował prezydent, a w dodatku uzyskał pan kategorię "Beta-Q" to chyba i ja mogę zaufać, że nie ujawni pan nic z tego, co pan dzisiaj zobaczy.

- Dzisiaj? Gdyby pan lepiej poszperał w mojej teczce, to wiedziałby pan, że to moja czwarta wizyta w ASD.

Agent nic nie odpowiedział. Pozostał milczący aż do końca wspólnej podróży. Zjechał z autostrady w wąską drogę z betonowych płyt, która wkrótce doprowadziła ich do pilnie strzeżonej bramy. Kierowca pokazał jakiś dokument: przepuszczono ich. Minęli jeszcze dwa podobne posterunki, zanim wreszcie stanęli na podwórzu farmy, pełnej kur, świń i suszącej się na sznurach bielizny, przed budynkiem przypominającym stodołę. Kolejny wartownik wpuścił ich do środka; zaczynała się tu szeroka betonowa pochylnia, schodząca głęboko pod ziemię.

Jechali nią dość długo, aż zatrzymali się na dużym podziemnym parkingu. Kierowca wyłączył silnik. Perlmutter znalazł już całą procedurę. Wysiadł z furgonetki i podszedł do stojącego obok małego samochodu elektrycznego, przypominającego wózki golfowe. Czekający tu archiwista w białym fartuchu wyciągnął rękę na powitanie.

- Frank Moore - przypomniał swoje nazwisko. - Miło powitać tu pana znowu.

- Ja również się cieszę, Frank. Ile to już lat?

- Ostatnio był pan tu trzy lata temu. Badał pan historię Sakito Maru.

- Japońskiego statku pasażersko-towarowego, zatopionego przez łódź podwodną Trout.

- No, nie był to taki niewinny statek. O ile pamiętam, przewoził rakiety V-2 z Niemiec do Japonii.

- Ma pan świetną pamięć, Frank.

- Nie, po prostu poznałem tę historię lepiej niż wiele innych, właśnie dzięki szukaniu dokumentów w czasie pańskiej poprzedniej wizyty. Co pana interesuje tym razem?

- Wojna Secesyjna - odparł Perlmutter. - Chcę dotrzeć do wszelkich istniejących zapisów, które mogłyby rzucić jakieś światło na tajemnicze zniknięcie pewnego pancernika Konfederacji.

- Brzmi interesująco - zauważył Moore i wskazał Perlmutterowi miejsce w samochodzie elektrycznym. - Dokumenty i pamiątki związane z Wojną Secesyjną są dobre dwa kilometry stąd.

Ale nie od razu przejechali te dwa kilometry. Już po kilkudziesięciu metrach zatrzymali się przed biurem szefa ASD. Perlmutter musiał poddać się jeszcze jednej kontroli, odbyć krótką, formalną rozmowę z naczelnym kustoszem i podpisać oświadczenie, że niczego, co tu zobaczy, nie opublikuje bez zgody właściwego organu państwowego. Wreszcie zagłębili się w labirynt podziemnych korytarzy. Po drodze natknęli się na grupę pracowników, którzy rozładowywali świeży transport pamiątek i wotów, jakie ludzie zostawiają wciąż w Mauzoleum Weteranów Wietnamu.

Fotografie, wojskowe buty i mundury, zegarki i obrączki ślubne, plakietki i numerki służbowe, maskotki - wszystko było starannie katalogowane, etykietowane, pakowane w plastikową folię i układane w ścisłym porządku na półkach. Rząd USA nigdy niczego nie wyrzuca na śmietnik. Perlmutter, choć był tu już po raz czwarty, wciąż nie mógł się nadziwić rozmiarom podziemnego magazynu. Regały i szafy pełne starych przedmiotów i wszelkiego rodzaju dokumentów ciągnęły się kilometrami. Wiele dokumentów dotyczyło innych krajów. Sama tylko sekcja obejmująca zbiory z hitlerowskich Niemiec zajmowała powierzchnię równą czterem boiskom piłkarskim.

Remanenty z Wojny Secesyjnej umieszczono w czterech sąsiadujących ze sobą

podziemnych budynkach. Każdy miał trzy piętra, a wysoką na piętnaście metrów konstrukcję wieńczył gruby betonowy strop. Ten sam strop przykrywał "plac" między budynkami, na którym stały różne typy armat z tamtego okresu. Były czyste i lśniące, jakby dopiero dziś wyszły z fabryki. Ekspozycja obejmowała też lawety i wózki artyleryjskie, pełne pocisków. Perlmutter miał nadzieje, że są rozbrojone. Pośrodku placu umieszczono ogromne działa okrętowe, pochodzące z takich sławnych jednostek jak Hartford, Kearsage, Carondelet i Merrimack.

- Dokumenty i relacje są w bloku A - przypomniał Moore.

- W blokach B, C i D trzymamy broń, mundury, akcesoria medyczne, a także meble należące kiedyś do Lincolna, Jeffersona Davisa, generałów Lee i Granta oraz do innych sławnych ludzi z tamtej epoki.

- Wyszli z pojazdu i weszli do budynku A. Cały rozległy parter zajmowały szafy z papierami. Moore zrobił szeroki gest ręką, Tutaj jest wszystko, co dotyczy Konfederacji. Zapisy dotyczące Unii są na drugim i trzecim poziomie. Od czego chce pan zacząć?

- Od dokumentacji związanej z pancernikiem Texas.

Moore przez chwilę kartkował gruby katalog, z którym się nie rozstawał.

- Zapisy na temat okrętów Konfederacji są na niebieskich regałach pod tamtą ścianą - stwierdził w końcu.

Perlmutter podszedł do wskazanych regałów. Mimo że zbiorów tych nie ruszono od lat - wielu teczek zapewne nigdy - było na nich zdumiewająco mało kurzu. Moore określił z grubszą miejscę, w którym mogły być materiały dotyczące nieszczęsnego pancernika, po czym wskazał stół i krzesło.

- Może pan tu wygodnie pracować. Będę cały czas w pobliżu; do moich obowiązków należy niestety stałe obserwowanie naszych gości. Wymagają tego przepisy o ochronie zbiorów.

- Oczywiście, znam przepisy - mruknął Perlmutter.

Moore spojrzał na zegarek.

- Pańska przepustka opiewa na osiem godzin. Potem musimy wrócić do biura naczelnego kustosa i zostanie pan odwieziony do Forestville. Wszystko jasne?

- Tak, ale w takim razie chciałbym od razu zacząć.

- Oczywiście. Życzę powodzenia.

Perlmutter stracił prawie godzinę na przeszukanie dwu dużych regałów z aktami, zanim znalazł wreszcie starą żółtą teczkę z napisem: "CSS Texas". Papiery w środku zawierały niewiele informacji, które nie byłyby już publikowane i powszechnie znane. Były tam dane konstrukcyjne, notatki z okresu budowy okrętu, relacje z wodowania, raport techniczny głównego mechanika, wreszcie lista oficerów i członków załogi. Było też kilka relacji naocznych



świadków bitwy, jaką Texas stoczył z całą flotą Unii, przebijając się na otwarty ocean. W jednym z artykułów, którego autor, reporter z Północy, obserwował bitwę z kanonierki uszkodzonej pociskami Texasa, dwa wiersze były puste, najwyraźniej usunięte przez cenzurę. Perlmutter zastanawiał się, jaki mógł być cel i sens cenzorskiego cięcia. Było to zresztą coś absolutnie wyjątkowego. W ciągu wielu lat swoich studiów nad okrętami Wojny Secesyjnej nigdy jeszcze się z tym nie spotkał. Ostatni znajdujący się w teczce kawałek papieru był pożółkły i zmurszały ze starości. Perlmutter ostrożnie rozłożył go na stole. Był to wycinek z jakiejś angielskiej gazety z przełomu wieków. Zawierał wyznania jednego z członków załogi CSS Texas, złożone tuż przed śmiercią w prowincjonalnym szpitalu w okolicach Yorku. Człowiek nazwiskiem Clarence Beecher utrzymywał, że wraz z innymi ocalałymi po bitwie członkami załogi przepłynął na pokładzie pancernika przez ocean. Okręt zapaścił się następnie w jakąś wielką afrykańską rzekę i pokonał bez trudności kilkaset mil. W końcu, kiedy brzegi szerokiej wciąż rzeki stawały się coraz bardziej pustynne, sternik, który nie miał żadnej mapy tych okolic, popełnił błąd i zamiast płynąć nadal głównym nurtem, skierował okręt w jakiś dopływ. Płynęli na północ jeszcze kilka dni i nocy, zanim kapitan zorientował się w pomyłce. Próbowali zawrócić do głównego nurtu, ale okręt utknął na mieliźnie i mimo wielkich wysiłków nie udało się go zepchnąć na głębszą wodę. Oficerowie postanowili wtedy doczekać w tym miejscu do końca lata. Liczyli na to, że gdy zacznie się pora deszczowa, woda w rzece podniesie się i spłynie z mielizny. Mieli już co prawda bardzo mało żywności, ale rzeką płynęło wciąż jeszcze dostatecznie dużo wody, by zaspokoić ich pragnienie. Kapitan kupował żywność od wędrujących tamtędy koczowniczych plemion. Płacił złotem, co zwróciło na nich uwagę pustynnych bandytów. Dwukrotnie próbowali zbrojnie opanować unieruchomiony okręt i zabrać znajdujące się na nim - w ich przekonaniu - nieprzebrane skarby. Oba ataki zostały jednak odparte. Upał, tyfus, malaria i głodowa dieta zaczęły dziesiątkować załogę. W sierpniu zostało przy życiu już tylko dwóch oficerów, prezydent i dziesięciu marynarzy...

Perlmutter przerwał czytanie. Prezydent? O jakim prezydencie mógł mówić ten Beecher? Było to w najwyższym stopniu zagadkowe. Wrócił do lektury. W końcu oficerowie wysłali Beechera i czterech innych ludzi łodzią ratunkową w dół rzeki po pomoc. Ale tylko on jeden dotarł - i to ledwie żywy - do ujścia Nigru. Uratowany i odkarmiony przez kupców z jakiejś brytyjskiej kompanii, potem przewieziony za darmo do Anglii, osiedlił się tam, ożenił i do końca życia parał się rolnictwem w Yorkshire. Na łożu śmierci oświadczył, że nigdy nie chciał wracać do rodzinnej Georgii, bo był pewien, że go tam powieszają za straszną zbrodnię, w której uczestniczyła załoga Texasa. Bał się tego tak bardzo, że przez cały okres życia w Anglii nie wspominał nawet słowem o swojej przeszłości. Kiedy wydał ostatnie tchnienie, słuchający go

lekarz i żona Beechera uznali wszystko za majaczenia umysłu wyczerpanego chorobą. Miejscowy wydawca gazety, któremu lekarz opowiedział wieczorem w klubie tę historię, przekazał ją do druku tylko dlatego, że nie dostał w porę zamówionego artykułu, a musiał czymś zapełnić pustą szpalnę.

Perlmutter przeczytał całą relację jeszcze raz. Był skłonny uwierzyć słowom umierającego - mimo wątpliwości jego żony i lekarza - gdyby nie pewien szczegół. Na liście załogi Texasa, sporządzonej tuż przed opuszczeniem stoczni w Richmond, nie było żadnego Clarence'a Beechera. Ziewnął i zamknął teczkę.

- Chyba nic więcej tutaj nie znajdę - powiedział do Moore'a. - Teraz chciałbym pogrzebać trochę w papierach Unii.

Moore ulokował wszystkie wyjęte tečky z powrotem na regałach i poprowadził Perlmuttera krętymi stalowymi schodkami na drugą kondygnację.

- Tutaj jest ścisły układ chronologiczny - powiedział. - Jaki okres pana interesuje?

- Kwiecień 1865 roku.

Przeciskali się wąskimi przejściami przez dżungłę szaf i regałów. Po drodze Moore chwycił przenośną drabinkę, na wypadek, gdyby Petlmutter chciał sięgnąć do teczek umieszczonych wysoko pod sufitem. W końcu zatrzymał się przed właściwym regałem. Historyk zaczął poszukiwania od zapisów opatrzonej datą 2 kwietnia 1865 r. Tego dnia Texas odbił od nabrzeża w Richmond. Perlmutter miał swój własny system badawczy; najwyraźniej skuteczny, bo niewielu historyków potrafiło mu dorównać w szybkości wyszukiwania ważnych tropów. System był jednak tylko dodatkiem do żelaznego uporów i konsekwencji badacza, a także jego niezwykłej umiejętności wnioskowania o istocie zdarzeń z ich odległych, chaotycznie zarejestrowanych następstw. Przystudiował najpierw oficjalne relacje z bitwy na James River. Potem przejrzał wspomnienia i zapiski naocznych świadków - cywilów, którzy obserwowali bitwę z brzegów, i marynarzy okrętów Unii. W ciągu dwóch godzin poznał odnoszącą się do tej historii zawartość prawie sześćdziesięciu listów i piętnastu dzienników. Niekiedy robił notatki w dużym zeszycie, przez cały czas czując na sobie uważny wzrok Franka Moore. Archiwista miał, co prawda, pełne zaufanie do Perlmuttera, ale w swojej pracy spotkał już wiele przypadków, kiedy nawet znani badacze próbowali wykraść dokumenty. Wyrobił więc w sobie nawyk patrzenia na ręce wszystkim. Nie zrażony tym Perlmutter pracował swoją metodą. Ilekroć trafiał na jakiś podejrzany szczegół, natychmiast starał się znaleźć jego potwierdzenie, kontynuację i rozwinięcie w innych zapisach. Na razie jednak wszystkie tropy prowadziły donikąd. Widząc, że nic więcej nie działo, skinął na Moore'a.

- Ile mam jeszcze czasu?

- Dwie godziny i dziesięć minut.
- Mam ochotę poszukać jeszcze gdzie indziej.
- Gdzie mianowicie?
- Macie tu coś z korespondencji Edwarda McMastersa Stantona?

- Chodzi panu o tego starego zrzędę, sekretarza wojny u Lincolnna? Mamy, ale prawdę mówiąc, nie bardzo wiem co. Jego papiery nigdy nie były porządnie skatalogowane. Ale są, na ostatnim piętrze, wśród dokumentów rządowych. Na górze okazało się, że dokumentów związanych z nazwiskiem Stantona jest więcej, niż Moore myślał. Zajmowały dziesięć dużych szaf. Perlmutter zabrał się do intensywnej, gorączkowej pracy. Prze-rzucał dokumenty najszybciej, jak to było możliwe bez ryzyka ominięcia czegoś istotnego. Już wkrótce zauważył ze zdumieniem, że pod koniec wojny Stanton bardzo rzadko kontaktował się z Lincolnem. Pasowało to co prawda do powszechnej wśród historyków opinii, że sekretarz wojny niezbyt lubił swojego prezydenta. Nawet po jego śmierci podjął kilka dziwnych decyzji, które tłumaczono tą awersją. Zniszczył na przykład parę stron pamiętnika Johna Wilkesa Bootha, zabójcy Lincolnna. Na tych stronach mogły być uwagi dotyczące współników spisku, toteż postępek Stantona uniemożliwił pełną interpretację wydarzeń w Teatrze Forda. Już tylko czterdzieści minut brakowało do końca wizyty w ASD, kiedy żmudne poszukiwania Perłmuttera przyniosły wreszcie pierwszy sukces. W głębokim kącie jednej z szaf znalazł pożółkły pakiet z nie naruszoną woskową pieczęcią. Brązowym atramentem zapisana była data 9 lipca 1865; dwa dni po tym, jak współnicy Bootha.

- Mary Surratt, Lewis Paine, David Herold i George Atzerodt zawiśli na dziedzińcu więziennym waszyngtońskiego Arsenału.

- Pod datą widniał zapis: "Nie otwierać przez sto lat po mojej śmierci. - Edwin M. Stanton".

Perlmutter usiadł przy stole, złamał pieczęć, otworzył pakiet i zaczął czytać. Zrobił to bez żadnych skrępowań - wszak zastrzeżenie Stantona już od trzydziestu lat nie było aktualne. W miarę czytania coraz bardziej miał wrażenie, że wędruje w odległą, nieznaną, niepojętą przeszłość. Mimo że w podziemnych bunkrach panował dotkliwy chłód, na jego czole pojawiły się krople potu. Kiedy po trzydziestu minutach skończył i odłożył na bok ostatnią kartkę, nie mógł opanować drżenia rąk. Głęboko wdychał powietrze, jak człowiek cierpiący na atak duszności.

- O Boże... - szepnął.

Moore spojrzał na niego ponad stołem.

- Znalazł pan coś ciekawego?

Perlmutter nie odpowiadał. Patrzył na rozrzucony przed nim stos papierów i powtarzał w kółko: - O Boże, o Boże!

Leżeli tuż pod szczytem diuny, obserwując pusty tor biegnący prosto jak strzelił przez martwą pustynię. Jedyne objawem życia w zasięgu wzroku były odległe światła spalarni. Po drugiej stronie torów, niespełna kilometr na zachód, na czarnym niebie rysował się jeszcze czarniejszy kontur starego fortu Legii Cudzoziemskiej, przypominający posępne zamczyska z filmów grozy. Szalona podróż przez pustynię przebiegła nadspodziewanie gładko, bez żadnych problemów technicznych. Pasażerowie transporterów wytrzęśli się co prawda na twardych resorach, ale nikt się nie żalił; zbyt wielką radością była dla nich odzyskana wolność. Fairweather precyzyjnie poprowadził ich starym szlakiem wielbłądzich karawan, łączącym Timbaktu z kopalniami soli w Taoudeni. Korzystał przy tym wyłącznie z własnej znajomości terenu i z kompasu, pożyczonego od żołnierzy Levanta. Zatrzymali się po drodze tylko raz, kiedy do uszu jadących otwartym samochodem rajdowym Pitta i Fairweathera dotarł odgłos silników lotniczych. Ciężkie helikoptery, eskortowane przez krążące wyżej myśliwce, przeleciały niemal bezpośrednio nad nimi. Kierowały się w stronę Tebezzy i granicy algierskiej. Na szczęście pilotom nawet do głowy nie przyszło obserwować pustynię; konwój pozostał więc nie zauważony.

- Świetna robota, majorze Fairweather - pogratulował Levant. - Chyba najlepszy popis nawigacji, jaki widziałem w życiu.

- Wyprowadził pan nas prosto na cel.

- To instynkt - Fairweather uśmiechnął się skromnie. - Zwykły instynkt, no i odrobina szczęścia.

- Pospieszmy się lepiej do fortu - powiedział Pitt. - Mamy niespełna godzinę do świtu, a trzeba jeszcze zamaskować pojazdy.

Jak osobliwe nocne zwierzęta, pojazdy konwoju wpełzły wolno na tor i pojechały nim w stronę fortu, podskakując na betonowych podkładach. Minawszy wrak ciężarówki - ten sam, pod którym czaili się przed skokiem do pociągu - Pitt zjechał z torowiska i skierował swój pojazd pod bramę fortu. W ślad za nim podjechały trzy transportery. Wielkie drewniane wrota były lekko uchylone - dokładnie tak, jak przed tygodniem, gdy opuszczali fort. Levant wezwał paru żołnierzy, by oczyścili próg ze zwałów piasku i otworzyli bramę na oścież. Konwój wjechał na plac apelowy.

- Jeśli wolno mi coś zasugerować, pułkowniku - powiedział ostrożnie Pitt - jest jeszcze czas, by pańscy ludzie zatarli ślady naszych kół między torem i fortem.

- A tamte, dochodzące do torowiska z północy? - spytał Levant.

- Nawet jeśli je ktoś zobaczy, pomyśli, że to jakiś malijski patrol skorzystał z toru, żeby

dostać się prostą drogą do zakładu Massarde'a.

Tymczasem Giordino, Pembroke-Smythe i inni oficerowie Levanta podeszli do dowódcy po nowe instrukcje.

- Pierwsza sprawa, to zamaskować pojazdy i znaleźć jakiś schron dla kobiet i dzieci - rzekł Levant. - Potem trzeba przygotować fort do odparcia ewentualnego ataku. Malijczycy mogą w końcu zorientować się, że tam, na północy, nas nie ma, a wtedy szybko trafią po śladach w te okolice.

- W jaki sposób wycofamy się stąd, sir, i kiedy? - spytał jeden z oficerów. W jego wymowie można było rozpoznać szwedzki akcent.

Levant zwrócił się do Pitta.

- Może pan to wyjaśni.

- Zatrzymamy pierwszy pociąg jadący na zachód po zmroku i pożyczymy go sobie.

- Te pociągi mają łączność radiową - zauważył Pembroke-Smythe. Maszynista może wszczać alarm, zanim opanujemy pociąg.

- A wtedy - dodał Szwed - Malijczycy zablokują linię.

- Nie poddawajcie się czarnym myślom, panowie - oświadczył Pitt karcącym tonem.

- Przecież są z wami Butch Cassidy Giordino i Jesse James Pitt, ludzie bardzo doświadczeni w skokach na pociągi.

- Ostatnio robiliśmy to... kiedy to właściwie było, Al?

- Dziesięć dni temu - stwierdził rzeczowo Giordino.

Pembroke-Smythe spojrzał na Levanta ponuro.

- Szkoda, że nikt nam przed wyjazdem nie poradził wykupić wyższego ubezpieczenia na życie.

Levant roześmiał się.

- Tak, teraz już na to za późno. - Potoczył wzrokiem po wysokich blankach fortu. - Nie sądzę, żeby te mury mogły wytrzymać atak rakiet albo ciężkiej artylerii. Jeśli Kazim nas tu wypatrzy, zamieni w pół godziny cały fort w kupę gruzów.

- Nie musi być aż tak źle - powiedział Pembroke-Smythe. - Przeciwnikiem Kazima nie będą tym razem bezbronni cywile. A tu w promieniu kilometrów teren jest płaski jak plac do krykieta; nie ma żadnej osłony dla sił atakujących fort. Ci z nas, którzy przetrwają atak z powietrza, mogą urządzić Kazimowi krwawą łaźnię.

- Jeśli tylko nie ma w pobliżu czołgów - zauważył przytomnie Giordino.

- Wystawcie warty na murach - rozkazał Levant. - A potem poszukajcie jakiegoś wejścia do podziemi. O ile wiem, w tych fortach zawsze były umocnione piwnice do magazynowania

amunicji.

Rzeczywiście, już po chwili żołnierze znaleźli w podłodze budynku koszarowego klapę, a pod nią schody do piwnicy. Były tam dwa niewielkie pomieszczenia, prawie puste - jeśli nie liczyć paru otwartych metalowych skrzynek po nabojach. Szybko sprowadzono tam i rozłokowano więźniów Tebezzy, którzy mieli już szczerze dosyć podróży w trzęsących pudłach transporterów. Lekarze grupy taktycznej wznowili zabiegi przy najbardziej poszkodowanych. Pojazdy przykryto walającymi się po placu apelowym rupieciami. Teraz wyglądały z góry jak kupy śmieci. Zanim szczyt muru oświetliły pierwsze promienie słońca, stary fort Legii Cudzoziemskiej odzyskał wygląd opuszczonego i zaniedbanego obiektu, w którym od dawna nie stanęła stopa ludzka. Levant miał jednak co najmniej dwa powody do niepokoju: możliwość zbyt wczesnego odkrycia przez lotników malijskich śladów prowadzących z Tebezzy do Fort Foureau i małą odporność fortu na ataki z powietrza. Nie czuł się tu zbyt pewnie. Jeśli nastąpi atak, nie będą mieli gdzie uciec. Pitt zbadał zawartość szopy przylegającej do koszar. Pod zwałami śmieci i piasku, nawianego przez dziurawy dach, znalazł kilkanaście dużych, blaszanych kanistrów, w tym sześć prawie pełnych. Sprawdził zawartość: był to olej napędowy. Kończył właśnie tę inspekcję, kiedy na progu pojawił się Giordino.

- Chcesz coś podpalić? - spytał.

- Niezły pomysł, zwłaszcza jeśli zaatakują nas czołgi. Levant zostawił niestety swoją broń przeciwpancerną w samolocie; i wszystko diabli wzięli.

- Olej napędowy - powiedział Giordino, pociągając nosem. - Pewnie pozostałość po budowniczych kolei.

Pitt zanurzył palec w oleistej cieczy.

- Czysty, jakby prosto z rafinerii - stwierdził z zadowoleniem.

- No i co? - spytał sceptycznie Giordino. - Zrobisz z tego najwyżej parę koktajli Mołotowa, i to pod warunkiem, że znajdziesz butelki. Chyba że masz zamiar gotować ten olej i lać z murów na wroga, jak obrońcy obleżonych zamków w średniowieczu.

- No, ciepło, ciepło... - z uśmiechem skomentował Pitt - Słyszałeś kiedy o balistach?

- Słyszeć słyszałem, ale nie wiem, jak to działa. Musiałbyś mi narysować.

Ku zdziwieniu Giordina, Pitt rzeczywiście zabrał się do rysowania. Schylił się, wyciągnął z futerału na łydce długi komandoski nóż i nakreślił nim na zakurzonej podłodze prymitywny szkic. Składał się on z paru zaledwie kresek, ale to wystarczyło, by Giordino zrozumiał zasadę działania balisty.

- No więc jak, budujemy? - spytał Pitt.

- Czemu nie? Jest tu cała kupa różnych drągów i desek, a oddział Levanta nigdzie nie

rusza się bez sprzętu alpinistycznego, więc na pewno i lin nam nie zabraknie. Nie bardzo tylko wiem, skąd wziąć odpowiednie sprzężyny.

- A na przykład resor piórowy?

- Rzeczywiście! To może działać! - zapalił się Giordino.

- Inna sprawa, czy to w ogóle potrzebne. Mało prawdopodobne, że ludzie Kazima znajdą nasze ślady i trafią tutaj przed zmrokiem.

Ale Giordino nie dał się już odwieść od pomysłu.

- To jeszcze jedenaście godzin - rzekł. - Zanudzimy się na śmierć, jeśli nie będziemy mieli nic do roboty.

- W porządku - zgodził się Pitt i ruszył do drzwi. - Zaczynaj zbierać materiały. Ja muszę jeszcze załatwić parę spraw.

Przeszedł przez plac apelowy, chwytając po drodze porzuconą łopatę. Kilku żołnierzy naprawiało i umacniało wielką drewnianą bramę. Uzgodnił z nimi hasło i wyszedł na zewnątrz. Od zachodu zbliżał się właśnie kolejny pociąg, ale snop światła z obrotowego reflektora na lokomotywie nie sięgał jeszcze murów fortu. Pitt ruszył szybko przez pustynię na południe. Już po paru minutach dotarł do płytkiego wąwozu, na którego dnie piętrzyła się spora piaszczysta wydma o dziwnie regularnym kształcie. Tkwił pod nią samotnie, najwyraźniej przez nikogo nie niepokoiony, stary Avions Voisin. Wiatr zdmuchnął już większą część piasku, którym przysypali samochód, ale zostało go dostatecznie dużo, by nie rozpoznały ukrytego skarbu lotnicze patrole Kazima. Pitt odgarnął piasek z jednej strony, usiadł za kierownicą i nacisnął guzik startera.

Silnik zaskoczył niemal natychmiast i mruczał cicho na jałowym biegu. Pitt przesiedział tak przez chwilę, podziwiając ze znanstwem doskonałość starego samochodu. Potem wyłączył zapłon, wysiadł i przysypał karoserię świeżą warstwą piasku. Wrócił szybko do fortu. Wykrzyknął hasło; wielkie drewniane wrota uchyliły się i wartownik wpuścił go na dziedziniec. Zbiegł po schodach do podziemnego arsenału. Natychmiast zauważył Evę. Choć chorobliwie wychudzona, blada, w postrzępionych i brudnych szmatach - była w dużo lepszej formie niż jeszcze kilka godzin temu. Pomagała karmić małego chłopca z widocznym niedowładem nóg, siedzącego na kolanach matki. Podniosła wzrok; w jej spojrzeniu dostrzegł nowe siły i wolę przetrwania.

- Bardzo z nim źle? - spytał, wskazując wzrokiem chłopczyka.

- Jak tylko zacznie znowu porządnie jeść i dostanie trochę witamin, będzie mógł grać w sokera.

- W co będę mógł grać? - spytał nieoczekiwanie po angielsku chłopiec.

- W futbol - wyjaśnił Pitt, uśmiechając się do niego.



- Futbol, we Francji? - zdziwiła się Eva.

- To tylko my, Amerykanie, nazywamy tę grę sokerem. Na całym świecie znana jest jako futbol. Ojciec chłopczyka, jeden z francuskich techników, którzy budowali zakłady w Fort Foureau, podszedł i uściskał dłoń Pitta. Wyglądem przypominał stracha na wróble. Na nogach miał sandały z surowej skóry, koszula była podarta i poplamiona, o wiele za duże spodnie związał w pasie sznurkiem. Twarz niemal w całości kryła się pod gęstym czarnym zarostem, głowę spowijał gruby bandaż.

- Louis Monteux - przedstawił się.

- Dirk Pitt.

- Wiem. To pan uratował nam życie. Mnie, mojej żonie, mojemu dziecku. Chciałbym panu osobiście gorąco podziękować.

- Może za wcześnie na to: wciąż jeszcze jesteśmy w Mali.

- Ale grozi nam już tylko szybka śmierć. A to na pewno lepsze niż Tebezza. Pitt uśmiechnął się optymistycznie.

- Jutro o tej porze będziemy już poza zasięgiem generała Kazima.

Na dźwięk tego nazwiska Monteux splunął z obrzydzeniem.

- Kazirn i Massarde to pospolici mordercy!

- Za co właściwie Massarde wysłał was do Tebezzy?

- Naukowcy i technicy, którzy projektowali i uruchamiali zakład, zorientowali się w pewnym momencie, że Massarde zwozi do Fort Foureau znacznie więcej odpadów, niż można tam spalić.

- Czym pan się zajmował?

- Projektowałem i nadzorowałem budowę reaktora, w którym spala się odpady.

- Rzeczywiście się spala?

- Tak, bardzo dużo - potwierdził z dumą Monteux. - To naprawdę najlepszy, najnowocześniejszy system niszczenia niebezpiecznych substancji. I bardzo wydajny.

- Ale nie tak wydajny, żeby zniszczyć wszystko, co zwożą dzień w dzień te pociągi?

- Oczywiście. Niemcy, Rosja, Chiny, Stany Zjednoczone - w sumie pół świata - są dosłownie zawałone silnie radioaktywnymi odpadami z elektrowni jądrowych i z produkcji głowic nuklearnych.

- I nikt już nie wie, co z tą masą paskudztwa zrobić. Tymczasem Massarde podjął się zabrać to wszystko.

- Ale niektóre państwa budowały przecież własne składowiska odpadów.

- Za mało i za późno. Na przykład francuskie składowisko w Soulaines było prawie pełne

już w momencie zakończenia budowy.

- A przy tym zdarzają się błędy techniczne. W pańskim kraju na przykład, w podziemnym magazynie w Richland w stanie Washington, betonowe pojemniki miały wytrzymać co najmniej pięćdziesiąt lat, ale już po dwudziestu nastąpił katastrofalny przeciek. Ponad trzy miliony litrów wysoko radioaktywnych substancji przedostały się do gruntu i skaziły wody podskórne.

- Łatwy i prosty biznes - zauważył Pitt. - Massarde wchodzi w układy z Kazimem, który włada najbardziej odludną połacią świata, gdzie żadna międzynarodowa kontrola nie ma dostępu. Buduje spalarnię i przyjmuje do niej kłopotliwe odpady od każdego rządu czy korporacji, które dobrze zapłacą. A że jest tego za dużo, że większość magazynuje się po prostu pod ziemią, to już nikogo nie obchodzi; najmniej tych, którzy się tego świństwa pozbyli.

- Rzeczywiście, tak to z grubsza wygląda; ale skąd pan to wie? - zdziwił się Monteux.

- Udało nam się odwiedzić podziemne magazyny; widzieliśmy tam tysiące pojemników z odpadami nuklearnymi.

- Tak - przypomniał sobie Monteux. - Doktor Hopper mówił, że Massarde złapał was na terenie zakładu.

- Jak pan sądzi, czy w Fort Foureau można by bezpiecznie magazynować albo niszczyć wszystko, co się tu przywozi?

- Jestem pewien, że tak - stwierdził stanowczo Monteux. - Gdyby Massarde wykuł te swoje magazyny na głębokości dwóch kilometrów, w litej skale, odpornej na ruchy sejsmiczne - mógłby stać się prawdziwym dobroczyńcą ludzkości. Ale to nędzny, prymitywny biznesmen, interesujący się tylko szybkim zyskiem. To człowiek chory z chciwości, zakochany w swoich skarbach.

- Czy pan wie, że do wód gruntowych pod pustynią przeniknęły też trujące substancje chemiczne?

- Chemiczne? - Monteux był wyraźnie zaskoczony.

- Z tego, co zdołaliśmy ustalić, substancja powodująca śmiertelne zatrucie tysięcy ludzi w tej części pustyni to związek kobaltu z jakimś syntetycznym aminokwasem.

- O tych zatruciach dowiedzieliśmy się dopiero w Tebezzy - powiedział Monteux.

Był najwyraźniej wstrząśnięty. - Mój Boże, to wszystko jest jeszcze straszniejsze, niż myślałem. A przecież najgorsze przed nami. Przecież te wszystkie beczki z chemikaliami i substancjami radioaktywnymi w końcu puszczą i Bóg jeden wie, jakie piekło powstanie pod Saharą z połączenia tego wszystkiego.

- Jest jeszcze coś, czego pan nie wie - rzekł Pitt. - Ten sam związek chemiczny przedostaje się przez podziemne ciek i rzekę Niger do oceanu, gdzie powoduje nieprawdopodobną

ekspansję czerwonych glonów, wysysających z wody wszelki tlen, a tym samym zagrażających życiu na Ziemi.

Monteux był przerażony.

- Boże, co myśmy zrobili? Ale nie wiedzieliśmy o tym wszystkim, niech mi pan wierzy; nie zdawaliśmy sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

- Nie znaliście planów Massarde'a? Monteux pokręcił przecząco głową.

- Znali je tylko nieliczni stali pracownicy Entreprises Massarde.

- Ci, którzy znaleźli się później w Tebezzy, to konsultanci lub pracownicy kontraktowi, zatrudnieni przy budowie systemu baterii i reaktorów. Przez dłuższy czas nie zwracaliśmy w ogóle uwagi na prace wydobywcze.

- Dlaczego?

- Ludzie z Entreprises Massarde mówili nam, że zrobili pod ziemią niewielki tymczasowy magazyn na odpady, które przyjadą przed uruchomieniem spalarni; potem wszystko, co już przywieziono, miało być zniszczone. Przyjmowaliśmy te wyjaśnienia za dobrą monetę, dopiero w ostatniej fazie budowy zaczęliśmy coś podejrzewać.

- Co zdradziło Massarde'a?

- Chyba to, że za bardzo pilnował swoich lochów. Jego strażnicy nie pozwalali nam nawet zbliżyć się do tamtej części zakładu. Ale przecież widzieliśmy, że wjeżdżają tam pociągi z odpadami, jeden za drugim. Zaczęło nam się wydawać, że trochę tego za dużo, jak na "niewielki tymczasowy magazyn". Któregoś wieczoru jeden z techników, specjalista od luster parabolicznych, dzięki skradzionej przepustce dostał się do tych podziemi. Zobaczył, że prace wydobywcze trwają nadal, i to na wielką skalę, a ziemię i złom skalny wywozi się tymi samymi pociągami, które przywożą odpady.

- Tak - potwierdził Pitt. - To samo widzieliśmy w czasie naszej nieproszonej wizyty. Niestety, nie od razu udało nam się przekazać tę wiedzę gdzie trzeba. Ludzie Massarde'a wypatrzyli nas na ekranach wewnętrznej telewizji.

- Naszego kolegę też wypatrzyli, ale zanim go złapali, zdążył wrócić i wszystko nam opowiedzieć. W rezultacie następnego dnia wszystkich, którzy nie byli zaufanymi pracownikami Massarde'a, wywieziono do Tebezzy razem z rodzinami - żeby tajemnica nie dotarła do Francji.

- Jak Massarde wytłumaczył wasze nagłe zniknięcie?

- Wymyślił historyjkę o wielkim pożarze, w którym wszyscy ci ludzie zginęli. Rząd francuski chciał przeprowadzić dochodzenie, ale Kazim nie pozwolił na to. Powiedział, że przeprowadzi śledztwo sam.

- Oczywiście nie było żadnego śledztwa, a rodziny we Francji dostały jakieś

odszkodowania razem z wiadomością, że nasze prochy rozsypano na pustyni, zgodnie z malijskimi zwyczajami.

- Trzeba przyznać, że ten Massarde to pomysłowy łajdak - rzekł Pitt. - Ale on też popełnia błędy.

- Co pan ma na myśli?

- Za dużo ludzi zostawia przy życiu.

- Poznał go pan osobiście?

Pitt dotknął palcem szramy na prawym policzku.

- Tak, ma bardzo przykry charakter.

Monteux uśmiechnął się gorzko.

- I tak miał pan szczęście. Kiedy Massarde zamknął naszą grupę i ogłosił wyrok: dożywotnia niewolnicza praca w kopalni - jedna z kobiet nie wytrzymała nerwowo i napluła mu w twarz. Bez chwili wahania zastrzelił ją, w obecności męża i dziesięcioletniej córki.

- Im więcej słyszę o tym człowieku - powiedział Pitt lodowatym tonem - tym mniej mam dla niego ludzkich uczuć.

- Komandosi mówili, że mamy zamiar wieczorem opanować pociąg i pojechać nim do Mauretanii.

- Tak, taki jest plan - jeśli wcześniej nie znajdą nas tu Malijczycy.

- Postanowiliśmy między sobą - stwierdził uroczyście Monteux - że nigdy więcej do Tebezzy nie wrócimy. Wszyscy wolimy raczej umrzeć. Umówiliśmy się, że jeśli nie będzie innego wyjścia, gdybyśmy znów mieli stać się niewolnikami, zabijemy nasze żony, dzieci, a na końcu siebie.

Pitt popatrzył na grupę kobiet i dzieci, odpoczywających na kamiennej podłodze arsenału. Na jego ogorzalej twarzy współczucie mieszało się z zimną wściekłością.

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Eva była zbyt zmęczona, by spać. Spojrzała z nadzieją na zbliżającego się do niej Dirka.

- Zabierzesz mnie na mały poranny spacer?

- Niestety, nikomu nie wolno wychodzić. Fort ma wyglądać na kompletnie opuszczony.

- Szkoda. Dwa tygodnie byłam zamknięta pod ziemią, potem całą noc jechaliśmy w tym żelaznym pudle, teraz znowu piwnica bez okien. Czy naprawdę nie mogłabym przez chwilę popatrzeć na słońce?

Nic nie odpowiedział. Uśmiechnął się konspiracyjnie, wziął ją na ręce i wyniósł na górę. Nie zatrzymując się przeszedł przez plac apelowy i wspiał się po schodach na podest biegnący wzdłuż górnej krawędzi murów. Dopiero tutaj pozwolił jej stanąć na nogach. Słońce oślepiło ją

na chwilę, toteż była kompletnie zaskoczona, gdy całkiem blisko usłyszała kobiecy głos.

- Nie możecie się tutaj pokazywać. To rozkaz pułkownika.

- Tylko dwie minuty - spróbował przekonać wartowniczkę Pitt. - Ta pani już dwa tygodnie nie widziała nieba.

Dziewczyna z oddziału Levanta mogła wprawdzie budzić postrach, nie tylko swoim uzbrojeniem, ale i posturą fizyczną, emocjonalnie jednak była stuprocentową kobietą, zdolną do współczucia i głębokiego wzruszenia. Przekonały ją nie tyle słowa Pitta, co żalospny wygład istoty, którą tu przyniósł.

- Dobrze - powiedziała - ale dosłownie dwie minuty. Potem musicie zejść na dół i ukryć się.

- Dziękuję - odezwała się Eva. - Nie ma pani pojęcia, co to dla mnie znaczy.

Patrzyli na bezkresną, jeszcze nie rozgrzaną słońcem pustynię, przeciętą prostą linią torów kolejowych. Surowy, nieludzki krajobraz miał jednak w sobie jakieś niezwykle, niepowtarzalne piękno. Pitt obserwował go wręcz z zachwytem - choć zaledwie parę dni temu omal nie padł ofiarą pustyni. Eva najwyraźniej nie podzielała jego uczuć.

- Chciałabym już być nad oceanem - powiedziała.

- Nurkujesz? - spytał.

- Lubię pływać, ale nigdy nie wyszłam poza stadium rurki do oddychania pod powierzchnią.

- W twoich rodzinnych okolicach, pod Monterey, zwłaszcza za Carmelem, w stronę Big Sur, życie podwodne jest wyjątkowo bujne.

- Przepiękne kolorowe ryby, istne lasy wodorostów, fantastyczne formacje skalne... Jak tylko tam dotrzemy, dam ci parę lekcji nurkowania z aparatem tlenowym, a potem zapuścimy się głębiej i pooglądamy sobie to wszystko.

- Postaram się być dobrą uczennicą.

Zamknęła oczy, odchyliła głowę do tyłu i chłonęła z rozkoszą ciepłe promienie słońca. Przyglądał się z czułością wycieńczonej, ale nadal pięknej twarzy. Nagle zapragnął zapomnieć na chwilę o niebezpieczeństwie, zapomnieć o wartownikach patrzących na nich z murów, wziąć ją w ramiona i pocałować. I zrobił to.

Objęła go i odwzajemniła pocałunek. Trwał długo, bardzo długo; oboje stracili poczucie czasu. W końcu odepchnęła go lekko i zajrzała głęboko w jego zielone oczy. Doznawała dziwnie pomieszanych uczuć: zmęczenia i podniecenia, miłości i pożądania.

- Już od tego wieczoru w Kairze - szepnęła - wiedziałam, że nie potrafię ci się oprzeć.

- A ja myślałem wtedy z żalem, że może nigdy się już nie spotkamy.

- Pewnie wrócisz od razu do Waszyngtonu, jak tylko się stąd wyrwiemy? - spytała spokojnym tonem, jakby ich bezpieczna ucieczka z Mali była już rzeczą pewną.

Wzruszył ramionami.

- Na pewno muszę wrócić do pracy nad czerwonym zakwitem.

- A ty? Czym się zajmiesz, jak już porządnie wypoczniesz? Pewnie znowu jakąś misją w trzecim świecie i zwalczaniem epidemii.

- To przecież mój zawód...

- Zdaje się, że oboje nie mamy zbyt wiele czasu na romanse.

- Tak - przyznała. - Jesteśmy więźniami swoich zawodów.

Wartowniczką podeszła do nich ponownie. Była lekko zmieszana, ale stanowcza.

- Naprawdę powinniście się już schować. Chyba rozumiecie, że musimy teraz być nadzwyczaj ostrożni.

Zeszli na plac apelowy. Nagle Eva zatrzymała się, przyciągnęła do siebie głowę Pitta i spytała cicho:

- Czy nazwałbyś mnie rozpustnicą, gdybym teraz powiedziała, że cię pragnę?

Uśmiechnął się.

- Jestem raczej łatwą zdobyczą dla lubieżnych dziewczyn.

- Ale chyba nie dla niemytych od dwóch tygodni i kościstych jak zagłodzony kot?

- Wręcz przeciwnie. Właśnie niemyte, kościste kobiety budzą we mnie prawdziwą bestię.

Bez dalszych słów poprowadził ją przez plac apelowy do budynku koszar. Weszli do niewielkiej izby bez okien, która kiedyś była zapewne spiżarnią. Teraz pomieszczenie było całkiem puste; jedynie w kącie stała drewniana skrzynka pełna gwoździ. Pitt zostawił Evę na chwilę samą; po minucie wrócił z dwoma kocami. Rzucił je na zakurzoną podłogę i zamknął drzwi.

W słabym świetle, dobiegającym przez szczelinę nad progiem, ledwie widzieli się nawzajem.

- Przykro mi - powiedział - ale nie mogę ci zaproponować ani szampana, ani królewskiego łoża.

Eva zrećźnie rozprostowała koce na podłodze i uklękła na nich.

- Nieważne. Zamykam oczy - i już jestem w najbardziej luksusowym apartamencie najwytworniejszego hotelu San Francisco.

Pitt roześmiał się cicho.

- Droga pani, jesteś doprawdy geniuszem imaginacji.

Verenne stanął w progu gabinetu swego szefa.

- Jest telefon od Yerli'ego, ze sztabu Kazima.

Massarde podniósł słuchawkę.

- Witam, panie Yerli. Mam nadzieję, że ma pan dla mnie dobre nowiny?

- Niestety, panie Massarde, tych nowin żadną miarą nie można nazwać dobrymi.

- Kazim nie znalazł tego oddziału ONZ?

- Nie, ciągle ich jeszcze szuka. Ich samolot jest zniszczony, ale oddział zniknął gdzieś na pustyni.

- Zniknął? Nie można pójść po ich śladach?

- Jest zbyt silny wiatr; kompletnie zawiąło ślady.

- Jak wygląda sytuacja w kopalni?

- Więźniowie tubylcy zrobili tam masakrę. Wymordowali prawie wszystkich strażników i personel techniczny. Zniszczyli sprzęt, splądrowali biura i magazyny. Trzeba będzie chyba pół roku, żeby znów uruchomić kopalnię.

- Co z o'Bannionem?

- Zaginął. Nie znaleziono jego ciała. Jest natomiast ta sadystka, która była u niego nadzorczynią.

- Mówi pan o tej Amerykance, zwanej Meliką?

- Tak. Więźniowie dosłownie ją rozszarpali, ledwie można ją było rozpoznać.

- Napastnicy mogli zabrać o'Banniona ze sobą; może liczą na to, że będzie zeznawał przeciwko nam - zasugerował Massarde.

- Nie wiemy tego jeszcze. Oficerowie Kazima zaczęli przesłuchiwać więźniów. To, czego już się dowiedzieli, też pana nie zachwyci.

- Ocalały strażnik rozpoznał wśród napastników tych dwóch Amerykanów, Pitta i Giordino. Okazuje się, że tydzień temu uciekli z kopalni, dotarli do Algierii i wrócili z grupą taktyczną ONZ.

Ta wiadomość rzeczywiście poraziła Massarde'a.

- Cholera! To znaczy, że przekazali informacje na zewnątrz.

- Ja też tak myślę.

- Dlaczego O'Bannion nie powiadomił was o ich ucieczce?

- Nie wiedział po prostu, jak pan i Kazim na to zareagujecie. Bał się, to jasne. Nie jest natomiast jasne, w jaki sposób ci dwaj pokonali bez wody i żywności czterysta kilometrów pustyni.

- Jeśli przekazali swoim przełożonym w Waszyngtonie informacje o kopalni, to przekazali również to, co wiedzą o Fort Foureau.

- Zapewne, ale ani w jednej, ani w drugiej sprawie nie dostarczyli jeszcze niezbitych dowodów. Zeznanie dwóch Amerykanów, którzy nielegalnie wtargnęli na terytorium Mali, nie będzie traktowane poważnie przez żaden sąd międzynarodowy.

- Tak, ale ściągnie nam tutaj tłumy ciekawskich dziennikarzy i badaczy z instytucji ekologicznych.

- Nie ma obaw. Już poradziłem Kazimowi, by zamknął szczelnie granice i nie wpuszczał obcokrajowców.

- Zapomniał pan chyba o tych uwolnionych z Tebezzy naukowcach i technicach, których zatrudniałem przedtem przy budowie zakładu. Jeśli się uratują, poinformują świat o swoim uwięzieniu i przymusowej pracy w kopalni. Co gorsza, powiedzą też o nie-legalnym magazynowaniu odpadów w Fort Foureau. Entreprises Massarde staną się przedmiotem ataku ze wszystkich stron, a ja będę miał proces kryminalny w każdym kraju, w którym prowadzę interesy.

- Nie przeżyje ani jeden wiarygodny świadek - oznajmił Yerli tonem proroka.

- Skąd ta pewność? - spytał Massarde.

- Nic nie wskazuje na to, by udało im się przekroczyć granicę Algierii. A zatem ukryli się gdzieś na terenie Mali i czekają na odsiecz.

- A Kazim zatrzyma każdą próbę odsieczy?

- Oczywiście.

- Ale mogą próbować ucieczki na zachód, do Mauretanii.

- Próbować mogą, ale umrą po drodze. Najbliższa oaza w tamtym kierunku, już na terytorium Mauretanii, jest oddalona o tysiąc kilometrów od Tebezzy. Prawdopodobnie nie mają dość paliwa na pokonanie takiego dystansu.

- Prawdopodobnie?! - zawołał Massarde wzburzonym tonem. - Ja muszę mieć pewność, panie Yerli. Trzeba ich koniecznie znaleźć, zatrzymać i zlikwidować!

- I tak właśnie zrobimy - zgodził się Yerli. - Przyrzekam panu, że nie wydostaną się z Mali. Wyłapiemy wszystkich. Jeśli nawet wykołują Kazima, to na pewno nie mnie.

El Hadż Ali siedział na piasku w cieniu swojego wielbłąda i czekał na pociąg. Wędrował dwieście kilometrów przez pustynię, z rodzinnej wsi Araouane, by zobaczyć kolej - niezwykle twórcę obcej cywilizacji, o którym opowiadał Anglik prowadzący wycieczki przez pustynię. W dniu swych czternastych urodzin, dniu przejścia do świata dorosłych, Ali dostał od ojca jednego z dwóch jego wspaniałych białych wielbłądów i ruszył na nim na północ, by na własne oczy ujrzeć



stalowego potwora. Było to marzenie każdego dorastającego chłopaka w wiosce nie znającej jeszcze wielu współczesnych osiągnięć techniki. Właśnie teraz spełniało się dla ono Alego, ku zazdrości jego uboższych rówieśników. Czekał cierpliwie, popijając herbatę i żując suszone daktyle. Minęło jednak dużo czasu, a na lśniących szynach, biegnących w nieskończoną dal, nie pojawił się żaden pociąg. Ali wstał, wsiadł na wielbłąda i ruszył wzdłuż toru w stronę rozległych budowli, mających na wschodzie. Jeśli nawet nie zobaczy pociągu, będzie mógł opowiedzieć w Araouane o dziwnej fabryce. Przejedny Anglik też o niej wspominał, ale nikt we wsi nie był w stanie zrozumieć, co się tam robi i po co. Wkrótce znalazł się w pobliżu starego fortu Legii Cudzoziemskiej. Widywał takie i w swojej okolicy, postanowił jednak obejrzeć go z bliska. Zbliżył się do bramy, zeskoczył z wielbłąda i spróbował wejść do środka. Wielkie, wyblakłe od słońca wrota były jednak mocno zamknięte. Obszedł fort dookoła, szukając jakiejś dziury, ale wysoki mur z kamienia i gliny trzymał się wszędzie mocno, wręcz doskonale. Wsiadł więc z powrotem na wielbłąda, by kontynuować wędrówkę wzdłuż toru. Gdy do niego dotarł, spojrzał jeszcze raz na zachód. Srebrzyste szyny wcale nie biegły tak prosto, jak to wynikało z opowieści Anglika. Wydawało się, że falują w promieniach słońca. Sprawiały to oczywiście gorące wyziewy rozpalonej do białości pustyni, ale El Hadż Ali nie znał praw fizyki. Nagle dostrzegł w oddali, tam gdzie szyny wtapiały się w horyzont, mały, ale szybko rosnący obiekt. To na pewno ten żelazny potwór, pomyślał z podnieceniem. Jednak gdy obiekt zbliżył się, zrozumiał, że nie tego oczekiwał. Nadjeżdżający pojazd był niewielki; przypominał samochody, jakie od czasu do czasu pojawiały się w Araouane. Tyle że ten był otwarty i poruszał się po szynach na ciężkich żelaznych kołach. Ali zsiadł z wielbłąda i odciągnął go nieco od torowiska. Drezyna zwolniła i zatrzymała się przy nim; siedzący w środku dwaj kolejarze, dokonujący rutynowej inspekcji odcinka toru, patrzyli na chłopca z zaciekawieniem. Jeden z nich był biały. Drugi, ciemnoskóry Maur, zwrócił się do Alego z arabskim pozdrowieniem:

- Salam al laikum.

- Al laikum es salam - odpowiedział Ali.

- Skąd przybywasz, chłopcze? - spytał Maur w języku Tuaregów.

- Z Araouane. Chcę zobaczyć stalowego potwora.

- Ho, ho! Przewędrowałeś kawał drogi!

- To dla mnie nic trudnego - odparł chełpliwie Ali.

- Pewnie masz dobrego wielbłąda.

- Jasne! Jest najlepszy w całej wsi.

Maur spojrzał na swój złoty zegarek.

- Nie będziesz już długo czekał. Pociąg z Mauretanii będzie tu za trzy kwadransy.

- To dobrze. Ale i tak bym nie odszedł, póki bym go nie zobaczył.
- Obejrzyj sobie na razie ten stary fort; to też jest ciekawe.
- Już tam byłem. Ale nie mogłem wejść do środka, brama jest zamknięta.

Kolejarze popatrzyli na siebie, zaskoczeni, potem przez chwilę szybko rozmawiali po francusku. Wreszcie Maur spytał:

- Jesteś pewien? Ten fort jest zawsze otwarty; trzymamy tam zapasowe podkłady i trochę sprzętu do naprawy torów.

- Ja nie kłamię! - oburzył się chłopiec. - Zresztą przekonajcie się sami.

Maur wysiadł z drezyny i poszedł w stronę fortu. Wrócił po paru minutach i, znów po francusku, powiedział do białego kolegi:

- Chłopak ma rację. Brama jest zamknięta od środka.

Na twarzy Francuza pojawił się wyraz zaniepokojenia.

- Musimy jak najszybciej jechać do zakładu i zameldować o tym.

Maur skinął głową, wsiadł i ponownie włączył silnik. Machnął Alemu ręką na pożegnanie.

- Nie podchodź za blisko toru, jak przyjedzie pociąg. I mocno trzymaj wielbłąda.

Pułkownik Levant mógł oczywiście łatwo uniknąć zdemaskowania. Przez cały czas, gdy niespodziewani przybysze kręcili się wokół fortu, prowadziły ich lufy karabinów maszynowych z tłumikami. Można było ich zastrzelić, wciągnąć do fortu, a drezynę zrzucić z toru i schować za wrakiem ciężarówki. Ale Levant nie był mordercą; nie chciał i nie mógł zabijać niewinnych ludzi.

- Co teraz? - spytał Pembroke-Smythe, kiedy drezyna ruszyła i nabierając szybkości pomknęła w stronę spalarni. Levant obserwował ze szczytu muru chłopca i jego wielbłąda.

Stali wciąż przy torze.

- Chłopak najwyraźniej czekał na przejazd pociągu; wielbłąd obojętnie wpatrywał się w horyzont, spluwając od czasu do czasu na tory.

- Jeśli ludzie z drezyny powiedzą w zakładzie, że fort jest zamknięty, możemy się tu spodziewać jakiegoś patrolu.

Pembroke-Smythe spojrział na zegarek.

- Jeszcze co najmniej siedem godzin do zmroku. Miejmy nadzieję, że nie zareagują zbyt szybko.

- Są jakieś nowe wiadomości od generała Boćka?

- Mamy kłopoty z nawiązaniem kontaktu. Radio popsuło się od wstrząsów w czasie jazdy przez pustynię. Nadajnik w ogóle nie działa, odbiór jest kiepski. Ostatni komunikat generała przyszedł tak zniekształcony, że nie dało się go w całości zdekodować. Operator zrozumiał tylko

tyle, że jakiś oddział amerykańskich sił specjalnych wylądował w Mauretanii.

Levant popatrzył na swego zastępcę z niedowierzaniem.

- W Mauretanii? A kto i jak nam pomoże, jeśli zaatakują nas po drodze? To jeszcze ponad trzysta kilometrów.

- Komunikat był silnie zniekształcony, sir - powtórzył bezradnie Pembroke-Smythe.

- Operator robił co mógł, ale może jednak coś źle zrozumiał.

- Nie można wykorzystać do naprawy części z aparatów łączności lokalnej?

- Już próbował, sir, ale nie udało mu się. To całkiem inne systemy.

- A więc nie wiemy nawet, czy admirał Sandecker dobrze zrozumiał rebus Pitta - stwierdził ze złością Levant. - Bo przecież Bock wie tylko, że kryjemy się gdzieś na pustyni, albo że uciekamy do Algierii.

- Myślałem, że Sandecker dobrze nas zrozumiał. Stąd ta Mauretania.

Levant usiadł ciężko pod parapetem muru.

- Ale jak tam dotrzeć? Paliwa nie starczy nawet na połowę drogi. Nie mamy łączności ze światem zewnętrznym. Jeśli zaatakują nas Malijczycy - a to już teraz prawie pewne - wybiją nas jak szczury, poruczniku.

Giordino leżał na plecach pod jednym z transporterów, próbując wymontować resor piórowy. Nagle kątem oka zauważył zbliżające się buty i wysunął trochę głowę, by zobaczyć przybysza: był to Pitt.

- Gdzie się, do cholery, włóczyłeś? - warknął, i zaczął szarpać kluczem kolejną oporną, zapieczoną nakrętkę.

- Pielęgnowałem słabych i potrzebujących - odparł Pitt.

- Lepiej byś wykombinował jakąś ramę do tej twojej maszyny.

- Niezłe byłyby belki stropowe z szopy. Zauważyłem, że są jeszcze mocne, chociaż strasznie wysuszone.

Pitt schylił się i zajrzał pod transporter.

- Widzę, że nie próżnowałeś.

- Szkoda, że o tobie nie można tego samego powiedzieć. Lepiej nie gadaj tyle. Pomyśl raczej, czym można by łączyć te belki.

Pitt postawił w zasięgu wzroku Giordina drewnianą skrzynkę.

- Problem rozwiązany - powiedział. - Odkryłem całą skrzynkę gwoździ w spiżarni.

- W spiżarni? - zainteresował się Giordino.

- Powiedzmy: w komórce, która kiedyś była spiżarnią.

Giordino wysunął głowę spod pojazdu i uważnie przyjrzał się przyjacielowi: od

rozsnurowanych butów, przez rozchełstaną bluzę panterki aż po zmierzwione włosy.

- Coś mi się zdaje, że nie tylko skrzynkę z gwoździami odkryłeś w tej komórce - rzekł w końcu z wyraźnym sarkazmem.

Wiadomość o tym, co widzieli dwaj kolejarze, przekazano szybko z zakładu Fort Foureau do sztabu generała Kazima. Tutaj trafiła na biurko majora Sid Ahmeda Gowana, szefa tajnej służby wywiadowczej. Gowan nie dostrzegł w niej nic szczególnie istotnego, a już zupełnie nie widział powodu, by podsuwać ją swemu nowemu konkurentowi, Ismailowi Yerli'emu. Gowan nie skojarzył zamkniętej bramy z trwającym wciąż poszukiwaniem zbiegów z kopalni, odległej od pustynnego fortu o kilkaset kilometrów. A dziwną, bądź co bądź, wiadomość, że brama jest zamknięta od środka, uznał za wymysł informatorów, którzy chcieli się czymś wyróżnić w oczach przełożonych. Po paru godzinach jednak, kiedy poszukiwania na północy kraju wciąż nie przynosiły żadnych sukcesów, major Gowan jeszcze raz przejrzał wszystkie otrzymane w ciągu dnia meldunki. Zlekceważona uprzednio wiadomość z Fort Foureau przykuła jego uwagę. Młody, bardzo inteligentny oficer, jedyny w armii Kazima absolwent sławnej francuskiej akademii wojskowej Saint Cyr, potrafił myśleć. Teraz zdał sobie sprawę, że ma przed sobą wielką szansę sukcesu służbowego i wyprzedzenia Yerli'ego w wyścigu o względy generała Kazima. Podniósł słuchawkę, połączył się z dowódcą sił powietrznych i zażądał przeprowadzenia zwiadu lotniczego na południe od Tebezzy, ze szczególnym uwzględnieniem śladów opon na piasku. Na wszelki wypadek zalecił kierownictwu zakładu w Fort Foureau całkowite wstrzymanie ruchu pociągów. Jego rozumowanie było proste. Jeśli oddział ONZ rzeczywiście skierował się z Tebezzy na południe, mógł ukryć się właśnie w starym forcie Legii Cudzoziemskiej. Po zmroku będą chcieli uciekać dalej, ale z pewnością nie mają już w swoich pojazdach zbyt wiele paliwa. Przypuszczalnie więc spróbują opanować pociąg jadący z zakładu do Mauretanii.

Teraz dla potwierdzenia swoich przypuszczeń potrzebował już tylko meldunku od lotników o świeżych śladach pojazdów, wiodących z Tebezzy na południe, w stronę linii kolejowej. Nie musiał jednak na to czekać, by poinformować Kazima o swojej rewelacyjnej analizie. Ponownie sięgnął po słuchawkę telefonu.

Dla ludzi zamkniętych w forcie najdotkliwszym problemem był ciągnący się niemilosiernie czas. Wszyscy spoglądali na zegarki, licząc wciąż na nowo godziny i minuty, dzielące ich od zmierzchu. Każda chwila, mijająca bez objawów zainteresowania ze strony Malijczyków, wydawała się darem niebios. Ale około czwartej Levant miał już pewność, że sprawy nie idą dobrze. Stał na szczycie muru, obserwując przez lornetkę spalarnię odpadów, kiedy wdrapał się do niego po stromych schodach Pembroke-Smythe. Za nim podążał Dirk Pitt.

- Poprosiłem tu pana, panie Pitt - powiedział Levant, nie odrywając lornetki od oczu - bo chciałem o coś zapytać. Czy w czasie waszej wyprawy do zakładu Massarde'a mierzyliście

częstotliwość ruchu tych pociągów?

- Tak, przejeżdżały w bardzo regularnych odstępach. Dokładnie w trzy godziny po każdym odjeździe pociągu pojawiał się od strony Mauretanii następny.

- Więc jak pan wytłumaczy fakt, że już od pięciu godzin nie było żadnego pociągu?

- Może jakiś problem techniczny: uszkodzenie szyn, defekt lokomotywy czy wagonów gdzieś na trasie... Mogą być różne powody zakłócenia rozkładu.

- Chyba nie wierzy pan w to wszystko?

- Ani trochę - przyznał Pitt.

- No więc, jaka jest najprawdopodobniejsza interpretacja? - nalegał Levant.

Pitt przyglądał się przez chwilę pustym szynom.

- Gdybym miał się zakładać o moje roczne dochody, powiedziałbym, że już o nas wiedzą.

- I zatrzymali pociągi, żeby uniemożliwić nam ucieczkę?

- Tak. Jeśli Kazim znalazł nasze ślady na pustyni, a do tego dowiedział się, gdzie jesteśmy, to na pewno domyśla się, że mamy zamiar uprowadzić pociąg.

- Ci Malijczycy są sprytniejsi, niż myślałem - zauważył Levant. - Utknęliśmy w pułapce i nie możemy nawet zawiadomić o naszej sytuacji generała Boćka.

Za pozwoleniem, sir - włączył się Pembroke-Smythe.

- Chciałbym podjąć próbę dotarcia do Mauretanii. Może uda mi się odnaleźć ten amerykański oddział i sprowadzić go tutaj. Levant spojrzał na niego, wyraźnie zaskoczony.

- Ależ to czyste samobójstwo - powiedział.

- Być może, ale także nasza jedyna szansa, żeby się stąd wydostać.

- Gdybym wziął szybki samochód szturmowy, mogę dotrzeć do granicy w ciągu sześciu godzin.

- To nie takie proste, kapitanie - odezwał się Pitt. - Jeździłem już trochę po pustyni. Nawet jeśli jedzie się z maksymalną szybkością, to i tak trzeba objeżdżać diuny, a przy tym cholernie uważać, bo można zniecka wpaść w jar głęboki na pięćdziesiąt stóp. Myślę, że przy największym nawet szczęściu nie dotrze pan do Mauretanii wcześniej niż jutro rano.

- Mam zamiar jechać całkiem prosto - wyjaśnił Pembroke-Smythe - wzdłuż torów.

- A, to już rzeczywiście samobójstwo - ocenił Pitt. - Przy torach na pewno są patrole Kazima. Nie ujedzie pan nawet pięćdziesięciu kilometrów.

- Nie zapomniał pan o paliwie, kapitanie? - spytał Levant. - Nie starczy panu benzyny nawet na połowę drogi.

- Możemy przepompować do rajdówki resztki ze zbiorników transporterów. Wtedy starczy.

- Bardzo to wszystko ryzykowne - powiedział Pitt.

Pembroke-Smythe uśmiechnął się.

- Życie bez odrobiny ryzyka byłoby nudne.

Levant zastanawiał się przez chwilę.

- Nie może pan jechać sam - stwierdził stanowczo. - Potrzebny będzie ktoś drugi, jako pilot i zapasowy kierowca.

- Wcale nie miałem zamiaru jechać sam - odparł spokojnie Pembroke-Smythe.

- Kogo pan proponuje?

- Pana Pitta albo pana Giordino; obaj mają już doświadczenie w rajdach przez pustynię.

- To prawda, ale jeśli dojdzie do walki z patrolem Kazima, cywil nie na wiele się panu przyda - rzekł Levant.

- Nie mam zamiaru toczyć bitew. Chcę nawet wymontować całe uzbrojenie wozu, żeby był lżejszy. Wezmę tylko zapasowe koło, narzędzia, wodę na dwadzieścia cztery godziny i ręczną broń.

Levant jeszcze raz, punkt po punkcie, przemyślał cały plan Pembroke-Smythe'a. W końcu skinął głową.

- Dobrze, kapitanie, niech pan przygotuje pojazd.

- Tak jest, sir.

- Ale jest jeszcze jeden szczegół.

- Tak, sir?

- Przykro mi, że psuję pańskie plany, ale potrzebny mi jest pan tutaj, w forcie. W końcu jest pan moim zastępcą i gdyby co... Będzie pan musiał wskazać kogoś innego na swoje miejsce. Proponowałbym porucznika Steinholma. To świetny kierowca. O ile dobrze pamiętam, startował kiedyś nawet w rajdzie Monte Carlo.

Pembroke-Smythe nie zdołał ukryć rozczarowania, ale zsalutował służbiście i zbiegł po schodach na plac apelowy bez słowa protestu. Levant przeniósł wzrok na Pitta.

- Teraz pan decyduje. Panu nie mogę wydawać rozkazów.

- Pułkowniku! - Pitt uśmiechnął się łobuzersko i przystąpił do dłuższego przemówienia. - Przez cały poprzedni tydzień byłem zwierzyną łowną na Saharze, omal nie umarłem z pragnienia, cudem nie zginąłem, gotowałem się żywcem jak rak i dostawałem po pysku od najobrzydliwszych typów. Mam stanowczo dosyć, wysiadam z tego pociągu. Z porucznikiem Steinholmem pojedzie Al Giordino.

Levant uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Jest pan kłamcą, Pitt; wielkim, wspaniałomyślnym, wielkodusznym kłamcą. Przecież

pan wie, równie dobrze jak ja, że tutaj czeka wszystkich pewna śmierć. Zrobił pan piękny, szlachetny gest, dając szansę ratunku przyjacielowi. Podziwiam pana, szczerze podziwiam.

- Szlachetne gesty nie należą raczej do mojej natury. Jeśli już jest w niej coś dobrego, to to, że nie lubię zostawiać niedokończonych prac.

Levant spojrział na dziwną maszynę stojącą pod okapem dachu koszar.

- Ma pan na myśli swoją katapultę?

- Można to i tak nazwać.

- Myśli pan, że będzie działać?

- Działać będzie. Pytanie tylko, jak skutecznie.

Tuż po zachodzie słońca worki z piaskiem, napełnione przedtem w pośpiechu, odstawiono od bramy i otwarto na oścież wielkie drewniane wrota. Porucznik Steinholtz, Austriak, wysoki przystojny blondyn, wdrapał się za kierownicę i wysłuchał ostatnich szczegółowych instrukcji od Pembroke-Smythe'a. Obok rajdówki, która po zdjęciu uzbrojenia wróciła do swego oryginalnego wyglądu, stali Giordino, Eva i Pitt, wymieniając ostatnie słowa pożegnania.

- Do zobaczenia, stary! - powiedział Giordino, siląc się na pogodny uśmiech. - Ale to nie jest w porządku, to ty powinieneś jechać.

Pitt objął go prawdziwie niedźwiedzim uściskiem.

- Uważaj na dziury w asfalcie!

Giordino dostroił się do kpiarskiego tonu przyjaciela.

- Dobra, przywieziemy dużo piwa i pizzę na śniadanie.

Nie było to typowe menu śniadaniowe, ale Giordino wiedział, co mówi. Dla wszystkich zresztą było oczywiste, że pomoc, jeśli nadejdzie później niż w południe następnego dnia, nie będzie już miała żadnego sensu. W forcie nie zostanie kamień na kamieniu, a jego obrońcy zasilą zastępy niebieskie.

Eva pocałowała Giordina w policzek i podała mu niewielką paczkę zawiniętą w plastik.

- Małe co nieco do przekąszenia w drodze - zacytowała Kubusia Puchatka.

Giordino podziękował i odwrócił się szybko, by nie mogli dostrzec łez w jego oczach.

Wskoczył na fotel pasażera.

- Do dechy! - powiedział do Steinholtza, z twarzą nagle postarzałą i posepną.

Porucznik włączył bieg, mocno przycisnął pedał gazu i puścił sprzęgło. Rajdówka skoczyła przez bramę jak tygrys i pomknęła przez pustynię, zostawiając za sobą podwójny pióropusz pyłu. Giordino odwrócił się, by jeszcze raz spojrzeć na pozostawionych w forcie przyjaciół. Pitt stał tuż za bramą, obejmując ramieniem Evę. Na jego twarzy malował się



dziwny, diabelski uśmiech. A potem wszystko przesłonił pył wyrzucany spod kół. Przez dłuższą chwilę żołnierze grupy taktycznej obserwowali oddalający się pojazd. Od niego przecież, od powodzenia misji Giordina i Steinholma, zależał teraz ich los, ich jedyna szansa przeżycia. W końcu Levant wydał cichym głosem rozkaz. Zamknęli bramę i ponownie ją zabarykadowali.

Major Gowan otrzymał wreszcie meldunek, na który czekał od wielu godzin. Pilot jednego z helikopterów patrolowych dostrzegł na pustyni ślady pojazdów prowadzące ku linii kolejowej. Dalsze poszukiwania przerwano z powodu zapadającego zmierzchu. Nieliczne maszyny lotnictwa malijskiego, przystosowane do nocnego zwiadu, stały unieruchomione na lotnisku; dokonywano w nich właśnie jakichś napraw i unowocześnień. Ale Gowanowi nie były już potrzebne. Wiedział, gdzie ukrywa się jego zdobycz. Jeszcze raz skontaktował się z Kazimem i potwierdził wcześniejszą ocenę sytuacji. Zachwycony zwierzchnik natychmiast awansował go na pułkownika i obiecał wysokie odznaczenie za ofiarną służbę.

Gowan odłożył słuchawkę i odetchnął głęboko, z satysfakcją. Udany dzień. Otworzył szafkę przy biurku i wyjął z niej butelkę Remy Martin, którą trzymał na specjalne okazje. A to niewątpliwie była specjalna okazja. Nalał sobie obficie, wypił - i wyszedł z biura. Następne czterdzieści osiem godzin postanowił spędzić z dala od trudów służbowej rutyny, w swojej willi nad Nigrem, w towarzystwie kochanki Francuzki.

Nie była to decyzja szczęśliwa dla jego Wodza Naczelnego. W chwili, gdy generał Kazim potrzebował pomocy swego asa wywiadu bardziej niż kiedykolwiek przedtem, świeżo mianowany pułkownik robił ze swych talentów zwiadowczych całkiem inny użytek. Massarde niecierpliwie poderwał słuchawkę telefonu. Tak, to wreszcie był Yerli, z najnowszym raportem.

- Mamy ich - oznajmił triumfalnie. - Chcieli wyprowadzić nas w pole: uciekli na południe, a nie na północ. Ale takiego starego lisa jak ja trudno oszukać. Złapaliśmy ich w pułapkę, w starym forcie Legii Cudzoziemskiej, tuż obok pańskiego zakładu.

- No, wreszcie dobra wiadomość - odetchnął z ulgą Massarde.

- Jakie plany ma teraz Kazim?

- Będzie oblegał fort i zażąda kapitulacji.

- Kapitulacji? A jeśli się poddadzą?

- Postawi wszystkich żołnierzy i oficerów ONZ przed sądem za zbrojną napaść na jego kraj, a potem, po wyroku skazującym, wymieni ich. Ścisłej: weźmie za każdego wysoki okup. A więźniowie z Tebezzy trafią do jego aresztu śledczego, gdzie zostaną odpowiednio przesłuchani.

- Nie - rzucił Massarde. - Nie tego oczekiwałem! Jedyne rozsądne rozwiązanie, to zlikwidować ich wszystkich, i to jak najszybciej. Nikt nie może pozostać przy życiu. Nie możemy sobie pozwolić na dalsze komplikacje. Stanowczo musi pan przekonać Kazima do

natychmiastowego i ostatecznego zamknięcia tej sprawy.

Ton Massarde'a był tak stanowczy, że Yerli przez chwilę zapomniał języka w gębie.

- Rozumiem... - odezwał się w końcu. - Przekonam Kazima, żeby już o świcie zaatakował fort raketami z myśliwców, a potem siłami lądowymi. Tak się szczęśliwie składa, że niedaleko odbywają się właśnie manewry: są tam cztery ciężkie czołgi i trzy kompanie piechoty.

- Jeśli są blisko, to mogą uderzyć już w nocy!

- Niestety, nie. Trzeba paru godzin, żeby zebrać wszystkie siły i skoordynować atak. Nie zrobi się tego przed świtem.

- Tylko niech pan dopilnuje, żeby Pitt i Giordino tym razem nie uciekli.

- Już się tym zająłem. Właśnie dlatego kazałem zatrzymać wszystkie pociągi - zełgał gładko Yerli.

- Gdzie pan teraz jest?

- W Gao. Pakujemy się właśnie do samolotu sztabowego. Tego, który tak hojnie podarował pan Kazimowi. Chce osobiście dowodzić oblężeniem fortu.

- Dobrze - Massarde starał się mówić spokojnie. - I niech pan pamięta, Yerli: nie brać jeńców, pod żadnym pozorem.

Myśliwce pojawiły się wczesnym rankiem, parę minut po szóstej. Żołnierze grupy taktycznej, ciężko zmęczeni kopaniem głębokich stanowisk na placu apelowym, byli jednak czujni i gotowi do walki. Większość schowała się natychmiast, jak krety, w wykopanych w piasku dołach. W piwnicy pod koszarami, gdzie zespół medyczny zorganizował prowizoryczny szpital polowy, ocaleni z Tebezzy więźniowie słoczyli się pod starymi, ale jeszcze mocnymi drewnianymi stołami, by uchronić się przed gruzem, jaki mógł spadać z bombardowanego stropu. Na murach pozostali jedynie Levant, Pembroke-Smythe i obsługa Vulcana, wymontowanego z samochodu szturmowego. Dla nich osłoną były jedynie parapet muru i ułożone w kilka warstw worki z piaskiem.

Pitt nie zadbał nawet o to; do ostatnich minut pracował nad balistą, dokonując niezbędnych poprawek. Teraz machina była już gotowa do użytku. Dwa długie resory, zamocowane pionowo, były odgięte do tyłu o prawie dziewięćdziesiąt stopni. Pitt nigdy by tego nie dokonał, nawet z pomocą najtęższych siłaczy z oddziału, gdyby nie podnośnik hydrauliczny, pozostawiony w formie przez ekipę remontową kolei. Między odgiętymi końcami resorów zainstalowana była gruba, lekko wydrążona deska: spoczywał na niej jak na tacy duży kanister, wypełniony w połowie ropą; jego górna część była podziurawiona, w jednej z dziur tkwił długi kawałek szmaty, nasycony ropą. Żołnierze, którzy pomagali Pittowi budować piekielną maszynę, sceptycznie i z obawą oceniali jej możliwości. Bali się, że katapulta nie zdoła przetrzymać kanistra przez mur; że spadnie on na plac apelowy i zmieni go w jezioro ognia, w którym spłoną żywcem obrońcy fortu.

Pitt zdjął kanister z wyrzutni i jeszcze raz wypróbował urządzenie spustowe, zmajszrowane ze zwykłej klamki. Uwolnione sprężyny resorów rozprostowały się błyskawicznie, wydając przenikliwy, wibrujący dźwięk. Samoloty Kazima nie od razu przystąpiły do ataku. Przez parę minut krążyły pod bezchmurnym niebem zaledwie trzy kilometry od fortu, na wysokości nie większej niż pięćset metrów. Najwyraźniej piloci nie bali się rakiet przeciwlotniczych, jakby wiedzieli, że oddział ONZ nie ma takiej broni. Ale i siły malijskie nie były należycie wyposażone do zbliżającej się bitwy. Podobnie jak wielu innych dowódców wojskowych trzeciego świata, Kazim przekładał blichtr nad rzeczywisty pożytek. Słabe państwa sąsiednie nie stanowiły dla Mali żadnego zagrożenia. Nowoczesne myśliwce Mirage potrzebne więc były wyłącznie na pokaz, dla zastraszenia wewnętrznych przeciwników politycznych. Do walki z regularnymi oddziałami lądowymi nadawały się jednak słabo - były na to zbyt szybkie i niewłaściwie uzbrojone. Kazim nie miał potrzebnych do takiej walki helikopterów szturmowych. Jego śmigłowce przeznaczone były do przetrzucania oddziałów desantowych. Nie

miały uzbrojenia raketowego. Jedynie myśliwce były wyposażone w rakiety, które mogły niszczyć grube pancerze i fortyfikacje, ale nie była to broń zbyt celna; piloci nie dysponowali systemem laserowego naprowadzania, musieli celować sami, zmniejszając prędkość samolotów do granic bezpieczeństwa.

Ukryty za parapetem muru Levant obserwował krążące myśliwce przez lornetkę.

- Kapitanie, alarm dla obsługi Vulcana - powiedział cicho do mikrofonu wmontowanego w hełm. Niemal natychmiast w słuchawkach zabrzmiał głos Pembroke-Smythe'a:

- Obsługa Małgoški gotowa do otwarcia ognia.

- Małgoški? - zdziwił się Levant.

- Chłopcy chyba bardzo lubią tę pukawkę. Dali jej imię dziewczyny, która obdarzała ich swoimi wdziękami w czasie ostatniej misji.

- Niech pan pilnuje, żeby ta Małgoška nie była zbyt frywolna.

- Mamy mało amunicji.

- Oczywiście, sir.

- Pierwszy atakujący samolot przepuścić; otworzyć ogień dopiero kiedy będzie nas mijał. Jak się pospieszycie, zdążycie jeszcze odwrócić lufy i przyładować drugiemu, zanim wystrzeli rakiety.

- Postaramy się, sir.

Ledwie Pembroke-Smythe zdążył to powiedzieć, prowadzący eskadrę Mirage oderwał się od reszty, zszedł na wysokość siedemdziesięciu pięciu metrów i pomknął prosto ku fortowi, nie próbując nawet kluczyć dla uniknięcia ewentualnego ostrzału z ziemi. Pilot nie był mistrzem w swoim fachu. Leciał bardzo wolno, ale i tak wystrzelił swoje rakiety zbyt późno. Jedna przemknęła nad fortem i wybuchła daleko na pustyni, nie czyniąc mu żadnej szkody. Druga trafiła w parapet północnej ściany, wyrrywając w niej dwumetrową dziurę i zasypując plac apelowy odłamkami. Strzelec Vulcana prowadził samolot w okienku celownika, nie otwierając ognia. Dopiero gdy Mirage znalazł się nad fortem, okrągła tarcza, na której osadzone było sześć luf, zaczęła się obracać. Mechanizm dla oszczędności amunicji ustawiony był na obroty dwa razy niższe od maksymalnych, ale i tak ku myśliwcowi pobiegła seria o częstotliwości tysiąca pocisków na minutę. Seria była celna. Dwudziestomilimetrowe pociski dosłownie odcięły jedno skrzydło samolotu. Maszyna przewróciła się na plecy i runęła na ziemię. Ludzie obsługujący karabin już tego nie widzieli. Błyskawicznie obrócili "Małgoškę" o sto osiemdziesiąt stopni i posłali długą serię prosto w dziób następnego atakującego myśliwca. Ekspłodował w powietrzu, a płonące szczątki potoczyły się po pustyni aż pod mur fortu.

Trzeci pilot, oszołomiony i przerażony losem poprzedników, wystrzelił swoje rakiety

grubo za wcześnie. Uderzyły w pustynię dobre dwieście metrów przed murem fortu, wyrwijąc w piasku dwa głębokie kratery. Kładąc maszynę na skrzydło uciekł z linii strzału Vulcana i powrócił do eskadry, która znów przez parę minut krążyła beczynn timer.

Najwyraźniej piloci, pozbawieni dowódcy, musieli ustalić nowy plan działania.

- Dobra robota - pochwalił Levant obsługę karabinu.

- Mamy już tylko około sześciuset naboji - zameldował Pembroke-Smythe.

- Nie strzelajcie na razie - zdecydował Levant. - Schowajcie się. Poczuli respekt, będą odpalać rakiety z większego dystansu, pewnie nie trafią. Dopiero jak zaczną podchodzić bliżej, otworzymy ogień.

Kazim, obserwujący operację na ekranach radarów i monitorów telewizyjnych w swoim latającym sztabie, słuchał głosów walczących pilotów z coraz większym zdenerwowaniem. Wstrząśnięci dotkliwymi stratami, jakie ponieśli już w pierwszej potyczce, przekrzykiwali się chaotycznie w eterze jak wystraszone dzieci. Najwyraźniej nie wiedzieli, co robić dalej. Wpadł do kabiny łączności niczym rozjuszony dzik i ponad ramieniem operatora wrzasnął do mikrofonu:

- Tchórze! Nędzni tchórze! Mówi wasz Wódz Naczelny, generał Kazim. I wy chcecie uchodzić za kwiat mojej armii?! Macie atakować, natychmiast atakować! Każdego, kto nie wykaże należytej odwagi, każe natychmiast po wylądowaniu rozstrzelać, a całą rodzinę ześle na katorgę.

Niedouczeni, ale bardzo dotychczas pewni siebie piloci, byli w istocie mistrzami raczej w podrywaniu dziewczyn, niż w walce z prawdziwym, wyćwiczonym przeciwnikiem. Francuscy instruktorzy włożyli wprawdzie wiele pracy, by chłopców, wychowanych w koczowniczej tradycji, przekształcić w zdyscyplinowanych lotników, ale zakorzeniony w ich umysłach tradycyjny sposób myślenia bardzo opóźniał tę przemianę.

Zaszokowani słowami Kazima, bojąc się bardziej jego gniewu niż śmierci, jaka przed chwilą dosięgła szefa eskadry i jego skrzydłowego, wznowili ataki na trzymające się wciąż mocno mury starego fortu.

Levant, jakby uważał się za nieśmiertelnego, wciąż stał na szczycie muru. Obserwował rozwój bitwy ze spokojem kibica meczu bilardowego. Nowy atak zaczął się dla malijskich pilotów bez sukcesów. Dwa pierwsze myśliwce odpaliły rakiety z bardzo dużego dystansu, po czym gwałtownie skręciły, by uniknąć ognia z fortu. Wszystkie ich rakiety przeszły górą i wybuchły daleko za linią kolejową. Malijczycy atakowali już bez żadnego planu, całkiem chaotycznie, z różnych stron - choć na zdrowy rozum powinni byli skoncentrować się na jednej ścianie fortu i dokonać w niej dużego wyłomu. Po paru minutach jednak, widząc, że nikt do nich

nie strzela, znów zaczęli podchodzić bliżej, a ich ataki stały się celniejsze. W kamiennym murze pojawiły się pierwsze wyrwy.

Kiedy, zgodnie z przewidywaniami Levanta, rozzuchwaleni piloci Kazima zaczęli zbliżać się do fortu na odległość kilkuset metrów, pułkownik powiedział do mikrofonu:

- Kapitanie Smythe, niech ta "Małgoška" i jej przyjaciele wezmą się znowu do roboty.

- Są gotowi, sir.

- Jeśli dobrze to zaplanujecie, powinno wam wystarczyć amunicji jeszcze na dwóch takich palantów.

Zadanie okazało się łatwiejsze, niż przewidywał Levant. Dwa myśliwce nadlatywały od wschodu kilkadziesiąt metrów nad pustynią, niemal dotykając się końcami skrzydeł. Gdy były już blisko, obsługa Vulcana otworzyła ciągły ogień na prawą maszynę. Przez chwilę wydawało się, że pociski chybają. Nie było eksplozji, nie było dymu. Nagle jednak Mirage przeszedł płynnie w ostre pikowanie i roztrzaskał się na piasku. Dopiero wtedy lufy "Małgoški" skierowały się na drugi samolot. Szybkostrzelny Vulcan jazgotał jak oszalały wilkołak, zanim ostatecznie zamilkł: skończyła się amunicja. Ale atakująca maszyna była już tylko latającą kupą złomu.

Pilot prawdopodobnie żył jeszcze, maszyna nie runęła bowiem na ziemię, ale zbliżała się do niej łagodnie, jakby w zamiarze awaryjnego lądowania bez podwozia. Wreszcie myśliwiec dotknął piasku pustyni i ślizgając się jak łódź wyścigowa, z wielką siłą uderzył we wschodnią część muru. Potworna eksplozja zvaliła tony gruzu na plac apelowy. Rzucony podmuchem na ścianę baraku, Pitt stracił na moment oddech. Gdy go odzyskał, podniósł się na kolana, usiłując dostrzec coś przez chmurę pyłu, która wypełniła całe wnętrze fortu. Najbardziej niepokoił go los balisty. Spojrzał w tamtą stronę; stała na swoim miejscu, najwyraźniej nie naruszona.

- Cholera jasna!... - zaklął ktoś w pobliżu słabym głosem.

Dopiero teraz Pitt zauważył leżącego na piasku człowieka. Był to Pembroke-Smythe, zmieciony podmuchem eksplozji ze szczytu muru. Podczołgał się do leżącego nieruchomo oficera: jego oczy były zamknięte, jedynie pulsująca na szyi tętnica świadczyła, że jeszcze żyje.

- Jest pan ranny? - spytał Pitt. Nic mądrzejszego nie przychodziło mu do głowy.

- Chyba się cały połamałem - wydusił kapitan przez zaciśnięte zęby.

Pitt obejrzał go uważnie.

- Nic nie widzę - powiedział - a i pańskie kości wyglądają na całe. Może pan poruszać nogami?

Pembroke-Smythe podciągnął kolana i obrócił stopę.

- Kręgosłup w każdym razie się trzyma - przyznał.

Nagle podniósł rękę i w niemym przerażeniu wskazał Pittowi wschodnią część placu

apelowego. Pył już opadł: tam, gdzie jeszcze niedawno tkwili okopani w swoich gniazdach komandosi, piętrzyła się teraz góra pokruszonej gliny i kamieni.

- Odkopcie tych biedaków! - jęknął. - Odkopcie ich natychmiast, na litość boską!

Pitt spróbował ocenić sytuację. Olbrzymia kupa gruzów redukowałą niemal do zera prawdopodobieństwo przeżycia kogokolwiek z tych, którzy znaleźli się pod zburzonym murem. Straszliwy ciężar zwalonych kamieni musiał zmiażdżyć wszystkich. A jeśli nawet któryś cudownie ocalał, to i tak umrze za parę minut z braku powietrza. Nie ma co nawet marzyć o odkopaniu ich w tak krótkim czasie bez ciężkich koparek - a tych oczywiście w forcie nie było. Zanim jednak cokolwiek zdecydował, następne rakiety uderzyły w fort, burząc barak kuchenny. Z drewnianych krokwi jego dachu buchnął w niebo słup ognia i dymu. Mury fortu wyglądały teraz jak porozbijane młotem olbrzymia, wszędzie ziały wielkie wyrwy. Tylko zachodnia ściana pozostała prawie nietknięta, a znajdująca się w niej brama w ogóle nie nosiła śladów bitwy. Na szczęście malijskie myśliwce zużyły już wszystkie rakiety, a ponieważ kończyło im się także paliwo, odleciały na południe, do swojej bazy. Pozostali przy życiu komandosi wypełzli ze swoich ziemnych schronów. Rzucili się z gołymi rękami na górę gruzu, usiłując odkopać kolegów. Ale był to daremny trud. Levant opuścił swoje stanowisko na murze, zszedł na dziedziniec i wydał nowe rozkazy. Rannych zniesiono do podziemnego arsenału, gdzie lekarze byli już gotowi udzielić im niezbędnej pomocy. Asystowały im w roli pielęgniarek kobiety z Tebezzy, wśród nich Eva.

Kiedy Levant kazał przerwać rozkopywanie gruzów i zająć się umacnianiem co większych wyłomów w murze, na twarzach stojących na dziedzińcu ludzi odmalowała się straszliwa rozpacz. Pułkownik wydawał ten rozkaz z ciężkim sercem, ale wiedział, że musi myśleć o tych, którzy jeszcze żyją. Dla poległych nic już nie można było zrobić. Niezniszczalny Pembroke-Smythe kuśtykając obszedł cały fort. Chciał zorientować się w stratach. Nie zważając na ból, promieniujący na całe ciało ze stłuczonego kręgosłupa, nie bacząc na ponure żniwo śmierci - nadal zachowywał pogodę ducha. Dla każdego napotkanego żołnierza miał jakieś słowa otuchy. Ale bilans strat nie nastrajał optymistycznie. Sześciu ludzi zginęło pod gruzami muru, trzech doznali ciężkich obrażeń pod deszczem kamieni. Siedmiu lżej rannych, po opatrzeniu w prowizorycznym szpitalu w piwnicy, wróciło na swoje posterunki. Mogło być gorzej, pomyślał Levant, kiedy Pembroke-Smythe przekazał mu te liczby. Wiedział jednak, że atak z powietrza to dopiero początek.

I rzeczywiście. Po krótkim okresie ciszy u podnóża południowej ściany fortu eksplodowała znowu rakietą. Levant pobiegł na swoje stanowisko obserwacyjne i podniósł lornetkę do oczu. Od południa zbliżały się wolno cztery czołgi, odpalając w krótkich odstępach

czasu kolejne rakiety. Od fortu dzieliło je jeszcze dwa tysiące metrów.

- Francuskie czołgi AMX-30 z rakietami SS-11 - zawołał rzeczowo do stojących na placu apelowym. - Chcą nas trochę zmiękczyć, zanim rzucą piechotę.

Pitt rozejrzał się po dziurawych murach.

- Co tu jeszcze jest do zmiękania? - mruknął do siebie.

Levant zszedł na dół i zwrócił się do Pembroke-Smythe'a, przygarbionego jak dziewięćdziesięcioletni starzec.

- Zabrać wszystkich do piwnicy. Przeczekamy tę strzelaninę. Na górze zostanie tylko obserwator.

- A jeśli czołgi podejda bliżej? - spytał Pitt.

- Wtedy - wyręczył dowódcę Pembroke-Smythe - pozostanie nam już tylko pańska katapulta. Nic innego na te cholerne czołgi niestety nie mamy.

Pitt uśmiechnął się złośliwie.

- Wygląda na to, kapitanie, że i pan zaczyna we mnie wierzyć.

- Na bezrybiu i rak ryba - zakpił pogodnie Pembroke-Smythe.

- Ale w jego głosie nie było optymizmu.



Słońce nad pustynią wstawało w absolutnej ciszy. Zakłócał ją jedynie monotony warkot silnika rajdówki, mknącej przez piaski jak wielki czarny pajak. Giordino spoglądał wciąż na ekran komputera pokładowego, obliczającego dystans, jaki pokonali. W rzeczywistości kluczyli wciąż między diunami, objeżdżali głębokie wąwozy i rozpadliny; dwukrotnie musieli zjechać aż o dwadzieścia kilometrów, zanim wrócili na właściwy, zachodni kurs. Liczba na ekraniku komputera zbliżyła się do 400. Te czterysta kilometrów, dzielących w linii prostej Fort Foureau od granicy Mauretanii, zajęło im całe dwanaście godzin. Oczywiście droga wzdłuż torów, jak proponował Pembroke-Smythe, byłaby znacznie krótsza i szybsza. Ale znacznie większe byłoby też prawdopodobieństwo natknięcia się na patrole Kazima. Gdyby nawet uciekli przed patroliem naziemnym, unicestwiłby ich pierwszy wysłany w pogoń helikopter lub samolot. Już od dłuższego czasu jechali po stosunkowo twardej i równej powierzchni, gęsto usianej drobnymi kamieniami. Pozwalało to utrzymać stałą szybkość 90 kilometrów na godzinę, choć kamienie podłoża, dochodzące nawet do rozmiarów piłki futbolowej, podrzuciły w powietrze lekki pojazd i siedzących w nim ludzi. Steinholm i Giordino znosili to jednak ze spokojem i determinacją. Doskonale wiedzieli, że muszą jechać szybko, jak najszybciej, gdyż jest to jedyna szansa ściągnięcia do Fort Foureau amerykańskiej odsieczy, zanim wojska Kazima uśmiercą wszystkich ludzi w forcie. Giordino miał wciąż w pamięci swoją obietnicę powrotu "na śniadanie", choć teraz wiedział już, że jej spełnienie jest mało prawdopodobne.

- Daleko jeszcze do granicy? - spytał Steinholm wpatrzony w kamienistą drogę przed pojazdem. Spytał po angielsku, akcentem, jakiego nie powstydzilby się Arnold Schwarzenegger.

- Trudno dokładnie powiedzieć - odparł Giordino. - Nie ma, niestety, zwyczaju stawiania słupów granicznych na pustyni. Moim zdaniem już ją przekroczyliśmy.

- Jeśli nawet nie, to przynajmniej teraz, odkąd jest jasno, łatwiej nam jechać.

- Ale i Malijczykom łatwiej nas znaleźć.

- Jestem za tym, żeby skrócić na północ, w stronę kolei - powiedział Steinholm. - Mamy już bardzo mało benzyny. Jeszcze trzydzieści kilometrów i będziemy musieli iść pieszo.

- Dobrze, skręcamy - zgodził się Giordino, spojrzawszy jeszcze raz na dane wyświetlane na ekranie komputera. - Ale nie na północ, tylko na północny zachód. To da nam jeszcze parę kilometrów do przodu, zanim dojedziemy do linii kolejowej. Kto wie, może właśnie tych paru kilometrów brakuje nam do granicy.

- Niedługo się przekonamy - powiedział z przekornym uśmiechem Steinholm.

Obrócił kierownicę nieznacznie w prawo i mocniej przydepnął pedał gazu.

Myśliwce wróciły o jedenastej z nowymi raketami i bombami, by powtórzyć swoją

niszczyielską robotę. Po ich odlocie ostrzał podjęły czołgi, które ustawiły się już znacznie bliżej. Pod osłoną lotniczą i artyleryjską posunęła się też w stronę fortu piechota Kazima; zalegli trzysta metrów od murów i stamtąd zasypywali fort gradem kul i granatów z lekkich moździerzy. Takiej koncentracji ognia nie doświadczał żaden oddział Legii Cudzoziemskiej przez sto lat walk z Tuaregami. To, co zostało z murów po pierwszym ataku, było teraz systematycznie mielone wybuchami pocisków. W końcu fort przestał być fortem. Po paru godzinach ostrzału wyglądał jak odkopane przez archeologów szczątki antycznych ruin. Samolot sztabowy generała Kazima wylądował na pobliskim wyschniętym jeziorze, na północ od linii kolejowej. Naczelnego wodza, któremu towarzyszyli szef sztabu, pułkownik Sghir Cheik, i osobisty doradca, Ismail Yerli, powitał kapitan Mohammed Batutta. Dużym terenowym samochodem zawiózł ich na pole bitwy. Tutaj, w drugim takim samochodzie, urządził sobie sztab polowy dowodzący operacją pułkownik Nouhoum Mansa.

- Przyduśiłeś ich, co? - spytał Kazim.

- Tak jest, generale - zameldował Mansa. - Mój plan przewiduje stopniowe zacieśnianie linii oblężenia, aż do końcowego szturmu.

- Próbowalesz skłonić oddział ONZ do kapitulacji?

- Już cztery razy. Ich dowódca, pułkownik Levant, za każdym razem odmawia.

Kazim uśmiechnął się cynicznie.

- Jeśli tak bardzo chcą umrzeć, to możemy im w tym pomóc.

- Zbyt wielu ich tam nie zostało - ocenił Yerli, obserwując fort przez osadzoną na trójnogu lunetę. - Mur jest kompletnie zrujnowany.

- Ktokolwiek tam siedział po drugiej stronie, musiał zginąć pod gruzami.

- Moi ludzie palą się do walki - rzekł Mansa. - Chcą się jak najlepiej zaprezentować przed ukochanym wodzem.

Kazimowi sprawiło to wyraźną przyjemność.

- No to będą mieli dobrą okazję. Za godzinę ruszą do szturmu.

Wydawało się, że bombardowanie nigdy się nie skończy. Stłoczeni w podziemnym arsenale żołnierze i cywile, razem sześćdziesiąt pięć osób, z coraz większym niepokojem patrzyli na sufit, z którego pod wpływem wstrząsów zaczęły się wykruszać kamienie i glina. Przy schodach prowadzących na górę Eva bandażowała właśnie ramię dziewczyny z oddziału Levanta, pokaleczone odłamkami szrapnela, gdy kolejny pocisk z moździerza trafił niemal dokładnie w otwór wejściowy. Na Evę runęły wielkie kawały poszarpanych wybuchem schodów, a pęd powietrza rzucił ją na twardą posadzkę. Straciła przytomność. Gdy ją odzyskała, leżała już na podłodze pośród innych rannych. Pierwszą osobą, jaka pojawiła się w jej polu widzenia, był

Dirk. Jego zmęczoną, spoconą twarz pokrywała gęsta szczecina, na której osiadł gęsto biały pył pustyni, postarzając go przedwcześnie. Usiadł obok i lekko ścisnął jej dłoń.

- Witaj znowu na tym świecie - powiedział. - Czy wiesz, że byłeś żywą tarczą dla nas wszystkich, kiedy granat zawalił wejście?

- Zawalił? Jesteśmy zasypani?

- Nie. Możemy wyjść, jeśli będzie trzeba. Na razie Pembroke-Smythe kazał zostawić tę kupę gruzu na schodach; daje nam dodatkową osłonę.

- To dlatego jest tak ciemno? - spytała.

- Tak. Komandosi przekopali na razie tylko wąski otwór, żebyśmy się tu nie podusili.

- Cała jestem zdrętwiała. Dziwne, ale nic mnie nie boli.

- To dlatego, że przed chwilą naszpikowałem panią środkami znieczulającymi - wyjaśnił lekarz, młody, rudobrody Szkot. Uśmiechnął się przepraszająco. - Musiałem to zrobić. Nie może się pani obudzić, kiedy będę składać kości do kupy.

- Aż tak źle ze mną?...

- Jeśli nie liczyć złamanej prawej ręki i barku, kilku pękniętych żeber - bez rentgena trudno powiedzieć, ilu - wywichniętego lewego stawu biodrowego i kolana, masy siniaków oraz możliwych obrażeń wewnętrznych, jest pani całkiem zdrowa.

- Dziękuję za szczerść - rzekła.

Lekarz poklepał ją po zdrowym ramieniu.

- Przepraszam, że mówię to wszystko, ale sądzę, że powinna pani znać całą prawdę.

- Rozumiem - odparła, siląc się na uśmiech.

- Za dwa miesiące będzie pani mogła przepłynąć Kanał La Manche.

- Prawdę mówiąc, wolę pływanie w ciepłym basenie.

Pembroke-Smythe, który niezamordowanie krążył między ludźmi, podtrzymując ich na duchu, zatrzymał się na chwilę nad Evą.

- No, no, doktorze Rojas, prawdziwa z pani żelazna dama.

- Przesada. W każdym razie podobno to przeżyję.

- Jasne - potwierdził Pitt. - Może tylko, nie będzie chwilowo uprawiać żadnego szalonego seksu.

- Chwilowo? - Pembroke-Smythe zrobił łobuzerską minę. - Wyobrażam sobie, co będzie, jak dojdzie do siebie!

Ale Eva nie słyszała już rubasznych uwag kapitana. Miętko zapadła w mrok narkozy.

Pitt i Pembroke-Smythe wymienili spojrzenia; w ich oczach nie było już śladu dobrego humoru.

- W razie czego - powiedział kapitan, wskazując kaburę przy pasku Pitta - nie odmówi pan jej tej przysługi?

Pitt skinął głową z powagą.

- Zaopiekuję się nią.

Podszedł do nich Levant, posępny i wyraźnie zmęczony. Pułkownik zdawał sobie sprawę, że ludzie nie wytrzymają już długo tej katorgi. Widok udręczonych kobiet i dzieci zburzył spokój ducha twardego oficera-profesjonalisty. Nie mógł się pogodzić z bezsensowną jatką, której ofiarą padli niewinni cywile, i żołnierze, darzeni przez niego niemal ojcowskim uczuciem. Najbardziej obawiał się momentu, w którym ustanie ostrzału artyleryjski i masa rozwścieczonych Malijczyków rzuci się na nich, by dokonać końcowej masakry.

Na podstawie systematycznych meldunków obserwatora oceniał siły przeciwnika na tysiąc do półtora tysiąca żołnierzy. Do tego dochodziły cztery czołgi. On sam miał już tylko dwudziestu dziewięciu ludzi; razem z Pittem. Nie potrafił przewidzieć, jak długo będą mogli bronić się w tych warunkach; może godzinę, może dwie, ale na pewno nie długo.

- Kapral Wagliński meldował przed chwilą, że Malijczycy zaczynają się przegrupowywać - powiedział do Pembroke-Smythe'a. Najwyraźniej szykują się do szturmu. Niech pan każe oczyścić wyjście; jak tylko tamci przestaną bombardować, wyprowadzi pan ludzi na zewnątrz.

- Tak jest, pułkowniku.

Levant odwrócił się do Pitta.

- No, myślę, że pora wypróbować pańską konstrukcję.

Pitt wstał.

- To byłby prawdziwy cud, gdyby coś jeszcze z niej zostało.

- Kilka minut temu była jeszcze cała; widziałem przez otwór na górze.

- Podobno Kazim domagał się przez radio kapitulacji. Co mu pan odpowiedział?

- To samo, co generał Cambronne pod Waterloo: merde.

- Czyli "gówno" - wyjaśnił grzecznie Pembroke-Smythe.

Cisza, która zapanowała nagle, była tak głęboka i tak kompletna, jakby ktoś przykrył podziemny arsenał wielkim grubym kocem. Wszyscy zastygli. Spoglądali w górę, jakby próbowali przebić wzrokiem trzymetrowy strop. Po chwili szok minął. Od sześciu godzin unieruchomieni żołnierze grupy taktycznej energicznie ruszyli do wyjścia, rozkopali gruz, wybiegli pod palące słońce i zajęli stanowiska bojowe na ruinach. Rozglądali się w zdumieniu. Z fortu, jaki widzieli jeszcze parę godzin temu, nic już prawie nie zostało. Wyglądał, jakby właśnie zakończyła tu pracę ekipa rozbiórkowa z ciężkim sprzętem. Wszystkie budynki były zburzone, z wraków transporterów bił w niebo gęsty czarny dym. Nad ruinami bzykały kule niczym rój

oszałych szerszeni. Spoceni, brudni, głodni i bardzo już zmęczeni żołnierze UNICRATT nie odczuwali jednak lęku. Czekali spokojnie, gotowi do śmiertelnej walki, pewni, że nie sprzedadzą tanio swej skóry. Przeciwnik będzie musiał za nią zapłacić straszliwymi ofiarami.

- Nie otwierać ognia, czekać na mój sygnał - zabrzmiał we wszystkich hełmofonach rozkaz Levanta.

Plan taktyczny Kazima był dziecinnie prosty: czołgi przebiją się od zachodu przez drewnianą bramę, a wtedy piechota zaatakuje jednocześnie ze wszystkich stron. Naczelnny wódz postanowił rzucić do walki od razu wszystkich tysiąc czterystu siedemdziesięciu żołnierzy, nie zostawiając żadnych rezerw. Po co miałyby je zostawiać?

- Zwycięstwo ma być absolutne - oznajmił swoim oficerom. - Nie brać jeńców!

- Nawet gdyby się poddawali? - odważył się spytać pułkownik Cheik. - Nie sądzi pan, że to trochę ryzykowne, generale?

- Masz jakieś wątpliwości, przyjacielu?

- Jeśli świat dowie się, że zabiliśmy jeńców, w dodatku żołnierzy ONZ, może to na nas ściągnąć poważne sankcje.

Kazim wypiął dumnie pierś.

- Nie pozwolę, aby obcy najeźdźcy pozostali bezkarni. Świat musi zrozumieć, że nie można traktować narodu malijskiego jak robactwo.

- Zgadzam się z generałem - odezwał się Yerli. - Wrogowie narodu, wrogowie waszego państwa, muszą być bezwzględnie zniszczeni.

Kazim był podniecony, jak jeszcze nigdy w życiu. Nic dziwnego: jeszcze nigdy nie dowodził w prawdziwej bitwie. Cała jego błyskawiczna kariera opierała się na intrygach i manipulacjach. Jedyne rozkazy bojowe, jakie dotychczas wydawał, dotyczyły jawnych i tajnych mordów działaczy opozycji. Skutecznie jednak wylansował obraz Kazima - Wielkiego Wodza, który przez lata wiernej służby dla narodu pokonał w polu całe armie wrogów. Teraz trzeba było ten obraz utrwalić.

- Oto historyczna chwila - rzekł patetycznie. - Zaczyna się wielkie, bezpośrednie starcie z nieprzyjacielem. Wydajcie oddziałom rozkaz: "Naprzód!".

Szturmujący żołnierze szli przez pustynię zgodnie z klasycznymi, podręcznikowymi regułami ofensywy piechoty. Pokonywali teren krótkimi skokami, po czym przypadali do ziemi i strzelali seriami do niewidocznego wroga, by dać osłonę ogniową biegnącym kolegom. Podręcznikowe były też okrzyki bojowe, choć dystans był jeszcze zbyt duży, by przeciwnik mógł je słyszeć. Nie przestrzegały jednak reguł sztuki wojennej czołgi, które, zamiast rozproszyć się, objechały fort zwartą kolumną, a potem skierowały się na bramę niemal jeden za drugim,

wąskim wachlarzykiem.

Komandosi pomogli Pittowi przesunąć cudownie ocalałą balistę bliżej zachodniego muru, w sąsiedztwo bramy. Przynieśli też kanistry z ropą, ukryte na czas bombardowania w piwnicy. Teraz trzeba było jeszcze naciągnąć sprężyny. W średniowiecznych machinach oblężniczych robiono to ręcznie, z pomocą systemu kołowrotów i bloczków. W modelu Pitta wykonywał to napędzany małym silnikiem podnośnik hydrauliczny; jego żelazne łapy odciągały górne końce resorów i zamocowaną między nimi deskę wyrzutni za pomocą grubej nylonowej liny alpinistycznej.

- No, dziecinko - mruknął karcąco Pitt, gdy po pierwszym pociągnięciu linki startera silniczek benzynowy kaszlnął i zamarł. - To nie najlepsza pora na kaprysy.

Za drugim razem jednak silnik zaskoczył. Okrzyk ulgi wyrwał się z ust żołnierzy obserwujących wysiłki Pitta. To była ich jedyna szansa; jeśli czołgi wejdą na teren fortu, atakujący tłum Malijczyków nie będzie tu już miał nic do roboty; najwyżej dobijać rannych. Pitt włączył sprzęgło podnośnika i lina wygięła górną część resorów do pozycji poziomej. Dwaj żołnierze pomogli mu umieścić ciężki kanister na desce-wyrzutni; trzeba to było robić ostrożnie, aby nieopatrzny ruchem nie zwolnić przedwcześnie spustu. Wyciągnął nóż i zaznaczył na drewnianej belce ramy miejsce, w którym znalazła się końcówka resoru. Chciał wiedzieć, jak daleko ma naciągać sprężyny przy następnych strzałach. Jeszcze raz spojrzął przez dużą dziurę w bramie na zbliżające się czołgi.

- Od którego pan zacznie? - spytał Levant.

- Spróbuję od ostatniego; potem będę posuwał się do przodu.

- Rozumiem: w ten sposób pierwsi nie zorientują się w niebezpieczeństwie. Miejmy nadzieję, że ten podstęp się uda.

Powietrze wibrowało nad rozpalonymi od słońca stalowymi pancierzami czołgów. Ich działa i karabiny maszynowe pluły wciąż pociskami w stronę resztek murów. Gdy pierwszy czołg zbliżył się na tyle, że Pitt widział już niemal oczy kierowcy w szczelinie obserwacyjnej, zapalił wilgotną od ropy szmatę, wetkniętą w otwór w blasze kanistra; natychmiast buchnęła ogniem. Nacisnął klamkę, swoje prymitywne, ale skuteczne urządzenie spustowe. Lina zsunęła się z zaczepu i zgięte w pół resory samochodowe powróciły w ułamku sekundy do naturalnej, prostej pozycji. Wielki kanister z płonącym szmacianym ogonem przeleciał jak kometa ponad murem, ponad atakującymi czołgami - i wylądował daleko za ostatnim z nich. Jezioro ognia, jakie rozlało się na pustyni, nie wyrządziło Malijczykom żadnej szkody.

Pitt patrzył na to z bezbrzeżnym zdumieniem.

- Boże, to wali znacznie dalej, niż mogłem sobie wyobrazić!

- Pięćdziesiąt metrów bliżej, dziesięć metrów w prawo - odezwał się Pembroke-Smythe spokojnym głosem oficera artylerii, wydającego rutynowe instrukcje obsłudze nowoczesnego działa.

Pitt zaznaczył nożem nową kreskę na ramie, nieco wyżej od poprzedniej, i ponownie uruchomił mechanizm podnośnika, by naciągnąć sprężyny. Ludzie Levanta obrócili maszynę nieznacznie i pospiesznie umieścili na wyrzutni drugi kanister. Pitt bez chwili wahania powtórzył czynności ogniomistrza: zapalił szmaciany knot i zwolnił spust. Tym razem kanister uderzył w ziemię kilka metrów przed ostatnim czołgiem, potoczył się między gąsienice i eksplodował pod kadłubem pancernego potwora. Czołg niemal natychmiast stanął w płomieniach. Czteroosobowa załoga rzuciła się do ucieczki, walcząc o pierwszeństwo przy klapach. Tylko dwaj uszli z życiem. Pitt nie obserwował tego, zajęty bez reszty czynnościami artylerzysty. Szło mu coraz lepiej. Trzeci kanister uderzył prosto w wieżyczkę czołgu i rozbił się na niej, w ułamku sekundy zmieniając pancerny pojazd w wielką płonąca pochodnię.

- To działa, naprawdę działa - mruzczał do siebie Pitt, przygotowując balistę do następnego strzału.

Znacznie więcej entuzjazmu okazywał Pembroke-Smythe, zwykle pełen chłodnej rezerwy. Jego zachwyty nad osiągnięciami maszyny były teraz równie wielkie, jak uprzedni sceptycyzm i sarkazm.

- Wspaniałe widowisko, Pitt! - wołał. - Jeszcze trochę, a wyrwie pan tym draniom wszystkie kły!

Pitt i pomagający mu żołnierze nie potrzebowali słów zachęty. I bez tego wiedzieli, jak wiele zależy od ich wysiłku. Tymczasem Levant wspiał się na ostatni już ocalały fragment muru, by ocenić przebieg bitwy. Niespodziewana utrata dwóch czołgów ostudziła zapały atakujących: zalegli w piasku, choć z ruin fortu nikt do nich nie strzelał. Levant wiedział jednak, że jeśli dobra passa Pitta skończy się, jeśli do fortu wdrze się chociaż jeden czołg - masakra obrońców jest nieunikniona. A wtedy piechota malijska będzie mogła spokojnie i bezpiecznie wznowić szturm, z tragicznym skutkiem dla pozostawionych w arsenale bezbronnych cywilów.

Pitt po raz czwarty zwolnił mechanizm spustowy. Mierzył dobrze, ale chwilę wcześniej dowódca czołgu zorientował się, że obrońcy dysponują jakąś skuteczną bronią przeciwpancerną, i rozkazał kierowcy jechać zygżakiem. Ostrożność opłaciła się: czwarty kanister wyładował na piasku kilka metrów od lewej gąsienicy czołgu. Choć ogień rozlał się szeroko, maszyna uciekła z jego zasięgu i parła bez żadnej szkody naprzód.

Widząc to Malijczycy znów poderwali się do szturm, wznosząc beładne okrzyki bojowe. Atakowali gęstą, szeroką ławą, jak armia migrujących mrówek. Żołnierze grupy taktycznej,

przyczajeni w ruinach, mieli wielką ochotę otworzyć ogień. Przy takim zagęszczeniu przeciwników nie można było spudłować. Ale Levant wciąż nie wydawał decydującego rozkazu. Wiele godzin temu, jeszcze przed odjazdem Steinholma i Giordina, pułkownik wyszedł z fortu na pustynię i zatknął w piasku drążki, wyznaczające linię otwarcia ognia. Nie chciał ryzykować fałszywej oceny dystansu w bitewnej gorączce. Przedwczesna kanonada oznaczałaby marnowanie amunicji, której nie mieli zbyt wiele. Ale zwlekanie z otwarciem ognia aż do momentu, gdy będzie już widać białka oczu napastników, groziło zagładą; przy tej przewadze liczebnej atakujący po prostu zdusiliby obrońców swoją masą. Za optymalny dystans uznał siedemdziesiąt pięć metrów i w takiej też odległości od muru ustawił swoje znaki.

Pierwsza fala szturmujących zbliżała się już do zatkniętych w piasku pustyni drążków. Levant zwlekał jednak z rozkazem otwarcia ognia, mając nadzieję, że Pitt zdąży przedtem sprzątnąć dwa pozostałe czołgi. Nadzieje jego wzrosły po następnym strzale. Pitt uwzględnił tym razem kluczący kurs czołgu, trafnie przewidział, gdzie znajdzie się on w momencie strzału, i wpakował swój ognisty pocisk niemal dokładnie w szczelinę obserwacyjną. Płomienie przesłoniły na moment cały przód czołgu. A potem nastąpiła rzecz niewiarygodna. Spoza ognistej kurtyny wyskoczyła w górę cała wieżyczka; wielka żelazna bryła przeleciała w powietrzu kilkadziesiąt metrów, zanim wbiła się w piasek. Po pustyni przetoczył się potworny huk eksplozji.

Niezwykłe zdarzenie zdeprymowało i ponownie zatrzymało napastników. Pitt zyskał dzięki temu trochę czasu na staranne przygotowanie się do strzału. Tym razem nie wolno mu było chybić - pomagający mu komandosi ułożyli na wyrzutni ostatni pocisk. Nie było więcej kanistrów, a choćby się i znalazły, nie było ich czym napełnić. Obrońcy fortu zastygli w napięciu, gdy Pitt po raz ostatni namierzał cel dla średniowiecznej maszyny. On też miał świadomość, że jeśli nie trafi, wielu niewinnych ludzi zginie straszną śmiercią. Czołg tymczasem posuwał się prosto ku bramie. Jego dowódca nawet nie próbował kluczyć. Był tak blisko, że Pitt musiał w ostatniej chwili podłożyć coś pod tylną część ramy balisty, aby skrócić zasięg strzału. Nacisnął klamkę spustu, powierzając się boskiej opiece. Udało się. Pocisk, który ułamek sekundy później wystrzelił kanonier czołgu, trafił w lecący kanister, rozpylając kilka metrów przed lufą czołgu chmurę łatwopalnego pyłu, która natychmiast zmieniła się w wielką kulę ognia. Przerażony kierowca błyskawicznie włączył wsteczny bieg, próbując uciec ze strefy pożaru. Udało mu się, ale już po chwili najechał z dużą szybkością na płonące wciąż podwozie czołgu, zniszczonego przed chwilą wielką eksplozją. Ogień ogarnął splątana, nieruchomą masę żelastwa, w której jeszcze przez parę minut błyskały eksplozje pocisków i zbiorników paliwa.

Ponad łoskotem broni maszynowej Malijczyków i gwizdem kul wzniósł się gromki okrzyk



radości wszystkich komandosów. Teraz, gdy prymitywna katapulta Pitta odsunęła od nich najgorszą groźbę, wpadli w euforię i odnaleźli w sobie nową, silniejszą niż przedtem wolę walki. Już nie "do ostatniej kropli krwi", lecz do zwycięstwa.

- Teraz oni doświadczą rozkoszy cierpienia - rzekł cicho Levant. Potem, tonem formalnego rozkazu, zawołał do mikrofonu; - Mierzyć starannie! Krótkimi seriami - ognia!

Tylko przez moment Giordino widział długi, nie kończący się sznur wagonów: cztery pociągi, stojące jeden za drugim martwo na torach. Po chwili nagły atak wiatru podniósł burzę piaskową, a widoczność w ciągu paru sekund spadła z dwudziestu kilometrów do piętnastu metrów.

- Ciekaw jestem, czy to już Mauretania - rzekł Steinholm, prowadząc rajdówkę najoszczędniej, jak umiał: bardzo wolno, na trzecim biegu. Benzyna mogła się skończyć w każdej chwili.

- Też chciałbym to wiedzieć - odparł Giordino. - Massarde mógł równie dobrze zatrzymać te pociągi po wschodniej stronie granicy. To jego własna linia.

- A co mówi komputer pokładowy?

- Z rachunków wynika, że już dziesięć kilometrów temu przekroczyliśmy granicę.

- No to zaryzykujmy i podjedźmy bliżej toru.

Nie czekając na odpowiedź, Steinholm skręcił lekko w prawo i poprowadził samochód między dwiema wysokimi skałami na niewielkie wzgórze. Tam nagle zatrzymał pojazd. Giordino natychmiast zrozumiał przyczynę. On też słyszał coraz silniejszy, coraz bardziej jednoznaczny, dudniący dźwięk. Po chwili dźwięk zawisł niemal dokładnie nad nimi, ale w gęstym тумanie piasku nadal nie było widać jego źródła. Steinholm szybko wrzucił pierwszy bieg i przycisnął do deski pedał gazu. Obroty nie wzrosły jednak, a po chwili silnik stanął. Skończyło się paliwo. Z rezygnacją wsłuchiwali się w ogłuszający łoskot śmigieł.

- Ciekawe, jak nas wypatrzyli w tej burzy - mruknął Giordino.

- Pewnie mają radar - odparł Steinholm i wałnął wściekle pięścią w koło kierownicy.

Brunatna chmura pyłu przerzedziła się nieco i wtedy zobaczyli helikopter. Wisiał w powietrzu tuż nad ziemią, zaledwie kilkanaście metrów przed nimi, jak ogromny krwiożerczy insekt przybyły z innej planety. Trzydziestomilimetrowe działko szybkostrzelne, osiem rakiet przeciwpancernych naprowadzanych laserem i dwie baterie małych, 2,5-calowych rakietek - wszystko to było wymierzone wprost w nie-ruchomą rajdówkę. Giordino i Steinholm nie próbowali nawet uciekać. Siedzieli sztywno na swoich miejscach, czekając na straszliwy błysk bólu, po którym nastąpi wieczna ciemność. Ale nic takiego się nie zdarzyło. Zamiast tego z otwartych drzwi śmigłowca zeskoczył na ziemię jakiś człowiek. Kiedy podszedł bliżej, zobaczyli, że ma na sobie typowy polowy mundur wojsk desantowych, obwieszony supernowoczesnym sprzętem. Kask na głowie okryty był maskującą tkaniną; kominiarka i gogle skutecznie zakrywały całą twarz. Opuszczony ku ziemi pistolet maszynowy wydawał się przyrośnięty do dłoni.

Stanął przed samochodem i przez dłuższą chwilę przyglądał się jego pasażerom w milczeniu. W końcu przemówił najczystszą teksaską angielszczyzną:

- A skąd, do ciężkiej cholery, wzięliście się tutaj?

Gdy zabrakło amunicji i celów dla balisty, Pitt chwycił dwa karabiny maszynowe, pozostawione przez ciężko rannych komandosów, i usadowił się z nimi w jednoosobowym bunkrze, utworzonym przypadkowo z fragmentów zwałonego muru. Patrzył na atakujących Malijczyków z niekłamanym podziwem. Rośli, pozornie ociążali mężczyźni posuwali się ku fortowi szybkimi skokami, zręcznie lawirując pośród kul. Nie na wiele się to jednak zdawało. Na płaskim terenie, pozbawionym jakichkolwiek naturalnych kryjówek, stanowili łatwy cel dla doświadczonych strzelców grupy taktycznej. Padali pod kulami jak łan trawy pod kosą, często nie zdając sobie nawet sprawy, skąd przyszła śmierć. Po dwudziestu minutach szturm ponad dwustu siedemdziesięciu zabitych i rannych leżało wokół fortu. Druga fala atakujących przebiegła po trupach pierwszej, ale także załamała się, gdy zdziętkował ją ogień z fortu. Żołnierze i oficerowie Kazima byli kompletnie zdezorientowani. Nikt z nich nawet nie podejrzewał, że obrońcy mogą stawić taki opór. Prymitywnie za-planowany szturm przerodził się w chaos sprzecznych działań. Żołnierze z dalszych linii strzelali na oślep, często zabijając i raniąc wysuniętych do przodu kolegów.

W końcu większość uczestników ataku rzuciła się do panicznej ucieczki. Tylko nieliczni, najdzielniejsi, posuwali się wciąż naprzód, strzelając do wszystkiego, co wydawało im się zaczajonym w ruinach wrogiem. Trzydziestoosobowa grupa Malijczyków próbowała dotrzeć do spalonych czołgów, by ukryć się za nimi, ale Pembroke-Smythe przewidział ten manewr i skierował na nich huraganowy ogień swoich żołnierzy. Nikt z nich nie dotarł do celu. W niespełną godzinę po rozpoczęciu szturm terkot wystrzałów zdecydowanie osłabł, a przestrzeń nad pustynią wypełniły jęki i krzyki rannych. Żołnierze ONZ ze zdumieniem i bólem patrzyli na dokonujący się przed ich oczami posępny dramat: na polu bitwy nie pojawił się ani jeden sanitariusz, nikt też nie próbował zabrać cierpiących, umierających z upływu krwi ludzi. Żołnierze ONZ nie mogli oczywiście wiedzieć, że taki był rozkaz generała Kazima: zostawić "tchórzliwych łajdaków" na pewną śmierć pod bezlitosnym słońcem pustyni.

Pembroke-Smythe zrobił bilans strat we własnych szeregach.

W wyniku szturm jeden żołnierz zginął, trzech było rannych, w tym dwóch ciężko. Kapitan zameldował o tym z posępną miną, dodał jednak optymistyczny komentarz:

- Proporcje sił poprawiły się na naszą korzyść, sir.

- Niekoniecznie - wtrącił się Pitt, podając Smythowi manierkę z wodą. - Kazim może przed następnym szturmem ściągnąć posiłki.

- Pan Pitt niestety ma rację - stwierdził Levant. - Widziałem przed chwilą kilka dużych śmigłowców. Przywiozły co najmniej dwie kompanie żołnierzy.

- Jak pan sądzi, pułkowniku, - spytał Pitt - kiedy wznowią atak?

- Przypuszczam, że w najgorętszej porze dnia. Kazim wie, że jesteśmy mniej odporni na upał niż tubylcy; potrzyma nas na tej patelni parę godzin, aż zmiękniemy, i dopiero wtedy zaatakują.

- Chce pan powiedzieć - zawołał z wściekłością Giordino - że nie polecicie tam i nie zabierzecie tych ludzi?

Pułkownik Gus Hargrove nie był przyzwyczajony, by ktoś na niego krzyczał, zwłaszcza jeśli ten ktoś był śmiesznym kurduplem i, co gorsza, cywilem. Dowódca "Army Range!", tajnej formacji sił powietrzno-desantowych USA był twardym żołnierzem, mającym za sobą służbę w kawalerii powietrznej w Wietnamie, Granadzie, Panamie i Iraku. Był szorstki i brutalny, ale zarówno podwładni jak przełożeni szanowali go, cenili, a nawet na swój sposób lubili. Nie wyjmując z ust cygara - robił to zwykle tylko po to, by splunąć - popatrzył na

Giordina twardym, zimnym spojrzeniem bładoniebieskich oczu.

- Zdaje się, że nie rozumiesz, Giordano...

- Giordino!

- Wszystko jedno, sir - burknął ironicznie Hargrove. - Był przeciek informacyjny, przypuszczalnie w ONZ: Malijczycy wiedzą o nas. Połowa ich sił powietrznych patroluje w tej chwili zachodnią granicę. Musisz wiedzieć, że śmigłowiec Apache jest tylko ruchomą wyrzutnią rakiet przeciwpancernych, ale do walki z Mirage'ami zupełnie się nie nadaje. W każdym razie nie przy świetle dziennym.

- Bez własnej osłony myśliwców możemy tam polecieć dopiero w nocy.

- Ale ci wszyscy ludzie - w tym kobiety i dzieci - zginą, jeśli najdalej za trzy godziny nie dotrzemy do Fort Foureau.

- Ciekawe, jak mamy to zrobić. Bo lecieć tam natychmiast - w biały dzień, kiedy przeciwnik jest ostrzeżony, i bez osłony myśliwców - to bardzo kiepski pomysł, Giordino! Nie ulecimy nawet pięćdziesięciu kilometrów! Strącą nas jak baloniki na strzelnicy. Możesz mi łaskawie odpowiedzieć, co zyskają na tym ci nieszczęśni ludzie w forcie?

Przyparty do muru, Giordino spuścił z tonu.

- Ma pan rację, pułkowniku, przepraszam. Nie zdawałem sobie sprawy z całości sytuacji.

Hargrove wyraźnie zmiękł.

- No, widzę, że się rozumiemy. Teraz możemy porozmawiać rzeczowo, choć obawiam się, że i tak niewiele wymyślimy.

Giordino poczuł, jak serce podjeżdża mu do gardła. Odwrócił się i popatrzył na pustynię. Piaszczysty pył już opadł, odsłaniając pociągi stojące w oddali na torach.

- Ilu ma pan ludzi? - zwrócił się do pułkownika.

- Jeśli nie liczyć pilotów śmigłowców, osiemdziesięciu.

Giordino otworzył szeroko oczy z niedowierzaniem.

- Osiemdziesięciu ludzi przeciw połowie malijskiej armii?

- Tak - Hargrove uśmiechnął się chytrze, wyjął z ust cygaro i splunął. - Ale mamy dość amunicji, żeby przewrócić do góry nogami pół Afryki.

- A może... - myślał głośno Giordino - moglibyśmy dotrzeć do Fort Foureau tak, by nas nie zauważyli?

- Masz jakiś dobry pomysł? - Hargrove zaciekawiał się. - Chętnie posłucham.

- Na pewno zwrócił pan uwagę na te pociągi. Czy odjechał choćby jeden w stronę Fort Foureau?

- Nie. Odkąd tu jesteśmy, wszystkie stoją. Podsluchaliśmy rozmowy radiowe maszynistów. Mają polecenie stać tu i czekać na dalsze instrukcje od dyrektora linii.

- A ten malijski posterunek graniczny? Ilu ich tam jest?

- Dziesięciu, może dwunastu.

- Potrafiłby pan ich zdjąć, ale dyskretnie, żeby nie narobili hałasu?

Wzrok Hargrove'a powędrował przez stojące pociągi. Zatrzymał się dłużej na pięciu pustych, fabrycznie nowych platformach przy-krytych plandekami, potem przesunął się szybko na widoczny w oddali budynek malijskiej straży granicznej. Dopiero dokonawszy tego przeglądu, pułkownik odpowiedział:

- A jak myślisz, czy John Wayne umiał jeździć konno?

- No to mamy szansę być w forcie za dwie i pół godziny - stwierdził Giordino. - Góra trzy.

Hargrove wyjął cygaro z ust i przyglądał mu się badawczo.

- Chyba rozumiem. Ten bydlak Kazim na pewno nie spodziewa się, że przyjedziemy pociągiem.

Giordino odetchnął z ulgą. Ale Hargrove miał jeszcze pewne wątpliwości.

- A co będzie, jeśli któryś z pilotów Kazima zobaczy pociąg i rozwali go?

- Nie zrobi tego bez porozumienia z Kazimem. A Kazim nigdy w życiu nie ośmielił się zniszczyć pociągu należącego do Massarde'a, zanim nie upewni się całkowicie, że pociąg został uprowadzony. My tymczasem będziemy już w forcie.

Hargrove zrobił kilka kroków w tę i z powrotem. Plan z pewnością był ryzykowny i nietypowy. Ale z drugiej strony, gdyby się powiodł, mógł znakomicie uświetnić i przyspieszyć

jego karierę wojskową.

- Dobrze - zdecydował. - Pojedziemy sobie ciuchcią.

Kiedy okazało się, że garstki obrońców starego fortu nie można zmiażdżyć jednym uderzeniem, Zateb Kazim wpadł w szał. Bombardował swoich oficerów na przemian wulgarnymi przekleństwami i wzniosłymi patriotycznymi tyradami. Histeryzował jak dziecko, któremu zabrano ulubione zabawki. Nie panując zupełnie nad sobą, spoliczkował dwu oficerów i kazał ich natychmiast rozstrzelać; na szczęście szef sztabu, pułkownik Cheik, wyperswadował mu to. O wycofujących się żołnierzach Kazim mówił z bezbrzeżną pogardą i nienawiścią. Wydał rozkaz, by jak najszybciej ich przegrupować i rzucić ponownie do szturm. Głęboko przejęty boskim gniewem naczelnego wodza pułkownik Mansa, wróciwszy do swoich rozbitych oddziałów szturmowych, zwymyślał oficerów od tchórzów i zdrajców, obciążając ich całą odpowiedzialnością za haniebny odwrót. W końcu przekazał im rozkazy Kazima, zarządził szybkie przegrupowanie i ponowny szturm, a chcąc dodać powagi swoim słowom, kazał natychmiast rozstrzelać dziesięciu schwytanych dezertersów. Tym razem wojska Kazima miały przystąpić do szturm długą, potężną kolumną z jednej tylko strony - od zachodu. Zamykający kolumnę żołnierze z oddziałów posiłkowych dostali rozkaz strzelania do każdego, kto będzie próbował cofnąć się lub uciec. Wszyscy szturmujący mieli myśleć tylko o jednym: "Walcz albo giń!". O drugiej po południu przegrupowane już oddziały malijskie czekały na sygnał do szturm. Doświadczony dowódca widząc posępne, wystraszone twarze żołnierzy, odwołałby atak. Najwyraźniej nikt z nich nie darzył Naczelnego Wodza aż taką miłością, by za niego umierać. Ale gdy ruszyli już naprzód i zobaczyli z bliska setki martwych lub dogorywających kolegów, żądza odwetu zaczęła brać górę nad strachem przed śmiercią. Tym razem, przysięgali sobie w duchu, przekłعی wrogowie, cudzoziemcy okopani w Forcie Foureau pójdą do piachu.

Pembroke-Smythe siedział na myśliwskim stołku, wbitym w szczyt rumowiska, jakby rzucał wyzwanie malijskim strzelcom wyborowym, ostentacyjnie lekceważąc ich umiejętności. W istocie w ogóle o nich nie myślał. Wpatrywał się przez lornetkę w odległe o kilometr oddziały wroga, usiłując odgadnąć ich zamiary.

- Zdaje się, że te łachudry znów szykują się do ataku - powiedział do Levanta i Pitta, gdy wrócił na plac apelowy.

Chwilę później nad pozycjami Malińczyków wystrzeliły w górę kolorowe flary. Tym razem nie było żadnego przygotowania artyleryjskiego ani lotniczego. Kolumna żołnierzy malijskich ruszyła biegiem w stronę ruin fortu. Ciszę nad pustynią przerwały okrzyki bojowe z niemal dwóch tysięcy gardeł.

Pitt poczuł się jak aktor stojący naprzeciw widowni, na którą przez otwarte wejścia wlewa się wrogo usposobiona publiczność.

- Nie nazwałbym tego genialnym pomysłem taktycznym - powiedział obserwując sunącą od zachodu gęstą kolumnę. - Ale może się to okazać skuteczne.

Pembroke-Smythe przytaknął.

- Kazim chce użyć swoich ludzi jak walca parowego.

- No to wszystkiego najlepszego, panowie - powiedział Levant z ponurym uśmiechem. - Nie można wykluczyć, że już wkrótce spotkamy się wszyscy na tamtym świecie.

- Jedno jest pewne; nie będzie tam gorzej niż tutaj - podchwycił nutę czarnego humoru Pitt.

Pułkownik spojrzał na Pembroke-Smythe'a.

- Proszę przemieścić ludzi: będą odpierać frontalny atak z jednej strony. Ogień otworzą według własnego uznania.

Pembroke-Smythe krążył po ruinach, instruując kolejno wszystkich żołnierzy. Levant zajął pozycję na ostatnim ocalałym kawałku muru, a Pitt powrócił do prymitywnego "bunkra", do którego zdążył się już przyzwyczać. Pierwsze kule zabębniły po kamieniach zburzonego fortu.

Atakujący biegli ławą, szeroką na siedemdziesiąt pięć metrów. Ludzie w ostatnich szeregach nie mieli powodów do niepokoju. Byli niemal pewni, że wejdą do fortu nietknięci; zanim tam dotrą, ostatni z obrońców już dawno będzie martwy. Ale ci z pierwszych linii pełni byli czarnych myśli. Nasiliły się one, gdy w pierwszych szeregach pojawiły się głębokie wylomy. Ludzie padali skoszeni seriami, ale pozostali biegli wciąż naprzód. Nie było odwrotu. Wydany przez Kazima oddziałom odwodowym rozkaz strzelania do uciekinierów z pewnością byłby

wykonany. Posuwali się więc dalej. I, rzecz paradoksalna, im bardziej zbliżali się do fortu, im więcej ich ginęło - tym więcej było w nich ochoty do walki. Działała psychologiczna potrzeba zemsty, odwetu, a także coraz silniejsze przekonanie, że zwycięstwo jest jednak możliwe.

Pitt strzelał krótkimi seriami. Wpadł w dziwny, mechaniczny trans; celował, strzelał, znów celował i strzelał, wyrzucał zużyte magazynki, ładował nowe, i znowu celował i strzelał. Choć minęło zaledwie dziesięć minut od początku szturmowania miał wrażenie, że ta rutyna powtarza się już całe wieki.

Nagle gdzieś za nim wybuchł pocisk wystrzelony z moździerza. Kazim przypomniał sobie, choć późno, o możliwości użycia lekkiej artylerii. Teraz, dopóki jego żołnierze nie weszli do fortu, nadrabiał zaległości. Pociski padały coraz gęściej, czyniąc wśród obrońców więcej spustoszeń niż kule nacierającej piechoty.

Piechota szła falami, rozstawionymi co sto metrów. Mimo szaleńczego ognia obrońców pierwsza fala dotarła szybko do ruin muru. To jednak wcale nie poprawiło sytuacji szturmujących. Wspinając się po chwiejnym rumowisku musieli patrzeć pod nogi, nie mogli więc jednocześnie wypatrywać wrogów i strzelać do nich. Ginęli jeszcze gęściej - a jednak wciąż parli naprzód.

- Granaty! - zabrzmiał we wszystkich hełmofonach zdenerwowany głos Levanta. - Zatrzymać ich granatami!

Pitt, któremu i tak już kończyła się amunicja, sięgnął do torby z granatami. Rzucił je tak szybko, jak tylko nadązał z odbezpieczaniem. Tak samo postępowali komandosi Levanta. Efekt był straszny. W ciągu kilkudziesięciu sekund cała pierwsza fala atakujących padła. Nieliczni, którzy uszli z życiem, uciekali w popłochu przez pustynię, nie myśląc już o groźbach generała Kazima. Ale sukces był tylko chwilowy. Druga fala atakujących szybko wdarła się na ruiny; żołnierze grupy taktycznej musieli opuścić swoje pozycje i zacząć odwrót. Wycofywali się, strzelając z biodra jak bohaterowie westernów. Szli przez plac apelowy, obok spalonych pojazdów, do ruin kwatery oficerskiej, ostatniego fragmentu koszar, w którym strzelec mógł znaleźć jeszcze jakąś osłonę.

Na szczęście dla nich dym ze spalonego prochu i pył wzniesiony wybuchami ograniczały widoczność na dziedzińcu fortu do pięciu metrów. Nie widzieli szturmujących Malijczyków, ale tamci nie widzieli ich również. Samopoczucie obrońców poprawiało i to, że w ogłuszającym jazgocie broni maszynowej nie słyszeli jęków i krzyków rannych kolegów. Zza potrzaskanych węglów budynku oficerskiego wystrzelili ostatnie magazynki w stronę Malijczyków, którzy znaleźli się już na dziedzińcu. Pierwszą ich grupę, w której było około trzydziestu ludzi, położyli trupem w ciągu paru sekund. Zawdzięczali ten sukces dezorientacji żołnierzy malijskich, którzy



stanęli na chwilę na środku placu apelowego, zdumieni, że nie ma tu nikogo, z kim mogliby walczyć.

Pembroke-Smythe kazał przenieść najbliższych leżących rannych do podziemnego arsenału i jeszcze raz policzył swoich ludzi. Tylko Pitt i dwunastu komandosów grupy taktycznej było zdolnych do walki. Zaginął gdzieś pułkownik Levant; ostatni raz widziano go na murze, w momencie gdy na zachodnie rumowisko wdzierała się druga, zwycięska fala Malijczyków. Zauważywszy Pitta, Pembroke-Smythe uśmiechnął się z ulgą.

- Wygląda pan okropnie - powiedział, wskazując jego mundur, obficie zbroczony krwią na lewym barku i ramieniu. Krew ciekła też z policzka Pitta, rozoranego jakimś odłamkiem.

- Pan też nie jest okazem zdrowia - odwzajemnił się Pitt, patrząc na rozległą, choć powierzchowną ranę na biodrze Anglika.

- Ma pan jeszcze amunicję?

- Nie - odparł Pitt i rzucił na ziemię karabin, który od dłuższego już czasu dźwigał niepotrzebnie. - Zostały mi tylko dwa granaty.

Pembroke-Smythe podał mu pistolet maszynowy, zabrany przed chwilą martwemu Malijczykowi.

- Niech pan zejdzie z tym do arsenału. Ktoś z nas musi bronić tych nieszczęśników, albo... Nie znalazł w sobie dość siły, by skończyć to zdanie, ale Pitt i tak zrozumiał.

- Wybiliśmy im straszną masę ludzi - powiedział, wyjmując magazynek z automatu i sprawdzając jego zawartość. - Są wściekli, chcą się mścić. Będą okrutni dla każdego, kogo znajdą żywego.

- Strach pomyśleć, co się stanie, kiedy te kobiety i dzieci wpadną znów w ręce Kazima.

- Nie wpadną - oświadczył Pitt stanowczym głosem. - Przyrzekam to panu.

Pembroke-Smythe popatrzył na niego przenikliwym wzrokiem.

- Żegnaj, Pitt - powiedział. - Szkoda, że poznaliśmy się tak późno.

- Ja też żałuję, kapitanie.

Ucisnął dłoń Anglika, odwrócił się, odsunął rupiecie blokujące schody do arsenału i zszedł na dół. Natychmiast podeszli do niego Hopper i Fairweather.

- Trzymamy się jeszcze? - spytał Hopper.

- Niestety, coraz słabiej - odparł z rezygnacją Pitt.

- Nie chcemy tu czekać na śmierć - włączył się Fairweather. - Lepiej już umrzeć w walce.

Nie ma pan czasem jakiejś zapasowej broni?

- Ja też umiem posługiwać się bronią - upomniał się Hopper.

Pitt podał Fairweatherowi otrzymany przed chwilą automat i odwrócił się do Hoppera.

- Przykro mi, nie mam nic dla pana. Ale mnóstwo broni wala się na górze. To po zabitych Malijczykach - wyjaśnił.

- Wygląda na to, że nieźle tam sobie popukaliście. Teraz i ja spróbuję. - Hopper najwyraźniej nie tracił dobrego humoru. - Trzymaj się, chłopcze, i opiekuj się Evą.

- Zaopiekuję się - odparł Pitt posępnym tonem, ale Hopper już tego nie słyszał; pobiegł po schodach na górę.

Fairweather uśmiechnął się.

- Miło było pana poznać, Pitt - rzucił i podążył w ślady Hoppera.

Jeszcze słyhać było jego kroki na kamiennych schodach, gdy do Pitta podeszła lekarka grupy. - Jak tam na górze?

- Musimy być gotowi na najgorsze - odparł cicho Pitt.

- Długo jeszcze wytrzymają?

- Bronią już ostatniej pozycji, tu, nad nami. Za dziesięć, piętnaście minut będzie po wszystkim.

- A co z tymi biedakami? - spytała lekarka, patrząc na rannych, leżących na podłodze arsenału.

- Nie można liczyć na litość Malijczyków - odparł szczerze.

- Podniosła na niego niespokojny wzrok.

- Nie biorą jeńców?

- Nic na to nie wskazuje.

- A kobiety i dzieci?

Nie odpowiedział, ale sam wyraz jego twarzy wystarczył jej za odpowiedź. Wzięła się w garść.

- Nie pozostaje nam nic innego, jak odejść z hukiem - zdobyła się na czarny dowcip.

Uśmiechnęła się dzielnie i poszła przekazać niewesołe nowiny koledze. Pitt ruszył w stronę kąta, w którym leżała Eva, ale zastąpił mu drogę poznany wcześniej francuski inżynier.

- Panie Pitt!

- Tak, panie Monteux?

- Czy to już koniec?

- Obawiam się, że tak.

- Pański pistolet... ile jest w nim naboji?

- Dziesięć, ale mam jeszcze drugi magazynek.

- Starczy... - szepnął Monteux i wyciągnął rękę po broń.

- Dostanie go pan - powiedział Pitt z nagłą determinacją - ale najpierw muszę

porozmawiać z doktor Rojas.

Monteux wsłuchał się w odgłosy walki, dobiegające z otworu schodów.

- Niech się pan pośpieszy - powiedział. - Nie mamy zbyt wiele czasu.

Pitt przeszedł parę kroków i usiadł obok Evy. Była przytomna; patrzyła na niego z uczuciem i troską.

- Krwawisz, jesteś ranny...

- Drobiazg, sam jestem sobie winien. Rzuciłem granat i nie schowałem się w porę.

- Nie masz pojęcia jak się cieszę, że tu jesteś. Zaczęłam się już zastanawiać, czy cię jeszcze kiedykolwiek zobaczę.

- Powinnaś się raczej zastanawiać nad odpowiednim strojem na naszą umówioną randkę - przypomniał. Podparł ją ostrożnie i przesunął się tak, że jej głowa znalazła się na jego kolanach. Prawą ręką, poza zasięgiem jej wzroku, otworzył kaburę przy pasie, wyciągnął pistolet i przysunął lufę na odległość centymetra od jej potylicy.

- Ależ wybrałam już strój i restaurację też...

- Przerwała i obróciła głowę, jakby nasłuchując.

- Słyszysz? - spytała.

- Co?

- Nie jestem pewna, ale to chyba klakson.

Pitt uznał, że to narkoza wciąż jeszcze mąci jej zmysły. Dotknął palcem języczka spustowego.

- Ależ musisz to słyszeć!

- Żegnaj... - szepnęła, ale nie zwróciła na to w ogóle uwagi.

- To samochód! - zawołała. - To na pewno Al! Wrócił po nas.

Pitt zdjął palec ze spustu i osłonił ucho dłonią, by lepiej słyszeć dźwięki dobiegające od strony wyjścia. I wtedy, w krótkiej przerwie między wystrzałami, usłyszał to. To nie był klakson. Było to dalekie i słabe, ale całkiem wyraźne buczenie syreny lokomotywy kolejowej. Giordino stał obok maszynisty, ciągnąc jak szalony za linkę syreny. Pociąg dudnił po szynach na najwyższych obrotach silników. Byli już blisko pola bitwy. Giordino wbijał wzrok w przednią szybę, daremnie usiłując dostrzec fort. Minęła dłuższa chwila, nim zrozumiał, że fortu już nie ma; na jego miejscu piętrzyła się kupa gruzu. Widok ruin, z których biły w niebo słupy czarnego dymu, odbierał wszelką nadzieję. Wszystko wskazywało na to, że odsiecz przyszła za późno. Także Hargrove, który niejedno już widział, był oszołomiony rozmiarami zniszczenia. Ze zdumieniem patrzył na powalone mury, na wraki czterech potężnych czołgów, na morze trupów na przedpolu fortu.

- O Boże - mruknął - Ależ tu musiała być bitwa! Giordino przystawił lufę pistoletu do skroni maszynisty.

- Zatrzymaj to pudło! Natychmiast, tutaj!

Maszynista, Francuz, jeszcze niedawno obsługujący superszybkie pociągi na trasie Paryż - Lyon, trafił do Entreprises Massarde skuszony dwukrotnie wyższą płacą. Tylko to wiązało go z firmą. Nie miał bynajmniej zamiaru narażać własnego życia dla ratowania dyrektora. Włączył hamulce i zatrzymał pociąg pół kilometra przed fortem, między polem bitwy a sztabem polowym Kazima.

Komandosi Hargrove'a natychmiast przystąpili do akcji. Jedna grupa zaatakowała sztab Malijczyków; kompletnie zaskoczeni oficerowie Kazima poddawali się bez walki. Druga, większa grupa uderzyła z tyłu na szturmujące fort oddziały. Obsługa śmigłowców, jadących na wielkich lorach, błyskawicznie ściągnęła brezentowe plandeki. Dwie minuty później wszystkie Apache były w powietrzu i mknęły w stronę celów, gotowe do otwarcia śmiertelnościanego ognia.

Kazim stał jak wryty przy najdalszym z namiotów sztabowych, nie tyle nawet przestraszony, co bezmiernie zdumiony. W jaki sposób amerykańskie śmigłowce pokonały granicę i dotarły aż tutaj - nie dostrzeżone przez jego radary? Był tak zszokowany, że nie próbował zorganizować obrony; nie próbował nawet uciekać. Podbiegli do niego pułkownicy Mansa i Cheik. Chwycili osłupiałego generała pod ramiona i powlekli go na drugą stronę namiotu, gdzie stał sztabowy landrover. Kapitan Batutta czekał już za kierownicą. Wiedziony instynktem samozachowawczym Yerli wskoczył na miejsce; obok kierowcy. Mansa i Cheik wpełchnęli Kazima na tylne siedzenie i zajęli miejsca obok niego.

- Jazda! - wrzasnął Mansa, zatrzaskując drzwi. - Na Allacha! Ruszaj, bo wszyscy zginiemy!

Batutta nie miał ochoty umierać. Nie myślał też ani trochę o losie setek żołnierzy, pozostawionych na polu bitwy, które okazało się śmiertelną pułapką. Przerażony tak, że stracił zdolność logicznego myślenia i działania, włączył pierwszy bieg i mocno nacisnął gaz. Choć samochód przystosowany do jazdy w ciężkim terenie miał napęd na dwie osie, rozpędzone nagle koła wryły w piasku głębokie doły, nie posuwając pojazdu ani o metr do przodu. Batutta, w kompletnej panice, przycisnął pedał akceleratora do deski. Silnik zawył na; najwyższych obrotach, ale skutek był tylko taki, że koła wkopały się w piasek niemal po osie. Na tylnym siedzeniu generał Kazim wreszcie zdał sobie sprawę ze śmiertelnego zagrożenia.

- Ratujcie mnie! - zawył przeraźliwie. - To rozkaz Naczelnego Wodza!!

- Ty durniu! - wrzasnął Mansa na Batuttę. - Puść gaz i spróbuj cofnąć, bo zostaniemy tu na zawsze!

Batutta zmienił bieg na wsteczny i powtórzył swój błąd, naciskając gaz do deski. Dzięki temu jednak koleiny wydłużyły się nieco, co dawało szansę wyskoczenia z nich przy kolejnej próbie. Spośród pięciu pasażerów landrovera tylko Yerli siedział spokojnie, w milczeniu, zdając się na los. I tylko on widział, jak zbliża się śmierć.

Wysoki, potężnie zbudowany człowiek w klasycznej pustynnej i panterce armii amerykańskiej zbliżał się do nich z prawej strony szybkim, stanowczym krokiem. To on, starszy sierżant Rasmussen z Paradise Valley w Arizonie, dowodził grupą komandosów, która zaatakowała sztab Kazima. Ich pierwszym i najważniejszym zadaniem było zniszczenie systemu łączności przeciwnika, zanim ludzie Kazima wezwą na pomoc lotnictwo. Musieli to zrobić "szybciej niż wampir szcza krwią", jak to obrazowo ujął pułkownik Hargrove w czasie ostatniej odprawy; w przeciwnym razie - mówił pułkownik - malijskie myśliwce przerobią ich wszystkich na mielonkę.

Rasmussen nie widział wprawdzie nigdy szczającego wampira, ale zadanie wykonał bezbłędnie. Łączność Malińczyków została przerwana natychmiast, zanim w ogóle zdążyli powiadomić bazę w Gao o ataku. Uporawszy się z tym co najważniejsze, Rasmussen ruszył w stronę dalszych namiotów sztabu Kazima. Za ostatnim zobaczył landrovera szarpiącego się w przód i w tył z rykiem silnika. Ponieważ wysiłki kierowcy wydawały się beznadziejne, postanowił oszczędzić siedzących w samochodzie ludzi i zatrzymać ich jako jeńców. Ale właśnie w tym momencie landrover wyskoczył z głębokich kolein do przodu i nabierając szybkości, pomknął po pustyni w stronę widocznego na horyzoncie wielkiego zakładu przemysłowego.

Rasmussen niemal odruchowo nacisnął spust karabinu maszynowego. Długa seria pocisków uderzyła w prawy bok pojazdu. Szyby rozsypały się na tysiące małych kryształów i zamigotały w słońcu wszystkimi kolorami tęczy. Ale samochód jechał dalej, nie zmniejszając szybkości. Rasmussen błyskawicznie wyrzucił zużyty magazynek, założył nowy i całą jego zawartość wpackował w uciekającego land-rovera. Dopiero wtedy podziurawiony jak sito samochód zwolnił i stanął.

Rasmussen jeszcze raz zmienił magazynek; z bronią gotową do strzału ostrożnie podszedł do landrovera i zajrzał do środka. Kierowca zwisał martwo na kole kierownicy. Pasażerowie też nie dawali znaku życia. Sąsiad kierowcy pólleżał oparty o jego ramię; na nieruchomej twarzy malował się dziwny spokój. Twarze oficerów zajmujących boczne miejsca z tyłu były wykrzywione strachem. Obaj znaleźli się częściowo poza pojazdem: jeden wychylony był przez rozbite okno, drugi zwisał przez półotwarte drzwi. Między nimi siedział sztywno, z szeroko otwartymi oczami, jeszcze jeden człowiek. Sprawiał wrażenie, jakby wpatrywał się w stanie głębokiej hipnozy w jakiś wyimaginowany punkt w przestrzeni.

Dziesięć lat temu, kiedy Rasmussen zaczynał służbę, widywał w telewizji sowieckich marszałków, obwieszonych jak choinka złotymi medalami, baretkami, galonami, szarfami. Nigdy jednak nie przypuszczał, że zobaczy coś takiego z bliska. Aż nie chciało mu się wierzyć, że komiksowa postać, sztywno rozparta na tylnym siedzeniu land-rovera, to prawdziwy generał, naczelny wódz malijskich sił zbrojnych.

Trącił zwłoki końcem lufy. Głowa przechyliła się na bok, odsłaniając dwa okrągłe otwory po kulach u nasady karku. Sprawdził na wszelki wypadek, czy wszyscy pasażerowie landrovera są martwi. Ale ciała były tak podziurawione kulami, że nie mogło być żadnej wątpliwości. Jeszcze nie wiedział, że zabijając Kazima wykonał z nadwyżką swoje główne zadanie - blokadę łączności z siłami powietrznymi. Bo tylko Kazim miał prawo wydawać rozkazy malijskiemu lotnictwu. Bez wiedzy i zgody naczelnego wodza nie mógł wystartować żaden samolot.

Rasmussen nie wiedział też, że dwie długie serie z jego automatu wyznaczają historyczny zwrot w życiu dużego afrykańskiego państwa. Po śmierci Kazima do władzy dojdą jego przeciwnicy, którzy utworzą nowy rząd. Może nie od razu i nie we wszystkim lepszy, ale na pewno nie skłonny do współpracy z łotrzykami w rodzaju Massarde'a. A generał Zateb Kazim, wódz naczelny malijskich sił zbrojnych, będzie gnił jeszcze dziesięć dni w słońcu pustyni, zanim spóźniona ekipa sanitarna pochowa go w zbiorowej, bezimiennej mogile.

Pitt wspiął się po wąskich, kamiennych schodach i dołączył do garstki ocalałych żołnierzy grupy taktycznej. Ich ostatnim bastionem były ruiny budynku koszarowego, w bezpośrednim sąsiedztwie zejścia do arsenału. Ostrzeliwali się zażarcie spoza prymitywnych barykad, usypanych z gruzu i rupieci. Już od paru minut słyszeli syrenę pociągu, ale dopiero Pitt uświadomił im, że oznacza to zbliżanie się odsieczy. Wtedy rzucili się z nowymi siłami do kontrataku. Wyskoczyli spoza swoich barykad na plac apelowy, siejąc długimi seriami śmierć i zniszczenie w szeregach przeciwnika. Zaskoczenie było kompletne. Malijczycy stanęli na moment jak wryci, potem rozstąpili się przed szarżującą grupką jak Morze Czerwone przed Mojżeszem. Dziesiątka komandosów wraz z Pittem, Pembroke-Smythe'em, Hopperem i Fairweatherem wpadła między żołnierzy Kazima, strzelając do wszystkiego, co się ruszało i niemal bezkarnie kontynuując krwawe żniwa. Niemal. Bowiem nie wszyscy Malijczycy stracili głowę, nie wszyscy ulegli paraliżowi strachu i zdumienia. Kilku przytomniejszych podjęło bój. Strzelali chaotycznie, nie mierząc. Szybko jednak ich kule dosięgły pięciu ludzi Pembroke-Smythe'a i niewątpliwie zabiliby wszystkich, gdyby nowe, niespodziewane zagrożenie nie odwróciło ich uwagi. Przez ruiny murów wdarli się komandosi pułkownika Hargrove'a, otwierając morderczy ogień. Zalegający plac apelowy Malijczycy znaleźli się w pułapce. Być może, gdyby bitwa toczyła się na otwartej przestrzeni, próbowaliby jeszcze ucieczki. Ale tutaj, okrążeni na dziedzińcu fortu, nie mieli dokąd uciekać. Niemal jednocześnie, jakby na komendę, rzucili broń i podnieśli ręce do góry. Niemal natychmiast też umilkły karabiny żołnierzy Hargrove'a i Pembroke-Smythe'a. Przez chwilę panowała niezwykła, upiorna cisza.

Przerwał ją dopiero któryś z amerykańskich komandosów, nie mogąc powstrzymać okrzyku zdumienia wobec rozmiarów hekatombi.

- Dobry Bouże! - zawołał z charakterystycznym dla południowych Stanów przeciąganiem samogłosek.

To przerastało jego wyobraźnię. A przecież w ciągu tych paru minut, które minęły od zatrzymania pociągu, widział już rzeczy niesamowite. Biegł przez pustynię zasłaną ciałami zabitych i rannych tak gęsto, że musiał przez nie przeskakiwać. Tu jednak, na dziedzińcu zniszczonej fortecy, ciała leżały miejscami w trzech, a nawet czterech warstwach. Żaden z "rangerów" Hargrove'a - choć wszyscy byli już zaprawieni w boju - nie widział jeszcze takiej masy trupów w jednym miejscu. Do Pembroke-Smythe'a, stojącego na środku placu apelowego sztywno i dumnie, choć z poszarzałą z bólu i upływu krwi twarzą, zbliżył się Dirk Pitt. Podskakiwał śmiesznie na jednej nodze; z drugiej, przestrzelonej nad kolanem, obficie sączyła się krew. Dostrzegłszy to, oddarł rękaw bluzy i przewiązał nim ranę. Potem spojrział kpiąco na

kapitana.

- Nie uwierzy pan - powiedział - ale wygląda pan jeszcze gorzej niż w czasie naszej ostatniej rozmowy.

Pembroke-Smythe popatrzył po sobie, strzepnął od niechcenia kurz, który grubą warstwą leżał na jego naramiennikach, i przeniósł wzrok na Pitta.

- Takiego łachudry, jak pan, też by nie wpuścili do hotelu Savoy...

Przerwał. Wydało mu się, że zobaczył ducha. Przez morze trupów, zalegających plac apelowy, kuśtykał ku nim, podpierając się kulą zmajstrowaną z wyrzutni granatów, pułkownik Levant. Zgubił gdzieś swój kask, a z rozciętej na głowie skóry ciekła wąską strużką krew.

- To wspaniale, pułkowniku, widzieć pana wśród żywych - zawołał Pembroke-Smythe i spojrzał w stronę muru, na którym znajdował się ostatni posterunek Levanta; teraz była tam już tylko kupa gruzów. - Już myślałem, że przysypało pana na amen.

- Rzeczywiście przysypało, ale jakoś wylazłem - Levant uśmiechnął się i spojrzał na Pitta.

- Widzę, że i pan ciągle jest z nami.

- Złego diabli nie wezmą - rzucił sentencjonalnie Pitt.

Nagle, dopiero teraz, pułkownik zdał sobie sprawę, jak niewielu ludzi zostało z jego oddziału - i uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Nieźle nas przetrzepali - mruknął.

- Nie pozostaliśmy im dłużni - zauważył z ponurą satysfakcją Pitt.

Na dziedzińcu fortu pojawił się Hargrove w towarzystwie Giordina i Steinholma.

- Proszę zarządzić zbiórkę, kapitanie - zwrócił się Levant do Pembroke-Smythe'a.

Kapitan, dotychczas pogodny i pełen optymizmu, dopiero teraz uświadomił sobie rozmiary strat we własnych szeregach.

- Uwaga, chłopcy... - zawołał załamującym się głosem. - Uwaga, chłopcy i dziewczyny. W szeregu - zbiórka! - skorygował, widząc kobietę w mundurze kaprała, podtrzymującą wysokiego, chwiejącego się na nogach sierżanta.

Hargrove zbliżył się i dwaj pułkownicy wymienili wojskowe pozdrowienia. Amerykanin przyglądał się garstce ocalałych obrońców fortu. Nie mógł pojąć, jakim cudem pokonali taką masę ludzi. Stali dumnie wyprostowani, choć liczne rany i kontuzje bardzo im to utrudniały. Brudne, porwane mundury, potargane włosy, zarośnięte szczeciną twarze mężczyzn oblepiała gruba warstwa białawego pyłu. Gdy tak trwali nieruchomo, sprawiali wrażenie rzeźby. Jedynie przekrwione oczy i napięcie wycieńczonych twarzy wskazywały, że są to jednak żywi ludzie.

- Bardzo żałuję - powiedział Hargrove - że nie mogliśmy dotrzeć tu wcześniej.

- Najważniejsze, że w ogóle dotarliście - odparł Levant.



Hargrove jeszcze raz rozejrzał się wkoło, daremnie usiłując ocenić liczbę zabitych.

- To fantastyczny wyczyn, pułkowniku - powiedział. - Dokonał pan tego z taką garstką ludzi?

- Na początku było nas więcej, około czterdziestu osób.

Hargrove nie mógł się powstrzymać przed jeszcze jednym, pełnym najszczerzego podziwu salutem.

- Gratuluję. Nigdy jeszcze nie widziałem tak wspaniałej obrony.

- Mamy w piwnicy rannych - poinformował Levant.

- Podobno konwojuje pan także cywilów, w tym kobiety i dzieci?

- Tak. Oni też są tam na dole, razem z moimi rannymi.

Hargrove odwrócił się gwałtownie.

- Wezwij tutaj naszych lekarzy i śmigłowiec transportowy - zawołał do stojącego najbliżej oficera. - Trzeba zająć się rannymi i ewakuować ludzi. I pospieszcie się; lada chwila mogą przylecieć malijskie samoloty.

Giordino dopiero teraz dostrzegł Pitta, który przyglądał się wojskowej ceremonii z pewnego oddalenia. Szybko podszedł do niego.

- No, stary - powiedział - uczciwie mówiąc, myślałem, że tym razem nie dasz rady.

- Co to za pomysł z tym pociągiem? - spytał Pitt tonem pretensji. - Śmigłowcami byłoby szybciej.

- Hargrove nie mógł ryzykować. Nie przebiłby się przez blokadę powietrzną Kazima. Ten drań domyślił się, że czekamy na odsiecz z Mauretanii.

Pitt spojrział na wiszący nieruchomo nad pustynią śmigłowiec szturmowy, który starannie badał radarami horyzont.

- No, dobrze - rozpogodził się. - Najważniejsze, że jesteście, i że was nie wykryli.

- Co z Evą? - spytał Giordino.

- Żyje, chociaż jest paskudnie poturbowana. Ale była już o dwie sekundy od śmierci. Gdyby nie ta twoja syrena kolejowa...

- Dwie sekundy? - przeraził się Giordino. - Banda Kazima była już tak blisko?

- Nie, to ja byłem blisko - wyjaśnił enigmatycznie Pitt i zmienił temat. - Chodź do arsenału; na pewno się ucieszy, jak zobaczy twoją małą morde.

Giordino stracił wszelką ochotę do żartów, gdy zobaczył wszystkich rannych i cywilów, stłoczonych w ciasnej przestrzeni arsenału. Zdumiewający był też ogrom szkód, spowodowanych przez spadające fragmenty kamiennego sklepienia. Najbardziej jednak poraziła go niezwykła cisza. Nikt nic nie mówił, nikt nie otwierał ust. Jakby po tylu godzinach

śmiertelnego zagrożenia ludzie bali się już nawet głośno oddychać. Ale na widok Giordina, stanowiącego oczywisty dowód, że odsiecz dotarła, jak na znak dyrygenta odezwały się, najpierw pianissimo, potem coraz głośniej, okrzyki radości i brawa. Naturalna skromność i nieśmiałość Giordina zderzyły się z lawiną serdecznych gestów ze strony ludzi, którzy fetowali go jako bohatera i zbawcę. Mężczyźni przepychali się, by uścisnąć jego dłoń, kobiety rzucały mu się na szyję i całowały, jak dawno nie widzianego kochanka.

Wyrwał się wreszcie i podszedł do Evy. Na jego widok uniosła głowę i uśmiechnęła się promiennie.

- Och, AL. - szepnęła. - Wiedziałam, wiedziałam, że wrócisz! Przyklęknął przy niej i ostrożnie, by nie sprawić jej bólu, uścisnął jej ramię.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że widzę was żywych. Ciebie, i Dirka, i wszystkich tutaj. Popatrzyła na leżących wokół rannych.

- Trzeba im jak najszybciej pomóc.

- Lekarze z naszej jednostki specjalnej zaraz tu będą - powiedział Pitt.

Rzeczywiście, już po chwili w piwnicy pojawiła się trójka amerykańskich medyków. Konsultując swoje działania z lekarzami Levanta, uzupełniali opatrunki, robili niezbędne zastrzyki i przygotowywali rannych do ewakuacji. Tymczasem komandosi Hargrove'a, potężni brutale, z delikatnością dyplomowanych pielęgniarek wynosili z arsenału rannych i dzieci, pomagali wyjść dorosłym cywilom. Na placu apelowym czekał już na wszystkich duży helikopter transportowy.

Giordino wziął od Amerykanów nosze; razem z Pittem ostrożnie wynieśli Evę na zalany słońcem dziedziniec fortu.

- Nigdy nie sądziłam, że upał pustyni może mi sprawić taką radość - mruknęła zdziwiona.

Dwaj żołnierze wychylili się z rozsuniętych szeroko drzwi śmigłowca i sięgnęli po nosze.

- Zabieramy ją - powiedział jeden.

- Ta pani ma bilet pierwszej klasy - zażartował Pitt. - To Bardzo Ważna Osoba.

- Eva! - rozległ się rozradowany głos z wnętrza helikoptera.

Doktor Hopper leżał na noszach z głową owiniętą bandażem; naga pierś spowijał na ukos drugi bandaż, ale twarz była uśmiechnięta.

- Miejmy nadzieję - mrugnął do Evy - że ten lot skończy się szczęśliwiej niż nasz ostatni.

- Moje gratulacje, doktorze - zawołał Pitt od drzwi. - Widzę, że nie dał się pan tym draniom.

- Jasne, że nie! Skosiłem czterech, zanim mnie podziurawili.

- A Fairweather? - spytał Pitt, nie mogąc dostrzec majora w mrocznym wnętrzu

śmigłowca.

Hopper opuścił smutno głowę.

- Niestety, nie miał tyle szczęścia co ja.

Pitt i Giordino pomogli żołnierzom zamocować nosze Ewy obok Hoppera. Pitt pogładził jej włosy.

- No - powiedział - zostawiam cię w dobrym towarzystwie.

- Jak to, nie lecisz?

- Jeszcze nie tym kursem.

- Ale przecież ty też jesteś ranny, potrzebujesz opieki lekarzy! - protestowała.

- Nie dokończyłem tu jeszcze pewnej sprawy.

- Nie możesz zostać w Mali po tym wszystkim, co się stało - tłumaczyła jak dziecku.

- Posłuchaj: Al i ja mieliśmy w zachodniej Afryce konkretne zadanie. Jeszcze go nie wykonaliśmy.

- Czyli wszystko skończone między nami? - spytała zdławionym głosem.

- Ależ skąd, nic nie jest skończone!

- Więc kiedy się znowu zobaczymy?

- Niedługo, jeśli tylko wszystko pójdzie dobrze - odpowiedział szczerze.

W jej oczach zaszklily się łzy. Podniosła głowę i pocałowała go delikatnie w usta.

- Wracaj szybko, proszę.

Pitt i Giordino wyskoczyli z helikoptera i odeszli parę kroków. Po chwili pilot zwiększył obroty silnika. W tumanie piasku, wzniesionym łopatomy śmigieł, maszyna uniosła się ponad poziom zburzonych murów i ruszyła na zachód.

Giordino opuścił głowę, spojrział na Pitta i wskazał wzrokiem jego rany.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, jakie to zadanie mamy jeszcze do wykonania - powiedział - muszą cię tu najpierw trochę połatać.

W prowizorycznym podziemnym szpitalu lekarze wyjęli Pittowi parę drobnych odłamków z lewego ramienia i opatrzyli ranę na udzie. Na szczęście przestrzelony był tylko mięsień; kość pozostała nienaruszona. Potem zaaplikowali mu parę zastrzyków przeciwzapalnych i przeciwbólowych. Nieco oszołomiony wyszedł z pomocą Giordina na plac apelowy, gdzie właśnie lądowali się do śmigłowca nieliczni sprawni jeszcze komandosi grupy taktycznej.

- Nie polecicie z nami? - spytał Levant.

- Nie możemy pozwolić, aby ten, kto stoi za całą tą bezsensowną rzezią, wymknął się bezkarnie - rzekł twardo Pitt.

- Yves Massarde?

Pitt skinął głową, spokojnie i poważnie.

- Życzę powodzenia, panowie - Levant serdecznie uściśnął ich dłonie. - Niestety, nic mi nie przychodzi do głowy poza słowami podziękowania.

- To my dziękujemy, pułkowniku - odparł Giordino z uśmiechem. - Może pan zawsze na nas liczyć.

- Mam nadzieję - powiedział Pitt - że dostanie pan za tę akcję awans na generała. Zasłużył pan na to, jak może żaden z dzisiejszych generałów.

Levant jeszcze raz rozejrzał się po ruinach fortu, jak gdyby wywoływał w pamięci swoich żołnierzy, zagrzebanych pod gruzami.

- A ja - rzekł - mam nadzieję, że te straszliwe ofiary po obu stronach jakoś się opłacą; że nie pójdą na marne.

Ostatni wszedł na pokład śmigłowca Pembroke-Smythe. Jak zwykle dumnie wyprostowany, promieniował kpiarskim uśmiechem.

- Niezły mecz zegraliśmy - powiedział. - Warto by kiedyś znowu wystąpić w tym samym składzie.

- Zagrać? Możemy już tylko urządzić zjazd weteranów - zakpił gorzko Giordino, ale Pembroke-Smythe'e nie obraził się.

- Świetnie: jak tylko będziecie w Londynie, stawiam Dom Perignon. Przy okazji poznam was z paroma wspaniałymi dziewczynami, które, nie wiedzieć czemu, gustują w Amerykanach.

- Przewiezie pan nas bentleyem? - spytał Pitt.

- A skąd pan wie, że mam bentleya? - zdziwił się kapitan.

Pitt uśmiechnął się.

- Jakoś to do pana pasuje.

Gdy śmigłowiec wystartował i odleciał w stronę Mauretanii, podszedł do nich szybkim krokiem młody czarnoskóry porucznik z oddziału Hargrove'a.

- Pułkownik prosi panów do sztabu wojsk malijskich. To niedaleko, po drugiej stronie torów.

Odległość rzeczywiście nie była wielka, ale kulejący, oszołomiony środkami przeciwbólowymi Pitt nie zdołałby jej pokonać bez życzliwej pomocy Giordina. Namioty polowego sztabu Kazima były wprowadzone we współczesnych barwach ochronnych, ale ich kształt i sposób ustawienia przypominał raczej obóz wojenny kalifa ze starego, kiczowatego filmu. Kiedy weszli do namiotu Naczelnego Wodza, pułkownik Hargrove, pochylony nad stołem z nieodłącznym cygarem w kąciку ust, studiował książkę kodów Kazima.

- Czy któryś z was wie, jak wyglądał Zateb Kazim? - spytał bez żadnych wstępów.
- Owszem, poznaliśmy go osobiście - stwierdził Pitt.
- A potraficie go zidentyfikować?
- Przypuszczalnie tak.

Hargrove wyprostował się i ruszył do wyjścia.

- Chodźcie ze mną - powiedział.

Poprowadził ich prosto do podziurawionego kulami landrovera. Wyjął z ust cygaro i z odrazą splunął na piasek.

- Rozpoznajecie któregoś z tych przebierańców?

Pitt zajrzał do wnętrza. Przypominało raczej zdemolowaną rzeźnię niż kabinę samochodu. Stada much obsiadły zalane krwią ciała. Wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Giordinem, który zaglądał do landrovera z drugiej strony. Potem odwrócił się do Hargrove'a.

- Ten w środku to generał Zateb Kazim.

- Jesteś pewien? - spytał Hargrove.

- Oczywiście - odparł stanowczo Pitt. - Moje gratulacje, pułkowniku. Teraz może pan sobie zapewnić bezpieczny powrót do Mauretanii. Wystarczy powiadomić rząd malijski, że aresztował pan ich naczelnego wodza.

- Aresztowałem? - Hargrove spojrział na Pitta ze zdziwieniem. - Przecież to trup.

- Tak, ale oni tego nie wiedzą.

Hargrove rzucił cygaro i wdeptał je w piasek. Popatrzył na tłum rozbrojonych żołnierzy malijskich, siedzących na piasku pod strażą amerykańskich wartowników.

- Niezły pomysł - powiedział. - Zaraz każę nawiązać kontakt z ich rządem. I zaczynamy ewakuację.

- Skoro nie musi pan już tak się spieszyć - powiedział Pitt - chciałbym prosić o pewną przysługę.

- Przysługę? - Hargrove spojrział na niego nieufnie. - Co mianowicie?

Pitt, wyższy od Hargrove'a o pół głowy, przygarbił się nieco, by jego prośba zabrzmiała jak najpokorniej i by pułkownik nie poczuł się urażony.

- Czy może mi pan pożyczyć jeden z pańskich śmigłowców? Z załogą, na parę godzin?

Po nawiązaniu kontaktu z władzami malijskimi i przekazaniu im fałszywej wiadomości o aresztowaniu Kazima, Hargrove miał pewność, że nie podejmą zbrojnej akcji przeciw jego helikopterom. Nabral tej pewności, gdy marionetkowy prezydent Mali zaczął błagać go przez radio, aby natychmiast rozstrzelał Kazima. Pułkownik nie miał więc powodu, by spieszyć się z ewakuacją.

Ale nie miał też najmniejszej ochoty powierzać swego śmigłowca - z załogą i sześcioma komandosami - jakimś gryzpiórkom z waszyngtońskiej administracji. Dla świętego spokoju przekazał prośbę Pitta do ośrodka dowodzenia operacjami specjalnymi na Florydzie, przekonany, że jego przełożeni wyśmieją ten pomysł. Był mocno zaskoczony, gdy odpowiedź z Florydy nadeszła prawie natychmiast; jeszcze bardziej, kiedy odczytał szyfrogram. Odpowiedź była pozytywna, z wyraźnym zaznaczeniem, że taka jest wola prezydenta. Spojrzał krzywo na Pitta.

- Masz niezłe znajomości, chłopie.

- Nie przyjechałem tu na wycieczkę - zauważył Pitt, nie kryjąc satysfakcji. - Nie został pan o tym poinformowany, ale w tej akcji szło w istocie o znacznie większą stawkę, niż tylko uratowanie grupki ludzi.

- Niech będzie - westchnął zrezygnowany Hargrove. - Na długo będziesz potrzebował moich ludzi i wiatraka?

- Na dwie godziny.

- A potem?

- Oddam ich panu w stanie nienaruszonym... Jeśli wszystko dobrze pójdzie - dodał szczerze.

- A ty i Giordino?

- Zostaniemy tu jeszcze trochę.

- Nie pytam, po co. - Hargrove pokręcił sceptycznie głową. - Pewnie już do końca cała ta operacja zostanie dla mnie tajemnicą.

- Czy słyszał pan kiedy o operacji wojskowej, która nie byłaby otoczona tajemnicą? - rzekł Pitt poważnym tonem. - Mogę tylko powiedzieć, że to, czego pan tutaj dokonał, wywoła efekt falowy o ogromnych konsekwencjach.

Hargrove nie potrafił już ukryć ciekawości.

- Więc może i ja dowiem się kiedyś, o co tu chodzi?

- Nawet szybko. Wystarczy, że przeczyta pan jutro gazety. To najpewniejszy, najbardziej sprawdzony sposób poznawania najtajniejszych tajemnic państwowych.

Zaczęli od dwudziestokilometrowego skoku na południe, gdzie w wymarłej wiosce pobrali ze studni próbki skażonej wody. Potem wrócili do Fort Foureau. Pitt polecił pilotowi zrobić kilka powolnych rund wokół spalarni.

- Niech strażnicy dobrze sobie obejrzą nasze uzbrojenie.

- Śmigłowiec Massarde'a jest na lądowisku - zauważył Giordino. - Łopaty chodzą na wolnych obrotach. Pewnie drań chce stąd uciec.

- Na pewno nikt go nie zawiadomił o śmierci Kazima ani o wyniku bitwy. Ale Massarde jest wystarczająco sprytny, by się domyślić, że sprawy nie poszły dobrze.

Jakby na potwierdzenie słów Pitta, pilot zameldował:

- Nie ma prób oporu, sir.

- Dobrze, niech pan nas wyrzuci na lądowisku.

- Mamy iść z panem, sir? - spytał sierżant, dowodzący drużyną komandosów.

- Nie. Myślę, że strażnicy nabrali już moresu; powinniśmy sobie poradzić sami - odparł Pitt i ponownie zwrócił się do pilota: - Niech pan tu robi jeszcze przez pół godziny popis siły; tamten helikopter ma zostać na ziemi. Potem dam wam sygnał i będziecie mogli wrócić do swoich.

- Jest już komitet powitalny! - powiedział pilot, wskazując ręką lądowisko.

- Proszę, proszę! - wykrzyknął Giordino. - To przecież nasz stary przyjaciel, kapitan Brunone.

- Z całą swoją bandą - dodał Pitt i dotknął dłonią ramienia pilota. - Niech pan ich trzyma na muszce na wszelki wypadek.

H-76 "Eagle" zawisł nieruchomo niespełna metr nad płytą lądowiska. Giordino wyskoczył pierwszy i pomógł Pittowi; ten chętnie skorzystał z pomocy, by zbyt nie forsować przestrzelonej nogi. Podeszli obaj wolno do Brunone'a, który, rozpoznawszy ich, zastygł ze zdumienia.

- Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś panów spotkam - powiedział niepewnie.

- Jasne, że nie sądziłeś - mruknął Giordino.

Pitt spojrzał uważnie w oczy Brunone'a i dostrzegł coś, czego nie zauważył Giordino. Był w tych oczach raczej wyraz sympatii niż wrogości lub strachu.

- Ma pan taką minę, jakby się pan cieszył z naszego powrotu.

- Bo to prawda. Nie podobał mi się pomysł wysłania was do Tebezy.

- Ale inżynierów, ich żony i dzieci wysłałeś tam bez zmruczenia oka! - zaatakował Giordino.

- Nie mam nic wspólnego z tą zbrodnią. Jestem tu od niedawna.

- Zrobili to na tydzień przed moim przybyciem.

- Ale słyszałeś o tym, a mimo to pracujesz tutaj.

- Słyszałem tylko pogłoski. Próbowałem pytać, ale pan Massarde trzyma wszystko w tajemnicy. Wszyscy naoczni świadkowie gdzieś zniknęli.

- Pewnie poderżnięto im gardła. To najlepszy sposób na gadatliwych - skomentował Giordino.

- Zdaje się, że nie bardzo lubi pan Massarde'a - rzekł Pitt.

- To świnia i złodziej - stwierdził Brunone z odrazą. - Mógłbym wam też sporo powiedzieć o tym jego zakładzie...

- My już wiemy - przerwał Pitt. - Dlaczego w takim razie nie rzuci pan tego do diabła i nie wróci do domu?

Brunone spojrział na niego ponuro.

- Ludzie, którzy rezygnują z pracy w Entreprises Massarde, w ciągu tygodnia trafiają na cmentarz. A ja mam żonę i pięcioro dzieci.

Spróbujmy pójść dalej, pomyślał Pitt. Czuł, że może zaufać Brunone'owi. A współpraca kapitana mogła okazać się bardzo cenna, jeśli mieli wykonać wszystko, co zaplanowali.

- A nie ma pan ochoty - spytał wprost - przejść do pracy w firmie "Pitt&Giordino"?

Brunone zastanawiał się przez chwilę nad propozycją. W istocie marzył o niej już od chwili, w której zobaczył ich śmigłowiec, zdolny zamienić w ruinę całe przedsiębiorstwo Massarde'a.

- W porządku - powiedział w końcu. - Może mnie pan uważać za swojego pracownika.

- A ci strażnicy?

Po raz pierwszy na twarzy Brunone'a pojawił się uśmiech.

- Są lojalni wobec mnie. Nienawidzą Massarde'a. Na pewno nie będą mieli nic przeciwko zmianie pracodawcy.

- Ma pan szansę utrwalić ich lojalność. Niech pan im powie, że od dziś dostaną dwa razy wyższe wynagrodzenie.

- Ja też?

- Pan - oświadczył Pitt - zostanie następnym dyrektorem tego zakładu, jeśli tylko będzie pan grał z nami uczciwie.

- To dobry układ - zgodził się Brunone. Może pan na mnie w pełni polegać. Jakie są rozkazy?

Pitt skinął głową w kierunku budynku administracji.

- Najpierw zaprowadzi pan nas do Massarde'a. Przejmujemy zakład.



Brunone zawahał się przez chwilę.

- Nie zapomniał pan o generale Kazimie? On jest współnikiem Massarde'a. Nie odda zakładu bez walki.

- General Zateb Kazim nie stanowi już problemu - zapewnił go Pitt.

- Jak to? Czyżby jego status się zmienił?

- Status! Wielkie słowo... - zakpił Giordino. - Kiedy widzieliśmy go ostatnio, miał status lepu na muchy.

Massarde siedział za biurkiem. Jego niebieskie oczy wyrażały pobłażliwe zniecierpliwienie, jakby nieoczekiwane przybycie dwu Amerykanów było tylko drobnym incydentem. Verenne stał za nim jak posłuszny uczeń przy tablicy; jego twarz wykrzywił wyraz niechęci.

- Dręczycie mnie, jak mściwe furie z mitów greckich - zaczął górnolotnie Massarde. - Rzeczywiście wyglądacie, jakbyście wrócili z Hadesu.

Wielkie antyczne lustro wiszące za biurkiem, w złoczonej barokowej ramie z tłustymi cherubinami, w pełni potwierdzało słowa Massarde'a. Zwłaszcza Pitt - w podartym i brudnym mundurze, z wielkimi plamami krwi na lewym rękawie i prawej nogawce, z twarzą rozciętą od kości policzkowej do podbródka, spocony, z podkrążonymi oczami - mógł uchodzić za ofiarę niedawnej ulicznej bójki.

- Raczej jak duchy pomordowanych, które dręczą oprawcę - skorygował porównanie Massarde'a. - Nadeszła godzina kary za wszystkie twoje zbrodnie.

- Nie mam czasu na głupie żarty. Czego chcecie?

- Wielu rzeczy. Po pierwsze tego zakładu.

- Zakładu? - Myśl Massarde'a pobiegła drogą prostych skojarzeń. - Wynika z tego, że Kazim nie złapał zbiegów z Tebezy.

- Masz na myśli własnych pracowników, których zesłałeś na katorgę razem z żonami i dziećmi? Istotnie, są już w drodze do domu, chociaż kosztowało to życie wielu dobrych ludzi z grupy taktycznej ONZ. Jak tylko dotrą do Francji, zdemaskują wszystkie twoje zbrodnie: morderstwa, bestialstwa w kopalni złota, magazynowanie trujących odpadów, które spowodowały tysiące ofiar wśród ludów pustyni. To wystarczy, żeby cię uznać za wroga publicznego numer jeden.

- Mam jeszcze przyjaciół we Francji - stwierdził spokojnie Massarde.

- Na to nie licz. Wszyscy twoi wysoko postawieni kumple wyprą się ciebie, jak tylko poczują, że ich kariery polityczne są zagrożone.

- Już dziś niejeden z nich mówi, że nigdy o tobie nie słyszał. A wtedy masz piękny

pokazowy proces i gwarantowane dożywocie na Wyspie Diabelskiej - czy gdzie tam teraz Francuzi wysyłają swoich skazańców...

- Nic takiego mi nie grozi, przynajmniej dopóki siedzę w Mali. - Mogę równie dobrze stąd kierować wszystkimi operacjami Entreprises Massarde.

- Obawiam się, że już nie będziesz mógł - powiedział Pitt, szykując kolejny cios. - Po chwalebnej śmierci generała Kazima...

Massarde spojrział na niego szeroko otwartymi oczami, jakby nie był pewien, czy dobrze zrozumiał.

- Kazim nie żyje?

- Zginął, biedaczek. A razem z nim cały jego sztab i pół armii.

Massarde przeniósł wzrok na Brunone'a.

- Mam nadzieję, kapitanie, że mogę nadal liczyć na pana i pańskich ludzi!

- Niestety nie, sir. Biorąc pod uwagę nowe okoliczności, zdecydowałem się przyjąć raczej ofertę pana Pitta.

Massarde wydał długie, głębokie westchnienie.

- Właściwie po co wam ten zakład? - spytał zrezygnowanym tonem.

- Chcemy doprowadzić go do porządku; przede wszystkim zlikwidujemy trujący podziemny śmietnik.

- Zapominasz, że ten teren należy do suwerennego państwa. - Malijczycy nigdy się nie zgodzą na oddanie całego zarządu obcym.

- Myślę, że się zgodzą, i to łatwo, jeśli obiecamy im cały zysk z pracy spalarni. Dla takiego biednego narodu każdy grosz się liczy, a w dodatku zyskają trochę miejsc pracy.

- Co? Chcesz dopuścić ten ciemny motłoch do supernowoczesnej technologii? Przecież oni wszystko zepsują. Pójdziesz z torbami!

Pitt miał już dosyć dyskusji z Massarde'em.

- Czy ty naprawdę myślisz, Massarde, że my dla pieniędzy paprzemy się takim gównem, jak ty? Jest jeszcze paru ludzi na tym świecie, dla których liczy się co innego, niż zysk.

- Ależ ty jesteś głupi, Pitt - rozdrażniony Massarde zerwał się zza biurka.

- Siadać! - krzyknął Pitt. - Jeszcze nie wysłuchałeś wszystkich naszych warunków.

- Tak? Co jeszcze chcecie mi zabrać?

- Niewiele: tylko ten skarb, który gromadzisz na Wyspach Towarzystwa.

- Co to za bzdury? Jaki skarb? - wyraźnie zaskoczony, Massarde chciał zyskać na czasie.

- Miliony, może nawet miliardy dolarów w złocie, które zarobiłeś na swoich nielegalnych przedsiębiorstwach i brudnych transakcjach. - Powszechnie wiadomo, że nie trzymasz tego w

bankach; nie inwestujesz, nie kupujesz wystawnych rezydencji na Kajmanach lub na Jersey. - Z tym, co zarobiłeś, już dawno mógłbyś się wycofać z biznesu; zająć się kolekcjonowaniem obrazów, starych samochodów czy pałaców we Włoszech. Albo na przykład utworzyć wielką fundację pomocy dla biednych - gdyby nagle obudziło się w tobie uczucie miłosierdzia. Ale chciwość rodzi tylko chciwość. Bez względu na to, jak wiele zagarnąłeś, wciąż ci mało. Już nie potrafisz wydawać tego, co zarabiasz. Nie potrafisz żyć jak normalni ludzie. Wszystko, co nie idzie na bieżącą obsługę Entreprises Massarde, wysyłasz na którąś z wysp Pacyfiku. Którą: Tahiti, Moorea, Bora-Bora?

Massarde nie kwapił się z odpowiedzią.

- Proponuję taki układ - podjął Pitt po chwili. - Zrzekniesz się tego zakładu i wskażesz miejsce, w którym ukrywasz zagrabiony majątek, a ja oddam ci twój śmigłowiec i możesz sobie lecieć razem ze swoim pacholkiem Verenne'em gdzie ci się żywnie podoba.

- Nie bądź pan durniem, Pitt! - szczechnął zza fotela pryncypała Verenne. - Nie ma pan żadnej władzy ani siły, aby szantażować pana Massarde.

Milczący dotąd Giordino podszedł do okna z małym nadajnikiem radiowym w ręku. Już po chwili naprzeciw okna pojawił się z łoskotem śmigieł helikopter szturmowy.

- Władzy rzeczywiście nie mam... - powiedział Pitt.

Massarde uśmiechnął się chytrze. Nie należał do ludzi, którzy poddają się bez walki. Nie wyglądał na specjalnie zastraszonego.

- W porządku, bierzcie sobie ten zakład, jeśli chcecie. Bez takiego despoty jak Kazim, bez jego żelaznej ręki te durne czarnuchy i tak zmarnują wszystko, jak marnują każdą rzecz wyżebraną od Zachodu. No więc bierzcie to i dajcie mi święty spokój.

- Zaraz, to dopiero połowa układu - przypomniał Giordino.

- Jeśli mówisz o moim majątku, to szkoda strzępić gębę. Co moje, to moje. Mogę wam tylko powiedzieć, że to rzeczywiście jest wyspa na Pacyfiku. Ale nawet gdybyście wysłali milion ludzi na poszukiwania, i tak jej nie znajdziecie.

- Nie mamy zamiaru nikogo wysłać na poszukiwania. Kapitanie - Pitt zwrócił się do Brunone'a - zdaje się, że mamy jeszcze parę godzin do zmroku. Niech pan każe rozebrać pana Massarde'a, zakneblować go i przywiązać na słońcu przed budynkiem.

Massarde po raz pierwszy poczuł strach. Do tej pory nawet nie przychodziło mu do głowy, że ktoś mógłby traktować go równie brutalnie, jak on traktował innych.

- Nie zrobicie mi tego! - wykrzyknął. - Na litość boską, nie!...

Siarczysty policzek, wymierzony na odlew przez Pitta, przerwał jego wrzaski.

- Oko za oko, koleś - powiedział spokojnie Pitt. - I tak masz szczęście, że nie noszę

pierścieni.

Massarde milczał. Przez dłuższy czas stał bez ruchu, obserwując z coraz większym przerażeniem oczy Pitta. Nie było w nich pasji, wściekłości, która mogłaby po chwili minąć. Zrozumiał, że nie może liczyć na cofnięcie złowieszczy wyroku. Nie czekając na interwencję strażników sam rozebrał się do naga.

- Proszę wykonać moje polecenia, kapitanie Brunone.

- Z przyjemnością, sir!

Kiedy Massarde, zakneblowany i przywiązany "na orła" pod zachodnią ścianą budynku biurowego, zaczął się smażyć w słońcu, Pitt podszedł do Giordina.

- Przekaż moje podziękowania chłopcom ze śmigłowca i odeślij ich pułkownikowi.

Odebrawszy sygnał, pilot zakołysał maszyną na pożegnanie i skierował ją w stronę pobojuwiska. Teraz jedyną bronią Pitta pozostały słowa - groźne, ale oparte w dużej mierze na blefie.

- Wszystko rozumiem - powiedział Giordino, obserwując przez okno rozpiętego na betonie Massarde'a. - Ale po co ten knebel?

W pokoju, skulony za fotelem pryncypała, tkwił ciągle Verenne. Nie było jednak Brunone'a i jego ludzi; Pitt mógł więc sobie pozwolić na szczerą odpowiedź.

- Gdybyś ty był teraz na miejscu Massarde'a, ile byś obiecał kapitanowi za uwolnienie?

- Dwa miliony dolców, może nawet więcej - mruknął Giordino, podziwiając w duchu dar przewidywania kolegi.

- No właśnie: może nawet więcej...

- Naprawdę sądzisz, że zaczniesz w końcu śpiewać?

- Ależ skąd! Massarde to taki typ, że możesz go zadręczyć na śmierć, a nie powie, gdzie schował swój majątek.

- No więc, jak się tego dowiesz?

- Od jego wiernego sługi i podnóżka - powiedział głośno Pitt, wskazując ręką na Verenne'a.

- Panowie, ja nic nie wiem! - rozległ się rozpaczliwy krzyk wicedyrektora.

- Myślę, że wiesz - rzekł Pitt. - Może nie wszystko, może nie dokładnie, ale nam i tyle wystarczy.

Patrząc na przerażoną twarz Verenne'a i jego rozbiegane oczy, Pitt nabrał pewności, że się nie myli.

- Mamy teraz trochę czasu, Al - powiedział. - Skorzystam z apartamentów pana Massarde i odświeżę się trochę, a ty tymczasem zamknij się gdzieś z naszym przyjacielem i poproś go

grzecznie, żeby nam narysował mapkę. Na pewno potrafi, trzeba tylko trochę łagodnej perswazji.

- Świetny pomysł - zawołał Giordino z ostentacyjną radością. - Już od tygodnia nie wybiłem nikomu zębów.

Dwie godziny później, po solidnym prysznicu, krótkiej drzemce i jeszcze jednym prysznicu, Pitt poczuł się znowu jak człowiek; nawet dotkliwy ból ran wydawał się mniej przykry. Usiadł za biurkiem w zdecydowanie dla niego za małym jedwabnym szlafroku Massarde'a. Znalazł go w szafie tak wypełnionej, że jej zawartością można by zaopatrzyć cały sklep z ubraniami. Wyciągał po kolei szuflady biurka i przeglądał znajdujące się tam papiery, gdy do gabinetu wszedł Giordino. Prowadzony przez niego Verenne miał trupio bladą twarz.

- Mieliliśmy bardzo przyjemną pogawędkę - rzucił od progu. - Nie masz pojęcia, jaki potrafi być rozmowny w dobrym towarzystwie.

Verenne potoczył wokoło nieprzytomnym, niewidzącym wzrokiem; najwyraźniej stracił wszelki kontakt z rzeczywistością. Poruszał głową w obie strony, jakby chciał rozpędzić mgłę sprzed oczu. Był bliski załamania nerwowego.

Pitt przyglądał mu się z zaciekawieniem.

- Coś ty mu zrobił? - spytał. - Nie widzę żadnych śladów.

- Przecież mówię, że gawędziliśmy. Przez cały czas tłumaczyłem mu, jak będę go ćwiartował żywcem.

- I to wystarczyło?

- O, on ma niezwykłą wyobraźnię. Nie dotknąłem go nawet palcem.

- Powiedział w końcu, na której wyspie Massarde chowa te swoje skarby?

- Tak. Dobrze zgadłeś, że wyspa jest francuska. Ale żadna z tych, o których mówiłeś. Znajduje się pięć tysięcy kilometrów na północny wschód od Tahiti, dwa tysiące kilometrów od brzegów Meksyku. Prawdziwy koniec świata.

- Nigdy nie słyszałem o francuskich wyspach w tej części Pacyfiku.

- Bo jest tylko jedna, a i to od niedawna. W 1979 roku Francuzi wzięli w zarząd mały atol, zwany Wyspą Clippertona - od nazwiska angielskiego pirata z początków osiemnastego wieku, który miał tam swoją melinę. Verenne mówi, że to tylko pięć kilometrów kwadratowych lądu, a najwyższy pagórek ma dwadzieścia jeden metrów.

- Są jacyś mieszkańcy?

- Jeśli nie liczyć paru dziczących świń, to nie ma. Tylko jeden ślad ludzkiej obecności: opuszczona latarnia morska, też z osiemnastego wieku. "?

- I pod tą latarnią Massarde chowa złoto?

- Verenne upiera się, że nie zna dokładnego miejsca.

- Pan Massarde zawsze płynął szalupą na ląd sam - odezwał się cicho Verenne, który trochę już oprzytomniał. - I zawsze płynął tam w nocy, aby nikt z jachtu nie widział, co robi.

- Myślisz, że to prawda? - spytał Pitt.

- Mówię prawdę, przysięgam na Boga! - jęknął Verenne.

- Może mu się tylko tak wydaje? - zastanawiał się dziwnie głośno Giordino. - A może ma taką naturę, że fantazjuje?

- Nie fantazjuję, to wszystko prawda - piszczał Verenne głosem przypominającym szloch dziecka. - Błagam, nie torturujcie mnie. Nie wytrzymam bólu.

Giordino przyjrzał mu się z lisim uśmiechem.

- A może to bardzo zdolny aktor? Może odgrywa tu przed nami komedie?

Verenne był już kompletnie załamany.

- Co mam zrobić, żebyście mi uwierzyli?;

- Co do mnie - powiedział Pitt - uwierzę dopiero, jak zrobisz nam sumienny raport o swoim szefie. Wszystko: brudne interesy, przestępcze powiązania, a zwłaszcza wykańczanie ludzi; z dokładnymi datami i personaliami ofiar.

- On mnie zabije - szepnął przerażony Verenne. '

- Wolisz, żebym ja to zrobił? - spytał spokojnie Giordino. - Tylko pamiętaj, że u mnie dwa razy bardziej boli.

Verenne opadł ciężko na krzesło. Przez chwilę patrzył na Giordina w niemym przerażeniu; potem z iskierką nadziei w oczach przeniósł wzrok na Pitta. Zrozumiał, że jeśli chce uratować życie musi dokonać wyboru.

- Napiszę ten raport - powiedział słabym głosem.

- Powtórz, bo nie dosłyszałem - zażądał Pitt.

- Wszystko, co wiem o działalności Entreprises Massarde. Wszystko panu przekażę i podpiszę. ?

- Łącznie z informacjami o działaniach nielegalnych i czynach przestępczych?

- Wszystko. Na piśmie albo na dyskietkach.

Nastąpiła chwila ciszy. Pitt popatrzył przez okno na Massarde'a.

Biała skóra Francuza zdążyła już spurpurowieć, Podszedł do Giordina i położył mu dłoń na ramieniu.

- To twoja działka, AL Wyciśnij z tego dupka wszystko, co wie.

Giordino chwycił Verenne'a pod ramię. Tamten skulił się ze strachu.

- Chodź, przyjacielu; musisz zaraz zabrać się do pracy - powiedział Amerykanin ciepło.

- Zaczynij od listy ofiar Massarde'a - przypomniał Pitt. - To jest najważniejsze.

- Właściwie dlaczego? - spytał Giordino, zaintrygowany.

- Jeśli znajdziemy to, co Massarde schował na Wyspie Clippertona, podzielę to między

ofiary i ich rodziny.

- Pan Massarde nigdy na to nie pozwoli - zabelkotał Verenne; najwyraźniej tracił poczucie rzeczywistości.

- Aha, skoro już mówimy o tym łajdaku - rzekł Pitt - myślę, że wystarczająco się przypiekl.

Massarde wyglądał z przodu jak dobrze ugotowany rak. Musiał zapewne bardzo cierpieć; na skórze pojawiły się wielkie bąble. Stał jednak prosto, bez niczyjej pomocy, między dwoma milczącymi goryłami Brunone'a, naprzeciw swojego własnego biurka, za którym teraz urzędował Dirk Pitt.

- Nie ujdzie ci to na sucho - syknął z wściekłością - nawet gdybym umarł. Mam swój sposób, żeby cię osiągnąć i zza grobu.

- A więc masz także organizację tajnych mścicieli! Trzeba przyznać, że jesteś bardzo przewidujący - rzekł Pitt z fałszywym podziwem. - Ale może jakoś cię prześlągam: pewnie chce ci się pić po tym solarium. Zaraz dostaniesz coś do picia. Al, daj wody panu Massarde'owi.

Giordino wyjął z lodówki dwie butelki francuskiej wody mineralnej i podał jedną Massarde'owi. Ten osunął się na krzesło, chwycił butelkę i opróżnił ją w ciągu paru sekund.

Giordino bez pytania podał mu następną.

Pitt z zainteresowaniem obserwował zachowanie Massarde'a. Ten człowiek sprawiał wrażenie, jakby w pełni panował nad sytuacją. Wypił do dna drugą butelkę, po czym rozejrzał się po swoim gabinecie.

- Gdzie jest Verenne? - spytał.

- Nie żyje - odparł spokojnie Pitt.

Po raz pierwszy Massarde był zaskoczony. Najwyraźniej tego się nie spodziewał.

- Zamordowaliście go?!

- Przesada - mruknął Pitt, wzruszając ramionami. - Raczej zabiliśmy w obronie własnej. Rzucił się na Giordina z nożem do rozcinania kartek. Przyznasz, że to głupota atakować w ten sposób człowieka uzbrojonego w pistolet maszynowy.

- Nie wierzę, żeby Verenne to zrobił. Ten tchórz?

Pitt i Giordino wymienili porozumiewawcze spojrzenia. W rzeczywistości Verenne siedział pod strażą w piwnicy i pisał swój raport.

- Mogę ci pokazać jego zwłoki, jeśli chcesz. Ale mam lepszą propozycję.

- A co ty mi możesz zaproponować? - Massarde uśmiechnął się ironicznie.

- Zmieniłem zdanie. Mogę cię wypuścić bez spełniania dalszych warunków. Wystarczy, że obiecasz poprawę, a możesz stąd wyjść, zapakować się do swojego śmigłowca i odlecieć, gdzie ci



się żywnie podoba.

- To ma być dowcip?

- Bynajmniej. Po prostu mam cię szczerze dosyć, a im szybciej znikniesz mi z oczu, tym lepiej.

- Pan chyba nie mówi serio - wtrącił się Brunone. - Ten człowiek jest cholernie niebezpieczny. Będzie się mścił.

- Wiem, to przecież "Skorpion". Tak cię nazywają, Massarde, prawda?

Francuz milczał.

- Zastanów się, czy dobrze robisz - odezwał się Giordino.

- Nie ma się nad czym zastanawiać - odparł Pitt stanowczo. - Chcę się pozbyć tego łajna, i to natychmiast. Kapitanie Brunone, niech pan go zapakuje do śmigłowca i dopilnuje, żeby jak najszybciej odleciał.

Massarde podniósł się z krzesła wolno i niepewnie. Spalona skóra ściągnęła się i przy każdym ruchu sprawiała nieznośny ból. Mimo to zdobył się na uśmiech. Postanowił być grzeczny, by zyskać trochę na czasie.

- Niech mi pan da parę godzin na spakowanie rzeczy osobistych i notatek.

- Masz dokładnie dwie minuty na opuszczenie zakładu.

Massarde zaklął szpetnie, widząc że jego uprzejmość na nic się nie zdała.

- Człowieku, chyba nie wyrzucisz mnie tak jak stoję, bez ubrania. - Miejże odrobinę przyzwoitości!

- A co ty wiesz o przyzwoitości? - spytał Pitt beznamiętnie. - Kapitanie Brunone, niech pan zabierze stąd tego skurwysyna, bo go zastrzele.

Brunone nie musiał nawet powtarzać tego rozkazu swoim ludziom. Skinął tylko głową, a oni natychmiast powlekli przeklinającego i wrzeszczącego z bólu Massarde'a na dziedziniec. Trzej mężczyźni, którzy pozostali w gabinecie szefa Entreprises Massarde, nie odezwali się ani słowem. Po chwili zobaczyli, jak strażnicy wrzucają upadłego potentata do kabiny śmigłowca i zatrząskują za nim drzwiami. Maszyna niemal natychmiast uniosła się w powietrze i pomknęła nad pustynią.

- Poleciał na północny wschód - zauważył Giordino.

- Podejrzewam, że do Libii - powiedział Brunone. - A potem dalej, do swoich kryjówek, w których trzyma majątek na czarną godzinę.

- Jego dalszy los nie ma już żadnego znaczenia - oświadczył Pitt, ziewając ostentacyjnie.

- Tak pan sądzi? - spytał Brunone, nie przekonany. - A ja myślę, że źle pan zrobił; trzeba było rąbnąć drania.

- Po co? I tak umrze jeszcze w tym tygodniu.

- Dlaczego ma umrzeć? Od oparzeń słonecznych? Ten facet ma końskie zdrowie, nie takie rzeczy już przetrzymał.

- Ale tym razem umrze na pewno - rzekł Pitt i odwrócił się do Giordina. - Chyba że coś spieprzyłeś z tą nalewką.

Giordino roześmiał się.

- Jak mogłem spieprzyć? Robiłem dokładnie według recepty dziadunia.

Brunone patrzył zdezorientowany to na jednego, to na drugiego.

- O czym panowie mówią?

- Wystawiłem Massarde'a na słońce tylko po to, żeby mu się zachciało pić - wyjaśnił Pitt.

- Pić? - Brunone nadal nie rozumiał.

- Al wylał wodę mineralną z dwóch butelek i nappełnił je wodą skażoną świństwami z tego podziemnego śmietnika. Taka woda jest we wszystkich studniach, we wszystkich oazach stąd aż do Nigru.

- Teraz już pan rozumie?

- Tak, wypił chyba trzy litry... To się w języku poetyckim nazywa: wymierzyć sprawiedliwość.

- Ta trucizna atakuje najpierw mózg - ciągnął Pitt chłodnym, naukowym tonem, z kamienną twarzą. - Massarde oszaleje, zanim umrze.

Brunone nie wyglądał na zmartwionego ani wstrząśniętego.

- I nie ma żadnej szansy, że przeżyje? - upewnił się.

Pitt pokręcił stanowczo głową.

- Umrze przywiązany do łóżka, wyjąc z bólu, jak zwierzę dotknięte wścieklizną. Szkoda tylko, że jego ofiary tego nie zobaczą.

**CZEŚĆ V**  
**CSS TEXAS**

10 czerwca 1996, Waszyngton, Dystrykt Columbia

60

Od oblężenia Fortu Foureau minęły dwa tygodnie. W sali konferencyjnej NUMA w Waszyngtonie, naprzeciw wielkiego ekranu telewizyjnego wmontowanego w ścianę, siedzieli przy długim stole admirał Sandecker, doktor Chapman i Hiram Yaeger.

Admirał niecierpliwie spoglądał na martwy wciąż ekran,

- Kiedy wreszcie zaczną?

Siedzący najbliżej ekranu i zainstalowanej pod nim kamery Yaeger podniósł słuchawkę telefonu i słuchał w milczeniu.

- Już za chwilę; czekamy na połączenie satelitarne z Mali - powiedział, odkładając słuchawkę.

Zanim skończył mówić, ekran zamigotał. Pojawił się obraz. Pitt i Giordino siedzieli obok siebie za biurkiem, zarzuconym teczkami i dokumentami.

- Cześć, chłopaki - powiedział Yaeger.

- Cześć, Hiram - odparł Pitt. - Miło was znowu widzieć.

- Dzień dobry, Dick - odezwał się Sandecker. - Jak tam twoje rany?

- Dzień dobry, admirale, a raczej dobry wieczór, bo tu już się zmierzcha. A co do moich ran, dziękuję, goją się dobrze.

Pitt i Giordino wymienili jeszcze krótkie pozdrowienia z pozostałymi uczestnikami telekonferencji, po czym Sandecker przystąpił do rzeczy.

- Mamy tu bardzo dobre wiadomości - oznajmił entuzjastycznie. - Godzinę temu dostaliśmy komputerową analizę najnowszych danych satelitarnych z południowego Atlantyku. Wynika z niej, że tempo wzrostu czerwonego zakwitu wyraźnie spadło. Yaeger ocenia, że już za tydzień ekspansja może całkiem ustać.

- W samą porę - zauważył Gunn. - Już teraz obserwujemy pięcioprocentowy spadek światowych zasobów tlenu. Wkrótce wszyscy zaczęliby odczuwać efekty. A my najwcześniej.

- Dlaczego my? - spytał Giordino.

- Bo już tylko dwudziestu czterech godzin brakowało do wprowadzenia w życie we wszystkich krajach, uczestniczących w naszym programie, zakazu używania silników spalinowych - wyjaśnił Yaeger.

-- Stanęłyby wszystkie samochody, samoloty pozostałyby na ziemi, musielibyśmy zatrzymać wiele fabryk.

- Na szczęście udało się tego uniknąć - powiedział Gunn. - Głównie dzięki temu, że zlikwidowaliście źródło skażenia.

- Nie sądziłem, że rezultaty ujawnią się tak szybko - powiedział Pitt. - Jakie są wyniki ostatnich badań wody z Nigru?

- Stężenie toksyny spadło o trzydzieści procent. Zaczęło spadać już w parę dni po odcięciu źródła. Okazuje się, że tempo przepływu wód gruntowych pod Saharą jest znacznie większe, niż wynikało z mojej początkowej oceny.

- Ale nie można jeszcze mówić o powrocie do normy?

- Nie, to na pewno nie. Oceniamy z doktorem Chapmanem, że jeszcze przez sześć miesięcy resztki tego świństwa będą docierać do Atlantyku.

- A więc stymulacja czerwonego zakwitów będzie trwała nadal?

- Tak - odezwał się Chapman - ale mogę chyba bez ryzyka pomyłki powiedzieć, że dalsza ekspansja już nam nie grozi. Chemicy z NUMA odkryli, że proces rozmnażania tych glonów można zakłócić, a nawet powstrzymać, minimalną domieszką miedzi. Wystarczy jedna cząstka miedzi na milion cząstek wody. Zaczęło się już masowe rozpylanie sproszkowanej miedzi nad akwenami zaatakowanymi przez czerwony zakwit. I to działa!

- Ale do końca batalii jeszcze daleko - ostudził jego entuzjazm Sandecker. - Już dzisiaj Stany Zjednoczone zużywają prawie dwa razy tyle tlenu, ile powstaje na naszym terytorium; karmimy się tlenem wytwarzanym przez plankton północnego Pacyfiku. Jeśli rozwój motoryzacji i ruchu lotniczego będzie na całym świecie następował w takim tempie jak u nas, jeśli nie przerwie się dewastacji lasów i tropikalnych dżungli - to nawet bez katastrof chemicznych, takich jak ta, za dwadzieścia lat zabraknie na Ziemi tlenu.

- Co nie znaczy - ciągnął myśl admirała Chapman - że można lekceważyć problem chemicznego zanieczyszczenia oceanów. Myślę nawet, że malijska katastrofa wyjdzie nam wszystkim na dobre. Najedliśmy się strachu, ale może dzięki temu uświadomiliśmy sobie, jak realne jest widmo zagłady ekologicznej.

- Jak wygląda obecnie sytuacja w Fort Foureau? - wrócił do konkretów Sandecker.

- Powiedziałbym, że bardzo dobrze - odparł Giordino. - Po całkowitym wstrzymaniu transportów kolejowych palimy dzień i noc odpady z podziemnych składów. Jeszcze trzydzieści sześć godzin i wszystkie odpady biologiczne i chemiczne, jakie zmagazynował Massarde, będą zniszczone.

- A co z nuklearnymi? - zaniepokoił się Chapman.

- Jest na to sposób. Francuscy inżynierowie, których uwolniliśmy z Tebezzy, twierdzili, że można w tym miejscu bezpiecznie magazynować te odpady; pod warunkiem, że zrobi się to dużo głębiej, daleko od wód gruntowych. Zaproponowałem im, aby po paru dniach odpoczynku wrócili tutaj i zbadali możliwość realizacji tego pomysłu.

- Wyobraźcie sobie, że mimo fatalnych doświadczeń wrócili prawie wszyscy, zatrudnili malijskich robotników i zabrali się do drążenia głębokich sztolni. Chcą zrobić nowy skład odpadów nuklearnych na głębokości półtora kilometra.

- Czy to wystarczy? Te odpady są cholernie aktywne i trwałe.

Pitt uśmiechnął się.

- Okazuje się, że Massarde mimowolnie trafił na idealne miejsce na takie składowisko. Struktura geologiczna pod tą częścią Sahary jest wyjątkowo wręcz stabilna: grube warstwy skał, nieruchome już od setek milionów lat. Półtora kilometra to jeszcze ciągle daleko do dolnej granicy litosfery, a jednocześnie grubo poniżej istniejących wód gruntowych. Nie ma najmniejszego ryzyka przenoszenia skażeń.

- Oczywiście na wszelki wypadek wszystko to będzie solidnie opakowane, zgodnie z bardzo surowymi standardami francuskimi.

- To znaczy? - spytał Sandecker.

- To znaczy, że każdy radioaktywny śmieć jest najpierw zalewany betonem w beczce z nierdzewnej stali; potem tę beczkę topi się w żeliwnym kontenerze wypełnionym asfaltem; kontener oblepia się jeszcze cementem, i dopiero taka wielowarstwowa piguła trafia do podziemnego składu.

Chapman uśmiechnął się szeroko.

- Gratuluję, Dirk. Wygląda na to, że stworzyłeś pierwsze w świecie naprawdę bezpieczne składowisko odpadów.

- Mam tu jeszcze dla was parę ciekawostek - włączył się Sandecker. - Rządy USA i Mongolii wstrzymały budowę zakładów utylizacyjnych Massarde'a na pustyniach Mojave i Gobi. W obu przypadkach inspektorzy międzynarodowi stwierdzili, że zakłady nie spełniają norm bezpieczeństwa ekologicznego.

- Zamknięto też zakład Massarde'a w Australii - dodał Chapman.

Pitt rozluźnił się i westchnął głęboko.

- A więc Skorpion wypada z biznesu. I bardzo dobrze!

- Skoro już o nim mowa - spytał Giordino - nie wiecie czasem, co się z nim dzieje?

- Owszem, wiemy - odparł Sandecker. - Pochowano go wczoraj w Trypolisie. Tamtejszy agent CIA zameldował, że Massarde, zanim umarł w szpitalu, wpadł w szał i próbował zjeść jednego z lekarzy.

- Wspaniały koniec - mruknął Giordino ze złośliwą satysfakcją.

- Aha - przypomniał sobie Sandecker. - Prezydent przesyła wam gorące pozdrowienia. Powiedział mi, że ogłosi list pochwalny, sławiący wasze zasługi.

Pitt i Giordino spojrzeli po sobie i niemal równocześnie wzruszyli ramionami. Sandecker wolał udać, że nie dostrzegł tych objawów nieposzanowania najwyższej władzy.

- Może was zaciekawi - mówił dalej - że nasz Departament Stanu po raz pierwszy od dwudziestu lat nawiązał bliższą współpracę z Mali. Ściślej: z nowym parlamentem malijskim. To także wasza zasługa. Malijczyków zachęcił zwłaszcza fakt, że cały zysk z Fort Foureau pójdzie na ich program socjalny.

- A nie szykuje się tam jakiś wojskowy zamach stanu? - spytał podejrzliwie Gunn.

- Po śmierci Kazima okazało się, że malijskie wojsko wcale nie ma zapędów władczych. Wszyscy oficerowie, co do jednego, zgłosili się pokornie do nowych władz i przysięgli pełną lojalność.

- Stęskniliśmy się już tutaj za waszymi paskudnymi mordami - powiedział z uśmiechem Sandecker. - Rozumiem, że wasze zadanie w Afryce jest już prawie skończone. Kiedy można się was spodziewać w Waszyngtonie?

- Co do mnie, to chciałbym wrócić jak najszybciej - rzekł Giordino. - Nawet cały stołeczny smród wydaje mi się rajem po tym, co przeżyłem tutaj.

Pitt potraktował pytanie Sandeckera poważniej.

- Przydałby się najpierw jakiś tydzień wakacji. A na razie i tak muszę jeszcze trochę zostać w Afryce. Chciałbym coś wysłać statkiem do Stanów, a potem poświęcić parę dni na pewien problem historyczny.

- Texas? - rzucił hasło Sandecker.

- Jak pan na to wpadł? - Pitt był zaskoczony.

- Julien Perlmutter szepnął mi słówko.

- Skoro już pan wie, admirale, to czy mógłbym prosić o przysługę?

Sandecker rozłożył ręce w życzliwym geście.

- Trochę urlopu mogę ci dać na pewno.

- Chodzi o coś więcej. Czy może pan zorganizować przyjazd Juliana do Mali, jak najszybciej?

- Juliana, na Saharę?! - głos Sandeckera zabrzmiał sceptycznie. - Przecież on waży sto osiemdziesiąt kilogramów; jak władujesz go na wielbłąda?

- A już na pewno nie nakłonisz go do spacerów w tym piekielnym upale - dodał Gunn.

- Myślę - powiedział Pitt, patrząc na nich z ekranu rozbawionym wzrokiem - że mam tu coś, co skłoni Juliana do przejścia dwudziestu kroków po pustyni: butelkę zimnego Chardonnay...

- Żeby nie zapomniał - przerwał Sandecker. - Australijczycy szaleją ze szczęścia, odkąd

znaleźliśmy Kitty Mannoek. Jeśli wierzyć gazetom z Sydney, obaj staliście się tam bohaterami narodowymi.

- A co zamierzają zrobić z tym odkryciem?

- Pewien bogaty hodowca z jej rodzinnych stron chce sfinansować rekonstrukcję samolotu, umieszczą go w muzeum. Jutro ma przyjechać do Afryki specjalna ekipa, żeby zabrać to, co jeszcze z niego zostało.

- A Kitty?

- Oczywiście też wróci do Australii. Wygląda na to, że dzień jej powrotu będzie dla Australijczyków wielkim świętem. Zresztą nie tylko dla nich. Ambasador Australii mówił mi ostatnio, że ludzie z wielu krajów przysyłają pieniądze na pomnik Kitty Mannoek.

- Myślę, że Stany też powinny coś przysłać, zwłaszcza południowe.

- A co ona ma wspólnego z naszym Południem? - spytał zdziwiony Sandecker.

- To ona pomoże nam odnaleźć CSS Texas.

Sandecker wymienił niepewne, podejrzliwe spojrzenia z ludźmi siedzącymi w sali konferencyjnej NUMA. Potem znów spojrzął na twarz Pitta na monitorze.

- Zdaje się, że wszyscy tutaj nie bardzo rozumiemy, jak nieżyjąca już od sześćdziesięciu pięciu lat kobieta może nam w czymkolwiek pomóc.

- Znalazłem we wraku dziennik pokładowy Kitty - stwierdził Pitt rzeczowo. - Opisała tam między innymi okręt: wielki stalowy okręt zagrzebany w piasku pustyni



- Dobry Boże! - westchnął z przejęciem Perlmutter, patrząc przez szybę helikoptera na przesuwany się pod nimi martwy ląd, oświetlony pierwszymi promieniami porannego słońca.  
- I wyście tędy szli pieszo?

- Dokładnie biorąc, tę część pustyni pokonywaliśmy już bojerem.

Poprzedniego dnia Perlmutter przyleciał wojskowym samolotem z Ameryki do Algieru, a dalej regularną już linią dotarł do półpustynnego miasta Adrar. Krótco po północy Pitt i Giordino znaleźli go w budynku lotniska. Wszyscy trzej odlecieli na południe śmigłowcem, pożyczonym od francuskiej ekipy technicznej z Fort Foureau. O świcie odnaleźli na pustyni przewrócony bojer. Leżał nie opodal szlaku samochodowego, w takim stanie, w jakim go pozostawili. Wylądowali, zabrali z wraku połamane skrzydło, koła, liny, orczyk, busolę. Wrzucili mniejsze części do kabiny, większe przymocowali do podwozia śmigłowca, i odlecieli na zachód, w stronę wąwozu, w którym znaleźli Kitty Mannoek.

W czasie lotu Perlmutter studiował kserokopie notatek z dziennika Kitty.

- Ależ to dzielna dziewczyna - rzekł z podziwem. - Mając tylko parę łyków wody, z pękniętą kostką i zwichniętym kolaniem, przeszła w takim strasliwym upale szesnaście kilometrów.

- W jedną stronę - skorygował Pitt. - Po znalezieniu okrętu wróciła przecież na miejsce katastrofy.

- Posłuchajcie - powiedział Perlmutter, i zaczął czytać głośno:

Środa, 14 października.

Przerazimy upał. Jestem coraz słabsza. Doszłam wąwozem do szerokiego koryta wyschniętej rzeki. Szłam dalej na południe; pod wieczór zobaczyłam jakiś wielki, dziwaczny okręt, na wpół zagrzebany w piasku. Myślałam, że to halucynacja; upewniłam się dopiero, kiedy dotknęłam ręką burty. Okręt jest stalowy. Weszłam do środka przez otwór, z którego wystaje wielka stara armata. Prześpię się tutaj, może w środku nie będzie w nocy tak strasznie zimno.

Czwartek, 15 października.

Przeszukałam wnętrze okrętu. Nie zobaczyłam wiele, bo ciemno. Ale znalazłam zwłoki paru marynarzy. Bardzo dobrze zachowane, chociaż, sądząc z resztek mundurów, to jakaś bardzo stara historia. Przeleciał samolot, ale nie zauważyli okrętu, a ja nie zdążyłam wyjść, żeby im pomachać. Polecieli na północ, w stronę mojego Fairchilda. Postanowiłam wrócić, bo nawet jak zobaczą Fairchilda, to nie odnajdą moich śladów. Wiatr niemal od razu wszystko zawiewa. Teraz widzę, że zrobiłam błąd. Nie trzeba było odchodzić, przy samolocie miałam największe szansę. Pustynia ma swoje prawa, a ja ich, niestety, nie znam.

Perlmutter podniósł wzrok znad kartek kserokopii.

- Nareszcie rozumiem, dlaczego wróciła do samolotu. Miała nadzieję, że tam ją znajdą. Złudną nadzieję. Ale dzięki temu mamy jej dziennik, a pewnie i okręt.

- Przeczytaj jej ostatnie słowa - poprosił Giordino.

Perlmutter pochylił się znowu nad kartkami.

Sobota, 18 października.

Z powrotem przy samolocie. Niestety, ani śladu ekipy ratowniczej. Jestem już kompletnie wykończona. Jeśli znajdziecie mnie po śmierci, wybaczcie, że sprawiłam wam tyle zmartwień. Uściski dla mamy i taty. Powiedzcie im, że starałam się być dzielna. Nie mogę już pisać, mój mózg nie panuje nad ręką.

Trwali w milczeniu, z trudem powstrzymując łzy.

Wszyscy ludzie z australijskiej ekspedycji przerwali pracę, podnieśli głowy i z niepokojem obserwowali krążący nad wąwozem helikopter. Ale niepokój przekształcił się w uśmiech radości, gdy w dziwnych przedmiotach, przyczepionych do podwozia śmigłowca, rozpoznali brakujące części samolotu, który był celem ich wyprawy. Samolotu Kitty Mannoek.

Pitt osadził maszynę na ziemi w pewnej odległości od jaru, by nie zasypać chmurą piasku pracujących w nim ludzi. Wyłączył silnik i spojrzał na zegarek. Była ósma czterdzieści rano; mieli przed sobą jeszcze kilka godzin do najgorętszej pory dnia. Perlmutter z trudem wyplątał swoje masywne ciało z ciasnej uprząży lotniczego fotela. Otworzył drzwi; do klimatyzowanej kabiny wdarło się upalne powietrze Sahary.

- Chyba nie jestem stworzony do latania po pustyni - mruknął.

- To znacznie lepsze, niż po niej chodzić - rzekł Giordino. - Wiem coś o tym, możesz mi wierzyć.

Z jaru wynurzył się wielki, tęgi mężczyzna o rumianej twarzy. Podszedł do Giordina, który stał najbliżej.

- Dzień dobry. Pan Dirk Pitt?

- Nie, jestem Giordino. Pitt to ten tam - wskazał kciukiem za siebie.

- Ned Quinn - przedstawił się Australijczyk. - Jestem szefem ekspedycji.

Pitt aż skrzywił się z bólu, kiedy Quinn uściśnął jego dłoń.

- Przywieźliśmy parę części samolotu Kitty - powiedział, rozmasowując za plecami obolałe palce. - Pożyczyliśmy je sobie parę tygodni temu.

- Wiem. Wiem i podziwiam. - Głos Quinna brzmiał jak zgrzyt żelaza o kamień. - Niesamowity pomysł; użyć skrzydła jako żagla i popłynąć przez pustynię!

Podszedł do nich Perlmutter, by się przywitać. Quinn poklepał się po wielkim brzuchu,

wylewającym się z roboczego kombinezonu.

- Zdaje się, panie Perlmutter, że obaj lubimy dobrze zjeść i wypić.

- A propos - podchwycił Perlmutter - nie ma pan czasem ze sobą trochę tego sławnego australijskiego piwa?

- Lubi pan nasze piwo? - ucieszył się Quinn.

- Trzymam zawsze w domu skrzynkę Castlemaine'a z Brisbane, na specjalne okazje.

Quinn był zafascynowany znawstwem Amerykanina.

- Castlemaine'a tu nie mamy - powiedział - ale mogę panu zaproponować puszkę Fostera.

Perlmutter nie wyglądał na zawiedzionego. W ciągu paru minut pobytu na słońcu wyciął masę wody i potężnie męczyło go pragnienie.

Quinn podszedł do stojącego nad jarem ciągnika z płaską naczepą. Zniknął na chwilę w wielkiej mieszkalnej kabinie, po czym wyłonił się z czterema dużymi, dobrze wychłodzonymi puszkami piwa. Wręczył każdemu po jednej; sam otworzył swoją i pił dużymi i haustami. - Kiedy spodziewa się pan zakończyć prace? - spytał Pitt, zamykając wreszcie piwny temat.

- Za trzy, cztery godziny wszystko będzie już zapakowane i wracamy do Algieru.

Pitt wyjął z kieszeni koszuli owinięty w plastik notes i podał go Australijczykowi.

- To jest dziennik pokładowy Kitty Mannoek - wyjaśnił. - Opisała w nim również ostatnie, tragiczne dni po katastrofie. Zabrałem go, bo zawiera bardzo ciekawe spostrzeżenia, które chciałem sobie zanotować. Mam nadzieję, że Kitty nie wzięłaby mi tego za złe.

- Na pewno nie. Ma zresztą wobec pana i pana Giordino ogromny dług. - Wskazał ruchem głowy leżącą na platformie ciężarówki trumnę, okrytą granatową flagą z krzyżem świętego Jerzego i gwiazdami Krzyża Południa. - To przecież tylko dzięki wam będzie mogła wreszcie wrócić do domu.

- Zbyt długo jej tam nie było - powiedział cicho Perimutter.

- To prawda. - W chropawym głosie Quinna zabrzmiał uroczysty ton. - Stanowczo zbyt długo.

Wszyscy członkowie ekspedycji wspięli się z wąwozu na górę, by serdecznie podziękować Amerykanom. Ku radości Perlmuttera, Quinn uparł się, że zaopatrzy ich helikopter na dalszą drogę w dziesięć puszek zimnego australijskiego piwa. Pitt wystartował szybko, ale zanim skierował śmigłowiec w stronę legendarnego pustynnego pancernika, wykonał uroczystą, pożegnalną rundę nad trumną Kitty Mannoek. Lot nad wąwozem, którym nieszczęsna Kitty wędrowała kilka dni, zajął im zaledwie kilka minut. Już wcześniej, z daleka, zobaczyli koryto starej rzeki. Brzegi, w dawnych czasach zapewne strome i porośnięte bujną roślinnością, teraz były tylko rozległymi, łagodnymi osypiskami żwiru i piasku.

- To rzeka Oued Zarit - powiedział Perlmutter. - Aż się wierzyć nie chce, że kiedyś była pełną życia, ruchliwą drogą wodną.

- Oued Zarit - powtórzył Pitt. - Tak, ten amerykański włóczęga też ją tak nazywał. Twierdził, że zaczęła wysychać zaledwie sto trzydzieści lat temu.

- To prawda. Czytałem kiedyś stare francuskie relacje z tych okolic. Był tu nawet port handlowy, do którego docierały karawany z towarami; kupcy wieźli je dalej łodziami na południe. Ale dzisiaj nikt już nie wie, gdzie był ten port. Piasek zasypał go, gdy tylko zaczęły się dziesięciolecia wielkie] suszy.

- I stąd hipoteza, że Texas dotarł w górę Oued Zarit właśnie wtedy, kiedy rzeka zaczęła bezpowrotnie wysychać? - spytał Giordino.

- To nie tylko hipoteza. Znalazłem w archiwach oświadczenie, złożone na łóżu śmierci przez niejakiego Beechera. Twierdził on, że przepłynął na pokładzie CSS Texas cały Atlantyk; potem okręt dotarł przez Niger i któryś z jego dopływów w pustynną okolicę, gdzie utknął na mieliźnie.

- Skąd wiesz, że nie były to majaczenia umierającego? - spytał Giordino.

- Majaczenia nie zawierałyby aż tylu drobnych szczegółów, zgodnych z afrykańską rzeczywistością.

Pitt zmniejszył prędkość helikoptera. Wpatrzył się w suche koryto rzeki.

- Ten stary poszukiwacz mówił też, że Texas miał w ładowniach złoto ze skarbcza Konfederacji.

Perlmutter nie zdziwił się.

- Beecher też wspominał o złocie. To właśnie naprowadziło mnie na trop intrygującej afery, związanej z ówczesnym sekretarzem wojny, Edwinem Stantonem...

- Chyba go mamy! - przerwał Giordino. - Tam, na prawo: ta duża stroma wydma przy zachodnim brzegu.

- Ta z wystającą skałą? - spytał Perlmutter, wyraźnie podekscytowany.

- Zgadza się.

- Rozpakuj ten gradiometr, który Julien przywiózł z Waszyngtonu - polecił Pitt.

Giordino wyciągnął z torby wykrywacz metali, podłączył baterie i ustawił zakres czułości.

- Mogę już opuścić czujnik - zameldował.

- Dobrze, zbliżam się do wydmy z szybkością dziesięciu węzłów - poinformował Pitt.

Giordino opuścił czujnik na kilkumetrowym kablu. Teraz obaj z Perlmutterem wpatrzyli się w skałę przyrządu. Kiedy zawieszony pod brzuchem śmigłowca czujnik zbliżył się do wydmy, wskazówka drgnęła i odezwał się brzęczyk: zrazu cicho, potem coraz głośniej. Nad wydumą

dźwięk stał się nieznośnie wysoki i hałaśliwy; wskazówka dotarła do krawędzi skali.

- No, mamy tu niewątpliwie wielki blok żelaza.

- To może być ta rdzawa skała stercząca z diuny - ostrożnie skomentował Perlmutter. -  
Przecież na tej pustyni jest pełno hematytu.

- To nie hematyt, to w ogóle nie jest skała! - zawołał nagle Pitt. - Nie widzicie? Przecież to komin okrętowy pokryty rdzą.

Śmigłowiec zawisł nieruchomo nad wydmą. Na jego pokładzie przez dłuższy czas panowało wymowne milczenie. W istocie aż do tej chwili wszyscy trzej mieli wątpliwości, czy okręt na pustyni nie jest jedynie wytworem ludzkiej wyobraźni. Dopiero teraz wątpliwości zniknęły.

Pod nimi, w wielkiej piaszczystej wydmie, tkwił CSS Texas.

Fala radości i ekscytacji opadła, gdy okazało się, że z wyjątkiem dwumetrowego odcinka komina cały okręt jest przysypany piaskiem. Mieli wprawdzie za sobą łopaty, ale dokopanie się w ten sposób do kadłuba zajęłoby im ładnych parę dni.

- Widocznie w ciągu sześćdziesięciu pięciu lat od wizyty Kitty Mannoock przewędrowała tu cała diuna - rzekł Perlmutter. - Teraz trzeba by ciężkich koparek, żeby się dostać do okrętu.

- Myślę, że jest pewien sposób - powiedział Pitt.

- Coś w rodzaju bagrownicy?... - zastanawiał się głośno Giordino.

- Widzę, że czytasz w moich myślach - Pitt uśmiechnął się chytrze. - Tak, bagrownica, tyle że zamiast węża ciśnieniowego użyjemy naszego wiatraka.

- Nic z tego nie będzie - mruknął Perlmutter sceptycznie. - Albo obroty będą małe, a wtedy nie ruszysz tej góry piachu, albo zwiększysz ciąg, ale wtedy polecimy sobie po prostu pod niebo.

- Zauważ, że ta wydma jest wyjątkowo stroma, ma bardzo wąski wierzchołek. Pierwsze trzy metry będzie łatwo zdmuchnąć, a sądząc z komina, tylko tyle jest do dachu kazamaty.

- W każdym razie nie szkodzi spróbować - dorzucił Giordino; zbyt optymistycznie, jak się okazało już po chwili.

Zaledwie Pitt zawiesił helikopter tuż nad wierzchołkiem wydmy, otoczył ich wielki bury tuman piasku. Już po chwili nie widzieli nic wokół siebie i Pitt musiał czujnie obserwować zegary, by nie zderzyć się z diuną. Co gorsza jednak, piaszczysty pył mógł dostać się do silnika. Po dwudziestu minutach Giordino powiedział z niepokojem:

- Mam nadzieję, że to już niedługo. Ten pył może rozwalić turbiny.

- Gotów jestem rozwalić nawet cały silnik, jeśli to tylko da efekty - odparł Pitt z zawziętą twarzą. W wyobraźni Perlmuttera pojawiła się natychmiast ponura scena, jaka byłaby niewątpliwie następstwem takiej awarii: jego masywne ciało jako główne danie dziesięciodniowej uczyty dla pustynnych myszołowów. Szaleńczy upór Pitta nic dobrego nie wróżył, ale Perlmutter powstrzymał się od komentarzy.

Wreszcie po trzydziestu minutach Pitt zwiększył wysokość i odsunął śmigłowiec na kilkadziesiąt metrów od wydmy. Wszyscy trzej patrzyli w dół niecierpliwie, czekając aż osiadzie wzniecona przez nich chmura pyłu. Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Nagle przez wycie turbin przedarł się podekscytowany baryton historyka.

- Jest! Widzę go!

Pitt, którego fotel znajdował się po stronie przeciwnej do diuny, daremnie usiłował dostrzec coś spoza masywnego tułowia Perlmuttera.

- Co? Co tam widzisz? - spytał niecierpliwie.

- Stalowe, nitowane płyty; wygląda to na opancerzoną budkę sternika.

Pitt poprowadził śmigłowiec w stronę wydmy, ale na większej niż przedtem wysokości, by nie wzniecać tumanów pyłu. Na wprost przed sobą widział teraz budkę sternika i kilka metrów kwadratowych stalowego dachu kazamaty. Choć z piasku wystawały jedynie niewielkie fragmenty pancernika, wrażenie było niesamowite. W pustynnym otoczeniu okręt przypominał raczej przedpotopowego potwora z filmów science-fiction. Dziesięć minut później Pitt i Giordino z niemałym wysiłkiem pomagali ciężkiemu Perlmutterowi pokonać ostatnie metry stromej zbocza diuny. Wreszcie stanęli na górnym pokładzie Texasa, na wprost budki sterowej. Wpatrywali się w wąskie szczeliny obserwacyjne, jakby spodziewali się dostrzec za nimi oczy sternika. Stalowy pancierz był pokryty cienką warstwą rdzy, nie maskującej jednak licznych uszkodzeń, spowodowanych przez pociski Unii. Drzwi w tylnej części nadbudówki były zatrzaśnięte i zapieczone, ale siła mięśni Pitta i Giordina oraz masa Perlmuttera zmusiły je do ustąpienia; otworzyły się z piekielnym zgrzytem zawiasów.

Zajrzeli niepewnie do wnętrza, ale w skąpym świetle, przedostającym się przez szczeliny obserwacyjne, niewiele mogli zobaczyć. Giordino zdjął z ramion plecak, otworzył go i wyciągnął wielkie latarki halogenowe, zdolne oświetlić duże boisko. Pitt zapalił latarkę i pierwszy ruszył do wnętrza.

Piasek, który dostał się tu przez szczeliny, przykrywał stalową podłogę grubą, miękką warstwą, sięgającą kostek. Niemal kompletnie puste wnętrze sprawiało wrażenie większego niż było w rzeczywistości. Oprócz dużego, znieruchomiałego na zawsze koła sterowego dostrzegli i jedynie sterzące z pulpitu sternika wyloty rur akustycznych, a w kącie przewrócony wysoki stołek. Pitt zatrzymał się nad otwartą klapą wjazdu do kazamaty. Wahał się przez chwilę, potem wziął głęboki oddech i ruszył po drabince w czarną czeluść. Gdy wyczuł stopami drewnianą podłogę, puścił drabinkę i zatoczył krąg światłem latarki. Dwa ogromne, stufuntowe działa i dwa mniejsze tkwiły pogrążone do połowy w piasku, który wsypał się przez otwory strzelnicze. Pitt podszedł do stufuntowego Blakeleya, osadzonego na masywnej drewnianej lawecie. Rozpoznał go bez trudu, gdyż wielokrotnie oglądał na fotografiach działa okrętowe z okresu Wojny Secesyjnej. Nie zdawał sobie jednak dotąd sprawy z ich ogromu. Z podziwem pomyślał o tężyźnie fizycznej ludzi, którzy obsługiwali te potwory.

W kazamacie było duszno, ale zadziwiająco chłodno. Pokład bojowy był pusty, upiornie pusty - tak samo jak oglądana przed chwilą sterówka. Żadnych pocisków ani łusek po nich, żadnych narzędzi czy akcesoriów do obsługi dział; nawet wiader przeciw-pożarowych. Nic nie zaśmiecało gładkiej powierzchni podłogi - tak jakby załoga opróżniła i uprzątnęła wnętrze przed

remontem generalnym w stoczni. Pitt odwrócił się w stronę Perlmuttera, który właśnie ostrożnie, z ciężkim sapaniem, zsuwał się po drabinie. Za nim schodził na dół Giordino.

- Dziwne - powiedział historyk, rozglądając się wokoło. - Albo mnie wzrok zawodzi, albo na tym pokładzie jest pusto jak w mauzoleum.

- Wzrok cię nie myli - potwierdził Pitt.

- Przecież na tym okręcie była kupa ludzi. Zniszczyli połowę jankeskiej floty. Z pewnością wielu zginęło, ale część musiała tu zostać aż do końca. A tu żadnego śladu ich obecności.

- Kitty Mannoek napisała, że widziała zwłoki - przypomniał Giordino.

- Pewnie są niżej - rzekł Pitt. Oświetlił latarką wąskie metalowe schodki, prowadzące na pokład. - Proponuję zacząć od dziobu, od kajut marynarskich. Potem obejrzymy sobie maszynownię, a na końcu kajuty oficerów.

Ruszyli na dół w milczeniu, onieśmieleni bliskością wielkiej tajemnicy. Szczególne wrażenie budziła świadomość, że krążą po pokładach jedyne zachowanego pancernika Konfederacji, w którym spoczywają nadal szczątki pierwszej i jedynej załogi. Pitt czuł się jak w starym zamku, nawiedzanym przez duchy. Dotarli do pomieszczeń marynarskich - i stanęli w pełnym grozy milczeniu. Znaleźli się w grobowcu. Było tu co najmniej pięćdziesięciu mężczyzn, zastygłych w pozycjach, w jakich dopadła ich śmierć. Większość leżała jednak na kojach. Z pewnością nie umarli z braku wody - w czasie, kiedy tragedia się dokonała, w rzece było jej jeszcze dużo. Wszystkie zmumifikowane zwłoki zdradzały objawy strasznego niedożywienia. Wszystkie ciała pozbawiono odzieży i butów. W kubryku nie było też marynarskich kuferków ani żadnych przedmiotów osobistych.

- Oskubali ich dokładnie - mruknął Giordino.

- To Tuaregowie - wyjaśnił Perlmutter. - Beecher mówił, że na okręt napadali pustynni bandyci; tak ich nazywał.

- Musieli być strasznie napaleni, żeby atakować pancerny, świetnie uzbrojony okręt, mając tylko dzidy i stare muszkiety.

- Mieli powód: chcieli zdobyć złoto. Według Beechera kapitan płacił pustynnym plemionom za żywność złotem ze skarbca Konfederacji. Prawdopodobnie, gdy wieść o tym się rozniosła, Tuaregowie podjęli parę prób opanowania okrętu. W końcu zmądrzeli, zdecydowali się na oblężenie i odcięli wszelkie dostawy żywności. Potem już tylko, cierpliwie czekali, aż cała załoga umrze z głodu, na tyfus lub malarię. Kiedy na okręcie nie było już żadnych oznak życia, weszli po prostu jak po swoje, zabrali całe złoto i wszystko, co zdołali unieść. A potem jeszcze przez wiele lat każda przechodząca tędy koczownicza gromada plądrowała okręt, aż nie zostało na nim nic z wyjątkiem martwych marynarzy - no i armat, bo te były za wielkie, by je zabrać na



wielbłądach.

- Czyli o złocie możemy raczej zapomnieć - westchnął Pitt. - Już dawno go nie ma.

- Nie obłowimy się dzisiaj - przytaknął Perlmutter.

Nie mieli ochoty tkwić dłużej w kubryku pełnym trupów. Przeszli do maszynowni. Tutaj pozostało nieco z wyposażenia okrętu. W stojących pod ścianami wielkich koszach był wciąż węgiel, na podłodze wałało się kilka porzuconych szufli. Mosiądz zegarów i armatur zachował jeszcze słaby połysk, a silniki i kotły sprawiały wrażenie, jakby wciąż nadawały się do użytku. Światło jednej z trzech latarek wydobyło z mroku niski stół i siedzącego przy nim człowieka. Martwa dłoń przyciskała kartkę papieru, obok leżało pióro i stał kałamarz, z którego dawno już wyparował atrament. Pitt ostrożnie wysunął papier spod dłoni trupa i zaczął czytać:

Wypełniałem moje obowiązki, jak długo sił starczyło. Zostawiam maszyny w dobrym stanie. To wspaniałe silniki: przepchnęły nas przez cały ocean i nie straciły nic ze swej mocy. Niechaj i po mojej śmierci dobrze służą temu okrętowi, niechaj wiodą go do nowych zwycięstw nad przeklętymi Jankesami. Boże, chroń Konfederację.

Główny mechanik CSS Texas Angus O'Hare

- Otóż i prawdziwie ideowy człowiek - rzekł Pitt z podziwem.

- Tak; dziś już nie ma takich - zgodził się Perlmutter.

Pozostawili głównego mechanika w ciemności i wąskim przejściem między wielkimi maszynami ruszyli w stronę mesy i kajut oficerskich. W niektórych znaleźli zwłoki oficerów. Tak samo leżały na kojach i tak samo pozbawione były ubrań, jak zwłoki marynarzy w kubryku. Pitt nie poświęcił im już prawie żadnej" uwagi. Szybko dotarł do mahoniowych drzwi na końcu korytarza.

- To na pewno kajuta dowódcy - rzekł z przekonaniem.

- Tak - przytaknął Perlmutter. - Nazywał się Tombs; komandor Mason Tombs. I twardy był z niego facet, sądząc z tego, co czytałem o heroicznej walce na James River.

Pitt nie miał cierpliwości, by słuchać szczegółów tej historii. Chwyił za klamkę, chcąc otworzyć drzwi. Perlmutter powstrzymał go w ostatniej chwili.

- Zaczekaj!

- Dlaczego? Boisz się czegoś, Julien?

- Boję się, że zobaczymy coś, co powinno pozostać tajemnicą.

- O czym ty mówisz? - spytał Giordino.

- Ja... nie powiedziałem wam jeszcze, co znalazłem w tajnych dokumentach Edwina Stantona.

- Powiesz nam później - rzeki zniecierpliwiony Pitt, nacisnął klamkę i wysuwając przed

siebie latarkę przekroczył próg.

W porównaniu z komfortem dzisiejszych okrętów wojennych kajuta kapitańska mogła wydawać się ciasna i skromnie wyposażona. Ale pancerniki z okresu Wojny Secesyjnej nie były przecież prze-znaczone do długotrwałych wypraw morskich. Tocząc swoje bitwy na rzekach i zalewach Konfederacji, oficerowie prawie nigdy nie przebywali na okrętach dłużej niż dwie doby.

Z kajuty kapitana, jak ze wszystkich innych pomieszczeń okrętu, zniknęły prawie wszystkie znajdujące się tu kiedyś rzeczy. Zostały tylko przedmioty przymocowane do ścian i podłogi; widocznie plądrujący okręt Tuaregowie nie mieli odpowiednich narzędzi. Dzięki temu w kajucie kapitańskiej zachowały się półki i duży mosiężny barometr, choć potłuczony. Z niejasnych powodów zachował się również - podobnie jak wysoki stółek w sterówce - duży fotel na biegunach.

Światło latarki wydobyło z mroku dwa zmumifikowane ciała - jedno na koi, drugie na fotelu. Trup na koi leżał na boku, oparty ramieniem o ścianę, tak jak zostawili go rabusie, którzy zdarli z niego ubranie i wyciągnęli spod ciała pościel i materac. Miał gęste rude włosy i takiż zarost na twarzy.

Ale Pitt i Giordino zainteresowali się bardziej drugą postacią, siedzącą na fotelu jakby w trakcie drzemki. Skóra zmarłego przypominała im skórę Kitty Mannoek: była ciemnobrązowa i wyglądała jak wygarbowana. Ciało okrywał jedynie staroświecki bieliźniany kombinezon. Brodata twarz była niezwykle chuda, z głęboko zapadniętymi oczodołami. Nad nimi zachowały się brwi: gęste, krzaczaste, o dziwnie krótkiej linii, jakby zgolone nad zewnętrznym kątem oka. Włosy i broda były kruczoczarne, z nielicznymi tylko siwymi przebłyskami.

- Ten facet jest cholernie podobny do Abrahama Lincolna - zauważył Giordino spokojnie.

- To jest Abraham Lincoln - odezwał się od drzwi zduszonym głosem Perlmutter.

Zaniepokojeni, skierowali na niego światła latarek.

- Historyk siedział na podłodze oparty o framugę drzwi, bezwładnie jak wieloryb wyrzucony na mieliznę. Zahipnotyzowanym wzrokiem wpatrywał się w siedzącą na fotelu mumię.

Giordino ukląkł przy nim i wyjął z torby butelkę z wodą.

- Ten upał chyba ci nie służy, stary.

Perlmutter odsunął przyjazną dłoń z butelką.

- Bóg mi świadkiem, że do końca nie chciałem w to uwierzyć. Ale to prawda. Edwin McMasters Stanton, sekretarz wojny w gabinecie Lincolna, napisał w swoich tajnych listach prawdę.

- Jaką prawdę? - spytał Pitt.

Perlmutter zawahał się, potem powiedział cicho, konspiracyjnym szeptem:

- Abe Lincoln nie zginął w Teatrze Forda od kul Johna Wilkesa Bootha. Abe Lincoln siedzi tutaj przed wami, na tym fotelu.

Pitt patrzył na Perlmuttera, daremnie próbując pojąć sens jego słów.

- Zabójstwo Lincolna jest jednym z najlepiej udokumentowanych zdarzeń w całej amerykańskiej historii. W Teatrze Forda było co najmniej stu świadków.

Perlmutter wzruszył nieznacznie ramionami.

- I co z tego? Wszystko przebiegało tak, jak mówią świadkowie, tyle że była to oszukańcza inscenizacja, wyreżyserowana od początku do końca przez Stantoną. A rolę Lincolna zagrał pewien podobny do niego aktor. Prawdziwego Lincolna uprowadzili dwa dni wcześniej Konfederaci. Przemycili go przez linię frontu, do Richmond. Tę część historii dokumentuje inne przedśmiertne oświadczenie, złożone przez kapitana kawalerii konfederackiej, dowódcę oddziału, który dokonał porwania.

Pitt spojrzął z namysłem na Giordina, potem znowu na Perlmuttera.

- Czy ten kapitan kawalerii nie nazywał się przypadkiem Brown?

Historyk otworzył usta ze zdumienia.

- Tak, Neville Brown. Ale skąd ty to wiesz?

- Ten stary Amerykanin, który szukał skarbów Texasa, wspomniał to nazwisko.

- Ale sądziliśmy, że wymyśli! całą tę bajkę - dodał Giordino.

- To nie bajka, zapewniam was. - Perlmutter nie był w stanie oderwać spojrzenia od tkwiących w fotelu zwłok. - Uprowadzenie Lincolna było pomysłem któregoś z sekretarzy prezydenta Konfederacji, Jeffersona Davisa. Chodziło o zdobycie jakiegoś atutu w negocjacjach po klęsce Południa. Bo klęska była już nieunikniona.

- Grant coraz bardziej zacieśniał pętlę wokół Richmond, od południa na tyły armii generała Lee wchodził Sherman. Zanosilo się na całkowite zwycięstwo Unii i bezwarunkową kapitulację, co mogło oznaczać ogromne kontrybucje i wyniszczenie gospodarcze Południa. I wtedy ów sekretarz - jego nazwisko nie zachowało się w zapisach - zaproponował porwanie Lincolna i trzymanie go jako zakładnika, w celu wymuszenia korzystniejszych warunków kapitulacji.

- W gruncie rzeczy niezły pomysł - mruknął Giordino; on również usiadł na podłodze, by odciążyc zmęczone nogi.

- Niezły - zgodził się Perlmutter - ale pokrzyżował te plany Edwin Stanton.

- Nie uległ szantażowi? - domyślił się Pitt.

- Istotnie, choć rzecz jest trochę bardziej skomplikowana. Lincoln wierzył, że Stanton jest najlepszym człowiekiem na stanowisko ministra wojny, choć stosunki między nimi nie układały się najlepiej. W istocie Stanton nie znosił prezydenta i nawet nie bardzo się z tym krył; potrafił

nazywać go w towarzystwie "prymitywną małpą". Toteż porwanie Lincolna potraktował niejako narodową tragedię, lecz jako szansę dla siebie.

- W jaki sposób uprowadzono Lincolna? - spytał rzeczowo Pitt.

- Wszyscy wiedzieli, że prezydent ma zwyczaj codziennie jeździć za miasto, na małą przejażdżkę dla zdrowia. Przebrany w mundury Unii oddział kawalerii konfederackiej pod dowództwem kapitana Browna napadł na eskortę prezydenta, a jego samego uprowadził na drugą stronę Potomaku, i dalej, na tereny zajmowane jeszcze przez wojska Południa.

Pitt z trudem przyjmował te rewelacje. Ten fragment historii był dla niego - jak dla wielu Amerykanów - czymś nienaruszalnym, czymś, w co wierzy się jak w Ewangelię. Trzeba było zdobyć się na niezwykle dystans, wyjść poza utrwalone latami schematy, aby uznać, że w 1865 roku dokonano wielkiego fałszerstwa.

- Jakie były pierwsze reakcje na wiadomość o porwaniu?

Niefortunnie dla Lincolna, pierwszą osobą, którą powiadomili ocalali żołnierze eskorty, był Stanton. Uświadomił sobie natychmiast, jaka panika i wzburzenie mogą ogarnąć Północ, jeśli ludzie dowiedzą się, że prezydent został porwany przez wroga. Natychmiast obłożył sprawę pieczęcią tajemnicy i wymyślił zastępczą historyjkę, tłumaczącą nieobecność Lincolna w Waszyngtonie. Jego żonie, Mary Todd Lincoln, powiedział, że prezydent udał się na tajną naradę wojenną z generałem Grantem i wróci dopiero za kilka dni.

- I nikt nie sypnął? - spytał Giordino z niedowierzaniem.

- W Waszyngtonie wszyscy strasznie bali się Stantona. Jeśli związał kogoś tajemnicą, ten ktoś milczał jak grób - albo rzeczywiście trafiał do grobu.

- A dlaczego sprawa się nie wydała, kiedy prezydent Davis próbował uruchomić szantaż? Bo na pewno próbował.

- Oczywiście. Ale Slanton to przewidział. Przejrzał całą intrygę Konfederatów i już w parę godzin po porwaniu zawiadomił dowódcę obrony Waszyngtonu, że jeśli pojawi się negocjator od Davisa, należy go skierować wprost do ministra wojny. W rezultacie ani wiceprezydent Johnson, ani sekretarz stanu William Henry Seward, ani inni członkowie gabinetu Lincolna niczego się nie dowiedzieli. Tymczasem Stanton przesłał Davisowi odpowiedź, w której odrzucił możliwość jakichkolwiek negocjacji i sugerował, że Konfederacja wyświadczy wielką przysługę całemu narodowi, jeśli utopi Lincolna w James River.

Perlmutter wziął głęboki oddech i ciągnął dalej.

- Przeczytawszy odpowiedź Stantona, Davis osłupiał. Łatwo sobie wyobrazić jego dylemat. Kieruje państwem, które ze wszystkich stron ogarnęły już płomienie. Ma w garści naczelnego przywódcę Unii. - Ale wysoki dostojnik państwowy Stanów Zjednoczonych pisze

mu, że nic go to nie obchodzi i że mogą trzymać Lincolna jak długo chcą. - Davis nagle zdał sobie sprawę, że może nie tylko nic nie zyskać, ale nawet dużo, bardzo dużo stracić. Kapitulacja i tak będzie bezwarunkowa, a zwycięscy Jankesi powieszą go jako zbrodniarza wojennego.

- Widząc, że z jego pomyslowego planu nic nie wyjdzie, i nie mogąc jednocześnie zdecydować się na natychmiastowe zgładzenie Lincolna, postanowił odroczyć decyzję i załadował go na CSS Texas jako jeńca. - Davis miał nadzieję, że komandor Tombs przejdzie szczęśliwie przez jankeską blokadę, ocali złoto Konfederacji i przetrzyma Lincolna do czasu, kiedy będzie go można użyć jako argumentu przetargowego w negocjacjach z Północą. Bo Davis sądził, że prędzej czy później miejsce Stanton'a w Waszyngtonie zajmą politycy bardziej umiarkowani. Niestety, sprawy nie potoczyły się aż tak dobrze.

- Stanton upozorował zabójstwo prezydenta, a Texas zaginął na Atlantyku i przypuszczalnie zatonął - podpowiedział Pitt.

- No właśnie - potwierdził Perlmutter. - Więziony przez dwa lata po wojnie, Jefferson Davis nigdy oczywiście nie wspomniał o uprowadzeniu Lincolna, obawiając się wściekłego odwetu Jankesów na nim osobiście i na całej byłej Konfederacji.

- A jak Stanton zorganizował zabójstwo? - spytał Giordino.

- To jedna z najdziwniejszych historii w całych dziejach Ameryki - rzekł Perlmutter. - Szczególnie dziwne jest to, że Stanton, najmując mordercę, dopuścił go do tajemnicy. To właśnie Booth, zabójca rzekomego Lincolna, podsunął Stantonowi aktora podobnego do prezydenta. Stanton wtajemniczył w sprawę również generała Granta; nie mógł postąpić inaczej, gdyż trzeba było jakoś wyjaśnić dwudniową nieobecność Lincolna w stolicy. Nie wiadomo, dlaczego Grant zgodził się uczestniczyć w mistyfikacji; w każdym razie twierdził on potem, że jeszcze po południu w dniu zabójstwa odbył długą rozmowę z Lincolnem. Agenci Stanton'a podali Mary Todd Lincoln jakiś narkotyk, po którym była tak oszołomiona, że wieczorem, kiedy fałszywy prezydent przyjechał po nią, rzekomo prosto od generała Granta, by ją zabrać do teatru - nie rozpoznała fałszerstwa. W teatrze - kontynuował Perlmutter - publiczność wstała i przywitała go owacjami. Tu znowu nikt niczego nie zauważył, gdyż loża prezydencka była kiepsko oświetlona i oddalona od widzów.

W tym momencie do akcji wkroczył Booth. Strzelił nieszczęsnemu, niczego nie podejrzewającemu durniowi w tył głowy. Śmiertelnie rannego aktora wieźli przez ulice miasta z chusteczką na twarzy, aby nikt nie zorientował się w mistyfikacji. Umarł w powozie, a Stanton załatwił resztę.

- Byli jednak jacyś świadkowie i później - zaprotestował Pitt. - Lekarze, którzy stwierdzili zgon, paru dostojników, najbliżsi współpracownicy Lincolna.

- Lekarze byli przyjaciółmi i agentami Stantona. Nie wiem natomiast, jak wprowadzono w błąd innych. Stanton nie napisał nic na ten temat.

- A zamachy na wiceprezydenta Johnsona i sekretarza stanu Sewarda? Czy to też należało do planu Stantona?

- Z pewnością. Po ich śmierci byłby przecież sukcesorem fotela prezydenckiego. Ale ludzie, których wynajął Booth, spartolili robotę.

- Mimo to Stanton rządził jako regent jeszcze przez kilka tygodni po objęciu urzędu prezydenckiego przez Johnsona. On też prowadził główne śledztwo, aresztował spiskowców i po błyskawicznym procesie doprowadził do ich powieszenia. On wreszcie rozpuścił pogłoskę, że Lincoln zabito z inspiracji Jeffersona Davisa; że była to ostatnia, desperacka próba przechylenia szali zwycięstwa na stronę Konfederacji.

- A więc pewnie i śmierć Bootha przed procesem wynikała z obaw Stantona, że tamten mógłby coś zdradzić - zasugerował Pitt.

Perlmutter pokręcił głową.

- W sławnej stodole, w której rzekomo zginął Booth, spłonął w rzeczywistości ktoś inny. Identyfikacja i sekcja zwłok były jednym wielkim oszustwem. Booth uciekł i przeżył jeszcze wiele lat. W końcu popełnił samobójstwo w Enid, w stanie Oklahoma, w tysiąc dziewięćset trzecim.

- Czytałem gdzieś, że podobno Stanton zniszczył dziennik Lincoln - rzekł Pitt.

- To prawda. Stantonowi udało się rozpalić wrogie nastroje wobec pokonanej Konfederacji. Wolał więc nie dopuścić do ujawnienia zamierzeń Lincoln, który chciał po zakończeniu wojny postawić Południe z powrotem na nogi i pisał o tym w swoim dzienniku.

- I mówisz - odezwał się z nagłą, niezwykłą dla niego powagą Giordino - że prawdziwy Abraham Lincoln to ta mumia przed nami?

- Jestem o tym przekonany - odparł Perlmutter. - Oczywiście, mogłyby to ostatecznie potwierdzić dopiero sumienne badania anatomiczne. Nawiasem mówiąc, takim badaniom poddano całkiem przypadkowo zwłoki tego dublera. Być może wiecie, że była próba kradzieży zwłok Lincoln z grobu w Springfield, w Illinois. Rabusie wykopali trumnę, ale zostali schwytani już na cmentarzu. Tę historię znają prawie wszyscy; nikt jednak nie wie, że ekipa przygotowująca zwłoki do ponownego pochówku stwierdziła ich nieautentyczność.

- Wtedy przyszło z Waszyngtonu polecenie, by nie rozgłaszać tego faktu, a grób zabezpieczyć tak, by już nikt nigdy nie mógł się do niego dostać. Trumny Lincoln i jego syna Tada zalano setkami ton betonu.

- Oficjalnie po to, by zapobiec profanacjom. W rzeczywistości po to, by pogrzebać na

zawsze dowody zbrodni.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co to znaczy?

- Z czego niby mam sobie zdawać sprawę?

- Z tego, że zmieniamy obraz historii. Kiedy ogłosimy, co tutaj znaleźliśmy, trzeba będzie zmieniać w podręcznikach cały najtragiczniejszy epizod historii Stanów Zjednoczonych.

Perlmutter popatrzył na Pitta niemal z przerażeniem.

- Chyba nie mówisz poważnie! W całej amerykańskiej literaturze, poezji, nawet w folklorze Abraham Lincoln jest traktowany jak święty i męczennik. Śmierć od skrytobójczej kuli uczyniła zeń symbol, ważny dla wszystkich przyszłych pokoleń. Jeśli ujawnimy machinacje Stantona, ten symbol runie. To straszliwie zuboży Amerykę i Amerykanów.

W zmęczonych oczach Pitta pojawił się błysk determinacji.

- Abraham Lincoln czczony jest przede wszystkim za swą niezłomną prawość i uczciwość. Pod tym względem nie dorównuje mu żaden inny, jak to nazywasz, "amerykański symbol". I co? Chcesz całą sprawę zataić? Chcesz zostawić jego doczesne szczątki w tak żalnym, poniżającym położeniu? Abraham Lincoln Jak może nikt inny, zasłużył sobie na godny, uroczysty pogrzeb. Jestem pewien, że gdybyśmy mogli go o to zapytać, odpowiedziałby jednoznacznie: przyszłe pokolenia, którym służył całym swoim życiem, powinny poznać prawdę. Całą prawdę!

- Ja też tak uważam - powiedział twardo Giordino. - I zrobię wszystko, żeby ci pomóc w odsłonięciu tej ponurej kurtyny.

- Ależ to może przynieść fatalne skutki! - Perlmutter dyszał ciężko, jakby się dusił, daremnie szukając racjonalnych argumentów. - Na litość boską, Dirk, czy nie potrafisz tego pojąć? Tę sprawę należy pozostawić w tajemnicy. Naród nie może się o tym nigdy dowiedzieć!

- Mówisz jak ci wszyscy arogancy politycy i biurokraci, którzy odmawiają społeczeństwu prawa do poznania prawdy - rzekomo w imię bezpieczeństwa narodowego, w imię ochrony najżywotniejszych interesów narodu. Tak jakbyś był Bogiem, jakbyś tylko ty wiedział co dobre, a co złe. Nie doceniasz społeczeństwa, Julien, nie doceniasz rozumu zwykłych ludzi! Oni przyjmą tę prawdę bez żadnych problemów, bez niepokojów i rozruchów. A gwiazda Lincolnna będzie świecić jaśniej niż kiedykolwiek przedtem.

Perlmutter zrozumiał, że jego starania są beznadziejne. Splótł dłonie na wielkim brzuchu i westchnął ciężko.

- No dobrze. Napiszemy na nowo ostatni rozdział historii Wojny Secesyjnej, a potem pogodnie staniemy przed plutonem egzekucyjnym.

Pitt zbliżył się do zasuszonej postaci, groteskowo rozpiętej na fotelu. Uważnie przyjrzał się nienaturalnie długim rękóm i nogóm, i spokojnej, zmęczonej twarzy.



- Ja wiem jedno - rzekł cichym, ledwie słyszalnym głosem. - Po stu trzydziestu latach wygnania stary zacny Abe musi wreszcie wrócić do domu.

## EPILOG

20 czerwca 1996, Waszyngton, Dystrykt Columbia

### 64

Wiadomość o odnalezieniu Lincolna oraz historia wielkiej manipulacji Stantoną zelektryzowały Amerykę. Ale nie doszło do żadnego kataklizmu. Dzieci w szkołach nadal wkuwają na pamięć Mowę Gettysburską - tak jak wkuwali ich dziadkowie.

Ciało Lincolna z największą ostrożnością i szacunkiem zabrano z pokładu pancernika i przewieziono do Waszyngtonu. Stolica nie szczędziła sił i środków na uroczystości i ceremonie. Na schodach Kapitolu aż pięciu żyjących prezydentów złożyło hołd dawno zmarłemu poprzednikowi. Przemówienia ciągnęły się w nieskończoność, a politycy prześcigali się w cytowaniu Lincolna, a nawet Carla Sandburga\*.

Doczesne szczątki szesnastego prezydenta nie spoczęły na cmentarzu w Springfield.

Na specjalne polecenie urzędującego prezydenta wykuto kryptę w podstawie sławnego pomnika z białego marmuru, górującego nad Potomakiem. Nie protestował nikt - nawet deputowani z Illinois.

Ogłoszono święto. Miliony ludzi w całym kraju jeszcze raz zobaczyły na ekranach telewizorów zmumifikowaną twarz człowieka, który przeprowadził państwo przez najtrudniejsze zakręty jego historii. Cały zresztą program telewizyjny tego dnia wypełniły relacje z uroczystości pogrzebowych; wszystkie inne wiadomości zostały zepchnięte na margines. W nocy sieci telewizyjne wróciły wprawdzie do swoich zwykłych programów i serwisów informacyjnych, ale jeszcze przez kilka następnych dni główni komentatorzy i prezenterzy mówili niemal wyłącznie o uroczystym powrocie Lincolna.

Rozłąka starego zacnego Abe z pancernikiem, na którym spędził sto trzydzieści jeden lat, nie potrwa długo. Kongresmeni, jednomyślni jak nigdy, uchwalili specjalny fundusz na przetransportowanie CSS Texas z Mali do Waszyngtonu. Okręt zajmie honorowe miejsce na błoniach waszyngtońskich, w sąsiedztwie swego przymusowego pasażera. Dzielną załogę okrętu pochowano, z wielką pompą i z hucznym akompaniamentem dixielandowych orkiestr, na wojskowym cmentarzu Konfederacji w Richmond - mieście, z którego wyruszyli na swój pierwszy i jedyny rejs.

Kitty Mannoek i jej samolot wrócili do Australii, gdzie zgotowano im entuzjastyczne, graniczące z ekstatycznym szaleństwem powitanie. Kitty spoczęła w grobowcu Muzeum Wojska w stolicy. W muzeum znalazł się również jej wierny Fairchild FC-2W po odrestaurowaniu

---

\*Carl Sandburg - poeta, autor popularnej biografii Lincolna (przyp. red.)

umieszczono go w dostojnym towarzystwie Southern Cross, słynnego długodystansowego samolotu Sir Charlesa Kingsford-Smitha.

Tylko paru fotografów i dwaj dziennikarze uczestniczyli w uroczystości odznaczenia Hali Kamil i admirała Sandeckera za ich zasługi w ratowaniu świata przed kataklizmem czerwonych glonów. Pewnie nie byłoby nawet tylu, gdyby nie fakt, że przyznane przez Kongres odznaczenia przypinał osobiście, w przerwie między licznymi przemówieniami, prezydent Stanów. Później jednak odbyła się w Nowym Jorku specjalna sesja Organizacji Narodów Zjednoczonych, podczas której uhonorowano Sekretarza Generalnego długotrwałą, burzliwą owacją. Sandecker tymczasem powrócił do swego biura w NUMA, by spokojnie zabrać się do pracy nad kolejnym projektem badawczym, według własnego, sprawdzonego i rygorystycznie przestrzegane go reżimu.

Doktor Darcy Chapman i Rudi Gunn zostali zgłoszeni do Nagrody Nobla - ale nie dostali jej. Nie przejęli się tym jednak i szybko wrócili na południowy Atlantyk, by badać wpływ nadal wielkiego, choć kurczącego się już, czerwonego zakwitnięcia na inne formy życia w oceanie. Wkrótce dołączył do nich doktor Frank Hopper, który mimo surowego zakazu lekarzy opuścił przedwcześnie szpital. Twierdził, że w atmosferze pracy na statku badawczym szybciej dojdzie do zdrowia - i chyba miał rację.

Hiram Yaeger dostał od NUMA wysoką premię i dodatkowy dziesięciodniowy płatny urlop. Pojechał razem z całą rodziną na wakacje do Disneylandu, ale podczas gdy dzieci korzystały z uciech krainy fantazji, on sam wziął udział w seminarium na temat systemów archiwizacji komputerowej.

Generał Hugo Bock osobiście dopilnował, aby bohaterscy obrońcy Fort Foureau zostali godnie nagrodzeni, a rodziny poległych otrzymały hojną rekompensatę. Potem zdecydował się odejść na emeryturę; wolał zrobić to w momencie największych sukcesów i chwały, niż czekać, aż zmusi go do tego wiek i ogólne osłabienie sprawności. Jako całkiem już prywatna osoba zamieszkał w małej wiosce bawarskiej u podnóża Alp.

Pułkownik Levant, zgodnie z najlepszymi życzeniami Pitta, dostał medal Organizacji Narodów Zjednoczonych za zasługi dla pokoju, awans na generała i stanowisko dowódcze, opuszczone przez Boćka.

Kapitan Pembroke-Smythe, wyleczywszy się w rodzinnej posiadłości w Kornawalii z afrykańskich ran, wrócił do służby w swoim brytyjskim pułku. Już jako major został przyjęty na specjalnej audiencji przez królową, która odznaczyła go Orderem Najwyższej Zasługi. Dziś dowodzi jednostką wojsk powietrzno-desantowych do zadań specjalnych.

Julien Perlmutter, szczęśliwy, że nie sprawdziły się jego proroctwa, a naród amerykański

przyjął prawdę o Lincolnie i Stantonie bez paniki i degrengolady moralnej - miał też pozytywne powody do satysfakcji. Za zasługi w odkryciu tej prawdy otrzymał tyle dyplomów, adresów i listów pochwalnych od towarzystw historycznych z całego świata, że mógł nimi wytapetować ściany największego pokoju w całym domu. Oczywiście nie zrobił tego.

Al Giordino odnalazł rezolutną pianistkę, którą poznał na jachcie Massarde'a na Nigrze. Okazało się, że jest do wzięcia, a w dodatku, z powodów zupełnie niezrozumiałych dla Pitta, zagustowała w towarzystwie małego amerykańskiego Włocha. W każdym razie przyjęła ochoczo jego zaproszenie na wspólną wyprawę w bajeczny podwodny świat Morza Czerwonego.

Co się zaś tyczy samego Dirka Pitta...

26 czerwca 1996, Monterey, Kalifornia

Dla tej części Kalifornii czerwiec to pełnia sezonu. Szosą wzdłuż sławnego siedemnastomilowego odcinka wybrzeża między Monterey i Carmelem sunęły zderzak w zderzak karawany turystów. Podziwiali słynne widoki z okien samochodów, zatrzymując się jedynie na wielkich parkingach wzdłuż Cannery Row, gdzie w niezliczonych kioskach można było napić się czegoś chłodnego, a w równie licznych restauracyjkach zjeść coś z nieprzebranych darów morza. I jechali dalej - pograć w golfa w Pebble Beach, zobaczyć stromiznę Big Sur, zrobić zdjęcia o zachodzie słońca na Point Lobos. Plątali się wśród winnic, zaliczali szczególnie stare i wysokie cyprysy, włączyli się po plażach, gdzie podziwiali ślizgające się po wodzie pelikany, słuchali z zachwytem poszczekiwania fok i łoskotu łamiących się fal.

Państwo Rojas byli całkiem niewrażliwi na te uroki przyrody po trzydziestu dwu latach spędzonych w domku w stylu chaty wiejskiej w Pacific Grove. Niezwykłe otoczenie traktowali jako coś normalnego i oczywistego. Ten szczególny rodzaj ślepoty estetycznej ustępował jedynie wtedy, gdy do domu przyjeżdżała Eva. Ona nadal patrzyła na półwysep Monterey oczyma zachwyconego dziecka, jak ktoś, kto patrzy na swój pierwszy w życiu naprawdę własny samochód. Zawsze natychmiast po przyjeździe wrywała rodziców z wygodnej rutyny i na nowo uczyła ich cenić proste, naturalne piękno, w którym żyli.

Ale tym razem było inaczej. Tym razem nie mogła zabrać ich na wycieczkę rowerową ani nakłonić do wspólnej kąpieli w rześkich bryzgach fal Pacyfiku. Nie mogła właściwie robić niczego, z wyjątkiem wylegiwania się w ogrodzie koło domu. W dwa dni po opuszczeniu szpitala, gdzie leczyła się z ciężkich obrażeń odniesionych w Fort Foureau, wciąż jeszcze była przykuta do wózka inwalidzkiego. Jej organizm, wycieńczony do ostateczności w katordze Tebezzy, dzięki prawidłowemu, zdrowemu odżywianiu wrócił do normy, a nawet lekko ją przekroczył. Tę nieznaczną nadwyżkę w talii mogłaby zgubić odpowiednią gimnastyką, ale to nie wchodziło w grę, dopóki tkwiła w gipsowych pancerzach.

O ile ciało szybko wracało do zdrowia, dusza pozostawała wciąż chora. Powodem cierpień był brak jakichkolwiek wiadomości od Pitta. Odkąd pożegnała go w ruinach starego fortu Legii Cudzoziemskiej, by odlecieć do Mauretanii, i dalej, do szpitala w San Francisco, miała wrażenie, jakby zapadł się pod ziemię. Telefon do admirała Sandeckera upewnił ją jedynie, że Pitt nadal przebywa na Saharze.

- Może pojechałabyś ze mną na golfa - spytał ojciec, obserwując jej ponurą minę.

Popatrzyła w jego wesołe szare oczy i uśmiechnęła się na widok niesfornych jak zwykle, zwichrzonych siwych włosów.

- Nie sądzę, żebym w tym stanie zdołała trafić w piłkę - rzekła.

- Och, nie myślałem o graniu. Ale mogłabyś jeździć ze mną po polu.

Namyślała się przez chwilę, potem skinęła głową.

- Właściwie dlaczego nie? Ale - uniosła w górę zdrową rękę i poruszyła prawą stopą - pod jednym warunkiem: to ja prowadzę wózek.

Matka nie była zachwycona pomysłem męża, ale pomagając Evie wsiąść do dużego rodzinnego chryslera, udzieliła mu jedynie krótkiej przestrogi:

- Uważaj, żeby nie zrobiła sobie jakiejś krzywdy.

- Obiecuję, że wróci tu w takim samym stanie, w jakim ją zabieram - zażartował ojciec.

Pan Rojas wybił piłkę w kierunku czwartej dziury komunalnego pola golfowego w Pacific Grove, otaczającego latarnię morską na Point Pinos. Piłka wylądowała za blisko, w pułapce piaskowej.

- Już nie te mięśnie - powiedział z rezygnacją. Siedząca za kierownicą elektrycznego wózka Eva wskazała ręką ławkę, ustawioną na małym tarasie widokowym nad morzem.

- Tato, nie będziesz miał nic przeciwko temu, że opuszczę następne pięć dziur? Jest tak pięknie, że chętnie posiedzę sobie tutaj i popatrzę na ocean.

- Jasne, córeczko, nie mam nic przeciwko temu. Zabiorę cię w drodze powrotnej.

Podjechali ku torom. Ojciec pomógł Evie przenieść się na ławkę, potem usiadł za kierownicą, machnął wesoło ręką i ruszył przez pole golfowe w stronę trzech kolegów, czekających przy drugim wózku.

Lekka mgła wisiała nad wodą, ale Eva widziała długi odcinek brzegu otaczającego łukiem zatokę i dalej biegnącego niemal prostą linią na północ, w stronę miasta Monterey. Morze było spokojne; niewielka fala wywoływała jedynie złudny efekt, jakby pod rozległą łąką glonów kręciło się całe stado kretów. Powietrze przesycone było ostrym zapachem wodorostów, wyrzuconych na skały i szybko wysychających na słońcu. Zauważyła stadko wydr, baraszkujących wesoło wśród kamieni. Nagle blisko, niemal nad jej głową, rozległ się ostry krzyk mewy. Odwróciła głowę i zobaczyła stojącego za ławką mężczyznę.

- Ty i ja w zatoce Monterey - powiedział cicho.

Stał, z czułością obserwując niepewną, niedowierzającą i nagle rozradowaną twarz Evy. W ułamku sekundy znalazł się obok niej i wziął ją w ramiona,

- Och, Dirk, Dirk! - szepnęła. - Już myślałam, że nie przyjedziesz. Myślałam, że to koniec.

Musiała przerwać, gdy mocno ją pocałował. Potem przez dłuższą chwilę patrzył w błękitne oczy, z których płynęły łzy radości.

- Powinienem był zadzwonić wcześniej - powiedział. - Ale żyłem przez ostatnie dwa tygodnie w takim młynie...

- Będzie ci to wybaczone - oświadczyła uroczyście. - Ale jak, u licha, mnie znalazłeś?

- Dzięki twojej matce. To urocza kobieta. Po prostu przysłała mnie tutaj. Wynająłem wózek i zacząłem jeździć po całym polu, pytając ludzi, czy nie widzieli jakiejś zagubionej, zapłakanej dziewczynki w gipsie.

- Ty draniu - powiedziała uszczęśliwiona i pocałowała go znowu.

Dźwignął ją z ławki i ostrożnie poniósł w kierunku wózka.

- Bardzo żałuję, ale nie mamy czasu na podziwianie widoków. - Musimy zaraz ruszać. O Boże! Ależ jesteś ciężka przez ten gips!

- Gdzie się tak spieszysz? - spytała zdziwiona.

- Musimy spakować twoje rzeczy i pędzić na lotnisko.

- Na lotnisko? Po co? Gdzie się wybierasz?

- Najpierw do Meksyku. Ścisłej: do pewnej małej wioski rybackiej na zachodnim wybrzeżu.

- I chcesz mnie tam zabrać? - uśmiechnęła się przez łzy.

- Jacht, który wynająłem, jest na dwie osoby.

- A więc to będzie wycieczka morska?

- Możesz to tak nazwać. Pożeglujemy na koniec świata, w miejsce zwane Wyspą Clippertona. I poszukamy tam skarbów.

Nie skomentowała tego od razu. Ale kiedy zbliżali się do domku klubowego, powiedziała:

- Jesteś chyba największym łgarzem i krętaczem, jakiego znam...

Przerwała, bo zatrzymali się przy dziwnym starym samochodzie, fantazyjnie pomalowanym na czerwono.

- A to co? - spytała ze zdumieniem.

- Samochód - wyjaśnił.

- To widzę. Ale co to za marka?

- Avions Voisin. Prezent od mojego starego kumpla, generała Zateba Kazima.

- Przywiozłeś to z Mali statkiem?

- Nie. Transportowcem Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych - odparł od niechcienia. - Poprosiłem prezydenta i nie odmówił.

- W końcu ma wobec mnie pewien dług wdzięczności.

- Ale po co go tu przywiozłeś, skoro masz zamiar lecieć dalej samolotem?

- Chcę z nim wystartować w konkursie Pebble Beach w sierpniu. - A tymczasem twoja matka zgodziła się przetrzymać go w swoim garażu.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.



- Jesteś niepoprawny - rzekła.

Pitt delikatnie ujął jej twarz w dłonie.

- I właśnie za to mnie lubisz.